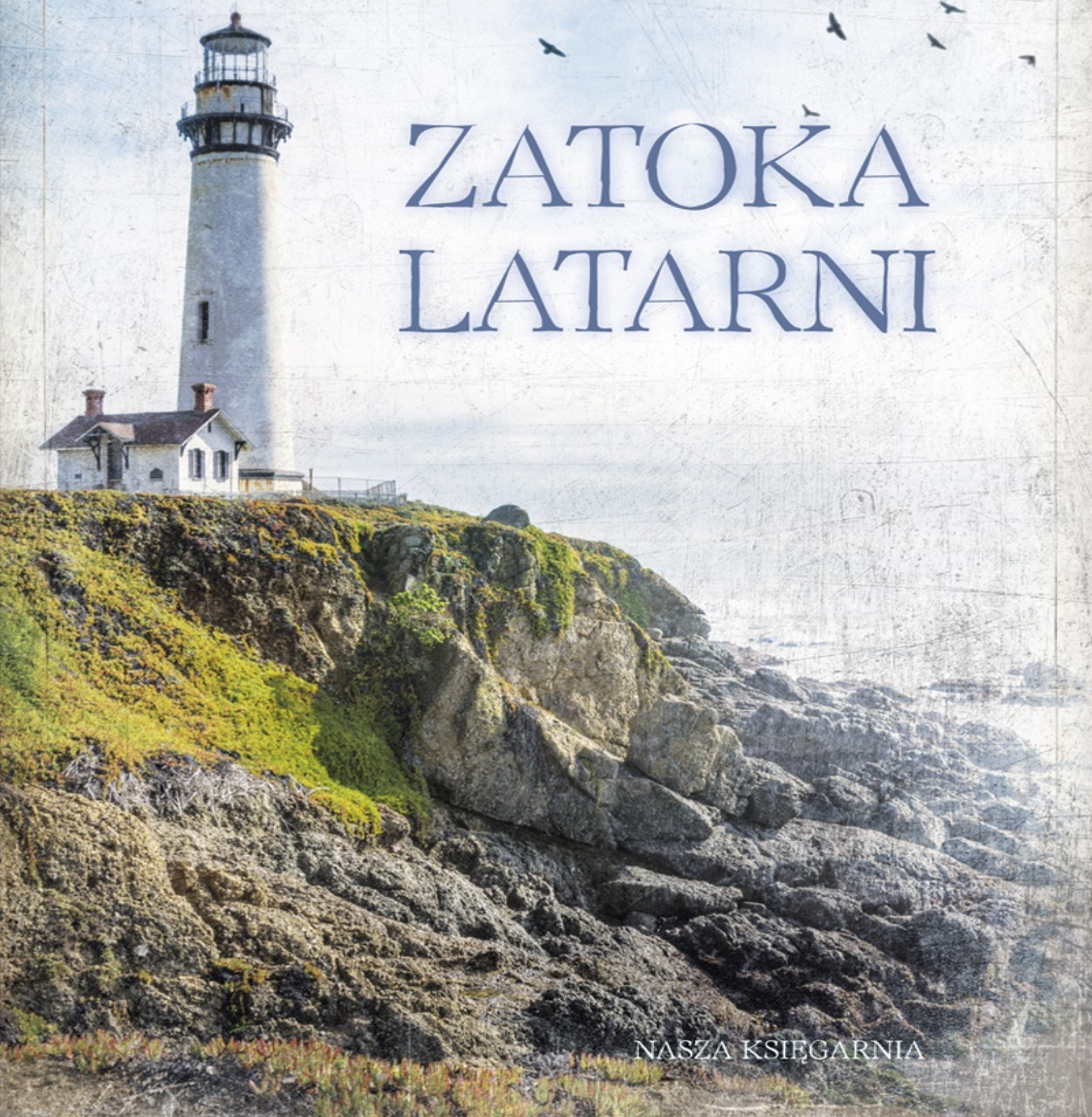


KIMBERLEY
FREEMAN

ZATOKA
LATARNI



NASZA KSIĘGARNIA

KIMBERLEY
FREEMAN

ZATOKA
LATARNI

Przełożyła
Anna Nowak

Nasza Księgarnia

Zajrzyj na strony:

www.nk.com.pl



Znajdź nas na Facebooku

www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia



Przeczytaj również inne książki tego autora

<http://nk.com.pl/kimberley-freeman/451/pisarz.html>

Dla Mary-Rose. Nasze tajemnice na zawsze pozostaną tajemnicami.

„The Times”

Brisbane, maj 1901

Przyjmuje się, że wszystkie dwadzieścia dwie osoby podróżujące na pokładzie żaglowca Aurora zginęły w czasie huraganu u wschodnich wybrzeży Australii. Wśród pasażerów znajdował się pan Arthur Winterbourne, pierworodny syn śp. lorda Winterbourne’a, londyńskiego jubilera. Pan Winterbourne i jego małżonka wieźli dar od Jej Królewskiej Mości królowej Wiktorii dla nowo utworzonego parlamentu australijskiego. Z naszych doniesień wynika, że darem tym była bezcenna buława, ceremonialna maczuga wykonana ze złota i wysadzana klejnotami. Pan Percy Winterbourne, drugi syn lorda, wybiera się do Australii na poszukiwanie zguby.

PROLOG

Biała skóra kobiety lśni w ostrym słońcu. Mokra jasnoniebieska suknia przylega do koste Niebo przyprawia o ból oczu, zupełnie jakby przez jego błękit można było zajrzeć w otchłań kosmosu. Piasek skrzypi pod bosymi stopami. Buty pochłonęło morze. Podobnie jak inne przedmioty i męża. Wszystko przepadło w odmętach zimnej, ciemnej, słonej wody. Wszystko oprócz kufra, który kobieta ciągnie za sobą po piasku.

Krok za krokiem. Kobieta nie widziała ludzkiej twarzy od momentu, kiedy uścisk jej męża zelżał, a on sam zniknął gdzieś między statkiem a szalupą ratunkową. Wyglądał niemal na zaskoczonego.

Ręce bolą od ciężaru kufra, ale kobieta wie, że go nie porzuci, póki starczy jej tchu w piersiach. W środku znajduje się coś tak cennego, że na samą myśl o utracie kufra serce kobiety ścisną ból. Przez cały czas morze ryczy i cofa się, ryczy i cofa się. Na początku ten dźwięk koił, ale teraz zaczyna irytować. Kobieta marzy o ciszy. Chce spokojnie zastanowić się nad tym, co się wydarzyło, nad tym, co straciła, i nad tym, co właściwie powinna teraz zrobić.

Libby siedziała w jednej z ostatnich ławek małego kościółka parafialnego, oplakując mężczyznę, którego kochała przez dwanaście lat. Nikt z osiemdziesięciorga obecnych nie uściskał jej dłoni ani nie posłał smutnego uśmiechu. Nikt nie wiedział nawet, kim jest, a jeśli wiedział – nie dał tego po sobie poznać.

W pewnym sensie była to duża ulga. Przynajmniej obyło się bez ukradkowych spojrzeń, szeptów czy oziębłych gestów ze strony pozostałych żałobników. Jednak ta anonimowość potwierdzała smutną, paskudną prawdę. Nikt nie wiedział, że mężczyzna, którego dziś żegnano – mężczyzna, którego silne ciało i fenomenalną żywotność wciśnięto jakimś sposobem w ciasne pudło stojące przed ołtarzem – był najważniejszym człowiekiem w jej życiu. Pięćdziesięcioośmioletni Mark Winterbourne zmarł z powodu pękniętego tętniaka. Oplakiwała go rodzina: żona Emily i ich dwie dorosłe córki.

Libby nie wiedziała, czy istnieją jakieś specjalne wytyczne dla tajnych kochanków zmarłych osób, ale założyła, że powinna usiąść w tylnej ławce, z sercem bolącym, jakby miało się rozpaść na kawałki, i opanować impuls, który nakazywał jej wstać i krzyknąć: „Ale nikt z was nie kochał go tak bardzo jak ja!”.

W jej własne urodziny. Czterdzieste urodziny.

Po raz kolejny dyskretnie otarła chusteczką zażawione oczy. W kościele było zimno. Na zewnątrz ziemię wciąż pokrywał lutowy śnieg. Libby trzęsła się w zakiecie. Jej strój nie zyskałby uznania w oczach Marka, który nie lubił, kiedy nosiła się zbyt elegancko. Twierdził, że Libby za dużo czasu spędza w towarzystwie ludzi w garniturach. Najbardziej podobała mu się w dzinsach i luźnych sukienkach lub naga. Gdy rano przed pogrzebem wkładała żakiet, żeby nie odstawać od nienagannie odzianych żałobników, przypominała sobie dzień, kiedy po raz ostatni tak się ubrała. Mark powiedział wtedy:

– Gdzie jest ta koronkowa bluzka, która tak mi się podoba? Włóż lepiej ją zamiast żakietu.

Świadomość, że Mark już nigdy nie skrytykuje jej stroju, sprawiła, że Libby poczuła się jak uderzona obuchem w głowę. Już nigdy, przenigdy Mark się do niej nie odezwie. Już nigdy nie zmruży oczu w uśmiechu. Nigdy nie weźmie jej za rękę, nie przywrze wargami do jej ust, nie przytuli jej...

Od powstrzymanego szlochu Libby piekła skóra na głowie. Jak by to wyglądało, gdyby nieznana kobieta w tylnej ławce rozplakała się i zdradziła tajemnicę skrywaną od tak dawna? Mark postawił sprawę jasno: jego żona i córki nie mogą cierpieć. W niczym nie zawiniły, nie zasługują na ból. Mark i Libby muszą wziąć cały ciężar na własne barki. A ciężar był naprawdę straszny:

dwanaście lat wyczerpującego tańca kwitnącej nadziei i oślepiającego poczucia winy.

Zaczęły się mowy żałobne. Libby słuchała ich przez chwilę, ale szybko uznała, że żaden z opisów nie pasuje do jej Marka. Zamknęła więc oczy i ułożyła w myślach własną mowę, którą wygłosiłaby, gdyby to było możliwe.

„Mark Winterbourne zmarł jako pięćdziesięcioośmiolatek, ale nie myślcie, że był typowym mężczyzną w średnim wieku. Wysoki i w dobrej formie, miał gęste włosy, płaski brzuch i twarde uda, świadczące o zdrowym stylu życia i miłości do biegów długodystansowych. Był inteligentny, dowcipny i pełen determinacji. Nigdy nie zwalniał tempa. Pokonał chorobę z dzieciństwa i dysleksję, jako piętnastolatek poradził sobie po śmierci ojca. Spędziliśmy razem wiele cudownych, choć potajemnych i skradzionych chwil. Nawet po dwunastu latach Mark zapierał mi dech w piersiach. Był wspaniałomyślny, uroczy i miły. Bardzo miły. Najmilszy człowiek, jakiego w życiu spotkałam”.

Gorące łzy wypłynęły spod zaciśniętych powiek Libby i stoczyły się po policzkach. Otworzyła oczy, by zobaczyć, jak w pierwszej ławce żona Marka pochyła głowę, chowa twarz w dłoniach i szlocha. Ksiądz podszedł do niej i objął ją ramieniem. Libby poczuła kłujący wyrzut sumienia. Nie powinna była tu przychodzić.

Pociąg, którym wracała przez kanał La Manche do Paryża, był prawie pusty, więc Libby położyła torbę na siedzeniu obok i oparła na niej głowę. Dopiero teraz otwierała się przed nią wielka pustka. Mark został pochowany; granicę między dawnym i nowym życiem znaczyły dwa metry ziemi. Libby próbowała nie myśleć o tym wszystkim, czego nie zrobiła razem z Markiem, o tym, czego on chciał, a na co ona się nie zgadzała. O sprawach, z którymi będzie musiała się zmierzyć w pojedynkę, bo została sama. Dotarło do niej, jak kruche jest życie. Pociąg się kołysał i podskakiwał, a Libby oddychała głęboko. Wdech, wydech, skupienie. Jak krótko każdy oddech mieszkał w jej ciepłym ciele.

– Claudette chce cię widzieć.

Libby podniosła wzrok. Dopiero co zdjęła szalik i odwiesiła torebkę na krzesło. W firmie Pierre-Louis Design nijakość boksów dla pracowników dorównywała jaskrawości ścian recepcji. Libby całymi dniami pracowała przed wielkim monitorem swojego maca, projektując lśniące katalogi biżuterii i mody, a otaczały ją szare meble i beżowe ścianki. Cały budynek przechodził stopniowo przemeblowanie, ale zmiany nigdy nie dotarły do jej stanowiska.

– Czemu Claudette chce mnie widzieć?

Monique, sekretarka szefowej, zamrugnęła zaskoczona.

– Nie wiem, ale powiedziała, że mam cię złapać, jak tylko przyjdiesz.

Libby westchnęła. Wystarczająco trudno było wstać z łóżka w małym mieszkaniu w Levallois. Nie mogła uwierzyć, jak ciężkie stały się jej ręce i nogi. Po śmierci Marka udało jej się wziąć pięć dni urlopu. Wy tłumaczyła się chorobą i w pewnym sensie faktycznie była to choroba. Ból wypełniający całe ciało. Ale ten ból nie ustępował, a ona nie miała sił, żeby pracować.

– No dobrze – powiedziała. – Już idę.

Kiedy dwadzieścia lat wcześniej przyjechała do Paryża, jej francuski był kulawy i bardzo szkolny. Teraz posługiwała się nim płynnie, potrafiła myśleć po francusku, ale brakowało jej angielskiego. Tęskniła za niuansami znaczeń licznych synonimów, za układaniem długich ciągów przymiotników i wciąż miała momenty zawahania, kiedy musiała powiedzieć coś po francusku w stanie wzburzenia. Claudette, jej szefowa, słynęła z umiejętności wyprowadzania pracowników z równowagi, więc Libby miała się na baczności.

Gabinet Claudette mieścił się w pokoju z oknami sięgającymi od podłogi do sufitu, przez które można było całymi dniami oglądać Sekwanę, gdyby ktoś miał na to ochotę. Jednak Claudette celowo przestawiła biurko tak, żeby siedzieć plecami do okien. Od kiedy przed ośmioma miesiącami została szefową, wprowadziła tę jedyną, lecz jakże wymowną zmianę. Nie chciała marnować czasu na wyglądanie przez okno, a swobodna atmosfera, którą Libby tak kiedyś lubiła w pracy, po prostu zniknęła.

– O, Libby – powiedziała Claudette, wskazując dłonią krzesło przy swoim biurku. – Usiądź. Musimy porozmawiać.

Libby usiadła i zdała sobie sprawę, że serce wali jej w piersi. Spróbowała wziąć głęboki wdech, ale tak dyskretnie, by nie zwróciło to uwagi szefowej. Założyła nogę na nogę i czekała. Tymczasem Claudette wbijała w nią lodowate spojrzenie błękitnych oczu. Przez otwarte okno słyhać było odgłosy ruchu ulicznego na dwóch mostach przecinających Wyspę Świętego Ludwika.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – odezwała się w końcu Claudette.

– Dziękuję – powiedziała zaskoczona Libby.

Nastąpiła chwila milczenia. Claudette wciąż się nie uśmiechnęła.

– To wszystko? – spytała Libby.

– Mam pewne podejrzenia – stwierdziła Claudette. – Wzięłaś pięć dni wolnego w okolicy swoich czterdziestych urodzin.

– Źle się czułam.

– A dzisiaj wcale nie wyglądasz na chorą.

Naprawdę?

– Bo miałam pięć dni wolnego.

Claudette zmrużyła oczy i odchyliła się na krześle, obracając w palcach ołówki.

– Chyba muszę ci uwierzyć. Po prostu nie lubię, kiedy ktoś robi mnie w konia, Libby. Pięciodniowy urlop oznacza dla mnie wysokie koszty. Nie chciałabym myśleć, że wykorzystałaś swojego pracodawcę, żeby świętować okrągłą rocznicę urodzin.

Takie drobne złośliwości należały do stałego repertuaru Claudette, więc Libby się nie odgryzła.

– Zapewniam cię, że nie byłam w stanie pracować.

– A Henri widział cię wczoraj po południu na Gare du Nord.

– Wracałam z Londynu, miałam tam wizytę u specjalisty.

– Specjalisty?

Libby trzymała się swojej wersji.

– To sprawa osobista.

Claudette zmarszczyła brwi. Libby walczyła z poczuciem winy. Nawet po dwunastu latach romansu z Markiem kłamstwo nie leżało w jej naturze.

– W takim razie muszę ci uwierzyć na słowo – oświadczyła Claudette, wzruszając lekko ramionami.

– Mówię prawdę – skłamała Libby.

Claudette zerknęła do notesu.

– A skoro już tu jesteś... Dziś rano dowiedziałam się, że zmarł Mark Winterbourne.

Współpracowałaś z nim, prawda?

Serce Libby wyło z bólu, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Owszem.

– Możesz zadzwonić dziś do jego firmy i sprawdzić, kto go zastąpił? Był naszym klientem od dwunastu lat i nie chciałabym stracić takiego kontraktu. Katalog wyrobów marki Winterbourne to nasze popisowe dzieło.

– Mam zadzwonić jeszcze dzisiaj? Przecież umowy podpisujemy zwykle w połowie roku.

– Będą tam mieli urwanie głowy. Nic nie jest postanowione. Nie możemy ryzykować, że przejmie ich ktoś inny. – Claudette potrząsnęła głową. – Wyobraź sobie, że miał tętniaka – dodała. – Podobno to dziedziczne, a w jego rodzinie były już takie przypadki.

Libby się wzdrygnęła. Nic o tym nie wiedziała. Byli z sobą tak blisko, ale Mark nigdy nie wspomniał, że może nagle paść trupem. Nie chciał jej martwić? A może nic nie powiedział dlatego, że była tylko jego kochanką?

Claudette wzruszyła ramionami.

– Życie jest krótkie. Zdobądźmy ten kontrakt. Zadzwoń tam dzisiaj.

Libby wróciła do biurka ze ściśniętym żołądkiem. Jak miała wybrać znajomy numer, wiedząc, że Mark nie odbierze telefonu? Jak mogła pracować nad katalogiem bez jego udziału? Obowiązki

dotychczas stanowiły dla niej przyjemną odskocznię, bo dzięki nim mogła się legalnie kontaktować z Markiem. Teraz nie zostało jej już nic oprócz beżowych ścianek i wrednej szefowej. Libby przez dłuższą chwilę wbijała wzrok w ciemny monitor – nawet nie zdążyła go włączyć – zastanawiając się, czy komukolwiek udało się dojść do siebie po takiej stracie. Potem wstała, zebrała torebkę, szalik oraz płaszcz i bez słowa wyszła z firmy.

Nie zamierzała dzwonić do Winterbourne Jewellers. Zamierzała zadzwonić do siostry.

Libby przysiadła na brzeжку wynajętej kanapy w wynajętym mieszkaniu przy Villa Rémond i wystukała na telefonie swój numer z czasów dzieciństwa; znajomy, ale na wpół zapomniany, nienaturalnie długi przez międzynarodowe kody. Nagle zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, i z wysiłkiem rozluźniła ramiona.

– Słucham? – W słuchawce rozległ się ochryply głos i do Libby dotarło, że nie wzięła pod uwagę stref czasowych. Obudziła Juliet.

Ze wstydu i poczucia winy nie była w stanie wykrztusić ani słowa i pozwoliła, by cisza trwała trochę za długo.

– Słucham? – powtórzyła Juliet, tym razem lekko zaniepokojona.

Libby się rozłączyła. Nie miała pojęcia, co robić. Kogo chciała oszukać? Juliet nie przyjmie jej z otwartymi ramionami. Gdyby wiedziała o planach Libby, zapewne starałaby się ją od nich odwieść. „Nie wracaj tu. Nigdy”. Tak kiedyś powiedziała. A Libby odparła: „Nie wrócę. Nigdy”. I przez dwadzieścia lat dotrzymywała obietnicy.

Jednak to, co mówią nastolatki, nie powinno określać planów na całe życie, a Libby miała kilka dobrych powodów, żeby wrócić do domu. Przypomniała sobie słowa Marka:

– Będziesz malować. Razem będziemy patrzeć na morze. Spróbujemy rozwiązać tajemnicę mojej rodziny. Jak mógłbym nie kupić tego domku? Co rok będziemy tam uciekać.

Potem Mark wręczył jej klucze (przysięgała, że nigdy ich nie użyje) i akt własności (przysięgała, że nigdy go nie przeczyta). Czasami wracał do tego tematu, zawsze wtedy, kiedy miał lecieć do Australii po opale. Sprawdzał, czy Libby nie zmieniła zdania. Ale ona była uparta. Gdyby Juliet zobaczyła ją z Markiem... Boże, gdyby Juliet opowiedziała wszystko Markowi...

Libby rozejrzała się po mieszkaniu. Zawsze było dla niej zbyt drogie, ale nie wyprowadzała się, bo Mark chciał, żeby mieszkała blisko centrum. Wbiła wzrok w drzwi sypialni i wstrzymała oddech, pewna, że za moment Mark wyjdzie z pokoju, wysoki i silny, ubrany tylko w bokserki i niebieski jedwabny szlafrok, z ciemną czupryną zwijającą się w loczki nad uszami. A potem uśmiechnie się do Libby, dotknie jej włosów i znowu będzie mogła się do niego przytulić, poczuć jego bliskość, jego ciało i oddech. Ale Mark nie wychodził. I nigdy już nie wyjdzie.

A jedną z niewielu osób, które zaznały podobnej straty, była Juliet.

Ulubiona kafejka Libby i Marka znajdowała się przy bulwarze Saint-Germain. Wystroju w stylu art déco nie zmieniono od lat trzydziestych. Kochankowie siadali w ogródku niedaleko wejścia, po lewej stronie. Mark zawsze miał przy sobie egzemplarz „Guardiana”, zazwyczaj kupowany w kiosku z międzynarodową prasą, ale czasem przywożony z Londynu. Irytował się irracjonalnie, kiedy tam przychodzili, a „ich” stolik był zajęty.

Dziś Libby przyszła do kafejki sama, położyła złożoną gazetę na stoliku, przy miejscu zajmowanym przez Marka, i zamówiła to, co zwykle: *café au lait* dla siebie, espresso dla niego. W oczekiwaniu na kawę chłonęła wzrokiem znajomy widok: kremowe i białe neoklasycystyczne budynki przy rue Saint-Benoît, przejeżdżające samochody, przechodniów w ciemnych płaszczach, pączki wysoko na gałęziach wiązów. Wciągała w płuca woń Paryża – spalin, świeżo ściętych lilii, deszczu na chodniku – i zastanawiała się, czy zdoła stąd wyjechać. Miała wrażenie, że przyjęcie pożegnalne w pracy urządzono na cześć kogoś innego: jakiejś szczęśliwej, pogodzonej z losem kobiety bez mrocznej przyszłości i ze świetlaną przyszłością.

– Czeka pani na kogoś? – zagadnął kelner, stawiając espresso Marka obok jego gazety.

Zmusiła się do uśmiechu, ale poczuła ukłucie w sercu. Nie, on już nigdy nie przyjdzie. Popijała swoją kawę, podczas gdy kawa Marka stygła w wiosennym chłodzie poranka. Libby przymknęła oczy, wyobrażając sobie, że rozmawia z ukochanym, tak jak robiła to tyle razy.

– Jak tam podróż? – pytała.

– W porządku – odpowiadał on. – W pociągu odwaliłem sporo pracy.

– Masz dużo do zrobienia?

– Zawsze. – Z lekkim uśmiechem stukał palcem w gazetę, którą bardzo chciał przeczytać.

Libby otworzyła oczy. Niebo pokryły szare chmury, a powietrze wypełniła chłodna wilgoć. Samolot odlatywał za trzy godziny. Jej obolałe serce uderzało zimno o żebra. Ból w całym ciele. Libby powoli dopiła kawę. Po raz ostatni. Zebrała torebkę i klucze, po czym wstała. Po raz ostatni. Zaczęło mżyć. Libby obejrzała się przez ramię. Nietknięte espresso stało wciąż na stoliku, a kartkami gazety poruszał wiatr.

– Żegnaj – powiedziała, zostawiając za sobą Paryż i Marka.

Po raz ostatni.

Ocean.

Oddech uwiązał Libby w gardle, gdy skręciła z autostrady na drogę prowadzącą wybrzeżem, żeby po raz pierwszy rzucić okiem na Pacyfik. Był idealny letni dzień. Bezchmurne niebo i białozółte słońce świecące nad wodą. Ocean mienił się odcieniami błękitu i zieleni, połyskiwał złotem. Zerwał się popołudniowy wietrzyk, marszczący wodę w pienne fale i łopoczący pod skrzydłami mew. Libby zatrzymała samochód na szczycie klifu, przeszła przez drogę na porośniętą trawą krawędź i dała sobie chwilę, żeby wchłonąć wszystkie wrażenia.

Ten zapach. Dobrze znany z dawno pogrzebanych wspomnień. Woń wodorostów i soli, orzeźwiająca, a jednocześnie oszałamiająca. Libby wdychała ją haustami. Stąd roztaczał się widok na północ, na cypel okrążający północny kraniec Zatoki Latarni – jej rodzinne strony – i starą latarnię morską, której białe ceglane ściany lśniły w słońcu. Serce Libby zadrżało.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę samochodu. Kupiła go dwa dni wcześniej, wciąż oszołomiona po locie do Brisbane. Od wielu lat nie siedziała za kierownicą. W Paryżu nie było takiej potrzeby, a podczas wakacji z Markiem to on prowadził. Miał lekkiego bzika na punkcie swojego mercedesa i każda propozycja, że Libby przejmie kierownicę, spotykała się z szybką i łagodną odmową. Wyjazd małym subaru z parkingu stanowił ciekawe doświadczenie. Libby zbyt szybko puściła sprzęgło i auto dało susa na podjazd. Potem musiała sobie przypomnieć, jak ruszać pod górkę. Wkrótce jednak zaczęła jeździć tak jak kiedyś, co dodało jej otuchy.

Teraz odpaliła silnik i wyjechała na drogę wijącą się wzdłuż klifu w kierunku północnym. Klif obniżał się powoli, ustępując miejsca złocistobiałej plaży; pustej, jeśli nie liczyć kilku wędkarzy i paru szaleńców owładniętych manią opalania się w południowym słońcu. Zatoka Latarni, w przeciwieństwie do słynnych plaż Noosa i Peregian, leżała zbyt daleko na północ, by stanowić dogodny cel wycieczek. Kiedy Libby wyjechała z miasteczka pod koniec lat osiemdziesiątych, była to prowincja, z której młodzi ludzie uciekali do gwarnej Brisbane czy Sydney. Teraz jednak, dojeżdżając na miejsce, Libby dostrzegła pewne zmiany. Wzdłuż głównej ulicy było mnóstwo sklepów: butików z plażowymi ciuchami, restauracji na świeżym powietrzu, eleganckich lodziarni, modnych lokali z jedzeniem na wynos. Pojawił się nawet duży sklep monopolowy. Wygląd małego centrum handlowego dowodził powolnego, ale nieustannego postępu: biały tynk, mnóstwo okien i witryna sieciowego baru z koktajlami owocowymi.

Dalej Libby zobaczyła pensjonat swojego ojca; wyglądał tak samo jak przed laty, może został jedynie odmalowany. Kiedy była dzieckiem, wszystkie cztery pokoje wynajmowano latem, a zimą

ona i Juliet biegały po nich, bawiąc się w książeczki na zamku. Teraz pensjonat należał do jej siostry. Szyld „U Reggiego” zmieniono na inny, z napisem „U Juliet”. Libby zwolniła, ale nie zatrzymała samochodu. Z siostrą planowała spotkać się później. Nie teraz, kiedy dopiero się oswajała z poczuciem wyobcowania, jakiego doznała po powrocie. Powrocie do miejsca, do którego miała już nie wracać. Nigdy.

Dotarła do rozwidlenia drogi. Mogła teraz wrócić na wybrzeże, by dostać się do domku, albo pojechać w głąb lądu, przed przedmieście, gdzie dorastała, aż do cmentarza, na którym pochowano jej ojca.

Libby włączyła kierunkowskaz i skręciła w stronę cmentarza.

Cmentarz w Zatoce Latarni był mały i cienisty. Zaparkowała na ulicy i przeszła wzdłuż niskiego żelaznego płotu aż do bramy, która skrzypnęła przy otwieraniu i zamykaniu. Libby stała przez chwilę zdezorientowana. Ojciec gdzieś tu był, tylko gdzie? Szła między nagrobkami, szukając wzrokiem znajomych liter. Okrążyła staw i skręciła na wąską ścieżkę prowadzącą do tylnego ogrodu. Wreszcie znalazła to, czego szukała.

Reginald Robert Slater, ur. 1938, zm. 1996.

Niech spoczywa w pokoju.

Libby przeczytała prosty napis kilka razy. W chwili śmierci ojciec miał raptem pięćdziesiąt osiem lat, tak jak Mark, ale jej wydawał się wtedy stary. Uważała, że zawał serca i nagła śmierć to naturalna kolej rzeczy w przypadku starszego pana. Gdyby umierał powoli, gdyby długo chorował, czułaby potrzebę powrotu do domu i pożegnania. A tak nawet nie przyleciała na pogrzeb: Paryż był po prostu za daleko.

Siedzący na pobliskim drzewie srokacz szary zaczął śpiewać, przerywając strumień myśli, które napełniały Libby dręczącym poczuciem winy. Szkoda, że nie przyniosła kwiatów na grób. Zdawała sobie jednak sprawę, że byłby to tylko pusty gest. Rozejrzała się po cmentarzu. Jej matka też gdzieś tu leżała, ale zmarła przed drugimi urodzinami Libby, zaledwie trzy dni po narodzinach Juliet. Libby zupełnie jej nie pamiętała i nie tęskniła za nią. Odwrotnie niż teraz, gdy nagle i niespodziewanie uświadomiła sobie, że brakuje jej ojca.

W oddali słychać było szum oceanu. Libby poczuła przyływ emocji tak gwałtownych i przytłaczających, że nie wiedziała, czy zdoła ustać na nogach. Smutek, żal, bolesna miłość, lodowate poczucie winy. Od śmierci Marka zastanawiała się czasami, po co właściwie żyje. Dlaczego ból dotąd jej nie zabił? Przecież nie można tak cierpieć i żyć.

A jednak żyła. Mimo złamanego serca poruszała się i oddychała. W drodze powrotnej do samochodu minęła rząd nagrobków, odruchowo czytając inskrypcje. Większość nazwisk nic jej nie

mówiła, ale jedno, pod rozłożystymi konarami drzewa, Libby знаła bardzo dobrze. ANDREW NICHOLSON. Andy. Ciekawe, czy Juliet wciąż odwiedza jego grób.

Wsiadła do auta. Dziś nie mogła stanąć oko w oko z siostrą. Dziś musiała zrobić coś prostego, ale przytłaczającego: zobaczyć domek, który Mark kupił dla niej – dla nich obojga.

Rozpoznała domek, kiedy tylko go zobaczyła. Stał samotnie przy końcu żwirowej ścieżki prowadzącej do latarni morskiej. Widziała go wcześniej, nie tylko na zdjęciach, które pokazał jej Mark, lecz także w młodości. Poszukała w pamięci informacji dotyczących historii okolicy. Budynek postawiono w latach czterdziestych jako nowy dom dla latarnika. Kiedy Libby mieszkała w Zatoce Latarni, stał pusty. Pirat Pete wolał mieszkać w latarni, wzniesionej jeszcze w dziewiętnastym wieku. Myśl o Piracie przywołała kolejne wspomnienia. Nastoletnia Libby i grupka jej znajomych rzucają sobie wyzwania: kto ośmieli się pójść do latarni i zastukać do drzwi? Chichoczą przy tym jak wariaci. Pirat Pete otwiera z rozmachem. Ma długą siwą brodę i lodowate spojrzenie.

– Odczepcie się ode mnie, cholerni smarkacze!

Dzieciaki opowiadały sobie o nim upiorne historie podczas piżamowych przyjęć. Oczywiście Pete wcale nie był piratem, tylko latarnikiem i prawdopodobnie samotnym starszym panem.

Libby wjechała na zarośnięty podjazd i wyłączyła silnik. Potem przez kilka minut siedziała z dłońmi na kierownicy, poddając się myślom i wspomnieniom. W torebce miała klucze – te same, których przysięgała nigdy nie użyć. Westchnęła. Nie spodziewała się takiego obrotu spraw. Nie przypuszczała, że wróci do domu, w żałobie, bez pracy, że stanie przed domkiem, który do niej należy, ale którego wnętrza nigdy nawet nie widziała.

Mark co rok latał do Queensland, żeby kupować opale. Sześć lat temu zrobił sobie wycieczkę na pobliską plażę. Plażę Winterbourne, nazwaną tak na cześć jego rodziny, popularną wśród nurków ze względu na legendy o skarbie należącym do Winterbourne'ów i zatopionym wraz ze statkiem na początku dwudziestego wieku.

– A skoro już byłem tak blisko, to jak mógłbym nie odwiedzić rodzinnych stron mojej małej dziewczynki? – powiedział wtedy. – Ten domek został akurat wystawiony na sprzedaż, a ja chciałem pokazać, jak bardzo cię kocham.

Połykając łzy, Libby zgarnęła torebkę i wysiadła z samochodu. Już pierwszy klucz pasował do zamka, więc po chwili znalazła się w środku.

Woń stęchlizny. Stare meble. Tumany kurzu. Szyby pokrywała cienka warstwa soli, przysłaniająca widok na świat. Punkt pierwszy: trzeba umyć okna. Libby przeszła przez salon – na podłodze brązowe płytki, cienki brązowy dywanik, kwadratowy drewniany stół, żadnych krzeseł – i spróbowała otworzyć drzwi prowadzące na taras; musiała je mocno szarpnąć, by wpuścić do

środką świeże powietrze znad oceanu. Domek może i powstał w latach czterdziestych, ale umeblowano go w duchu lat siedemdziesiątych. Ławę w kuchni pokrywał jaskrawozielony laminat, a płytki nad blatami miały odcień rzęsy na brudnym stawie. Kuchenka gazowa była zasnutą pajęczynami i upstrzona odchodami karaluchów. Punkt drugi: trzeba wyszorować wszystko jakimś silnym detergentem.

Krótki korytarz prowadził do odrapanej łazienki, pralni zaopatrzonej w tylne drzwi i dwóch sypialni. Pierwsza i większa z nich została pomalowana na bladoróżowo. Stało w niej ogromne łóżko z kutego żelaza. Materac wciąż jeszcze osłaniała fabryczna folia. W szafkach Libby znalazła bladozieloną pościel, też jeszcze opakowaną. Przystanęła i wzięła głęboki wdech.

Raz już mieli tu przyjechać. Mark wziął sobie wolne w pracy, ona wybrała kolory do sypialni. Właśnie te kolory. Jednak tydzień przed datą wylotu wpadła w panikę.

– Daj mi jeszcze pół roku – poprosiła. – Napiszę do Juliet i zobaczę, jak zareaguje. Mamy zadawniony konflikt.

– Jaki konflikt?

Nigdy nie zdobyła się na to, żeby mu o wszystkim powiedzieć. Łączące ich więzi były przecież takie kruche; bała się, że jeśli wyzna Markowi cały swój wstyd i winę, jego uczucia wobec niej osłabną. Minęło pół roku, potem rok, potem dwa lata. Libby nie napisała do Juliet, a Mark przestał ją pytać. Może uznał, że popracuje nad nią powoli? Tylko zabrakło mu czasu.

Drugi pokój był właściwie zbyt mały na sypialnię. Przypominał raczej gabinet, w którym całą jedną ścianę wypełniały przesuwne okna. Urządzono go jako pracownię malarską: stały tam dwa komplety sztalug z rozpiętym czystym płótnem, pokryte pajęczynami. Na ten widok Libby przysiadła na podłodze i się rozplakała.

Kiedy Mark kupił ten domek, nie mogła zrozumieć, dlaczego tak naciska, żeby wróciła do miejsca, którego przyrzekła już nigdy nie odwiedzić. Tymczasem chciał tylko, żeby rzuciła pracę w firmie Pierre-Louis Design i odprężyła się trochę, znalazła czas na odpoczynek i malowanie. O tym ostatnim marzyła od dzieciństwa. Teraz miała wszystko, czego potrzebowała. Domek z widokiem na ocean stanowił doskonały początek. Ale Marka przy niej nie było, więc nie mógł się przekonać, jaka jest mu wdzięczna, jak bardzo docenia ten dowód miłości.

Wydawało jej się, że płacze całymi godzinami. W końcu wstała i otarła dłonią łzy. Wcisnęła włącznik światła, ale nic się nie stało. Nie było prądu. Wróciła do kuchni. Otwarta lodówka stała pusta, podobnie jak spiżarnia. Pod zlewem Libby nie znalazła żadnych środków czystości ani ścierek. Musiała kupić kilka podstawowych produktów. A to oznaczało wycieczkę do sklepu. Im dłużej przebywała w miasteczku, tym bardziej rosło prawdopodobieństwo przypadkowego spotkania z siostrą. Jednak jeszcze nie potrafiła się wybrać do pensjonatu. Wyśpi się porządnie i wtedy to zrobi. Zdecydowanie.

Lepki upał był męczący. Libby chciała po prostu zwinąć się w kłębek i zasnąć, ale musiała przeznaczyć całe popołudnie na doprowadzenie domku do porządku. Włożyła bawełnianą koszulkę bez rękawów oraz szorty, długie ciemne włosy spięła w koński ogon i zebrała tyle energii, ile tylko mogła. O zachodzie słońca, cała spowita pajęczynami i spocona, pomyślała, że warto by wziąć prysznic, ale przypomniała sobie, gdzie jest, więc znalazła kostium kąpielowy i poszła na plażę.

Lata mieszkania w mieście, daleko od morza, zaszczepiły w niej lęk. A jeśli trafi na meduzy? Albo rekiny? Jednak szmaragdowa woda, czysta i ciepła, zachęcała; otaczała ją łagodnie ze wszystkich stron. Libby weszła po pas, a potem zanurkowała w fale. Ich ciągły szum zastąpiło teraz bulgotanie wody w uszach. Wynurzyła się, ze śmiechem łykając powietrze. Absurdalna myśl, że o tak późnej porze ma na sobie tylko kostium i kąpie się w oceanie, rozbawiła ją. W Paryżu Libby wkładałaby właśnie rękawiczki oraz szalik, przygotowując się na powrót do metra i przejażdżkę w tłumie innych pasażerów. Tu, na plaży, jedyną osobą był rybak stojący po kostki w wodzie jakieś pół kilometra dalej.

Libby przez chwilę dryfowała na plecach, pozwalając, by unosiły ją fale. Na wargach czuła słoną wodę, koński ogon ciągnął się za nią. Potem wróciła na plażę i usiadła na piasku, żeby wyschnąć. Niebo zaczynał pokrywać słodki rumieniec zmierzchu; jasny róż i złoto ustąpiły miejsca subtelnym fioletom i miedzi. Libby czuła się, jakby otulał ją aksamit: sypki piasek, lekka mgiełka nad klifem, łagodny wietrzyk, jej własne miękkie ciało, mięśnie i obolałe serce. Przymknęła oczy.

Kiedy je ponownie otworzyła, rybaka już nie było, a zmierzch ustępował nocy. Wstała, otrzepała się z piasku i ruszyła z powrotem w stronę domku. Plażę oddzielał od cywilizacji pas zieleni: banksje, pandany, mangrowce. Kraby uciekały spod nóg na ścieżce prowadzącej w stronę ulicy. Libby weszła do domku i z zadowoleniem stwierdziła, że woń stęchlizny zniknęła. Wpadająca przez okna bryza poruszała cienkimi firankami. Libby zrobiła sobie kanapkę z masłem orzechowym, szybko spłukała sól z ciała pod zimnym prysznicem i pomyślała, że mogłaby przygotować płótno oraz otworzyć część farb. Znużenie jednak zwyciężyło, więc zamiast tego weszła do łóżka.

Obudziła się około dwudziestej trzeciej, zastanawiając się, co wyrwało ją ze snu. Odgłos silnika. Przez chwilę leżała w ciemnościach i nasłuchiwała. Samochód się nie zbliżał ani nie oddalał. Po prostu stał.

Podniosła się z łóżka i odsunęła róg zasłony. Rzeczywiście, na drodze tuż przed jej domem stał samochód z włączonymi światłami i silnikiem. Bez ruchu. Libby przyglądała mu się z zaciekawieniem. Potem poczuła lekki niepokój. Było zbyt ciemno, żeby rozpoznać markę, nie mówiąc już o odczytaniu tablicy rejestracyjnej. Minęło pięć i następne dziesięć minut. W końcu samochód ruszył, zawrócił, skrzypiąc kołami na żwirze, i odjechał.

To nie był najlepszy dzień na spotkanie grupy matek. Cheryl zadzwoniła o siódmej rano i zgłosiła, że jest chora, a Juliet nie zdołała namierzyć Melody i poprosić jej o wcześniejsze przyjście do pracy. Obliczyła, że jeśli zostawi brudną pościel w pokoju numer dwa, to jakoś poradzi sobie sama w jadalni aż do lunchu, kiedy to miała się zjawić Melody. Po lunchu wymknie się na górę, zmieni pościel, przygotuje łóżka, szybko odkurzy jedyny zajęty pokój i zdąży zejść na dół, zanim zaczną się schodzić popołudniowi goście. Plan ten zadziałałby jednak tylko w zwykły poranek.

– Mam nadzieję, że to nie problem – powiedziała pyzata młoda kobieta z równie pyzaty niemowlęciem na rękach. – Chciałyśmy się spotkać u mnie w domu, ale zapomniałam, że dziś przychodzą robotnicy, którzy mają powiesić nowe półki. Byłoby za głośno.

– Oczywiście, że to nie problem – odparła Juliet z uśmiechem, robiąc w pamięci gorączkowe obliczenia. Kobiet było dwanaście. Nawet gdyby każda z nich zamówiła angielskie bułeczki z masłem i dżemem, zostałyby jeszcze czternaście sztuk dla stałych klientów. Może już teraz trzeba zacząć wyrabiać ciasto, tak na wszelki wypadek? Zanim kobiety poproszą o podgrzanie butelek z mlekiem i zamówią najróżniejsze rodzaje kawy?

Nie miała czasu do namysłu. Zamówienia już spływały, a Juliet biegła – ostrożnie i z gracją – między stolikami a kuchnią, rzucając żalosne spojrzenia czterem nierozpakowanym bochenkom chleba, które wyjęła wcześniej, żeby przygotować kanapki na lunch. Dzień zapowiadał się koszmarne, bez dwóch zdań. Trzeba było zakasać rękawy i szybko działać. Na szczęście Juliet miała w tym niezłą wprawę. Związała długie brązowe włosy i wzięła się do roboty.

Pensjonat i herbaciarnia U Juliet, zwane przez wszystkich po prostu U Juliet, częściowo zawdzięczały swoją popularność położeniu: budynek stał tuż przy plaży, miał obszerny drewniany taras, z którego dzieci mogły karmić mewy, podczas gdy ich zmęczone matki koily pozbawione snu oczy widokiem oceanu. Jednak sukces lokalu był przede wszystkim zasługą samej Juliet. „Niesamowita osoba” – mówiono o niej często. Raz czy dwa razy usłyszała również opinię, że jest pracoholiczką, ale stało się to po tym, jak odrzuciła zaloty sierżanta Scotta Lacey, dupka i licealnego rozrabiaki, dowodzącego teraz miejscowym posterunkiem. Juliet wcale nie była ani niesamowita, ani uzależniona od pracy. Gdy przed piętnastu laty zmarł jej ojciec, został po nim interes, którym ktoś musiał się zająć. Zaledwie dwudziestotrzyletnia wtedy Juliet wiedziała, że nie może pozwolić, by starania ojca poszły na marne. Do pensjonatu dołożyła herbaciarnię, zmieniła nazwę i odtąd nie miała ani jednego wolnego dnia. Nawet podczas trzytygodniowych wczasów

medytacyjnych w Nowej Zelandii codziennie dzwoniła do Cheryl, żeby sprawdzić, co słycać, rozwiązywać problemy i układać długą listę spraw do załatwienia po powrocie.

O wpół do dwunastej, gdy Melody sprzątała ze stolików na tarasie, Juliet gorączkowo robiła kanapki, a w tle dzwonił telefon, rozległ się dźwięk dzwonka nad drzwiami. Przez głowę Juliet przemknęła myśl: „Błagam, tylko żadnych nowych klientów. Potrzebuję dziesięciu minut, żeby skończyć te kanapki”.

Jednak Melody stanęła w drzwiach kuchennych i powiedziała:

– Ktoś do ciebie.

Juliet podniosła wzrok, wierzchem dłoni ocierając pot z czoła i zdmuchując z oczu niesforny kosmyk włosów.

– Kto taki?

– Mówi, że ma na imię Libby.

W kuchni panował lepki upał, ale ciało Juliet przeszył zimny dreszcz.

– To niemożliwe. Jesteś pewna?

– Tak się przedstawiła – odparła ostrożnie Melody. – Wszystko w porządku?

Juliet nigdy nie przeklinała. Nie była pruderyjna, ale wulgaryzmy brzmiały zwykle tak gniewnie i grubiańsko, że wzdrygała się na ich dźwięk. Teraz jednak odłożyła nóż do masła, oparła dłonie na blacie z nierdzewnej stali i wykrzyknęła:

– O kuuurrrwa!

Dziewiętnastoletnia zaledwie Melody, w tej chwili bardziej przerażona niż zaintrygowana, zrobiła krok w tył.

– Nie ma sprawy. Powiem jej, że jesteś zajęta i nie możesz z nią teraz porozmawiać.

Juliet zdjęła fartuch.

– Nie, nie. Spotkam się z nią. To moja siostra. Ta, której nie widziałam od dwudziestu lat.

Poczuła, jak wali jej serce. Dwadzieścia lat. Od czasu kiedy... Juliet potrząsnęła głową.

– Masz – dodała, wręczając fartuch Melody. – Zrób cztery z szynką i sałatką, cztery z indykiem, serem i żurawiną i cztery z... nie wiem, wymyśl coś. Gdzie ona jest?

– Na tarasie. Nie skończyłam jeszcze sprzątać po spotkaniu matek.

Juliet z wysiłkiem wciągnęła powietrze. Zaszło jej w ustach. Wyszła przez drzwi wahadłowe, przemierzyła pokrytą wykładziną podłogę jadalni i wkroczyła na taras. Libby siedziała tam odwrócona tyłem do siostry, w czystej trykotowej koszulce i drogich džinsach, a jej czarne włosy połyskiwały w słońcu. Juliet nerwowo przyglądała własne, mokre od potu, ściągnięte w węzeł na karku. Na okolicznych stolikach piętrzyły się puste filiżanki, talerze i łyżeczki. Mewy skubały resztki jedzenia zostawione przez dzieci. Juliet przegoniła ptaki.

Libby odwróciła się w jej stronę.

– Cześć, Juliet – odezwała się, wstając gwałtownie.

– Nie spodziewałam się ciebie.

Czy zabrzmiało to zbyt chłodno? Może powinna raczej powiedzieć: „Miło cię widzieć”? Czy faktycznie było jej miło zobaczyć siostrę po dwudziestu latach i jakichś ośmiu kartkach świątecznych, które zawsze dostawała w lutym? Nie, tak naprawdę chciała zapytać: „Co ty tutaj robisz?”, bo przestraszyła się – nagle i poważnie – że Libby chce odzyskać swoją połowę spadku po tacie.

– Przepraszam – powiedziała Libby z tym uroczym uśmiechem, którym zawracała w głowie wszystkim chłopakom z liceum. Wszystkim oprócz Andy’ego. Rozłożyła bezradnie ręce. – Powinnam była wcześniej zadzwonić. Nie myślę jasno. To przez różnicę czasu.

– Mam wolne pokoje, ale nie są jeszcze posprzątane. Rano miałam urwanie głowy i...

– Nie potrzebuję pokoju, nie przejmuj się.

– To gdzie się zatrzymałaś?

Gdyby siostra wynajęła coś przez jedną z agencji nieruchomości, ktoś na pewno doniósłby o tym Juliet.

– W domku latarnika na wzgórzu. Hej, może usiądziemy i pogadamy?

Fakt, że Libby w ogóle nie dostrzegła, jak zajęta jest jej siostra, był irytujący.

– Nie mogę. Lunch tuż-tuż, mam mnóstwo pracy. Przecież to domek nie do wynajęcia. Kupił go jakiś biznesmen z Anglii.

– To był mój znajomy.

– Przepraszam, Juliet – wtrąciła Melody, stając w drzwiach. – Przed chwilą miałyśmy telefon od pań z klubu książki. Chcą wpaść tu na lunch i herbatę o wpół do drugiej. Jest ich osiemnaście.

Juliet skuliła ramiona i spojrzała na siostrę.

– Przepraszam, ale nie mam teraz czasu na rozmowę.

Żrenice Libby się zwęziły. A zatem się obraziła. Juliet poczuła gniew. Jeśli jej siostra nie potrafi zrozumieć, że wizyta w godzinach szczytu, i to po dwudziestu latach, jest fatalnym pomysłem, ona nie zamierza się tym przejmować.

– Jak długo tu zostaniesz? Możemy pogadać innym razem, kiedy nie będę zajęta?

– Jasne – odparła Libby, zakładając torebkę na ramię.

Juliet odprowadziła ją wzrokiem. Czowała w sobie nagromadzone przez lata gorycz, żal, smutek i strach, ale teraz nie miała czasu, żeby o tym myśleć.

W głównej sali Klubu Surfingowego Zatoki Latarni odbywały się wszystkie przyjęcia weselne, lunche z okazji dorocznych wyścigów konnych w Melbourne i spotkania lokalnej społeczności. Pierwsza praca nastoletniej Juliet polegała na kelnerowaniu w tej sali. Trzeba było roznosić kanapki

i kieliszki taniego szampana. Jednak tego popołudnia Juliet siedziała tam na twardym plastikowym krześle razem z dwoma tuzinami innych mieszkańców zaangażowanych w życie miejscowej społeczności i słuchała przystojnego, ale śliskiego jak węgorz Tristana Catherwooda. Reprezentował on firmę Ashley-Harris Holdings, która niczym stado wilków osaczała Zatokę Latarni już od dwóch lat. Rada miasta odrzuciła dotychczas wszystkie oferty firmy, czyli plany zbudowania ośmio-, pięcioletniego, a ostatnio trzypiętrowego ośrodka wczasowego dla turystów. Wyglądało na to, że Catherwood i jego banda nadal nie rozumieli podstawowego przesłania: nikt w miasteczku nie chciał takiego ośrodka.

Nie było to jednak do końca prawdą. Część mieszkańców wierzyła, że ośrodek wczasowy z prawdziwego zdarzenia – taki z siłownią, wymyślnym basenem, słomianymi parasolami i automatami do gier – przysporzy Zatoce popularności. Koniec z sennym miasteczkiem, oferującym kilka apartamentów i pokoi dla rodzin z dziećmi. Duży ruch turystyczny i duże pieniądze.

Juliet tego nie chciała. Duży ruch turystyczny oznaczał sieciowe sklepy i lokale, a ona się bała, że już jedno takie miejsce odbierze jej klientów. Na samą myśl o tym kręciło jej się w głowie, jakby miała upaść. Wszyscy wiedzieli, że U Juliet podają najlepszą kawę w miasteczku. Jej śniadania były w okolicy sławne. Sama Juliet jednak oczyma wyobraźni już widziała, jak jej klienci uciekają, żeby usiąść przy chromowanych stolikach i popijać *caffè latte* z firmowych kubków, gdy ona utrzymuje cztery puste pokoje i piecze babeczki, których nikt nie zamawia.

Wzdrygnęła się. Widocznie ktoś przesadził z klimatyzacją.

ZRÓWNOWAŻONY. To właśnie słowo ciągle powtarzał Tristan Catherwood, zupełnie jakby rozumiał jego znaczenie. Jakby wiedział coś o kruchej równowadze ekosystemu w nadmorskim miasteczku i o tym, jak łatwo ją zniszczyć.

– Firma jest wyczulona na państwa obawy. Dokładamy wszelkich starań, by stworzyć wizję ZRÓWNOWAŻONEGO rozwoju Zatoki Latarni, MAKSYMALIZUJĄC przy tym zyski dla lokalnej SPOŁECZNOŚCI i naszych inwestorów.

Dramatyczne podkreślenia były obraźliwe: zupełnie jakby przemawiał do tłumu głuchych emerytów.

Juliet rozejrzała się dokoła. Okej, było tu kilku głuchych emerytów, ale mimo to...

Po spotkaniach firma Ashley-Harris zawsze częstowała uczestników herbatą i ciastkami, ale Juliet nigdy nie miała ochoty, żeby zostać i pogawędzić. Czy spadłaby im korona z głowy, gdyby kupili trochę lokalnych produktów? Juliet minęła bar, powstrzymując się od sięgnięcia po szklaneczkę whisky, i przez park wyszła na plażę. Chciała trochę uporządkować myśli przed powrotem do pracy. Po co tak się torturowała udziałem w konsultacjach? Po nich zawsze czuła się parszywie przez kilka dni. Wiadomo, że ludzie z Ashley-Harris Holdings znajdą w końcu sposób, żeby wybudować ośrodek wczasowy. Kupią działkę, dogadają się z radą miasta i postępek zaleje

Zatokę Latarni niczym nocny przypływ plażę: spienionymi, bezwzględnyimi falami, niosącymi ją w kierunku, w którym wcale nie chce zmierzać.

Juliet dostrzegła na plaży duży, ciemny kształt. Najpierw pomyślała, że ktoś zostawił ubranie na piasku i poszedł pływać, ale po kilku krokach rozpoznała dużego żółwia morskiego.

Wstrzymała oddech i podbiegła w jego kierunku. Pod wieloma względami byłoby gorzej, gdyby zwierzę jeszcze żyło. Sama nie dałaby rady podnieść czegoś tak ciężkiego, a skoro żółw znalazł się na plaży z powodu choroby, to pewnie i tak by nie przeżył. Zwierzę było jednak martwe. Patrzyło przed siebie niewidzącymi czarnymi ślepiami, a z pyska wystawał mu kawałek niebieskiej plastikowej torby na zakupy. Żółw wziął ją za meduzę i się zadławił. Śmieci, zwłaszcza te plastikowe, były główną przyczyną śmierci stworzeń morskich w okolicznych wodach.

Juliet żałowała, że nie stoi koło niej Tristan Catherwood. „Zrównoważony rozwój, co? – zapytałaby go. – Jak zamierzacie sprawić, by wszyscy ci turyści przestali bezmyślnie mordować nasze zwierzęta?”.

Westchnęła i spojrzała na ocean. Bryza rozwiewała jej długie brązowe włosy i tarosiła luźną bawełnianą sukienkę. Juliet nie rozumiała, czemu cały świat ulega urokowi wszystkiego, co większe i lepsze. Czemu nie może zostać po staremu? Rzuciła okiem w stronę starej latarni, myśląc przy tym o Libby. Dla niej Zatoka Latarni zawsze była zbyt ciasna i Juliet bardzo się ucieszyła, kiedy siostra wreszcie wyjechała. Nigdy nie spodziewała się powrotu Libby, która wciąż tu nie pasowała, ze swoimi lśnjącymi czarnymi włosami, gładką białą skórą i wyglądem kogoś, kto nie ma powodów do zmartwień. Spędziła dwadzieścia lat w Paryżu, pracując jako... Juliet właściwie nie wiedziała, na czym polegała praca siostry. Ale jeśli Libby wyobraża sobie, że może tu tak po prostu wrócić i dostać połowę interesu – jest w błędzie. To Juliet się napracowała. Może udałoby się jej wziąć kredyt pod zastaw pensjonatu i spłacić siostrę. Od myślenia o pieniądzach zakręciło jej się w głowie, więc powiedziała sobie, że musi się skupić na obecnej chwili.

Popołudniowe cienie kładły się powoli na piasku. Juliet zawróciła w kierunku domu, żeby zadzwonić do Opiekunów Wybrzeża. Ci ludzie na pewno chcieliby zabrać żółwia, przeprowadzić sekcję i ustalić przyczynę śmierci. A przecież ta przyczyna była oczywista: postęp dla samego postępu, bez względu na wszystko i bez sumienia. Specjalność Tristana Catherwooda.

Codziennie o dwudziestej drugiej robiło się idealnie cicho. Wszystkie prace były już wykonane, goście spali, dokumenty leżały na miejscu. To właśnie wtedy Juliet przez godzinę odprężała się przy herbacie, a dopiero potem szła do łóżka. Tego wieczoru miała jednak w swoim pokoju gościa, który zostanie na noc: siedmioletnią córeczkę Cheryl, swojej przyjaciółki i współpracownicy. Cheryl raz w tygodniu pracowała na nocną zmianę w klubie surfingowym, żeby zarobić na chesne w prywatnej

szkole. Jako samotna matka nie miała z kim zostawić małej, więc Juliet jej pomagała. Katie już o dwudziestej spała twardym snem na rozkładanym łóżku w sypialni.

Juliet zamknęła arkusze kalkulacyjne w komputerze, włączyła przeglądarkę i zaczęła odwiedzać znajome strony. Wieczór był ciepły, więc odchyliła się, by otworzyć okno. Słyszała szum fal, ale niestety ich nie widziała. Dziesięć lat wcześniej wyprowadziła się ze swoich pokoi z widokiem na ocean i zamieniła je na apartamenty dla gości, a sama zajęła lokal na tyłach, licząc, że to tymczasowe rozwiązanie, że kiedy wyjdzie za mąż i urodzi dzieci, zamieszka w większym domu. Ciągłe jednak tkwiła tutaj. Sama ciasnota mieszkania nie przeszkadzała jej zanadto. Na dole miała wielką kuchnię, z której mogła skorzystać, gdyby chciała zaszaleć i upichcić coś wyjątkowego, a na mniejszym metrażu łatwiej było utrzymać porządek przy jej zwariowanych godzinach pracy. Przeszkadzał jej natomiast brak męża i dzieci. Miała trzydzieści osiem lat i słyszała coraz głośniejsze tykanie zegara. Jeśli chciała wyjść za mąż i urodzić dzieci, nim będzie za późno, powinna była poznać tego Jedynego przed czterema laty.

Drzwi do sypialni się otworzyły i stanęła w nich rozespana Katie w piżamce.

– Co się stało, skarbie? – spytała Juliet.

– Miałam zły sen. – Dziewczynka przydreptała bliżej, wdrapała się na kolana Juliet i mocno do niej przytuliła. – Gdzie mamusia?

– Jest jeszcze w pracy. Przyjedzie po ciebie rano – wyjaśniła Juliet, gładząc włosy Katie.

– Pomożesz mi jutro przy śniadaniu?

Mała wzruszyła ramionami. Była bardzo śpiąca.

– Nie przejmuj się złymi snami. Znikają, kiedy otwierasz oczy.

Katie milczała, przytulona do Juliet, która słyszała bicie jej serca. Bum-bum, bum-bum, bum-bum.

W końcu mała zapytała:

– Kto jest na tych zdjęciach?

Juliet rzuciła okiem na ekran.

– Mężczyźni.

– Znasz ich?

– Nie, nie znam – odparła zawstydzona Juliet. Miała nadzieję, że Katie nie opowie swojej mamie o serwisie randkowym. Cheryl wciąż żywiła nadzieję, że Juliet w końcu ulegnie namowom Scotta Lacey'a. – To tylko taka strona internetowa, przez którą można poznać nowych przyjaciół.

Dziewczynka straciła zainteresowanie i zaczęła ziewać rozziewając.

– No dobrze – powiedziała Juliet. – Zaniosę cię z powrotem do łóżka.

Wzięła Katie na ręce, położyła ją na rozkładanym łóżku, otuliła kołdrą i zaśpiewała kolejną kołysankę, a potem zamknęła cichutko drzwi i wróciła do salonu. Z ekranu wciąż spoglądały na nią twarze mężczyzn. Nigdy nie skontaktowała się z żadnym z nich. Ani razu. A jednak sporo czasu

spędziła na przeglądaniu ich profili, czytaniu o ich zainteresowaniach, poglądach politycznych i przekonaniach religijnych. Niektórzy sprawiali wrażenie uroczych i szczerych, inni byli koszmarnymi egotykami. Kilku przystojniaków, kilku przeciętnych, ale miłych. Żaden z nich jednak nie skłonił jej dotąd do rejestracji, nawiązania kontaktu, wyjścia na kawę, pogawędki. Juliet spojrzała na oprawione zdjęcie Andy'ego, wciąż stojące na półce, na tę wiecznie dziewiętnastoletnią twarz.

– Juliet?

Odwróciła się. W drzwiach znów stała Katie.

– Położysz się ze mną? Boję się.

Juliet wyłączyła komputer.

– No to chodźmy.

Leżenie w ciemnościach i śpiewanie kołysanek siedmiolatce nie stanowiło wymarzonego scenariusza na piątkowy wieczór, ale co na to poradzić? Cheryl, siedem lat starsza od Juliet, była w jej wieku, kiedy uznała, że samotne macierzyństwo jest lepsze niż brak dziecka.

– Problem polega na tym – powiedziała wtedy – że czterdziestoletni faceci szukają dwudziestoletnich kobiet.

Juliet nie wiedziała, ile złotych myśli Cheryl, dotyczących mężczyzn i ich marzeń, miało jakiś związek z prawdą, więc starała się zachować optymizm. „Będzie, co ma być” – powtarzała zawsze.

Czasami jednak, w środku nocy, zaczynała podejrzewać, że jej marzenia nigdy się nie ziszczą. Dostała już jedną szansę. Prawdziwą, szaloną, wielką miłość. Może oczekiwanie na kolejną zakrawało na zachłanność?

Katie owinęła pasmo długich brązowych włosów Juliet wokół palca wskazującego. Gdzieś w oddali rozległ się grzmot.

– Nie wychodź – poprosiła dziewczynka.

– Nie wyjdę – szepnęła Juliet. – Zamknij oczy.

Patrzyła, jak dziecko zasypia, a potem leżała jeszcze chwilę, czekając na nadciągającą burzę. Cieszyła się, że nie jest sama.

Efekty zmiany czasu ustąpiły dopiero po kilku dniach. Libby wciąż miała problemy ze spaniem. W jej głowie kłębiły się pytania. Niektóre z nich dotyczyły kwestii praktycznych (na przykład tego, kiedy jej paryskie rzeczy dotrą na miejsce), inne były bardziej skomplikowane: jak przywyknąć do nowego życia i pogodzić się z siostrą. Libby zamknęła oczy. Położyła się na lewym boku, potem na prawym. W końcu się poddała i wstała. W oddali grzmiało. Włączyła latarkę i weszła do małego pokoju, który zaczęła już nazywać pracownią. Otworzyła okno. Wnętrze wypełniło się powietrzem

znad oceanu i szumem fal. Libby wstawiła latarkę do pustej filiżanki, żeby oświetlić sufit, i zaczęła rozpakowywać przybory malarskie. Może się zmęczy i dzięki temu zdoła zasnąć? Mark oczywiście pomyślał o każdym szczególe. Nie tylko o widoku i świetle wpuszczanym przez okna. Zapewnił wszystko: sztalugi, płótno rozpięte na cedrowych ramach, komodę pełną farb, pędzli, palet, szpachli, buteleczek oleju lnianego, gumy arabskiej, terpentyny, werniksu, szmatek przewiązanych niebieską wstążką, a nawet słoików szelaku, wosku pszczelego i proszku pumekсового. Głowę Libby wypełniły zapachy olejków, rozpuszczalnika, drewna i ziemi. Na półce ułożono tusze, stalówki i papier do akwareli, ustawiono albumy z reprodukcjami Cézanne'a, Moneta i Turnera, jej ulubieńców. A więc Mark jednak jej słuchał. Wiatr wiał coraz silniej, grzmoty rozlegały się coraz bliżej, podczas gdy Libby rozpakowywała przybory, układała je w szufladach. Robiła to automatycznie, nie tylko ze zmęczenia, lecz także dlatego, że bez Marka u boku trudno jej było czerpać radość z tego zajęcia. To przecież Mark kupił wszystkie akcesoria i przywiózł je do domku w nadziei, że kiedyś Libby rozpakuje je przy nim, że będzie mógł zobaczyć jej rozpromienioną twarz i usłyszeć okrzyki radości, wypić wspólnie lampkę szampana, wznosząc toast za nową pracownię w domku na plaży. A ona, z powodu własnego uporu i strachu, nie chciała tu przyjechać. Teraz Marka zabrakło. Teraz już nie mogła wyrazić wdzięczności za jego hojność, a szczególnie za to, że tak poważnie potraktował jej marzenia o malowaniu.

Gdy rozpadało się na dobre, Libby przypomniała sobie, że wszystkie okna są otwarte, więc chwyciła latarkę i pognęła do salonu, a potem do kuchni. Wściekłe podmuchy wiatru szarpały zasłonami, wnosząc do środka słodką woń deszczu. Libby zamknęła okna i poczuła, że pomieszczenie wypełnia lepka wilgoć. Miała ochotę ponownie otworzyć okna, ale to oznaczałoby konieczność wytarcia kałuży deszczówki z samego rana. Przeszła na drugą stronę domku i otworzyła drzwi wejściowe. Stąd widziała burzowe niebo, ale nie mokła, stała więc przez chwilę, przyglądając się błyskawicom i drzewom szarpanym przez wiatr to w jedną, to w drugą stronę. Potem spojrzała w kierunku latarni.

W jednym z okien dostrzegła słabe, drżące światło. Zmrużyła oczy, pewna, że uległa przywidzeniu. W latarni nikt przecież nie mieszkał. A jednak z całą pewnością widziała blask, chyba płomyk świecy. Kto mógł siedzieć w latarni przy świecy o tak późnej porze? Poczuła lekki dreszcz, bo przypomniała sobie, jak bardzo bała się tego miejsca przed laty. Pirat Pete rzucał długi cień.

Nie, nie, to wszystko przez zmęczenie i burzę. Libby wróciła do łóżka, odrzuciła kołdrę i zasnęła naga, nieprzykryta, w lepkim upale. Nie spała zbyt dobrze. Śniły jej się drżące płomyki w oknach latarni i zimny ocean ryczący jak wielka bestia.

Isabella nie ma wyboru – musi zaufać oceanowi. Nie czuje gruntu pod stopami, więc lekko podwija palce na deskach pokładu i przygląda się skłębionym falom. Słońce świeci jasno, a wiatr łopocze w żaglach i postukuje knagami. Isabella błaga po cichu ocean: „Nie rób nam krzywdy, bo nie jesteśmy rybami, tylko ludźmi daleko od lądu”. Każdego ranka przychodzi tu i odmawia swoją modlitwę, niezależnie od pogody. Do tej pory nie znaleźli się w niebezpieczeństwie. Isabella zdaje sobie sprawę, że nie może to mieć żadnego związku z jej modlitwami, ale jakaś przesądna część jej serca nie traci wiary.

– Znowu urządzasz przedstawienie, Isabello?

Kobieta się odwraca. Jej mąż, Arthur, stoi kilka kroków dalej, przed nadbudówką. Ramiona ma skrzyżowane na piersiach, a czoło zmarszczone pod cienkimi jasnymi włosami. Zresztą może to już jego stały wyraz twarzy, przynajmniej w obecności Isabelli.

– Nie obawiaj się – mówi kobieta, jego zdaniem z pewnością zbyt śmiało. – Nikt mnie tu nie słyszy.

– Ale wszyscy widzą, jak tu stoisz, poruszasz wargami i przemawiasz do nieba.

– Raczej do morza – odpowiada Isabella, ruszając w kierunku schodów.

– Buty, Isabello. Gdzie są twoje buty?

Buty. Dziś problemem są buty. Wczoraj były nim rozwichrzone włosy, a przedwczoraj – rękawiczki. Rękawiczki! Po co miałyby się stroić jak na przyjęcie, chcąc tylko wyjrzeć na pokład, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i zobaczyć słońce? Przecież nikogo na tym przeklętym statku nie obchodzi jej strój.

– Buty są w naszej kajucie, Arthurze.

– Idź po nie. Włóż je. Mogę jeszcze znieść to, że chodzisz bez kapelusza i rękawiczek, ale buty to konieczność.

Po tych słowach Arthur jak zwykle przenosi wzrok na czarną wstążkę zawiązaną wokół nadgarstka żony. Jego i tak już rumianą twarz zalewa głęboka czerwień.

Isabella naciąga rękaw na wstążkę. Nie chce się dziś kłócić. „Dlaczego ciągle nosisz tę starą wstążkę? Wyroby Winterbourne Jewellers słyną na cały świat, a ty wolisz coś takiego? Nie zakładasz nawet obrączki ślubnej”. Isabella nie ma ochoty po raz kolejny tłumaczyć mężowi, że obrączka na nią nie pasuje. Podejrzewa, że Arthur specjalnie wybrał zbyt ciasną, żeby na dobre utknęła na palcu żony.

Teraz kręci lekko głową.

– Dbaj o swój wygląd, Isabello. Miej wzgląd na nasze nazwisko.

– Dobrze, Arthurze.

Nie ma żadnych wzglądów dla nazwiska Winterbourne'ów i prawie żadnych dla męża. Kiedyś była taka sama jak inne kobiety: miała miękkie serce, lecz czas i smutek pochłoneły pokłady jej dobrej woli. Niewiele już tego zostało. Isabella schodzi pod pokład niezupelnie przekonana do idei noszenia butów i zatrzymuje się koło mesy. Stąd można zajrzeć głęboko do mrocznego wnętrza statku, miejsca tak ciasnego, ponurego i wypelnionego wonią niemytych mężczyzn, że Isabella z trudem tam oddycha. Załoga składa się z siedemnastu ludzi i nawet teraz, po ośmiu tygodniach na morzu, Isabella rozpoznaje tylko kapitana i pierwszego oficera. Surowa męskość marynarzy przeraża ją, a jednocześnie fascynuje. Meggy, siedząca w mesie z drutami w dłoniach, woła:

– Isabello!

Isabella się odwraca i uśmiecha do przyjaciółki. Statek to nie miejsce dla kobiet, ale w towarzystwie drugiej kobiety staje się znośne.

– Idę po buty – tłumaczy Isabella.

Meggy krzywi ładną twarz.

– No tak, trzeba nosić buty. Pełno tu ostrych i szorstkich przedmiotów.

– Ale bez butów łatwiej wejść po schodach.

Schody między górnym i środkowym pokładem przypominają raczej drabinę. Tu, w mesie, małe okrągłe okna zapewniają nieco światła. Mahoniowy stół, wyszywane poduszki i wiszące abażury stwarzają wrażenie komfortu. Tuż pod bulajem stoi biurko kapitana. Leżą na nim książki i mapy, choć byłoby dziwne, gdyby kapitan faktycznie czytał książki i korzystał z map, biorąc pod uwagę, ile whisky codziennie wypija. Isabella, nadal bez butów, siada koło Meggy i bierze do ręki tamborek.

– Nie chciałybyś nadepnąć na gwóźdź – mówi Meggy. – Polałoby się więcej krwi niż po upadku ze schodów.

Przemawia przez nią autorytet osoby, która odbyła wiele rejsów i widziała wiele doznanych na statku urazów. I taka jest prawda. Meggy Whiteaway to jeden z powodów, dla których Isabella się tu znalazła. Meggy często podróżuje ze swoim mężem kapitanem i brakuje jej damskiego towarzystwa. Statek towarowy nie jest środowiskiem naturalnym dla kobiety, więc Meggy od lat namawiała Isabellę, by ta towarzyszyła jej podczas rejsu. Arthur i kapitan przyjaźnią się jeszcze od czasów szkolnych. Isabella poznała Meggy w dniu ślubu z Arthurem i zawsze żywiła wobec niej sympatię albo współczucie. A może jedno i drugie.

Drugim powodem obecności Isabelli na statku jest oczywiście parlamentarna buława. Zamówiona przez królową, zaprojektowana przez Arthura Winterbourne'a, wykonana pieczołowicie na brytyjskiej ziemi i wysłana do Sydney jako dar dla nowego australijskiego rządu w celu uczczenia

pierwszych wyborów federalnych. Arthur chciał ją tam dostarczyć osobiście, więc Isabella popłynęła razem z nim. Lepsze to, niż gdyby miała zostać w Somerset, wydana na pastwę jego zmijowatej rodziny.

Isabella wie jednak, że najważniejszy powód, dla którego znalazła się na pokładzie żaglowca Aurora, to tymczasowe rozwiązanie problemu CO-ZROBIĆ-Z-ISABELLĄ, zawierającego się w pytaniu szeptanym ukradkiem w salonie teściowej i wypisanym w oczach męża. Kiedyś zamartwiałyby się tym, że przysporzyła im tyle trosk i wstydu, lecz po śmieci Daniela towarzyska kompromitacja straciła dla niej znaczenie.

– Dobrze się czujesz, Isabello? – pyta Meggy z troską w okrągłych błękitnych oczach. – Jesteś blada.

Isabella walczy ze łzami. Zawsze walczy ze łzami. Zrywa się z krzesła.

– Moje buty – mówi tylko i idzie sama do cichej kajuty.

Budzi się wcześnie. Leży na wąskim łóżku, nękana zimnymi mdłościami znanymi tylko matkom, które straciły dziecko. Każdego dnia po przebudzeniu zaznaje dwóch, może trzech sekund wytchnienia, a potem potężną falą wraca smutek i Isabella przypomina sobie, że jej życie legło w gruzach. Ten przeskok od nieświadomości do świadomości jest straszliwie bolesny. Isabella wolałaby się obudzić smutna, ale każdego ranka dręczą ją te sekundy spokoju, fałszu, okrutnej obietnicy szczęścia, którego nie da się zatrzymać. Zupełnie jak piętnastu i pół dnia życia Daniela.

Zegar jednak tyka dalej, a Isabella wie, że musi wstać i wyjść na pokład, żeby odmówić swoją modlitwę do oceanu. Wymyka się przez właz i natychmiast widzi Meggy siedzącą na pokładzie ze smutną miną i rudozłotymi włosami połyskującymi w porannym słońcu. Zaciekawiona Isabella podchodzi bliżej i siada obok przyjaciółki. Arthur często narzeka, że ona i Meggy na statku „zachowują się jak dzieci”. Jego zdaniem damy powinny siadać wyłącznie na krzesłach, ale tu, na dziobie statku, cudownie jest usiąść z brodą opartą na kolanach i poczuć, że mknie się po krawędzi znanego sobie świata, z blaskiem słońca we włosach.

Na początku rejsu Isabella dbała o pozory, ale im bardziej oddalała się od domu, tym szybciej zapomniała o manierach. Gdy wypływali z Bristolu, przemierzali rzekę Avon, mijali St. Vincent's Rocks, wciąż nosiła kapelusz i rękawiczki. Gdy raptem dwa dni później złapali przeciwny wiatr, a ona nie mogła przestać wymiotować, pośpiesznie zdjęła wszystko, co utrudniało jej szybki bieg do burty. Po trzech tygodniach wypłynęli w strefę pasatów. Prędkość statku i narastający upał sprawiły, że Isabella postanowiła zrezygnować z gorsetu. Pierwszy raz od czasów dzieciństwa oddychała swobodnie.

– Wcześnie wstałaś? – pyta teraz przyjaciółkę.

Meggy patrzy nie w stronę dziobu, tylko nadbudówki rufowej.

– Nie mogłam spać.

Śledzi wzrokiem kogoś na głównym pokładzie, po drugiej stronie steru. Isabella przygląda jej się przez chwilę, aż w końcu orientuje się, że przyjaciółka obserwuje pierwszego oficera.

– Dziś rano interesuje cię pan Harrow? – pyta cicho, pochylając się lekko w stronę Meggy, w której oczach pojawia się błysk, gdy odpowiada:

– Nie sądzisz, że jest wspaniały?

– Chyba nie użyłabym tego słowa – mówi Isabella, mierząc mężczyznę wzrokiem. Pierwszy oficer rozmawia z dwoma marynarzami przy nadbudówce. Jest niski, niższy od Isabelli, ale to raczej nie stanowi problemu dla Meggy – niedużej kobietki o sylwetce przypominającej dzwon. Isabella walczy z sobą. Chce chronić Meggy, a jednocześnie irytuje ją głupota przyjaciółki. Damy dotknięte podwójną klątwą urody i dobrego pochodzenia nie mogą wybierać, kogo obdarzą miłością.

– Meggy, wiesz, że to niebezpieczne kochać się w nim potajemnie.

– Ja go nie kocham, Isabello. Ja tylko całym sercem go podziwiam. Jego żona, Mary, zmarła w zeszłym roku. Opiekował się nią do samego końca; umarła w jego ramionach.

– Skąd wiesz?

– Słyszałam, jak opowiadał o tym Francisowi podczas ostatniego rejsu. Nie sądzisz, że to cudowne, kiedy mężczyzna tak gorąco kocha? Mężczyźni powinni być silni i twardzi, ale w głębi serca potrafią być niezwykle delikatni.

Isabella nie odpowiada. Wyobraża sobie, co by się stało, gdyby zachorowała, gdyby umierała. Arthur po prostu trzymałby się z daleka, aż byłoby po wszystkim. Tak samo jak wtedy, kiedy umarł Daniel. Isabella zobaczyła męża dopiero po pogrzebie, który odbył się bez jej wiedzy. Arthur bał się, że jego żona będzie robić sceny.

– To potwornie smutne, taki młody wdowiec – wzdycha Meggy. – Przeszedł przez piekło.

Isabella rzuca okiem na twarz przyjaciółki. Oczy Meggy wilgotnieją od łez. W Isabelli wzbiera gniew. Meggy ani razu nie zapłakała wraz z nią po śmierci Daniela, a przecież utrata syna boli znacznie bardziej niż utrata żony. Meggy, która nigdy nie miała własnego dziecka, powiedziała tylko: „Urodzisz następne i twój smutek zamieni się w radość”, zupełnie jakby dzieci były kompletami zastawy stołowej, jakby stratę jednego można było łatwo powetować sobie kupnem drugiego.

Diabeł wstępuje w Isabellę.

Kobieta wstaje i woła:

– Panie Harrow!

Meggy się kuli, przyciskając kolana do piersi. Wygląda jak pajak zaatakowany miotłą.

– Isabello, przestań! – syczy.

Ale już się stało: pan Harrow odwraca się w ich stronę i macha. Meggy zrywa się z miejsca

w nadziei, że zdoła jeszcze uciec. Isabella przyzywa pana Harrowa gestem jednej ręki, a drugą łapie przyjaciółkę za ramię. Jest silna, wysoka, królewska; Meggy jej się nie wyrwie. Na lśniącej i różowej twarzy zbliżającego się pana Harrowa widać zaniepokojenie.

– Słucham, pani Winterbourne.

Meggy odwraca twarz, czerwoną ze wstydu. Isabella w duchu zaczyna sobie robić wyrzuty, ale z jej ust płyną słowa:

– Pani Whiteaway i ja ucięłyśmy sobie małą pogawędkę. Okazuje się, że pani Whiteaway żywi dla pana głęboki podziw.

Teraz to pan Harrow się rumieni, a Isabella żadnym sposobem nie potrafi wykrzesać z siebie tej iskry złości, która pchnęła ją do działania. Czuje już tylko zażenowanie. Puszczając ramię Meggy, która szlochając, wybiega i znika za drzwiami. Pan Harrow odprowadza ją wzrokiem, a potem znów spogląda na Isabellę. Nie sposób odgadnąć jego uczuć. Jest zły? Zdziwiony? Może też czuje coś do Meggy?

No tak, oczywiście, że coś do niej czuje. Podróżują razem po całym świecie i ciągle do siebie ćwierkają albo spuszczają wzrok, mijając się w wąskich, wykładanych drewnem korytarzach.

– Przepraszam – udaje się wykrztusić Isabelli. – Zupełnie nie wiem...

Po tych słowach urywa, zegnawszy rozmówcę skinieniem głowy i idzie na pokład kotwiczny, żeby odmówić swoją poranną modlitwę do oceanu.

Dochodzi do wniosku, że Meggy prawdopodobnie nie będzie z nią rozmawiać do końca rejsu. Wzburzenie sprawia, że przez kilka chwil nic jej to nie obchodzi, ale potem gniew ustępuje miejsca rozpaczce, bo Isabella jest zbyt poraniona, by łatwo odzyskać równowagę w trudnej sytuacji. Ma złamane serce i nie potrafi obcować z ludźmi, którzy nie znają podobnego cierpienia.

Statek jest duży, ale kajuty ciasne. Isabella i Arthur śpią na dwóch wąskich kojach w kajucie zajmowanej zwykle przez bosmana, który w trakcie tego rejsu mieszka wraz z resztą załogi w ciemnej części statku. Nocami statek trzeszczy. Na zewnątrz wyje wiatr. Fale uderzają o burty. A jednak Isabella nigdy w życiu nie spała lepiej niż tu, kołysana przez ocean.

Nocą, leżąc w swojej koi, nasłuchuje, jak Arthur i kapitan rozmawiają w mesie. Nie wiedzą, że ich słyszy, bo rozmawiają o niej bez oporów, bez ogródek. Isabella spina się na dźwięk swojego imienia.

– Słuchaj, Winterbourne, moja żona była dziś w fatalnym stanie. Isabella zrobiła jakieś głupstwo. Arthur chrząka głośno. Słysząc odgłos nalewania alkoholu.

– Czy Meggy powiedziała ci, o co chodziło?

– Nie chciała. Dowiedziałem się tylko tyle, że Isabella postawiła ją w bardzo krępującej sytuacji i że zachowuje się jak wściekła kotka.

Serce Isabelli ściska się boleśnie. Meggy ją zdradziła. Chociaż Isabella zna powód, to i tak czuje rozczarowanie. Dlaczego nikt nie okazuje jej zrozumienia? Zrozumienia, którego tak potrzebuje. Czy coś w jej twarzy albo postawie zniechęca innych do serdeczności?

– No tak. Cała Isabella – narzeka Arthur. – Wiesz, Francis, ona nie zawsze się tak zachowywała. Kiedy się z nią ożeniłem, była bardziej uległa. Śmierć niemowlęcia...

– Muszę być z tobą szczery, Winterbourne. Isabella nie może ciągle używać tego jako wymówki.

– Niektóre kobiety nie potrafią się pogodzić z utratą dziecka.

– Bo nie chcą. Rozkoszują się własnym bólem. Mówisz, że Isabella na początku była bardziej uległa, ale ja pamiętam, że nawet wtedy miała swoje zdanie. Po śmierci dziecka szalała i bredziła, i nikt nie był w stanie jej powstrzymać. Wszyscy ją usprawiedliwiali, więc szybko się nauczyła, że może robić, co zechce, nawet jeśli innym się to nie podoba.

Isabella sama nie wie, co jest bardziej obraźliwe: sugestia, że nauczyła się złego zachowania niczym źle traktowany pies, czy fakt, że mężczyźni tak bezceremonialnie dzielą się poglądami na temat jej uczuć. Nie, najbardziej boli ją sposób, w jaki mówią: „dziecko” i „niemowlę”. Jej synek miał na imię Daniel.

– Francis, nie wiem, co jeszcze mogę zrobić. Któregoś dnia wysłałem ją do żony znajomego i usunąłem z domu wszystkie pozostałości po dziecku. Kołyskę, ubranka, króliczka wydzierganego przez moją matkę. Isabella oczywiście wpadła w szal. Musiałem całkiem mocno złapać ją za ręce, żeby nie wydrapała mi oczu.

CAŁKIEM MOCNO. Po tym uścisku zostały dwa ciemne siniaki, które zniknęły dopiero po tygodniu.

Wtedy kapitan mówi coś, czego Isabella tak się obawiała.

– Meggy twierdzi, że ta czarna wstążka na jej nadgarstku ma spore znaczenie.

– Naprawdę?

Isabella wstrzymuje oddech.

– Dziś o tym rozmawialiśmy. O Isabelli, o dziecku, o tym, że ona nie chce wziąć się w garść. Meggy powiedziała mi, że w tej czarnej wstążce na nadgarstku Isabella zaszyła dziecięcą bransoletkę, którą przeoczyłeś. Koralową, zrobioną przez Isabellę i jej siostrę, kiedy były małe.

Gdy kapitan wypowiada te słowa, Isabella przesuwa palcami po znajomej wypukłości pod wstążką. To prawda, Arthur wszystko wyrzucił. Kiedy wróciła do domu po nieznośnie długim dniu spędzonym w Bath z panią Evans, okazało się, że pokój dziecięcy opustoszał. Została tylko bransoletka, niezauważona, z tyłu szuflady. W dzieciństwie Isabella i jej siostra Victoria uwielbiały robić biżuterię. Ich ojciec był jubilerem, choć oczywiście nie tak słynnym jak rodzina Winterbourne'ów. Miał małą pracownię w Port Isaac, nadmorskim miasteczku, w którym dorastała

Isabella. Ręcznie wykonywał pojedyncze sztuki dla swoich zamożnych klientów z bohemy, często europejskich arystokratów, i nauczył córki, jak osadzać kamienie bez lutowania. Isabella i jej siostra miały odpowiednio jedenaście i dwanaście lat, kiedy wykonały koralową bransoletkę. Każde ogniwo spowijał ciasno zwój srebrnego drutu, kamyków było niewiele, całość – maleńka. Victoria przez wiele lat trzymała ją w swojej szkatułce z biżuterią, ponieważ się umówiły, że bransoletka powinna przypaść tej z nich, która pierwsza urodzi dziecko. Dzień przed narodzinami Daniela Isabella dostała specjalną przesyłkę z Nowego Jorku, gdzie zamieszkała Victoria – zamężna, ale dotąd bezdzietna.

– Musisz jej to zabrać, Winterbourne. Wyrzucić do morza. Isabella nie dojdzie do siebie, póki będzie nosić tę bransoletkę.

Kobieta czuje w sercu palący lęk. Wiedziała, że kapitan podsunie Arthurowi taki pomysł, teraz wie, że Arthur się z nim zgodzi. Bransoletka to jedyna rzecz, jaka została jej po Danielu, jedyna rzecz, dzięki której Isabella nie rozpadła się jeszcze na kawałki. To całkiem proste: jeśli straci bransoletkę, straci samą siebie. Dlatego szybko zdejmuje wstążkę z ręki i chowa pod poduszkę. Tam jednak bransoletka nie jest bezpieczna, a przynajmniej nie na długo. Arthur, szukając jej, od razu zajrzy pod poduszkę.

Bransoletka będzie bezpieczna tylko w jednym miejscu, o ile Isabella odważy się ją tam ukryć.

Kolacja zawsze podawana jest w mesie i tutaj właśnie zaczyna się plan na ten wieczór. Żeby wszystko poszło tak jak trzeba, Isabella musi dotrzeć do kajuty przed mężem, więc kiedy steward przynosi kawał niedogotowanej, przesolonej wieprzowiny i kilka starych ziemniaków zatopionych w tłustym sosie, Isabella udaje nagły atak mdłości. Aczkolwiek na widok takiego jedzenia właściwie nie musi symulować. Jakże brakuje jej świeżego mięsa i młodych ziemniaków.

– Och – mówi, przysłaniając dłonią usta.

– Co się stało, Isabello? – pyta Arthur swoim zwykłym, nieufnym tonem.

– Zrobiło mi się niedobrze – mówi Isabella.

Meggy, siedząca naprzeciwko w gniewnym milczeniu, unika jej wzroku. Kapitan jest zajęty nalewaniem wina do kryształowego kieliszka. A zatem problemem musi się zająć Arthur.

– Nie zjesz z nami? – pyta.

– Raczej nie. Pójdę prosto do łóżka.

Arthur otwiera usta, chcąc ją namówić, by została. Jest typem mężczyzny, który nieustannie się zamartwia, co pomyślą o nim inni, więc każde rzekome uchybienie Isabelli powoduje, że zaczyna prychać i sapać niczym parowóz. Teraz jednak prawdopodobnie podejrzewa, że złe samopoczucie pogorszy jej maniery, więc rezygnuje z namawiania i gestem pulchnej białej dłoni odsyła żonę do kajuty.

Zamknawszy za sobą drzwi, Isabella rozpina górę sukni i gorset, zsuwa spódnicę i wiesza wszystkie części garderoby w wąskiej szafie w kącie za kojami. Narzuca koszulę nocną i stoi przez moment bez ruchu, za to z bijącym mocno sercem, i nasłuchuje odgłosu kroków. Cisza. Na drzwiach wisi kamizelka Arthura. Isabella sięga do kieszeni. Kiedy już znajduje to, czego szukała, kładzie się na łóżku, ale nie zasypia. Leży spokojnie i nasłuchuje dalej. Słyszy brzęk sztućców i zastawy. Rozmowę: jak zwykle o pogodzie, choć tu, na morzu, łatwiej zrozumieć obsesję na ten temat. Tydzień wcześniej, kiedy wypłynęli z Indii Wschodnich, spadł na nich tak nagły i nieoczekiwany sztorm, że Isabella spodziewała się najgorszego. Od pogody zależy ich życie lub śmierć.

Teraz Meggy się żegna. To dobrze. Isabella chce, by Meggy – obdarzona niespotykane czujnym uchem – wyszła z mesy. Następnie Arthur i kapitan wracają do rozmowy. Otwierają butelkę wina, a ich kieliszki stukają na polerowanym drewnie. Codziennie po kolacji Arthur pije z kapitanem. A kapitan bynajmniej nie wylewa za kołnierz. Im bardziej są pijani, tym głośniejsze rozprawiają.

Isabella słucha ich przez dłuższą chwilę. Rozmawiają o pogodzie, znajomych i o niej. Arthur mówi kapitanowi, że po powrocie do Anglii zamierza wybudować nowy dom. Przez moment

w głosie mężczyzny słycać podniecenie i radość. Isabella nie dzieli z nim tej radości. Ona nie chce tego domu, ponieważ ma tam z nimi zamieszkać matka Arthura. Jej obecność oznacza częste odwiedziny Percy'ego, Isabella zaś już nigdy w życiu nie chce oglądać twarzy szwagra.

W końcu Arthur wraca do swego zwykłego, kwaśnego tonu.

– Jak bardzo ufasz załodze? – pyta kapitana.

– Raczej im ufam. Czemu pytasz?

– Masz tu siedemnastu ludzi z nizin społecznych. Jesteś pewien, że żaden z nich niczego ci nie ukradnie?

– Nie mieliby gdzie schować łupu, Winterbourne – bełkocze kapitan, dziwnym trafem sepleniąc przy każdym słowie.

Jedną z głównych życiowych trosk Arthura jest to, że ktoś mu coś ukradnie. Kilku służących z Somerset padło już ofiarami tej obawy, którą podziela właściwie cała rodzina Winterbourne'ów. Obawy nieuzasadnionej, ponieważ (o ile Isabelli wiadomo) nikt niczego im jeszcze nie ukradł. Może taki strach jest efektem pracy z klejnotami: małymi, drogocennymi przedmiotami, które łatwo ukryć i przewieźć. Jednak lęk przed utratą takich rzeczy zawsze był Isabelli obcy.

– Jeśli któremuś z nich przyjdzie do głowy chociaż tknąć buławę... – ciągnie Arthur. Do Isabelli dociera, jak bardzo pijany jest jej mąż. Pod wpływem alkoholu wszystkie jego chorobliwe myśli wydostają się na światło dzienne, niczym spłoszone nietoperze z jaskini.

– Nikt nie tknie buławy.

– Jestem czujny – oświadcza Arthur. – Klucz mam przy sobie, we dnie i w nocy.

Isabella się uśmiecha, bo w tej chwili to ona ma przy sobie klucz. Arthur nosi go w kieszeni kamizelki, a kamizelkę codziennie przed kolacją wiesza na drzwiach. Wiesza, podwija rękawy koszuli, myje twarz i dłonie w porcelanowej misce stojącej przy łózkach, zaznaczając w ten sposób koniec dnia i początek nocy. Arthur jest niewolnikiem przyzwyczajenia.

Kapitan mruczy coś do niego, a potem mężczyźni zmieniają temat rozmowy. Isabella odczekuje jeszcze chwilę, by w końcu uznać, że jeśli będzie zwlekać, Arthur kompletnie się upije i zatęskni za łóżkiem, więc po cichu odrzuca kołdrę i schodzi z koi.

Na statku musiała się przyzwycząić do nieustannego kołysania pod stopami. Teraz więc staje, odzyskuje równowagę i rusza w stronę drzwi. Nie mają klamki, więc nigdy nie są porządnie zamknięte, tylko leciutko uchylone; dzięki temu słycać przez nie cudze kroki, a do środka wpada nieco światła z mesy. Isabella czuje w uszach miarowe pulsowanie. Upewnia się, że pijani mężczyźni dalej tkwią w swoich fotelach, zawraca, kuca przy koi męża i szuka pod nią orzechowego kufra.

Jej palce trafiają na mosiężne uchwyty umieszczone po obu stronach i powoli, bardzo powoli zaczynają za nie ciągnąć.

Statek nagle podskakuje na fali; kufer szura po drewnianej podłodze, a Isabella traci równowagę,

puszcza uchwyty i przewraca się na plecy. Nie robi tego ani z gracją, ani bezszelestnie.

– Co to było? – pyta Arthur.

Isabella szybko wstaje i stopą wpycha kufer z powrotem pod koję, gdzie podpira go dodatkowo własnym kufrem. Drzwi kajuty się otwierają i staje w nich Arthur.

– Co się dzieje, Isabello?

– Schodziłam na dół, żeby się napić wody, i spadłam z ostatniego szczebla – odpowiada kobieta, wskazując palcem drabinkę.

Arthur zatrzymuje wzrok na jej nagim nadgarstku, opasanym jeszcze niedawno czarną wstążką.

– Dalej źle się czujesz? – pyta w końcu.

Isabella kiwa potakująco głową. Klucz do kufra parzy jej dłoń.

– Wracaj do łóżka. Przyniosę ci wody.

Nie ma wyboru, musi się wycofać. Kilka sekund później Arthur podaje żonie kubek wody i czeka, aż Isabella ją wypije. W drzwiach staje kapitan.

– Idę spać, Winterbourne – mówi.

– Ja też. Dobranoc, Francis.

Tylko nie to! Plan legł w gruzach, a ona ciągle ściska w dłoni ten przeklęty klucz. Jak odłoży go z powrotem do kieszeni kamizelki, nie zwracając na siebie uwagi męża, skoro Arthur jest z nią w kajucie?

Mężczyzna się rozbiera i życzy Isabelli dobrej nocy. Z wysiłkiem i przy akompaniamencie stękania zwała się na dolną koję. Isabella leży nad nim na boku i czeka, aż mąż zaśnie. Potem zdecyduje, co robić dalej.

W końcu znajome chrapanie sygnalizuje, że pijany mężczyzna śpi głęboko. Teraz można zrobić tylko jedno: zejść na dół, wsunąć klucz do kieszeni kamizelki, wrócić do łóżka i poczekać na inną okazję.

Isabella po raz drugi zsuwa z siebie kołdrę. Ponownie schodzi na dół. Gdy jej nagie kostki mijają śpiące męzowskie ciało, wzdryga się mocno, jakby przechodziła koło węża.

W końcu staje na podłodze, ale nie chce już odkładać klucza na miejsce. Nie od razu. W ciemności staje blisko męża, a on jej nie słyszy. Nie budzi się. Kobieta czuje nagły przypływ szaleńczej odwagi. Kuca i sięga pod dolną koję.

Jeśli Arthur się obudzi, zostanie zdemaskowana. Isabella wie o tym, a jednak działa dalej.

Delikatnie przyciąga kufer do kolan. Skrzynia jest wąska, ale ma metr długości. Teraz trzeba namacać pięć zamków. Isabella w ciemnościach zмага się z kluczem. Mija cała wieczność, zanim udaje jej się znaleźć wszystkie zamki, wsunąć do nich klucz i obrócić go powoli z cichym kliknięciem. Przez cały czas kobieta wstrzymuje oddech. W szarym pokoju brakuje światła. Wszystko

musi robić po omacku.

W końcu Isabelli udaje się otworzyć kufer. Dwa cienkie złote łańcuchy przytrzymują wieko, by nie opadło do tyłu i nie uderzyło o podłogę. Kobieta unosi warstwy czarnego aksamitu i dostrzega lekki błysk złotej, wysadzonej klejnotami buławy. Ostrożnie szuka palcami brzegów aksamitnej poduszki, na której spoczywa przedmiot, podnosi jej róg, wyciąga spod koszuli nocnej cenną czarną wstążkę, umieszcza ją pod poduszką, opuszcza jej róg i wreszcie zamyka kufer.

TRZASK.

Zbyt pewna powodzenia nieco za szybko puściła wieko. W ciemnościach ten dźwięk wydaje się nieprawdopodobnie głośny. Isabella zamiera w bezruchu. Jej serce wali, jakby chciało się wyrwać z piersi, nawet oczy zdają się pulsować. Arthur przestaje chrapać i wydaje niski pomruk.

A potem znowu zaczyna chrapać, powoli i miarowo. Isabella nigdy w życiu nie cieszyła się tak na ten dźwięk. Jest bliska śmiechu.

Ponownie odnajduje palcami wszystkie zamki i po kolei je zamyka. Ogarnia ją brawurowa odwaga. Wszystko będzie dobrze, więc Isabella działa powoli. Wsuwa kufer z buławą pod koję, a potem wkłada klucz do kieszeni kamizelki.

Wspina się po drabince i kładzie na koi. Jeszcze przez kilka godzin nie udaje jej się zasnąć z podniecenia.

Bransoletka Daniela jest na razie bezpieczna. Dotrze przynajmniej do Sydney, gdzie Arthur ma w imieniu królowej wręczyć buławę panu Bartonowi. Oczywiście Isabella wie, że przed ceremonią znów będzie musiała wykraść klucz i dostać się do kufra, ale na razie po prostu się cieszy, że czarnej wstążce nie grozi wyrzucenie za burtę. Nad resztą pomyśli, kiedy wydostanie się wreszcie z tego cuchnącego statku.

Kolejne dni są ponure. Isabellę spowija ciemna chmura. Z początku kobieta sądzi, że ma to związek z brakiem bransoletki na nadgarstku i może rzeczywiście jest to jeden z powodów jej złego samopoczucia. Jednak większy wpływ na nie ma zapewne pogoda: ołowiane niebo, silny wiatr, duże fale.

Podczas sztormu najlepszym miejscem na statku jest pokład. Pod pokładem oczy nie mogą znaleźć widnokregu i łatwo o chorobę morską. Dlatego Isabella co dzień spędza kilka godzin na pokładzie kotwicznym, słuchając okrzyków i przekleństw krzątających się za jej plecami mężczyźni, obserwując szare morze i szare niebo, kryjąc się przed deszczem pod brezentowym zadaszeniem. Zwykle w takich chwilach mogłaby liczyć na towarzystwo Meggy, ale ta unika teraz Isabelli i woli spędzać czas, haftując w mesie. Pod pokładem życie toczy się dalej, wszystkie przyziemne doświadczenia pomagają odmierzać czas. Na pokładzie widać tylko bezkresny ocean. Czas się zatrzymuje, a Isabella dryfuje przez szarą wieczność. Ta niekończąca się podróż przypomina jej smutek. Nie widać ziemi,

nie da się przewidzieć końca, wokół szaleje sztorm.

Czasami, kiedy deszcz przechodzi w ulewę, choć nigdy nie staje się zimny, a Isabella musi szukać schronienia w ostatnim suchym zakątku za sterem, słyszy głos pana Harrowa wykrzykującego głośno rozkazy i myśli o tym, co powiedziała Meggy. Ten człowiek stracił żonę, a mimo to świetnie sobie radzi. Isabella na jego miejscu nie byłaby w stanie kierować statkiem. Z pewnością nie potrafiłaby się otrząsnąć z żałoby. Tymczasem kiedy kapitan ma problemy, pan Harrow zachowuje spokój i profesjonalizm. Czasami Isabella rzuca mu ukradkowe spojrzenie, szukając na jego twarzy jakichś oznak bólu, ale ich nie widzi. Potem zdaje sobie sprawę, że zachowuje się równie okropnie jak Meggy, ponownie kryje twarz, opierając czoło na kolanach, i czeka. Zastyga i trwa tak bez końca, przeczekuje czas, odległość i wzburzone morze.

Na obrzeżach ciemności pojawiają się pierwsze przebłyski szarego światła.

Isabella spotyka w kambuzie pana Harrowa. Podobnie jak ona zszedł tam, żeby zaspokoić głód przed obiadem. Kuca z głową schowaną w kredensie.

Na jej „dzień dobry” podskakuje i uderza się w głowę.

– Przepraszam – mówi Isabella.

– Nic mi nie jest – zapewnia mężczyzna, wstając i pocierając głowę. – Pani też szuka czegoś do jedzenia?

Isabella kiwa głową.

– Schowałam suszone jabłka w puszcze z tyłu, za mąką.

Pan Harrow znów zerka na kredens i się uśmiecha.

– Bardzo sprytnie – stwierdza, po czym wyciąga puszkę i zaczyna się zmagać z pokrywką. – Sama ją pani zamknęła? – pyta.

Isabella śmieje się, rozkładając ręce.

– Moja matka mówiła zawsze, że powinnam być chłopcem. „Silna jak koń, dzika jak ptak” – powtarzała.

Wspomnienie powiedzonka matki natychmiast wprawia Isabellę w smutny nastrój. Teraz nie czuje się już ani silna, ani dzika.

Pan Harrow otwiera puszkę i podaje ją Isabelli, która wyciąga ze środka nieco suszonych jabłek. Mężczyzna już ma wyjść, kiedy Isabella go zatrzymuje.

– Proszę poczekać – mówi. Kładzie dłoń na jego ramieniu i ma wrażenie, że ta dłoń nie należy do niej. Nie planowała rozmowy, ale impuls jest silniejszy.

Pan Harrow przystaje i oboje milczą przez dłuższą chwilę.

W końcu odzywa się Isabella:

– Meggy powiedziała mi o pańskiej żonie.

I wtedy widzi ból, którego tak długo szukała w jego twarzy. Wreszcie znalazła kogoś, kto WIE, kto ją rozumie. Z przerażeniem zdaje sobie sprawę, że kąci jej ust unoszą się w uśmiechu, więc opanowuje ten odruch.

Bezbronność widoczna na twarzy pana Harrowa znika szybko pod starannie wyćwiczonym wyrazem uprzejmości.

– To prawda, straciłem Mary. Było mi bardzo ciężko – mówi mężczyzna. – Ale życie musi toczyć się dalej.

– Naprawdę musi?

Pytanie go zaskakuje. Pan Harrow otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale milczy i stoi bez ruchu z lekko rozchylonymi wargami.

– Mój syn, Daniel, umarł prawie trzy lata temu – pośpiesznie wyjaśnia Isabella. – Miał piętnaście dni. Urodził się jako okaz zdrowia, wszystko było w porządku. Pewnego dnia obudziłam się późno, zbyt późno, słońce stało już wysoko, i zaczęłam się zastanawiać, czemu mnie nie obudził. Nie obudził mnie, bo był martwy. Martwy i zimny, rozumie pan? – Po tych słowach głos Isabelli się łamie, a ona sama podnosi dłonie do twarzy, żeby powstrzymać łzy. – Ponieważ szalałam z bólu, rodzina mojego męża pochowała dziecko pod moją nieobecność. Nawet nie zdążyłam się z nim pożegnać.

– Och, tak mi przykro. – Pan Harrow delikatnie odsuwa jej dłonie od twarzy i przytrzymuje w swoich szorstkich palcach. – Strata ukochanej osoby to potworne przeżycie, ale kiedyś znowu zaświeci słońce.

– To niemożliwe.

Isabella zaczyna mieć wątpliwości. Ten człowiek stracił tylko żonę, nie dziecko. Jak mógłby zrozumieć jej ból?

Pan Harrow szuka odpowiednich słów. Statek podskakuje na falach, wprawiając wiszące na ścianie łyżki w brzęczące drżenie. W końcu mężczyzna mówi:

– Taki smutek nie blednie z upływem czasu. On kompletnie nas niszczy. A potem trzeba wszystko odbudować, kamień po kamieniu. Czasami brak nam sił lub chęci, więc siadamy wśród ruin i czekamy na zmianę, ale nic się nie zmieni, dopóki sami nie staniemy na nogi i nie zaczniemy zbierać roztrzaskanych kawałków.

Pod wpływem tych słów przez serce Isabelli przemykają sprzeczne uczucia: nadzieja, rozpacz, nadzieja, rozpacz – niczym chmury to zakrywające, to odsłaniające słońce. Mężczyzna rozumie jej ból, ale radzi dokonać wysiłku, by się od niego uwolnić. Czyżby nie wiedział, że jeśli Isabella faktycznie się od niego uwolni, ponownie straci Daniela? Dochodzenie do siebie polega na zapominaniu.

Isabella od dawna czekała jednak na takie słowa otuchy, a pan Harrow czekał być może na kogoś, z kim będzie mógł się podzielić swoim cierpieniem, więc teraz stoją w milczeniu ze złożonymi dłońmi i oczyma pełnymi łez. I wtedy właśnie wkracza Meggy.

– Och – mówi, chłonąc jasnymi oczyma ich sylwetki, dłonie i oczy. Początkowo Isabella nie rozumie znaczenia tego widoku: jej bliskość z panem Harrowem nie ma w sobie niczego romantycznego. Ale, na Boga, wygląda, jakby miała.

Pan Harrow jest zaniepokojony – Isabella podejrzewa, że czuje coś do Meggy – więc puszcza jej dłoń i cofa się o krok, uderzając głową w wiszącą u sufitu miedzianą patelnię.

Isabella zwraca się do żony kapitana:

– Meggy, zaczekaj.

Jednak ta obraca się na pięcie i wychodzi.

Pan Harrow pociera głowę.

– Lepiej już pójdę – oznajmia.

Isabella odpowiada skinieniem głowy i po chwili zostaje w kambuzie sama, zadając sobie pytanie, kiedy będzie musiała stawić czoło nieuchronnym konsekwencjom swojego zachowania.

W kambuzie gotuje się kolacja. Woń duszonego mięsa wypełnia mesę, w której Isabella siedzi samotnie i wyszywa. Tego wieczoru popełniła już wiele błędów i spędziła tyle czasu na usuwaniu nieudanych ściegów, że równie dobrze mogłaby zacząć od nowa. Nigdzie nie widać Meggy. Isabella zaczyna żywić nieśmiałą nadzieję – może dawna przyjaciółka postanowiła nikomu nie mówić o scenie między nią a panem Harrowem. Nadzieja jednak nie trwa długo. O zmroku Arthur zbiega po schodach i chwilę później staje przed Isabellą ze zmarszczonymi brwiami i ponurym wyrazem twarzy. Isabella odkłada tamborek, starając się nie mrugać, nie wzdrygać i nie zdradzać, że wie, co ją czeka.

– Coś się stało, Arthurze? – pyta. Z wysiłkiem opanowuje drżenie rąk, bierze zapałki, zapala lampkę naftową na ścianie i delikatnie zamyka klapkę.

Przez kilka chwil Arthur nie potrafi wykrztusić z siebie ani słowa. Prycha i pluje, kiedy w końcu mówi:

– Nie będę tolerował okazywania przez ciebie względów innemu mężczyźnie.

Isabella udaje zaskoczenie, ale boli ją zdrada Meggy.

– I słusznie. Nie powinieneś tego tolerować ani znaleźć się kiedykolwiek w takiej sytuacji – odpowiada spokojnie.

– Nie udawaj niewiniątka! – krzyczy Arthur. Isabella wyobraża sobie, że wszyscy pod pokładem, od korytarza aż po kwatery załogi, słyszą te słowa. Statek ma wprawdzie ponad pięćdziesiąt metrów

długości, ale pod pokładem jest bardzo ciasno. Arthur czuje, że naraża się na śmieszność, więc ścisza głos. – Meggy widziała cię z Harrowem.

– Pan Harrow mnie pocieszał – mówi Isabella. – W naszym zbliżeniu nie było nic oprócz zwykłego ludzkiego współczucia.

– Jakiego współczucia? – Arthur jest zaskoczony. Naprawdę nie ma pojęcia, z jakiego powodu ktoś miałby pocieszać jego żonę.

Jakże Isabella go w tej chwili nienawidzi! Nienawidzi jego ślepoty i całkowitego braku zrozumienia.

– Pan Harrow stracił żonę. Pomyślałam, że zrozumie, co czuję po śmierci Daniela.

– Isabello, nie masz prawa afiszować się ze swoimi uczuciami wobec obcych mężczyzn...

– Rozmawiałam o nich z drugim człowiekiem, który również poniósł bolesną stratę. – Isabella przerywa mężowi, choć zdaje sobie sprawę, że on tego nie znosi. „Isabello, powinnaś więcej słuchać i znacznie mniej mówić”.

Arthur wścieka się jeszcze przez chwilę, chodząc w kółko po małym pomieszczeniu. Jego kroki dudnią na drewnianej podłodze. Czuć mocną woń deszczu i szronu. Isabella myśli o nieustannie wzburzonym morzu i o własnym nieustannym wzburzeniu.

W końcu Arthur oznajmia:

– Śmierć dziecka nie uczyniła z ciebie kogoś wyjątkowego, Isabello. Nadal jesteś po prostu kobietą, którą zawsze byłaś. Nie zasługujesz na wyjątkowe traktowanie i nie możesz stawiać siebie ponad zasadami obowiązującymi w naszej sferze. – Po tych słowach rzuca okiem na nadgarstek żony. – Przynajmniej zdjęłaś już tę okropną wstążkę.

Isabella jeży się cała, ale nie odpowiada.

Arthur prostuje ramiona i porusza nozdrzami.

– Aż do Sydney masz zostać pod pokładem.

– Co takiego? Nie!

– Będziesz siedzieć tu, w mesie, albo w naszej kajucie. Dotrzymasz towarzystwa Meggy. Nie obchodzi mnie, co zrobisz, ale trzymaj się z daleka od załogi. Zachowuj się przyzwoicie. I nie szukaj pocieszenia z powodu starych, dawno zagojonych ran, tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Moje rany wcale się nie zagoiły! – krzyczy Isabella, ale jej mąż zdążył się już odwrócić i zniknąć na schodach. Isabella chętnie wbiłaby mu nożyczki w czoło; może wyrylałaby tam imię Daniela, żeby Arthur przypominał sobie dziecko, które stracił, które stracili oboje. Ma wrażenie, że zaraz oszaleje. Aż dygocze z frustracji, odczuwa mrowienie każdego nerwu, każdego zęba. Narasta w niej gniew, wypełniający pierś, oplatający serce. Chciałaby teraz coś stłuc albo kogoś uderzyć. Najchętniej Arthura, ale gdyby Meggy zeszła teraz na dół, Isabella chętnie podrapałaby jej twarz. Skąd się bierze ta agresja? Kiedyś Isabella była łagodną kobietą o miękkich dłoniach, którymi tak

czule obejmowała słodkie ciało synka.

A teraz uwięziono ją pod pokładem. Wśród woni przewożonego ładunku, nie mówiąc już o odorze dochodzącym z kwater załogi. To oznacza chorobę morską, ale Arthura nie obchodzi, czy jego żona się pochoruje. Po co w ogóle trzyma ją przy sobie, skoro jej obecność jest dla niego źródłem rozczarowania i irytacji? Jak może znieść małżeństwo z nią? Przecież ona ledwo wytrzymuje w tym związku.

Isabella zdaje sobie sprawę, że mocno ścisnęła tamborek i igła wbiła się w jej dłoń. Ostrożnie wyjmuje igłę. W miejscu ukłucia pojawia się idealnie okrągła kropla krwi. Isabella nie może oderwać od niej wzroku, wpatruje się w delikatną siatkę linii pokrywających wnętrze dłoni. Przyciska miejsce tuż koło maleńkiej ranki i patrzy, jak kropla rośnie, a potem spływa po rękę.

Ucieka.

Isabella jest daleko od domu. Jeśli zaginie w Australii, Arthur nie zdoła jej przecież odnaleźć. Mogłaby uciec dalej, do Ameryki, gdzie mieszka Victoria. Plan nabiera realnych kształtów. W ostatnim liście siostra napisała, że spodziewa się dziecka. Isabella mogłaby zawieźć jej bransoletkę Daniela. Trudno byłoby się rozstać z tą pamiątką, ale może dzięki temu Daniel odżyłby na nowo w dziecku Victorii. W mgnieniu oka Isabella zyskuje pewność, że podjęła jedyną słuszną decyzję. O niczym bardziej nie marzy.

Po raz pierwszy od kilku lat czuje ulgę.

Isabella siada na swojej koi. Drzwi do kajuty są zamknięte i zabarykadowane kufrem pełnym ubrań. Kobieta trzyma w dłoni pióro i papier. Robi spis rozłożonych przed nią kosztowności.

- 1 bransoletka z rubinami i brylantami
- 1 złoty wisior z szafirami
- 1 złoty wisior z perłami
- 1 platynowy wisior z perłami i ametystami
- 1 para kolczyków z brylantami i oliwinami
- 1 para złotych kolczyków z francuskimi opalami
- 1 broszka z węgierskimi szmaragdami
- 1 szklwiona broszka w kształcie bratka z brylantami
- 1 platynowa broszka z rubinami i perłami
- 1 pierścionek z kamieniem księżycowym i brylantami
- 1 pierścionek z szafirem

Oto wszystkie wartościowe przedmioty w jej posiadaniu. Butów i ubrań nie da się sprzedać tak łatwo, ale biżuterię – owszem. Każda z wymienionych rzeczy to prezent od męża albo jego rodziny, ale Isabella nie nosi tych kosztowności. Pod naciskiem albo na specjalną okazję pozwala, by Arthur wybrał dla niej coś, co będzie pięknie lśnić w świetle świec, ale przez większość czasu biżuteria leży w wykładanym jedwabiem puzderku jako dyskretne przypomnienie faktu, że Isabella jest teraz własnością rodziny Winterbourne’ów, ponieważ każdy z tych drobiazgów to wytwór ich firmy. Isabella stała się własnością rodziny, ponieważ Winterbourne’owie wykupili firmę jej ojca, i to, jak powtarzała nieustannie matka Arthura, za „absurdalnie wygórowaną cenę”.

Cała zawartość puzderka należy do Isabelli, więc nie może być mowy o kradzieży. Isabella jest tego niemal całkowicie pewna.

Po sporządzeniu listy z powrotem pakuje biżuterię na dno kufra z ubraniami, składa kartkę i wsuwa ją pod poduszkę. Kładzie się z dłońmi za głową i zamyka oczy. W kajucie nie ma okna, więc choć na zewnątrz jest jasno, w środku panuje szary półmrok. Statek miarowo pokonuje fale.

Isabella wciąż na nowo wraca myślami do swojego cudownego pomysłu: jeśli po dotarciu do Sydney sprzeda biżuterię, będzie ją stać na rejs do Nowego Jorku, gdzie spotka się z siostrą. I popłynie już nie na pokładzie kolejnego przekłętego żaglowca, tylko przyjemnym, dużym,

bezpiecznym parowcem. Z każdą chwilą plan obrasta w szczegóły, a Isabella przekonuje samą siebie, że tego właśnie chce los, że to jej przeznaczenie, które ona po prostu wypełnia. W oczach Winterbourne'ów jest niezrównoważona i niespełna rozumu. Być może mają rację. A jeśli tak, to czemu nie miałyby uciec? Jej ojciec i teść już nie żyją, a to oni zaaranżowali małżeństwo Isabelli z Arthurem. Reszta rodziny męża wcale jej nie chce. Isabella powinna zwrócić Arthurowi wolność, żeby mógł poślubić inną kobietę, być może taką, która urodzi mu dziecko. Jej łono pozostaje jałowe. Isabella wierzy, że i ono tęskni wciąż za Danielem. Niewykluczone, że nowej żonie nawet spodobały się cotygodniowe zbliżenia, choć Isabelli trudno to sobie wyobrazić. W wieku piętnastu czy szesnastu lat często myślała o tajemnicach miłości fizycznej i wydawało jej się, że to coś niesłychanie podniecającego. Albo była w błędzie, albo Arthur jest bardzo kiepskim kochankiem.

Pogoda się pogarsza. A może Isabelli tylko tak się zdaje, ponieważ od dwóch dni siedzi zamknięta w kajucie. Mogłaby się przenieść do mesy, gdzie są przynajmniej obmywane falami okna, ale to oznaczałoby towarzystwo Meggy i Arthura. Szaleje sztorm, a deszcz nie ustaje. Zauważyła na korytarzu pana Harrowa i kapitana, przemoczonych do szpiku kości, nawet pod ochronnymi pelerynami, z wodą chlupoczącą w butach. Isabella nie może się oprzeć przesądnemu lękowi, że fatalna pogoda jest skutkiem zaniechania przez nią codziennej modlitwy do oceanu.

Kapitan wygląda na wyjątkowo zatroskanego. Nie wiadomo czemu; przecież na pewno pływał już przy gorszej pogodzie. Isabella chciałaby zapytać pana Harrowa, co się dzieje, ale nie ma odwagi tego zrobić w obecności Arthura. Mogłaby zapytać męża, ale nie chce z nim rozmawiać.

Czasami próbuje przypomnieć sobie czasy, kiedy nie żywiła do Arthura nienawiści. Może było tak przez chwilę, kiedy spodziewała się Daniela. Na kilka miesięcy Arthur stał się łagodniejszy, zadowolony, że Isabella tak szybko da mu dziecko. Może traktował ją trochę jak psa, który przyniósł swojemu panu kaptur, ale i tak był miły. Któregoś dnia po pracy wręczył żonie nieoczekiwany prezent – broszkę w kształcie bratka. Isabella nosiła ją przez jakiś czas, z ulgą odnotowując, jak jego surowość ustępuje. Zaczęła nawet żywić nadzieję, że ich nierozzerwalny związek nie okaże się aż tak straszny, jak początkowo sądziła.

Tak, przez chwilę lubiła męża. Nadal był zdystansowany i spięty, ale widziała w nim zadatki na dobrego ojca: takiego, który wraz z nią będzie rozpieszczał dziecko. Po narodzinach Daniela Arthur nie spełnił jednak tych oczekiwań.

Kiedy po raz pierwszy zobaczył synka, Isabella leżała właśnie w łóżku i drzemała. Było to późnym popołudniem, trzydniowy Daniel spał spokojnie, z mięciutkimi piąstkami ułożonymi przy uszach, poruszając ustami, jakby ssał niewidzialną pierś. Arthur wmaszerował hałaśliwie do pokoju i zapytał:

– Dlaczego leżysz w łóżku o czwartej po południu?

Isabella się zerwała, ale Daniel spał dalej.

– Przepraszam, Arthurze – powiedziała. – Jestem taka zmęczona. W nocy maluszek ciągle się budził.

– W takim razie powinnaś znaleźć mamkę, tak jak ci sugerowałem. Nie możesz całymi dniami wylegiwać się niczym ladacznica.

Myśl, że ktoś inny miałby karmić jej dziecko, wydała się Isabelli odrażająca. Kobieta usiadła prosto, próbując się jakoś pozbierać. Nie szło jej to łatwo, bo zaledwie kilka dni wcześniej urodziła dziecko, więc nadal była obolała i wciąż coś z niej ciekło.

– Arthurze, proszę cię. Pozwól mi zajmować się Danielem po mojemu.

– No cóż, jeśli się upierasz, a widzę, że tak jest, koniecznie porozmawiaj z moją matką. Wychowała dwóch synów i jestem pewien, że nigdy nie spała w dzień.

Isabella wolałaby połknąć truciznę, niż poprosić teściową o radę. Starsza pani Winterbourne wyglądała jak anioł: była krągła, miała jasne kręcone włosy, duże niebieskie oczy i łagodny uśmiech, ale pod tą maską kryły się druty i kamienie. Isabella nigdy nie powiedziała Arthurowi, jak wieczorem w dniu ich wesela pani Winterbourne wzięła ją na stronę i oznajmiła, że jej zdaniem syn popełnił megalians, więc Isabella powinna dołożyć wszelkich starań, by dostosować swe maniery do obyczajów panujących w domu męża. Isabella nie powtórzyła tego Arthurowi, ponieważ podejrzewała, że zgodziłby się z matką. Podobnie jak cała reszta rodziny, szczególnie ten oślizgły Percy i drżąca myszka, którą nazywa swoją żoną.

Arthur podszedł do kołyski. Promień popołudniowego słońca wkradł się przez żaluzje, oświetlając kremową koronkową pościel oraz niewiarygodnie miękkie policzek dziecka.

– Nie chcę, żeby był beksą – powiedział mężczyzna.

– Dopiero co przyszedł na ten świat – szepnęła Isabella. – Pozwólmy, by jeszcze przez jakiś czas pozostał delikatny.

Arthur splótł dłonie za plecami, jakby się bał, że zapragnie wziąć dziecko na ręce. Obejrzał synka z wydętymi ustami, tak samo jak oceniał czystość diamentów.

– Jest mniejszy, niż się spodziewałem.

– Waży prawie trzy i pół kilo.

I na tym się skończyło. Arthur się odwrócił, wciąż z dłońmi splecionymi na plecach, i wyszedł z pokoju. Isabella wstała, pochyliła się nad kołyską Daniela, pogłaskała miękkie puszek na jego ciepłej główce, wciągnęła do płuc słodką woń mleka i obiecała sobie, że będzie kochać synka za nich oboje.

Teraz otwiera oczy. To wszystko jest zbyt bolesne: wspomnienie Daniela – ciepłego i oddychającego, a nie zimnego i martwego – niczym nóż wbiło się w jej serce. Isabella bardzo chciałaby otworzyć orzechowy kufer, wyjąć czarną wstążkę i przez resztę popołudnia przesuwac

koralewą bransoletkę między palcami, przywołując w pamięci ciepło synka, ale brakuje jej odwagi. Bransoletka musi pozostać w ukryciu aż do Sydney. Tam Isabella ją wydobędzie i jakoś wyrwie się z tego nieszczęsnego małżeństwa, ucieknie od Arthura oraz jego jadowitej rodziny. Ten straszny sztorm wreszcie ucichnie, a ona odzyska spokojne morze i blask słońca.

Dwa dni później pan Harrow przychodzi do niej rano. Jest sprytny – robi to pod nieobecność Arthura, przebywającego akurat w ładowni z kapitanem i Meggy, zajętego dyskusją na temat marmurowych płytek. Oprócz buławy Arthur przewozi do Australii kosztowne płytki i dywany. Im mniej Isabella wie o jego interesach, tym lepiej, ale Arthur jest tym wszystkim bardzo przejęty i boi się, że ktoś z załogi ukradnie albo uszkodzi towar.

Na dźwięk pukania Isabella czuje lęk. Nie ma ochoty na kolejny wykład męża.

– To pan, panie Harrow? – pyta ostrożnie.

– Przepraszam panią. Ja tylko na chwilę. Czy pozostaje pani pod pokładem z powodu naszej... rozmowy w kambuzie?

Isabella wie, że kobieta z jej sfery powinna go zbyć, nie poruszając tematu uczuć swojego męża, ale szkoda jej czasu na konwenanse.

– Owszem. Wszystko mu wyjaśniłam, ale to rozwścieczony głupiec.

– Bardzo mi przykro – mówi mężczyzna. – Mam z nim porozmawiać?

– Nie, to by tylko pogorszyło sprawę.

Pan Harrow rozgląda się dokoła.

– Jeśli mógłbym coś dla pani zrobić... Bardzo pani współczuję.

– A ja panu – mówi szczerze Isabella. W jej sercu świta promień nadziei. Być może lód jeszcze stopnieje.

– Przepraszam, że dopiero teraz zrozumiałem, co się stało. Ostatnio mamy mnóstwo roboty, wszystko przez tę pogodę.

Wzmianka o pogodzie wywołuje lekki niepokój. Isabella uświadamia sobie, że minionej nocy śniło jej się szare morze podchodzące coraz wyżej i wyżej, wlewające się przez burty, zalewające kajutę i koję Arthura, porywające z sobą koce oraz czarną wstążkę, którą ona starała się złapać dłońmi śliskimi jak płetwy. Tak, ona też myśli o pogodzie. Gdyby tylko mogła wyjść na pokład i odmówić swoją modlitwę...

– Ale ta pogoda nie odbiega od normy, prawda? W tej części świata i o tej porze roku?

Pan Harrow potrząsa głową.

– Muszę pani wyznać, że w tej właśnie kwestii nie zgadzam się z kapitanem. Moim zdaniem gdzieś w pobliżu jest huragan, a on twierdzi, że o tej porze roku huragany już się nie zdarzają, ale...

– tu ścisza głos – ...kapitan Whiteaway nie lubi złej pogody.

Isabella czuje na skórze kropelki zimnego potu.

– Dlaczego więc upiera się przy kontynuowaniu rejsu? Nie powinniśmy zawinąć do portu, dopóki nie zyskamy pewności, że to nie huragan?

– Kapitan nie lubi złej pogody, więc zaprzecza jej występowaniu. – Po tych słowach pan Harrow zaciska mocno wargi, jakby uznał, że powiedział za dużo i wbrew zwierzchnikowi. – Proszę się tym nie martwić. Mamy tu dobrą załogę i z pewnością nic nam się nie stanie.

– Kapitan za dużo pije – mówi Isabella bez ogródek.

Pan Harrow odpowiada, niemal bezbłędnie naśladowując głos kapitana:

– W ten sposób uspokajam żołądek.

– Biorąc pod uwagę, ile pije przy kolacji, musi mieć wyjątkowo niespokojny.

Mężczyzna uśmiecha się niepewnie.

– Jak już mówiłem, proszę się nie martwić. Niech załoga na pokładzie zajmie się pogodą, a pani tutaj – swoimi sprawami – kończy i na dźwięk głosów dochodzących z drugiego końca korytarza wycofuje się szybko, bez słowa pożegnania.

Isabella decyduje się zajrzeć do mesy i zerknąć na mapę pokrywającą biurko kapitana. Kapitan Francis Whiteaway od dwudziestu lat przemierza świat z północy na południe i ze wschodu na zachód. O ile Isabelli wiadomo, zawsze sporo pił, często napotykał fatalną pogodę i za każdym razem wracał bezpiecznie do Anglii. Jeśli twierdzi, że o tej porze roku nie występują już huragany, to być może ma rację. Przecież pan Harrow jest od niej starszy raptem o kilka lat. Isabella przygląda się na wpół pustej karafce z whisky. Ileż razy widziała już, jak ją napełniano, a potem znów opróżniano? Przesuwa palcami po linii wschodniego wybrzeża Australii. Różowa plama na tle turkusowego oceanu. Gdzieś tu są. Tylko że na mapie nie ma chmur, a powierzchnia morza jest gładka i nieruchoma niczym wieko grobowca.

Isabella jest sama. Po śniadaniu pogoda przyprawia ją o mdłości. Fale nieustannie ciskają statkiem to w górę, to w dół. Powinna zostać pod pokładem, ale nie wytrzyma kolejnego długiego dnia w kajucie, a więc, żeby unikać Meggy i Arthura, rusza w stronę mrocznej części statku. Ma przy sobie pióro i swoją listę. Może uda jej się znaleźć gdzieś ciche i ustronne miejsce, by podliczyć wartość posiadanej biżuterii oraz ocenić, ile pieniędzy potrzeba na bilet do Nowego Jorku, jedzenie, przejazdy... Tyle jeszcze musi zaplanować, że nocami trudno jej zasnąć z podniecenia. Spisanie wszystkiego na kartce powinno pomóc. Poza tym zajmie się czymś innym niż myślenie o pogodzie.

Cała załoga jest na pokładzie i pracuje przy żaglach. Isabella schodzi do ładowni, siada na stosie płytek przytwierdzonych liną do podłogi i rozprostowuje listę na kolanach. Światło jest słabe, ale ona zaczyna robić notatki.

Statek dygocze. Isabella bierze głęboki wdech, po czym pisze dalej.

Nagle przesywa ją dreszcz. Zdaje sobie sprawę, że jednak nie jest sama. Podnosi wzrok, instynktownie zasłaniając dłonią zapisany papier.

– Czy to liścik miłosny? – pyta kapitan Whiteaway.

Isabella szybko składa kartkę.

– Nie, to tylko lista.

– Jaka lista?

– Moich osobistych myśli. Nic, co by pana dotyczyło.

Isabella przygląda się kapitanowi. Już pijanemu.

– Czemu nie jest pan na pokładzie z resztą załogi?

– Przyszedłem sprawdzić, czy ładunek się nie przesunął. Statek nieźle podskoczył.

– Tak, ja też to poczułam.

Isabella ma ochotę zapytać, czemu kapitan przyszedł tu sam, czemu nie przysłał kogoś innego, ale zna odpowiedź: był zbyt pijany, leniwy lub przerażony złą pogodą i udawał, że nic się nie dzieje. Przyszedł do ładowni, ponieważ jest niekompetentny, a żaden mężczyzna nie przyzna się do czegoś takiego.

Oczy kapitana wciąż śledzą kartkę w jej dłoni.

– Jakie sekrety tam pani chowa, Isabello? – pyta.

– Nie mam żadnych sekretów.

Mężczyzna wyciąga rękę i gestem pokazuje, żeby Isabella oddała mu kartkę.

– To sprawy osobiste.

Kapitan pochyła się nad nią. To wysoki, zwalisty mężczyzna, jego oddech cuchnie brandy, a w głowie Isabelli budzą się przerażające wspomnienia. Otwiera usta, by zaprotestować, ale nie udaje jej się wykrztusić ani słowa.

Nagły błysk – powrót przeszłości: oranżeria w domu teściów. Wczesny ranek, wszyscy jeszcze śpią. Serce Isabelli wciąż złamane żalobą, piersi wciąż nabrzmiące od mleka. Percy Winterbourne, młodszy brat Arthura, dobiera się do niej.

Trawę za oknami pokrywa szron, z kominka dochodzi kwaśna woń popiołu. Dłoń mężczyzny na jej ustach, smak jego skóry, jej gorączkowy oddech palący nozdrza.

– Masz jeszcze trochę? – spytał Percy, brutalnie ściskając jej obolałe piersi przez materiał sukni. Isabella poczuła ból i wstyd. Im bardziej się szarpała, tym bardziej wściekły i grubiański stawał się napastnik. Potem weszła służąca, więc Percy odskoczył od Isabelli, poprawił kamizelkę i wyszedł jakby nigdy nic.

A kiedy opowiedziała o tym Arthurowi, ten zarzucił jej kłamstwo.

– Zostaw mnie w spokoju! – krzyczy teraz Isabella, przerażona i, co dziwne, zawstydzona.

Kapitan Whiteaway cofa się o krok. Najwyraźniej nieco oprzytomniał; Isabella jest blada i roztrzęsiona. Mężczyzna opuszcza rękę. Próbuje zachować twarz, mówiąc:

– I tak nie interesują mnie babskie bzdury. Ale jeśli się dowiem, że ty i Harrow pisujecie do siebie listy miłosne, wyrzucę go z pracy i zostawię w najbliższym porcie. Arthur jest moim dobrym przyjacielem.

– To nie jest list miłosny – mówi z wysiłkiem Isabella. – To lista. To tylko lista.

Mogła sobie darować te tłumaczenia. Kapitan gładzi się po brodzie i obraca na pięcie.

Poza tym to nie jest „tylko lista”. To również plan, bilet do lepszego życia, pierwszy krok ucieczki od męża.

Trzecia w nocy, pora najgłębszego snu. Isabella słyszy pukanie i nawoływanie, ale dopiero po chwili uświadamia sobie, że to ją ktoś woła. Rozpoznaje głos Arthura.

– Wstawaj, Isabello!

Otwiera oczy. Wszystko jest w ruchu. Siada, żeby opanować zawroty głowy. Statek jęczy. Podskakuje i opada. Na zewnątrz wyje wiatr.

– Co się dzieje? – pyta przerażona.

– Ubierz się. Francis wprowadzi statek do zatoki. Chce go osadzić na mieliźnie.

– Osadzić...

– Po prostu się ubierz, kobieto! – ryczy Arthur. – Wrócę po ciebie za dwie minuty.

Potem wybiega z kajuty, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Isabella słyszy z mesy czyjś głos. To Meggy. Po chwili Arthur wychodzi razem z nią na pokład, podczas gdy Isabella drżącymi dłońmi sznuruje suknię.

Morze ma zęby. Isabella zawsze o tym wiedziała: w jej oczach piękno morza nie przesłoniło jego okrucieństwa. Morze ma zęby, a teraz tymi zębami atakuje statek. Arthur nie powinien był zamykać jej pod pokładem. Dzięki codziennej porannej modlitwie byli bezpieczni. Isabella okazywała morzu szacunek, nigdy nie przyjmowała jego łaskowości za pewnik. Teraz czuje w sobie chłód. To niemożliwe. Statek pływa po morzach od kilkadziesiąt lat; dlaczego miałby zatonać akurat dziś, z nią na pokładzie? To niesprawiedliwe. Isabella pochyła się, by włożyć buty. Statek się unosi, przez moment zastyga w bezruchu, jakby stał na wodzie, a potem ciężko i gwałtownie opada. Przedmioty spadają na podłogę; Isabella również upada. Właz prowadzący z mesy na pokład zatrzasnąwszy się. Isabella wstaje, wybiega z kajuty, wspina się po drabinie i pcha kłapę włazu, ale wtedy nie da się wyjść. Kobieta wali pięściami w drewno. Wokół jej stóp leżą odłamki potłuczonej zastawy.

– Ratunku! – woła Isabella. – Pomocy! Coś zablokowało właz!

Czy uda jej się przekrzywić ryk fal?

– Arthurze! – woła. – Arthurze!

– Isabello! – Jego głos jest stłumiony przez drewno. – Przynieś buławę. Jakaś belka spadła i przywaliła właz. Właśnie próbujemy ją usunąć. Przynieś buławę i czekaj.

Isabella wraca do kajuty i wyszarpuje kufer spod koi, po czym unosi go niepewnie. Klucz do kufra jest w kieszeni Arthura, więc nie może podnieść wieka i wyjąć swojej cennej pamiątki. Ciągnie zatem kufer pod drabinę i czeka, powtarzając sobie, że nie ma powodu do paniki. Kapitan osadzi statek na mieliźnie. Staną na suchym lądzie, a tam wiatr i deszcz nie będą już tak groźne. Żaglowiec znów podskakuje gwałtownie. Wszystkie okna po zawietrznej pękają na kawałki, a do środka wdziera się woda. Isabella krzyczy rozpaczliwie. Światło lampy w mesie gaśnie. Ciemna, zimna woda kłębi się u stóp i ściąga z nich buty. Serce Isabelli wali jak szalone.

– Ratunku! Pomocy!

Odgłosy nad nią są przerażające. Słyszc trzask pękającego drewna i lin napinanych ponad granice wytrzymałości. Przy każdym podskoku na falach do środka wdziera się więcej wody, ale statek nie tonie.

Jeszcze nie.

– Pchnij klapę, Isabello! – woła Arthur.

Isabella pcha, z całych sił wyęzając mięśnie. Po drugiej stronie słyszc chrzęst drewna trącego o drewno i w końcu kłapa odskakuje.

Arthur wkłada ręce do środka.

– Podaj buławę! – krzyczy. Isabella zdaje sobie sprawę, że po raz pierwszy w historii ich związku oboje mają jeden i ten sam wspólny cel: ocalić drewniany kufer przed zatonięciem w morzu.

Kobieta dźwiga kufer po drabinie, objając go o każdy szczebel, i popycha w stronę Arthura, który wyciąga skrzynię przez właz, a potem podaje żonie lewą rękę. Isabella wychodzi na pokład. Panuje tu chaos. Morze jest spienione, żagle w strzępach, liny splątane przez wiatr, takielunek poszarpany, a niebo ryczy wściekle.

– Co się dzieje? – pyta Isabella.

– Francis osadza nas na mieliźnie, ale musi zdążyć przed wiatrem.

Isabella się rozgląda. Deszcz zalewa oczy, a wszędzie wokół tylko morze.

– Nie widzę lądu.

– Jest tam – mówi Arthur, gestykulując szeroko. Stoi w rozkroku nad orzechowym kufrem.

– Gdzieś tam.

Nagle któryś z marynarzy krzyczy:

– Fala przybojowa!

Isabella ma tylko moment, żeby odwrócić głowę i zobaczyć białe, spienione bałwany. Potem słyszy makabryczny odgłos wydawany przez poszycie statku trące o podwodne skały i czuje, jak wibracje przenoszą się na jej żebra i serce.

– Opuścić statek! Opuścić statek! – wrzeszczy kapitan, stojący za kołem wśród potarganych żagli i połamanych desek. – Ratuń się, kto może!

Isabella całą sobą rzuca się w stronę wody. Arthur dźwiga już kufer do szalupy ratunkowej. Isabella podąża za nim, przedzierając się przez chaos, zgiełk, słoną wodę i deszcz. Arthur szarpie się z linami, więc mu pomaga. Ludzie wskakują do szalup przy sterburcie. Isabella wypatruje wśród nich Meggy i pana Harrowa, gdy nagle potężna fala obraca statek o czterdzieści pięć stopni i miota nim ponownie o rafę. Spieniona woda się rozstępuje. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą byli ludzie i ruch, teraz jest tylko rozszalałe morze. Isabella czuje, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi.

– Pośpiesz się, Arthurze! – krzyczy. Wciąż szuka wzrokiem kapitana, Meggy, kogokolwiek. Może ktoś jeszcze wsiada do ostatniej szalupy na dziobie?

Arthur opuszcza szalupę i jakimś cudem oboje w niej lądują. Łódź podskakuje na płyciźnie nad rafą. Arthur chwyta jedno wiosło, a Isabella drugie i razem spychają szalupę na głębszą wodę. Orzechowy kufer stoi między nimi na dnie. Fale próbują zawrócić łódź w stronę statku, który przełamał się na pół. Isabella przypomina sobie biżuterię pozostawioną na pokładzie, ale nie żał jej straty. Jeśli przeżyje, będzie miała szczęście. Jeśli ocaleje też koralowa bransoletka Daniela, jej szczęście będzie niewiarygodne.

W pewnym momencie Arthur lekko się unosi, żeby oprzeć wiosło o skałę i odepchnąć łódź. Fala szarpie niewielką łódką i mężczyzna wpada do wody.

– Arthurze! – krzyczy Isabella. Jego wiosło wciąż wystaje z wody, więc kobieta chwyta je kurczowo. Arthur mocno trzyma drugi koniec, łykając wodę i walcząc o przeżycie.

– Ciągnij, ty niedołąego! – wrzeszczy.

– Przecież ciągnę!

Nagle woda zalewa mu twarz i choć Isabella stara się ze wszystkich sił, nie daje rady pomóc mężowi w dostaniu się na pokład. Sytuacja się zmienia i teraz to on ją wciąga pod wodę. Jeśli utonie, ona utonie wraz z nim. Zanim Isabella zdąży to sobie uświadomić i wypuścić wiosło, ono podskakuje w jej dłoni. Jest lekkie. Arthur zniknął.

Isabella też czuje się lekko, jakby uwolniła się z ciała. Śmierć już na nią czeka, jest na wyciągnięcie ręki. Rosnąca fala unosi szalupę i odpycha ją od statku. Isabella wraz z łodzią leci w dół, krzycząc z przerażenia, ale sztorm zagłusza jej głos.

Teraz jednak widzi ląd i zaczyna wiosłować.

Na przekór wściekłym prądom.

Na przekór skałom.

Ponieważ w kufrze spoczywa ostatnia pamiątka po jej synku.

Wiosłuje. Przez czarną wodę. Przez sztorm. Przez ciężkie, lodowate igły deszczu. Dla Daniela.

Isabella koncentruje się na jednym zadaniu, bo myślenie o czymkolwiek poza najbliższą przyszłością napawa ją paraliżującym lękiem. Musi znaleźć schronienie, lecz za ogromną plażą widać tylko plataninę czarnych, kolczastych drzew, która w ciemnościach przypomina scenerię sennego koszmaru. Na ten widok Isabella ma ochotę wrócić do wody, ale wyciąga szalupę na brzeg, na skalistą półkę wystającą z białego piasku. Liczy do dwóch i podnosi łódkę. Przy trzeciej próbie jej obolałym rękoma udaje się odwrócić szalupę do góry dnem. Jedna burta wbija się między skały, a Isabella wpełza pod spód, mocno obejmując kufer z buławą.

Deszcz bębni o dno łodzi. Kobieta zwija się w kłębek. Dzięki wąskiej szczelinie między burtą, skałą i piaskiem do środka wpada nieco światła i świeże powietrze. Morze ryczy i wali o brzeg. Isabella czeka na pozostałych rozbitków. Jej ciało drży bezwiednie: czuje chłód deszczu i morza, a co gorsza – strachu i szoku. Nikt nie przychodzi. Kobieta nie odrywa oczu od wody. Żadnej łodzi. Żadnych odważnych pływaków. Nie ma nikogo.

Nie ma Arthura. Ani Meggy. Ani kapitana Whiteawaya. Ani pana Harrowa.

Po jakiejś godzinie ciemność ustępuje miejsca szarości. Zbliża się świt. Gdzie oni są? Dlaczego tak długo płyną z wraku do brzegu?

Isabella czeka w swoim schronieniu.

Deszcz i wiatr nieco słabną, ale wciąż jest zbyt burzliwie, by wyjść na zewnątrz. Kobieta cały czas leży na boku ze wzrokiem wbitym w morze. Blade światło dnia sączy się przez chmury. I nadal nikogo nie ma.

Około południa przestaje padać. Isabella wyczołguje się spod szalupy, żeby rozprostować nogi, i odkrywa, że ledwo może na nich ustać. Siada na piasku. Płacze. Przez łzy rozgląda się dokoła. Czy ktoś ją tu znajdzie? Czy przyplynie statek ratunkowy? Isabella nie wie, jakie procedury stosuje się w podobnych przypadkach, ale boi się, że statek nie przyplynie. Siedzi na ogromnej plaży i przygląda się zatoce mającej kształt kotła. Gdzieś tam, we wzburzonej wodzie, jest jej mąż. Nie żyje. Wszyscy nie żyją. Isabella czuje, jak w jej żyłach rozprzestrzenia się chłód. Próbuje wstać i zmusić nogi do działania. Idzie po piasku, w kółko mrużąc pod nosem: „Wszyscy nie żyją”, żeby jakoś przyzwyczaić się do tej myśli.

Wszyscy nie żyją.

Isabella podchodzi do brzegu, unosi spódnicę i wchodzi po pas do wody, cieplejszej niż powietrze. Opróżnia pęcherz, rumieniąc się ze wstydu, choć wokół nie ma żywej duszy. Potem wraca

na plażę, do kryjówki pod szalupą. Na dziś wystarczy. Burczy jej w brzuchu: jest głodna, ale nie ma apetytu. O jedzeniu pomyśli jutro. Przez resztę dnia leży na piasku pod łodzią. Znów zaczyna padać. O zmierzchu, pokonana przez zmęczenie, w końcu zasypia.

Po przebudzeniu stwierdza, że deszcz ustał. Na jaśniejącym niebie pojawia się tylko kilka chmur o fioletowych brzegach. Czyli zaświeci słońce. Ta myśl poprawia Isabelli humor, ale na krótko, ponieważ po nocy widać na plaży coś jeszcze.

Ciała.

W pierwszej chwili pełna nadziei Isabella sądzi, że widzi śpiących ludzi, jednak im bliżej podchodzi, tym bardziej oczywiste staje się to, że ciała dwóch mężczyzn są nienaturalnie powyginane, a nogi falują bezwładnie w obmywającej brzeg wodzie.

Isabella odwraca się na pięcie i rusza w przeciwnym kierunku. Nie chce sprawdzać, czy to ktoś, kogo zna, czy po prostu członkowie załogi. Czuje w sobie ogromną pustkę. Wczołguje się pod łódź i szłocha przez kilka godzin.

Teraz już wie, że musi ruszyć w drogę.

Oprócz ciał morze wyrzuciło na brzeg kawałki wraku. Isabella przygląda im się uważnie, szukając wszystkiego, co mogłoby jej się przydać. Nie znajduje niczego takiego. Same odłamki drewna, żadnych butelek czy beczek z jedzeniem, żadnych ubrań lub butów. Kobieta ponownie patrzy na ciała, ale szybko odwraca wzrok. Nie ukradnie przecież ubrań trupów. Potem spogląda w stronę wyjścia z zatoczki. Jeśli tam dotrze, przekona się, co jest dalej. Może miasto. Ta myśl dodaje otuchy. Może zobaczy tam domy.

A może niekończącą się plażę i las kolczastych drzew.

Isabella oddycha głęboko. Najpierw musi wyjąć z kufra bransoletkę Daniela.

Wokół odwróconej łodzi leżą rozrzucone kawałki skał różnej wielkości. Isabella podnosi jeden z nich i wyciąga skrzynię spod szalupy. Bierze zamach, a następnie uderza kamieniem w zamek. Siła uderzenia jest tak duża, że jej ręce i ramiona wibrują. Ozdobne zapięcie ze żłobionego mosiądzu odpada, ale zamek jest nienaruszony. Arthur bał się złodziei, więc wybierał solidne zabezpieczenia, mocno przykręcone do drewna.

Isabella, rozważając, czy jest złodziejką, odrywa kawałek halki i skręca tkaninę w sznur. Przywiązuje go do mosiężnego uchwytu, po czym wstaje i ciągnie skrzynię za sobą.

Brnie przez piasek. Pałące słońce stoi już wysoko na niebie. Isabella się zatrzymuje, zdejmuje resztę halki i wiąże ją na głowie niczym turban. Kawałek białej bawełny naciąga do przodu, żeby osłonić twarz. Następnie chwyta sznur i znów rusza przed siebie. Piasek skrzypi pod stopami. Fale wybijają rytm: pięć kroków i fala się cofa, pięć kroków i wraca. Kobieta zbliża się do podstawy długiego cypla osłaniającego zatokę i wdrapuje się wyżej. Za sobą ciągnie orzechowy kufer. Ziemię

pokrywa długa, twarda trawa, która kłuje w stopy. Drzewa rosnące wzdłuż plaży są szare i oliwkowe. Isabella czuje przypływ przemożnej tęsknoty za Anglią, gdzie słońce świeci delikatnie, a drzewa mają ciemnozielone liście, gdzie chodziła w butach i wiedziała, co ją czeka.

Idzie dalej w stronę wierzchołka cypla. Słońce staje w zenicie, a potem zaczyna opadać. Trawa rzuca coraz dłuższe cienie na piasek. W końcu Isabella dociera na sam koniec cypla. Nie ma odwagi spojrzeć dalej. Widzi skałę i płytką sadzawkę, która musi być pełna deszczówki, bo znajduje się zbyt wysoko, by zawierać morską wodę, toteż Isabella pije z niej, choć woda jest mulista. Żałuje, że poprzedniego dnia podczas deszczu nie zrobiła zapasów wody pitnej, ale po chwili uświadamia sobie, że nie miałyby jej do czego zbierać.

Kładzie kufer na ziemi, prostuje się i patrzy odważnie przed siebie. Najpierw na północ. Nie ma tam nic oprócz niekończącej się plaży i kolejnego odległego cypla spowitego mgiełką. Następnie spogląda na południe. Tam też widzi pustkę. Znowu mgiełka. Znowu szmaragdowy ocean, ryczące i szalejące fale poza spokojną enklawą zatoki.

Bezkresna plaża. Bezkresny ocean.

Isabella czuje się małeńka. Wydaje jej się, że świat jest ogromny, a Bóg – milczący i obojętny. Dostrzega potęgę oceanu i własną słabość. Osuwa się na ostrą trawę, która kłuje przez suknię. Z głową opartą na kolanach kobieta zaczyna rozpaczać, że nie zginęła tak jak inni.

Siedzi w ten sposób przez dłuższy czas. Słyszy dudnienie własnego serca i głośny szum oceanu. Marzy o ciszy, o kryjówce, o jedzeniu. W końcu unosi głowę. Nie może tu siedzieć bez końca, bo wtedy bez wątpienia umrze. Na północy gromadzą się chmury. Być może niosą z sobą sztorm. Statek płynął na południe, więc coś tam na pewno jest. Boleśnie daleko, może nawet setki kilometrów stąd, ale coś tam jest, więc tam właśnie trzeba podążać. Nie można zostać na tym pustkowiu. Żołądek zaczyna burczeć z głodu, a słońce wysusza całą deszczówkę. Strach wejść między drzewa; ich widok przyprawia o dreszcze. Isabella postanawia zatem trzymać się plaży i iść na południe.

Ma ochotę płakać, ale płacz nie pomoże. Płacz nie zwrócił jej Daniela. Płacz nie ocali jego bransoletki ani nie ułatwi wyprawy do Nowego Jorku i odnalezienia siostry. Isabella wstaje, chwytając sznur zrobiony z halki i schodzi na drugą stronę porośniętego trawą wzniesienia, gdzie czeka gładki, czysty piasek. Lepiej wędrować wieczorem, kiedy jest chłodniej, a odpoczywać podczas największego upału. Isabella idzie przed siebie, ciągnąc za sobą orzechowy kufer. Idzie, a na czarnym niebie pojawiają się tysiące gwiazd ułożonych w nieznane wzory. Idzie, choć minęła już północ, przepędzając ciepłe powietrze. Isabella idzie, aż w końcu uginają się pod nią kolana i dosłownie leci z nóg. Zbliży się do krawędzi kolczastego lasu, kładzie się na piasku i zasypia.

Po przebudzeniu zdaje sobie sprawę, że nie zaznała dotąd prawdziwego głodu. Może kiedyś

czuła przed śniadaniem lekkie ssanie w żołądku. W tej chwili głód jest obezwładniający, aż bołą wnętrzności. Słońce stoi wysoko na niebie i Isabella wie, że marsz teraz równałby się samobójstwu. Nie boi się już tak bardzo lasu, więc wchodzi między drzewa w poszukiwaniu cienia. Znajduje tam kałuże deszczówki, więc może zwilżyć wyschnięte na wiór wargi. Skóra na jej twarzy, mimo osłony, jest popękana i przesuszona od soli, wiatru i blasku słońca odbitego w wodzie, a ręce poparzone i obolałe od ciągnięcia ciężkiego kufra. Isabella patrzy na swoje dłonie, zastanawiając się, gdzie jest teraz jej obrączka ślubna.

Z całą resztą biżuterii, w wyściełanym jedwabiem puzderku, na dnie oceanu. Raptem kilka dni temu Isabella przeglądała swoje kosztowności i spisywała je, planując ucieczkę. Wszystko pochłonęła woda.

Kobieta siada, obejmuje kolana i pochyla się do przodu, próbując znaleźć wygodną pozycję wśród piasku i opadłych liści, jednak jej żołądek kurczy się z głodu. Powinna coś zjeść. Cokolwiek. Rozgląda się dokoła. W Anglii wiedziałaby, gdzie szukać jagód lub brzoskwiń. Na myśl o owocach zaczyna się ślinić. Wstaje, na chwilę zostawiając kufer bez nadzoru. Tutaj i tak nikt go nie ukradnie. Wchodzi jeszcze głębiej między drzewa, gałązki drapią jej ręce. Powietrze wypełnia intensywna, nieznaną woń, kwaśna i ostra. Drzewa i krzewy wyglądają, jakby nie mogły rodić owoców. Wszystko jest nagie, suche, jałowe.

Isabella zamiera na dźwięk odgłosu pełzania dochodzącego gdzieś z krzaków. Czy to wąż? A może coś jeszcze gorszego? Kobieta wraca do kufra, siada obok niego i stara się nie myśleć o jedzeniu czy picciu.

Oczywiście zdaje sobie sprawę, że Winterbourne'owie będą szukać buławy. Chce się jej pozbyć, chce się uwolnić od rodziny męża. Szczególnie od Percy'ego. Zdążyła już wpaść w panikę na myśl o tym, co zrobiłby jej szwagier, gdyby się dowiedział, że Isabella ma buławę. W najbardziej upalnych godzinach dnia raz po raz stara się otworzyć kufer. Używa do tego kamieni, patyków i ostrych muszli. Uderza się przy tym w palec, który sinieje, ale kufer pozostaje zamknięty. Klucz został w kieszeni kamizelki jej męża. Może ocean wyrzucił ciało Arthura na brzeg, a może spoczywa ono głęboko w wodzie. Kiedy Isabella dotrze do cywilizacji, na pewno zdoła otworzyć kufer. Przecież jest zrobiony z drewna. Wystarczy pożyczyć narzędzia, żeby podnieść wieko i wyjąć bransoletkę Daniela. Potem Isabella musi się dostać do portu, z którego odpływają statki do Nowego Jorku. Winterbourne'owie pomyślą, że zginęła, więc nie zaczną jej szukać. Będzie wolna, jeśli tylko zdoła przeżyć i pozbyć się jakoś tej przeklętej buławy.

Cienie się wydłużają, więc Isabella wstaje i rusza w dalszą drogę. Dziś idzie wolniej: na jeden przyływ i odpływ fali przypadają cztery kroki. Osłabia ją głód, ale tuż przed zmrokiem widzi przed sobą koryto wyżłobione w piasku przez brązowy strumień. Brnie przez plażę, wchodzi między

drzewa, pochyła się nad strumieniem i garściami czerpie wodę. Po ulewnym deszczu strumień płynie wartko, wody jest dużo. Isabelli nie przeszkadza jej dziwny mineralny smak, pije, aż zaczyna ją boleć brzuch. Postanawia spędzić tu noc i następny poranek. Będzie mogła słuchać szumu wody, spokojna, że nie umrze z pragnienia. Ziemia wokół strumienia jest miękka. Isabella leży na niej dłuższą chwilę, nie śpiąc, tylko wpatrując się w nieznane gwiazdy lśniące między ostrymi liśćmi.

O świcie budzi ją głód. Isabella ma zdartą skórę ze stóp i ręce pokryte pęcherzami, ale czuje tylko głód. Nie jest już kobietą, składa się z bolesnej pustki. Musi znaleźć jedzenie. Wie, że trzeba się zdobyć na odwagę i wejść głębiej między drzewa.

Słabymi, drżącymi palcami owija kufer sznurem splecionym z halki i mocuje go na plecach, wiążąc węzły i uchwyty wokół ramion. Widziała rysunki, na których tubylcze kobiety nosiły w ten sposób dzieci. Idzie powoli, w górę strumienia, przedzierając się przez kamienie, gałązki i gnijące liście. Poszycie jest gęste, ale Isabelli udaje się znaleźć piaszczystą ścieżkę. Słyszac głosy nieznanich ptaków, zaczyna tęsknić za kosami.

I nagle kątem oka zauważa jakiś ruch. Wzdryga się, odwraca głowę i widzi dużą, szaro-brązową jaszczurkę oplatającą nogami cienki pień drzewa. Jaszczurka przygląda się Isabelli, a Isabella – jaszczurce.

Czuje lęk i obrzydzenie, ale jednocześnie zdaje sobie sprawę, że jeśli złapie i ugotuje to zwierzę, będzie mogła je zjeść.

Jednakże wielkie pazury gada wyglądają na ostre, a Isabella zwleka zbyt długo i zwierzę ucieka po drzewie na wyższą gałąź. Teraz widać już tylko ogon. Kobieta żałuje, że się nie pośpieszyła, ponieważ jej żołądek burczy z głodu, a ona czuje się słabo i ma zawroty głowy.

Spogląda za siebie. Drzewa zasłaniają plażę, ale wciąż słychać ocean i można znaleźć drogę powrotną.

Iść głębiej w las? Ale po co? Na co można tam liczyć? Isabella czuje przyływ rozpacz, jednak nie pada na kolana i nie wali pięścią w drzewo. Prze dalej, kalecząc stopy o kamienie i opadłe gałązki. Cały czas się rozgląda. Nie wie, co jest jadalne, a co nie. Widzi krzew pokryty pozwijanymi żółtymi kwiatami i jagodami w kształcie jajek. Część z nich spadła już na ziemię. Isabella pochyła się, podnosi jeden owoc i obraca go w palcach. A jeśli to trujące?

Jeśli tak jest, to umrze szybciej, zamiast konać powoli.

Isabella zjada słodką zieloną jagodę. Uderza zębami o nasionko, które wypluwa. Zjada wszystkie opadłe jagody, a potem zrywa jeszcze trochę owoców z krzewu. Te są twarde i kwaśne. Isabella idzie w głąb lasu, szukając na ziemi innych owoców. Żołądek jęczy z głodu. Nie wystarczy jej garść jagód, ale przynajmniej coś zjadła.

Słońce grzeje coraz mocniej, a Isabella nie może znieść strużek potu pod piersiami. Bola ją plecy, więc zdejmuje z nich kufer i układa go między ciemnymi korzeniami drzew. Potem siada na skrzyni, starając się ukryć w cieniu spalone słońcem ręce.

Coś się rusza w poszyciu, widać błysk bieli. Isabella patrzy niepewnie, po chwili wstaje i rusza w tamtą stronę. Widzi mewę, ranną albo starą, trzepocącą jednym skrzydłem, niezdolną do latania czy ucieczki.

Instynkt jest silniejszy niż wszystko inne. Od czterech dni Isabella nie zjadła nic prócz garści jagód. Szuka wzrokiem kamienia, a gdy go znajduje, przymyka oczy i uderza w cieką czaszkę ptaka. Ten przestaje trzepotać.

Robi jej się niedobrze na myśl o tym, co właśnie zrobiła. Nigdy wcześniej nie zabijała, a teraz jest słaba i nieodporna, więc jej serce ściska żal. Mewa tak dzielnie walczyła o życie, tak okropnie zginęła. Isabella kuca przy okaleczonym ciałku i z dłońmi we włosach zaczyna szlochać. Jej szloch rozlega się w świeżym morskim powietrzu, odbija się echem od kolczastych drzew, wsiąka w ziemię i przyprawia ją o drgania.

Głód przypomina, że trzeba przestać płakać. Musi iść dalej. Isabella podnosi ptaka za nogi i układa go na brzuszku, starając się patrzeć w inną stronę. Widziała, jak kucharka skubała i patroszyła ptactwo, więc ma pewne pojęcie o tym, co powinna robić. Nigdy jednak nie krzesła ognia. Postanawia działać metodycznie. Znajduje kamienie do obłożenia paleniska, podpałkę i kilka suchych patyków do pocierania. Ma na rękach plamy krwi, więc powtarza sobie, że nie może się zniechęcać, bo przy gotowaniu zawsze leje się krew. Rozlewa się regularnie w kuchniach na całym świecie. Isabella pociera patyki, pociera, pociera, pociera. I nic. Siada na podwiniętych nogach i próbuje raz jeszcze. Wciąż nic. Okrzyk zawodu rozdziera jej gardło. Znow pociera patyki. Gdzie jest ogień? GDZIE TEN PRZEKLETY OGIENŃ?

Nagle słyszy jakiś dźwięk. Przestraszona ogląda się za siebie.

To pies. Nie, raczej wilk. Coś pomiędzy psem a wilkiem stoi po drugiej stronie kufra. Isabella patrzy na zwierzę, a potem na martwą mewę i rzuca się naprzód.

Dziki pies robi to samo. Otwiera szeroko pysk i chwytą mewę w zęby w tej samej chwili, kiedy dłonie Isabelli dotykają miękkich piór. Dziki pies się nie waha. Wypuszcza ptaka i zaciska mocne, ostre kły na jej dłoni. Isabella krzyczy, czuje gorący, przenikliwy ból. Próbuje się wycofać, ale dziki pies nie puszcza jej ręki. Kobieta zaciska drugą dłoń w pięść i uderza nią w głowę psa. Zwierzę otwiera pysk, ona zatacza się do tyłu, a dziki pies ucieka, unosząc w zębach martwą mewę.

– Nie! – krzyczy Isabella. – Nie, nie, nie!

Krew cieknie z pogryzionej dłoni, na poparzonej skórze został dokładny zarys pyska. Isabella zdejmuje halkę z głowy i tkaniną owija rękę, żeby powstrzymać krwawienie. Czuje, że wypełnia

i otacza ją nicość. Kompletna nicość. Opada ciężko na kufer i nie może się ruszyć.

Wczesnym wieczorem jej zmysły zaczynają szwankować, ponieważ Isabella ma wrażenie, że czuje woń pieczonego mięsa. Wstaje i wciąga powietrze w nozdrza. Ślina napływa jej do ust, ale kobieta zdaje sobie sprawę, że to tylko złudzenie, coś jak fatamorgana na pustyni, choć w jej przypadku nie chodzi o wodę, ale o jedzenie. Ponownie przymocowuje kufer do pleców i postanawia, że musi coś zjeść, choćby miała się od tego pochorować. Nie może iść dalej z pustym żołądkiem. Bez namysłu sięga tak wysoko, jak tylko się da, po różowe jagody rosnące na kolczastych drzewach, zrywa je i zaczyna ssać. Przedziera się przez gałęzie i splątane poszycie, ignorując zadrapania, których siatkę widać przez dziury w poszarpanych rękawach sukni, i przystając często, żeby się napić wody ze strumienia. Głowa jej pęka, myśli są ponure i chaotyczne.

– Cicho – mówi sama do siebie. – Cicho. Pozbądź się tych myśli. Jeśli tylko coś zjesz, wszystko się ułoży. Wszystko będzie dobrze.

Kiedy napełni żołądek, znów ruszy prosto na południe. Znajdzie jakieś miasto, a tam jedzenie: pieczoną wołowinę z młodymi ziemniakami, yorkshire pudding i sos.

Isabella jest zbyt zajęta mówieniem do siebie, by usłyszeć odgłosy kroków. Na widok cienia podnosi wzrok. Serce skacze jej do gardła. Przed nią stoją dwaj mężczyźni ubrani wyłącznie w bransoletki z muszli. Każdy z nich dzierży w dłoni długą dzidę.

Kobieta zaczyna krzyczeć. Robi krok w tył i próbuje uciec, ale potyka się o gałąź i przewraca na wznak. Kufer na jej plecach czyni upadek jeszcze boleśniejszym. Czując przeszywający ból w szyi, Isabella krzyczy i wymachuje rękami w powietrzu. Nagle zapada się w ciemność i nie ma już ucieczki.

Jej pole obserwacji jest ograniczone do wąskiej szczeliny. Przez nią widać tylko gwałtowne ruchy, światło i mrok. Isabella ponownie zamyka oczy, chcąc jeszcze raz zanurzyć się w miękką ciemność, ale coś jej przeszkadza. Z wysiłkiem otwiera znów oczy. Jej głowę przeszywa ostry ból. Próbuje poruszyć rękami i nogami, ale kończyny są słabe, bezwolne. Mruga powiekami, po czym uświadamia sobie, że ktoś ją niesie – niesie niczym małe dziecko. To jeden z tubylców. Isabella się szarpie, a on przyciska ją mocniej do nagiej piersi. Ona sięga do jego oczu i próbuje drapać, mężczyzna jednak z łatwością unieruchamia jej dłoń i przytrzymuje na brzuchu Isabelli. Mówi coś do swoich towarzyszy, a Isabella zdaje sobie sprawę, że nie ma już orzechowego kufra. Złodzieje! Porywacze! Co oni z nią zrobią? Krzyczy, złorzeczy im i szarpie się, ale jest słaba i poraniona.

Niosący ją mężczyzna rzuca jej kilka słów. Isabella ze łzami w oczach kręci głową.

– Nie rozumiem.

Mężczyzna podnosi dłoń do jej gardła. Isabella się wzdryga, ale po chwili czuje jego palce na karku. Mężczyzna pokazuje, że są pokryte krwią. Isabella sięga w to samo miejsce i znajduje tam piekące rozcięcie, z którego cieknie krew. Ból przeszywa ją od stóp do głów.

Dwaj nadzy czarnoskórzy mężczyźni zabierają ją w głąb lasu, biegnąc po nierównym terenie. Podeszwy ich stóp muszą być twarde jak wyprawiona skóra, ponieważ będą szybko i lekko. Isabella czuje się jak mewa: jest zbyt obolała, by walczyć. Czeka ją upiorna śmierć.

Nagle czuje woń pieczonego mięsa. Tubylcy niosą Isabellę do zielonego zagajnika, przeciętego przez strumień. Po jego drugiej stronie widać kilkunastu czarnoskórych ludzi zebranych wokół ogniska. Z boku stoi pięć chatek. Kobiety zajmują się pulchnymi dziećmi albo pieką nad ogniem wbite na dzidy mięso; mężczyźni rozmawiają albo siedzą na kamieniach, ostrząc i naprawiając broń. Nikt nie ma na sobie odzienia. Isabella nigdy wcześniej nie widziała nagiego mężczyzny, tylko Arthura w ciemnej sypialni. Nie wie, gdzie podziąć oczy.

– Co ze mną zrobicie? – pyta. Czy ci tubylcy są kanibalami?

Tymczasem porywacze ostrożnie układają Isabellę na ziemi i wołają kogoś. Po krótkiej chwili zjawia się tęga kobieta o łagodnym spojrzeniu i rozkołysanych piersiach. Mężczyźni tłumaczą jej coś w swoim narzeczu. Kobieta pomaga Isabelli usiąść i sugestywnie podnosi dłoń do ust. Proponuje jedzenie.

– Tak! – krzyczy Isabella. – Tak. Jeść. Tak.

Tubylcy znów wołają coś do siebie, a potem przynoszą dzidę z pieczoną jaszczurką. Isabella

odrywa kawałek białego mięsa i bez chwili namysłu wpycha do ust. Mięso jest miękkie, lekko gumowate i ma dymny posmak. Wyglądiała Isabella ma wrażenie, że nigdy w życiu nie jadła niczego smaczniejszego.

Podczas gdy ona je, czarnoskóra kobieta mówi coś cicho, czyszcząc przy tym ranę i smarując ją maścią o bardzo ostrej woni. Potem ogląda ślady zębów dzikiego psa na dłoni Isabelli, cmoka i dodaje jeszcze kilka słów. Isabella tłumaczy, że nic nie rozumie, ale kobieta mówi dalej. Jakieś dziecko, dopiero uczące się chodzić, zbliża się do nich chwiejnym krokiem i łapie Isabellę za drugą rękę. Isabella uśmiecha się, oczarowana pyzatymi policzkami i ciemnymi oczami malucha, który podciąga rękaw jej sukni i podziwia białą skórę. Pod dotykiem dziecięcych rączek Isabella odpręża się nieco. Malec jest szczęśliwy i zdrowy, a zatem ludzie, którzy go wychowują, muszą być dobrzy.

Isabella odwraca się do kobiety i mówi z serdecznym uśmiechem:

– Dziękuję bardzo.

Tubylcza kobieta może nie rozumieć tych słów, ale bez trudu wychwytuje ich znaczenie. Pokazuje palcem chatki, a potem ciemniejące niebo. Proponuje nocleg.

Isabella patrzy w stronę otwartych chatek. Niebo zaczyna pokrywać chmury, zanoszą się na deszcz. Kufer pozostał w lesie, wciąż leży tam, gdzie upadła. Ale kto miałby go ukraść? Z pewnością można spędzić tu noc. Przespać się na czymś miękkim, może nawet zjeść jakieś śniadanie.

Isabella kiwa głową.

– Tak, dziękuję.

Isabella leży na miękkich liściach i skórkach zwierząt. Śpi jak kłoda. Kiedy się budzi, wczorajsza opiekunka przynosi jej więcej jedzenia i ponownie opatruje ranę. Isabella próbuje wstać, ale kobieta każe leżeć, cmokając przy tym językiem. Przesłanie jest jasne: „Jeszcze nie odzyskałaś sił. Musisz tu zostać”. Isabella chętnie się zgadza. Przez cały dzień obserwuje, jak tubylcy wychodzą z obozu i wracają do niego, przynosząc ryby, jaszczurki i dzikie psy, koszyki pełne jagód i owoców, które Isabella widziała po drodze. Dobrze ją karmią. Zaczyna padać. Isabella się zastanawia, czy w promieniu kilkuset kilometrów są tu jeszcze jacyś inni ludzie. Może powinna zostać z tubylcami i przyłączyć się do ich plemienia. Przynajmniej już nigdy nie zaznałaby głodu. Ogarnia ją jednak przemożne pragnienie, by wrócić do kufra i odzyskać bransoletkę Daniela. Isabella tęskni za rodziną, za siostrą. Obiecuje sobie, że o brzasku wyruszy w dalszą drogę.

Nic jej się nie śni aż do świtu. Dopiero wtedy przed jej oczami przemykają chaotyczne obrazy. Znowu jest w ciąży, spomiędzy jej nóg leje się krew, ale kiedy patrzy w dół, na piasek, nie widzi tam dziecka, tylko martwe ciała marynarzy. Urodziła śmierć. Budzi się gwałtownie. Próbuje czerpać otuchę ze świadomości, że przeżyła i jest bezpieczna, lecz to jej nie pociesza. Czuje tylko rozpacz, szarą jak niebo przed świtem.

Wstaje z pośłania. Wszyscy jeszcze śpią. Musi stąd uciekać: koszmarny sen z pewnością uwiązał teraz wśród otaczających chatki drzew, przeniknął do piaszczystej gleby, zostanie tu przez cały dzień, cały tydzień. Głowa już nie boli, a Isabella jest wystarczająco silna, by iść dalej. Musi wrócić po kufer i skierować się na południe, gdzie na pewno znajdzie domy i gotowane posiłki na talerzach. W słabym świetle świtu cichutko, na palcach przemyka koło tubylców i wchodzi między ciemne drzewa. Kufer cały czas leży tam, gdzie upadła. Jest nietknięty. Isabella na nowo obwiązuje sznurkiem mosiężne uchwyty i znów ciągnie za sobą ciężar w stronę opustoszałej plaży.

Niebo pokrywają ciemne, skłębione chmury. Spadnie jeszcze więcej deszczu, ale to pozwoli na chwilę wytchnienia po palącym upale.

Nagle serce Isabelli zamiera. Czy to błyskawica? Kobieta spogląda na południe. To błyskawica? Czy może...?

Jest. Znowu. Światło, ledwo widoczne w szarym świetle brzasku, ślizga się po chmurach i znika. Latarnia morska. Sens powraca. Zmysły się wyostrzają. Na nowo rodzi się nadzieja. Przecież tam, gdzie latarnia, musi być latarnik.

Plaża ciągnie się bez końca. Ocean jest niemal szmaragdowy, pokryty pianą bielszą niż świeży śnieg. Faluje i ryczy, faluje i ryczy, a Isabella stawia stopę za stopą, wlokąc swój ciężar po piasku. Rytm marszu zaczyna się zmieniać. Isabella zaspokaja pragnienie w spotykanych regularnie strumieniach, wie już także, które owoce i jagody są jadalne, nawet jeśli wydają się twarde i suche. Jest jednak tylko człowiekiem. Ulega znużeniu. Robi sobie coraz dłuższe przerwy. Idzie wolniej, pokonuje mniejsze odległości. Nogi jej się płaczą, czasem pada na kolana. Każdego dnia próbuje zostawić za sobą kolejny odcinek drogi; idzie popołudniami i wieczorami, starając się oszczędzać siły. Otacza ją bezkresna, bolesna pustka. Ta pustka wypełnia również jej wnętrze. „Jesteś tu sama” – zdaje się powtarzać ocean. Sama, sama. Powoli, poważnie, bez końca Isabella idzie w milczeniu, ale kiedy przystaje, zaczyna mówić, nawet sobie tego nie uświadamiając. Słyszy swój własny głos i czuje niepokój. Dlaczego mówi? Co właściwie mówi? Powtarza sobie, że musi przestać, ale po chwili znów słyszy swój głos. Nie próbuje już tego powstrzymać. Jest zbyt zmęczona, by się skupić i kontrolować myśli. Otwiera umysł i zagląda pod podszewkę świata. Widzi tam wielkie tryby, które nim poruszają, i jego oślepiająco autentyczny bezsens. Teraz wie, że nigdy tego nie zapomni. Przyszłość może przynieść jej bezpieczeństwo, pożywienie, może nawet szczęście, ale i tak jest już za późno. Poznała prawdę na temat życia.

Bołą ją ramiona. Idzie dalej.

Idzie dalej.

Nie liczy dni. Nie chce ich rozpamiętywać, bo to tylko pogłębia jej wyczerpanie, podsyca rozpaczliwy lęk, że na południu niczego jednak nie ma. Niczego. Noce są pogodne i światło latarni nie może się odbić od chmur, więc już go nie widzi. Zawsze miała bujną wyobraźnię: może latarnia morska była tylko złudzeniem. Codziennie przed rozpoczęciem marszu Isabella wchodzi do ciepłej wody, żeby splukać głowę, oczyścić rany i zebrać odwagę, która poniesie ją jeszcze kawałek dalej. Elegancka niegdyś suknia zwisa teraz w strzępach, brudna, poplamiona krwią. Wydyma się i unosi wokół swojej właścicielki niczym ogromna meduza. Isabella zamyka oczy, poddaje się ruchowi fal. Potem znowu unosi powieki i spogląda na południe.

I wreszcie któregoś dnia znowu to widzi. Jasno i wyraźnie, na własne oczy, bez żadnych złudzeń i przywidzeń na tle chmur.

Światło. Rozświetlona latarnia morska w mglistej oddali.

Isabella wyskakuje z wody, która spowalnia jej ruchy. Nie jest już głodna ani zmęczona, ani obolała. Ma tylko jeden cel – dotrzeć do latarni. To w tej chwili jakieś dwadzieścia pięć kilometrów. Może dotrze tam jutro, nim światło znowu rozbłyśnie.

A potem niech będzie, co ma być.

Tej nocy nie może zasnąć z podniecenia. Opiera się pokusie całonocnego marszu; wie, że prędzej czy później padłaby z wyczerpania. W końcu pogrąża się we śnie. Po przebudzeniu znów czeka na nią ten sam widok. Przysłonięty lekką mgiełką cypel. Białoczerwona latarnia. Już niedaleko, już niedaleko. Isabella zbiera nieco owoców i pije wodę ze strumienia, ale nie może się już doczekać, by ruszyć w drogę, nie zważając na słońce i upał, przekroczyć granice własnej wytrzymałości. W oddali wreszcie majaczy kres jej wędrówki.

Powolutku, krok za krokiem i często przystając, idzie przed siebie po plaży.

Nie uda się jej. Jeszcze nie dziś. Gdyby była w pełni sił i szła bez obciążenia w cieniu wielkich dębów, może dałaby radę. Teraz boi się jednak, że nadmierny wysiłek ją zabije. Przed południem znów chowa się w lesie. Po południu idzie dalej. Widzi rozbłyskujące światło i ma ochotę zapłakać. Myślała, że już tam dotrze. Nie chce umierać tak blisko celu.

Śpi długo i twardo. Jej ciało nie ma już energii. Isabella nie może ryzykować marszu w żarze dnia, więc czeka, aż słońce zacznie się chylić ku zachodowi, i dopiero wtedy wstaje. Nogi ma jak z waty, stopy obolałe. Rusza z trudem, ciągnąc zniechęcony sznur. Jest blisko, tak blisko celu.

Jedna stopa. Druga stopa. Z każdym krokiem plaża robi się coraz bardziej kamienista. Jedna stopa. Druga stopa. Każdy ruch trwa całą wieczność. „Musisz przeżyć, Isabello – napomina się surowo. – Nie możesz teraz upaść”.

Jedyna droga do latarni wiedzie po kamiennym klifie, wysokim na jakieś trzy metry. Isabella

rozważa, czy nie obejść tego miejsca, brnąc przez zarośla, ale boi się, że nie widząc oceanu, straci orientację. Ponownie przywiązuje kufer do pleców i zaczyna się wspinać.

Dokoła zapada zmierzch. W górze kołują mewy, zaczyna wiać orzeźwiająca bryza. Zgięta w pół Isabella dyszy i sapie, wdrapując się bosą po kamieniach. W pewnym momencie ziemia ucieka jej spod stóp, a ona upada i kaleczy zranioną dłoń o ostrą krawędź skały. Teraz jednak nawet nowa rana nie może jej zatrzymać. Naprzód, naprzód. Wyżej, wyżej. Dociera na szczyt w chwili, gdy latarnia rozbłyskuje na nowo. Światło w ciemnościach. Wreszcie jest u celu. Teraz wszystko będzie dobrze.

Na pewno.

Isabella czuje zawroty głowy i dzwonięcie w uszach.

Okrąża latarnię na ciężkich jak ołów stopach. W pobliżu widzi maleńką chatkę, właściwie drewniane pudło dobudowane do latarni. Resztkami sił podnosi rękę i słabo puka do drzwi. Boi się, że nikt jej nie otworzy, więc po kilku sekundach puka raz jeszcze i przerażająco cichym głosem woła:

– Ratunku! Potrzebuję pomocy!

Widzi, że zostawiła na drzwiach smugę krwi. Ogląda dłoń. W półmroku krew jest ciemna.

Ktoś uchyla drzwi. Isabella spogląda w czarne oczy wysokiego, szczupłego, mniej więcej czterdziestoletniego mężczyzny, które otwierają się szeroko na jej widok.

– Proszę... proszę... – mówi Isabella. Tylko tyle jest w stanie wykrztusić. Wszystkie inne słowa ulatują, a ona traci równowagę i pada na kolana. Mężczyzna podtrzymuje ją silnymi ramionami, bierze na ręce i wnosi do środka. Przed jej oczami wirują plamy mroku i drżące światła, a potem wszystko spowija szarość.

Kiedy Isabella znów wraca do rzeczywistości, jest noc. Pali się świeczka, a ona leży na prostym wąskim łóżku przykrytym szorstkimi kocami.

Otwiera i zamyka oczy, próbując odzyskać świadomość. Na stołku koło posłania siedzi brodaty mężczyzna z poważnym wyrazem twarzy. Latarnik. A zatem wreszcie dotarła do latarni. Wzdycha z ulgą.

– Jak pani na imię? – pyta cicho mężczyzna.

Isabella otwiera usta, żeby się przedstawić, ale zmienia zdanie. A jeśli Winterbourne'owie zaczęli jej szukać?

– Mary Harrow – mówi.

– Da pani radę wstać, Mary? Mam zupę, chleb i czystą wodę. Powinna pani jeść, żeby odzyskać siły.

– Jak długo spałam?

– Sześć godzin. Już prawie północ.

Isabella siada i ostrożnie opuszcza stopy na podłogę.

– Pomogę pani – mówi mężczyzna, po czym obejmuje ją w talii i prowadzi koło krętych schodów do małego, niskiego pomieszczenia. Jest tam umywalka, okrągły stolik, krzesło i żeliwny piecyk. W powietrzu unosi się woń smażonej ryby i tytoniu. Mężczyzna pomaga Isabelli usiąść na krześle. Kobieta widzi teraz swój kufer, wciąż obwiązany sznurem z halki, stojący na drewnianej podłodze.

Siedzi w milczeniu. Jest pod opieką latarnika, może odpocząć. Mężczyzna wyciąga ze skrzyni pod umywalką pudełko ze środkami opatrunkowymi, potem zapala lampę i ustawia ją na stole, tuż koło dłoni Isabelli. Czyści i opatruje ranę, unikając wzroku kobiety. Pochyla głowę w skupieniu, więc Isabella może mu się swobodnie przyjrzeć: ma ciemne, kręcone włosy, schludną szpakowatą brodę, poważnie zmarszczone brwi i zręczne palce.

– Skąd się pani tu wzięła? – pyta ją wreszcie.

– Nie mogę powiedzieć.

– Co jest w tym kufrze, który pani dźwigała?

– Ciężar, od którego chciałabym się jak najszybciej uwolnić.

Mężczyzna się pochyła, by obejrzeć kufer, a Isabella zrywa się z krzesła i zastawia mu drogę.

– Nie może pan go tknąć.

Zaskoczony latarnik się wycofuje. Mówi do niej, jakby przemawiał do rannego zwierzęcia, lekko unosząc dłonie.

– Spokojnie – zapewnia. – Nie tknę kufra, jeśli pani sobie tego nie życzy.

Isabella jest przygnębiona i dezorientowana. Ma wrażenie, że się rozsypuje, niczym rzeźba z piasku pod wpływem wiatru.

– Jestem bardzo głodna – wyznaje.

Latarnik kiwa głową i podchodzi do piecyka. Isabella wbija wzrok w skaleczoną dłoń i nie może sobie przypomnieć, jak ją zraniła. Wyteża pamięć. Wspomnienia powracają przebłyskami. Jadła jaszczurkę. Zbierała jagody. Brnęła przez piasek. Potem przypomina sobie, że skaleczyła się zaledwie kilka godzin temu, podczas wspinaczki po skałach. Zanik pamięci przyprawia ją o atak paniki. Co się dzieje z jej głową? Isabella ponownie zrywa się z krzesła i zaczyna przemierzać pokój.

Latarnik podchodzi do niej z talerzem parującej zupy. Obserwuje ruchy Isabelli i stoi nieruchomo, jakby liczył na to, że jego spokój udzieli się kobiecie. W końcu Isabella też się zatrzymuje i spogląda na niego w gęstniejących ciemnościach.

– Nazywam się Matthew Seaward – mówi mężczyzna.

– Jestem bardzo głodna – powtarza Isabella.

Latarnik gestem zaprasza ją do stołu, więc Isabella siada. Powietrze w chatce jest gorące i przesycone wonią oleju, stęchlizny, starych wodorostów, wilgotnego drewna. Isabelli to nie

przeszkadza. Wciąga w płuca kojącą woń. Czujesz się bezpieczna, przynajmniej na razie. Zupa jest słona i gęsta. Isabella z zachwytem ją zajada, a potem popija kubkiem czystej, chłodnej wody. Jej umysł zaczyna funkcjonować normalnie. Uspokaja się.

– Nie mam się gdzie podziąć – mówi. – Nie wiem, co robić.

Mężczyzna opiera się o umywalkę, przebiegając wzrokiem po włosach, sukni i dłoniach Isabelli.

Na koniec spogląda jej w oczy.

– W pani oczach jest strach. Co pani widziała?

Isabella potrząsa głową.

– Proszę mnie nie pytać.

Pochyla głowę i opiera ją na wyciągniętych ramionach.

Latarnik odzywa się dopiero po dłuższej chwili.

– Do miasteczka jest niecały kilometr. Ktoś na pewno przyjmie panią pod swój dach.

– Nie mogę się nikomu pokazać w takim stanie.

– W sypialni są ubrania. Należały do żony poprzedniego latarnika. Są też buty. Na początku głównej ulicy stoi duży dom. Bładoróżowy. Mieszka tam pani Katherine Fullbright. Może się pani zatrzymać u niej.

Żołądek Isabelli ściska się pod wpływem rozczarowania. Ona nie chce iść do miasteczka. Chce zostać tutaj, nie ruszać się z krzesła. Jej męka miała się tu zakończyć, ale najwyraźniej to jeszcze nie ten moment. Isabella zaczyna sobie uświadamiać, że nie będzie żadnego końca. Przed zatonięciem statku miała złamane serce, teraz ma również zamęt w głowie.

Nieskończenie łagodny ton mężczyzny kontrastuje z jego potężną sylwetką i zauważalną siłą mięśni.

– Mary, dziś może pani przenocować tutaj. Jutro się pani wykąpie i ogarnie. Pani Fullbright zwraca uwagę na wygląd, więc podarta suknia i brudna twarz nie przypadłyby jej do gustu. Ale nie może pani zostać tu dłużej. Tak nie wypada.

Oszołomiona Isabella z trudem pojmuje znaczenie tych słów. W końcu dociera do niej, że mężczyzna chce zadbać o jej reputację. Ona sama zupełnie się o nią nie troszczy, ale kiwa głową, bo czuje, że jej rozmówca nie zmieni zdania.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Kończy zupę i wraca do łóżka. Koce są szorstkie, a materac się zapada. Widać, że w pokoju mieszka mężczyzna: nie ma tu ozdobnych poduszek, zasłon, obrusów, kryształowych karafek ani wazonów. Czuć woń tytoniu, gazet, oleju i kurzu. Rzeczy Matthew Seawarda. Isabella zasypia w jego łóżku i nic jej się nie śni.

Libby przez cały tydzień starała się na nowo uporządkować swoje życie, wprowadzić w jakiś ład i plan. Czowała się jak mrówka, której ślady zostały zmyte przez deszcz i która musi teraz znaleźć drogę przez nowe terytorium. Robiła zakupy w miejscowym sklepie spożywczym i poznała imię właściciela, który pakował jej warzywa. Załatwiła podłączenie prądu i telefonu, znalazła kogoś do umycia okien. Wyrobiła sobie kartę w najbliższej bibliotece. Wypucowała domek od dachu do podłogi. Siostry unikała: chłodne przyjęcie dowodziło, że uczucia Juliet wobec niej są wyłącznie wrogie. Codziennie po południu pływała w oceanie, dopóki nie zapadła noc, kiedy toną osnutym mgiełką południu zaczynały się zapalać światła nad zatoką w Noosa. Poza tym rysowała, spędzając długie godziny w doskonale oświetlonej pracowni, zwinięta na bujanym fotelu z notesem na kolanach. Snuła przy tym plany, że już wkrótce coś namaluje.

Między zajęciami musiała sobie robić przerwy, odpoczywać i walczyć ze łzami. Żałoba wypełniała każdą jej myśl, każde działanie. Libby zmuszała się do pracy, do organizowania sobie nowego życia. Tego życzyłby sobie Mark.

Tydzień po przyjeździe kupiła nową kartę SIM z lokalnym numerem do swojego telefonu. Przed jej włożeniem naładowała baterię, żeby sprawdzić, czy w poczcie głosowej nie ma jakichś nowych wiadomości. Nie spodziewała się żadnych, więc zaskoczył ją dźwięk głosu Cathy, sekretarki Marka.

– Dzień dobry, Libby. Tu Cathy z Winterbourne Jewellers. Mam prośbę – czy mogłabyś do mnie zadzwonić? Chciałabym coś ci przesłać i potrzebuję twojego adresu.

Zdezorientowana Libby ponownie przesłuchała nagranie. W Anglii była teraz pierwsza w nocy. Trzeba poskromić ciekawość jeszcze przez jakieś osiem godzin.

Libby podeszła do lśniącego czystością okna i ujrzała szeroki pas niebieskiego oceanu, złote promienie słońca na spienionych falach. Jej myśli znowu pobiegły do Marka. Czasami udawało jej się o nim zapomnieć. Trwało to pięć, dziesięć błogich minut. Jej ciało wciąż było obolałe od środka, ale czasami nie pamiętała o swoim złamanym sercu. Potem świadomość brutalnie wracała, a Libby wyrzucała sobie, że choćby na chwilę przestała myśleć o ukochanym.

Dzień wypełniło jej rysowanie, sprzątanie i pływanie. Po kąpieli i wstawieniu do mikrofalówki kolejnej porcji lasagne wybrała londyński numer.

W oczekiwaniu na połączenie czuła, jak mocno wali jej serce. Kiedy ostatni raz tam dzwoniła, powiedziała to co zawsze: „Cześć, Cathy, tu Libby Slater. Czy mogłabym porozmawiać z Markiem?”. Teraz musiała powiedzieć coś innego.

– Winterbourne Jewellers, Cathy przy telefonie.

– Cześć, Cathy, tu Libby. Prosiłaś, żebym zadzwoniła.

No i proszę, wcale nie było to takie trudne.

– Cześć, Libby! Odeszłaś z pracy, nie mogliśmy cię namierzyć.

– Wróciłam do Australii.

– A to niespodzianka.

Cathy była jedyną osobą, która mogła coś wiedzieć o romansie Libby i Marka.

– Od dawna męczyłam się w tej pracy. Zostawiłaś mi wiadomość, że chcesz mi coś wysłać?

Libby zdała sobie sprawę, że chodzi nerwowo po pokoju, więc się zatrzymała i oparła o kuchenny stół. Kuchnię zaczęła wypełniać woń lasagne.

– No tak. Tajemnicza sprawa. Przeglądałam papiery w gabinecie Marka. Sama rozumiesz, że było to strasznie smutne zajęcie.

– Przykro mi. Na pewno jest ci ciężko – powiedziała Libby ze ściśniętym gardłem. Chciałaby teraz być w Londynie i przeglądać papiery Marka, znaleźć jakąś pamiątkę, choćby odręczną notatkę.

– Bardzo go nam wszystkim brakuje, Libby...

– A jak radzi sobie rodzina?

– Nie widziałam żadnej z córek, ale z tego, co wiem, starsza jest w ciąży. Emily chyba dzielnie to znosi. Oczywiście jest załamana, ale od dnia pogrzebu regularnie przychodzi do pracy. Wygląda na to, że przejmie obowiązki Marka, przynajmniej na jakiś czas. No, ale miałam mówić o tajemniczych listach. Znalazłam ich sześć, wszystkie adresowane do ciebie, ale wysłane na adres firmy. Mark nie otworzył żadnego z nich, tylko upchnął wszystkie do szuflady.

Libby poczuła jednocześnie podniecenie i strach. Kto miałby pisać do niej na adres Marka? Czy chodziło o kolejną niespodziankę? A może szantaż?

– Jest adres zwrotny?

– Wszystkie wysłano z tej samej firmy, Ashley-Harris Holdings w Australii.

Z firmy. Czyli to nie szantaż ani też niespodzianka.

– Cathy, nie mam pojęcia, co to za firma ani dlaczego ktoś stamtąd pisał do mnie, podając adres Marka. Czy mogłabyś przesłać mi te listy?

– Oczywiście.

Libby podała Cathy swój nowy adres, z żalem zdając sobie sprawę, że kiedy tylko odłoży słuchawkę, jej więź z Markiem zostanie ponownie nadwątlona. Wtedy jednak Cathy powiedziała:

– Libby, mam do ciebie jeszcze jedną sprawę. Nie wiem, czy się zgodzisz, ale Emily powiedziała, że muszę cię o to zapytać.

Libby poczuła ucisk w żołądku. Po dwunastu latach romansu imię żony Marka budziło w niej strach.

– O co chodzi?

– Ktoś z twojej byłej firmy dzwonił, żeby odnowić umowę o współpracy, ale kiedy się dowiedzieliśmy, że już dla nich nie pracujesz, postanowiliśmy jej nie przedłużać. Emily nalegała, żeby cię zapytać, czy zgodziłabyś się zaprojektować nasz katalog jako wolny strzelec. Naturalnie zdaję sobie sprawę, że być może nie jesteś już zainteresowana taką pracą, ale...

– Tak! – przerwała Libby. – Chętnie się tym zajmę.

– Cudownie! Emily będzie zachwycona. Jest wielbicielką twojego talentu.

– Naprawdę?

Mark nigdy nie mówił o żonie, chyba że było to absolutnie konieczne. Libby miała teraz wrażenie, że ktoś zdjął z niej ochronny klosz.

– Pracowałaś dla nas przez dwanaście lat. Jesteś w firmie bardzo wysoko ceniona. Teraz, po śmierci Marka, chcielibyśmy kontynuować współpracę.

– Bardzo mi to pochlebia. W takim razie... – Libby przypomniała sobie nagle, że nie ma komputera, dostępu do internetu ani adresu mejlowego. – Czy mogłabyś dać mi tydzień? Dopiero się tu urządzam i...

– Ależ oczywiście. Odezwij się, kiedy będziesz gotowa, zlecenie czeka na ciebie.

Pożegnały się w momencie, kiedy piknęła mikrofalówka, ale Libby nie siadła do kolacji. Stała w kuchni, patrząc przez okno na ciemniejące niebo, myśląc o przepaści oddzielającej jej stare życie od nowego. Mark już na zawsze miał pozostać odległy o lata świetlne od niej. Po chwili jednak wyprostowała się i postanowiła skończyć z rzewnymi myślami. Co poradziłby jej Mark, gdyby tutaj był? Żeby pogodziła się z siostrą? No cóż, na razie nie odniosła sukcesu, ale nie pożegnała się jeszcze z nadzieją. Żeby rozwiązała tajemnice rodziny Winterbourne'ów? Szanse powodzenia były niewielkie, ale Mark na pewno chciałby pojechać do Winterbourne Beach i zobaczyć wszystko na własne oczy. A zatem miała już plan na następny dzień.

Wyszła z domu tuż po ósmej. Paryż w godzinach szczytu wyglądał zupełnie inaczej. Prawdę mówiąc, w Lighthouse Bay nie istniało coś takiego jak godziny szczytu. Kilka samochodów czekało w kolejce przed rondem, a po ścieżce wzdłuż plaży jechało paru rowerzystów. To wszystko. Libby przypomniała sobie zatłoczone perony w metrze, dławiącą woń cudzych papierosów albo perfum, nieustanne trąbienie paryskich samochodów, których obłąkani kierowcy przepychali się przez wąskie ulice. Teraz opuściła szybę i wciągnęła do płuc zapach oceanu i słońca. Wycieczka na północ autostradą, wzdłuż pól trzcinowych, trwała niecałą godzinę.

Miejscowość Winterbourne Beach była maleńką, mniejszą niż Lighthouse Bay wioską otoczoną przez busz. Znajdowały się tam ogromna, pusta plaża i sklep wielobranżowy pełniący jednocześnie

funkcję punktu informacji turystycznej. Libby wstąpiła tam, żeby kupić czekoladę i sok, a przy okazji wzięła kilka ulotek dotyczących dostępnych w okolicy rozrywek.

„Chcecie znaleźć zaginiony skarb? Wybierzcie nurkowanie przy wraku Aurory!”.

Libby przebiegła wzrokiem treść ulotki. Z zamieszczonej mapki wynikało, że właściciel wypożyczalni sprzętu nurkowego mieszka raptem cztery domy dalej. Telefon nie miał tu zasięgu, więc Libby postanowiła wybrać się tam osobiście. W palącym słońcu podążyła za wskazówkami i po chwili znalazła się przed podniszczonym domem. Na podwórku stała przyczepa, a na niej duża motorówka. Jeśli łódź była tutaj, jej właściciel musiał siedzieć w domu.

Libby ruszyła w stronę drzwi, kiedy zza łodzi wychylił się mężczyzna bez koszuli na wydatnym brzuszku, który zawołał ponuro:

– Dzisiaj nici z nurkowania!

Libby posłała mu uśmiech.

– Nie chcę nurkować, tylko zadać kilka pytań. Ma pan wolną chwilę?

Mężczyzna wytarł dłonie w zatłuszczoną szmatę. Wyglądało na to, że naprawia silnik łodzi.

– A co panią interesuje?

– Historia wraku.

Brzuchacz pokiwał głową.

– Złociutka, moja motorówka nie działa od tygodnia. Straciłem przez to kupę kasy. Jeśli zapłaci mi pani pięćdziesiąt dolców, zaparzę kawę i podzielę się wszystkim, co wiem. Taka płatna usługa.

Libby rozłożyła ręce.

– Oczywiście. Ale niech to będzie dobra kawa.

Facet się uśmiechnął i wyciągnął do niej wielkie łapsko.

– Nazywam się Graeme Beers.

– Libby Slater. Miło cię poznać.

Graeme zaprowadził ją na górę i przez jasny, przestronny salon na szeroką werandę z widokiem na zarośla i ocean. Tam wskazał jej miejsce przy stole. Słońce paliło ramiona Libby, która z irytacją przypomniała sobie, że nie posmarowała ich kremem z filtrem. Odsunęła więc krzesło jak najdalej w stronę ściany, żeby uniknąć promieni.

Nie wyobrażała sobie, że miło będzie się napić porannej kawy w lepkim upale i towarzystwie much, ale napój był wyśmienity. Idealnie zaparzony, podany w białej filiżance, ze śmietanką i herbatnikiem o smaku mango. Od czasu do czasu znad oceanu powiewała mocna bryza, chłodząca skórę i wichrząca włosy. Było zupełnie inaczej niż z Markiem w paryskiej kafejce, ale taka odmiana miała swoje plusy.

Graeme włożył bawełnianą koszulę w niebieską kratę, przyniósł plastikowy segregator i usiadł przy stole.

– Jesteś tu nowa?

– Niezupełnie. Wychowałam się w Lighthouse Bay, więc słyszałam już o skarbie Winterbourne'ów, ale kiedy tu mieszkałam, raczej nie interesowałam się wrakiem.

– Czemu zmieniłaś zdanie?

– Przez wiele lat współpracowałam z firmą Winterbourne'ów.

Ukłucie w sercu. Dlaczego nie powiedziała po prostu na głos: „Mark Winterbourne i ja byliśmy w sobie zakochani”. To nadal musiało pozostać tajemnicą. Już na zawsze tajemnicą.

Graeme pokiwał głową, najwyraźniej pod sporym wrażeniem.

– No dobra, pogadajmy o wraku Aurory. Statek zatonął w kwietniu 1901 roku. Wtedy nie było tu jeszcze miasteczka, tylko kilometry pustego wybrzeża, garstka Aborygenów, mnóstwo dzikich roślin i zwierząt. Aurora była trójmasztowcem... – Po tych słowach otworzył segregator na pierwszej foliowej koszulce zawierającej niewyraźne zdjęcie imponującego okrętu. – ...Statkiem towarowym zbudowanym w stoczni w Glasgow, ale należącym do kapitana Francisa Whiteaway'a z Bristolu. Kapitan pływał na okrągło; kursował między Australią i Anglią, zarabiając przy tym krocie. Sprowadzał z Anglii kafelki, zasłony i inne wymyślne bzdety, które sprzedawał następnie tutejszym bogaczom, a stąd zabierał wełnę dla zmarzniętych Anglików. W momencie katastrofy miał czterdzieści trzy lata. – Graeme przerwał, siorbnął łyk kawy i mówił dalej. – Tym razem miał na statku cenny ładunek. Królowa Wiktorja zamówiła parlamentarną buławę jako prezent dla federalnego rządu australijskiego. – Teraz Graeme pokazał akwarelkę, być może kopię szkicu buławy. – Buława była wykonana ze złota i wysadzana czterema szmaragdami, ośmioma rubinami i czterema szafirami, a na jej wierzchołku umieszczono brylant. Zaprojektował ją Arthur Winterbourne, najstarszy syn rodziny jubilerów. On też nadzorował wykonanie. Chciał sam zawieźć buławę do Australii. Winterbourne i Whiteaway chodzili razem do szkoły, więc Whiteaway chętnie przyjął kumpla na pokład. – Kolejne głośne siorbnięcie, kolejna plastikowa koszulka, tym razem zawierająca meteorologiczną fotografię cyklonu. Głos Graeme'a nabrał teraz złowieszczych tonów; gospodarz z pewnością przemawiał tak zawsze, by podkreślić dramatyzm historii i zrobić wrażenie na klientach. – Mieli wyładować towar w Brisbane, a potem ruszyć do Sydney, ale zbliżając się do południowo-wschodniego wybrzeża, natrafili na cyklon. Wieczorem siódmego kwietnia widziano ich z latarni morskiej w Cape Franklin, ale latarnik z następnej latarni w Lighthouse Bay już ich nie zauważył. Bóg raczy wiedzieć, po co zbliżyli się do tej plaży; być może nabierali wody i chcieli osadzić okręt na mieliźnie. W każdym razie uderzyli w podwodną rafę, o tam. – Gestem wskazał ocean. – Pogoda była straszna, środek nocy, statek rozpadł się na kawałki. Nikt nie przeżył. Kiedy Aurora nie zawinęła do Brisbane, miejscowa policja wszczęła poszukiwania. Wyrzucone na tutejszą plażę szczątki kazały im szukać statku w okolicy. W ciągu kilku tygodni odnaleziono większą część

ładunku i kilka ciał. Młodszy z braci Winterbourne'ów, Percy, przybył tu, żeby zobaczyć wszystko na własne oczy. Kręcił się po wschodnim wybrzeżu, przekonany, że ktoś musi coś wiedzieć. Szukał i szukał, ale bez skutku. Pewnego wieczoru zmarł nagle w pokoju hotelowym w Tewanin.

Percy był pradziadkiem Marka.

– Nagle? Było w tym coś podejrzanego?

Graeme pokręcił głową.

– Z tego, co wiem, to nie. Po prostu wyzionął ducha.

Libby pomyślała o tętniaku Marka.

Graeme mówił dalej.

– Tak czy inaczej, nikt nie znalazł buławy, więc ludzie nadal chętnie jej szukają. I dlatego otworzyłem ten biznes.

Mężczyzna przerzucił strony i wyjął jeszcze jedno zdjęcie przedstawiające połowę statku leżącą na boku na dnie oceanu, pokrytą pąklami.

– Myślisz, że buława jeszcze tam jest? – spytała Libby.

– Nie wiem. To tajemnica. Wrak przeszukało wiele osób, ale nikt nie zgłosił znalezienia skarbu. Ludzie lubią tam nurkować (kto nie lubi szukać skarbów?), ale moim zdaniem większość zdaje sobie sprawę, że niczego tam nie znajdzie. Ty też powinnaś się tam kiedyś wybrać i rozejrzeć.

– Nie jestem pewna, czy potrafię nurkować – przyznała Libby. Na myśl o przebywaniu pod wodą czuła niepokój.

– Jeśli umiesz pływać, to umiesz nurkować. To łatwe.

Mark na pewno by to zrobił. I zachęciłby Libby, żeby spróbowała.

– Policzę ci taniej – ciągnął Graeme, widząc, że klientka się waha. – Naprawdę powinnaś rzucić na to okiem.

Przewertował segregator, pokazując jej zdjęcia odnalezionego ładunku, opowiedział o obchodach stulecia katastrofy i podzielił się znanymi w okolicy szczegółami. Nie wspomniał już jednak o rodzinie Winterbourne'ów, więc Libby sączyła kawę, wpatrując się w widnokrąg i tęskniąc za Markiem. Żałowała, że on nie może wziąć jej za rękę, zabrać pod wodę i pomóc wrócić bezpiecznie na powierzchnię.

Po powrocie do domu włączyła wentylator nad łóżkiem i położyła się, żeby odpocząć. Kilka godzin później obudziła się oszołomiona, z pulsującym bólem głowy, w bawełnianej sukience mokrej od potu. Było późne popołudnie, a w brzuchu burczało jej z głodu. Libby podgrzała w mikrofalówce smażony ryż i poszła do pracowni. Zaintrygowało ją zdjęcie Aurory pokazane dziś przez Graeme'a. Jako artystka uwielbiała głębię i detale, i stare okręty oplecione pajęczyną lin. Przewertowała album z reprodukcjami Turnera i znalazła jeden z jego obrazów przedstawiających okręt. Potem usiadła ze

szkicownikem na kolanach i zaczęła kopiować szczegóły takielunku. Mijały godziny, w końcu zapadł zmierzch.

Libby odłożyła szkic i postanowiła, że następnego dnia wpadnie do najbliższej biblioteki po książki na temat statków. Zamierzała namalować Aurorę w celu upamiętnienia Marka. Na początku jednak musiała działać ostrożnie, odświeżyć umiejętności zdobyte w akademii sztuk pięknych.

Zsunęła klapki, wyszła z domu i ruszyła ścieżką w kierunku plaży. Dopiero tam zdała sobie sprawę, jak szybko zrobiło się ciemno. Kiedy po palcach jej stopy przebiegł krab, uznała, że ma dość, i zawróciła na ścieżkę.

I wtedy ujrzała sylwetkę mężczyzny stojącego przy drzwiach latarni morskiej. Miał jasne włosy i szerokie bary, ale niczego więcej nie zdołała dostrzec. Schowała się za domkiem. Nieznajomy gmerał przy zamku, potem otworzył drzwi. Nerwowo rozejrzał się dokoła, a następnie wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

A zatem ktoś był w latarni; ktoś, kto wiedział, że nie powinien tam przebywać. Libby weszła do domku i starannie zaryglowała drzwi. Nagle poczuła, że mieszka na kompletnym odludziu.

W nocy coś wyrwało ją z głębokiego snu. Przez moment leżała, zastanawiając się, co to było. Jakiś dźwięk.

Wszystkie zmysły się wyostrzyły, uszy zaczęły nasłuchiwać.

Libby poczuła w sercu falę gorąca. Ktoś kręcił się pod jej oknem.

Ze strachu nie mogła się ruszyć. Chciała znów się pogрузić w błogim śnie. Potem usłyszała kroki oddalające się w stronę bocznej ściany domu. Przypomniała sobie mężczyznę, którego widziała koło latarni. Powoli zsunęła z siebie kołdrę, wyszła z łóżka i na przygiętych nogach pobiegła do kuchni po telefon.

Gdzieś tu go przecież położyła. Po omacku szukała aparatu na blatach, ale był mały i nie mogła go znaleźć. Zastanawiała się, czy włączyć lampę. Może to odstraszy intruza albo sprowokuje go do działania i... i co dalej? Jakże zamiary mógł mieć ten ktoś?

Libby stłumiła jęk przerażenia. Była daleko od miasteczka, na samym końcu drogi. Ręką uderzyła łyżeczkę, którą zostawiła tu po zrobieniu kawy. Przedmiot z brzękiem spadł na podłogę. Libby zamarła, wstrzymując oddech. Z zewnątrz dochodził tylko szum wiatru i oceanu.

Postanowiła zebrać się na odwagę i włączyła kuchenną lampę.

Usłyszała odgłos przyśpieszonych kroków – ktoś biegł. Po chwili włączył się silnik samochodowy, a ona zdała sobie sprawę, że na jej własnym podjeździe stoi czyjeś auto. Ruszyła do drzwi i otworzyła je na oścież. Dokładnie w tym momencie zapaliły się oślepiające reflektory. Ciemna sylwetka – zbyt duża i barczysta, by należeć do kobiety – wślizgnęła się na siedzenie

pasażera, a samochód odjechał z piskiem opon, zostawiając w oczach Libby wspomnienie jaskrawego światła. W oddali gaźnik strzelił jeszcze donośnie.

Libby zawróciła do środka i zamknęła drzwi na klucz, a potem wybrała numer miejscowego posterunku policji.

– Sierżant Scott Lacey – odezwał się zaspany głos.

Zdyszana Libby opowiedziała, gdzie jest i co się wydarzyło.

– Intruzi już odjechali? – spytał sierżant Lacey.

– Na to wygląda.

– Moim zdaniem nie ma powodu do obaw. Dom stoi tuż przy plaży... Ludzie zawsze się tam kręcą o najdziwniejszych porach.

– Ten ktoś nie kręcił się po plaży, tylko wokół mojego domu.

– Dom długo stał pusty. Gość pewnie uznał, że nikt w nim nie mieszka... Ale za chwilę przyjadę, żeby się rozejrzeć, i jeśli pani chce, dopilnuję, żeby w tym tygodniu przejeżdżały tamtędy nocne patrole.

Libby się odprężyła.

– Naprawdę? Będę bardzo wdzięczna.

– Jasne. Nie podała mi pani swojego nazwiska.

– Libby Slater.

– Libby? Siostra Juliet? Nie pamiętasz mnie? Chodziliśmy razem na matematykę.

Libby wyteńczyła pamięć. Scott Lacey. Surfer z rozwichrzonymi lokami i kieszeniami pełnymi petard.

– No tak, pamiętam.

Niezupełnie uspokajała ją świadomość, że ktoś taki zawiaduje teraz posterunkiem policji.

– Fajnie, że wróciłaś. Juliet i ja przyjaźnimy się od dawna.

Libby zdała sobie sprawę, że jeśli faktycznie tak jest, to Scott z pewnością zna także jej przeszłość. Zalała ją nagła fala wstydu.

– Nie martw się, Libby, będę miał na ciebie oko.

Powiedział to, żeby ją pocieszyć, ale ona czuła tylko, jak wymyka jej się upragnione poczucie bezpieczeństwa. Czasami, kiedy Mark zatrzymywał się w jej paryskim mieszkaniu, zasypiała z głową na jego piersi, wdychając ciepły zapach mężczyzny. Wtedy czuła się bezpieczna, całkowicie bezpieczna. Zupełnie jakby otaczał ją nieprzenikniony pancerz ochronny. W środku były miłość i światło. Świadomość, że już nigdy się tak nie poczuje, przyprawiła ją o dreszcz. Libby mocno przycisnęła drżące stopy do podłogi.

– Dzięki – zdołała wykrztusić. – Dobranoc.

Wróciła do łóżka. Po półgodzinie usłyszała radiowóz, ale nie zmrużyła oka aż do świtu, kiedy to

już nikt nie mógł się ukryć w ciemnościach.

Powtarzała sobie, że milczenie Juliet nic jej nie obchodzi, ale wcale tak nie było. Wykonała pierwszy krok; teraz kolej na Juliet. Dopiero w sobotnie popołudnie zdała sobie sprawę, że nie zostawiła siostrze numeru telefonu, a Juliet może nie mieć ochoty na spontaniczne odwiedziny.

Cholera jasna, dlaczego rodzinne sprawy muszą być takie zagmatwane?

Z lekko drżącym sercem zadzwoniła do herbaciarni. Juliet podniosła słuchawkę po trzecim sygnale.

Libby starannie dobierała słowa.

– To ja, Libby – powiedziała. – Nie przeszkadzam?

– Właśnie zamykałam.

– Chciałabym się z tobą spotkać. – Czy to zabrzmiało zbyt obcesowo? Zbyt ckliwie? Libby przypomniała sobie ostatnie spotkanie. Bałagan na stolikach. Zagonioną Juliet. – Jeśli chcesz, mogę ci pomóc w sprzątaniu.

Ta propozycja najwyraźniej nie przypadła Juliet do gustu. Libby zachodziła w głowę, co powiedziała nie tak.

– Nie, nie, nie, poradzę sobie sama. Zawsze sobie radzę. Może wpadniesz tu koło dziewiętnastej? Przygotuję kolację.

– Fantastycznie.

– Zostawię otwartą bramę. Mamy o czym pogadać.

Podczas kąpieli i przebierania się serce Libby trzepotało jak ptak. MAMY O CZYM POGADAĆ. Co Juliet chciała przez to powiedzieć? I dlaczego tak ponurym tonem? A może ton wydawał się Libby tak ponury z powodu jej własnego poczucia winy? Wiedziała, że jako siostra jest beznadziejna. Przez dwadzieścia lat zapominała o urodzinach i świętach. Nie przyjechała nawet na pogrzeb taty. Nigdy jej nie było. Oddaliła się od jedynej żyjącej krewnej. Przez przypadek? Celowo? Było coś jeszcze; stare, głębokie, wciąż niezabliźnione rany, które może już nigdy się nie zagoją.

O dziewiętnastej Libby zaparkowała samochód przed herbaciarnią i podeszła po schodach do drzwi mieszkania, w którym dwadzieścia lat wcześniej mieszkała z Juliet i tatą. W wieczornym powietrzu wisiał deszcz. Juliet zawołała coś z piętra.

– Chodź na górę! Nasze stare mieszkanie przerobiłam na pensjonat!

I nagle stanęły twarzą w twarz w drzwiach domu Juliet. Wieczorna bryza szumiała w liściach palm rosnących przy ulicy. Libby nie wiedziała, czy powinna uściskać siostrę. Jak się zachować po tylu latach? Jej ramiona stały się nagle ciężkie i nieporadne.

– Wchodź – powiedziała Juliet, gestem zapraszając siostrę do środka.

– Mieszkaś w pokojach z widokiem na ulicę?

– W nocy samochodów jest niewiele. Słyszeć ocean – wyjaśniła Juliet nieco obronnym tonem.

– Ślicznie tu – stwierdziła szczerze Libby. Juliet urządziła mieszkanie w kolorach morskiego błękitu i bladej żółci, całą kanapę pokrywały kraciaste poduchy, a wewnątrz wypełnione łagodnym światłem lamp wyglądało przytulnie. Domowo. Libby poczuła przedsmak otuchy, akceptacji i ciepła, które może dać tylko rodzina.

– Siadaj – odezwała się Juliet. Jej głos był pełen rezerwy i znużony. – Robię risotto. Już prawie gotowe.

– Wielkie dzięki. Wiem, że masz mnóstwo roboty.

– Nawet sobie nie wyobrażasz! – zawołała z kuchni Juliet.

Kiedy siostra podawała do stołu, Libby rozglądała się po pokoju: biurko na komputer zavalone papierami, półka pełna podniszczonych książek w broszurowych wydaniach i... serce Libby zabiło szybciej. Zdjęcie Andy'ego. Juliet wciąż trzymała zdjęcie Andy'ego. Libby szybko odwróciła wzrok i zajęła się oglądaniem paznokci oraz lamówek pokrycia kanapy. W końcu wstała i zaproponowała:

– Mogę ci w czymś pomóc?

– Nie ma w czym – odparła Juliet, wychodząc z kuchni. – Zjedzmy na kanapie, będzie nam wygodniej.

Usiadły i zjadły. Milczenie było męczące, ale jedzenie wyśmienite.

– Genialnie gotujesz – pochwaliła Libby.

– Po co wróciłaś? – spytała dokładnie w tej samej chwili Juliet.

Tę nagłą synchronizację siostry skwitowały nerwowym śmiechem.

– Poczulałam, że już czas – wyjaśniła Libby, licząc na to, że jej enigmatyczna odpowiedź usatysfakcjonuje Juliet. Nie usatysfakcjonowała.

– To znaczy?

Libby westchnęła.

– Sprawy przybrały... kiepski obrót. Miałam... – Nie, tego nie mogła powiedzieć siostrze. Nie mogła wyznać, że przez dwanaście lat miała romans z żonatym mężczyzną. – Mój bliski przyjaciel, ten sam, który kupił domek, zmarł.

Okropnie było nazwać Marka „bliskim przyjacielem”, ale Libby od dawna trzymała swój związek w tajemnicy, umiała więc udawać, że ukochany niewiele dla niej znaczy.

– Poza tym miałam już dość swojej pracy. Źle się tam czułam. Uznałam, że... że powrót do domu to dobry pomysł.

Juliet wyraźnie się spięła. Jej kłykcie zbladły, kiedy zacisnęła palce na widelcu. Libby nie wiedziała, czym mogła wywołać taką reakcję.

– Czyli zamierzasz tu zostać? – spytała Juliet.

– Nie wiem. Na razie to chyba etap przejściowy. Żyję z dnia na dzień.

– I chcesz połowę interesu?

– Połowę czego?

– Tato zapisał dom nam obu. Twoje nazwisko nadal figuruje w dokumentach.

– Nie! O Boże, Juliet. Nie. To wszystko jest twoje. Nigdy tego nie chciałam, a już na pewno nie chciałam ci niczego odbierać. Nawet nie przyszło mi to do głowy.

Juliet, choć wciąż nieufna, odprężyła się nieco.

– Rozumiem.

– Zapomnij o tym. Naprawdę nie zamierzam się domagać zwrotu swojej części spadku.

Libby poczuła się niezręcznie. Siostra miała o niej fatalne zdanie. Ale czemu miałyby mieć dobre? Nie wiedziała o niej nic oprócz tego, co zapamiętała z czasów ich młodości. A z tamtego okresu swojego życia Libby nie była przesadnie dumna.

– Niestety nie mogę cię spłacić i jest mi strasznie głupio z tego powodu – mówiła teraz Juliet.

– Nie wiem, jaka jest twoja sytuacja finansowa, ale ja urabiam tu sobie ręce po łokcie. Interes wygląda zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy go przejęłam. Odłożyłam trochę pieniędzy na remont kuchni, ale mogłabym ci je dać, jeśli...

– Nie chcę twoich pieniędzy. Nie musisz się o mnie martwić. Domek przy latarni należy do mnie.

Juliet szeroko otworzyła oczy.

– Serio? Ten przyjaciel ci go zostawił?

– Tak – skłamała Libby. Po co miała mówić siostrze, że była właścicielką domu od sześciu lat, ale nie miała odwagi tu przyjechać i stawić czoło przeszłości.

– Latarnia też jest twoja?

– Według ksiąg wieczystych – nie. Latarnia chyba nadal należy do rządu. Już nie działa, prawda?

– Nie. Zrezygnowali z niej w dziewięćdziesiątym dziewiątym. Zbudowali nową, całkowicie zautomatyzowaną, na wyspie Maroona. – Juliet podciągnęła stopy na kanapę. – Jakieś stowarzyszenie ochrony zabytków uniemożliwiło wyburzenie starej. Nie jest bezpiecznie, ale zabrakło im funduszy na renowację, a potem facet, który tam pracował, zmarł. Od tego czasu chyba nic się nie zmieniło.

– Na drzwiach wisi jakieś ostrzeżenie.

– Tak? Nie dziwi mnie to. Melody, dziewczyna, która u mnie pracuje, mówiła, że kiedyś wybrała się tam z grupką znajomych. Weszli do środka przez okno. Schody się sypią i niewiele brakowało, a złamałaby nogę w kostce.

Libby doszła do wniosku, że to wyjaśnia czyjąś obecność w latarni. Wścibskie nastolatki z małego miasteczka zawsze znajdą sobie jakieś lekko ryzykowne zajęcie.

– No, to opowiadaj, co się z tobą działo przez te dwadzieścia lat – zachęciła Juliet. Informacja, że siostra nie zamierza się upominać o swój udział, wyraźnie ją uspokoiła.

Rozmawiały długo, ale Libby nie powiedziała Juliet wszystkiego i podejrzewała, że siostra też przemilczała parę rzeczy. Bez problemu poruszały tematy pracy, podróży i wydarzeń na świecie, jednak nie posunęły się dalej. Żadna z nich ani słowem nie wspomniała o życiu uczuciowym czy kochankach, dzieciach lub rezygnacji z ich posiadania, nadziejach i planach na przyszłość. No i zdecydowanie nie chciały dyskutować o tym, co się stało przed dwudziestu laty.

Dopiero przy pożegnaniu Libby w końcu odważyła się wyznać:

– Przepraszam, że mnie tu nie było. Przepraszam za... za wszystko.

Myślała przy tym o zdjęciu Andy’ego.

Juliet wyciągnęła rękę i lekko pogładziła ramię siostry. Wyglądała, jakby chciała coś dodać, ale nie mogła nic z siebie wydusić. Wreszcie powiedziała:

– W porządku.

Odsunęły się od siebie i Libby pośpiesznie wróciła do samochodu. Przepęłniały ją jednocześnie nadzieja i rozpacz. Powtarzała sobie, że to dopiero początek. Jeśli nie wykona już żadnego błędnego ruchu, naprawi swoje stosunki z siostrą. A wtedy może wreszcie uda im się porozmawiać o przeszłości i naprawdę pogodzić.

Zanim podjechała pod domek, zerwał się orzeźwiający wiatr od oceanu. Kiedy wyjęła z kieszeni klucz, podniosła wzrok i zauważyła, że drzwi do latarni są otwarte, a w oknie na samej górze migocze płomyk świecy.

Zorientowała się, że wstrzymuje oddech. Pragnęła tam podejść i zajrzeć do środka. Mogła zapukać. Albo po prostu wejść do własnego domu i zapomnieć o całej sprawie.

Chciała jednak sprawdzić, czy ktoś rzeczywiście jest w latarni.

Wyjęła z torebki komórkę i ścisnęła ją w dłoni niczym rycerz rękojeść miecza przed bitwą. Następnie zdecydowanym krokiem zbliżyła się do latarni. Na drzwiach wisiało ostrzeżenie: „Uwaga, niebezpieczeństwo: budynek w złym stanie technicznym”. Zapukała lekko do drzwi.

– Jest tam kto?! – zawołała.

W środku panowały ciemności. Libby zauważyła dwie spore etażerki stojące na gołej podłodze oraz zarys krętych schodów prowadzących na górę. Powietrze przenikała woń oleju, ryb i wodorostów.

– Jest tam kto?! – powtórzyła Libby.

Odpowiedziała jej cisza.

Libby włączyła telefon, żeby oświetlić nieco wnętrze, i weszła dalej. Eтажerki miały oszklone

półki, a na nich leżał zbiór muszli i stworzeń morskich przypiętych do deszczułek, niczym w pracowni biologicznej. Za etażerkami znajdowały się kolejne drzwi, solidnie zabite deskami. W wilgotnym mroku Libby stanęła u stóp schodów i spojrzała w górę. Sześć metrów wyżej stopnie znikwały za zamkniętą klapą. Libby przez moment rozważała, czy się tam wspiąć, ale brakowało jej odwagi. Zwłaszcza że schody nie wyglądały stabilnie. Po raz ostatni rozejrzała się dokoła, po czym wyszła na zewnątrz i wróciła do domu.

Kiedy zbudziła się następnego ranka, drzwi latarni były zamknięte.

Libby od dwunastu lat nie musiała się martwić o pieniądze. Choć czynsz pochłaniał większość jej pensji, Mark zawsze dbał, by ukochanej niczego nie zabrakło. Płacił za wszystkie wspólne kolacje i potajemne wyjazdy, kupował buty, torebki i ciuchy. Dzięki jego hojności Libby zdołała odłożyć niemałą sumkę, ale nie postąpiła z nią rozważnie. Nie inwestowała. Jak większość kochanek żyła z dnia na dzień. Nie musiała robić planów na przyszłość, bo wmówiła sobie, że przyszłość nigdy nie nadejdzie. Jej wieloletni związek z Markiem składał się z okruczeństwa teraźniejszości. Mark zresztą często powtarzał: „Żyjmy chwilą. Po prostu żyjmy chwilą”.

A teraz ta chwila minęła. Samochód był drogi, podobnie jak sprzęt komputerowy i oprogramowanie niezbędne do realizacji zamówienia na katalog kolekcji Winterbourne'ów. Pieniądzy, bez stałego dochodu, mogło jej wystarczyć ledwie do Bożego Narodzenia.

Libby siedziała na nowym krześle i lekko się na nim obracała. Przez cały dzień instalowała oprogramowanie, podłączała sprzęt do internetu, konfigurowała zabezpieczenia antywirusowe i programy do kopii zapasowych oraz ustawiała pocztę. Była z siebie bardzo zadowolona. Przez te wszystkie lata takie rzeczy wykonywał za nią Mark.

Kiedy pomyślała o nim, natychmiast zaczęła płakać. Musiała się wziąć do pracy, żeby zagłuszyć przejmującą tęsknotę.

Stary stół się chwia, więc Libby złożyła kawałek papieru i podparła nim krótszą nogę. Pocięła się myślą, że jej klienci nie muszą wiedzieć o chwiejnym stole w kącie brzydkiego salonu. Wykręciła londyński numer, by poinformować Cathy, że jest już gotowa do przyjęcia zamówienia na katalog. Odchyliła się na krześle i oparła nogi na stole.

– Winterbourne Jewellers, Cathy przy telefonie.

– Witam z Australii. Tu znowu Libby Slater.

– O, Libby, tak się cieszę, że dzwonisz. Już cię przełączam do Emily, wszystko razem uzgodnicie.

– Może... – Ale Cathy już się rozłączyła, a ze słuchawki dobiegały tylko dźwięki walca Szopena.

Za moment miała się odezwać żona Marka. ŻONA MARKA.

– Dzień dobry, Libby. – Jej głos brzmiał kulturalnie, ale też nieco niepewnie.

– Dzień dobry, Emily. Miło cię... poznać.

– Mnie również. Tyle o tobie słyszałam.

– Naprawdę?

– Ależ oczywiście. Mark zachwycał się twoimi projektami. Kiedy dowiedziałam się o twoim odejściu z pracy, poprosiłam Cathy, żeby cię koniecznie odnalazła. U nas... u nas wszystko się

zmienia, a ja... – Głos jej zadrżał i Libby poczuła ukłucie w sercu. – A ja chciałabym, żeby jak najwięcej zostało po staremu. Na przykład żebyś to ty zaprojektowała nasz katalog.

– Rozumiem – zapewniła Libby. Czuła się tak, jakby obserwowała samą siebie z dużej odległości. ROZMAWIAŁA Z ŻONĄ MARKA. Rywalką. Wrogiem. Kiedyś chciała wierzyć, że to zimna, nieprzyjemna, próżna kobieta, ale teraz, po kilku chwilach rozmowy, przekonała się, że jest inaczej. Zupełnie inaczej. Nagle przypomniała sobie, co powinna powiedzieć:

– Bardzo współczuję ci z powodu tej straty. Mark był wspaniałym człowiekiem. – Czy to nie zabrzmiało zbyt ciepło? – W każdym razie takie robił wrażenie, kiedy z nim pracowałam.

– Był po prostu człowiekiem, Libby. Czasem cudownym, czasami nie dało się z nim wytrzymać. – Emily roześmiała się lekko. – Nie umiem sobie radzić z jego perfekcjonizmem.

Nie umiem. Emily przeszła na czas teraźniejszy. Libby znalazła w tym dziwną pociechę: sama też wciąż myślała o Marku w czasie teraźniejszym.

– Ale kochałam go z całego serca mimo wszystkich wad i nie potrafię opisać, jak bardzo mi go brakuje.

Libby przełknęła łzy.

– A jak się mają wasze córki?

– Świetnie, dziękuję. Żyją już własnym życiem, a ja nie mogę się doczekać lipca, kiedy zostanę babcią. Staram się żyć z dnia na dzień. Och, co ja wygaduję! Zanudzam cię tymi wyznaniem. Od śmieci Marka zamęczam obcych ludzi, których nic to nie obchodzi.

Libby oblizwała wargi, ostrożnie dobierając słowa.

– Ja nie jestem kimś obcym i mnie to obchodzi – odparła.

Po drugiej stronie rozległo się westchnienie. Emily najwyraźniej powstrzymywała łzy. Potem odzyskała równowagę.

– No tak. Ale bierzmy się do roboty. Praca trzyma mnie w pionie. Powiedz mi, jak to zorganizujemy. Mamy ci przesłać zdjęcia?

– Tak, Mark zawsze znajdował fotografa i przysyłał mi pliki. Potem siadaliśmy razem i omawialiśmy motywy przewodnie kolekcji na dany sezon. Mark opowiadał, jak sobie wyobraża wygląd katalogu, które sztuki biżuterii mają się w nim znaleźć i tak dalej.

– Naprawdę robił to wszystko? Nic dziwnego, że tak często jeździł do Paryża. Libby, ja nie mam o tym pojęcia, ale ty przez dwanaście lat współpracowałaś z Markiem. Poradzisz sobie sama?

– Oczywiście.

– Zapłacę ci dodatkowo.

– Nie ma takiej potrzeby.

Libby zrugowała się w myślach. Firma Winterbourne Jewellers miała spory budżet, ale ona nie mogła się zmusić, by wziąć więcej pieniędzy od Emily, bo przecież ta kobieta była żoną Marka,

a Libby przez ostatnie dwanaście lat marzyła gorąco – bądźmy szczerzy – żeby żona Marka w ogóle nie istniała.

– Możesz znaleźć też fotografa? – spytała Emily.

Robiło się coraz trudniej.

– Znam sporo ludzi w Londynie i Paryżu, ale najpierw muszę zobaczyć kolekcję. Czy mogłabyś mi przesłać jakieś zdjęcia? Niekoniecznie wysokiej jakości. Zrób je po prostu telefonem, a ja przejrzę wszystko i przyślę ci moje pomysły.

– Tak, chyba dam radę. Będę miała jakieś zajęcie. Libby, nie masz chyba nic przeciwko temu, żebym dzwoniła bezpośrednio do ciebie? Naprawdę przyda mi się twoja pomoc.

– Jestem do usług – zapewniła Libby. Podała Emily swój numer i nowy adres mejlowy, po czym zakończyła rozmowę. Zerwała się z krzesła, zrzuciła klapki i pognała prosto na plażę.

Było ciemno; chłodno, ale nie zimno. Libby podeszła do brzegu i stanęła tam, pozwalając, by fale obmywały jej stopy. Jakież to nieprzyjemne uczucie wygoniło ją z domu? Smutek – tak, on wciąż był obecny. Niepokój – normalna sprawa, ale Libby wiedziała, że z łatwością wykona zlecenie, gdy tylko znajdzie odpowiedniego fotografa.

Poczucie winy.

Dobrze je znała. Towarzyszyło jej przez dwanaście lat, powracając od czasu do czasu niczym mdłości, które nigdy nie prowadzą do opróżnienia żołądka. Tym razem jednak było jakieś inne. Mark miał żonę. Żonę o imieniu Emily, która go kochała. Gdyby dowiedziała się o romansie męża z Libby, pękłoby jej serce.

Libby złamałaby jej serce.

Wciąż mogła to zrobić. I nagle poczuła gorące pragnienie, by jej tajemnica nigdy, przenigdy nie wyszła na jaw. W przeszłości czasami miała nadzieję, że tak się jednak stanie, a to pchnie Marka do czynu. „Niech odejdzie od niej i zostanie ze mną!” – myślała. Teraz utrzymanie tajemnicy wydawało się niemożliwe. Cathy już się czegoś domyślała: listy w szufladzie stanowiły poważny dowód. Kto jeszcze mógł żywić jakieś podejrzenia? Kto jeszcze mógł się wygadać teraz, kiedy zabrakło Marka, który nakłaniał tego kogoś do milczenia? „Błagam, niech nikt się nie dowie. Niech nikt się nie dowie, jaka ze mnie egoistka”. Libby stała na plaży prawie przez godzinę, podczas gdy fale szalały u jej stóp, a ocean ryczał, zagłuszając szloch.

Następnego dnia o szesnastej Libby podjechała pod dom Graeme’a Beersa. Przez całe przedpołudnie szkicowała, z przyjemnością odtwarzając detale lin i żagli, ich skomplikowaną płataninę, faktury i cienie. Na razie kopiowała głównie ilustracje z książek, ale bardzo jej zależało, żeby namalować Aurorę. Jedyne dostępne w sieci rysunek okazał się zbyt mały, więc miała nadzieję,

że Graeme pozwoli jej wykorzystać ilustrację ze swojego segregatora, i dlatego, pod wpływem impulsu, wybrała się na północ do Winterbourne Beach.

Łodzi przed domem nie było. Mimo to Libby wysiadła z samochodu, weszła po schodkach i zapukała. Nikt nie otworzył.

Westchnęła. Powinna odnaleźć numer Graeme'a i uprzedzić go o swoim przyjeździe. Potem doszła do wniosku, że mężczyzna zapewne zabrał klientów na nurkowanie. Robiło się późno, więc pewnie wkrótce wróci do domu. Libby wsiadła do auta i pojechała na plażę.

Dzięki znakom odnalazła przystań i parking, a tam Graeme'a, mocującego łódź na przyczepie.

– Cześć! – zawołała, machając ręką.

Mężczyzna podniósł wzrok. Wyraźnie jej nie poznał, ale i tak poczekał, aż podejdzie.

– To ja, Libby. Spotkaliśmy się...

– Tak, już pamiętam. Zmieniłaś zdanie? Chcesz jednak ze mną zanurkować?

– Nie, wolę coś bezpieczniejszego. Miałaś w segregatorze rysunek Aurory. Mogłabym go skserować? Bo, widzisz, chciałabym namalować ten statek.

– Aha, kapuję – powiedział Graeme, zaciskając pasy i przechodząc na drugą stronę łodzi. – Czyli jesteś malarką?

– Chciałabym być.

– Spotkajmy się u mnie za dziesięć minut. Mam coś dla ciebie.

Libby z zaciekawieniem czekała przed domem Graeme'a, który po chwili przyjechał z łodzią na przyczepie i zaparkował samochód, a następnie gestem zaprosił gościa do środka i poprowadził po schodach do domu.

– Poczekaj tutaj – poprosił, wskazując palcem kanapę.

Libby usiadła. Dopadły ją pierwsze wątpliwości. Siedziała sama w domu obcego mężczyzny i nikt nie wiedział, gdzie jej szukać. Jednak Graeme powrócił z tak hojnym darem, że zawstydzila się swoich podejrzeń.

Gospodarz usiadł obok Libby i wręczył jej kopię zdjęcia. Następnie rozłożył na stoliku kawowym zatęchły zwój starego papieru.

– Co to?

– Plany statku.

Libby otworzyła szeroko oczy.

– Plany Aurory?

– Ano.

Libby przebiegła wzrokiem stronę leżącą na wierzchu, a potem również tę pod spodem. Zaznaczono na nich każdy wymiar, każdy szczegół.

– Jak to zdobyłeś?

– Chytrym podstępem – odparł Graeme z szerokim uśmiechem. – Należały do Percy’ego Winterbourne’a. Przywiózł je z Anglii, zapewne po to, by pomogły mu w przeszukiwaniu wraku. Z tego, co wiem, kiedy zmarł w hotelu, papiery wpadły w ręce jakiejś pokojówki, która potem w poczuciu winy upchnęła je na dnie swojej szafy. Ja trafiłem na nie kilka miesięcy temu podczas wyprzedaży rupieci. Lubię takie wyprzedaże. Staruszka, która sprzedała mi papiery, nie miała pojęcia, co przedstawiają, więc kupiłem je za grosze.

– I wykorzystałaś je do poszukiwań buławy?

– Jasne.

– Ale nie pokazujesz ich nurkom?

– To by zaszkodziło moim interesom. Gdyby ktoś faktycznie znalazł buławę, wrak przestałby budzić zainteresowanie. W tej chwili wszyscy sądzą, że tam znajduje się skarb.

– I naprawdę pożyczysz mi te plany?

– Jeśli obiecasz, że nie zrobisz kopii, i oddasz mi je, kiedy tylko skończysz pracę. Mogę ci je pożyczyć za pięćdziesiąt dolców. Będziesz musiała podać mi swój adres, żebym wiedział, gdzie cię szukać, jeśli sama się nie zgłosisz.

Libby musiała stłumić śmiech. Widać było, że bez opłaty Graeme nie rozstanie się z planami.

– W porządku. Umowa stoi.

Mężczyzna odprowadził ją do drzwi, a na pożegnanie rzucił:

– Może jednak skusisz się na nurkowanie, kiedy będziesz mi oddawać plany? Trzeciego wybieram się do wraku z kolejną grupą.

– Nigdy w życiu nie nurkowałam.

– To żaden problem. Mam tu sporo takich osób. Na dole jest pięknie. Jesteś artystką, więc na pewno spodobać ci się kolory. Nie policzę ci za sprzęt. Wycieczka na dół i z powrotem kosztuje dwie stówy.

Libby była pod wrażeniem jego siły perswazji. Już chciała odmówić, kiedy nagle w jej głowie pojawiła się myśl: „Dlaczego? Dlaczego ciągle mówię »nie«?”. Mark na pewno by się zgodził. W tym momencie poczuła tak przejmującą, bolesną tęsknotę, że mogła powiedzieć tylko jedno:

– Okej. Dobrze.

Graeme puścił do niej oko.

– Nie pożalujesz tego, skarbie. Spotkamy się za parę tygodni. Pamiętaj, że musisz tu być przed dziewiątą. I koniecznie zabierz z sobą plany.

Wracając z plaży w środowe popołudnie, Libby znów go zauważyła. Jakiś mężczyzna kręcił się przed domkiem. Jej serce zamarło, ale po chwili wypełnił je gniew.

Miała za sobą fatalny dzień i równie fatalną noc. O pierwszej znów usłyszała samochód pod oknem. Nie była w stanie zasnąć. Męczyły ją koszmarne obrazy Marka i ludzi włamujących się do jej domu. Przez cały dzień czuła się zmęczona i spięta. A ten facet bezczelnie paradował przed nią w biały dzień.

Wciąż było jasno, więc nabrała odwagi. Dlaczego po prostu nie podejść do intruza i nie zażądać, żeby zostawił ją w spokoju? Dlaczego znów przez całą noc miałyby się kulić ze strachu? Zapomniała, że ma na sobie tylko mokry strój kąpielowy i pasiasty ręcznik. Podbiegła w stronę domu, ale mężczyzna zdążył już się oddalić. Zmierzał do latarni. A zatem miała rację, ktoś tam naprawdę mieszkał. I to na pewno on budził ją po nocach, hałasując silnikiem. Libby przyśpieszyła. Mężczyzna przez chwilę zmagął się z zamkiem i już miał zniknąć w środku, kiedy zawołała:

– Ej, ty!

Nieznajomy podniósł wzrok z wyraźnym niepokojem. Chcąc szybko wejść do latarni, zanim Libby go dogoni, upuścił klucze i musiał się po nie schylić.

Libby stanęła przed nim zdyszana, ociekająca wodą, z ubłoconymi stopami i chwyciła intruza za ramię.

– Stój – powiedziała. – Kim ty jesteś, do jasnej cholery?

Mężczyzna przyjrzał jej się uważnie, poruszając lekko brwiami. Miał zielone oczy, jasne włosy spięte na karku w kędzierzawy koński ogon i schludną bródkę. Libby z bijącym sercem próbowała odczytać jego myśli.

On się w końcu uśmiechnął i zapytał:

– Elizabeth Slater?

Libby puściła jego ramię i przypatrzyła się twarzy. Nie mogła go zidentyfikować. Wyteżała pamięć, ale bez skutku.

– Twoja siostra Juliet była kiedyś moją opiekunką. – Mężczyzna wyciągnął dłoń na powitanie. – Jestem Damien Allbright. Pamiętasz mnie?

Tak, pamiętała. Kiedy widziała go po raz ostatni, miał osiem lat. Czyli teraz miał dwadzieścia osiem. Nie poznawała jednak tamtego chudziutkiego dzieciaka w wysokim facecie, który przed nią stał. I dalej nie rozumiała, dlaczego się kręcił wokół jej domu.

– Co jest grane? – spytała. – Dlaczego włóczysz się w nocy pod moimi oknami?

– Mieszkasz tu?

Skinęła głową.

– Nie łązę po nocy. Nie opuszczam latarni po ciemku. Chyba że akurat skądś wracałem.

– Słyszałam samochód. I widziałam jakiegoś mężczyznę...

– Ja też słyszałem samochód. To nie mój. Nie mam samochodu. Nie mam... Posłuchaj, Elizabeth,

wracasz z plaży. Chcesz wpaść tu później i pogadać? Na pewno marzniesz.

Libby w tym momencie uświadomiła sobie okrutną prawdę, że jej odzienie jest bardzo skąpe. Założyła ręce na piersiach.

– Wszyscy mówią do mnie Libby. Mieszkasz w latarni?

– Długo by mówić.

Była coraz bardziej zaintrygowana. Znad oceanu powiał wiatr i na jej ramionach pojawiła się gęsia skórka.

– Okej. Nie musisz się tłumaczyć.

– Do zobaczenia wkrótce. – Damien skinął głową na pożegnanie i wszedł do środka, nie zamykając za sobą drzwi.

Libby pośpieszyła do domu. Myśli wirowały jej w głowie. A zatem Damien Albright nielegalnie pomieszkiwał w latarni. Czy powinna przymknąć oko na ten podejrzany fakt tylko dlatego, że jej siostra opiekowała się kiedyś Damienem? Spędzał u nich wszystkie piątkowe wieczory, a Juliet czytała mu książki i bawiła się z nim, podczas gdy Libby robiła makijaż i szła do klubu surfingowego na drinka z przyjaciółmi. Był uroczym dzieciakiem: myślącym i bystrym. Nie znaczyło to jednak, że teraz mogła mu zaufać.

Wzięła prysznic, ubrała się i poprawiła włosy. Kiedy ponownie podchodziła do latarni, zapadał już zmierzch.

– Halo! – zawołała w ciemnościach.

– Poczekaj, już schodzę! – odkrzyknął Damien. Na schodach zamigotało słabe światelko, a po chwili pojawił się Damien ze świeczką osadzoną w lampce. – Przepraszam, nie ma tu prądu – wyjaśnił. – Trzymaj się poręczy. Schody są trochę rozchwiane.

Schody były wąskie i strome, niemal jak drabina. Idąc za Damienem, Libby musiała trzymać się poręczy po obu stronach. Przez właz weszli na piętro. Damien ustawił tu kilkanaście lampek ze świeczkami. Na podłodze leżał materac i koce oraz duży plecak. Była tam też podniszczona drewniana szafa i dwa pudła wypełnione po brzegi papierami.

Damien wskazał palcem materac.

– To jedyne miejsce do siedzenia, wybacz.

Libby przysiadła na brzegu materaca i rozejrzała się po oświetlonym świecami pomieszczeniu.

– Damien, czegoś nie rozumiem. Mieszkasz tu?

– Nie na stałe. Mam nadzieję, że nie na długo.

– Gdzie gotujesz? Gdzie się kąpiesz?

– Przy plaży jest mnóstwo publicznych szaletów i pryszniców, a jem bardzo prosto. Czasami korzystam z gazowych grilli w parku za klubem surfingowym. Szkoda, że zburzyli stary domek latarnika. Kiedy byłem mały, dało się wejść przez zabite deskami drzwi do dwóch małych pokoi. –

Wzruszył ramionami. – Nie jest źle. Radzę sobie.

Teraz Libby skierowała spojrzenie na Damiena. Siedział na podłodze metr od niej z kolanami pod brodą.

– Ledwie cię poznałam – przyznała Libby.

Damien wyciągnął prawe ramię i obrócił dłoń do światła.

– Pamiętasz to? – zapytał, pokazując głęboką białą bliznę na przedramieniu. Libby natychmiast wszystko sobie przypomniała. Któregoś wieczoru szalał w kuchni i wpadł do spiżarni, gdzie roztrzaskał słoik miodu. Jeden z odłamków szkła wbił mu się w rękę. Juliet nie miała wtedy jeszcze prawa jazdy, więc Libby musiała ich zawieźć do szpitala.

– No tak – powiedziała teraz. – Słynna noc krwi i miodu. Nigdy nie udało mi się wywabić plam z tapicerki.

Damien ponownie objął ramionami podkulone nogi.

– A co słyhać u Juliet?

– Juliet... Dopiero co wróciłam do Lighthouse Bay. Długo mnie tu nie było. U Juliet chyba wszystko w porządku.

– Wyszła za Andy’ego Nicholsona? Pamiętam ten wieczór, kiedy powiedziała mi o swoich zaręczynach. Miałem złamane serce. Byłem w niej po uszy zakochany, ale zaraz potem moja mama wyniosła się z Lighthouse Bay, więc nie mam pojęcia, co się działo później.

Damien mówił to z uśmiechem, ale na widok wyrazu twarzy Libby uśmiech zniknął.

– Andy nie żyje – powiedziała Libby.

– Rany, to straszne.

– Zginął dzień przed ich ślubem. U... utopił się. Tuż przed klubem surfingowym.

– Co za koszmar.

Koszmar. Absolutny koszmar. Nawet po dwudziestu latach Libby wciąż pamiętała wszystko, jakby to się stało wczoraj.

– Byli w sobie szalenie zakochani. No bo kto inny chce wziąć ślub w wieku dziewiętnastu lat? Ale oni byli parą od początku liceum. Tato nie miał nic przeciwko, a Juliet... Juliet bardzo kochała Andy’ego. – Głos uwiązał Libby w gardle. Poczowała mdlące wyrzuty sumienia.

Damien pokiwał poważnie głową.

– A teraz jest szczęśliwa? Ułożyła sobie życie?

– Nie wyszła za męża i nie ma dzieci, za to samodzielnie prowadzi herbaciarnię i pensjonat. Interes się kręci. – Wypowiedziane słowa brzmiały głucho, Libby dobrze o tym wiedziała. Jej siostra najbardziej na świecie marzyła o rodzinie. – No dobrze, wystarczy już ponurych opowieści o Juliet. Powiedz lepiej, czemu tu jesteś.

– Z dwóch powodów – odparł Damien, odchylając się i opierając na łokciach. – Po pierwsze, chwilowo nie mam się gdzie podziąć. Powiedzmy, że... – Wzruszył ramionami. – Przeszedłem dość trudne chwile. Sprawy nie ułożyły się po mojej myśli, więc wróciłem tutaj.

– Mogę to zrozumieć. Ale czemu mieszkasz w latarni morskiej, bez prądu?

– W tej chwili mam problemy prawne z dostępem do moich pieniędzy i jestem bez pracy. Na razie nie mogę pracować. Ale to wszystko przejściowa sprawa. Naprawdę. Chcę tu pobyc, póki jest ciepło.

Libby zaczęła się zastanawiać, na czym polegały problemy prawne Damiena. Czyżby zszedł na złą drogę? Miał pod trzydziestkę, nie pracował i mieszkał nielegalnie w latarni.

– A ten drugi powód?

– Pamiętasz Pirata Pete’a?

– Tego szurniętego starego latarnika?

Damien skrzywił się lekko.

– Ano. Był moim dziadkiem.

– Pirat Pete był twoim dziadkiem? Strasznie cię przepraszam, w życiu nie powiedziałabym niczego takiego...

– Nie ma sprawy. Przyzwyczailem się już, że ludzie mówią o nim wredne rzeczy. Poza tym faktycznie miał lekkiego bzika. Kiedy byłem mały, pokazał mi wszystkie tajne schowki na górze, tam gdzie jest latarnia.

– Tajne schowki?

– Tak, wbudowane w ściany. Jako młody chłopak nie zobaczyłem tam niczego ciekawego: ot, szpargały, papierzyska. – Wskazał palcem stojące przed nim pudła. – Dopiero kiedy dorosłem, znowu się nimi zainteresowałem. Po śmierci dziadka (a dożył dziewięćdziesiątki) wciąż myślałem o historii zamkniętej w tych ścianach. Nikt inny nie wiedział, że coś tu jest. Przyjechałem do latarni i zobaczyłem, że schowki się rozpadły. Wszędzie leżały papiery. Uznałem, że powinienem tu zostać, dopóki tego jakoś nie ogarnę.

– Moim zdaniem wszystko przez wilgoć. Puchną od niej drzwiczki szafek. W każdym razie u mnie tak się dzieje. I co, siedzisz tu, czytając stare dokumenty? Po nocach? Przy świeczce?

Damien się uśmiechnął.

– Czasami tak, ale głównie w dzień. W nocy po prostu śpię.

– I nigdy nie podchodziłeś po zmierzchu pod mój domek?

Potrząsnął głową.

– Nie, nigdy.

– Ktoś tam był, i to kilka razy. W środku nocy. Długo parkował pod oknem. Nieźle mnie

wystraszył.

– Rozumiem cię, ale to nie ja. W tej chwili nie mam samochodu. Wiesz co? Mogę mieć oko na domek, a jeśli ktoś tu podjedzie, wpadnę do ciebie. Nie musisz się już bać.

Libby się ucieszyła.

– Dzięki. To przemiła propozycja. – Odchyliła się i jak on oparła na łokciach. – Znalazłeś coś ciekawego w tych starych dokumentach?

– Większość z nich jest dosyć nudna, ale wyłowiłem kilka perełek. Mam tu dzienniki latarni datujące się od połowy dziewiętnastego wieku. Niektórzy latarnicy rejestrowali tylko zjawiska pogodowe i przepływające statki, ale jeden bez końca pisał o swojej pięknej żonie. Zobacz sama.

Pogrzebał w pudle i wyjął z niego oprawiony w skórę dziennik, po czym znalazł stronę zaznaczoną karteczką samoprzylepną i przeczytał:

Osiemnastego grudnia 1878 roku. Zeszłej nocy zerwała się burza i wiatr tłukł okiennicami. Moja kochana, delikatna Eliza bardzo się zaniepokoiła, więc musiałem ją mocno przytulić, żeby uspokoić trzepoczące serduszko. Dziś rano, kiedy się obudziłem, była na nogach już od pół godziny i przyrządziła moje ulubione śniadanie – zapiekanekę z boczkiem. Powiedziała, że to podziękowanie za uspokajanie jej poprzedniej nocy. Mam wyjątkowe szczęście, że kocha mnie tak cudowna kobieta.

Libby się uśmiechnęła.

– To urocze.

Zachęcony tym Damien wyjął ze skrzyni kolejny dziennik.

– Ten z lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku też jest ciekawy. Mam wrażenie, że latarnik cierpiał na jakieś zaburzenia psychiczne.

Idę do miasteczka i widzę, że wszyscy mi się przyglądają. Wiem, czego chcą. Ale póki oddycham, póty nie skradną moich myśli.

Zaskoczona Libby uniosła brwi.

– Jest tu więcej takich wpisów?

– Tylko ten jeden. Dwa tygodnie później pojawił się nowy latarnik. Bardzo tajemniczy, posłuchaj. Wpis z kwietnia 1901 roku. Ten gość, Matthew Seaward, pisał bardzo zwyczajnie, a nagle to:

Wczoraj wieczorem niespodziewanie zjawiała się nieznajoma kobieta, bosa i krwawiąca.

Przyszła do latarni w poszukiwaniu schronienia. Jej odzież była w strzępach, ale maniery świadczyły o dobrym pochodzeniu. Nakarmiłem ją i dałem jej starą suknię po żonie poprzedniego latarnika, a potem wysłałem do miasteczka, żeby znalazła tam bardziej odpowiednie mieszkanie.

– To było w kwietniu 1901 roku?

– Tak tu napisano.

– A jest coś więcej o tej kobiecie?

– Nie wiem. Być może. Nie przeczytałem jeszcze wszystkiego.

– Odzież w strzępach, rany, bose stopy... – Libby zaczęła łączyć fakty. – W kwietniu 1901 roku rozbiła się Aurora. Może ta kobieta uratowała się ze statku?

– Na pewno by o tym wspomniała.

– Może wspomniała, a on tego nie zapisał. – Wyobraźnia Libby podsuwała jej kolejne możliwości. – Daj znać, jeśli coś znajdziesz.

– Będę pamiętał.

Libby zawahała się na moment, a potem powiedziała:

– Gdybyś miał ochotę wpaść do mnie kiedyś wieczorem na gorący posiłek...

– Bardzo chętnie – wszedł jej w słowo Damien. – Mógłbym wpaść już w tym tygodniu?

– Jasne. W czwartek o dziewiętnastej? A do tego czasu sprawdź, czy jest tam coś jeszcze o tej „nieznajomej kobiecie”. – Po tych słowach Libby wstała i się przeciągnęła.

– Odprowadzę cię na dół. – Damien sięgnął po lampę.

Kiedy stanęli w drzwiach latarni, Libby rzuciła okiem w kierunku domu.

– Mam nadzieję, że dziś dadzą mi spokój.

– Jak myślisz, czego oni chcą? – spytał Damien.

Libby zaniemówiła na chwilę. Nigdy się nad tym nie zastanawiała; była zbyt pochłonięta lękiem i gniewem.

– Pojęcia nie mam. Wystraszyć mnie?

– Ale po co? A jeśli naprawdę chcą cię przestraszyć, mogliby to zrobić skuteczniej.

Libby znów się zastanowiła i poczuła, że cierpnie jej skóra.

– Może czegoś szukają?

Jeśli miała rację, intruzi nie spoczną, póki tego czegoś nie znajdą.

– Możliwe. Ale się nie martw, będę nasłuchiwał. Gdyby cię coś zaniepokoiło, przyjdź tutaj.

– Wielkie dzięki.

– Mam tylko jedną prośbę: możesz nie mówić nikomu, że tu jestem?

Libby wzruszyła ramionami.

– Oczywiście. I tak z nikim nie rozmawiam.

– Nie mów Juliet. Sama rozumiesz.

– Dobra. Nie powiem.

– To nie potrwa wiecznie, a ja w końcu przekażę wszystkie te papiery jakiemuś muzeum albo bibliotece.

Libby otworzyła usta, żeby zapytać o coś jeszcze, żeby się dowiedzieć, dlaczego właściwie Damien mieszka w latarni, ale zrezygnowała.

– Jasne – obiecała. – Nie wydam twojej tajemnicy.

Tej nocy śniło jej się, że jest na statku. Fale kłębiły się przerażająco blisko niej, a ona była przekonana, że Mark znalazł się za burtą i trzeba go ratować. Jednak za każdym razem, kiedy podchodziła do szalupy ratunkowej, jakaś wielka fala odrzucała ją do tyłu. W końcu pokład przechylił się tak mocno na bok, że z trudem się utrzymywała na czworakach, przywierając do niego obolałymi opuszkami wszystkich palców.

W środku nocy obudził ją jej własny szloch. W oddali szumiał ocean. Jej piersi wypełniała pustka. Mark był poza zasięgiem.

Wczesnym rankiem następnego dnia Libby zajęła się mejlami. Emily w końcu przysłała materiały. Osiemdziesiąt zdjęć, najwyraźniej zrobionych komórką. Libby rozpoznała wiele przedmiotów jako klasyczne projekty Winterbourne Jewellers, ale pojawiło się też kilka nowych, zaskakujących modeli. Przejrzała zdjęcia i przeczytała mejla do Emily.

Chciałabym, żeby katalog był wyrazem hołdu dla Marka i rodzinnej historii, a jednocześnie żeby wyrażał nową nadzieję, otwierał drzwi do przyszłości. Chyba zgodzisz się, że niektóre projekty są bardzo nowatorskie. Zależy mi na tym, by stanowiły najważniejszą część katalogu, ale posłucham Twoich wskazówek. Co o tym myślisz?

Libby zdała sobie sprawę, że dla Emily nowa kolekcja i katalog są szansą na uporanie się z żałobą i stawienie czoła przyszłości. Mark nigdy nie podjąłby takiej decyzji artystycznej. Jego zdaniem o sile rodzinnej firmy decydowała jej historia, nawet jeśli w efekcie wizerunek Winterbourne Jewellers był nieco sztywny. Nowe projekty, szczególnie te eksperymentalne, ukrywano zwykle na końcu katalogu. Libby pomyślała ciepło o Emily, która zdołała się wyzwolić spod dyktatu tradycji i znaleźć coś pozytywnego w tych przejmująco smutnych okolicznościach. W odpowiedzi wyraziła jej swoje entuzjastyczne poparcie i zaczęła szkicować pomysły w notesie. Później rozesłała kilka zapytań do znajomych fotografów z Paryża i Londynu i przystąpiła do układania harmonogramu prac nad katalogiem. Popełniła błąd, nie zgadzając się, by Emily zapłaciła jej dodatkowo za koordynację całego projektu. Czekają ją mnóstwo pracy.

Wstała od biurka, słysząc motocykl listonosza, i uzmysłowiła sobie, że przez kilka godzin nie rozprostowała nóg. Wyszła na zewnątrz, głęboko wciągając w płuca morskie powietrze. Zauważyła, że dzięki pracy lepiej się czuje. Oczywiście nadal tęskniła za Markiem, ale dzięki Emily dostrzegła w sobie coś jeszcze oprócz smutku. Nie wiedziała, co to jest, wydawało jej się jednak, że dowie się tego, gdy tylko podąży we właściwym kierunku.

Otworzyła skrzynkę na listy i wyjęła dużą żółtą kopertę nadaną w Londynie przez Winterbourne Jewellers. Rozerwała ją w drodze do domu i wyjęła znalezione przez Cathy nieotwarte listy adresowane do niej.

Usiadła przy biurku i ułożyła listy w porządku chronologicznym. Wszystkie wysłano z firmy Ashley-Harris Holdings. Najstarszy przed dwoma laty. Otworzyła kopertę. List zaczynał się od słów: Dziękujemy za odpowiedź. Rozumiemy powody, dla których nie chce Pani zdecydować się na

sprzedaż. Mimo to chciałbym się Pani przedstawić...

A zatem nie był to pierwszy list. Mark przechwycił już wcześniej ofertę kupna domku i odrzucił ją. Libby pośpiesznie otworzyła pozostałe listy. Ci ludzie przez dwa lata regularnie ponawiali propozycję: prosili o spotkanie, chcieli przylecieć do Londynu, przysłać plany i szkice. Wszystkie listy podpisał ten sam człowiek – Tristan Catherwood. Był wytrwały, ale nie nachalny. Ostatni list nadano cztery miesiące przed śmiercią Marka.

Libby oparła się wygodnie na krześle i zaczęła porządkować fakty. Jakaś jej część – część, z której nie była dumna – odczuwała irytację. Dlaczego Mark nie wspomniał o listach? Oczywiście nigdy nie sprzedałaby domku, ale przecież Mark przekazywał jej wszystko inne: rachunki, naturalnie już opłacone, oraz coroczne wyceny nieruchomości. Czyżby się obawiał, że Libby przyjmie ofertę pierwszego lepszego kupca? Czy jednak mogła mieć mu za złe takie podejrzania? Nie chciała tu przyjechać. Nie okazywała wdzięczności. Mark kupił jej dom, a ona potraktowała to nie jak prezent od losu, tylko dopust boży.

Nurtowała ją też ciekawość. Dlaczego firmie Ashley-Harris Holdings tak bardzo zależało na tym domu? Przecież w okolicy nie brakowało ziemi pod budowę nowych hoteli.

Tristan Catherwood od dawna czekał na odpowiedź, więc usiadła i zaczęła pisać odmowę. Potem zdała sobie sprawę, że podany u dołu numer telefonu jest miejscowy. Siedziba Ashley-Harris Holdings mieściła się w Noosa, toteż Libby postanowiła tam zadzwonić.

– Tristan Catherwood przy telefonie. – Głos był miękki, niezbyt niski i pozbawiony arogancji, jakiej się spodziewała.

– Dzień dobry. Nazywam się Elizabeth Slater i...

– Właścicielka domu przy latarni! Bardzo miło panią słyszeć, Elizabeth.

– Przepraszam, że musiał mi pan przysłać tyle listów. Z różnych skomplikowanych przyczyn ostatnie sześć dostałam dopiero teraz. Chcę tylko powiedzieć, że nie jestem zainteresowana sprzedażą, więc nie musi się pan już więcej trudzić. Dobrze się tu czuję i planuję zostać.

– Mieszka pani teraz w domku?

– Tak, od kilku tygodni.

– To piękny zakątek świata. Widok z latarni zapiera dech w piersiach. Skoro jest pani na miejscu, proszę dać się zaprosić na lunch. Ma pani czas jutro?

– Jutro? Jeszcze... nie wiem, co będę jutro robić.

– W takim razie dzisiaj. Ledwo minęło południe. Mogę wpaść po panią o pierwszej i zabrać tutaj, do Noosa. Przy Hastings Street jest włoska knajpka, gdzie robią niewiarygodne penne puttanesca.

Libby wiedziała, że facet próbuje wziąć ją pod włos. Podobała jej się jednak myśl o kosztownym posiłku i wygodnej podróży. Poza tym chciała poznać plany Tristana Catherwooda dotyczące

Lighthouse Bay.

A Juliet o niczym nie musiała wiedzieć.

– W porządku – wykrztusiła. – Chyba mogę się zgodzić.

Catherwood przyjechał punkt pierwsza czarnym audi. Libby obserwowała przez szczelinę między zasłonami, jak zmierza w stronę drzwi. Wyglądał zupełnie inaczej, niż się spodziewała. Po pierwsze, był znacznie młodszy, mniej więcej w jej wieku. Po drugie, miał na sobie swobodne ciuchy: luźną szarą koszulę i sprane dzinsy. Zapukał, a Libby otworzyła dopiero po dłuższej chwili. Nie chciała, żeby wiedział, że na niego czekała, choć tak właśnie było.

– Witam – powiedziała.

Mężczyzna zdjął okulary przeciwsłoneczne i uśmiechnął się ciepło. Spojrzenie jego głębokich, brązowych oczu było łagodne i serdeczne. Libby odwzajemniła uśmiech.

– Pani Elizabeth, zgadza się? – zapytał, wyciągając dłoń na powitanie.

– Mów mi Libby – odparła, ściskając ją. Roztaczał cudowną woń wody kolońskiej o piżmowo-drzewnej nucie.

– Myślałem, że będziesz starsza.

– Nawzajem. – Libby cieszyła się w duchu, że włożyła ciemnoczerwoną bluzkę, która pięknie podkreślała jej jasną karnację. Z przyjemnością odnotowała uznanie w oczach mężczyzny.

– Możemy ruszać w drogę? Konam z głodu.

Libby podeszła do samochodu i usiadła na kremowym skórzanym fotelu. Tristan włączył silnik. Wkrótce jechali na południe nadmorską drogą. Minęli lokal Juliet. Libby skuliła się na moment, ale Tristan raczej tego nie zauważył. Potem dotarli do głównej drogi.

– A więc mieszkałaś w Londynie? – zapytał mężczyzna.

– Nie, w Paryżu. Londyński adres należał do mojego przyjaciela, który nie przekazał mi twoich listów.

– W końcu jednak przekazał.

– Zmarł.

– Bardzo mi przykro. – Tristan zmienił ton na poważny, po czym gładko ciągnął: – Od jak dawna jesteś w Australii?

– Od kilku tygodni. Pochodzę z tych stron. Moja siostra jest właścicielką pensjonatu w Lighthouse Bay.

– Juliet? Oczywiście, powinienem był skojarzyć. Nosicie to samo nazwisko.

– Dziwię się, że znasz Juliet.

– Poznałem sporo ludzi z miasteczka, ale obawiam się, że w mało sprzyjających okolicznościach. To ja musiałem reprezentować firmę podczas wszystkich spotkań z radą miasta, kiedy staraliśmy się

o pozwolenia na budowę, więc wiem, jak bardzo mnie tu nienawidzą. – Skrzywił się, ale potem parsknął śmiechem. – Bycie wrogiem publicznym numer jeden to żadna frajda.

– No to dlaczego przy tym obstajesz? Skoro wiesz już, że zdecydowanie nikt nie chce tu wysokich budynków?

– Zrezygnowaliśmy z nich – odparł Tristan, zbywając temat machnięciem dłoni. – Ludzie wyrazili swoją opinię. Nie chcą bloków, a my mamy swoje zasady etyczne. W zeszłym roku dostaliśmy nawet nagrodę za wysokie standardy moralne w branży budowlanej. Bardzo się tym szczycimy.

– Czyli nie chodzi ci już o kupno mojego domu?

– Wręcz przeciwnie. Ale posłuchaj, odczekajmy chwilę i omówmy to przy lunchu. Nie chciałbym, żebyś mnie wzięła za namolnego handlowca, a poza tym wolę się najpierw dowiedzieć czegoś o tobie – o twoim życiu w Paryżu i o tym, dlaczego tu wróciłaś.

Libby przedstawiła mu wersję skróconą, nieuwzględniającą wszystkich najważniejszych faktów: dwunastoletniego romansu i zadawnionego konfliktu z siostrą. Z dumą poinformowała jednak Tristana, że w chwilach wolnych od malowania pracuje jako wolny strzelec dla Winterbourne Jewellers.

– Zawsze podziwiałem artystów – wyznał Tristan. – Jedyne, na co było mnie stać, to kiepskie wiersze, które pisałem w liceum. Z wykształcenia jestem inżynierem lądowym.

– A w tym nie ma żadnej poezji?

Mężczyzna z namysłem zacisnął wargi.

– Chyba jednak trochę jest. Geologiczne podstawy budowy fundamentów to szukanie harmonii z ziemią. Chociaż nigdy nie myślałem o tym w takich kategoriach. Poza tym obecnie pracuję głównie za biurkiem, a liczenie pieniędzy jest mało poetyckie.

Powiedział jeszcze kilka słów o sobie. Okazało się, że pod koniec lat osiemdziesiątych ich licea były śmiertelnymi wrogami rywalizującymi o puchar w turniejach piłki nożnej. Wkrótce dotarli do Noosa i zaparkowali przed włoską restauracją wyłożoną lśniącem chromem i gustownie oświetloną.

– Witam pana! – zawołał kelner. – Ten sam stolik co zawsze? Dla pana i uroczej damy?

– Tak, Mario, dziękuję. I poproszę butelkę mojego ulubionego wina.

Usiedli i złożyli zamówienia, a Tristan zaczął nalewać wino. Bardzo przypominał Marka, miał tę samą swobodę i pewność siebie. Widać było, że personel za nim przepada, zresztą Libby też zaczęła go lubić. W towarzystwie zrelaksowanego i pogodnego mężczyzny, pod wpływem wina i akompaniamentu muzyki jazzowej Libby również się odprężyła i poczuła beztrosko. Po chwili odkryła, że całkiem dobrze się bawi.

Podczas posiłku Tristan przeszedł w końcu do interesów. W Ashley-Harris Holdings pracował od dziesięciu lat; teraz obejmował stanowisko kierownicze w dziale rozwoju. Marzyło mu się eleganckie ekologiczne spa – centrum odnowy biologicznej w Lighthouse Bay, położone na cyplu,

gdzie stał obecnie domek Libby. Tristan zapewniał, że gdyby jego firma stała się właścicielem tego domu, zainwestowałyby pieniądze w zakup i renowację latarni morskiej, co dodałoby całej siedzibie wyjątkowego uroku i, jak to ujął, przysłużyłoby się również lokalnej społeczności. Tristan wyjął z teczki zdjęcia podobnego ośrodka zbudowanego przez niego na Tasmanii. Libby musiała przyznać, że fotografie zrobiły na niej spore wrażenie.

– To miejsce dla szczególnego typu klientów – opowiadał mężczyzna. – Jedna noc kosztuje pięćset dolarów, a chętnych nie brakuje. Nawet w zimie.

Libby pokiwała głową.

– Po co wam mój domek?

– To nasza ostatnia szansa. Rada hrabstwa i tutejsi mieszkańcy zabraniają nam budować gdziekolwiek indziej. Ciebie od plaży oddziela tylko pas zarośli, więc nikt nie będzie się skarżył, że zasłaniamy mu widok. Poza tym nieruchomość leży z dala od centrum miasta, więc nie obowiązują tu prawa miejskie. Przyznaję, na początku mieliśmy zbyt wygórowane ambicje. Nie pasowałyby tu hotel z pięćdziesięcioma pokojami ani wysoki apartamentowiec. Ale eleganckie ekologiczne spa z osiemnastoma pokojami? Lighthouse Bay to idealne miejsce. Skorzystaliby na tym miejscowi przedsiębiorcy. Turyści. Wszyscy. Miasteczko zyskałoby popularność.

Wszyscy? Libby próbowała sobie wyobrazić, co powiedziałyby Juliet.

– Patrząc na ciebie i coś mi się wydaje, że i tak nie zmienisz zdania.

– Dziękuję, że poświęciłeś mi tyle czasu i pokazałeś te zdjęcia, ale chyba powinieneś poszukać innej lokalizacji.

– Lighthouse Bay jest idealną lokalizacją. Miasteczko będzie się rozwijać. To nieuniknione. – Po tych słowach Tristan uniósł dłonie w geście kapitulacji. – Rozumiem. Pozwolisz przynajmniej, żebym dokonał paru obliczeń i przysłał ci naszą ofertę?

Libby ponownie uległa ciekawości, ale poczuła jednocześnie lekki niepokój. Biorąc pod uwagę nękające ją problemy finansowe, mogła się nie oprzeć pokusie.

– Zgódź się – poprosił Tristan.

Libby spojrzała na niego. Tak szczerze się uśmiechał.

– Nie ma sprawy, ale przygotuj się na rozczarowanie.

– Oczywiście. Jeśli odrzucisz oficjalną ofertę, dam ci spokój. I tak dostanę premię za samo spotkanie z tobą. Mój szef zabiegał o to od lat.

Libby uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Dziękuję za lunch.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Tristan przez moment patrzył jej w oczy, a potem niemal nieśmiało odwrócił wzrok. Z niezrozumiałych przyczyn serce Libby drgnęło. – Mam spotkanie

o trzeciej. Lepiej odwiozę cię już do domu.

Wieczorem Libby sprawdziła pocztę i znalazła w niej ofertę dołączoną do mejla od niejakiego Yanna Frasera. Nigdzie nie było nazwiska Tristana. Libby poczuła dziwne rozczarowanie. A potem otworzyła załącznik i jej serce zamarło.

Oferta opiewała na dwa i pół miliona dolarów.

Matthew czuje, że coś nieustannie ciągnie go do nieznajomej. On włącza światło, odmierza czas sygnału, kręci korbą, wsłuchuje się w znajomy stukot mechanizmu obracającego pryzmatem, który wysyła w morze wiązkę światła. W pomieszczeniu z telegrafem pisze dziennik przy świetle lampy i wypełnia formularze wymagane przez władze oraz firmy przewozowe. Jednak między tymi zajęciami podchodzi do łóżka i patrzy na śpiącą kobietę. Jej widok budzi w nim smutek. Nie, to nie Clara, ale ktoś bardzo do niej podobny. Te same jasne włosy, ten sam łagodny łuk ust. Jest też coś więcej. Podobna dzikość w oczach, wrażenie, że ma się do czynienia z uwięzionym w klatce ptakiem, którego należy traktować delikatnie i czule, by w końcu – nieuchronnie – wypuścić na wolność.

Uwięziona ptaszyna. Naprawdę śliczna.

A może zwariował? Dwadzieścia lat w samotności może złamać każdego, nawet jeśli człowiek sam ucieka od ludzi. Przecież nic nie wie o tej kobiecie. Skąd się tu wzięła bosa i pokrwawiona? Jak długo szła? Może przybyła z któregoś miasteczka poszukiwaczy złota w głębi lądu? Czemu nie wybrała po prostu pociągu zmierzającego do Brisbane? Dlaczego tu jest i co zostawiła za sobą?

Długi drewniany kufer – dzikość, z jaką skoczyła, żeby go osłonić – również budzi ciekawość latarnika.

Matthew siada na stołku obok łóżka i przygląda się kobiecie w migoczącym blasku świecy. Nieznajoma wygląda tak spokojnie, jej pierś porusza się miarowo. Jutro będzie musiał ją namówić do opuszczenia latarni, zanim ktokolwiek się zorientuje, że tu była. Mężczyzna wstaje, podchodzi do okna, patrzy na ocean. Światło z wielkiego pryzmatu nad jego głową błyska na falach, biegnie z północy na południe, a potem znów robi się ciemno. Tej nocy na morzu panuje spokój. Nie ma statków, sztormu, wichury. Znajomy rytm: światło i mrok, światło i mrok od tylu lat przynosi Matthew ukojenie w Lighthouse Bay. Teraz jednak, choć rytm ten pozostaje niezakłócony, mężczyzna nie może odnaleźć spokoju. Tęskni za oswojoną już samotnością, a jednocześnie panicznie się jej boi.

Isabella budzi się przed świtem. Przy wąskim oknie w pokoju wypełnionym aromatem dymu tytoniowego stoi Matthew. Pali fajkę, która na moment oświetla jego twarz. Isabella mruży oczy, by go lepiej widzieć w ciemności. Matthew ma w sobie niezwykły spokój. Na pewno nie żywi wobec niej żadnych wrogich zamiarów. Jest niczym światło w mroku.

– Przepraszam – odzywa się kobieta. – Przeze mnie nie miałeś gdzie spać.

Matthew odwraca się w jej stronę.

– Nigdy nie śpię w nocy. Sypiam popołudniami – wyjaśnia. – W nocy mam mnóstwo pracy.

Isabella przypomina sobie horror kilku ostatnich dni, ale po nocy przespanej wygodnie w ciepłym łóżku złe wspomnienia bledną. Jej przyszłość jeszcze nie nadeszła, przeszłość została w tyle. W tej chwili Isabella jest bezpieczna.

Matthew wyjmując fajkę z ust i wytrząsa popiół na gliniany talerzyk na stole.

– Prześpij się jeszcze, Mary.

– Nie jestem Mary – mówi kobieta, zupełnie nie wiedząc, czemu się na to zdecydowała. Jakby nie potrafiła okłamać swojego gospodarza. – Jestem Isabella.

– Rozumiem.

– Proszę, nie pytaj mnie o nic więcej.

Matthew zaciska usta, przybierając ponury wyraz twarzy. Potem zapewnia łagodnym tonem:

– Dobrze. Nie będę pytał o twoją przeszłość. Żeby jednak móc ci jakoś pomóc, muszę wiedzieć, co zamierzasz.

Co zamierza? Raptem tydzień czy dwa tygodnie temu wszystko wydawało się takie oczywiste: chciała uciec od męża, sprzedać biżuterię, znaleźć siostrę w Nowym Jorku. Od męża już się uwolniła. W Anglii czeka na nią dom, majątek, wygodne życie, ale cena tych luksusów jest bardzo wysoka: wieczna więź z rodziną Arthura. Starsza pani Winterbourne skorzysta z każdej okazji, by uprzykrzyć życie synowej. Percy... Do czego jest zdolny ten człowiek? Wystarczająco podle zachowywał się jeszcze za życia brata.

– Chcę uciec – odpowiada Isabella. – Uciec do Ameryki, żeby znaleźć tam moją siostrę. – Po tych słowach czuje, że znów ma jakiś cel w życiu. – Wyrwałam się z małżeństwa bez miłości. Straciłam dziecko, a mąż chciał mnie ukarać za mój ból. Chcę uciec do Nowego Jorku, bo tam znajdę schronienie i pomoc mojej siostrze, Victorii, która spodziewa się dziecka. I wreszcie będę miała prawo... – Isabella nagle zdaje sobie sprawę, że usiadła na łóżku, a teraz wali pięściami w koce. Jej głos jest wysoki i przenikliwy. – Prawo... do własnych uczuć – kończy szeptem.

Potem spogląda na twarz Matthew. Ciemność wypełniająca pokój rzednie. Isabella widzi łagodne spojrzenie mężczyzny, który podchodzi do łóżka i klęka przy nim. Bierze Isabellę za rękę. Ich palce się splatają, drugą dłonią Matthew obejmuje nadgarstek kobiety.

– Bardzo ci współczuję, Isabello. Jak miało na imię twoje dziecko?

– Daniel. Mój synek miał na imię Daniel.

– Współczuję ci straty Daniela. To ogromny ból, szczególnie dla matki. Twój smutek jest zapewne większy niż ocean.

Ból ściska gardło Isabelli. Nikt wcześniej jej tego nie powiedział. Ludzie powtarzali, że Daniel

uśmiecha się do niej z nieba, że wkrótce jego miejsce zajmie kolejne dziecko, że jeśli się postara, znów zaświeci dla niej słońce, że jeśli nie skończy z tą żałobą, straci przyjaciół i przysporzy cierpień rodzinie. Przez te trzy lata nikt jednak nie powiedział po prostu: „Współczuję ci straty Daniela”. Większość ludzi nie chciała nawet wymawiać jego imienia, czego Isabella nie potrafiła zrozumieć. Zupełnie jakby dźwięk imienia zmarłego dziecka miał spowodować jeszcze większy ból. Piętnaście dni trudno nazwać życiem. Lepiej stracić dziecko, zanim stanie się prawdziwym człowiekiem z imieniem i osobowością. Isabella wie, że ludzie właśnie tak myślą. Są przekonani, że napawa się własnym bólem i nie chce dojsc do siebie.

A Matthew wcale tak nie myśli.

Mężczyzna wstaje i się odsuwa, ona jednak wciąż czuje na skórze jego ciepły dotyk. Matthew wraca do okna, by znów spojrzeć na ocean. Fale wznoszą się i głośno opadają, ale dziś ten dźwięk jest kojący. Za oknem chaos, a tu spokój i bezpieczeństwo. Po raz pierwszy od zatonięcia statku Isabella ma wrażenie, że stanęła wreszcie na stałym lądzie.

– Matthew, muszę się wykąpać – mówi.

Mężczyzna kiwa głową.

– Oczywiście.

Pokazuje jej, gdzie jest wanna, i wręcza bladożółtą suknię oraz parę brązowych butów; Isabella na pierwszy rzut oka widzi, że buty będą za ciasne. Kiedy jest już czysta i przebrana, nigdzie nie może znaleźć swojego gospodarza. Ostrożnie rozgląda się po jego domku. Jest tam salon, maleńka sypialnia i jeszcze jeden pokój, pełen drutów, metalowych przedmiotów oraz szpul i innych nieznanym sprzętów.

– Latarnia morska służy też do wysyłania telegramów – mówi Matthew.

Na dźwięk jego głosu Isabella aż podskakuje.

– Nie wiedziałam, że tu jesteś.

– Poszedłem na górę, żeby wyłączyć światło. To koniec mojej warty.

– Sam obsługujesz telegraf? Czy ktoś jeszcze tu pracuje?

– Nie, tylko ja. W Lighthouse Bay nie ma poczty, więc to ja odbieram i wysyłam wiadomości.

– Lighthouse Bay? Jestem w Lighthouse Bay?

– Owszem.

– Czy to blisko Sydney?

Matthew kręci przecząco głową.

– Nie, ale niedaleko stąd, na południu, znajduje się port, z którego będziesz mogła tam popłynąć. Oczywiście, jeśli wybierasz się do Nowego Jorku, musisz się najpierw dostać do Sydney – tłumaczy rzeczowo.

– Podróż do Ameryki sporo kosztuje – stwierdza Isabella, myśląc o biżuterii leżącej na dnie

oceanu. – Nie mam niczego wartościowego, co mogłabym spieniężyć.

Sprzedaż buławy byłaby jak wyraźny sygnał wzywający Winterbourne'ów.

– Pani Fullbright szuka niani dla swojego synka Xaviera. W zeszłym tygodniu odebrałem telegram do niej; młoda kobieta, która miała podjąć tę pracę, zmieniła zdanie. To uczciwe zajęcie i jestem pewien, że pani Fullbright cię zatrudni, jeśli ją o to poprosisz.

I znowu ta pani Fullbright. Matthew najwyraźniej się uparł, że Isabella powinna pójść do miasteczka. Po przespanej nocy i odzyskaniu równowagi trudno się z nim nie zgodzić. Isabella nie może zostać w latarni i czekać, aż sprawy same się ułożą. Musi wykonać jakiś ruch, nawet jeśli oznacza to służbę u kobiety, która prawdopodobnie jest mniej zamożna niż ona. W kufrze kryje się przedmiot tak niesłychanie cenny, że można by było kupić za niego panią Fullbright z całym dobytkiem. Złoto. Klejnoty. Isabella przypomina sobie o bransoletce Daniela ukrytej w skromnej czarnej wstążce na dnie kufra i nagle dociera do niej, że wszystkie nieszczęścia zdarzyły się po tym, jak zdjęła wstążkę z ręki.

Kłótnia z Arthurem, wskutek której została zamknięta pod pokładem i nie mogła odmawiać swojej modlitwy do morza.

Nieustępliwy sztorm.

Zatonięcie statku. Walka o przeżycie. Rany.

Pech jej nie opuści, dopóki nie włoży bransoletki z powrotem na rękę.

– Musisz mi pomóc otworzyć ten kufer – prosi drżącym głosem.

– Nie masz klucza?

– Nie. – Isabella idzie już do salonu. Kufer nadal stoi przy drzwiach.

Matthew, marszcząc brwi, przykuca koło niej.

– Czy ten kufer...?

– Czy został skradziony? Nie. To znaczy... niezupełnie. – Nagle budzi się w niej lęk.

Wyrozumiałość Matthew zaraz się wyczerpie jak piasek w klepsydrze.

Chwila niepewności. Potem mężczyzna kiwa głową.

– Powiedziałem, że nie będę już zadawał żadnych pytań, i mam zamiar dotrzymać słowa.

– Dziękuję.

– Chodź – mówi Matthew. – Na górze trzymam małą siekierę.

Dźwiga kufer z podłogi i rusza po stopniach na piętro. Isabella się waha. Podnosi wzrok, by się przyjrzeć krętym schodom. Jednak Matthew dziarsko stąpa przodem, więc Isabella podąża za nim, mijając po drodze długie, zwisające łańcuchy. Przez otwór w podłodze wydostaje się na górny poziom latarni. Większość miejsca zajmuje tu ogromna lampa otoczona pryzmatycznymi soczewkami i systemem kryształowych luster. Powietrze wypełnia całkiem przyjemna woń oleju. Matthew

otwiera niewielkie drzwiczki i do środka wpada świeże powietrze. Isabella wychodzi na okrągły balkonik zawieszony wysoko nad światem. Widok sięga ciemnego horyzontu. Na balkonie leżą martwe ćmy i żuki, a nawet jedna mewa. Matthew zsuwa ją stopą za krawędź, a następnie z trzaskiem stawia kufer na podłodze.

Otwiera drewnianą skrzynkę z narzędziami i wyjmuje z niej siekierkę.

– Postaram się otworzyć kufer, nie niszcząc go za bardzo – oświadcza.

– Dla mnie to bez znaczenia. Przy pierwszej nadarzącej się okazji pozbędę się kufra i jego zawartości. To brzemię, którego nigdy już nie chcę oglądać. – Serce Isabelli bije tak szybko, że zaczyna jej się kręcić w głowie.

Matthew unosi siekierkę, zamierza się i uderza w pierwszy zamek. Drewno pęka, a zamek z brzękiem spada na ziemię. Kolejne uderzenie, potem następne. W sumie pięć, po jednym na każdy z tych przeklętych zamków. W końcu mężczyzna wstaje i odwraca się demonstracyjnie.

– Lepiej, żebym nie zobaczył, co jest w środku – mówi.

Isabella traci dech w piersiach z wdzięczności. Szybko podnosi wieko. Promienie słońca migoczą na złocie i drogocennych kamieniach. Kobieta prędko odsuwa buławę, sięga dłonią pod aksamit i odnajduje wstążkę.

Wyjmuje ją, a następnie z powrotem opuszcza wieko. Przebiegając palcami po koralowych paciorkach bransoletki, czuje, że ogarnia ją dziwny spokój. Wątpliwości znikają, wszystko staje się proste: będzie pracować u pani Fullbright, dopóki nie zarobi pieniędzy na rejs do Ameryki. Z bransoletką Daniela na ręce zniesie każdą przeciwność losu.

– Możesz się już odwrócić – mówi.

Matthew się obraca, a ona podnosi dłoń.

– Pomożesz mi to zawiązać?

– Oczywiście. – Mężczyzna szybko i delikatnie obwiązuje jej przegub wstążką.

– To moja ostatnia pamiątka po Danielu – tłumaczy cicho Isabella. Jej głos niemal ginie w szumie wiatru i blasku słońca. Potem kobieta spogląda na kufer. – Muszę się tego pozbyć. Umieścić gdzieś daleko, gdzie nikt tego nie znajdzie. – Jej spojrzenie wędruje w stronę oceanu. Miejsce kufra jest właśnie tam: na dnie.

Matthew podąża wzrokiem w tym samym kierunku.

– Mogę odpłynąć łódką nieco dalej od brzegu i wrzucić skrzynię do wody.

– Jest tam głęboko?

– Odpłynę najdalej, jak się da, póki ocean jest jeszcze spokojny.

Isabella kiwa głową.

– Zrób tak.

Wspólnie wnoszą kufer do środka i owijają go w podartą, zakrwawioną suknię Isabelli,

a następnie Matthew zabiera pakunek na morze. Isabella wraca na balkon, żeby zobaczyć, jak na zawsze znika ostatnie ogniwo łączące ją z Winterbourne'ami.

Matthew powtarza sobie w kółko, że nie wolno mu zajrzeć do środka. Nie robi tego. Nie musi wiedzieć, co jest w kufrze. A jednak... Isabella prosiła, by wrzucił skrzynię do wody. Jest zmęczona, zagubiona, przygnieciona bólem, który odcisnął już na niej piętno. A jeśli potem będzie tego żałować? Żałować, że zawartość kufra znalazła się na dnie? Matthew przypomina sobie pretensje Clary, kiedy spalił nieprzeczytany list od jej matki. Sama go o to prosiła, a potem ze łzami w oczach robiła mu wyrzuty.

Musi tam zajrzeć. Musi zachować się rozsądnie, skoro Isabella nie jest w stanie. Jeśli w środku znajdzie stare książki, ubranie, butelki, zegary albo... inne bezwartościowe rzeczy, wyrzuci je do oceanu. Jeśli jednak kufer zawiera coś ważnego, coś, czego straty Isabella mogłaby później żałować, on przechowa to dla niej w tajemnicy.

Drzwi do latarni zamykają się za nim. Matthew okrąża domek i podchodzi do blaszanego daszku, pod którym trzyma suche drewno. Staje w jego cieniu, rozpakowuje kufer i szybko, zanim zmieni zdanie, podnosi wieko.

– No, no, no – mruczy pod nosem. W kufrze znajduje się przedmiot tak piękny i cenny, że początkowo trudno to zrozumieć. Lśniaca rękojeść, zdobiona głowica, grawerowane złoto. Czerwone, zielone i niebieskie klejnoty. Matthew nie zna przeznaczenia tego przedmiotu, ale zdaje sobie sprawę z jego wartości. I wie, że czegoś podobnego nie może wyrzucić. Isabella pożałowałaby tej decyzji. Na pewno.

Ze stosu drewna Matthew wyciąga polano przypominające rozmiarami kufer i owija je w suknię. Następnie zamyka kufer i chowa go starannie między kłodami. Wąską ścieżką rusza w stronę osłoniętej części kamiennego muru i po omszałych stopniach schodzi na dół do łódki. Podnosi wzrok. Isabella obserwuje go z balkonu. Macha do niej ręką, a ona odwzajemnia się tym samym gestem. Jej nadgarstek owija czarna wstążka. Matthew, czując wyrzuty sumienia, szybko wiosłuje pod wiatr. Nie udałoby mu się to po południu, kiedy wieje mocniej, a fale szaleją, ale rano jest zwykle spokojniej. Matthew odpływa tak daleko, jak to możliwe, zanim złapie go prąd odpływowy. Promienie słońca padają na jego przedramiona. Dźwiga kłodę drewna i ciska ją do wody. Isabella na pewno nadal go obserwuje. Czy już zaczęła żałować? To bez znaczenia. Jeśli zmieni zdanie, kufer będzie na nią czekał w bezpiecznym miejscu.

Nieważne, co zawiera.

Matthew nalega, żeby Isabella odpoczęła przez cały dzień, zanim wyruszy do pani Fullbright. Jej

rany jeszcze się nie zagoiły, a stopy nadal są obolałe. Isabella spędza poranek w łóżku, a w południe, kiedy Matthew musi się przespać, siada na balkonie. Obserwuje ocean i pozwala myślom błądzić swobodnie. Obawia się spotkania z panią Fullbright. Nie wie, jak zostanie przyjęta. Jednak Matthew jest optymistą, a ona mu ufa. Ufa mu, chociaż go nie zna. Mężczyzna ma w sobie coś znajomego, kojącego; coś, co budzi w niej pierwotne poczucie bezpieczeństwa. Isabella nie chce się z nim rozstawać, ale wie, że musi to zrobić. Zna nakazy i zakazy społecznych norm: młoda kobieta nie może mieszkać z samotnym mężczyzną w domu, gdzie stoi tylko jedno łóżko. Ona zaś musi postępować zgodnie z obowiązującymi konwenansami, jeśli chce zdobyć posadę u pani Fullbright, uczciwie zarobić pieniądze i dotrzeć do siostry.

Jest późne popołudnie. Wkrótce zapadnie zmierzch, a Matthew się obudzi, gotowy do pracy. Isabella robi ostatnie wdechy na balkonie z widokiem na świat, po czym schodzi na dół i kieruje się do domku.

Matthew już nie śpi. Odziany w spodnie, podkoszulek i szelki zapala fajkę. Odwraca się w stronę wchodzącej i uśmiecha kącikiem ust.

– Chyba muszę już iść – mówi Isabella.

– Tak będzie najlepiej. Sama znajdziesz drogę.

Isabella kiwa głową i podchodzi do drzwi, żeby włożyć ciasne buty. Matthew przygotował dla niej niewielki pakunek: są w nim jeszcze dwie suknie, obie za duże, ale teraz Isabella ma przynajmniej jakieś ubrania. Serce podchodzi jej do gardła, nagle czuje się bezradna.

– Gdybyś mnie potrzebowała, będę tutaj, Isabello – obiecuje Matthew, po czym poprawia się z uśmiechem: – To znaczy, Mary Harrow.

– Dziękuję. Dziękuję za wszystko.

Potem drzwi zamykają się za nią bezgłośnie, a ona stoi na ścieżce prowadzącej do miasteczka.

Choć pieką ją stopy, idzie pewnym krokiem. Ścieżka jest piaszczysta, a gęste zarośla po obu jej stronach emanują ostrą wonią. Isabella rozpoznaje jadalne jagody, ale już nie musi ich zrywać. Zjadła dziś trzy solidne posiłki, a pani Fullbright też ją nakarmi. Za zakrętem ścieżki widać miasteczko. Po drugiej stronie lasu oddzielającego resztę lądu od oceanu przycupnęły drewniane budynki z blaszanymi dachami. Jest tam może ze dwadzieścia domów. Pub. Duża szopa, w której według relacji Matthew handluje się cukrem i drewnem. Prosty biały kościółek z pobielonymi ścianami.

Ze wzgórza Isabella szuka wzrokiem dużego domu na początku głównej ulicy. Bładoróżowe ściany. Dwa piętra i duża weranda wokół całego budynku. Zielony trawnik i schludne grządki w ogrodzie. Tu mieszka pani Katherine Fullbright z synkiem Xavierem oraz zapewne mężem i ze służbą. Wcześniej Isabella miała nieśmiałą nadzieję, że pani Fullbright jednak jej nie przyjmie. Mogłaby wtedy wrócić do bezpiecznej latarni. Teraz, na widok trawnika i kwiatów, zmienia zdanie.

Chce postawić stopy na trawie. Chce mieszkać w prawdziwym domu z dywanami i zasłonami. Od miesięcy nie zaznała tych podstawowych wygód.

Pewnym krokiem idzie po ścieżce, mija porośniętą trawą polną drogę, wchodzi przez bramę i zmierza prosto do frontowych drzwi. Parapety pomalowano na biało. W oknach wiszą firanki. Isabella już teraz zaczyna czuć sympatię wobec gospodyni.

Ściąga włosy na kark, żeby zasłonić ranę i nie niepokoić pani Fullbright. Rękawiczki należące kiedyś do żony poprzedniego latarnika zasłaniają stopy na dłoniach. Oparzeń słonecznych nie dało się zamaskować, ale Isabella na wszelki wypadek będzie odwracać twarz od światła lampy.

Dzwoni i czeka.

Po dłuższej chwili w uchylonych drzwiach staje kobieta o ciemnoniebieskich oczach, czarnych włosach i pełnych ustach.

– Dobry wieczór – mówi Isabella. – Szukam pani Fullbright.

Drzwi otwierają się szerzej.

– Jestem Katarina Fullbright – przedstawia się kobieta z lekkim akcentem, którego Isabella nie potrafi rozpoznać.

Isabella sądziła, że drzwi otworzy służąca, i teraz próbuje się oswoić z tym, że ta niewiarygodnie piękna młoda kobieta o gładkiej oliwkowej skórze i lekko rozszerzonych nozdrzach to pani Fullbright. Spodziewała się Angielki w średnim wieku, wymagającej w kwestii manier i odzianej w konserwatywną suknię, a nie cudzoziemki w szkarłacie.

Szybko przypomina sobie, po co tu przyszła, i wyciąga rękę na powitanie.

– Nazywam się Mary Harrow. Słyszałam, że potrzebuje pani opiekunki do dziecka. Jestem nianią i szukam pracy.

Idealne łuki brwi Katariny się unoszą.

– Naprawdę?

– Tak. Niestety straciłam swoje referencje...

– Wejdz, Mary – mówi niezrażona gospodyni, prowadząc Isabellę do salonu z wysokim sufitem i boazerią na ścianach. Obok dwóch skórzanych foteli stoi tam duża kanapa przykryta szydełkową narzutą. Jedną ścianę zasłaniają półki na książki i kredens. Widać przejście do niewielkiej jadalni oraz kuchni. W domu jest czysto, wszędzie unosi się zapach cytrynowego olejku do polerowania mebli. Pokój oświetlają tylko dwie grube świece. – Siadaj, proszę. Co za miła niespodzianka – dodaje Katarina.

– Dziękuję – odpowiada Isabella, przysiadając na kanapie i układając swoją torbę między stopami.

– Już myślałam, że będę musiała zamieścić kolejne ogłoszenie i czekać kilka miesięcy – mówi

Katarina. – Trudno jest znaleźć kogoś, kto chciałby pracować na takim odludziu, a Xavier to... trudne dziecko. Nie przeszkadza ci to?

Isabella po raz pierwszy w pełni zdaje sobie sprawę, że będzie musiała ciężko zapracować na upragnione pieniądze. Kiedy mieszkała w Somerset, czas wypełniała wyszywaniem, przycinaniem kwiatów, układaniem bukietów, urządzaniem popołudniowych herbatek oraz towarzyszeniem mężowi podczas wypraw do miasta. Nigdy w życiu nie pracowała.

– Oczywiście, że nie – zapewnia, zastanawiając się nad szczerością własnych słów. Powinna była jeszcze na kilka dni zostać w latarni. Decyzja o przyjeździe tutaj była zbyt pochopna. Nie myśli jasno, nie jest w stanie tego robić. Powraca poczucie bezradności, dławiąca potrzeba płaczu.

– Xaviera w tej chwili nie ma – wyjaśnia Katarina. – Wyjechał na parę dni z panem Fullbrightem.

– Mam przyjść kiedy indziej?

– Nie ma takiej potrzeby, skoro już tu jesteś. W mieście nie ma się gdzie zatrzymać, jeśli nie liczyć pubu, a to nie jest stosowne miejsce dla kobiety. Kucharka już skończyła pracę, więc spóźniłaś się na kolację. Jeśli jesteś głodna, mam w kuchni chleb i smalec.

– Nie jestem głodna. – Isabella dotyka dłonią czoła. – Tylko bardzo, bardzo zmęczona.

Katarina się uśmiecha.

– No tak, masz za sobą długą podróż? Widzę, że spaliłaś się na słońcu, jadąc wozem. Przyjechałaś z miasteczka górniczego? Tam poprzednio pracowałaś?

Isabella kiwa potakująco głową.

– Chodź, Mary. Pokażę ci łazienkę i pokój dziecięcy. Będziesz spała u Xaviera. Dziś wieczorem możesz się położyć wcześniej, a wszystkie szczegóły omówimy jutro, dobrze?

Isabella ma wrażenie, że jej gospodyni śpieszy się do wyjścia. To by wyjaśniało wspaniałą suknię. Kiwa więc głową, a Katarina prowadzi ją przez wyłożony dywanem hol, od którego na lewo i prawo odchodzą pokoje. Zatrzymują się przy ostatnich drzwiach, gdzie gospodyni mówi:

– Na prawo łazienka, na lewo pokój dziecięcy. W dużej komodzie za łóżkiem znajdziesz pościel. Wybacz, ale muszę już wyjść.

Znika w obłoku czerwonej tkaniny i czarnych włosów. Isabella idzie do łazienki. W bladym świetle ledwie może dostrzec swoje odbicie w lustrze, ale to, co widzi, mocno ją niepokoi. Rzeczywiście ma twarz poparzoną od słońca: lśniąca, z pęcherzami na nosie, poza tym zapadnięte policzki i wyraźne cienie pod oczami, a włosy cienkie i nieuczesane. W porównaniu ze świeżą i piękną Katariną wygląda jak wiedźma. Widziała zbyt wiele przerażających rzeczy i znalazło to odbicie w jej twarzy. Odwraca wzrok. Spryskuje twarz wodą, myje ręce i idzie do pokoju dziecięcego.

Po obu stronach drzwi wiszą lampy, które zapala długimi zapałkami znalezionymi na komodzie.

Pod ścianą stoi łóżeczko dziecięce i jeszcze jedno małe łóżko, a pod drugą ścianą – łóżko normalnej wielkości. Między posłaniami leży błękitny dywanik i stoi pudło z zabawkami. Isabella podnosi upuszczonego na podłogę misia i kładzie go na małym łóżku. Nie spytała nawet, ile lat ma Xavier. Znow kręci jej się w głowie. Co ona tu właściwie robi? To wszystko dzieje się zbyt szybko. Trzeba czasu, by się oswoić z myślą, że wszyscy inni zginęli, a ona musi sobie radzić w obcym miejscu.

Poprzedniego wieczoru też czuła się kompletnie bezradna, a jednak po przespanej nocy doszła do siebie. Ciężkie przeżycia kompletnie ją wyczerpały. Isabella kładzie torbę koło łóżka i zdejmuje suknię.

Nagle słycać trzaśnięcie drzwi frontowych i kroki na schodach. Isabella jest sama w cudzym domu. Wiedziona ciekawością otwiera drzwi pokoju dziecięcego i nasłuchuje uważnie. Cisza. Idzie więc na drugi koniec holu i naciska klamkę drzwi prowadzących do salonu. Drzwi są zamknięte.

Isabella się jeży, choć wie, że nie powinna. Katarina poznała ją niecałą godzinę temu. To oczywiste, że nie może być mowy o swobodnym zwiedzaniu domu. Jest tu tylko służącą.

Wraca do pokoju i pada na kolana przy łóżku z łokciami wspartymi na parapecie okna. Nad wierzchołkami drzew widać szczyt latarni morskiej. Światło już się pali, wysyłając sygnały w morze, przez szalejący ocean, który oddziela stare życie Isabelli od nowego, nieznanego. Nocne niebo ciemnieje coraz bardziej, a ona wciąż wpatruje się w to światło.

O trzeciej w nocy Matthew zakopuje w lesie jakiś duży przedmiot. Nie jest to ciało, choć mężczyznę dręczą takie wyrzuty sumienia, jakby rzeczywiście ukrywał zwłoki. Ustawił mechanizm w latarni, więc światło będzie nadal błyskać, ale nigdy wcześniej nie opuścił swojego posterunku w godzinach pracy. Oczywiście wolno mu zostawić na chwilę latarnię bez nadzoru, wiąże się to jednak z ryzykiem, a Matthew nie lubi ryzyka. Nie jest też zachwycony faktem, że okłamał Isabellę w sprawie cennego przedmiotu, leżącego teraz bezpiecznie w orzechowej trumnie starannie owiniętej ceratą i czekającego na pogrzebanie wśród platanów.

Matthew kończy kopanie i staje z rękoma splecionymi na plecach. Nie jest już młody. Gdy ból ustępuje, mężczyzna wkłada pudło do głębokiej na metr dziury i zaczyna je przykrywać ziemią. W trakcie pracy zastanawia się, dlaczego to robi. Dlaczego zaniedbuje swoje obowiązki, haruje w środku nocy, ukrywa coś, co prawdopodobnie zostało skradzione, dla kobiety, którą zna zaledwie od dwudziestu czterech godzin? Czyżby był starym głupcem? Czyżby każdy, kto przypomina mu Clare, był w stanie zakłócić działanie jego moralnego kompasu?

Nie. Chodzi po prostu o pomoc dla potrzebującej, to wszystko. Ta kobieta przyszła do niego zrozpaczona, poraniona i bosa. Zabrała z sobą bezcenną pamiątkę po zmarłym dziecku i poszła tam, gdzie znajdzie dach nad głową oraz uczciwe zajęcie. Zakopanie kufra jest równie dobre jak

zatonienie; jedyna różnica polega na tym, że jeśli kobieta zmieni kiedyś zdanie, będzie można go odzyskać.

Matthew przyklepuje ziemię, żeby nie pozostawić żadnej wypukłości. Na koniec posypuje miejsce opadłymi liśćmi. Teraz nie widać, że ktoś tu był i ukrył skarb. Pora wracać do latarni.

Percy Winterbourne nie potrafi czytać. Oczywiście uczono go tego. Oczywiście nie jest głupi. Kiedy jednak patrzy na litery i cyfry, znaki zamieniają się czasem w hieroglify: zaczynają się odwracać do góry nogami lub przypominać swoje lustrzane odbicia. Dzięki koncentracji i kilku sprytnym sztuczkom – takim jak zasłanianie części liter podczas odczytywania innych albo oglądanie ich w lusterku – Percy zazwyczaj sobie radzi. Najlepiej jednak byłoby, gdyby nigdy nie musiał siadać przy biurku, otwierać książki czy rejestru rachunkowego ani czytać cegokolwiek w obecności innych ludzi.

Kiedy Arthur wróci wreszcie z podróży, Percy przekaze mu z powrotem wszystkie dokumenty i już nigdy na nie nie spojrzy.

Teraz siedzi przy wielkim mahoniowym biurku brata, przy oknie z widokiem na las kasztanowców. Dojrzewają już baze, a na ziemi w popołudniowym słońcu połyskują złotem polne kwiaty. Percy marzy o wyjściu na zewnątrz, o spacerze z psami albo polowaniu, o gwizdaniu wesołej piosenki. Nie chce siedzieć w gabinecie, po raz czwarty próbując dopasować liczby na dole kolumny do sumy liczb na końcach wierszy. Przeklina cyfry skaczące złośliwie między kolumnami, żeby ukarać go za wcześniejsze złorzeczenia.

Ktoś puka do drzwi. Percy wciska księgę rachunkową pod stos zamówień na biżuterię. Nie chce, żeby przyłapano go na zmaganiu się z danymi za marzec, skoro jest już prawie maj.

– Wejść – mówi, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiała frustracja, słabość czy rezygnacja.

Drzwi się otwierają i staje w nich Charles Simmons, kierownik działu handlowego. Jest błydy jak ściana. Percy czuje ukłucie niepokoju.

– Jaśnie panie, ja...

– Zamknij drzwi i siadaj – mówi Percy. To będzie zła nowina. Nikt tak nie wygląda, jeśli nie przynosi złej nowiny.

Charles przechodzi po grubym dywanie i siada na skórzanym fotelu naprzeciwko biurka. Drżące ręce składa na kolanach.

– Wykrztuś to wreszcie! – nakazuje Percy.

– Dostałem dziś rano telegram od wściekłego przedsiębiorcy z Brisbane w Australii. Ten człowiek czekał na dostawę. Okazuje się, że Aurora nie dotarła do Brisbane.

Percy jest zaskoczony.

– Gdzie jest Brisbane? Myślałem, że Arthur płynie do Sydney.

– Brisbane to ostatni port przed Sydney. Aurora miała tam dostarczyć ładunek dywanów i tapet.

– Charles zerka na zieloną flokowaną tapetę na ścianie gabinetu.

– W takim razie mają opóźnienie. To jeszcze nie powód, żeby tak blednąć.

– Wysłałem telegram do portu w Townsville. Aurora zostawiła tam ładunek dwudziestego dziewiątego marca. Zaraz potem pogoda bardzo się pogorszyła. To było prawie miesiąc temu, sir, a z Townsville do Brisbane płynie się raptem kilka dni.

Percy próbuje powstrzymać przypływ paniki. Katastrofa! Bezcenna buława, pierwsze zamówienie od królowej. I Arthur. Jak powiedzieć matce, że Arthur prawdopodobnie zginął na morzu? Od czasu śmierci ojca matka ubóstwia pierworodnego syna. Ubóstwia tak bardzo, że Percy kompletnie stracił serce do brata i jego szalonej żony.

Nagle przeszywa go bolesny skurcz: jeśli Arthur rzeczywiście zginął, to czy on już na zawsze utknie w gabinecie nad liczbami i literami?

Zrywa się z krzesła.

– Nikomu o tym nie mów – rozkazuje. – Może jeszcze się znajdą. Roześlij telegramy do latarni morskich na wybrzeżu. Skontaktuj się z policją portową w Brisbane. Zrób wszystko, co w twojej mocy, żeby odnaleźć Aurorę. Nie możemy zakładać najgorszego. Jeszcze nie teraz.

Myśl o bezcennej buławie, spoczywającej głęboko na dnie oceanu i chronionej jedynie przez martwego Arthura, przyprawia Percy'ego o mrowienie w żołądku. Jeśli kufer zatonął, to każdy, kto odważy się nurkować, może go znaleźć.

– Tak zrobię, sir – mówi Charles, wstając z fotela. – Nie spocznę, dopóki się nie dowiemy, co zaszło. I żałuję, że to ja musiałem zasiać w panu lęk przed tak bolesną stratą.

– Bardzo bolesną – powtarza Percy. – To najkosztowniejszy przedmiot, jaki kiedykolwiek wykonaliśmy.

Charles chrząka.

– Chodziło mi o pańskiego brata, sir.

Krótką chwilą niezręcznej ciszy rozjusza Percy'ego.

– Idź już! Znikaj! I powiadom mnie, jeśli się czegoś dowiesz.

Isabella budzi się bardzo wcześnie, ale drzwi na końcu holu pozostają zamknięte. Wstaje, myje się, ubiera, po czym siada na łóżku i czeka. Nie jest panią we własnym domu, tylko służącą. Służący czekają na rozkazy. Nie różni się to zanadto od zwykłego statusu kobiety, więc Isabella ma nadzieję, że szybko przyzwyczai się do nowej sytuacji. Kilka miesięcy na pewno wystarczy, żeby zarobić na podróż. Isabella pociera lekko palcami czarną wstążkę na nadgarstku. Wytrzyma.

Kiedy za oknem wschodzi słońce, w domu rozlegają się odgłosy krzątania. Isabella niepewnie wstaje i wychodzi z pokoju. Wewnętrzne drzwi są już otwarte, a z kuchni dobiega woń duszonych owoców z cynamonem. Isabella skręca w tamtą stronę, mija jadalnię i widzi kobietę o pełnych

biodrach stojącą przy piecu i mieszającą w garnku. Odchrząkuje lekko.

Kobieta odwraca się w jej stronę.

– Dzień dobry, panienko – mówi z cierpkim uśmiechem. – Pani Fullbright wspomniała, że panienka przyjdzie.

– Pani Fullbright jest w domu?

– Zeszła na dół. Zaraz wróci na śniadanie, ale jeśli panienka głodna, to może zjeść ze mną.

– Kucharka wskazuje palcem okrągły stół pośrodku kuchni. – Tutaj je służba.

Isabella odsuwa sobie krzesło i siada. Krzesło jest sztywne i twarde.

– Na imię mi Mary – mówi.

– A mnie Bessie, ale wszyscy i tak mówią „kucharka”. – Kobieta nakłada do miseczki owsianki z duszonymi jabłkami i stawia śniadanie przed Isabellą.

– Pracuje tu ktoś jeszcze?

Kucharka się rozgląda, po czym zniża głos do szeptu.

– Fullbrightowie nie są już tacy zamożni jak kiedyś. Dwa miesiące temu pani zwolniła pokojówkę i nie szuka następnej. My dwie będziemy musiały zająć się odkurzaniem i sprzątaniami.

Odkurzanie? Sprzątanie?

– Rozumiem.

– Roboty nie ma wiele. Szybko się z nią uwiniemy, a kiedy wróci panicz Xavier, sama zobaczysz, że nie sprawia problemów. Całymi godzinami potrafi się sam bawić.

– Naprawdę? Pani Fullbright dała mi do zrozumienia, że to trudne dziecko.

– Ano trudne, ale nie hałaśliwe czy wymagające. Mały nie mówi.

– A ile ma lat?

– Moim zdaniem ze trzy, cztery. Buzia powinna mu się nie zamykać, ale on nie powiedział jeszcze ani słowa. Nie mówi nawet „mama” ani „tata”. – Kucharka odwraca się w stronę pieca. – Tylko nie próbuj rozmawiać o tym z Fullbrightami. Są na tym punkcie przewrażliwieni. Nie mogą znieść myśli, że z małym jest coś nie tak. Pani Fullbright doszła do wniosku, że chłopak milczy z przekory.

Isabella chłonie wszystkie informacje. Chciałaby już poznać Xaviera i pana Fullbrighta. Chciałaby też zobaczyć Katarinę w świetle dnia. Pamięta olśniewającą piękność o ciemnych włosach i oczach połyskujących w blasku świecy. Może teraz gospodyni będzie bardziej przypominać zwykłą kobietę. Poza tym Isabella czuje lęk: nie opiekowała się dzieckiem, odkąd straciła własne.

Kucharka siada naprzeciwko i głośno mlaszcząc, zajada owsiankę. Słychać kroki na schodach, a potem głos Katariny:

– Czy Mary już wstała?

– Jestem tutaj, proszę pani! – woła Isabella. Przygląda włosy, po czym idzie się spotkać

z gospodynią w salonie.

Włosy Katariny są dziś gładko zaczesane do tyłu. Bez burzy ciemnych loków kobieta straciła zmysłowość, którą Isabella zapamiętała z poprzedniego wieczoru. Nie nosi już czerwonej sukni, tylko granatową serżową. Owszem, nadal jest piękna, ale nie tak olśniewająca. W głowie Isabelli pojawia się na moment pytanie, dokąd to Katarina wybrała się wczoraj bez męża, tak wspaniale wystrojona.

– O, jesteś. Nie masz już takiej różowej twarzy i dobrze, że się uczesałaś. Xavier by się przeraził, gdyby cię wczoraj zobaczył. Chodź, oprowadzę cię po domu i porozmawiamy o twoich obowiązkach.

Katarina pokazuje wszystkie pokoje, które Isabella już widziała albo mijała po drodze, w tym sąsiadujące z pokojem dziecięcym: pracownię i gościnny. Po drugiej stronie saloniku znajduje się wykwinna sypialnia należąca do państwa Fullbrightów. Gospodyni prowadzi Isabellę na dół, przez drewniane drzwi, do części domu położonej na najniższym poziomie.

– Tu jest pokój kucharki – objaśnia Katarina, wskazując drzwi po lewej stronie. – Tu mieszkała pokojówka, ale wróciła do Szkocji, a my ciągle nie znaleźliśmy nikogo na jej miejsce. – Na koniec ruchem głowy pokazuje wąski korytarzyk zakończony drzwiami. – Tam nie wolno ci wchodzić.

Isabella chce zapytać dlaczego, ale przypomina sobie, że jest służącą, a służące nie zadają pytań. Mówi więc tylko:

– Tak jest, proszę pani.

– Nie przyprowadzaj tam też Xaviera – dodaje Katarina, po czym otwiera kolejne drzwi. – Tu jest pralnia. Póki nie znajdziemy nowej pokojówki, praniem zajmuje się kucharka. Chcę, żebyś sprzątała na górze. Trzeba codziennie słać łóżka, co sobotę trzepać dywaniki, ścierać kurze, polerować meble. Kucharka pokaże ci, gdzie co jest. Możesz zacząć już dzisiaj, skoro Xaviera nie ma w domu.

– Tak jest, proszę pani – powtarza Isabella, zerkając przez ramię na zakazany korytarzyk i zamknięte drzwi.

– To jest wyjście do ogrodu, choć można do niego zejść również po schodach z kuchni. – Katarina otwiera drzwi prowadzące na zalany słońcem trawnik.

Isabella czuje zapach trawy i kwiatów. Po raz pierwszy od tak dawna. Bez namysłu mija Katarinę, ściąga buty i stawia stopy na trawie. Pod podszewkami czuje puls ziemi.

– Mary, proszę, nie zdejmuj butów – mówi Katarina, krzywiąc się lekko, po czym rusza w górę tylnymi schodami.

Isabella trzeźwieje. Buty. Wciska je na stopy i biegnie za gospodynią.

Matthew schodzi akurat po kręconych schodach, kiedy rozbrzmiewa odgłos włączającego się

telegrafu. Jest tuż przed ósmą rano. Wcześniej Matthew machinalnie zmiatał martwe muchy z balkonu i myślał, co słyhać u Isabelli. Marzył o niej jak smarkacz. Całe szczęście, że z tych marzeń wyrwały go dźwięki alfabetu Morse'a. Mężczyzna wyjmuje pusty blankiet telegramu i zaczyna rozszyfrowywać sygnał. Ponieważ nadaje i odbiera wiadomości nieprzeznaczone dla niego, nauczył się zapisywać to, co słyszy, bez poświęcania tekstowi uwagi. Dopiero po zanotowaniu pierwszej linijki zdaje sobie sprawę, że sam jest adresatem dzisiejszego telegramu.

Zaginął statek Aurora. Trójmasztowiec widziano ostatnio dwudziestego dziewiątego marca w Townsville. Najpóźniej dwunastego kwietnia oczekiwany w Brisbane. Proszę zgłaszać pilnie wszelkie informacje na jego temat.

Pracując jako latarnik, Matthew był już świadkiem dramatu związanego z zatonięciem dwóch innych statków. Dla rodzin ofiar to powolna katastrofa, choć dla ludzi na pokładzie – szybka i brutalna. Rodziny, kontrahenci i policja doświadczają całej gamy odczuć: najpierw podejrzenie, że stało się coś złego; potem narastająca pewność; wreszcie stopniowe uświadamianie sobie, że okrutna śmierć już dawno zabrała tych wyczekiwanych. Rozciągnięty w czasie horror. Matthew ma nadzieję, że bliscy pasażerów Aurory doczekają się dobrych wieści, ale przygotowuje się już na rozwój wydarzeń.

Kończy zapisywanie telegramu, patrząc ze smutkiem na nazwisko nadawcy: Charles Simmons w imieniu Percy'ego Winterbourne'a. Zastanawia się, czy ci mężczyźni należą do rodzin, czy krążą teraz nerwowo i niecierpliwie, wyczekując wiadomości.

Następnie otwiera dziennik, w którym notuje każdy zauważony statek wraz z datą obserwacji. Być może Aurora przepłynęła w oddali, poza zasięgiem jego wzroku, ale jeśli statek zmierzał do Brisbane, to prawdopodobnie podążałby kursem oddalonym od wybrzeża najwyżej o pięć kilometrów. Matthew sprawdza wpis pod podaną datę. „Wyjątkowo fatalna pogoda”. Wzdryga się. Nie chciałby płynąć w takich warunkach. Zaczyna układać telegram, w którym zgodnie z prawdą zamierza poinformować, że nie widział Aurory. Może statek zauważono z innej latarni. Nagle zastyga z ręką zawieszoną w powietrzu.

Isabella.

Jeśli Aurora zatonęła, musiało się to stać w ciągu trzech ostatnich tygodni. Isabella zjawiała się nie wiadomo skąd, w poszarpanym ubraniu, z kufrem na plecach. Miała poparzoną skórę twarzy i ramion, opuchnięte, pokryte pęcherzami stopy. Z jak daleka przyszła? Czyżby uratowała się z katastrofy statku?

Matthew prostuje się na krześle. Przez chwilę analizuje sytuację, a potem wysyła telegram nie do

Charlesa Simmonsa z Anglii, lecz do Clovisa McCarthy'ego z Cape Franklin, najbliższej latarni na północ od Lighthouse Bay. Pół godziny później otrzymuje odpowiedź.

Tak, widziałem statek siódmego kwietnia. Wysłałem już wiadomość Simmonsowi.

A zatem siódmego kwietnia Aurora minęła Cape Franklin. Już dawno powinna była zawinąć do Brisbane. Statek zatonął, Matthew jest tego całkowicie pewien. Tak samo jak i tego, że na statku płynęła Isabella, a wraz z nią pogrzebany teraz w lesie skarb.

Mimo to mężczyzna zamierza milczeć. Przynajmniej na razie. A może już na zawsze. Isabella wyznała mu, że ucieka. Matthew wysłał odpowiedź z informacją, o którą go proszono, nie dodając niczego od siebie. Nie, nie widział statku. Jeśli dołożyć do tego wiadomość z Cape Franklin, nietrudno odtworzyć przebieg wydarzeń. Aurora zatонуła. Nikt nie ocalał. A przynajmniej nikt, kto chciałby zostać odnaleziony.

Po pięciu dniach chodzenia w butach i mieszkania pod dachem Isabella całkowicie odzyskuje siły fizyczne. Głęboka rana na karku nie jest już taka sina; na dłoni pozostało tylko kilka suchych strupów; poparzona skóra schodzi, odsłaniając świeżą, białą cerę. Isabella ma sporo zajęć: poleruje mosiężne klamki i srebrne sztucce, zamiata i myje podłogi, ściera kurze, robi porządki. Popołudniami pomaga kucharce w gotowaniu, podaje ogromne posiłki Katarinie, która ledwo dziobie w nich widelcem. Isabella dobrze jada, dobrze sypia, przyzwyczajają się do rytmu swojego nowego, tymczasowego życia. Przypomina jej to nieco przedstawienia, które w dzieciństwie odgrywała wraz z siostrą dla całej rodziny. Teraz też nosi coś na kształt kostiumu: gra rolę Mary Harrow, niani i pokojówki. I nie licząc rzadkich wpadek – kiedy to na przykład wyznała, że nigdy wcześniej nie polerowała sztucców i nie wie, jak zdjąć zasłony przeznaczone do prania – radzi sobie świetnie.

Pewnego słonecznego popołudnia przed domem zatrzymuje się bryczka zaprzężona w konia. Katarina natychmiast wpada w szał wydawania rozkazów.

– Pan Fullbright przyjechał – mówi zdyszana do Isabelli i kucharki, które łuskają w kuchni groszek. – Podwieczorek ma być gotowy za pół godziny.

Wydaje się to niemożliwe, ale kucharka kiwa głową i każe Isabelli wstać z krzesła. Katarina pędzi do drzwi, by przywitać męża i dziecko, a Isabella żałuje, że jest teraz zajęta, więc nie może zajrzeć do salonu i zaspokoić swojej ciekawości. Pan Fullbright ma głęboki, donośny głos, za to małego Xaviera w ogóle nie słychać. Isabella tylko się domyśla, że chłopczyk też tam jest, choć nic na to nie wskazuje.

Wraz z kucharką kroi keks, który został ze śniadania, oraz jabłka i ser, parzy herbatę, robi grzanki i skrapia je miodem. Następnie kucharka ustawia wszystko na tacy i zanoszą do jadalni. Isabella stoi

w progę, czekając na polecenia.

– Mary, chodź i poznaj Xaviera! – woła Katarina.

Isabella wchodzi do jadalni. Pan Fullbright przerywa smarowanie kawałka keksu masłem i spogląda na nią spod zmarszczonych brwi.

– Kto to jest?

Ma sumiaste czarne wąsy, tak obfite, że nie widać spod nich górnej wargi.

– To Mary Harrow, nasza nowa niania. Mary, to Ernest Fullbright, mój mąż.

Pan Fullbright popycha małego Xaviera do przodu.

– No, śmiało, chłopcze, poznaj swoją nową nianię.

Xavier, do tej pory skulony przy ojcu, zerka na Isabellę i zaczyna płakać. Isabella wyczuwa, jak ogromne znaczenie ma ten pierwszy kontakt, klęka więc przy chłopcu i bierze go za rączkę.

– Spokojnie, mój mały.

Xavier jest tak zaskoczony jej dotykiem, że przestaje płakać i wbija wzrok w nieznaną panią. Ma bardzo ciemne oczy. Isabella widzi lęk w tych głębokich jeziorkach. Nie próbuje pocieszać dziecka. Szanuje jego obawy.

– Mam na imię Mary i będę dla ciebie bardzo dobra – mówi.

Katarina robi krok do przodu i wrywa Mary rączkę dziecka.

– Żadnego przytulania i tym podobnych.

Xavier unosi swoją dłoń i przygląda jej się, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

– Przynajmniej go uspokoiła – mruczy Ernest pod wąsem.

– Od tego właśnie są nianie – stwierdza Katarina. – Za to płacimy Mary.

Isabella, wciąż przyklękając, nadal patrzy w oczy Xavierowi.

– Ile ma lat? – pyta.

– W lipcu skończy trzy.

W lipcu? Serce Isabelli zaczyna bić szybciej.

– Którego lipca? – pyta, zastanawiając się gorączkowo: „Co zrobię, jeśli się okaże, że osiemnastego?”.

– Osiemnastego – odpowiada Katarina.

Isabelli udaje się zapanować nad wyrazem twarzy, ale Xavier dostrzega zmianę w jej oczach i robi minę, jakby miał się znowu rozpłakać. Osiemnasty lipca. Xavier urodził się dokładnie tego samego dnia co Daniel. Przed Isabellą stoi teraz chłopczyk, który mógłby być jej synkiem. Zapewne nie miałby ciemnych włosów i oczu, ale na pewno takie same pulchne piąstki, mocne nóżki, rozmarzone spojrzenie i gładką skórę. Widząc żywego brata bliźniaka Daniela, Isabella zamiera na moment, ale dziecko jest najwyraźniej przestraszone, więc podaje mu kawałek jabłka ze stołu.

Chłopczyk ponownie się uspokaja.

– To trudne dziecko – podkreśla Katarina. – Nie chce mówić, choć najwyraźniej rozumie wszystko, o czym się przy nim rozmawia.

– Nie rozpieszczaj go – dodaje Ernest. – Niech się nauczy alfabetu i liczenia.

– Nie wolno mu ssać kciuka.

Isabella wstaje i zachęca chłopca:

– Pójdziemy do twojego pokoju, Xavierze?

Xavier rusza w ślad za nią. Isabella zamyka drzwi na końcu holu i natychmiast ponownie wyciąga rękę do chłopca. Maluch chwyta jej dłoń szybko i chętnie – paluszki ma miękkie, odrobinę lepkie. Isabella wie, że oboje czują to samo: spotkanie było im sądzone.

Isabella się budzi i szeroko otwiera oczy w ciemnościach. Słyszy czyjeś głosy, krzyki. Leży bez ruchu na wąskim łóżku. Za oknem wieje wiatr i drzewa kołyszą się na tle nocnego księżycowego nieba, rzucając cienie przez firanki. Nie sposób zrozumieć poszczególnych słów, ale głosy na pewno należą do Katariny i Ernesta. Katarina wrzeszczy piskliwie, Ernest ryczy. Padają kolejne oskarżenia. Isabella wstaje i podchodzi do łóżeczka Xaviera. Chłopczyk oddycha cicho i spokojnie, głosy najwyraźniej mu nie przeszkadzają. Kobieta otwiera drzwi i nasłuchuje w holu; dochodzą do niej pojedyncze, przepojone jadem słowa: „pijak”, „dziwka”, „kłamiesz”, „bękart”. Potem rozlega się ogłuszający hałas i cały dom drży w posadach, bo jedno z małżonków wybiega, zatrzasnąwszy za sobą drzwi z morderczą brutalnością. Isabella szybko wraca do pokoju i zamyka drzwi, ale jest już za późno. Xavier zaczyna się wiercić i kwilić.

– Cicho, cichutko – szepcze Isabella, klękając przy łóżeczku i głaszcząc czoło chłopca. Potem bierze małą rączkę i kładzie ją blisko buzi malca, który natychmiast znajduje swój kciuk i zaczyna go mocno ssać. Kwilenie cichnie, dziecko zasypia. Isabella jeszcze przez chwilę klęczy, by się upewnić, że Xavier śpi spokojnie. Potem wraca na korytarz.

Teraz słyszy szloch. To Katarina. Łka tak rozpaczliwie, jakby zaraz miały jej popękać żebra. Isabella podchodzi do drzwi na końcu korytarza i naciska klamkę. Zamknięte. Wie, że to nie jej sprawa, ale wciąż pamięta, jak sama tak szlochała i nikt do niej nie przychodził. Puka cicho.

Płacz ustaje. Isabella słyszy lekkie kroki, a potem drzwi się otwierają. Staje przed nią Katarina z twarzą mokrą od łez.

– O co chodzi? – pyta. Isabella widzi zrozpaczoną kobietę, która czuje się jak w klatce. Doskonale zna to uczucie.

– Zrobię pani herbaty, dobrze? – proponuje.

Katarina kręci głową, ale Isabella jest już w drodze do kuchni. Katarina idzie za nią, opada na twarde krzesło przy kuchennym stole, opiera głowę na blacie i znów zaczyna płakać. Isabella rozpala

w piecu, gotuje wodę, sypie herbatę do czajniczka, przynosi mleko. W końcu stawia naczynie przed panią Fullbright i nalewa parujący napój.

Katarina podnosi głowę.

– Dziękuję, Mary. Czy mały się obudził?

– Tak, kiedy trzasnęły drzwi, ale tylko na moment. Teraz znowu twardo śpi.

– Jestem taka nieszczęśliwa.

– Wiem.

– Skąd możesz wiedzieć?

Isabella nie tłumaczy, że ona też tkwiła w małżeństwie, które wypełniało jej serce nie miłością, lecz nienawiścią. Nie mówi, że jej mąż zginął raptem kilka tygodni wcześniej, a ona ani razu po nim nie zapłakała. Mówi tylko:

– Po prostu wiem.

– On jest zazdrosny. Uważa, że interesuję się innymi mężczyznami. Myśli, że zwracam na siebie ich uwagę i robię z niego głupca. – Głos Katariny zniża się do szeptu. – Czasami się zastanawiam, czy wyrządzi mi krzywdę. Wbija sobie do głowy, że mam kochankę, i mnie zabije.

Isabella patrzy na kobietę, wspominając chwile, kiedy Arthur był tak rozjuszony, że nie miała pewności, czy nie podniesie na nią ręki. Męska wściekłość jest zaiste przerażająca. Katarina szlocha dalej, a Isabella chce jej jakoś pomóc. Wstaje z krzesła, pochyla się i obejmuje Katarinę, która przywiera do niej, szlochając jeszcze głośniej.

– Nie płacz – szepcze Isabella.

– Nienawidzę go.

– Wiem. Wiem.

– Jak mam żyć? Jak mam to znieść?

– Dasz sobie radę. Nie płacz już. – Isabella się prostuje. – Wypij herbatę. Od razu lepiej się poczujesz.

– Nic się nie zmieni.

– Pij herbatę. – Isabella siada z powrotem na krześle.

– Dziwna z ciebie kobieta, Mary – stwierdza Katarina, ocierając łzy i sięgając po filiżankę.

Siedzą w milczeniu, sącząc ciepły napój. W końcu Katarina mówi:

– On wróci późno. Będzie pijany, ale po alkoholu robi się wesoły. Zamknij drzwi do pokoju dziecięcego, żeby Xavier niczego nie słyszał. – Po tych słowach wstaje i cicho wraca do sypialni.

Isabella dopija herbatę, potem opróżnia czajnik i myje filiżanki. Nie jest zmęczona, więc otwiera tylne drzwi i siada u szczytu schodów. Noc pachnie miło i świeżo; wietrzyk rozwiewa włosy. W latarni morskiej pali się światło. Isabella zaczyna myśleć o Matthew. Czy bywa wściekły jak inni

mężczyźni? Czy potrafiłby spojrzeć na kobietę tak, jakby chciał połamać jej kości? Czy umiałby okazać lekceważenie, chłód lub okrucieństwo? Trudno to sobie wyobrazić, ale być może Isabella jest po prostu głupia. Być może kobiety doprowadzają mężczyzn do wściekłości, kiedy próbują coś znaczyć. Może przy mężczyźnie nie należy zwracać na siebie uwagi. Tak jak żona Percy'ego Winterbourne'a: rodzi synów bez słowa skargi, jakby piekła ciastka. Isabella opiera głowę na kolanach. Nie, Matthew nie jest taki jak inni mężczyźni. Czuje to instynktownie. Chciałaby wkrótce znowu go zobaczyć.

Następnego ranka zadowolony Xavier chrupie właśnie grzanki, popijając herbatą, kiedy Katarina wpada do kuchni, by oznajmić:

– Mary, Xavier jada śniadania ze swoimi rodzicami w jadalni.

Isabella wyczuwa chłód swojej chlebodawczyni. Kucharka jest na dole, w pralni, więc korzysta z okazji i pyta:

– Lepiej się już pani czuje?

– Lepiej? Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. – Katarina szarpie Xaviera za rękę i bez słowa protestu z jego strony wyprowadza synka z kuchni. – Dopilnuj, żeby Xavier codziennie rano był gotowy, by zjeść śniadanie z nami, w jadalni – rzuca przez ramię. – Rodzina i służba nie powinny się spoufalać.

Isabella rozumie, że właśnie wskazano jej miejsce w szeregu.

Matthew widzi konia i bryczkę Clovisa McCarthy'ego przed Exchange Hotel przy Shore Road i z poczuciem winy zdaje sobie sprawę, że jest spóźniony. Aby po południu spotkać się z Clovisem, poszedł spać o dziesiątej. Zamierzał wstać o piętnastej, lecz był zbyt spięty, by od razu zasnąć. Kiedy mu się to w końcu udało, jego zbyt głęboki sen trwał o pół godziny za długo. Matthew się zerwał, szybko narzucił na siebie ubranie i pobiegł w stronę baru, rzucając jedno pełne nadziei spojrzenie w stronę domu Fullbrightów.

Otwiera pomalowane na zielono szklane drzwi prowadzące do baru. W środku wita go woń drewnianej boazerii, piwa i dymu z cygar. Mężczyzna rozgląda się po słabo oświetlonym pomieszczeniu. Przy barze stoją Ernest Fullbright i Abel Barrett, właściciel cukrowni. Ci dwaj są najlepszymi przyjaciółmi. W odległym kącie, pod portretem królowej, siedzi hałaśliwa grupka pięciu wędrownych robotników w brudnych czapkach i butach wiązanych sznurkiem. Za barem urodziwa Eunice Hand wyciera szklanki ścierką przytroczoną do paska. Eunice ma dobre serce i słabość do Matthew, więc świetnie nadawałaby się na żonę, ale jemu wydaje się nieco nudna: inne kobiety błedną w porównaniu z Clarą. Pod oknem, przy ciemnym drewnianym stole, na którym stoją już dwa duże piwa, czeka Clovis.

Matthew podchodzi do niego z uśmiechem. Clovis wstaje z krzesła nieco zesztywniały. Od czasu ostatniego spotkania, zaledwie trzy lata wcześniej, bardzo się postarzał.

– Witaj, stary przyjacielu – mówi Clovis.

– Spóźniłem się.

– Mam mnóstwo czasu. – Clovis przez szesnaście lat był latarnikiem w Cape Franklin. Teraz odchodzi na emeryturę i jedzie na południe, do Brisbane.

Po silnym uścisku dłoni Matthew siada i spija pianę z piwa, patrząc, jak Clovis opiera laskę o ścianę, a następnie zajmuje miejsce.

– Wiesz, Seaward, schody w końcu mnie pokonały – mówi starszy latarnik.

– Jaki jest twój zastępca?

– Młody. Bystry. Ma rodzinę: pulchną żonę i trzech synków. Już mówi, że zastąpi olej zbiornikami z acetylenem. Ja nie chciałem tego robić. Zawsze się bałem, że to cholerstwo wybuchnie.

– Ja też. W ostatniej dostawie przysłali mi acetylen zamiast nafty. Teraz zbiorniki stoją i czekają na wywiezienie, ale chyba nawet poczta nie chce ich wziąć.

Clovis unosi brwi.

– To nie wszystko. Jego żona zna kod i będzie obsługiwać telegraf.

Matthew się uśmiecha. Dobrze zna opinię Clovisa na temat kobiet.

– Naprawdę?

– Nie powinni powierzać tego kobiecie. Kobiety lubią plotkować. Ta pozna tajemnice wszystkich ludzi w miasteczku i zacznie się wtrącać. Pomnisz moje słowa. – Clovis kręci głową. – Moim zdaniem te wszystkie zmiany dokonują się zbyt szybko, Seaward.

Do tej pory Matthew starannie unikał rozmów o Aurorze, ponieważ nie chce nikogo okłamywać. Szczególnie Clovisa. W końcu jednak trzeba będzie poruszyć ten temat.

– Policja wypytywała mnie o ten zaginiony statek – mówi Clovis, sięgając po trzecie piwo. – Za współpracą z nimi raczej nie będę tęsknił. Tutejszy posterunkowy to żałosny głupiec. Nie znalazłby własnych stóp, nie mówiąc już o statku.

– Chodzi ci o Aurorę? Czyli rozpoczęli poszukiwania?

– Statek przewoził towar, głównie bardzo cenne rzeczy. Oraz jakiegoś arystokratycznego ważniaka. Arthura Winterbourne’a i jego żonę.

– Żonę? – Matthew czuje, jak dzwoni mu w uszach. – Znasz jej imię?

– Nie. – Clovis potrząsa głową. – Zresztą wszyscy utonęli. Ich kapitan musiał być idiotą. Nie rozumiem, czemu nie ukrył się gdzieś dalej na północy. Pogoda była makabryczna.

– Policja coś już znalazła?

Clovis wzrusza ramionami.

– Seaward, między naszymi latarniami jest ponad sto sześćdziesiąt kilometrów wybrzeża. Posterunkowy uważa, że niedaleko stąd na południe znaleźli szczątki wraku, ale ja na pewno zauważyłbym statek, gdyby przepływał tak blisko. To pewnie jakieś śmieci wyrzucone za burtę, żeby odciążyć okręt, kiedy zaczął nabierać wody. – Clovis ścisza głos. – Podśluchałem coś, czego nie powinienem usłyszeć.

– Co takiego? – pyta Matthew. Teraz żałuje, że sam nie zamówił trzeciego piwa.

– Na pokładzie był prezent od królowej Wiktorii dla australijskiego parlamentu. – Clovis wskazuje portret monarchini. – Bezcenny dar.

– Jaki dar? – drażni Matthew, a serce mu wali jak młot.

– Ceremonialna buława. Wyobrażasz sobie? Złoto i klejnoty leżą sobie gdzieś na dnie i ryby na nie srają.

ZŁOTO I KLEJNOTY. Jezu Chryste, Isabella wręczyła mu kufer pełen kłopotów.

– Winterbourne’owie, czyli rodzina jubilera, który wykonał buławę, bardzo chcą ją odzyskać.

– Nie dziwię się.

Clovis mówi dalej, potem zmienia temat, ale Matthew już stracił dobry humor. Buława nie jest własnością Isabelli. Należy ten przedmiot przekazać policji. Tylko jak to zrobić, nie wspominając

jednocześnie o obecności kobiety? Teraz już wiadomo, że zakopując kufer, popełnił błąd. Złamał prawo.

– Już prawie zmierzcha, przyjacielu. – Clovis wskazuje długie cienie i złote światło za oknem.

– Czas wracać do pracy – odpowiada Matthew.

– Zazdroszczę ci – wyznaje Clovis. – Chciałbym znowu być młody.

W tym momencie jednak Matthew czuje się bardzo stary i zmęczony. Żegna przyjaciela i wraca na wzgórze. Po drodze zbacza ze ścieżki, idzie tam, gdzie zakopał buławę, i spuszcza wzrok. Pod jego butami leży bezcenny przedmiot należący do arystokratycznej rodziny albo królowej, albo parlamentu, albo do nich wszystkich. Do ludzi znacznie ważniejszych od niego. Po co zakopał ten kufer? Po co Isabella go przyniosła? Po co w ogóle tu przyszła?

Teraz jest już jednak za późno. Co się stało, to się nie odstanie. A co ma się stać, na pewno nadejdzie.

Minął już tydzień i dwa dni, a Isabella wciąż nie wie, kiedy dostanie wypłatę. Czy będą jej płacić co tydzień? Co miesiąc? Pod koniec służby? Czy można ufać Fullbrightom? Nie rozmawiała z nimi nawet na temat wysokości swojego wynagrodzenia. Zapewniają jej wikt i dach nad głową, więc na pewno nie zarobi wiele, ale potrzebuje pieniędzy. Matthew ma w domku telegraf, a ona chciałaby wysłać wiadomość do siostry i uprzedzić ją o swoim przyjeździe. Potajemnie żywi nadzieję, że Victoria zdoła przekonać męża, by przysłał pieniądze na podróż, wtedy jej harówka mogłaby się zakończyć szybciej.

Isabella czuje jednak, że będzie tęsknić za Xavierem.

Chłopczyk siedzi z nią teraz w kuchni i pomaga sortować wełnę. Faktycznie nie mówi, ale jest niesamowicie bystry. Isabella zauważyła, jak ją obserwuje podczas wieczornego czytania książeczki i pokazuje władczo palcem, jeśli niania opuści jakieś słowo lub zbyt szybko przewróci kartkę. W tej chwili bez najmniejszego problemu oddziela cieńszą żółtą wełnę od grubszej. Ciemne oczy patrzą w skupieniu, kciuk tkwi w ustach. Isabella nasłuchuje kroków Katariny, która kategorycznie zabrania dziecku ssać kciuk, uważając ten nawyk za przyczynę milczenia synka.

– Świetnie, Xavierze – chwali Isabella.

Malec nie patrzy jej w oczy, ale widać, że się uśmiecha. Chyba ją polubił.

Kroki. Isabella szybko, choć delikatnie wyjmuje kciuk Xaviera z jego ust. Malec najwyraźniej rozumie, że muszą wspólnie zachowywać pozory, więc wyciera ośliniony palec o spodnie.

– Mary? – mówi Katarina, stając w drzwiach kuchni. – Pan Fullbright zaprosił dziś gościa na lunch i życzy sobie, by Xavier dołączył do nas bez niani. Pomożesz kucharce przy gotowaniu.

– Jestem tu od ponad tygodnia, proszę pani. Zauważyłam, że kucharka raz na tydzień ma wychodne. Czy ja też bym mogła?

Katarina mruga powiekami.

– Chyba tak. Kucharka zapewne poradzi sobie sama. To tylko jedna dodatkowa osoba.

– A kiedy dostanę wypłatę, proszę pani?

– Jesteś bardzo bezpośrednia.

Isabella nie wie, czy to przygana, czy komplement, więc milczy. Pierwszy raz w życiu musiała poprosić kogoś o pieniądze.

– W tym tygodniu mamy napięty budżet, Mary – oświadcza Katarina. – W tej chwili mogę ci dać dwa szylingi, ale pan Fullbright zapłaci ci pod koniec miesiąca, kiedy odzyska długi od wierzycieli.

– Katarina odwraca wzrok, jakby mówienie o pieniądzach wprawiało ją w zażenowanie.

– W przyszłości o swoich zarobkach rozmawiaj wyłącznie z nim.

W domu wkrótce powstaje zamieszanie, ponieważ kucharka otrzymuje polecenie przygotowania pieczeni dla gościa, którym jest bardzo zamożny przyjaciel Ernesta, niejaki Abel Barrett. Isabella pomaga jej przy warzywach i cieście na yorkshire pudding, między jednym a drugim bawiąc się z Xavierem drewnianymi konikami w pokoju dziecięcym.

Tam właśnie tuż przed południem znajduje ją Ernest.

– Potrzebujesz pieniędzy? – pyta, krzywiąc z dezaprobatą usta.

Isabella ma ochotę powiedzieć: „Nie, jesteście mi WINNI pieniądze”, ale wie, że to by go tylko rozjuszyło. Musi się zachowywać jak petentka; w końcu nią właśnie jest.

– Tak, proszę pana. Poza tym pani Fullbright powiedziała, że dziś po południu mogę mieć wychodne.

– Ha. Samotna kobieta z pieniędzmi w kieszeni rusza w miasto i nie ma nic do roboty. To niebezpieczna wizja. No, ale skoro Katherine obiecała... – Grzebie w kieszeni, wyciąga kilka monet i podaje Isabelli.

– Dziękuję, proszę pana – mówi Isabella, biorąc od niego pieniądze.

Mężczyzna zakłada ręce na plecach i pochyla się nad Xavierem, który nie podniósł dotąd wzroku znad drewnianych koników.

– Chodź, młody człowieku. Mamy gościa.

Malec tęsknie zerka na zabawki, a potem rzuca spojrzenie Isabelli, która uśmiecha się zachęcająco.

– Idź, Xavierze. Specjalnie dla ciebie zrobiłam ciasto na pudding. Zobaczymy się wieczorem.

Wychodzą, a Isabella idzie do łazienki, żeby się umyć przed wizytą w latarni morskiej. Zobaczy Matthew po raz pierwszy od pożegnania. Ma wrażenie, że od tego czasu minęły całe wieki, choć tak naprawdę upłynęło niewiele ponad tydzień. Nie do końca rozumie, dlaczego tak jej zależy, żeby Matthew zobaczył ją umytą i uczesaną. Nigdy nie była próżna, ale jemu pokazała się dotąd wyłącznie

obszarpana i spalona od słońca. A kiedyś uważano ją za piękność.

Aby wyjść z domu, musi minąć salon. Zatrzymuje się przy frontowych drzwiach i spogląda w stronę jadalni, na Abła Barretta pogrążonego w rozmowie z Ernestem. Abel podnosi wzrok i zauważa jej spojrzenie. Następnie zwraca się do Ernesta i pyta o nią. Isabella waha się: czy powinna poczekać, aż ją wezwą, by się z nim przywitała? W tym momencie zjawia się jednak Katarina, która teatralnym gestem pokazuje Isabelli, żeby już sobie poszła, więc Isabella opuszcza dom i schodzi po schodkach.

Niebo jest szare, wisi niczym ołowiany koc między ziemią a słońcem. Na przekór ciężkim obłokom Isabella czuje się lekka, wolna od obowiązków. Kiedyś wyglądało tak całe jej życie, nigdy nie zdawała sobie sprawy, jak cudownie jest nie mieć nic do roboty. Ma ochotę wybrać się do miasteczka, obejrzeć sklepowe wystawy, ale pewnie i tak na nic jej nie stać. Dlatego też wstępuje na zarośniętą drogę prowadzącą pod górę, do latarni.

Mocno puka do drzwi i czeka. Po chwili przypomina sobie nagle, że Matthew śpi popołudniami. Jest jej wstyd, że mogła go obudzić, a jednocześnie czuje rozczarowanie na myśl, że tak się nie stało i dziś go nie zobaczy.

W środku rozlegają się kroki. Drzwi się otwierają.

– Isabella? – mówi Matthew, ocierając ręką brodę.

– Przepraszam, obudziłam cię?

– Nie, kończyłem właśnie papierkową robotę.

– Muszę wysłać telegram do siostry.

– W takim razie wejdź, zapraszam.

Woń wypełniająca pomieszczenie przywołuje wspomnienia: Isabelli kojarzy się ze spokojną przystanią odnalezioną po wielu dniach mordęgi i wystarczy moment, by znów poczuła się bezpieczna, a jednocześnie smutna, jakby od tamtych chwil upłynęło już wiele czasu. Isabella mija schody i siada przy okrągłym stoliku.

Matthew przynosi jej formularz i pióro.

– Proszę – mówi, kładąc przedmioty na stole. – Wpisz adres i treść wiadomości.

– Ile to kosztuje?

Mężczyzna kręci głową.

– Od ciebie nic nie wezmę.

Isabella wpisuje adres, a potem zaczyna się zastanawiać. Co ma napisać? Jej serce zamiera na myśl, że siostra mogłaby się skontaktować z Winterbourne'ami.

Matthew zauważa jej wahanie i pyta:

– Coś nie tak?

– Może nie powinnam pisać jej, gdzie jestem.

– Ufasz siostrze?

Isabella myśli przez chwilę i potakuje.

– A jej mężowi?

– Widziałam go tylko raz w życiu, ale robił wrażenie uroczego człowieka.

Matthew wzrusza ramionami.

– Decyzja należy do ciebie.

Isabella się otrząsa.

– Głuptas ze mnie. Skoro chcę znaleźć u niej schronienie, muszę jej zaufać.

Przecież jemu już zaufała. Za oknami zaczyna padać deszcz. Przy wtórze jego bębnienia o dach domku Isabella pisze:

Przyjadę do Ciebie najszybciej, jak się da. Być może dopiero za kilka miesięcy. Odeszłam od Arthura i nie mam pieniędzy. Wiadomości wysyłaj na adres latarni morskiej w Lighthouse Bay w Australii, ale nikomu o tym nie mów.

Potem odkłada pióro i wręcza formularz Matthew. Ten zabiera wiadomość do pokoju z telegrafem. Isabella rusza jego śladem i staje w progu. Zastanawia się, czy słyszał już o zatonięciu Aurory, ale zgodnie z obietnicą nie zadaje żadnych pytań. Mężczyzna zaczyna nadawać telegram. Isabella słyszy stukot igły i widzi, jak rolka zaczyna się obracać. Nie wie, na czym właściwie polega działanie całej aparatury ani dokąd podążyła teraz jej wiadomość. Matthew kończy nadawanie, odwraca się i oddaje Isabelli formularz.

– Nie, nie mogę go wziąć. Proszę, pozbądź się go.

Mężczyzna drze kartkę na pół i wrzuca do kosza na śmieci.

– Ile to potrwa, zanim moja siostra dostanie telegram? – pyta Isabella. – Mogę tu poczekać?

– Nie, nie. To może potrwać dłużej. Nic się nie dzieje natychmiast. Telegram to nowoczesny, ale w gruncie rzeczy dość prymitywny sposób komunikacji. Opiera się na średniowiecznym pomysłe przesyłania sygnałów świetlnych z jednego wzgórze na drugie. Wystarczy, że jeden człowiek przegapi taki sygnał i wiadomość całymi dniami może czekać na biurku nieprzeczytana.

Isabella próbuje przezwyciężyć poczucie zawodu.

– Dasz mi znać, jeśli dostanę odpowiedź od siostry?

– Przyniosę ci telegram do domu Fullbrightów.

– Tylko nie zostawiaj go nikomu innemu. Oni nie mogą się dowiedzieć. Pani Fullbright sądzi, że mam na imię Mary.

– Zachowam dyskrecję. – Matthew się uśmiecha. – Co u ciebie? Dobrze się czujesz?

– Jestem zbyt zajęta, by móc sobie pozwolić na złe samopoczucie – odpowiada Isabella. Chce tu

zostać dłużej, znaleźć ukojenie w przytulnej latarni. Na zewnątrz leje lodowaty deszcz. – Mogłabym cię poprosić o filiżankę herbaty? Jest zbyt mokro, by wracać do domu.

Matthew się waha.

– Przepraszam – mówi Isabella, zdając sobie sprawę, że zakłóca rytm jego dnia. – Przecież musisz się przespać.

– Nie o to chodzi – tłumaczy Matthew, a ona czyta w jego myślach: to nie wypada. Jeśli ktoś się zorientuje, że została w latarni dłużej, niż to konieczne, zaczną się plotki. Isabella nie podziela jego obaw. Nikt nie widział, jak tu przyszła, i raczej nikt nie zauważy, kiedy stąd wyjdzie. Nie wzięła parasola, więc Matthew nie może jej wyrzucić za drzwi. Jego troskliwość jest wzruszająca. Widać, że Matthew to odpowiedzialny mężczyzna, który bardzo chce ją chronić.

– Proszę. Szybko wypiję herbatę i pójdę sobie, kiedy tylko przestanie padać.

Matthew chichocze, a jego oczy mrużą się ujmująco.

– Zaparzę cały czajnik – mówi. – Rozgość się, proszę.

Rozpała w piecu ogień i stawia na nim wodę.

– Jak ci się mieszka u Fullbrightów?

– Jestem trochę zmęczona. Nigdy wcześniej nie pracowałam. Za to mały jest przesłodki.

– Isabella waha się przez chwilę, a potem dodaje: – Urodził się tego samego dnia co Daniel.

Matthew zatrzymuje się w półobrocie, unosząc przy tym brwi.

– Pewnie jest ci...

– Myślałam, że będzie mi ciężko. Myślałam, że zawsze kiedy na niego spojrzę, będę widzieć Daniela. Ale to nie mój synek. Nie wydaje ci się to dziwne? Taki zbieg okoliczności? Ich imiona różnią się raptem kilkoma spółgłoskami, samogłoski są identyczne. Przebyłam taki szmat drogi i spotkałam właśnie jego...

Isabella milknie. Niejasno zdaje sobie sprawę, że jej słowa brzmią, jakby była szalona. Przywykła już jednak, że ludzie mają ją za wariatkę.

– Ale to nie twój synek. Jak sama powiedziałaś – kończy za nią Matthew. – To nie Daniel.

– Oczywiście – zapewnia Isabella i nagle zalewa ją fala niespodziewanego smutku, zupełnie jakby otworzyła okno w ogrzonym pokoju i wpuściła do środka powiew zimnego wiatru.

Woda zaczyna wrzeć, więc Matthew bez słowa przyrządza napar. Isabella siedzi i czeka, marząc o czymś, czego nie potrafi wyrazić. Raptem pół godziny wcześniej była taka pogodna i beztroska. Teraz znów oplotła ją ponura sieć wspomnień, niczym kłębowisko ciemnych chmur napierające na latarnię.

Na szczęście herbata pomaga. Jest gorąca i słodka.

– Opowiedz mi o siostrze – mówi miękko Matthew. – Jesteście sobie bliskie?

Isabella uśmiecha się na myśl o Victorii, stanowiącej jej całkowite fizyczne przeciwieństwo.

– W dzieciństwie byliśmy niewiarygodnie zżyte. Wychowałyśmy się na północnym wybrzeżu Kornwalii, choć nasi rodzice pochodzili z Londynu, a dziadek był posłem, więc mówiłyśmy inaczej niż wszyscy dokoła. Ojciec – jubiler, szalony człowiek – pracował po nocach z rozwichrzoną czupryną. – Isabella udaje, że burzy własne uczesanie. – Miał przedziwnych klientów: baronów i tym podobnych, z europejskich miast, o których wcześniej nie słyszałam. Cieszył się niesamowitą popularnością. Jego wszystkie wyroby były wykonywane bez lutowania. Wiesz, co to znaczy? Że każdy element wyginano i kształtowano ręcznie. Ojciec miał tak silne dłonie, że opuszkami palców potrafił zgnieść blaszaną puszkę. Po śmierci mamy pozwalał nam na wszystko. Całymi dniami zbierałyśmy muszle i kamienie na plaży, a potem wracałyśmy do domu, by robić broszki i bransoletki.

Isabella spuszcza wzrok, myśląc o Arthurze. Kiedyś błędnie sądziła, że ma z nim wiele wspólnego, ale Arthur, odwrotnie niż ojciec, nigdy nie czerpał radości z tworzenia biżuterii. Wszystko, co robił, było pozbawione pasji. Zimne.

– Nie sądzisz, że to dziwne? – pyta Isabella po chwili milczącego sączenia herbaty. – W ogóle nie tęsknię za mężem.

– Nie ma w tym nic dziwnego. Rozumiem, że odeszłaś od niego, bo źle cię traktował.

– Czasami boję się, że z moim sercem jest coś nie tak.

Matthew nie odpowiada. Woli siedzieć i czekać na kolejne słowa Isabelli.

– Może jest złamane – ciągnie kobieta. – Nie chodzi mi o metaforę. Może jest popsute jak zegar, który ktoś zdjął z półki, rozłożył nieostrożnie na części, a potem zostawił kawałki na podłodze. Rozbite tak, że już nie działa. – Zaczyna analizować własne słowa. Opowiada bzdury. Gdyby Arthur tu był, zbeształby ją za zwracanie na siebie uwagi szalonymi pomysłami. Tylko że Arthura tu nie ma, leży martwy na dnie oceanu. – Mój mąż nie żyje, Matthew – mówi cicho Isabella.

– Przed kim więc uciekasz?

– Przed jego rodziną.

Mężczyzna kiwa głową. Wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienia zdanie.

– Nie musisz mi o niczym mówić. Chyba nawet lepiej, żebyś nie mówiła.

Isabella stara się myśleć jasno.

– Wtedy uznasz, że jestem tajemnicza. Że mam sekrety. Może nawet kłamię.

Matthew przez chwilę patrzy jej w oczy. Mijają sekundy. Isabella jest przejmująco świadoma jego męskości, woni oleju i morza, spojrzenia ciemnych oczu.

– Nie mógłbym źle o tobie myśleć – mówi w końcu mężczyzna. – Wybij to sobie z głowy.

Isabella ma wrażenie, że coś się w niej budzi. Nigdy wcześniej niczego takiego nie czuła, więc początkowo jest zaskoczona. Fala ciepła, gdzieś na dole. Pragnienie, by przywrzeć do niego całym

ciałem. To pożądanie. Pożąda Matthew, latarnika. Dziwi się, ale to przyjemne zdumienie. Nie wie, co robić, więc siedzi bez ruchu. Trudno przypuszczać, by Matthew doznawał czegoś podobnego, a gdyby wyraziła swoje uczucia, zapewne uznałby to za niestosowne. Isabella dopija herbatę. Deszcz ustał. Czas wracać.

– Zasiadłam się – mówi. – To bardzo samolubne z mojej strony.

– Lubię twoje towarzystwo – odpowiada Matthew, a ona odgaduje, że poczuł się niezręcznie.

Zapewne dostrzegł jej pożądanie i teraz jest skrzępowany.

Isabella odsuwa krzesło i wstaje.

– Odpocznij sobie teraz.

– Zawiadomię cię, kiedy tylko przyjdzie odpowiedź twojej siostry.

Stoją przez chwilę, mierząc się wzrokiem. Potem Isabella wychodzi i mokrą ścieżką wraca do miasteczka.

Mija tydzień, a Victoria wciąż nie odpisuje. Isabella stara się wytłumaczyć to sobie racjonalnie. Może zamiast telegramu otrzyma list i pieniądze. Może jej siostra wyjechała i jeszcze nie dostała wiadomości. Może jest zajęta przy niemowlęciu i nie ma do tego głowy. A może... może siostra nie chce jej przyjazdu. Isabella dzień po dniu podsyca w sobie nadzieję. Minie sporo czasu, zanim odłoży pieniądze na podróż. Ciężko pracuje, stara się zachować pogodną twarz dla Xaviera i czeka.

Katarina i Ernest kłócą się co noc. O osiemnastej Isabella układa Xaviera do snu, do dziewiętnastej pomaga kucharce zmyć naczynia, a potem wraca do pokoju dziecięcego i pada na łóżko kompletnie wyczerpana. Tamci dwoje zaczynają się kłócić w ciągu godziny. Może sądzą, że ona już śpi i ich nie słyszy? Isabella nie rozumie poszczególnych słów, docierają do niej tylko głosy, więc nie wie, jak ani od czego się zaczyna. Kłótnie są przewidywalne jak zmierzch. Przez większość czasu słychać tylko krzyki. Czasami również trzaskanie drzwiami. Czasami Katarina wrzeszczy, jakby miała sobie pozrywać struny głosowe. Isabella wie, że nie powinna się wtrącać. Jej obowiązkiem jest dbać o bezpieczeństwo Xaviera. Cieszy się, że noc spędza za zamkniętymi drzwiami.

Dziś leży w łóżku w Lighthouse Bay, ale myślami jest u swojej siostry w Ameryce. Piją razem herbatę. Dzidzius Victorii siedzi na kolanach Isabelli i gaworzy cichutko. Ten obrazek jest tak realistyczny i pełen detali, że Isabella zastanawia się, czy da radę otworzyć oczy i stawić czoło rzeczywistości. Jednak głosy z zewnątrz wdzierają się w jej marzenia. Początek kolejnej kłótni nastąpił niemal niepostrzeżenie, lecz awantura nasila się błyskawicznie i już po kilku chwilach słychać brzęk tłuczonych talerzy. Każdemu trząśnięciu towarzyszy szatański wrzask Katariny, więc Isabella wie, że to Ernest jest celem ataku. Xavier się budzi, toteż Isabella wyskakuje z łóżka, by go pogłaskać.

Tym razem jednak malec nie zasypia z powrotem. Siada i walczy ze łzami. Ernest krzyczy na

Katarinę tak głośno, że słyhać każde słowo: „Dziwka! Wiedźma!”.

W ciemności Xavier znajduje wzrokiem Isabellę i zaczyna płakać.

– Cichutko, cichutko – mówi Isabella, gładząc go po włosach.

Chłopczyk rzuca się w jej objęcia, a ona mocno przytula do siebie jego ciepłe ciało. Awantura trwa. Można odnieść wrażenie, że w powietrzu latają już wszystkie sprzęty w domu. Isabella przyciska jedno uszko Xaviera do piersi, a drugie zasłania ręką. Mały szlocha przez chwilę, potem się uspokaja.

Krzyki cichną. Słyhać brzęk podnoszonych z podłogi odłamków i gniewne głosy, ale nie ma już zabójczej furii. Isabella ostrożnie bierze Xaviera na ręce i zanosi go do swojego łóżka. Katarina nigdy by się na to nie zgodziła, ale za to uważa, że wolno jej przerażać własne dziecko swoim gniewem, i prawie nigdy nie dotyka synka. Xavier potrzebuje ciepła, a Isabella może mu je dać.

Układają się razem w łóżku, maleńkie ciało dziecka wtulone w Isabellę, która obejmuje Xaviera, wciąga nosem woń jego włosów, czuje ciepło i słyszy bicie serduszka.

– Nie martw się, nie bój się – powtarza. – Ze mną jesteś bezpieczny.

Puls chłopca zwalnia, Xavier uspokaja się przy niej. Isabella słyszy miarowy odgłos ssania kciuka. Po chwili dziecko śpi.

Ona jednak nie może zasnąć. W ciemnościach wyobraża sobie, że leży przy niej Daniel. Jej synek. Daniel przyszedłby do niej, gdyby się bał, a ona z pewnością dodałaby mu otuchy. Zrobiłaby wszystko, żeby czuł się bezpieczny. Kochałaby go całym sercem, dawała poczucie spokoju i miłość...

Kobieta zaczyna odpływać, a zasłona oddzielająca ją od snu się unosi. Teraz Isabella jest z Danielem, tuli się do niego w gęstniejących ciemnościach nocy i wszystko, absolutnie wszystko jest znowu dobrze.

Percy boi się matki. Wielu mężczyzn boi się jego matki. Jedynym wyjątkiem był jego ojciec, ale on nie żyje już od kilku lat.

Matka wciąż wierzy, że Arthur może być żywy. Nie chce przyjąć do wiadomości, że statek nie zaginął, lecz zatonął. A nawet jeśli poszedł na dno, ona sądzi, że Arthur jakimś cudem złapał się kawałka drewna i teraz z pewnością gdzieś na plaży, w zbudowanym samodzielnie szałasie, je kokosy i czeka na ratunek.

– Zgraja niekompetentnych głupców! – grzmi matka, kiedy Percy mówi jej, że policja z Cape Franklin nie jest w stanie ustalić, czy znalezione szczątki faktycznie pochodzą z Aurory. – Dobry brytyjski oficer marynarki wiedziałby to w mgnieniu oka. Już dawno można było znaleźć Arthura! I buławę! Nie chcę, żeby nazwisko naszej rodziny już na wieki kojarzyło się ze zgubionym darem

królowej!

Jest późny niedzielny wieczór. Niedziele potwornie męczą matkę – trzeba iść do kościoła, podać świąteczny lunch. Percy siedzi w oranżerii i pozwala, by matka dała upust swojej złości na władze w Queensland. Wie, że przyjdzie jeszcze pora na niego. W zeszłym tygodniu popełnił straszny błąd. Wysłał do banku niewłaściwe dane i w efekcie firma straciła pięćset funtów. Matka na razie nic o tym nie wie, ale Percy jest pewien, że jeśli dziś wieczorem właściwie to rozegra, zniknie jej z oczu, nim sprawa wyjdzie na jaw.

– Wiesz, co by było najlepsze? – mówi teraz, wykorzystując moment przerwy w tyradzie matki.
– Gdyby jakiś przedstawiciel rodziny mógł się tam wybrać i poszukać Arthura.

– Na przykład kto? Charles Simmons? On nie przeżyłby na statku, a co dopiero na bezludnej wyspie. – Matka sądzi, że Australia to maleńka wysepka z jedną palmą i laguną.

Percy milczy przez chwilę, a potem mówi:

– Ja mógłbym tam popłynąć. Simmons by mnie zastąpił. Znajdę Arthura i buławę i przywiozę ich do domu.

Percy nie wierzy, że Arthur może jeszcze wrócić do domu, ale koniecznie chce znaleźć buławę, zanim zrobi to ktoś inny; ktoś, kto uzna, że z dala od cywilizacji i przepisów prawa można sobie pozwolić na kradzież. Percy nie potrafi znieść myśli o jakimś włochatym dzikusie, który miałby przynieść buławę do swojego szałasu, wykorzystać klejnoty do ozdobienia przepaski biodrowej. Albo o podrzędnym marynarzu, który ocaliłby skarb ze statku, a potem zabrał do domu i przetopił, śmiejąc się z rodziny Winterbourne'ów.

– Nie poradzimy sobie bez ciebie, twoja żona i dzieci na pewno sobie bez ciebie nie poradzą – odpowiada matka, ale Percy wyczuwa wahanie w jej głosie. Arthur wiele dla niej znaczy, on sam nie. – Za długo by to trwało.

– Matko, parowcem dostanę się tam w siedem, może osiem tygodni. – Percy zniża głos do szeptu, więc kobieta musi się pochylić, żeby go usłyszeć. – Któż inny wykaże tyle troski i dbałości o szczegóły, żeby znaleźć Arthura? Kto inny zasługuje na zaufanie? Nikt. Tylko rodzony brat.

Matka zastanawia się przez chwilę, zaplatając i rozplatając pulchne palce w świetle lampy. W końcu wydaje wyrok:

– Masz rację. Powinieneś tam popłynąć.

Percy oddycha z ulgą. Popłynie w siną dal. Żadnej pracy w gabinecie, żadnych liczb.

– Dobrze – mówi. – Rano wszystko zorganizuję.

Xavier od miesiąca spędza noce w łóżku Isabelli. Oboje bardzo to lubią, więc dalej śpią razem. Isabella wie, że Katarina nie byłaby zadowolona, ale pani Fullbright, która codziennie wieczorem zamyka ich oboje w tej części domu, o niczym się nie dowie. Poza tym sama nie rozpieszcza synka przejawami uczuć: właściwie wcale go nie dotyka. Jej zazdrość o tulenie się dziecka do Isabelli byłaby nieuprawniona. Gdy w grę wchodzi rzecz, której się nie ceni, nie sposób mówić o kradzieży.

Isabella sądzi, że tajemnica nigdy nie wyjdzie na jaw, ale zapomina o czymś bardzo zawodnym: pęcherzu trzylatka. Pewnej nocy budzi się tuż przed świtem w ciepłej kałuży.

– O, nie – wzdycha.

Xavier się budzi i zaczyna kwilić.

– Wszystko w porządku, mój malutki – zapewnia Isabella, zapalając lampę i biorąc dziecko na ręce. Mały jest kompletnie mokry. Podobnie jak jej koszula nocna i pościel. – Zaraz cię umyję i wytrę.

Bierze chłopca do łazienki, zdejmuje przemoczoną piżamę i wyciera go gąbką. Malec mruga w świetle lampy. Ma gęsią skórkę na ramionach, więc Isabella się śpieszy. Sama też marznie, bo mokra koszula nocna klei się do jej nóg.

– No proszę – mówi kobieta. – Włożymy suchą piżamkę i możesz wracać do swojego łóżka.

Xavier kręci głową i wyciąga do niej rączki. Chce spać z Isabellą.

– Moje łóżko jest teraz mokre. Musisz iść do siebie.

Isabella prowadzi go z powrotem do pokoju, przebiera i układa w łóżeczku. Maluch nie chce puścić jej ręki, więc zziębnięta i mokra klęczy przy nim, czekając, aż dziecko zaśnie. Potem delikatnie wyswobadza swoją dłoń, zrzuca koszulę i ściąga pościel. Materac jest przemoczony, więc przecieranie go nic nie da. Trzeba wynieść go na zewnątrz, wysuszyć w słońcu. Isabella musi skorzystać z pralni i to pod nieobecność kucharki.

Problem w tym, że jest zamknięta w innej części domu. Isabella bierze lampę i zagląda przez dziurkę od klucza. Katarina zostawiła klucz w drzwiach z przeciwnej strony. Teraz potrzebna jest tylko kartka... jeden z rysunków Xaviera nada się znakomicie. Isabella wsuwa papier pod drzwi, a potem długim trzonkiem pędzla wypycha z dziurki klucz, który z cichym stuknięciem spada na kartkę. Isabella przesuwa ją pod drzwiami, a następnie otwiera zamek. Stąpając na palcach, znosi mokre rzeczy po kuchennych schodach do pralni.

Zapala ogień pod kotłem i czeka, aż naczynie wypełni się wodą. Przez szczelinę pod drzwiami

widzi, że zaczęło już świtać. Ptaki śpiewają, ale to nie ruzdziki i kosy, tylko ostro brzmiące ptaki australijskie. Jeden z nich, określany przez Katarinę jako kukabura, wydaje dźwięk do złudzenia przypominający śmiech szaleńca. Isabella jest tak zasłuchana w śpiew ptaków i szum wody, że nie słyszy kroków kucharki.

– Mary?

Isabella odwraca się nerwowo.

– Przepraszam, obudziłam cię?

– Nie, zawsze przychodzę tu o tej porze. Ale ty nie. I nigdy wcześniej nie paliłaś pod kotłem.

– Kucharka rzuca okiem na stos brudnych rzeczy. – To twoja pościel?

Isabella wie, że musi chronić swoją tajemnicę.

– Tak... Zaplamiłam ją.

Zażenowana kucharka odwraca wzrok i mruczy pod nosem:

– No cóż, każdemu może się to przydarzyć.

Potem sięga w dół i ostrożnie ciągnie róg prześcieradła. Na podłogę spada zasikana piżamka Xaviera. Obie kobiety patrzą na nią, a potem na siebie. Isabella wstrzymuje oddech.

– Tak nie wolno – mówi kucharka. – Nie możesz tak bardzo zbliżyć się do tego dziecka.

– To się zdarzyło tylko raz – kłamie Isabella. – Xavier miał zły sen.

– Jeśli pani Fullbright się o tym dowie, zwolni cię i już nigdy go nie zobaczysz.

– Proszę, nie mów jej.

Kucharka zaciska wargi i wygina je w podkowę.

– Proszę – powtarza Isabella, szybko wrzucając do kotła piżamkę, swoją koszulę nocną i pościel.

– Nikomu nie dzieje się krzywda. Rodzice Xaviera nie okazują mu uczuć, więc ja...

– Nie próbuj ich oceniać. Nigdy wcześniej nie byłaś na służbie?

Isabella powoli kręci przecząco głową.

Kucharka mruży oczy.

– Mogłam się tego domyślić. Skąd się wzięłaś?

– To bez znaczenia. W tej chwili jestem na służbie, chcę robić to, co należy, i zarabiać. I chcę jak najlepiej dla Xaviera.

– Rodzice decydują o tym, co jest dla niego najlepsze. Ty masz tylko wypełniać polecenia. Pani Fullbright nie życzy sobie, żeby służące dotykały jej dziecka, i na pewno nie chciałaby, żebyś sypiała z nim w jednym łóżku. Tym razem nic jej nie powiem. Ale to się musi skończyć.

– Oczywiście. Oczywiście.

Kucharka mięknie nieco i dotyka rękawa Isabelli.

– Mary, nie przywiązuj się tak do tego dziecka. Nie tylko ze względu na niego, lecz także na siebie. W tym domu żadna niania nie zagrzała zbyt długo miejsca. Prędzej czy później Fullbrightowie

obwiniali każdą z nich o milczenie Xaviera i wszystkie traciły pracę. Jeśli potrzebujesz tych pieniędzy, nie wychylaj się i nie dostarczaj dodatkowych pretekstów, żeby cię zwolniono. Nie wpuszczaj go więcej do łóżka. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Isabella kiwa głową bez przekonania. Ma zamiar robić dalej to, co robiła do tej pory. Dziś po prostu zabrakło jej ostrożności. Jeśli sytuacja się powtórzy, będzie wiedziała, jak postępować. Nikt nie zabroni jej sypiać z malcem.

Isabella czeka skulona za kanapą z szerokim uśmiechem na twarzy. Słyszy ciche, niepewne kroki. To Xavier jej szuka. Podchodzi bliżej, Isabella wstrzymuje oddech...

– A kuku! – woła, wyskakując zza kanapy.

Malec się wzdryga, a potem wybucha głośnym śmiechem, bębniąc przy tym drewnianą łyżką w pokrywkę od rondla, którą nosi przy sobie w trakcie zabawy w chowanego. Ucieka, śmiejąc się i bębniąc, a jego nóżki dudnią na drewnianej podłodze. Isabella goni go ze śmiechem.

Otwierają się drzwi do sypialni Katariny.

– Mary! – mówi ostro gospodyni.

Isabella się odwraca i natychmiast cichnie. Xavier przystaje w kuchni, patrząc przez ramię wielkimi, przerażonymi oczami.

Katarina wskazuje go palcem.

– Czy on musi tak hałasować? Zabierz mu tę pokrywkę.

– W ten sposób daje znać, że mnie znalazł.

Przez twarz Katariny przemykają rozmaite emocje. Isabella rozpoznaje gniew, wstyd, może nawet ślad smutku. Potem jej chlebodawczyni odzyskuje równowagę i stwierdza:

– Powinien używać słów.

Następuje długa chwila ciszy. Isabella nie chce mówić przy Xavierze o jego problemach. Chłopczyk wkłada kciuk do buzi.

– Wyjmij palec z ust! – krzyczy na niego Katarina. – I wynoście się oboje. Boli mnie głowa. Nie mam ochoty słuchać tego idiotycznego hałasu.

Isabella się jeży. Trzeba nie mieć serca, żeby tak się odzywać do małego dziecka. Poza tym nie podoba jej się sposób, w jaki Katarina się do niej zwraca. Gdyby tylko wiedziała, z kim ma do czynienia, jak bogata jest rodzina jej męża...

Rodzina męża, nie Isabelli. Ona nie chce takiej rodziny. Jest sama jak palec i nie ma niczego.

– Chodź, Xavierze – mówi do chłopczyka. – Pójdziemy do ogrodu i tam się pobawimy w chowanego.

Schodzą cichutko po tylnych schodach i przez jakiś czas Xavier zachowuje się spokojnie, ale

uwielbia zabawę w chowanego, więc już po chwili piszczy radośnie i z zachwytem bębni w pokrywkę. Słońce stoi wysoko na niebie. Pory roku są tu podwracane: teraz jest maj, ale w Australii oznacza to jesień. Niebo przybrało chłodniejszy odcień błękitu, liście na brzozie rosnącej na drugim końcu ogrodu zaczynają brązowieć. Powietrze jest przesycone wonią soli morskiej i dymu drzewnego, a śmiech Xaviera zdaje się unosić aż do chmur. Chowają się, szukają, gonią, łapią. Mają kolana poplamione od trawy i zarumienione policzki.

Potem Isabella liczy do dziesięciu, z twarzą ukrytą w dłoniach, przy tylnym ogrodzeniu. Kiedy się odwraca, Xaviera nie ma. Kobieta sprawdza jego ostatnią kryjówkę – nic. Zagląda za inne drzewa i krzaki. Nadal bez skutku.

Ze słonecznego ogrodu wchodzi do pralni – ani śladu dziecka. Widzi jednak, że na drugim końcu pomieszczenia brakuje jednej z desek przypodłogowych. Podchodzi bliżej. Sąsiednia deska jest złamana i obluzowana, więc daje się odsunąć na bok. Przez powstałą szczelinę może się prześliznąć mały chłopiec i przejść w ten sposób na drugą stronę domu. Isabella też się tamtędy przeciska, choć nie jest to łatwe, i znajduje się w części ogrodu, której dotąd jeszcze nie widziała. Xavier przykucnął za pralnią, z boku domu, i bawi się czymś na ziemi. Trawnik jest tutaj miejscami łysawy i porośnięty chwastami. Od frontowego ogrodu odgradza go wysoki płot. Miejsce wydaje się zupełnie nieciekawe, a jednak Xavier znalazł tam coś bardzo interesującego.

– Co tam masz? – pyta Isabella, klękając przy chłopcu.

Malec podnosi rączki. W każdej z nich trzyma niedopałek cygara. Isabella szybko, choć delikatnie zabiera mu niedopałki. Rzuca je na ziemię i dostrzega tam całe mnóstwo podobnych. Leżą tuż pod oknem. Kobieta odtwarza w myślach plan pomieszczeń na dolnym piętrze. Z jej obliczeń wynika, że okno należy do zakazanego pokoju. Jeśli Katarina ich tu znajdzie, będą kłopoty. Isabella każe chłopcu wstać.

– Nie, Xavierze, te rzeczy są bardzo brudne. Nie wolno ich dotykać.

Chłopczyk wyciąga rączki i macha nimi, dając do zrozumienia, że chce je umyć. Isabella szybko i po cichu prowadzi go z powrotem do pralni, przesuwa pustą beczkę, tak by zablokować przejście między deskami, a potem myje dziecku ręce. Przez cały czas zastanawia się nad tym, co właśnie zobaczyła. Dziesiątki niedopałków pod oknem, zupełnie jakby ktoś wyrzucił je z domu. Czy to wielka tajemnica Katariny? Palenie cygar? Trudno to nazwać grzechem, ale Isabella może sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby Arthur przyłapał żonę na paleniu: zrugałby ją, na czym świat stoi. Potrafi więc zrozumieć ostrożność swojej pracodawczyni.

Dziarsko bierze Xaviera za rękę. Chłopczyk patrzy na nią, jego oczy lśnią radośnie. Isabella się uśmiecha i, zamiast rozsądnie ugryźć się w język, mówi:

– Mój malutki.

Dziecko rzuca się ku niej, obejmuje rączkami nogi opiekunki, chowa twarz w jej spódnicę. Całym

sercem należy do niej, tak jak ona do niego. Są dla siebie stworzeni.

W ciągu dnia Isabella stara się nie myśleć o Matthew, ale nocami czasem rezygnuje z samokontroli i pozwala sobie na marzenia. Nie widziała go od dawna, więc w jej świecie stał się postacią niemal fikcyjną: ciemnookim, roztaczającym woń piżma mężczyzną, który uratował jej życie, a teraz dla jej dobra trzyma ją na dystans. Jest trochę zaskoczona, kiedy pewnego ranka spotyka go w sklepie i uświadamia sobie, że ten człowiek istnieje naprawdę.

Podchodzi bliżej, z ciepłą rączką Xaviera w dłoni, kompletnie zapominając o ziemniakach na kolację.

– Matthew?

Mężczyzna podnosi wzrok i uśmiecha się jakby wbrew swojej woli.

– Pani Mary – odzywa się ostrożnie. – A to pewnie mały panicz Fullbright.

– Xavier – wyjaśnia Isabella, opiekuńczym gestem kładąc dłoń na ramieniu chłopca. – Xavierze, to pan Seaward, latarnik.

Xavier, czy to z onieśmienia, czy ze strachu, czy z obu powodów chowa twarz w spódnicy Isabelli, która gładzi go czule po plecach.

– Nie bój się, kochanie.

– Witaj, Xavierze. Miło mi cię poznać – mówi Matthew, przykucając obok chłopca.

Xavier rzuca mu jedno niepewne spojrzenie, kwituje ciepły uśmiech mężczyzny wzruszeniem ramion i ponownie chowa buzię. Matthew się śmieje.

– Jakoś nigdy nie podobam się dzieciom od pierwszego wejrzenia.

– Jesteś wysoki i groźnie wyglądasz – tłumaczy Isabella, już w następnej sekundzie żałując swoich słów. A jeśli Matthew się obrazi? Kobieta szybko zmienia temat. – Nie dostał pan jeszcze żadnej wiadomości od mojej siostry?

Matthew z troską marszczy czoło.

– Nie, nie było telegramu. Mam nadzieję, że siostra wysłała do pani list, a trzeba dłuższego czasu, żeby tu dotarł. Powiadomię panią, kiedy tylko czegoś się dowiem.

– No tak, list podróżuje wolniej. Jestem tu raptem sześć tygodni...

Mężczyzna kiwa głową.

– Owszem. Mam wrażenie, że nawet dłużej, odkąd... – Matthew nie kończy, a Isabella wie dlaczego. Zdanie „Mam wrażenie, że nawet dłużej, odkąd się ostatnio widzieliśmy” brzmi romantycznie, brak w nim pragmatyzmu. A przecież Matthew Seaward jest człowiekiem pragmatycznym, Isabella dobrze o tym wie. Widać, że mężczyzna chce powiedzieć coś jeszcze, ale spogląda na Xaviera i zmienia zdanie. Cisza się przedłuża. Isabella nie chce, żeby Matthew odszedł,

ale wie, że to nieuniknione.

– Muszę już iść – mówi on.

– Miło było pana spotkać – odpowiada ona. Chce czegoś więcej. Chce, żeby zaprosił ją na herbatę. Żeby zabrał ją o zmierzchu na balkon samotnej latarni, by stamtąd mogli obserwować ciemniejące niebo, trzymając się za ręce. Skąd się biorą te zbłąkane myśli?

– Do widzenia, paniczku – żegna się Matthew. Xavier odpowiada mu ostrożnym skinieniem głowy.

Potem latarnik odchodzi. Isabella ściska rączkę chłopca.

– Chodź, malutki – mówi. – Kucharka potrzebuje jeszcze kilku rzeczy na kolację.

Matthew krąży nerwowo po latarni.

Po schodach. Po balkonie. Po domku. W końcu zatrzymuje się w pokoju z telegrafem; długimi i szerokimi palcami kreśli delikatne wzory na biurku. Noc już zapadła, światło się pali, więc ma chwilę wolnego.

Isabella wciąż nie dostała odpowiedzi od siostry. Matthew wiedział o tym, ale na widok jej rozczarowanej twarzy poczuł ukłucie w sercu. Kobieta nadal przebywa w Lighthouse Bay i mówi do synka Fullbrightów „kochanie”, jakby zwracała się do własnego dziecka.

To właśnie martwi go najbardziej. Przy Xavierze wyglądała na taką szczęśliwą. Zupełnie jak matka dumna ze swojego syna. A przecież Xavier to dziecko Fullbrightów, ludzi, którzy są tak niestali, jak bogaci. Matthew powinien był wiedzieć, że opieka nad dzieckiem innej kobiety nie jest właściwym zajęciem dla Isabelli, która niedawno straciła własne. Nie powinien był polecać jej tej posady. Isabella potrzebuje swojej siostry; potrzebuje powodu, żeby stąd wyjechać.

Oczywiście Matthew zachował adres. Tym razem wysyła telegram we własnym imieniu. To tylko jedna linijka z pytaniem, czy pani Victoria King nadal mieszka pod tym adresem. Wysyła również dlatego, że nie ma pewności, czy pierwsza wiadomość dotarła do adresatki. Każdy telegrafista polega na następnym w łańcuchu.

Matthew odsuwa krzesło i wspina się na górę po stromych, kręconych schodach, żeby przez chwilę postać samotnie na balkonie. Ocean jest jego jedynym towarzyszem od dwudziestu lat; ten widok – od szczęścia. Dziś jednak nieustanny ruch fal nie przynosi ukojenia. Spotkania z Isabellą mu nie służą, zupełnie mu nie służą. Jej dziki urok włamał się do jego serca i poturbował je.

Światło latarni wyłuskuje z dalekiej ciemności widmową sylwetkę żaglowca. Coraz mniej tego typu statków przypląwa obecnie do Australii. Na horyzoncie znacznie częściej pojawiają się sunące ciężko parowce. Tak oto na oczach Matthew zmienia się świat: epoka elegancji ustępuje miejsca czasom brzydkiej praktyczności. Myśli biegną do Clovisa McCarthy’ego, schodzącego po raz ostatni

na dół w swojej latarni. Pewnego dnia to samo spotka Matthew, zbyt starego, by pilnować światła, reliktu przeszłości. I co wtedy? Jaka samotność i pustka czeka go potem?

Nie czas na takie sentymenty. Mężczyzna bierze się w garść, schodzi po schodach i wraca do zwykłych conocnych obowiązków. Po trzech takich nocach przychodzi odpowiedź na jego telegram: „Adresatka się wyprowadziła. Obecny adres nieznanym”.

Matthew przymyka oczy i pociera nasadę nosa. Victoria się przeprowadziła. Dlatego nie odpisała. Nie wie, że siostra jej potrzebuje. Matthew zdaje sobie sprawę z bezradności Isabelli. Co ona pocznie, jeśli nie będzie mogła znaleźć siostry? Wróci do rodziny męża, której nie znosi? Zostanie u Fullbrightów, dopóki jej nie wyrzucą, zauważywszy bliską więź łączącą ją z Xavierem? Isabella jest krucha, delikatna. Takie doświadczenia mogą ją złamać. Przed oczami mężczyzny staje obraz Isabelli, padającej na progu latarni w noc ich pierwszego spotkania. Matthew wie, że to omdlenie było efektem morderczego marszu, ale widzi w nim jednocześnie rys jej natury: Isabella może iść tylko do pewnego momentu, a potem po prostu zatrzymuje się, przewraca, rozpada.

Matthew wzdycha i otwiera oczy. Ma do dyspozycji telegraf. Zrobi, co w jego mocy, by odnaleźć siostrę Isabelli.

Niebo płonie błękitem nad Isabellą i Xavierem, którzy spacerują razem po plaży i zbierają muszle. Kobieta dopiero od niedawna chodzi po piasku bez lodowatego lęku: koszmarnie przeżycia podczas długiej wędrówki wciąż żyją w jej pamięci. Xavier jednak uwielbia plażę i piasek – to jej pomaga. Zanim więc rozgorzeje popołudniowy upał, Isabella pomaga chłopcu włożyć kapelusz i buty, bierze torbę piknikową i we dwójkę idą nad ocean.

Xavier ma szczególną słabość do smukłych ciemnoróżowych muszli. Isabella z kolei zawsze szuka idealnie białych. Razem spacerują po twardym nadbrzeżnym piasku, od czasu do czasu zanurzając stopy po kostki w falującej wodzie. Wielkie szmaragdowe walce unoszą się i zwijają, pokryte spienionymi białymi grzywami, potem opadają z trzaskiem, objijając się o siebie nawzajem. Jest ciepło, ale nie gorąco. Xavier znajduje długi kij wyrzucony na brzeg i pokazuje go Isabelli. Jeden koniec kija jest ostry niczym ołówek.

– Wspaniały kij – mówi kobieta. – Mądry z ciebie chłopczyk.

Xavier wbija ostry koniec w piasek, a potem obraca się, rysując wokół siebie okrąg. Isabella klaszcze. Następnie biegnie po wodorosty, które układa z jednej strony okręgu niczym włosy. Xavier przygląda się opiekunce, kiedy ta robi oczy z muszli i szeroki uśmiech z zielonych jak mech małży. Na koniec chłopczyk rysuje dwoje nierównych uszu.

Ocean bezustannie ryczy. W górze przelatuje skrzecząca głośno mewa.

Isabella i Xavier uśmiechają się do siebie w blasku słońca. Kobieta przypomina sobie buzię

Daniela i zastanawia się, jak dziś wyglądałby jej synek, gdyby uśmiechała się do niego, a nie do Xaviera. Jednak rysy niemowlęcia były jeszcze za mało wyraziste, więc wyobraża sobie po prostu, że Daniel wyglądałby dokładnie tak jak Xavier. Jakby urodzeni tego samego dnia chłopcy byli tak naprawdę jedną osobą. Isabella niejasno zdaje sobie sprawę, że myśli nieracjonalnie, ale w głębi serca uważa to za logiczne. Ona i Xavier po prostu powinni być razem, sami na zalanej słońcem plaży, podczas gdy pospolity, małostkowy świat biegnie swoim torem po drugiej stronie pasa pandanów i akacji.

Nagle Xavier wskazuje palcem rysunek i zupełnie wyraźnie mówi:

– To uśmiechnięta buzia.

Z początku Isabella nie może uwierzyć własnym uszom. Niemal trzyletni Xavier nie powiedział dotąd ani jednego słowa. Nigdy. Nie mówił „mama”, „tata”, „kolacja” ani „pobaw się ze mną.” A teraz wypowiedział całe zdanie. Zaskoczona Isabella najpierw milczy, ale po chwili uświadamia sobie, że musi odpowiedzieć, bo inaczej chłopczyk może się zniechęcić do mówienia.

– Tak – potwierdza. – Ten chłopczyk na pewno jest szczęśliwy. – A potem dodaje: – Tak jak ja przy tobie.

– Na pewno jest szczęśliwy – powtarza Xavier, po czym wkłada kciuk do buzi.

– A ty jesteś szczęśliwy, Xavierze? – pyta Isabella.

Chłopczyk milcząco kiwa głową, jakby nie stało się nic dziwnego, i dalej idzie po plaży w poszukiwaniu różowych muszli.

Isabella przywołuje się do porządku. Wie, że powinna zabrać Xaviera do domu i opowiedzieć o wszystkim Katarinie. Rozpiera ją radość na myśl, że to właśnie ona pierwsza usłyszała słodki głosik dziecka. Jest dla niego kimś wyjątkowym: oto otrzymała przekonujący dowód. Malec nie mówił do matki, odezwał się dopiero przy niej.

W tym momencie Isabella zdaje sobie sprawę, że nie wspomni o niczym Katarinie. Niech tamta spędzi wreszcie trochę czasu z synkiem; wtedy sama się dowie.

Isabella kryje uśmiech. Może Xavier będzie mówił wyłącznie do niej. Słońce świeci jasno tylko dla niej.

– Xavierze, kochanie, poczekaj na mnie! – woła, podczas gdy fale zalewają brzeg, zmywając rysunek z piasku.

Isabella leży płasko na podłodze i udaje robaka. Xavier zanosi się szaleńczym chichotem, dźwięczącym słodko jak dzwoneczki. Ma udawać ptaka, ale nie może przestać się śmiać, by odegrać swoją rolę. Isabella widzi z tej pozycji elementy układanki pod łóżkiem i wie, że lada chwila kucharka, Katarina albo nawet Ernest uznają, że poświęca za dużo czasu zabawie, a za mało sprzątaniu. Kiedy jednak przebywa z Xavierem, porządek nie ma znaczenia. Ważna jest tylko teraźniejszość i to jej Isabella kurczowo się chwyta.

– Robak – mówi Xavier z palcem wycelowanym w jej stronę. – Robak.

Isabella przyzwyczała się już, że chłopczyk mówi, choć on wypowiada tylko kilka słów dziennie i nadal się nie odzywa w obecności rodziców. Teraz to ona go wskazuje.

– Ptaszek. No, chodź. Teraz twoja kolej.

Na odgłos zbliżających się kroków malec się kuli i pakuje kciuk do buzi. Isabella siada i otrzepuje kurz z przodu sukni. Drzwi do pokoju dziecięcego się otwierają. Staje w nich Katarina.

– Przepraszam, jeśli zachowujemy się zbyt głośno... – zaczyna Isabella, ale Katarina przerywa jej gestem uniesionej dłoni.

– Przyszedł do ciebie pan Seaward, telegrafista. – W głosie Katariny pobrzmiewa zaskoczenie, może nawet dezaprobatą, ale przede wszystkim irytacją.

Isabella zrywa się na równe nogi. Na pewno nadeszła wiadomość od jej siostry. Nie chcąc, żeby ktokolwiek podsłuchał jej rozmowę, pyta Katarinę:

– Czy może pani posiedzieć chwilę z Xavierem, kiedy ja zejdę do pana Seawarda?

Katarina zerka na Xaviera, jakby się go bała, a potem odpowiada z wymuszonym uśmiechem:

– Oczywiście, nie ma problemu. – Od razu jednak rzuca w ślad za wychodzącą Isabellą: – Tylko się pośpiesz, dobrze?

Matthew czeka na schodach pod drzwiami. Isabella nie wie, czy Katarina nie zaprosiła go do środka, czy też on sam nie chciał wejść. Zapewne to drugie. Mężczyzna mówi bez słowa powitania:

– Nie odebrałem telegramu od twojej siostry. Przykro mi.

Isabella zdaje sobie sprawę, że Matthew próbuje stawić czoło jej wyczekiwaniu. Nie kryje rozczarowania.

– Ani słowa?

Mężczyzna kręci przecząco głową, rozkłada bezradnie ręce i odpowiada cicho:

– Przykro mi, ale twoja siostra już nie mieszka pod wskazanym adresem.

Cisza. Nie, nie cisza. Isabella słyszy szum oceanu w oddali, wiatr w koronach wysokich

eukaliptusów, wrony w ogrodzie. Najdonośniejse jest jednak pulsowanie krwi krążącej w jej żyłach. Nie ma więc ciszy, tylko przerwa w życiu. Wszystko, w co wierzyła, nagle się zmienia.

– Nie mieszka?

– Przeprowadziła się.

– Ale czemu mnie o tym nie uprzedziła?

– Może uprzedziła. Może wysłała ci list do Anglii.

Tak. Na pewno wysłała. A teraz list czeka na Isabellę w domu, który kiedyś dzieliła z Arthurem.

– Jak ja ją odnajdę?

Matthew wyciąga rękę, żeby dotknąć dłoni Isabelli, ale w ostatniej chwili zmienia zdanie.

Kobieta wyczuwa żal w dzielącym ich powietrzu.

– Robię, co w mojej mocy, żeby ją znaleźć.

– Ale jeśli ci się nie uda... – Isabellę zalewa fala rozpacz. Co począć? Dokąd pójść? Po omacku szuka za sobą framugi, żeby się o coś oprzeć. Traci równowagę, ale Matthew chwyta ją mocno za rękę i podpira. Isabella widzi, jak mięśnie jego przedramienia naprężają się pod rękawem bawełnianej koszuli. Ona już się nie chwieje, ale Matthew nadal ją podtrzymuje. Jego ciepło przepływa przez jej palce i rozchodzi się po całym ciele. Isabella się rumieni. Mężczyzna próbuje cofnąć rękę, ale Isabella zaciska palce.

– Pomóż mi – szepcze.

– Znajdę ją – mówi Matthew. Delikatnie wysuwa dłoń z uścisku Isabelli. – Bądź cierpliwa i nie trać nadziei.

Isabella przypomina sobie o Xavierze czekającym na nią w pokoju dziecięcym. Próbuje znaleźć otuchę w tej myśli, ale to trudne, bo wie, że kiedy odnajdzie siostrę i odłoży wystarczającą sumę, będzie musiała się z chłopcem rozstać. Jest kompletnie zagubiona. Zamyka oczy, czuje, jak upływający czas usuwa jej ziemię spod nóg.

– Isabello... Dobrze się czujesz?

– Powinam już wracać do mojego chłopczyka – odpowiada ona, odwracając się w stronę drzwi.

– TWOJEGO chłopczyka? – pyta Matthew.

Isabella lekko się irytuje.

– O co ci chodzi? Xavier mnie kocha i ufa mi. – Kobieta ścisza głos i pochyla się do przodu, chociaż Matthew stoi raptem dwa schodki niżej, więc ich twarze są na jednej wysokości. – Zaczął mówić. Tylko przy mnie. Nie odzywa się do nikogo innego.

Matthew wyraźnie chce coś powiedzieć, ale gryzie się w język. Za późno; Isabella odgadła jego myśli.

– Jestem za niego odpowiedzialna. To właśnie chciałam powiedzieć. Dlaczego nie miałabym nazywać go „moim chłopczykiem”? Nikomu nie dzieje się przez to krzywda.

– Zapewne masz rację – zgadza się Matthew, spuszczać głowę. – Do widzenia. Dam ci znać, kiedy tylko się czegoś dowiem.

Schodzi po stopniach, mija trawnik i znika za bramą. Isabella odprowadza go wzrokiem. Matthew się nie ogląda.

Ona stoi jeszcze przez chwilę, próbując wziąć się w garść. Jej stawy są wiotkie, jakby miały się powyginać w niewłaściwe strony. Przypomina sobie, jak pewnego chłodnego lutowego wieczoru siedziała przy kominku z Arthurem. On czytał gazetę, ona wyszywała, opierając tamborek na ciężarnym brzuchu. Zupełnie zwykła chwila. Poczucie całkowitego bezpieczeństwa. Oczywiście Isabella nie była wtedy szczęśliwa, ale też nie była nieszczęśliwa. Koszmar dopiero ją czekał. Wciąż miała grunt pod stopami.

– Mary? Nic ci nie jest?

Isabella się odwraca i widzi Katarinę wychodzącą z holu i ściskającą mocno nadgarstek Xaviera.

– Wszystko w porządku – mówi Isabella. – Czekam na telegram od siostry. Pan Seaward przyszedł mi powiedzieć, że są jakieś zakłócenia na linii.

Katarina popycha Xaviera w jej stronę.

– Zabierz go na świeże powietrze. Od zabawy z nim rozbolała mnie głowa. Muszę się położyć.

– Pozbieramy liście w ogrodzie? – pyta podopiecznego Isabella. Marzy o tym, by się przytulić do dziecka, ogrzać przy jego ciepłym ciałku, ale nie może tego zrobić na oczach Katariny.

Xavier kiwa uroczyście główką, więc Isabella wyprowadza go z domu na niepewnych nogach. Na zewnątrz panuje dziwna, ciepła zima, tak inna od tej znanej z odległego domu.

Koń ciągnie bryczkę po górskiej drodze. Xavier siedzi między Isabellą i Katariną. Przed nimi, w innej bryczce, jedzie Ernest, jego przyjaciel i wspólnik w interesach Abel oraz żona Abła, Edwina. Słońce świeci mocno, wokół unoszą się egzotyczne aromaty australijskiego lasu. Isabella rozpoznaje już ostre, apteczne wonie eukaliptusa i drzewa herbacianego, ale innych zapachów nie zna. W głębi lasu ćwierkają ptaki. Jest niedziela, cała szóstka jedzie na piknik. Kosz z jedzeniem stoi między stopami Isabelli. Kucharka spakowała go dziś rano, najwyraźniej ciesząc się, że nie musi jechać z nimi.

Katarina szczyli się swoim talentem do powożenia, opowiada, że w młodości wygrywała nagrody na Costa Daurada¹. Rzeczywiście, dobrze sobie radzi z biczem i lejcamy. Ma na sobie falbaniastą białą suknię i duży biały kapelusz. Isabella włożyła żółtą suknię, którą wzięła z latarni morskiej. Próbowwała przewiązać ją w pasie, tak by nie wisiała jak worek, ale na nic się to zdało. Teraz myśli o błękitnej muślinowej sukni spoczywającej w kufrze na dnie oceanu, a potem przypomina sobie, że nie musi konkurować z urodą Katariny. Potajemnie ściska dłoń Xaviera. Ona

i Katarina nie są rywalkami.

Jadą już od godziny i nadal są dosyć nisko. Dym z cygar palonych przez mężczyzn leci w stronę Isabelli, która słyszy urywki rozmów w pierwszej bryczce i dochodzi do wniosku, że obaj panowie to straszni nudziarze. Żona Abła śmieje się od czasu do czasu, próbując nadążyć za ich ordynarnymi żartami. Przy każdym chichocie Edwiny Katarina zaciska zęby. Isabella się zastanawia, czy jej pracodawczyni nie wolałaby być teraz w pierwszej bryczce, zamiast tutaj, z dzieckiem i jego opiekunką.

– Daleko jeszcze? – pyta Isabella.

– Nie, dróżka zaraz się kończy. Na wierzchołek można dotrzeć tylko pieszo, ale dziś raczej się tam nie wybierzemy. Po północnej stronie jest mała polanka, gdzie zwykle rozkładamy się z jedzeniem. Widać stamtąd ocean i góry. To piękne miejsce.

Isabella jest zdumiona, że Katarinie się tu podoba. Dotąd sądziła, że pracodawczyni, podobnie jak ona sama, tęskni za krajobrazem rodzinnych stron.

– Piękniejsze niż to, z którego pani pochodzi?

Katarina zerka na nią i uśmiecha się cierpko.

– W Hiszpanii nie byłam bogata. Moim zdaniem pieniądze dodają uroku wszystkiemu. – Znów spogląda na drogę. – Na przykład mężczyznom.

Isabella nie odpowiada. To dziwne, że Katarina mówi w ten sposób przy synku. Zapewne go nie docenia; zapomniała, że choć malec nie mówi, świetnie wszystko słyszy i rozumie.

– A ty skąd jesteś, Mary? – pyta Katarina.

– Z Kornwalii, proszę pani. Z południowo-zachodniej Anglii.

– Tęsknisz za domem?

– Czasami.

– Marzysz o powrocie?

– Nigdy tam nie wrócę. – Stanowczość tego stwierdzenia zasmuca Isabellę. Gdzie ma się podziać? Czy Victoria w ogóle jest jeszcze w Nowym Jorku? Czy mieszka przy sąsiedniej ulicy, czy też na innym kontynencie? Może być wszędzie.

– To dobrze. – Katarina się uśmiecha, ale tym razem nieco okrutnie. – Wszystkie inne nianie odeszły, więc nie dziw się, że jestem ostrożna. Dobrze wiedzieć, że nie marzysz w głębi serca o powrocie.

O czym właściwie marzy w głębi serca Isabella? Przez moment myśli nad odpowiedzią, a potem się beszta. Jak mogła zapomnieć! Jej serce jest pochowane wraz z Danielem, nie marzy już o niczym. Nagle chmury zasłaniają słońce i Isabella przez chwilę ulega przesądowi: może to ona sprowadziła na nich ten chłód? Jednak bryczka wioząca mężczyzn zbacza z dróżki, wspina się po wzniesieniu, a potem zjeżdża na zieloną polankę. Druga bryczka rusza tym śladem i po chwili się zatrzymuje.

Polanka leży mniej więcej w połowie północnego zbocza góry – niezbyt wysokiej góry, raczej wulkanicznego wzgórza wyrastającego z płaskiego wybrzeża – na rozległym, kamienistym płaskowyżu. Żadne drzewa nie zasłaniają widoku na ocean. Z tej wysokości wygląda on jeszcze potężniej: nie słychać szumu fal, które poruszają się wolniej, jakby z namysłem. Powietrze jest przejrzyste i chłodne. Isabella pomaga Xavierowi wsiąść z bryczki, potem klęka, by zapiąć mu kurtkę. Katarina już znikła, żeby porozmawiać z Ernestem, Ablem i Edwiną. Isabella poprawia swój czepek i prowadzi chłopca do pozostałych.

– Życzą sobie państwo, żebym przygotowała piknik właśnie tutaj? – pyta.

– Tak, to idealne miejsce – mówi Abel Barrett, pociągając nosem. Ma mocną szczękę, jasnoniebieskie oczy i gęste kędzierzawe włosy. Jego żona, Edwina, jest znacznie mniej atrakcyjna – niczym samica pawia – i rzadko spuszcza wzrok z twarzy męża. Wygląda na lekko zaskoczoną, jakby nie mogła uwierzyć, że tak niesamowicie przystojny mężczyzna należy właśnie do niej.

Xavier kręci się przy Isabelli, kiedy ta rozkłada koc piknikowy, a potem talerze, sztucce i filiżanki. Pozostali odeszli kilka metrów dalej, żeby podziwiać widok. Słychać, jak Abel tłumaczy, że Lighthouse Bay zawdzięcza swoją nazwę jednemu z wczesnych odkrywców, który właśnie stąd zauważył o świcie, że zanim promienie słońca oświecą resztę wybrzeża, najpierw padają na miejsce, w którym stoi teraz latarnia morska. Isabelli podoba się myśl, że Matthew widzi słońce wcześniej niż inni. Kobieta zerka przez ramię i dostrzega białą iglicę latarni. Ciekawe, co porabia teraz Matthew.

Kucharka przygotowała kanapki, owoce i szarlotkę. Isabella starannie układa jedzenie na kocu. Ernest przywiózł butelkę whisky i butelkę wina. Isabella się dziwi, widząc, jak szybko piją obie pozostałe kobiety. Ona sama raz w życiu wychyliła kieliszek clareta i źle się potem czuła. Xavier wciąż kręci się przy niej, pomagając rozwijać serwetki i polerować sztucce. Inni zachowują się hałaśliwie; już są pijani obietnicą późniejszego pijaństwa.

Katarina woła:

– Xavier! Chodź do mamusi, synku!

Xavier wygląda na zaniepokojonego. Zerka w stronę Isabelli, jakby szukał otuchy.

– Idź – mówi Isabella. – Rób, jak każe mamusia.

Xavier podchodzi niepewnie do pozostałych, a Isabella obserwuje go kątem oka, odpędzając jednocześnie muchę. Katarina kuca i wyciąga rękę do synka. Isabella nigdy wcześniej nie widziała takiego gestu w jej wykonaniu. Xavier najwyraźniej też nie, bo staje nagle jak wryty. Isabella nie widzi jego twarzy, ale podejrzewa, że niespodziewany przejaw uczuć przestraszył chłopca.

– Chodź tu, kochanie. Daj mi wielkiego buziaka – ciągnie Katarina. – Nie wstydź się. – Potem zwraca się do Edwiny z grymasem na twarzy. – Nie jest zbyt bystry, ale mamusia i tak go kocha.

Isabella czuje, jak jej żołądek ściska się z gniewu. Teraz już wszystko rozumie: Katarina popisuje

się przed Edwiną. Edwina jest starsza, nie ma dzieci. Katarina odgrywa rolę kochającej matki. Może chce uzyskać przewagę nad drugą kobietą, może jest po prostu okrutna. Xavier się waha. W obawie, żeby nie uciekł zaraz w stronę piknikowego koca, Isabella podchodzi do chłopca i popycha go lekko.

– No, idź, Xavierze.

Malec robi jeszcze kilka niepewnych kroków, a Katarina chwyta go w objęcia i przytula do falbaniastej sukni. Isabella widzi, jak pulchna rączka dziecka chwyta rękę matki, i czuje przeszywającą zazdrość. Cofa się o krok. Edwina zachwyca się teraz Xavierem, podczas gdy mężczyźni piją whisky i gaszą cygara w trawie. Isabella stoi na uboczu. Nie należy do tej grupy. A Xavier nie należy do niej.

– Lunch jest już gotowy – ogłasza. Chwilę później Katarina oddaje jej Xaviera, każąc zabrać gdzieś chłopca, żeby nie przeszkadzał, i dać mu coś do zjedzenia. Isabella ustawia Xaviera przed sobą, chwyta papierową torebkę, którą kucharka przygotowała specjalnie dla dziecka, i rusza w stronę zarośli.

– Słyszę strumień – mówi, biorąc malca za rączkę, kiedy tylko znikają z pola widzenia rodziców.
– Pójdziemy sprawdzić, czy są w nim jakieś rybki?

Xavier kiwa główką, więc schodzą w dół, między krzewami. Isabella pokazuje chłopcu jadalne jagody, a on nie pyta jej, skąd wie, że można je jeść. Nie jest też zachwycony smakiem owoców, znacznie mniej słodkich niż banany spakowane w jego torebce. We dwójkę siadają na dużym kamieniu, zanurzają w strumieniu bose stopy i jedzą kanapki z miodem, słuchając śpiewu ptaków oraz wygrzewając ramiona w blasku słońca.

– Xavierze, czemu nie mówisz przy mamusi? – pyta wreszcie Isabella.

Chłopczyk zerka na nią, wzrusza ramionami i wraca do jedzenia kanapki.

– Kochasz mamusię?

Malec nie odpowiada. Wolną rączką chwyta jej dłoń. Isabella zdaje sobie sprawę, że bijące mocno serce podchodzi jej do gardła. Straciła głowę dla tego dziecka, kompletnie straciła głowę.

– Kocham cię, mój malutki – mówi.

– Ma-ry – odpowiada Xavier. Wymawia to imię podobnie jak jego matka, z wyraźnym „a”. Isabella ma wrażenie, że słyszy słowo: „mama”.

Otwiera usta, by zdradzić chłopcu swoje prawdziwe imię, ale szybko rezygnuje. Xavier jest za mały, nie zrozumiałby. Teraz z apetytem zajada kanapkę, nie zdając sobie sprawy, że obudził jej serce.

Po posiłku bawią się nad strumieniem i szukają cienia. Jest tam błotniście, jednak błoto łatwo zmyć chłodną wodą ze strumyka. Są patyki, ale można je zostawić przed powrotem do reszty grupy. Isabella cieszy się chwilą. Jest z Xavierem, kocha go i wie, że on kocha ją. Słyszając nawoływania, szybko myją ręce i stopy, po czym niechętnie wracają na polankę.

Pozostali są już kompletnie pijani, mają twarze czerwone od alkoholu i słońca. Jedzenie zniknęło, Abel Barrett drzemie na trawie, a Edwina, ośmielona winem, podbiega do Xaviera i bierze go na rękę. Katarina stoi dumnie, okazując wyższość kobiety, która urodziła tak piękne dziecko. Xavier wybuch płaczem, więc Edwina od razu stawia go na ziemi.

– Przepraszam, mój mały – mówi.

Xavier natychmiast ucieka od niej i przywiera do sukni Isabelli, chowając twarz w fałdach materiału. Isabella gładzi go po głowie. Katarina mruży oczy.

Ernest podnosi wzrok i zauważa:

– Spójrzcie tylko. Mały traktuje Mary jak matkę.

Niedobrze. Isabella słyszy to wyraźnie. Fałszywa nuta w pięknej symfonii. Została już zagrana, a jej echo popsuje resztę melodii. Katarina podchodzi, odrywa Xaviera od Isabelli i mówi:

– Mary, pojedziesz z Ernestem i Ablem. Obaj są pijani, ktoś trzeźwy musi im wskazać drogę do domu. Edwino, zapraszam do mojej bryczki, pojedziesz ze mną i Xavierem.

Xavier wciąż płacze, ale Katarina nie zwraca na to uwagi. Isabella szybko pakuje pozostałości po pikniku, podczas gdy Ernest lekkim kopniakiem budzi Abła. Isabella się pociesza: Xavier wcale nie obchodzi Katariny. Kobiecie szybko przejdzie zły nastrój. Jeśli Isabella nie będzie się wychylać, wszyscy szybko zapomną o tym drobnym incydencie.

Ernest i Abel są pijani, a ona siedzi przyciśnięta do boku ławeczki, krztusząc się dymem cygar i wonią męskiego potu. Ernest siedzi obok, ale odwrócił się do niej plecami, jakby Isabelli w ogóle tam nie było. Abel narzeka na żonę: jest zbyt potulna. Ernest również narzeka na żonę: jest zbyt dzika. Isabella ma ochotę się wtrącić i zapytać, ile konkretnie temperamentu powinna mieć kobieta, żeby ich zadowolić, ale czuje, że nie paliliby się do udzielenia odpowiedzi. Zjeżdżają na dół zbyt szybko i Isabella musi zacisnąć zęby, żeby przestały dzwonić. Z dotychczasowej rozmowy wywnioskowała, że Abel zawdzięcza swój majątek nie tyle interesom, ile rodzinie żony, a Ernesta tak zachwyciła uroda Katariny, że dopiero po roku zorientował się, jaka z niej harpia. Isabella zerka w stronę drugiej bryczki. Milczący Xavier, kompletnie ignorowany, siedzi między Katariną a Edwiną. Cudowne dziecko w otoczeniu próżnych i sprzedajnych ludzi.

I wtedy po raz pierwszy przychodzi jej do głowy, że chłopcu byłoby znacznie lepiej z nią, w Nowym Jorku, u Victorii.

Natychmiast odpędza tę myśl. Przecież to czyste szaleństwo. A jednak przeraziła samą siebie i to wzbudziło jej gniew. Dlaczego nie miałyby tak myśleć, skoro całym sercem kocha to dziecko, a ono wzrasta wśród ludzi niezdolnych do miłości? Katarina prawdopodobnie wcale by za nim nie tęskniła. Ernest na pewno nie. A jeśli chłopczyk zostanie z rodzicami, stanie się taki sam jak oni. To

nieuniknione. Naucz się, że pieniądze są ważniejsze niż ludzie; wyrośnie na zimnego, nieczułego mężczyznę.

Czy to samo spotkałoby Daniela? Nie, z pewnością nie. Przecież jego przewodniczką życiową byłaby Isabella, przecież to jej miłość kształtowałaby jego system wartości i łagodziła charakter. Podobnie można pomóc Xavierowi, przynajmniej dopóki znajduje się pod jej opieką.

Isabella się odwraca, spogląda chłopcu w oczy i macha do niego wesoło. Xavier odpowiada jej promiennym uśmiechem i machaniem. Na ten widok Katarina opiekuńczym gestem obejmuje synka i zaczyna mówić mu coś do ucha. Isabelli to nie przeszkadza. Wie, kogo malec naprawdę kocha.

Isabella zdaje sobie sprawę, że nie powinna tego robić, ale czasami oddaje się marzeniom o długiej podróży przez ocean z Xavierem. Tylko we dwójkę. Wyobraża sobie, co zobaczyliby na drugim brzegu. Jak już zawsze trzymaliby się za ręce. Pozwala sobie na takie fantazje tylko przez minutę dziennie, ale minuta zawsze rozciąga się do pięciu, a potem myśli zaczynają zbaczać na te same tory. Isabella próbuje się powstrzymać. Przecież wie, że nigdy tego nie zrobi. Kocha Xaviera i właśnie dlatego nie rozłączy go z rodzicami, nie zabierze z domu, nie skaże na niepewne życie uciekiniera. A jednak te marzenia stają się przyjemną ucieczką od innych, mroczniejszych myśli.

Pewnego poranka Ernest wyjeżdża w interesach do Brisbane, dużego miasta położonego daleko na południe. Poprzedniej nocy Xavier mało spał, lekko gorączkował i kaszlał. Isabella stara się trzymać chłopca w cieple, żeby mógł wypocić gorączkę, i przez cały dzień informuje na bieżąco Katarinę, ale ta najwyraźniej się nie przejmuje. Choroba dziecka przeraża Isabellę do szpiku kości. Pogoda bardzo się popsuła. Cały dach trzeszczy pod naporem wiatru, co tylko pogłębia niepokój Isabelli. Świat przestał być bezpiecznym miejscem.

– Jakież trzy miesiące temu miał to samo – mówi Katarina. – Wyzdrowieje za dzień czy dwa.

Isabella nie wie, jak interpretować obojętność Katariny – jako bezduszność czy też spokojną mądrość matki, która zna swoje dziecko od urodzenia. Wraca do pokoju dziecięcego i siedzi przy Xavierze przez całe popołudnie. Kiedy cienie się wydłużają, zostawia podopiecznego, chcąc pomóc kucharce w przygotowaniu kolacji.

Drzwi na końcu korytarza są jednak zamknięte. Tak wcześnie. Isabella nie zjadła lunchu, dlatego burczy jej w brzuchu. Jest jeszcze dzień, więc czemu ją tu zamknięto? Zresztą to bez znaczenia. I tak wie, jak się wydostać. Wypycha klucz z dziurki, przesuwa go pod drzwiami na kartce i idzie do kuchni.

Ani śladu kucharki, ani śladu Katariny. W pozostałej części domu jest cicho i ciemno, jeśli nie liczyć miarowego tykania zegara stojącego na półce. Isabella wyteża słuch, ale wokół panuje cisza i tylko za oknem szaleje wiatr. Kobieta zapala kuchenną lampę i podchodzi do chłodziarki. Xavier śpi, a poza tym nie powinien jeść, kiedy ma gorączkę, ale ona chyba może wziąć sobie trochę chleba

i sera.

Je w ciszy, przy migoczącej lampie. Potem wraca do Xaviera.

Niemal odruchowo kładzie mu dłoń na czole. Od razu wyczuwa, że gorączka minęła. Wnętrze dłoni jest mokre od zimnego potu. Isabella czuje ogromną ulgę i zdaje sobie sprawę, że przez cały dzień wstrzymywała oddech. Teraz przysiadła na brzegu łóżka i delikatnie odgarnia chłopcu włosy z czoła, szepcząc coś przy tym cichutko. Dziecko porusza się przez sen, ale nie otwiera oczu. Isabella jest absurdalnie szczęśliwa.

Nagle słyszy głośne stuknięcie na parterze – czyżby ktoś zatrzasnął drzwi? – i przypomina sobie o Katarinie. Matka na pewno chciałaby wiedzieć, że Xavier czuje się już lepiej. Isabella postanawia zejść na dół, żeby sprawdzić, czy jest tam Katarina albo kucharka, która będzie wiedziała, gdzie można znaleźć ich pracodawczynię. Jeśli nie spotka żadnej z kobiet, zachowa dobre wieści dla siebie i będzie mogła czuć się wyjątkowa, bo tylko ona je zna.

Bierze lampę i schodzi po tylnych schodach. Trawa jest mokra od deszczu, a powietrze chłodne. Ostry wiatr szarpie gałęziami wysokich eukaliptusów, które szumią niemal równie głośno jak wzburzony ocean. Isabella wchodzi do pralni, zatrzymuje się, nasłuchuje... I nic... zupełnie nic...

Nagle coś słyszy. To głos kobiety. Niski, przeciągły. Dostaje gęziej skórki. Do kogo należy ten głos, do kucharki czy do Katariny? Brzmi jak krzyk bólu.

Isabella idzie dalej przez ciemne pomieszczenia pod domem i nagle zdaje sobie sprawę, że dźwięki dochodzą z zakazanego pokoju; w tym samym momencie uświadamia też sobie, że to nie był krzyk bólu, tylko krzyk rozkoszy.

Niedopałki cygar pod oknem. Ernest daleko, w Brisbane.

Wszystkie elementy układanki zaczynają do siebie pasować. Isabella wie, że powinna obrócić się na pięcie, wrócić na górę do pokoju dziecięcego i zapomnieć o swoich domysłach. Tak postępuje służba. Ale przecież Isabella nie jest służącą. Jest kobietą, tak jak Katarina, i od dawna podejrzewa, że pani Fullbright nie nadaje się na matkę. A może raczej MA NADZIEJĘ, że nie nadaje się na matkę, bo to usprawiedliwiłoby jej fantazje.

Szybko kładzie palce na klamce. Drzwi oczywiście są zamknięte, ale ona wciąż ma klucz w kieszeni fartucha. Słyszy szorstki męski głos. Musi się dowiedzieć, do kogo on należy, ile tam jeszcze jest osób, jakie ohydne rzeczy dzieją się w pokoju. Musi się tego dowiedzieć jak najszybciej, żeby móc zadbać o bezpieczeństwo Xaviera. Nie zależy jej teraz na dyskrecji; jej serce wali zbyt mocno i zagłusza głos rozsądku, który powtarza: „Nie idź tam, nic dobrego z tego nie wyniknie”.

Drzwi się uchylają. W pokoju panuje półmrok, ale od razu widać, że jest tam tylko jeden mężczyzna i nie dzieje się nic bardziej ohydniejszego niż stara jak świat zdrada małżeńska.

Katarina wrzeszczy przeraźliwie. Abel Barrett przykrywa głowę kołdrą, ale jest już za późno.

Isabella staje jak wryta. Ogarnia ją lodowate zimno, płynące od stóp przez kolana, uda, coraz wyżej, aż do serca, ramion i głowy. Katarina wydziera się w kółko:

– Wynocha!

Isabella właśnie straciła wszystko. Straciła Xaviera. Nie będzie już mogła wrócić do cichego pokoju dziecięcego, położyć się na boku i marzyć o wspólnej wyprawie do Nowego Jorku. Jej marzenia rozwiewają się w okamgnieniu. Katarina owinięta podniesioną z ziemi suknią popycha Isabellę, krzycząc, by ta spakowała swoje rzeczy i poszła precz.

Isabella nadal stoi jak wmurowana. To nie może się dziać naprawdę. Rzeczywistość wiruje wokół niej.

Nagle podchodzi Abel, który jakimś cudem zdążył się ubrać, kiedy Isabella nie zwracała na niego uwagi. Chwyta ją za ramię i wyprowadza do ogrodu.

– Masz pięć minut, żeby się spakować i wyjść – oświadcza. – W przeciwnym razie wezwę posterunkowego, który jest moim dobrym znajomym.

Instykt samozachowawczy działa pobudzająco. Isabella wbiega po schodach do pokoju dziecięcego. Robi przy tym tyle hałasu, że budzi Xaviera. Chwyta go w objęcia i szlocha:

– Muszę stąd iść. Znajdę cię. Nie smuć się. Na pewno wszystko będzie znowu dobrze. Oboje wciąż żyjemy.

Zdaje sobie sprawę, że mówi bez ładu i składu, więc milknie.

Katarina, teraz już ubrana, staje w drzwiach.

– Wynocha! Zabieraj łapy od mojego syna! Wynoś się i nigdy tu nie wracaj!

Podbiega i zaczyna szarpać i bić Isabellę, wkładając w ciosy cały swój strach i gniew.

Xavier wychodzi z łóżeczka i próbuje złapać Isabellę, ale wtedy wkracza Abel, który bierze dziecko pod pachę i zabrania mu się ruszać. Xavier zaczyna krzyczeć. Ten dźwięk rozdziera serce Isabelli. Wypełnia ją wściekłość. Gdyby tylko mogła, zabiłaby tych dwoje, zabrała dziecko i...

Dosyć, wystarczy. Lepiej będzie dla Daniela, jeśli ona po prostu wyjdzie... Nie, nie dla Daniela. Lepiej będzie dla Xaviera, jeśli Isabella wyjdzie szybko i spokojnie. Na pewno zdoła kiedyś sprawić, żeby wszystko znów było dobrze. Na pewno. „Boże, błagam, przecież to nie może być koniec. To nie może być koniec”.

– Przepraszam – mówi Isabella do Xaviera, Katariny, Abła, ale przede wszystkim do samej siebie. Tak bardzo, bardzo żałuje, że postąpiła nierozsądnie.

– Mary! Mary! – krzyczy Xavier. Katarina patrzy na niego w osłupieniu, zaskoczona dźwiękiem jego głosu. Isabella wychodzi najszybciej jak może, ścigana przez głos dziecka jeszcze na schodach i na zewnątrz, wśród wieczornych cieni.

– Mary! Mary!

Szum wiatru i oceanu zniekształca ten dźwięk. Isabelli wydaje się, że słyszy: „Mama! Mama!”.

A jednak musi odejść. Nie ma wyboru, musi odejść. Nie może zrobić nic innego. Nic. Xaviera już nie ma. To koniec. Trzęsą się pod nią kolana.

Rusza w stronę latarni morskiej.

Ma wrażenie, że od latarni dzieli ją olbrzymia odległość, choć to zaledwie półtora kilometra. Zaczyna się ulewa. Chmury zasnuwają niebo. Wszędzie wokół słycać wycie wiatru, wycie oceanu, wycie jej własnego rozszłochanego serca. A ponad wszystkim lśni światło zapalone przez Matthew, wyraźne i jasne, płynące daleko w morze. Isabella potyka się na ścieżce. Kompletnie przemoczona, z ubłoconymi butami i twarzą gorącą od łez wali w drzwi latarni.

A potem czeka.

Słyszy kroki mężczyzny na schodach. Drzwi się otwierają, staje w nich Matthew, a ona pada w jego objęcia. Matthew waha się przez chwilę, więc ona tłumaczy:

– Straciłam go.

I wtedy ramiona mężczyzny obejmują ją mocno, jego dłonie gładzą jej włosy, a on sam całuje czubek jej głowy.

– Moja słodka ptaszyno – mruczy.

Nieznane dotąd pożądanie rozpala ciało Isabelli. Matthew sięga ręką za jej plecami, żeby zamknąć drzwi, osłonić ich od wiatru i deszczu. Jej ubranie ocieka wodą, więc Isabella zaczyna rozpinać guziki mankietów i rozwiązywać sznurowanie pod szyją. Dłonie mężczyzny w tym samym tempie pomagają jej zrzucić mokrą odzież. Już po chwili ubrania leżą na podłodze w kałuży wody, a ciepłe palce Matthew gładzą zimne obojczyki Isabelli. Jej ciało pokrywa gęsia skórka, brodawki piersi twardnieją i sterczą. Mężczyzna wyciąga ręce i podnosi ją, jakby nic nie ważyła, a potem zabiera do sypialni i ostrożnie kładzie na łóżku. Isabella czuje ten znajomy, oszałamiający zapach – woń mężczyzny oraz mydła – i zamyka oczy. Jego usta muskają jej szyję. Ciało kobiety napina się niczym łuk. Łzy ciągle płyną jej z oczu, skapują ciężko na poduszkę. Matthew całuje jej twarz, zlizuje słone krople z policzków. Isabella wyczuwa pożądanie w jego gorącym, naprężonym ciele. Kiedy otwiera oczy, widzi w świetle świecy, że Matthew jest już nagi. Wyciąga do niego ramiona. Jej serce, jego serce, idealna harmonia.

Znacznie później Matthew mówi w ciemnościach:

– Znajdę twoją siostrę. Nie możesz tu ze mną zostać. Musisz do niej popłynąć.

– Nie mam pieniędzy. Straciłam wszystko, co miało jakąś wartość.

– Zachowałem buławę.

Isabella siada i patrzy na niego. Jego oczy wydają się czarne.

– Gniewasz się? – pyta on.

– Nie – odpowiada ona. – Mam już dosyć właściwego postępowania. Jeśli to konieczne, czemu nie miałabym wziąć czegoś, co do mnie nie należy?

Mówiąc to, nie myśli tylko o buławie. Myśli też o Xavierze.

1. Costa Daurada, Costa Dorada – Złote Wybrzeże, region turystyczny w Katalonii (Hiszpania). [\[wróć\]](#)

Kiedy po podwieczorku rozszedł się tłum klientów, zaczęło mżyć, więc Juliet zawahała się przed wyjściem z domu. Ale zachęciły ją do tego jasnoszare chmury i perspektywa pustej plaży podczas deszczu. Juliet nie znosiła, kiedy szła tam pomyśleć, a ciągle wpadały na nią psy lub dzieci.

Poleciła Cheryl i Melody, by pozmywały naczynia, a potem zamknęły herbaciarnię. Rzadko tak robiła. Ostatnio raz do roku. Na samym początku, w pierwszych latach, zdarzało się to co tydzień, a odkąd zaczęła tu pracować – raz w miesiącu. Żałoba nie może jednak trwać wiecznie i teraz Juliet przychodzi na brzeg morza tylko dlatego, że głupio by jej było zignorować rocznicę.

Dwudziestą rocznicę śmierci Andy'ego.

Znalazła miejsce, gdzie zawsze siadała, na porośniętej trawą części wydm, z widokiem na miękką białą plażę. Rozłożyła parasol i usiadła po turecku. Wzięła głęboki wdech, potem zamknęła oczy. Od strony oceanu zerwała się bryza niosąca woń deszczu i soli. Rozwiała włosy, zasłaniając twarz Juliet, która ostrożnie odgarnęła do tyłu niesforne pasma.

Gdyby siedziała w tym miejscu dwadzieścia lat wcześniej, zobaczyłaby wszystko na własne oczy. Widziałaby światła reflektorów padające na piasek od strony parku. Usłyszałaby wycie syren. Zobaczyłaby samą siebie na plaży, krążącą nerwowo w kółko i zapłakaną, podczas gdy przyjaciele próbowali ją przytrzymać. Teraz szybko podniosła powieki. Nie ma sensu rozpaczać nad tragedią sprzed lat.

Przez długi czas przychodziła tu, by porozmawiać z Andym, jak gdyby w chwili śmierci jego duch przeniknął do piasku i fal. Juliet nie miała jasno sprecyzowanych poglądów na temat tajemnic życia i śmierci, ale już dawno przestała wierzyć, że Andy został z nią na zawsze. Dziś jednak czuła, że chciałaby z nim pogadać, ponieważ on też znał Libby. Wiedział, co się stało. Był jedną z niewielu osób, które mogły udzielić dobrej rady.

Jak miała postąpić? Ten krótki okres, który upłynął od niespodziewanego powrotu siostry, był niezwykle burzliwy. W nieliczne dobre dni Juliet udawało się w ogóle o Libby nie myśleć, tak była już przyzwyczajona do jej nieobecności. Czasami przypominała sobie jednak, że siostra jest w mieście, że mieszka niedaleko, i wtedy wstrząsało nią poczucie winy, które nakazywało zażegnać konflikt. Rodzina, pokrewieństwo i tak dalej. Czasami wpadała w panikę, czasami czuła gniew, a czasem niewytłumaczalne przerażenie. Przyjazd Libby skomplikował jej życie w najwyższym stopniu. Musiała się zmierzyć z problemem, który kompletnie ją przerastał. Oczywiście wcześniej też nie było jej łatwo, ale przynajmniej wszystko dało się przewidzieć. Czas upłynął tak szybko:

dwadzieścia lat od śmierci Andy'ego. Okrągłe dwadzieścia lat wypełnionych śniadaniami, porannymi herbatkami, podwieczorkami, zmienianiem pościeli i słaniem łóżek. Nie wychylała się, po prostu żyła. I nagle wróciła Libby.

Juliet liczyła w duchu, że siostra wyjedzie równie szybko, jak przyjechała. Libby nigdy nie brakowało pewności siebie, w młodości sprawiała nawet wrażenie zarozumiałej. Nikogo nie zaskoczyłoby, gdyby – ponownie – uznała, że Lighthouse Bay jest dla niej za ciasne, i wyruszyła w jakieś egzotyczne miejsce, które przypadłoby jej do gustu. Skoro Paryż stracił już swój urok, to może Londyn albo Nowy Jork. Gdyby Libby zniknęła, Juliet mogłaby wrócić do dawnej, spokojnej egzystencji.

Czuła jednak instynktownie, że ten spokój powoli ją wykańcza. Czasem budziła się w środku nocy, czując w piersi lodowaty strach. Nigdy nie żyła naprawdę. Zwykle udawało jej się wyśmiać własne obawy i przewyciężyć ten lęk, ale od powrotu Libby towarzyszył jej bez przerwy. Ponieważ taka właśnie była prawda: Juliet nigdy nie żyła naprawdę. Straciła Andy'ego i postanowiła ślizgać się tylko po powierzchni życia.

Opuściła głowę, oparła czoło na kolanach.

– Andy, Libby wróciła – wyszeptwała niedosłyszalnie wśród huku fal. – Myślisz, że mogę jej wybaczyć?

Andy nie odpowiedział, ale wcale nie musiał. Był rozważnym mężczyzną, ponad wiek dojrzałym. Juliet wiedziała, że powiedziałaby coś w stylu: „Po prostu spędź z nią trochę czasu, nie przyspieszaj niczego i nie oczekuj cudu”. Może dodałby jeszcze: „Naprawdę powinnaś się już z tego otrząsnąć”.

– Cześć, Juliet!

Podniosła głowę i otworzyła oczy. Poniżej, na plaży, w szortach i białym T-shircie, stał Scott Lacey. Zaczął się wspinać w jej stronę.

– Witam, panie władzo – powiedziała z uśmiechem Juliet.

Scott się skrzywił.

– Nie mów tak do mnie, bo zapytam, czy czekasz tu na swojego romea. – Był to standardowy żart Scotta, zwykle rzucony pogodnie, nie licząc kilku nerwowych tygodni po tym, jak Juliet odrzuciła jego zaloty. – Czułem, że cię tutaj znajdę. Dziś dwudziesta rocznica, prawda?

– Zgadza się. Dwudziesta rocznica.

– A twoja siostra jest akurat w miasteczku. – Scott uniósł rudawe brwi. – To chyba boli.

– Nie sądzę, żeby pamiętała. Myślę, że lepiej niż ja poradziła sobie z przeszłością.

– No tak, a ty i ja jesteśmy tu jak para starszaków. Strzeżemy miejscowej tradycji. – Scott spojrzał na ocean i dodał z żalem w głosie: – Andy był świetnym facetem. – Potem znów zwrócił się do Juliet. – Wiesz, twoja siostra zrobiła się nerwowa. Zadzwoiła do mnie któreś nocy i poskarżyła

się, że pod jej domem ktoś się kręci, że słyhać samochód i takie tam.

Juliet z zaskoczeniem odnotowała własną troskę.

– Naprawdę? Nic mi nie mówiła. Ale może z tego powodu chciała wiedzieć, czy ktoś korzysta jeszcze ze starej latarni.

– Kilka razy byłem w okolicy, lecz nikogo nie widziałem. Jak sądzisz, czy twoja siostra będzie mi na tyle wdzięczna, że da się zaprosić na randkę? – Przy tych słowach Scott puścił do Juliet oko.

Juliet już nie próbowała dociec, czy żartuje, czy mówi poważnie. Do tej pory był żonaty trzy razy i nie brakowało mu damskiego towarzystwa, więc pewnie raczej żartował. Mogła sobie tylko wyobrazić, co Libby pomyślałaby o kimś, kto spędził całe życie w jednym miejscu, jak Scott. I jak Juliet.

A może nie miała racji? Może przypisywała nowej Libby cechy dawnej Libby? Jej siostra wciąż roztaczała wokół siebie aurę spełnionych ambicji, choć kiedy przyszła na kolację, wydawała się naturalna, wręcz urocza.

– Jak myślisz, zgodziłaby się? – ciągnął Scott. Deszcz lał coraz mocniej, ale on chyba tego nie zauważył.

– Pojęcia nie mam – odparła Juliet. – Stałyśmy się sobie obce.

– Powinnaś coś z tym zrobić – zauważył.

– Tak, może faktycznie powinnam.

W poniedziałek z samego rana Libby zadzwoniła do Ashley-Harris Holdings, przedstawiła się i spytała, czy mogłaby rozmawiać z Tristanem. Chwilę później usłyszała w słuchawce męski głos.

– Tristan?

– Nie, Elizabeth. Tu Yann Fraser. Jestem odpowiedzialny za tę część projektu.

– Rozumiem, ale chciałabym porozmawiać właśnie z Tristanem. – Między nią a tym mężczyzną wytworzyła się jakaś więź. Libby czuła to i wiedziała, że on czuje podobnie. Nie będzie rozmawiać z nikim obcym. Zamierzała zadać pytania komuś, komu ufała.

– W tym tygodniu Tristan jest w Sydney, ale ja chętnie służę pomocą.

Libby zaczęła krążyć nerwowo po pokoju.

– Nie, w takim razie sama sobie poradzę – powiedziała. – Żegnam.

Odłożyła słuchawkę. Czyżby Tristan był tylko wygadany czarusem, którego przysłano, żeby ją zmiękczył? W tej chwili nie miała ochoty na robienie interesów z jego firmą.

Pozostawała jednak kwestia pieniędzy.

Libby już miała wrócić do pracowni, kiedy nagle zadzwonił telefon, który wciąż ścisnęła w dłoni.

– Halo? – rzuciła, trochę za późno zdając sobie sprawę, że w jej głosie pobrzmiwa

zniecierpliwienie.

– Libby? Tu Tristan Catherwood.

Natychmiast odtajała.

– Tristan! Tak się cieszę, że dzwonicz.

– Yann właśnie przysłał mi esemesa z wiadomością, że mnie szukasz. Przez kilka dni będę w Sydney. Posłuchaj, muszę ci coś wytłumaczyć, a to dość niezręczna sytuacja, więc proszę, potraktuj mnie życzliwie.

Libby zmarszczyła brwi i powoli powiedziała:

– Tak? Słucham.

– Otóż przekazałem twoją sprawę Yannowi. Ma identyczne stanowisko i więcej kwalifikacji do prowadzenia spraw związanych z umowami dotyczącymi nieruchomości. Jest jednak jeszcze jeden powód, dla którego to zrobiłem.

Po tych słowach Tristan zamilkł.

– No, śmiało – zachęciła go Libby.

– Moim zdaniem nie należy mieszać interesów i przyjemności – rzekł miękko mężczyzna.

– To znaczy? – spytała Libby, choć czuła, że chyba wie, o co mu chodzi. Na samą myśl o tym oblał ją gorący rumieniec.

– To znaczy – wyjaśnił Tristan – że bardzo mi się podobasz. Nie miałem ochoty się z tobą żegnać po tym pierwszym spotkaniu. A nie będę mógł zaprosić cię na kolację, jeśli będziemy negocjowali warunki sprzedaży.

Teraz to Libby zamilkła. Od śmierci Marka upłynęły raptem dwa miesiące. Zdecydowanie nie była jeszcze gotowa na randki.

– Libby? – odezwał się Tristan z nerwowym śmiechem. – Właśnie zaprosiłem cię na kolację.

– Przepraszam – wykrztusiła. – Ja... Ten przyjaciel, który umarł... On był...

– Ach, rozumiem. Był twoim partnerem?

Nie. Nigdy nie był jej partnerem. Nigdy nie był jej mężem. Był kochankiem. Spędzali razem jeden weekend w miesiącu i czasami ukradkiem wyjeżdżali razem w jakieś egzotyczne miejsce, gdzie nikt ich nie znał. Nigdy nie wychodzili na kolację z przyjaciółmi czy rodziną. Nigdy nie poznała jego matki. Kochała Marka, ale on nie był jej partnerem. Wzięła głęboki, nerwowy wdech.

– Chętnie wybiorę się z tobą na kolację, Tristanie – oświadczyła.

– Serio? To znaczy, zrozumiam, jeśli to dla ciebie zbyt wcześnie.

– Chętnie się wybiorę – powtórzyła. – Kiedy wracasz z Sydney?

– W piątek rano. Może przyjadę po ciebie o osiemnastej?

– Wspaniale.

Zaczęła żałować tej decyzji już w momencie odkładania słuchawki, ale było za późno. Przyszłość nadchodziła wielkimi krokami. Musiało tak być.

Libby wyleciało z głowy, że zaprosiła Damiena na kolację, i przypomniała sobie o tym dopiero pół godziny przed jego przyjściem. Przeszukała spiżarnię oraz lodówkę i z ulgą znalazła składniki na pizzę. Potem zabrała się do sprzątania domu, ze szczególnym uwzględnieniem biurka, przy którym od dwudziestu czterech godzin gorączkowo pracowała nad katalogiem, próbując zająć czymś myśli. Jej ostatnia zła decyzja miała dwudziestoletnie konsekwencje. Któż mógł wiedzieć, przez ile dekad przyjdzie jej się mierzyć z efektami obecnej? Mogła przyjąć pieniądze, a potem żałować, lub zrezygnować z pieniędzy i też potem żałować.

Była właśnie w łazience, gdzie czesała włosy, kiedy Damien zastukał do drzwi. Otworzyła je i zobaczyła swojego gościa stojącego na progu ze skrzynką na narzędzia i kotem.

– To Szefowa – wyjaśnił Damien. – Mam nadzieję, że ci nie przeszkadza?

– Nie przeszkadza mi, ale nie bardzo rozumiem... – odparła Libby, podczas gdy smukły rudy kot prześlizgnął się koło jej kostek.

– Nie chcę zostawiać jej samej w latarni. Za dużo tam zakamarków, w których mogłaby utknąć albo się zgubić.

Libby pochyliła się, żeby podrapać kotkę pod brodą.

– Śliczna jest. Nowy nabytek?

– Nie, mam ją od lat. To skomplikowane i nie chcę o tym rozmawiać. Powiem tylko, że w tym tygodniu udało mi się odzyskać kotkę, furgonetkę i – tu podniósł skrzynkę – narzędzia. Wspominałaś, że masz problemy z drzwiczkami szafek.

– Potrafisz to naprawić?

– Ano. Jestem stolarzem. W ten sposób przynajmniej odwdzięczę ci się za kolację.

– Aha, a ja myślałam... – Libby przerwała, zdając sobie sprawę, że mogłaby go urazić słowami: „Myślałam, że jesteś bezrobotny”. Powiedziała więc tylko: – Nie wiedziałam.

Damien już stał w korytarzu. Sprawdzał drzwiczki szafek. Libby przyglądała mu się przez chwilę. Gdzie do tej pory był jego kot? Oraz samochód i narzędzia? Damien musiał po nie w tym tygodniu pojechać, ale co go do tego skłoniło? Umierała z ciekawości, wiedziała jednak, że niczego jej nie powie.

Libby zajęła się gotowaniem, podczas gdy Damien zdjął drzwiczki, oheblował je, a potem ponownie osadził na zawiasach. Zachowywał się bardzo swobodnie w towarzystwie swojej gospodyni, a ona dokładnie tak samo czuła się przy nim. Rozmawiali o przeszłości i wspólnych znajomych. Kiedy pizza znalazła się w piekarniku, usiedli przed domem na niedobranym meblach

ogrodowych. Libby miała ochotę opowiedzieć mu o propozycji Ashley-Harris Holdings i potencjalnym konflikcie między nią a Juliet, ale w końcu uznała, że Damien w niczym jej nie pomoże. Nie miał pieniędzy; nie miał nawet pracy. Wielkie okazje w handlu drogimi nieruchomościami prawdopodobnie go przerastały.

Damien chciał zresztą rozmawiać o czymś innym.

– Ciągle przeglądam te zapiski z 1901 roku – rzekł, wyciągając dziennik latarnika ze skrzynki na narzędzia. – Na kilku ostatnich stronach znalazłem coś ciekawego.

– Co takiego? – spytała Libby, pochylając się do przodu.

– Najpierw myślałem, że to nic ważnego. Wpadło mi w oko kilka zdań typu: „Przyniosłem do domu świeże jabłka dla I.”. Albo: „Dziś I. w kiepskim humorze”. Doszedłem do wniosku, że „I.” to inicjał czyjegoś imienia – wyjaśnił Damien, szukając stosownego wpisu.

– Aha, czyli chodzi o jakiegoś Isaaca, Ivana albo kogoś w tym stylu?

– Nie, chodzi o kobietę. Jest tu jeden taki wpis. O, mam: „I. zdenerwowana. Nie wiem, co jej dolega”.

– Był żonaty?

– Jeśli wierzyć dokumentom, nie. Sprawdziłem jego dziennik od samego początku, czyli od 1895 roku, i nie znalazłem ani jednej wzmianki o innej osobie czy o tajemniczej I. Aż do fragmentu, który ci przeczytałem. O nieznanym kobiecie.

– Czy pisze o niej do końca swojego dziennika?

– Nie wiem. Nie odszukałem jeszcze wszystkich jego dzienników. Ten urywa się w lipcu 1901 roku.

Libby zastanowiła się nad tym przez chwilę.

– Przybycie jakiejś obcej kobiety – którą zresztą, jak pamiętasz, wysłał do miasteczka w poszukiwaniu pracy – nie oznacza jeszcze, że to właśnie o niej zaczął potem pisać w dzienniku, nie uważasz?

– Masz rację. Wszystko, o czym tu mówimy, to tylko przypuszczenia. Ale fajnie jest tak pospekulować, co nie? Facet przyjmuje pod swój dach kobietę ocaloną z zatopionego statku, zakochują się w sobie. Nieważne, czy tak było, czy nie. To i tak już historia.

Libby myśli o jego słowach. To prawda, w końcu każdy fakt, każda sprawa stają się historią. Na przykład jej romans z Markiem. Czas niszczy wszystko. Czy to dlatego Mark zawsze namawiał ją, żeby chwyciła każdą chwilę? Libby próbuje się cieszyć obecną. Leciutka bryza, szum fal. Szczęście na wyciągnięcie ręki. A jednak jej serce wciąż przepełnia bolesny smutek. Gdyby mogła, zamieniłaby Damiena na Marka. Tak byłoby dobrze. Mogłaby siedzieć tu z Markiem i wspólnie rozkoszować się bryzą oraz szumem oceanu, ale w przeszłości była zbyt uparta, a teraz już za późno. Straciła okazję.

Oznaczało to jednak, że decyzja dotycząca sprzedaży domku również stanie się kiedyś historią.

Czyli jej działania nie miały większego znaczenia? Libby zmarszczyła brwi, próbując przekonać samą siebie, że już teraz go nie mają.

– Wszystko w porządku? – spytał Damien.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Jasne, jasne, wszystko w porządku. Myślisz, że mogłabym pożyczyć od ciebie ten dziennik?

Chciałabym go poczytać.

– Nie ma sprawy. – Damien położył zeszyt na stole. – Sprawdzimy, jak tam pizza?

Damien wolał zjeść kolację w domu, na kanapie. Powiedział, że dawno już nie siedział na kanapie. Libby uznała, że to zabawne i zagadkowe. Żadne z nich nie próbowało jednak ciągnąć drugiego za język. Dużo przyjemniej było jeść pizzę, rozmawiać o ludziach z okolicy i układać zawiłą historię tajemnicy latarni morskiej.

– Jeśli chcesz, wpadnę tu w ciągu tygodnia i sprawdzę resztę szafek. Potrzebujesz jeszcze jakiejś pomocy?

– To nie byłoby w porządku. Nie mogę ci teraz zapłacić...

– Mam swoje powody.

Serce Libby zatrzepotało. Damien nie zamierzał jej chyba podrywać? Nie był w jej typie, był też znacznie młodszy. Zaraz jednak wszystko stało się jasne.

– Czy mógłbym zostawić u ciebie Szefową?

– Oczywiście – odparła Libby, zachwycona tym pomysłem.

– A jeśli od czasu do czasu znowu mi coś ugotujesz, mogę dla ciebie wykonywać różne prace. Mam... pewne problemy z dostępem do konta bankowego. Nie mogę nawet odzyskać dokumentów, dzięki którym łatwiej byłoby mi znaleźć pracę. Muszę pracować za gotówkę albo wymieniać się przysługami. Gdybyś słyszała o czymś takim...

– Damien, dlaczego...?

– To jeszcze zbyt świeże. Nie potrafię o tym mówić.

Libby pokiwała głową.

– Powinieneś pogadać z Juliet. Mówiła mi, że musi znaleźć kogoś, kto przeprowadzi remont kuchni w herbaciarni.

– Naprawdę? No to się do niej zgłoszę. Mogłabyś ją uprzedzić, że wpadnę?

Libby nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie zamierzała rozmawiać z Juliet, dopóki nie podejmie decyzji. Gdyby wyznała Damienowi, że rozważa możliwość zerwania wszelkich stosunków z siostrą za dwa i pół miliona dolarów, jej gość byłby oburzony. Wszyscy uważają, że więzi rodzinne to świętość.

– Jasne, uprzedzę ją – obiecała. Niewinne kłamstewko. – Na pewno się ucieszy na twój widok.

Kiedy Damien poszedł już do latarni, a Libby pod prysznic, Szefowa usiadła na łóżku, by poczekać tam na swoją nową opiekunkę.

– Cześć, kiciu – powiedziała Libby, włączając lampę i wchodząc do łóżka z dziennikiem latarnika. Szefowa przeciągnęła się, położyła obok Libby i zamruczała cicho.

Z początku trudno było odcyfrować pismo Matthew Seawarda, ale po jakimś czasie Libby się z nim oswoiła i swobodnie przeglądała wpisy w poszukiwaniu wzmianek na temat „I.”. Damien miał rację – większość z nich znajdowała się na kilku ostatnich stronach zawierających opisy wydarzeń z drugiej połowy czerwca. Treść była przeważnie dość przyziemna. Przewróciwszy kilka kartek, Libby znalazła jednak coś ciekawego. Z kwietnia. „Telegram I. do siostry”. Chodziło o pierwszy telegram czy o telegram od tajemniczej kobiety, której imię zaczynało się na „I”? Zaciekawiona Libby zagłębiła się w lekturze. Tymczasem nadciągnął sztorm, który wprawił dach w drżenie. Lista odebranych telegramów. I pod koniec, na samym dole strony: „Wciąż żadnych wieści od siostry I.”.

Wyglądało na to, że Matthew Seaward bardzo się przejął tajemniczą kobietą i jej siostrą. Nieco dalej Libby przeczytała dłuższy wpis: „I. nadal nie dostała odpowiedzi od siostry. Byłoby dobrze, gdybyśmy jak najszybciej ją znaleźli. I. potrzebuje miłości i wsparcia rodziny”.

Libby przeczytała te słowa kilka razy. Tajemnicza kobieta – być może ocalała ze statku – próbowała odnaleźć siostrę. Szefowa spała, deszcz zaczął słabnąć, a Libby puściła wodze wyobraźni. W najtrudniejszej życiowej sytuacji tamta kobieta potrzebowała miłości i wsparcia swojej siostry. Libby poczuła dotkliwą i niespodziewaną zazdrość. W jej świecie taki związek nie istniał, a już na pewno nie łączył jej z siostrą. Był niemożliwy. Odkąd dorosła, jedyną osobą, która ją kochała i wspierała, był Mark. Mąż innej kobiety.

Szefowa wstała, przeciągnęła się, zeskoczyła z łóżka i wyszła z pokoju, zapewne w poszukiwaniu nocnych przygód. Robiło się późno. Libby odłożyła dziennik i zgasila lampę, lecz długo jeszcze nie mogła zasnąć.

Do piątku pracowała jak szalona. Umówiła się z fotografem, który miał zrobić zdjęcia do katalogu, przygotowała trzy projekty dla Emily oraz szkic do obrazu Aurory. Bardzo chciała zająć czymś myśli.

Mogła się stać bogata. Juliet zniechęciłaby ją na zawsze. Dwa i pół miliona dolarów. Trzydzieści dni do namysłu.

Ta decyzja miała wpływ na każde jej działanie. Podczas pracy nad katalogiem Libby myślała o tym, że nie musiałaby już czekać nerwowo na nowe zamówienia. Przy sztalugach przychodziło jej do głowy, że przez co najmniej rok mogłaby się zajmować wyłącznie malowaniem. Szukając fotografów w internecie, weszła przy okazji na stronę francuskiej agencji nieruchomości, by

pooglądać luksusowe apartamenty w Paryżu. Tęskniła za tym miastem: brakowało jej paryskiego tempa i wyrafinowania. A gdy Juliet zadzwoniła z zaproszeniem na kolację w weekend, musiała odmówić, bo wiedziała, że nie zdoła spojrzeć siostrze w oczy, dopóki nie podejmie decyzji.

Libby podejrzewała, że Juliet niesłusznie boi się planów Ashley-Harris Holdings. Ekologiczne spa nie stanowiłoby żadnej konkurencji dla jej interesu. Nikt nie płaci dziewięciuset dolarów za nocleg w zwykłym pensjonacie. Tu chodziło o zupełnie inną klientelę.

W końcu jednak wszystkie te rozważania zaczynały wyglądać jak misternie utkane wymówki, mające usprawiedliwić jej wybór: pieniądze zamiast rodziny.

Najgorsze były noce. Libby potrafiła zasnąć spokojnie, fantazjując o malowaniu w słonecznym salonie własnego wymarzonego apartamentu w dzielnicy Montparnasse, ale o trzeciej w nocy budziły ją dokuczliwie realne wyrzuty sumienia, pod wpływem których aż do świtu nie mogła już zmrużyć oka. Tymczasem trzydzieści dni stopniało do dwudziestu trzech.

Libby krążyła nerwowo po pokoju w szpilkach i ołówkowej spódnicy, kiedy usłyszała podjeżdżające pod dom audi. Poczekała na odgłos pukania, wzięła głęboki wdech i otworzyła drzwi.

– Cześć – powiedziała.

– Pięknie wyglądasz – stwierdził Tristan. Sam miał na sobie grafitową sportową marynarkę oraz dżinsy i pachniał ekskluzywną wodą po goleniu.

Serce Libby załomotało. Randka. Szła na randkę.

Szefowa wyszła z korytarza i zastygła, patrząc na mężczyznę.

– Co jest, kiciu? – zwróciła się do niej Libby.

Tristan przykucnął, wyciągnął rękę i poruszył palcami, próbując zachęcić kotkę do pieszczot, Szefowa jednak minęła go dumnym krokiem i poszła w stronę kanapy.

– Koty zwykle mnie lubią – zdziwił się Tristan.

– Spokojnie – zaśmiała się Libby. – Nie wyciągnę z tego żadnych wniosków.

Mężczyzna wstał.

– Jesteś gotowa? – zapytał. – Bo chciałbym już jechać. Zabieram cię w wyjątkowe miejsce.

– Pa, kiciu. – Libby zamknęła za sobą drzwi i w ślad za Tristanem podeszła do samochodu. Kiedy zapięła już pasy, mężczyzna włączył silnik, wjechał na drogę biegnącą koło latarni i zatrzymał samochód na zwirowym poboczu.

– Jesteśmy na miejscu.

– Tutaj? – Libby uśmiechnęła się zaintrygowana.

Tristan wysiadł z auta i obszedł je, by otworzyć jej drzwiczki. Potem wyjął z bagażnika dwa składane krzeselka oraz kosz piknikowy.

– Chciałem zrobić na tobie wrażenie i znaleźć miejsce z pysznym jedzeniem, świetną atmosferą i pięknymi widokami. – Po tych słowach postawił kosz na ziemi, rozłożył krzeselka i zamaszystym

gestem wskazał jedno z nich. – Pani hrabina pozwoli.

Libby uśmiechnęła się szeroko.

– Dziękuję, milordzie – powiedziała z arystokratycznym angielskim akcentem, przypominającym nieco akcent Marka. – A jakież to menu przewidziano na tak piękny wieczór jak dzisiejszy?

Tristan podniósł pokrywę kosza i wyjął ze środka ceratowy obrus, którym nakrył tył samochodu. Następnie wyciągnął białą papierową torbę zawierającą rybę z frytkami oraz butelkę szampana i dwa smukłe plastikowe kieliszki.

– To, co najlepsze. Prosto z wioski.

– Smażalnia Lew Morski?

Mężczyzna nalał Libby szampana.

– Owszem. Mają tam najlepszą rybę z frytkami na wybrzeżu.

Stuknęli się kieliszkami.

– Wypijmy za najpiękniejszy widok na świecie – zaproponował.

Libby rozejrzała się dokoła. O zmierzchu ocean był szaroniebieski. Cypel na południu przysłaniała lekka mgiełka. Niebo lśniło łagodnym błękitem i fioletem.

– Być może masz rację – rzekła miękko. Potem zerknęła w stronę latarni. W oknie nie paliła się żadna świeca.

– Gdzie mieszkasz? – zapytała Libby, nagle bardzo zaciekawiona.

– Mam mieszkanie w Noosa i wiejski dom w górach za Sydney. Ostatnio rzadko tam jeżdżę.

– Mamy jakieś sztuczce? – Libby zajrzała do papierowej torby.

– Sztuczce w pobliżu karoserii mojego audi? Mowy nie ma. – Tristan się roześmiał. – Zresztą i tak najlepiej smakuje, kiedy się je palcami.

Oderwała kawałek panierowanej ryby i wsunęła do ust. Boski smak. Mark nigdy nie zabrał jej na taką randkę, nie jedli razem ryby z frytkami prosto z papierowej torby. Na moment, dzięki bąbelkom szampana i nowemu otoczeniu, Libby zapomniała o swoich problemach. Gawędzili o pracy i pogodzie, czasem wspominając o swojej przeszłości lub planach na przyszłość.

Nagle zadzwonił telefon Libby. Wyjęła go z torebki. Na ekranie wyświetliło się imię Juliet.

Wcześniej zignorowała już dwa telefony i głupio jej było robić to po raz trzeci, ale wyłączyła dźwięk i wsunęła aparat z powrotem do torebki.

– Ktoś ważny?

– Moja siostra.

– Aha. Juliet?

– Tak.

– Spoważniałaś.

– Bo muszę podjąć poważną decyzję.

– Wiem. Przepraszam, ale ze mną nie możesz o tym rozmawiać.

– Naprawdę? Nie mogę o tym rozmawiać z nikim innym.

– Libby, przekazałem twoją sprawę Yannowi właśnie z tego powodu. Moje decyzje zawodowe i twoje osobiste powinny być wyraźnie rozdzielone. Wiem, że masz dylemat, ale nie mogę ci pomóc.

– To jest dylemat tylko i wyłącznie dlatego, że Juliet niesłusznie boi się utraty źródła dochodów.

Tristan wykonał gest, jakby zapinał usta na zamek błyskawiczny, i pokręcił głową.

Libby westchnęła, dołączyła sobie szampana i rozsiadła się wygodnie na krzeselku.

– Powiem tylko tyle: masz szczęście, mogąc podjąć taką decyzję – powiedział ciepło Tristan.

– Stoisz przed ogromną finansową szansą i troszczysz się o rodzinne więzi, które wiele dla ciebie znaczą. Niektórzy ludzie nie mają ani jednego, ani drugiego.

Libby chciała zadać mu jeszcze kilka pytań, ale ugryzła się w język. Tristan miał rację. Decyzja należała do niej.

Około dwudziestej drugiej zrobiło się chłodno, a ona nie miała marynarki. Tristan zawiózł ją do domu i odprowadził pod drzwi. Libby nie wiedziała, czy powinna go zaprosić do środka. W obecnym szampańskim nastroju Tristan wydawał jej się zabójczo atrakcyjny, ale rozsądek podpowiadał, żeby poczekała, aż nieco lepiej go pozna.

Mężczyzna zdecydował za nią.

– Muszę już iść. Wczesnie rano mam lot.

– Kolejna delegacja?

– Dwa tygodnie w Perth.

Dwa tygodnie? Libby poczuła rozczarowanie, ale zmusiła się do uśmiechu.

– To brzmi obiecująco.

– Mogę do ciebie zadzwonić?

– Oczywiście. – Kiedy Tristan wróci, zostanie jej już tylko dziewięć dni na podjęcie decyzji.

– Będzie mi bardzo miło.

Delikatnie dotknął prawą dłońią jej policzka i kciukiem pogładził podbródek. Serce Libby waliło tak mocno, że zagłuszyło wszystkie inne dźwięki. Tristan się pochylił i musnął jej usta swoimi. W odpowiedzi Libby przywarła do niego całym ciałem. Poczowała język mężczyzny między wargami.

Przedziwnie było całować się z kimś innym po tylu latach. Uczucie znajome, a jednak odmienne. Libby nie potrafiła zatracić się w tym pocałunku, ponieważ wciąż patrzyła na siebie z boku, obserwując, jak całuje kogoś, kto nie jest Markiem.

I wtedy usłyszeli silnik samochodu.

Libby oderwała się od Tristana. Czyżby wrócili mężczyźni, którzy kręcili się wcześniej wokół jej

domu? Nie. To był radiowóz. Wysiadł z niego Scott Lacey – nieco okrągłszy niż w czasach liceum, ale wciąż rozpoznawalny na pierwszy rzut oka – z dłonią opartą na pasku. Stał przez chwilę, skonsternowany widokiem Libby i Tristana, który wciąż obejmował ją w pasie.

– Scott? – odezwała się Libby.

– To ty, Libby? – Teraz podszedł bliżej i wyciągnął dłoń na powitanie. – W ogóle się nie zmieniłaś.

Libby przedstawiła Tristana, ale on powiedział natychmiast:

– My... no tak... my się znamy.

Przeniosła spojrzenie z Tristana na Scotta i poczuła ucisk w żołądku. Scott był po stronie Juliet.

– Zgodnie z obietnicą przejeżdżam tędy co kilka nocy – wyjaśnił Scott. – Zobaczyłem samochód i pomyślałem... No, nieważne. Nic ci nie jest.

– Nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

– W takim razie nie będę wam już przeszkadzał.

Odprawdzili go wzrokiem. Serce Libby tłukło się głucho, a ona jęknęła i oparła głowę na ramieniu Tristana.

– On powie o wszystkim Juliet.

Tristan przez chwilę wyglądał, jakby chciał to skomentować, ale w końcu zmienił zdanie.

– Przepraszam, że nie mogę ci pomóc – rzekł. – I naprawdę muszę już iść. Zjemy kolację po moim powrocie?

– Z przyjemnością.

Cmoknął ją lekko w policzek i odjechał. Libby weszła do środka, zsunęła szpilki. Zamierzała wziąć prysznic, ale już po chwili leżała zwinięta na kanapie razem z Szefową i zapadała w sen. W głowie kręciło jej się od szampana i wyrzutów sumienia.

Tłumy podczas sobotnich śniadań oznaczały woń smażonego bekonu i świeżo zaparzonej kawy. W soboty Juliet miała urwanie głowy. Zbierała i składała zamówienia, sprzątała puste talerze, witała nowych gości przy stolikach jeszcze przed chwilą zajętych przez stałych klientów. Jej śniadania słynęły w całym miasteczku, więc w soboty potrzebowała czworga pracowników, żeby ze wszystkim zdążyć.

Akurat parzyła kawę, kiedy wszedł Scott Lacey w cywilnych ciuchach. Początkowo niemal nie zwróciła na niego uwagi. Założyła, że Melody znajdzie mu jakiś stolik i przyjmie stałe zamówienie. Po chwili jednak stało się oczywiste, że Scott kręci się przy ekspresie, żeby z nią porozmawiać.

– Jestem potwornie zajęta – ostrzegła go przy akompaniamencie syczenia maszynki do spieniania mleka.

– Mogę poczekać.

– Usiądź sobie. Przyniosę ci coś. Cappuccino i tost z rodzynekami?

– Nie musisz się śpieszyć.

Juliet była zaintrygowana, ale natłok zajęć pozwolił jej zapomnieć o sprawie. W pierwszej wolnej chwili przyniosła Scottowi śniadanie i usiadła przy jego stoliku.

– Dzięki, Juliet – powiedział Scott, wsypując do kawy trzy łyżeczki cukru. Ciepły promień słońca wpadającego przez okna rozświetlił rude włoski na kłykciach mężczyzny.

– Zawsze jesteś tu mile widziany, Scott, ale o co chodzi?

Wzruszył ramionami.

– Zobaczyłem coś, co ci się nie spodoba.

Leciutki, gorący przyptyw adrenaliny.

– Naprawdę?

Scott napił się kawy, która zostawiła cienki brązowy wąsik na jego górnej wardze.

– Wczoraj wieczorem przejeżdżałem koło domu Libby. Robię tak od czasu jej zgłoszenia. Ktoś tam był, więc wysiadłem, żeby to sprawdzić.

– Nic jej nie jest? Ostatnio nie odbiera moich telefonów.

– Chyba wiem dlaczego. Obściskiwała się z Tristanem Catherwoodem.

Juliet poczuła mdłości.

– Obściskiwała się... Co masz na myśli?

– Mam na myśli obściskiwanie się. Pocałunki. Namiętne.

– Skąd ona go w ogóle zna? – Juliet miała wrażenie, że jej głos dochodzi z daleka. Scott na

pewno się pomylił. Przecież to niemożliwe, żeby jej dwie największe zgryzoty – Libby i Ashley-Harris – jakimś cudem się z sobą wiązały. To musi być zły sen. Scott przyglądał jej się przez chwilę ze swojego miejsca za stolikiem. Jego zielone oczy były spokojne i smutne.

– Nie rozumiem tego – powiedziała Juliet cicho, bezradnie.

– Nie rozumiesz? – zapytał. – Ona jest właścicielką nieruchomości. A oni chcą tę nieruchomość kupić.

– Ale dlaczego...?

– Nie wiem, Jules. Najlepiej sama ją zapytaj.

Juliet wstała z wysiłkiem. Fala gniewu zalała jej ramiona i brzuch. Chciała kogoś uderzyć, nawet gdyby miała sobie przy tym pokaleczyć dłonie.

Scott złapał ją delikatnie za nadgarstek.

– Hej, dobrze się czujesz?

– Nie! – warknęła, natychmiast zdając sobie sprawę, że zrobiła to zbyt głośno. Kilku klientów spojrzało ku niej z zaciekawieniem. Juliet wciągnęła całą furię do środka, zwinęła w twardą kulę i schowała pod żebrami. – Nie, nie czuję się dobrze – dokończyła cicho. – Jestem idiotką. Powinnam była wiedzieć, że ona nigdy się nie zmieni.

Plan był prosty: Juliet zamierzała udawać, że nie ma siostry – w ten sposób nie będzie się czuła zraniona. Trzeba przyznać, że już następnego dnia okazało się to niełatwe, kiedy podczas śniadania Cheryl zapytała: „I co, widziałaś się znowu ze swoją siostrą?”. Ale Juliet odkryła, że zdanie: „Czy mogłabyś zanieść ten czajnik do stolika numer sześć?” pozwoliło jej błyskawicznie zamknąć temat. Trudno było jednak również w nocy. Juliet leżała w łóżku, wokół panowała cisza, jeśli nie liczyć szumu oceanu, a w jej głowie wirowały niewesołe myśli.

Udawanie, że nie ma siostry, okazało się najtrudniejsze, kiedy ta sama zjawiała się w porze zamknięcia, ubrana w sprane dżinsy i koronkową bluzkę, z czarnymi włosami związanymi luźno na karku. Juliet zauważyła, że Libby znalazła chwilę, by umalować usta, zanim przyjdzie się wytłumaczyć. Z jakiegoś powodu ten fakt wzmocnił jeszcze zawziętość Juliet, jakby pacykowanie się stanowiło próbę uwolnienia się od wyrzutów sumienia.

Podobnie jak dwadzieścia lat w Paryżu – kolejna ucieczka siostry od poczucia winy. Juliet próbowała zagłuszyć te myśli. Chciała się skupić na teraźniejszości, stawić czoło temu, co ją czeka.

Libby przez chwilę czekała w drzwiach. W końcu się odezwała:

– Powinnyśmy porozmawiać. Po twojej minie poznaję, że widziałaś się już ze Scottem Laceyem.

– Nie mamy o czym rozmawiać. Jesteś dorosła. Podejmujesz decyzje na własny rachunek. – Głos

Juliet zabrzmiał bardzo donośnie w jej własnych uszach.

– Jesteś wściekła, prawda?

– Nie – zaprzeczyła Juliet, energicznie wycierając stół.

– Jesteś, jesteś. Zaraz wywiercisz dziurę w blacie.

Juliet się wyprostowała.

– Dobra, porozmawiajmy. – Podeszła do drzwi i zamknęła je na zasuwę, a potem zgasiła lampy.

W tej chwili jedyne światło dochodziło z kuchni. Juliet nie chciała, żeby jacyś klienci wpadli po późną kawę na wynos, kiedy ona będzie rugała siostrę. Wskazała stolik przy samej kuchni i Libby opadła na krzesło. Juliet wyniosła na zaplecze ostatnią tacę z brudnymi filiżankami i wróciła. Przez moment przyglądała się siostrze w popołudniowym świetle. Libby usiadła do niej bokiem, ale Juliet dostrzegła w jej twarzy skruchę i niepokój. Coś ją męczyło, i to bardzo. Juliet poczuła lęk, ponieważ przyszło jej do głowy, że spotkanie z Tristanem Catherwoodem nie było zwykłą randką.

Jest właścicielką nieruchomości. A oni chcą tę nieruchomość kupić.

Libby zdała sobie sprawę, że siostra ją obserwuje. Obejrzała się i zdobyła na niezbyt szczery uśmiech. Juliet usiadła. W ciszy słychać było tylko mrużenie lodówki, szum zmywarki do naczyń i tykanie zegara. Juliet wiedziała, że jeśli odezwie się jako pierwsza, powie coś wrednego, więc trzymała język za zębami.

– Moim zdaniem powinniśmy usunąć moje imię z wszystkich dokumentów dotyczących pensjonatu i herbaciarni – powiedziała Libby ku zaskoczeniu siostry.

– Dlaczego?

– Ponieważ zakładałaś, że upomnę się o swoją połowę, a ja nie mam takiego zamiaru. Nie chcę ci niczego odbierać – wyjaśniła Libby, z wysiłkiem przełykając ślinę.

Juliet poczuła mrowienie na skórze. To było podejrzane. Czyżby siostra próbowała ją zmiękczyć przed kolejnym ciosem? Libby wprawdzie mówiła wcześniej, że nie chce zapłaty za swoją połowę interesu, ale może zmieniła zdanie? Nie ma pracy, więc pewnie potrzebuje pieniędzy, i to od razu.

– Rozumiem.

– Zróbmy to jak najszybciej, dobrze? Chciałabym mieć to już z głowy. W przeciwnym razie raczej nie uda nam się odbudować tego... – Libby ruchem ręki wskazała dzielącą je przestrzeń.

– I chcesz, żebym cię spłaciła?

– Nie, oczywiście, że nie. – Libby pokręciła głową. – Przecież widzę, że to już nie jest ten sam interes, który zostawił nam tato. Nie wyobrażam sobie, że miałabym korzystać z twoich nakładów czasu i energii. Juliet, chcę, żebyś czuła, że możesz mi zaufać – zakończyła cicho.

Juliet uśmiechnęła się gorzko i hardo.

– Zaufać ci?

– Przyszłam cię uspokoić. Posłuchaj, Tristan nie zajmuje się już projektem rozbudowy Lighthouse Bay. Spotykam się z nim bez żadnego związku z tamtą sprawą.

– Ale wiesz, kim jest, prawda? To człowiek, który od lat walczy, by narzucić nam coś, czego nie chcemy.

– Nieprawda. To zwykły facet. Bardzo miły facet.

Brwi Juliet drgnęły gniewnie.

– Nic mi do tego, z kim się spotykasz ani dokąd chodzisz. Nie potrzebujesz mojej zgody.

– Nie chcę, żeby nasze stosunki były takie napięte. Chciałabym, żebyśmy się dogadywały.

Żebyśmy były rodziną. Dlatego wróciłam.

Juliet przez moment zmagająca się z cisnącymi jej się na usta słowami, wreszcie powiedziała:

– Libby, przez dwadzieścia lat nie byłaś moją rodziną. Rodzina jest blisko. Rodzina dzwoni albo wysyła mejle. Pisze listy zamiast kilku słów na przypadkowo wybranych kartkach świątecznych. Rodzina jest razem w dobrych i złych chwilach. Nie zjawia się bez zapowiedzi i nie oświadcza beztrąsko, że lata walki z wielką, zachłanną firmą, która chce wykończyć miejscowy handel, nie mają żadnego znaczenia! – Juliet zacisnęła pięści, zła, że tak otwarcie wyraziła swój gniew. Teraz kilka głębokich wdechów... Jeden... dwa...

Libby siedziała w milczeniu i patrzyła na siostrę.

– Nie potrafisz mi wybaczyć, prawda?

– Chodzi ci o Tristana Catherwooda?

– Chodzi mi o wszystko. – Libby odwróciła wzrok. – Boże, tyle jest do wybaczenia. Może ja sama też nie potrafię sobie wybaczyć. Pewnie myślisz, że zrujnowałam ci życie.

Juliet otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale prawda była taka, że owszem, czasami miewała takie myśli. Fakt. Gdy się jednak zastanowiła nad słowami Libby, poczuła irytację.

– Moje życie nie jest zrujnowane – oświadczyła zapalczywie. – Jest w porządku, a ja byłam szczęśliwa, dopóki się tu nie zjawiałaś.

– Chciałabyś, żebym znowu zniknęła?

Tak. TAK.

– Decyzja należy do ciebie.

– Staram się... Czy to w ogóle ma sens? Możemy to jakoś naprawić? Czy już zawsze będziesz mnie nienawidzić?

– Nienawidzić cię?

Czy naprawdę nienawidziła siostry?

Libby miała już chyba dość przepraszenia. Odsunęła krzesło.

– Słuchaj, po prostu załatwmy jak najszybciej te zmiany w papierach. Jeśli będziesz chciała porozmawiać, wiesz, gdzie mnie szukać. Podpiszę, co tylko zechcesz.

Juliet odprowadziła ją wzrokiem. Serce waliło jej mocno. Czy pozwoliła właśnie, by gniew

wpłynął na jej ocenę sytuacji? Może Libby faktycznie chciała się zrzec praw do swojej połowy interesu, może jej randka z Tristanem Catherwoodem rzeczywiście była całkowicie niewinna. A jednak Libby stała się dla Juliet kimś obcym, a wcześniej długo pozostawała wrogiem. Juliet po prostu nie była jeszcze gotowa, by zaufać siostrze.

W środę wieczorem, kiedy Juliet kończyła porządkowanie faktur i myślała o czajniku herbaty, odezwał się dzwonek. Normalnie uznałaby, że to któryś z gości zapomniał klucza, ale tej akurat nocy wszystkie pokoje były wolne.

Zaciekawiona wyszła ze swojego mieszkania i zeszła na dół, żeby otworzyć boczną furtkę. Po drugiej stronie, w żółtym świetle latarni, stał wysoki mężczyzna z długimi włosami.

– Cześć, Juliet – odezwał się.

Zdezorientowana Juliet zmarszczyła brwi. Facet wyglądał znajomo, ale nie mogła sobie przypomnieć, kim jest.

– Widzę, że Libby nie uprzedziła cię o mojej wizycie.

– Libby?

Co tym razem knuła jej siostra? Juliet poczuła wzbierającą nieufność.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Przepraszam. Obiecała, że do ciebie zadzwoni. – Wyciągnął rękę. – Damien Allbright.

Na dźwięk tego nazwiska Juliet zrozumiała, czemu jej gość wyglądał tak znajomo. Opiekowała się nim, kiedy był małym chłopcem. Teraz nie przypominał chłopca. Miał muskularne ramiona, lekki zarost i ciepłe, mocne dłonie.

– Ojej, ale wyrosłeś – powiedziała. Potem zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to głupio, i wyzwoliła dłoń z uścisku Damiena. – Jaki to ma związek z Libby?

– Wpadłem na nią przy latarni i... Mogę wejść? Wiem, że to dość niespodziewane, ale sytuacja jest zbyt skomplikowana, żeby omawiać ją na ulicy.

– Oczywiście. Gdzie moje maniery! Wchodź, właśnie miałam zaparzyć herbatę.

Damien usiadł na kanapie. Jego długie nogi zajmowały sporo miejsca w niewielkim mieszkaniu. Juliet przyniosła herbatę i bułeczki, które Damien pochłonął łakomie podczas rozmowy na łatwe tematy, takie jak pogoda i turyści.

– Te bułeczki są obłędne. Nic dziwnego, że twój interes kwitnie.

– Nie powiedziałabym, że kwitnie.

– Libby twierdzi, że tak.

– Naprawdę?

Czy imię siostry kiedykolwiek przestanie budzić w niej irytację?

– Tak. Karmiła mnie ostatnio. Jestem... jestem chwilowo w trudnej sytuacji. Nielegalnie

pomieszkuję w latarni morskiej. – Damien nie potrafił spojrzeć jej w oczy. – Przepraszam.

– Za co mnie przepraszasz?

– Bo twoje zdanie zawsze było dla mnie bardzo ważne. – Uśmiechnął się. – Nawet po dwudziestu latach trudno o tym zapomnieć.

To wyznanie z jakiegoś powodu wywołało uśmiech na twarzy Juliet.

– No dobrze. Po co tu przyszedłeś?

– Jestem stolarzem. A ty potrzebujesz nowych mebli w kuchni. Mam problemy z dostępem do konta bankowego, dokumentów... To bardzo skomplikowane. I dlatego Libby pomyślała, że może byłabyś zainteresowana. Zgodzę się na gotówkę albo zapłatę w towarze.

Początkowo Juliet się zjeżyła. Libby ma niezły tupet, skoro zaproponowała coś takiego Damienowi. Potem jednak nieco zmiękła. Miała cztery puste pokoje, a zbliżała się zima. No i rzeczywiście od lat chciała wymienić meble kuchenne.

Musiała milczeć przez dłuższą chwilę, ponieważ Damien powiedział w końcu:

– Zero nacisku. Mógłbym przyjść, zrobić pomiary, przedstawić ci kilka propozycji i naszkicować plany. Wynieść stąd parę rzeczy... – Urwał, a po jego słowach zapadła cisza.

Juliet wiedziała, że powinna odpowiedzieć, ale miała mętlik w głowie. Czy naprawdę chciała rozpocząć remont kuchni akurat teraz, mając na głowie Libby? A może już zbyt długo odkładała to odnawianie, twierdząc, że jej nie stać, wciąż licząc każdy grosz w obawie przed groźną przyszłością?

No i teraz jeszcze ten Damien. Tak, wciąż pamiętała jego pizamę w pirackie statki i uwielbienie dla bajek o pociągach, więc kiedy wrócił jako mężczyzna (bardzo atrakcyjny mężczyzna, musiała to przyznać), przeżyła szok i teraz czuła się niezręcznie, niepewnie. Czy na pewno chciała, by kręcił się po jej domu, po jej kuchni, kiedy będzie spocona, podminowana i odziana w zaplamiony fartuch?

Tylko że to nie był jakiś przystojny nieznajomy, lecz Damien Allbright, ktoś, kogo pamiętała ze szczęśliwszych czasów. Nagle bardzo jej się spodobał ten pomysł: mieć przy sobie kogoś, kto ją lubił dawno temu, kto ją znał, zanim wydarzyły się te wszystkie złe rzeczy.

– Jasne – powiedziała w końcu. – Tak zrobimy. – A po chwili, pod wpływem wyrzutów sumienia, dodała: – Może umówmy się, że będziesz mógł przez tydzień mieszkać w pensjonacie za darmo, jeśli się odwdzięczysz ciężką pracą. Wymiana usług. A potem zobaczymy.

Damien uśmiechnął się szeroko, ale Juliet dostrzegła w jego oczach rozpaczliwą ulgę i zaczęła się zastanawiać, co też mogło sprawić, że znalazł się w takiej sytuacji. Wyczuła jednak, że za wcześnie na zadawanie pytań. Rzekła więc tylko:

– Jeśli skończyłeś, zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Damien zerwał się, żeby jej pomóc w wynoszeniu talerzyków i czajnika.

– Czy Libby ci opowiadała, że wpadliśmy na trop tajemnicy latarni morskiej? – zapytał.

Juliet uśmiechnęła się spokojnie, żeby ukryć skrępowanie.

– Nie. Mało ostatnio rozmawialiśmy.

Damien przechylił głowę na bok.

– Serio? Przecież tak długo się nie widziałyście.

– Owszem, to prawda. – Juliet pochyliła się i zajęła wkładaniem talerzy do zmywarki. – No chodź, dam ci pokój z boku domu. Musisz usiąść tuż przy oknie, żeby zobaczyć ocean, ale za to będziesz słyszał jego szum, kiedy się położysz spać. Zawsze mam wrażenie, że to najlepsza rzecz na świecie.

Wzięła klucz z szuflady biurka i zaprowadziła Damiena do pokoju numer dwa. Pokazała mu, jak się otwiera drzwi i gdzie jest przycisk alarmowy, a potem wpuściła go do środka. Mężczyzna włączył światło. Pokój numer dwa był najmniejszy, ale Juliet miała do niego słabość, bo właśnie tu zaczęła remont. Wystrój w odcieniach bladego błękitu i piaskowej żółci. Damien padł na łóżko, rozciągając przy tym ręce i nogi.

– Rany – westchnął. – Prawdziwe łóżko. Dzisiaj porządnie się wyśpię.

– Śniadanie podajemy między siódmą a dziewiątą – poinformowała Juliet, nie umiając spojrzeć na leżącego w łóżku mężczyznę. – Złóż zamówienie u Melody. Możesz wziąć jedzenie do pokoju. Rano nie będę miała czasu na rozmowy o wystroju kuchni, więc może wpadniesz do mnie koło szesnastej?

– Oczywiście. – Damien uśmiechnął się teraz na boku. – Juliet, naprawdę bardzo ci dziękuję. Nie potrafię... nie potrafię wyrazić, ile to dla mnie znaczy.

Serce Juliet zatrzepotało. Już wyczekiwała jutrzejszego popołudnia. Bardziej niż powinna. Skinęła głową i wycofała się, zamykając za sobą drzwi. Co z tego, że Damien jest przystojny, miły i trochę tajemniczy? Jest też młodszy od niej o dobre dziesięć lat, więc na pewno nie będzie zainteresowany. Idiotka, po co się tak nakręciła? Jeden głęboki wdech i ruszyła z powrotem do swojego mieszkania.

Wtorek – dzień nurkowania – przywitał świat piękną pogodą. Przez cały poniedziałek Libby liczyła w duchu, że pogoda się popsuje i trzeba będzie odwołać wyprawę. Nie miała na nią ochoty. Była zniechęcona, przerażona, pochłonięta innymi sprawami. Nie czuła się jak ktoś, kto nurkuje do zatopionych wraków. Chciała móc z kimś porozmawiać, z kimś, kto zrozumiałby ją samą i jej sytuację. Kto się do tego nadawał? Romans z Markiem wymusił na niej izolację od innych ludzi. Miała znajomych z pracy, z którymi mogła się wybrać do kina czy na piknik, ale żadnych bliskich przyjaciół, bo skrywała w sercu tajemnicę swojego związku.

Tak czy inaczej, nadszedł wtorek. Dzień nurkowania. Libby musiała to zrobić, bo gdyby Mark żył, nie mogłaby stchórzyć. Inaczej bez końca by się z niej nabijał.

Narzuciła na strój kąpielowy lekką letnią sukienkę, wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę Winterbourne Beach. Wyjeżdżając na drogę, zauważyła, że jej ręce drżą na kierownicy. Czuła ucisk w żołądku. Próbowwała się pocieszyć myślą, że zobaczy statek, który szkicowała i malowała od kilku tygodni. No, raczej fragmenty statku na dnie oceanu, ale mimo to mogła się poczuć tak, jakby dotykała historii. Historii Marka.

Graeme powiedział, że spotkają się przy rampie dla łodzi, i tam właśnie czekał na nią, mrużąc oczy w blasku słońca. Libby oddała mu pożyczone plany statku, a on puścił do niej oko.

– Przydały się?

– Tak, wielkie dzięki – odparła. Potem przypomniała sobie dziennik Matthew Seawarda i zapytała: – Graeme, czy wiesz coś o jakichś kobietach na pokładzie Aurory?

– Statkiem płynęła żona Whiteawaya, Margaret.

– Tylko ona?

– Taka jednostka to nie miejsce dla kobiet – odparł. – O, jest już mój syn, Alan. – Dołączył do nich szczupły dwudziestoparoletni chłopak z rozwichrzoną rudą czupryną. – Ponieważ nigdy wcześniej nie nurkowałeś, będzie twoim partnerem. Ma spore doświadczenie i nie spuści cię z oka.

Żołądek podszedł Libby do gardła.

– Czyli można zejść pod wodę bez żadnego przeszkolenia?

Graeme odwrócił wzrok, co powinno dać Libby sygnał do ucieczki.

– Jasne. To tylko krótka wycieczka. Szkolenie jest drogie i czasochłonne. Pomożemy ci zejść i wrócić bez żadnych problemów.

Libby zmierzyła wzrokiem odwróconego do niej tyłem Alana, który odbywał właśnie burzliwą, choć przyciszoną dyskusję z ojcem, i poczuła narastającą panikę. Chłopak nie wzbudzał jej zaufania.

Libby wolałaby nurkować z rośłym facetem, odważnym, silnym i honorowym. Wolałaby nurkować z Markiem. Ciągle za nim tęskniła.

Kolejna para amatorów nurkowania przyjechała czarnym bmw. Kiedy wszyscy znaleźli się już na pokładzie, Graeme włączył silnik i wypłynął na wody zatoki.

Słońce świeciło jasno, ale łagodnie, ocean pod ich stopami lśnił szmaragdowo. Libby usiadła przy prawej burcie, obserwując kilwater przez niską barierkę. Ludzie z bmw byli najwyraźniej doświadczonymi nurkami, pewnym tonem prowadzili rozmowę z Alanem. Graeme stał w odsłoniętej kabynie, sterując łodzią w stronę rafy. Po dziesięciu minutach wyłączył silnik i łódź zaczęła się kołysać w miejscu postoju.

Graeme przyniósł kombinezony i płetwy. Libby szybko się przebrała. Potem mężczyzna udzielił jej błyskawicznych instrukcji podczas zakładania kamizelki (którą określił jako RW, ratowniczo-wyrównawcza), butli z tlenem i całej masy sterujących rurek, pasa oraz maski, która szczypała skórę wokół policzków. Libby uważnie słuchała jego wyjaśnień, gdy para z bmw wskoczyła do wody, nie czekając na nią. Libby miała zamęt w głowie. To wcale nie było proste. Ani trochę. Za chwilę miała się znaleźć pod wodą. Nie przypominało to rekreacyjnego pływania w basenie ani popołudniowych kąpielii w oceanie. Czekają ją zejście głęboko pod powierzchnię.

– Słuchaj, skarbie, to łatwizna. Oddychaj przez tę rurkę, a jeśli się nie da, przez tę drugą. Alan cały czas będzie przy tobie.

Libby skinęła głową, wciąż niespokojna mimo tych zapewnień. Chwilę później usiadła na burcie, przygotowując się do zanurzenia.

Umiała dobrze pływać. Nie zawsze tak było, ale Mark lubił spędzać wakacje nad morzem, więc ćwiczyła w wąskim basenie w pobliżu swojego paryskiego biura. Mark powiedziałby jej teraz, że jest niemądra i że po prostu ma wskoczyć do wody.

Tylko że Mark nie wiedział o niej wszystkiego.

Libby włożyła regulator do ust, opanowała nerwy i zsunęła się pod powierzchnię.

Alan pokazał, żeby płynęła za nim, ale chwilę zajęło jej przyzwyczajenie się do oddychania przez regulator. Na początku czuła ucisk w klatce piersiowej i niepokój. Wkrótce przywykła do tego i zaczęła się zanurzać coraz głębiej. Światło delikatnie przebijało przez błękit wody, rozmywając wszystkie kontury. Libby dostrzegła już wrak – z trudem dało się w nim rozpoznać kształt statku. Wyglądał zarówno na dzieło ludzkich rąk, jak i na organiczny element otoczenia: starannie wykonany, a teraz całkowicie opanowany przez nieokiełznaną, bujną roślinność. Im głębiej schodzili, tym bardziej blakły żywe kolory. W końcu wszystko przybrało odcień przydymionego błękitu. Zachwycona Libby rozglądała się dokoła. Płaszczki, żółwie wodne i ławice srebrzystych rybek. Czuła się wolna, lekka, pełna życia i niewiarygodnie szczęśliwa, że jest pod wodą. Mark byłby tu w siódmym niebie. Byłby też dumny z Libby, dumny, że przezwyciężyła swój lęk i zanurkowała. Alan

wskazał palcem w dół, w stronę wraku, i dał znak, żeby popłynęła przodem. Libby zeszła więc niżej, w kierunku Aurory.

Z zachwytem oglądała statek, tajemniczy okręt, który szkicowała i malowała od kilku tygodni. Miała wrażenie, że oto przed jej oczami ożyła jakaś mityczna istota. Do tej pory tylko wyobrażała sobie, jak to wygląda, więc widok prawdziwego statku przyprawił ją o dreszcz podniecenia. Okręt leżał na dnie w dwóch częściach, wyraźnie oddzielonych skałami i wodorostami, powyginanych pod niewiarygodnymi kątami. Tylko kawałek głównego masztu wciąż jeszcze stał, wyłaniając się spod pokładu niczym wyszczerbiony ząb. Libby sprawdziła, czy Alan jest w pobliżu, a potem zbliżyła się do masztu, okrążyła go i popłynęła wzdłuż pokładu przez ciepłą, błękitną wodę. Pod nią przemknęła duża płaszczka, która po chwili zniknęła w ciemnościach za burtą. Libby zobaczyła przed sobą właz i przyśpieszyła, by do niego dotrzeć.

Zatrzymała się tuż nad nim i przez minutę przebierała nogami w miejscu, zaglądając do środka. Było tam ciemno, ale miała latarkę przymocowaną do jednego ze sznurków wystających z kamizelki, więc poszukała sprzętu i wyciągnęła go. Światło rozjaśniło wnętrze włazu obrośniętego przez wodorosty i pąkle. Libby zobaczyła schody oraz jakieś szczątki na podłodze. Wydawało jej się, że widzi kawałki potłuczonej zastawy, więc powoli zsunęła się w dół, żeby to sprawdzić.

Wewnątrz było ciasno. Libby momentalnie zapragnęła zawrócić. Ograniczona przestrzeń bardzo utrudniała ruch, ale w końcu manewr się udał. Chwilę później kobieta zauważyła wokół siebie maleńkie bąbelki. Obserwowała je ze zmarszczonym czołem. Czy to normalne? Kiedy wypływała z włazu, ciepły prąd wody porwał ją w bok. Łup. Prawym łokciem uderzyła mocno o krawędź włazu. Instynktownie rozłożyła ręce, by odzyskać równowagę, zbyt późno przypominając sobie, że Graeme ostrzegał ją przed dotykaniem czegokolwiek gołymi dłońmi. Ledwie poczuła, jak ostra krawędź pąkla przecina skórę na jej ręce, ale wyraźnie zobaczyła szarozieloną smugę krwi w wodzie.

Rozejrzała się wokół, szukając wzrokiem Alana, ale go nie dostrzegła. Była sama.

Przycisnęła dłoń do uda, żeby powstrzymać krwawienie, i wydostała się z włazu. Próbowwała odzyskać błogie poczucie wolności, ale teraz była zdezorientowana. Kąt nachylenia statku sprawił, że nie mogła sobie przypomnieć, skąd przyplłynęła. Nigdzie nie widziała Alana ani dwojga pozostałych nurków i nie miała pojęcia, gdzie może się znajdować łódź Graeme'a. Na domiar złego widok przysłaśniał jej welon wirujących przed oczami bąbelków.

Postanowiła płynąć w górę.

I wtedy zabrakło jej powietrza.

W jednej chwili oddychała, a w następnej nie miała już czym oddychać.

Jej serce wypełnił lodowaty lęk. Nie chodziło tylko o obecną sytuację, lecz także o straszne, mroczne wspomnienie, powracające teraz niczym koszmar z dzieciństwa. „Jestem pod wodą i nie

mogę oddychać”.

Libby poczuła skurcz w krtani. Przypomniała sobie, że ma zapasowy regulator, ukryty gdzieś w kamizelce. Zaczęła go szukać, ale ręce odmawiały jej posłuszeństwa. Nie mogła nimi kierować, nie mogła niczego znaleźć, a przed oczami wirowały jej gwiazdy.

Ciężkie ciało.

Ołów w płucach.

Ręce szukające pomocy.

Światelko gasnące w mózgu.

I nagle ktoś wyrwał jej z ust regulator i zastąpił go innym. Libby otworzyła oczy, by zobaczyć Alana, przyciskającego jej do warg swój zapasowy regulator. Oddychała chciwie, podczas gdy Alan pomagał jej wypłynąć na powierzchnię. Poczła ogromną wdzięczność, kiedy przebiła tafłę wody i zaczerpnęła prawdziwego powietrza. Alan krzychał coś do Graeme'a, który wciągnął ją do łodzi niczym wielką rybę, a następnie zerwał maskę z jej twarzy. Oślepią słońcem Libby strząsnęła wodę z powiek.

– Dobrze się czujesz, złotko?

– Chyba tak. Co się stało?

– Alan mówi, że zepsuł ci się regulator.

– Jak to się zepsuł?

– Bez obaw, nic ci się nie stało. Chcesz jechać do szpitala?

– Ja... Nie, nic mi nie jest. – Libby usiadła na pokładzie i z wysiłkiem przełknęła ślinę. – Po prostu wpadłam w panikę. W młodości o mało nie utonęłam. Teraz wszystko mi się przypomniało.

Graeme spojrział w dal spod przymkniętych powiek, zupełnie jakby się bał, że ktoś go obserwuje.

– Jasne, jasne, kapuję. No cóż. Lepiej nie... No, nie musisz mi nic płacić za dzisiaj, okej? Żebyś nie musiała nikomu o tym mówić.

Libby dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, że Graeme boi się jej potencjalnej skargi – przecież mogłaby gdzieś donieść, że wypożyczył jej popsuty sprzęt. No i pozwolił nurkować bez przeszkolenia. Potrząsnęła więc głową.

– Nikomu nic nie powiem. Nie martw się. Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

Graeme krzątał się przy niej jeszcze przez chwilę, a potem wrócili tamci z bmw, więc łódź została skierowana w stronę przystani. Libby znów siedziała wpatrzona w wodę, ale nie czuła już beztroski, która przepęłniała ją w drodze do wraku. W tej chwili wszystko wydawało się zbyt jaskrawe, odsłonięte i ostre. Przytłoczyły ją wspomnienia. Uświadomiła sobie, dlaczego nigdy nie chciała tu wrócić, dlaczego Juliet nie potrafiła jej wybaczyć. Dwadzieścia lat temu zrobiła coś strasznego. Wiedziała już, że nigdy od tego nie ucieknie.

Juliet siedziała przy stoliku w herbaciarni nad stosem faktur, które musiała uporządkować. Było późne popołudnie. Zwykle robiła takie rzeczy na górze, przy własnym biurku, ale dziś Damien wciąż mierzył szafki w kuchni. Nagle Juliet usłyszała pukanie do zamkniętych drzwi frontowych. Podniosła wzrok i zobaczyła starsze małżeństwo, które mieszkało dotąd w pokoju numer jeden.

Wstała i otworzyła drzwi, a starsi państwo oddali jej klucz.

– Życzę bezpiecznego powrotu do domu – powiedziała Juliet.

– Dziękujemy, że mogliśmy się tak późno wymeldować – odparł mężczyzna. – Jesteśmy naprawdę bardzo wdzięczni.

– Nie ma problemu. Już po sezonie, więc nikt nie czekał na ten pokój. – W kuchni rozległ się huk i Juliet zaczęła się zastanawiać, co Damien tam wyprawia.

Starszy pan trącił lekko żonę, która sięgnęła do swojego koszyka i wyjęła stamtąd butelkę czerwonego wina.

– To dla pani – wyjaśnił mężczyzna. – Wspaniale nam się tu mieszkało, a śniadania są fantastyczne.

Juliet się rozpromieniła.

– Ojej, dziękuję bardzo.

Włożyła butelkę pod pachę i uściśnęła dłonie starszych państwa. Ci się pożegnali, a Juliet zamknęła za nimi drzwi, odstawiła butelkę na stolik i poszła do kuchni.

– Wszystko w porządku?

Damien kuczał na podłodze z głową ukrytą w szafce.

– Tak, przepraszam za hałas. Upuściłem jedną z szuflad, ale już osadziłem ją na miejscu. – Wstał i wyprostował nogę. – Niestety szuflada rąbnęła mnie w stopę.

– Uuu! To musiało boleć. Chcesz lodu?

– Nic mi nie będzie.

Juliet przysunęła się, żeby spojrzeć na jego stopę. Widniał na niej czerwony guz.

– Przecież widzę. Potrzebujesz lodu. I porządnych butów do pracy zamiast tych kłapek.

– Mam porządne buty, tylko...

– Wiem, wiem. To skomplikowane. Już kilka razy to mówiłeś.

– Nie próbuję zgrywać tajemniczego. – Damien rozejrzał się dokoła. – Skończyłem pomiary.

Chcesz omówić pomysły?

Juliet się zawahała, a potem z wysiłkiem przełknęła ślinę i zaproponowała odważnie:

– Mam tu butelkę wina. Napijesz się ze mną?

Damien się uśmiechnął.

– Z wielką przyjemnością.

Juliet zrobiła mu okład z torby mrożonego groszku i razem usiedli w przyćmionym świetle zamkniętej herbaciarni, pijąc wino z filiżanek. Juliet otworzyła boczne okna kameralnego wnętrza, żeby słyszeć szum oceanu. Przy pierwszej filiżance omówili pomysły Damiena dotyczące remontu kuchni, przy drugiej Juliet opowiedziała, jak przez piętnaście lat prowadziła ten interes, a przy trzeciej dyskrekcja ustąpiła miejsca ciekawości.

– Lepiej mi powiedz, co jest grane. Czemu nie masz dostępu do konta, butów i całej reszty?

Damien spuścił głowę.

– Miałem wyjątkowo paskudne rozstanie z dziewczyną. – Przez jego twarz przemknął wyraz bólu, starannie po chwili ukrytego. Juliet przypomniła sobie scenkę sprzed lat: mały Damien przerażony koszmarnym snem. W jego dziecięcych snach występowały wymyślne strasydła. Koszmary dorosłych cechowała znacznie banalniejsza treść: złamane serca, brak pieniędzy, problemy rodzinne.

– Mieliśmy wiele wspólnych rzeczy – ciągnął Damien. – A teraz ona odcięła mnie od wszystkiego. Od konta, od naszego domu... Musiałem się włamać do garażu, żeby odzyskać samochód. Przy okazji zgarnąłem też kotkę. Libby się nią opiekuje.

– Bardzo mi przykro.

Damien potrząsnął głową.

– Kurczę, po raz pierwszy komuś o tym powiedziałem. – Roześmiał się. – Nie wiem, czy to przez wino, czy dlatego, że tak długo się znamy. Zwierzam ci się ze swoich uczuć...

Zrobiło się jej ciepło koło serca. A może po prostu była lekko wstawiona.

– Wiesz, nie mówiłem o tym nawet mamie. Ona nigdy nie lubiła Rachel i ostrzegała mnie przed nią. – Wzruszył ramionami. – Przepraszam. To wszystko chyba brzmi żałośnie.

– Wcale nie. Ale nie powinienes pozwolić, żeby ona... żeby Rachel tak cię urządziła. Mógłbyś się skontaktować z prawnikiem.

– Zrobię to. Prędzej czy później. Mam nadzieję, że z czasem będzie coraz łatwiej. Rachel ochłonie i... – Urwał. – No cóż, nie wiadomo, jak będzie. Staram się zachować optymizm, ale to niełatwe, kiedy człowiek sypia na materacu w latarni morskiej. Teraz już wiesz, jak bardzo cenię sobie dach nad głową.

Juliet przyjrzała mu się w świetle lampy. W oddali szumiał ocean. Przez chwilę miała wrażenie, że to, co znane, i to, co nieznanie, przeszłość i terażniejszość, połączyły się z sobą. Znała Damiena, a jednocześnie go nie znała; znała swoją siostrę, a przecież nic o niej nie wiedziała. Czemu to wszystko działo się naraz? Zupełnie jakby dwudziesta rocznica śmierci Andy'ego wydobyła na powierzchnię dawno pogrzebane sprawy.

– No dobrze – odezwał się Damien, zmieniając pozycję i przekładając torbę mrożonego groszku na nodze. Wyglądał na odprężonego, zachowywał się swobodnie. – Coś za coś. Wyznałem ci swoją

mroczną tajemnicę. A jaka jest twoja?

Juliet się uśmiechnęła.

– Nie mam żadnej mrocznej tajemnicy.

– Akurat. Co zaszło między tobą a Libby?

– Nic – odparła odruchowo.

– Dobra, dobra. Stało się coś złego. Masz to wypisane na twarzy. Wzdrygasz się na sam dźwięk jej imienia.

Juliet westchnęła. Libby. Ciągłe Libby.

– Wersja skrócona brzmi tak: nie widziałam jej od dwudziestu lat, a teraz ona wraca i komplikuje mi życie.

– Komplikuje? Właśnie przysłała ci darmowego stolarza. – Damien rozłożył ręce.

Juliet parsknęła śmiechem.

– No cóż, chyba powinnam wysłać jej liścik z podziękowaniami.

– Masz szczęście, że nie jesteś jedynaczką. Ja zawsze marzyłem, żeby mieć siostrę albo brata.

Juliet przypomniała sobie wszystkie te sytuacje, kiedy żałowała, że nie jest jedynaczką.

– To skomplikowane.

– A w ogóle to dlaczego Libby wyjechała stąd dwadzieścia lat temu?

– Lighthouse Bay było dla niej zbyt ciasne.

– Ale czemu nie wpadała z wizytą? Czemu nie utrzymywała z tobą kontaktu?

Wróciły złe emocje. Juliet pożałowała, że tak szybko wypła alkohol. Miała zamęt w głowie.

Damien chyba czytał w jej myślach.

– Juliet... Dobrze się czujesz? – szepnął.

Pokręciła głową.

Mężczyzna przez moment siedział w milczeniu, a po chwili zapytał bardzo cicho:

– Co się stało?

– Andy utonął.

– Tyle wiem już od Libby. Co naprawdę się stało?

Juliet zadrżała i wzięła głęboki wdech. Straszna prawda, niewypowiedana przez tyle lat, miała wreszcie zabrzmieć z pełną mocą. Czy powinna to mówić? Słowa wyrwały się z jej ust i już nie mogła ich odwołać.

– Andy utonął i to była wina Libby.

Damien osłupiał. Przez kilka chwil brakowało mu słów.

– Rozumiem – rzekł w końcu. – Teraz musisz mi powiedzieć wszystko.

No to powiedziała mu. Wszystko.

Juliet i Andy byli sobie pisani i wszyscy o tym wiedzieli. Na lekcji matematyki w dziewiątej klasie Juliet przesunęła się, żeby zrobić miejsce dla nowego ucznia o jasnych włosach i głębokich brązowych oczach. Od tego momentu chłopak nie chciał już siedzieć nigdzie indziej. W ostatniej klasie liceum przypominali stare dobre małżeństwo. Inne związki się rozpadały, Libby – olśniewająca, kokieteryjna i próżna – co tydzień, dwa zaliczała nowego chłopaka, a Juliet i Andy nadal byli parą.

I wcale im się to nie nudziło. Ani trochę. Andy był wyjątkowo inteligentny. Widział wszystko z niecodziennej perspektywy. Juliet uwielbiała z nim rozmawiać, całymi godzinami, o wszystkim: przyrodzie, socjologii, historii, filozofii, gotowaniu, malowaniu, czymkolwiek. Andy zawsze miał coś do powiedzenia. A kiedy Juliet myślała, że nie jest dla niego interesującym towarzystwem, że jest nie dość bystra, by go przy sobie zatrzymać, Andy śmiał się z któregoś z jej żartów, a ona znów stwierdzała, że bardzo do siebie pasują. Wzajemna miłość była dla nich czymś całkowicie naturalnym.

Potem pojawił się lęk przed ciążą. Wystarczył jeden fałszywy alarm, żeby zaczęli myśleć: „Po co czekać?”. Wiedzieli już, że chcą być razem, wiedzieli, że chcą stworzyć rodzinę, robili plany na przyszłość. Tato dał im swoje błogosławieństwo – uwielbiał Andy’ego. Ślub miał się odbyć na plaży. Juliet chciała włożyć jakąś prostą i ładną sukienkę, a potem wieść wspólne życie pełne przygód i codziennych spraw. Byli bratnimi duszami.

To Libby zasugerowała nocną imprezę przedślubną. Juliet nie zgodziła się na wieczór panieński, Andy też nie był zainteresowany bibą w męskim gronie. Dlatego Libby zaprosiła kilkunastoosobowe grono starych szkolnych przyjaciół do klubu surfingowego. Juliet nie chciała mieć kaca na własnym ślubie, a poza tym nigdy nie piła zbyt dużo. Andy również pozostał trzeźwy. Reszta towarzystwa nie wylewała jednak za kołnierz, pili tak, jak potrafią tylko młodzi ludzie.

Najwięcej wypiła Libby. Juliet widziała już wcześniej różne szaleństwa siostry, ale tamten wieczór był naprawdę wyjątkowy. Libby jak zwykle pomalowała usta na jaskrawoczerwony kolor, wysoko upięła ciemne włosy i włożyła obcisłą niebieską sukienkę. Wszyscy mężczyźni w klubie oglądali się za nią, nie chodziło jednak tylko o atrakcyjny wygląd. Libby śmiała się głośno, flirtowała z każdym, poprawiała włosy i rzucała zalotne spojrzenia. Juliet się zastanawiała, czy Libby nie jest zazdrosna, że to ona wychodzi za mąż; przyzwyczyła się przecież do bycia w centrum uwagi. A może tamtej nocy czuła się po prostu szczęśliwa i podekscytowana.

W każdym razie to właśnie Libby zaproponowała wyprawę na plażę i pływanie nago. Wszyscy mruknęli z aprobatą, ale nikt nie traktował tego pomysłu serio. Wybiegli z klubu i zeszli na piasek, śmiejąc się, rozmawiając i chlapiąc wodą. Żadne z nich jednak nie planowało pływania.

Dopóki ktoś nie rzucił Libby wyzwania. Był to jeden z chłopaków, bez wątplenia podniecony

oglądaniem jej wieczornych popisów.

– Ja tego nie zrobię?! – krzyczała Libby. – Kto myśli, że tego nie zrobię?!

Trwało to jakiś czas i w końcu Juliet poczuła zmęczenie. Ścisnęła dłoń Andy’ego i oparła głowę na jego ciepłym ramieniu. Kwietniowa bryza lekko chłodziła jej skórę.

– Czas spać – powiedziała.

– A kiedy się obudzimy, będzie już jutro.

Juliet uniosła ku niemu twarz, a jego ciepłe usta dotknęły jej warg. Nagle rozległ się wrzask. Sto metrów dalej Libby zsuwała z siebie niebieską sukienkę. Pozostali śmiali się i zagrzewali ją okrzykami. Juliet i Andy obserwowali tę scenę z daleka, wycofując się powoli z plaży.

– Odbiło jej – stwierdziła Juliet.

– W tym stanie nie powinna wchodzić do wody – zauważył Andy. – Jest kompletnie pijana.

Juliet poczuła pierwsze ukłucie niepokoju.

Libby brnęła coraz głębiej, odziana wyłącznie w czarny biustonosz i majtki. Potem dała nura pod wodę i wypłynęła z mokrymi włosami i rozmazanym makijażem, śmiejąc się przy tym do rozpuku.

– Chodźcie! – zawołała. – Tu jest super!

I jeszcze raz się zanurzyła.

Czas zwolnił. Juliet poczuła, jak powietrze tężeje w jej płucach.

– Gdzie ona jest? – spytał Andy.

Białe ramię, machające rozpaczliwie daleko od miejsca, w którym Libby się zanurzyła. Okrzyki przerażenia dolatujące od strony wody. Andy – jedyny trzeźwy w towarzystwie i wystarczająco silny, by wyciągnąć Libby – pędzący w stronę fal, ściągający koszulę i wskakujący do wody.

Nigdy z niej nie wyszedł.

Juliet usłyszała ciszę, która zapadła po jej słowach – mogłoby się zdawać, że trwała bez końca – i nie potrafiła spojrzeć Damienowi w oczy. Z niepojętych powodów było jej wstyd. Tego, że tak długo mówiła, że głos jej się łamał, że nawet po dwudziestu latach nie potrafiła wybaczyć i zapomnieć. Tego, że tak mocno kochała. Tego, że wciąż nie przestała kochać. Tego, że zwierzyła się młodemu, atrakcyjnemu mężczyźnie, który zapewne uznał ją za żaloszny przypadek skazany na nieuchronne, gorzkie staropanieństwo. Juliet przygniotła nagle potężna fala obrzydzenia do samej siebie.

Jednak w tym momencie Damien położył swoją dłoń na jej dłoni i mocno ścisnął palce.

– Tak mi przykro. Naprawdę.

Juliet przyglądała się jego ręce, opalonym, silnym palcom. Potem Damien się cofnął i oparł z powrotem na krześle, więc musiała podnieść wzrok i spojrzeć mu w oczy.

– Jakim cudem Libby wydostała się z wody?

– Andy zdołał ją wypchnąć na brzeg, zanim porwał go odpływ.

Damien się zawahał.

– Libby też współczuję – przyznał w końcu. – Tyle lat dźwiga straszny ciężar.

Juliet milczała. Gniew, ból i poczucie winy odebrały jej mowę.

Damien się uśmiechnął i wzniósł toast. Zaintrygowana Juliet powtórzyła jego gest własną filiżanką.

– Za co pijemy?

– Za to, że dane nam było żyć wystarczająco długo, by nasze życie tak się spaprało.

Juliet przełknęła łyżę i się roześmiała.

– No tak, to chyba dobry powód. Przynajmniej wciąż tu jesteśmy, choć wiatr ciągle wieje nam w oczy.

– Wiatr w każdej chwili może zmienić kierunek. Rozwiać chmury. Tak, przynajmniej wciąż tu jesteśmy. – Damien dopił resztę wina. – To jak, Juliet? Mogę zrobić remont twojej kuchni?

– Tak – zgodziła się. – Cieszę się, że tu jesteś.

Libby straciła nadzieję, że kiedyś uda jej się porządnie wyspać. Całymi dniami i nocami pracowała nad katalogiem albo nad obrazem. Przez ten czas jej umysł stale przetrawiał informacje, a ona zbliżała się do podjęcia decyzji.

Juliet nie zamierzała jej wybaczyć. Ich wzajemnych stosunków nie da się już naprawić, więc nie istniał żaden powód, dla którego miałyby zrezygnować z pieniędzy. Sprzedaż ziemi firmie Ashley-Harris Holdings nie mogła zaszkodzić Juliet. Wkrótce siostra sama się o tym przekona.

Wybiła szósta. Libby przespała w sumie może ze dwie godziny. Każdy ruch przyprawiał ją o ból głowy. Z trudem mogła się skupić na maleńkiej klawiaturze telefonu, pisząc esemesa do Tristana: „Postanowiłam sprzedać dom”.

Jej kciuk zawisł na moment nad klawiszem „Wyślij”, a serce zamarło. Potem wysłała wiadomość.

Telefon zadzwonił już po kilku minutach.

– Nie sprawdziłaś stref czasowych – powiedział, śmiejąc się, Tristan. Słysząc było zakłócenia na linii. Musiał stać na dworze, w miejscu, gdzie wiało.

Libby zrobiło się głupio.

– Która godzina?

– W Perth czwarta nad ranem.

– Przepraszam bardzo.

– Na szczęście nie jestem już w Perth. Wróciłem wczoraj. Wcześniej załatwiłem wszystkie

sprawy służbowe.

Libby ciężko opadła na stołek w pracowni. Wschodzące słońce raziło ją w oczy.

– Jesteś w Noosa?

– Chcesz, żebym wpadł?

– Bardzo chcę.

Czy zabrzmiało to desperacko?

– Wiesz, że nie możemy rozmawiać o interesach?

– Chcę tylko, żeby ktoś mnie przytulił. Nigdy w życiu nie musiałam podjąć trudniejszej decyzji.

– A zrobisz mi śniadanie?

– Oczywiście.

Nie zdążyli zjeść śniadania. Kiedy tylko Tristan przyjechał, Libby wciągnęła go do środka, a on obrócił ją i przycisnął do drzwi. Ubrania spadły na podłogę. Libby na moment kompletnie zatraciła się w ostrym, namiętym seksie. Zapomniała o wszystkim. Liczyła się tylko rozkosz przeszywająca jej ciało. A potem, kiedy leżeli spleceni w uścisku, to ciało z wdzięcznością zapadło w sen. Upragniony sen.

Nieważne, czy spała z wrogiem.

Światło przed świtem jest łagodne i błękitne. Isabella nie przyzwyczała się jeszcze do ostrych, świeżych aromatów Australii: ziemistego mokrej gleby, cierpkiego liści, orzeźwiającego oceanu. Powietrze jest wilgotne i słone. Tego ranka z balkonu latarni widać bezkres wody i piasku; ocean i plaża wyglądają na kompletnie opustoszałe. Jednak bliżej, w lesie, tętni życie: ptaki się budzą, a zwierzęta wychodzą ze swoich nor. Isabella się cieszy, że inne stworzenia też są zajęte. Tak jak ona i Matthew. Jej policzki marzną od wilgotnego chłodu.

Matthew przekopuje ziemię. Gdzieś tam w głębi leży buława. Świadomość, że wciąż istnieje, jest zarazem koszmar i cudowna. Koszmar, ponieważ buława oznacza dla Isabelli niebezpieczeństwo ze strony rodziny Arthura. I cudowna, bo jeśli Isabella wykaże się sprytem i rozwagą, będzie w stanie zebrać pieniądze na ucieczkę z tego okropnego kraju i całkiem nowe życie.

Trzeba jednak postępować sprytnie i rozważnie.

Isabella stoi i patrzy na kopiącego Matthew. Jest zafascynowana widokiem szorstkich dłoni na styliśku łopaty, miarowym ruchem mięśni ramion, mocnymi i stabilnymi nogami. Zaledwie kilka godzin wcześniej te dłonie, ramiona i nogi pieściły ją delikatnie i niestrudzenie. Isabella nie może w to uwierzyć. Dawniej miała wrażenie, że jej ciało należy do innych: do męża, do dziecka, do rodziny, a dzięki Matthew poczuła, że jej kończyny, narządy, skóra nareszcie stały się jej własnością. Na nowo rozpala się w niej pożądanie.

Matthew podnosi wzrok, jakby wiedział, że Isabella myśli właśnie o nim. Jego uśmiech sprawia, że jej serce trzepocze.

– O czym myślisz, śliczna ptaszyno? – pyta mężczyzna.

Isabella też się uśmiecha, ale nie odpowiada. Pierwsze pomarańczowożłote wstęgi świtu pojawiają się między konarami drzew. Ptaki śpiewają coraz głośniej. Matthew nie przestaje kopać. W końcu jego łopata z głuchym stukotem uderza o kufer.

Mężczyzna odrzuca narzędzie, pada na kolana i zanurza dłonie w ziemi. Isabella dołącza do niego, razem odgarniają z wieka czarne grudy. Matthew chwytając jeden koniec kufra i z głośnym stęknieniem wyciąga go z dziury.

Potem wstaje, łapie skrzynię i mówi:

– Chodźmy, Isabello.

Wracają do latarni. Matthew zanoszą kufer na środkowe piętro i stawia na podłodze koło szafki, w której trzyma narzędzia. Łatwiej byłoby pracować przy stole w pokoju z telegrafem, ale Isabella wie, że Matthew się tego boi. Gdyby ktoś przyszedł, żeby wysłać telegram, na pewno zauważyłby

buławę.

Mężczyzna otwiera kufer i robi krok do tyłu.

Isabella się pochyła i muska palcami drogie kamienie. Osiem rubinów, cztery szafiry, cztery szmaragdy i jeden brylant. Siedemnaście klejnotów, a każdy starannie osadzony w ręcznie wykonanym zacisku.

– Potrzebuję pary szczypczyków – mówi Isabella. – Najmniejszych, jakie masz.

– Wszystko, co może ci się przydać, znajdziesz w tej szafce. – Matthew siada koło niej.

– Przepraszam, że musisz pracować na podłodze.

– Tak samo jak ty nie chcę, żeby ktoś nas nakrył.

– Sam brylant wystarczyłby na kupno biletu do Nowego Jorku.

Dwóch biletów. Ona musi kupić dwa.

– To długi rejs. Chcę podróżować wygodnie, we własnej kajucie. Poza tym potrzebuję też ubrań, butów, pieniędzy na życie w Ameryce. Nie znalazłam jeszcze Victorii. A przecież muszę się gdzieś zatrzymać. Nie, sprzedam wszystkie.

– Wzbudzisz podejrzenia, jeśli nagle się okaże, że masz te klejnoty. Nie wiem, czy to może się udać, Isabello.

Plan powstaje powoli. Wątpliwości wyrażane przez Matthew powodują u Isabelli tępy, uporczywy ból głowy. Faktycznie, ludzie byłiby zdziwieni, gdyby Mary Harrow, zatrudniona ostatnio jako skromna niania, nagle zaczęła sprzedawać klejnoty, a konkretnie siedemnaście drogich kamieni, identycznych jak te na buławie. Isabella musi je jakoś ukryć i na pewno nie może ich sprzedać tu, w Lighthouse Bay. Pomijając podejrzenia, jakie by to wzbudziło, tutejszych mieszkańców raczej nie stać na takie zakupy.

– Zastanowię się nad tym – mówi Isabella, nie poddając się zniechęceniu.

Matthew odchodzi do swoich porannych obowiązków. Isabella znajduje parę szczypczyków o cienkich końcówkach i delikatnie obluźowuje pierwszy szafir. Złoto to miękki materiał, ale i tak bołą ją od tego ręce. Matthew jest w pobliżu, potem wychodzi. Na zewnątrz robi się coraz jaśniej. Isabella jest zmęczona, wyczerpana. Prawie nie spała, wstrząśnięta po rozstaniu z Xavierem i zaskoczona miłosnym zbliżeniem z Matthew. W końcu jednak ma w dłoni wszystkie szafiry.

Matthew przykuca tuż obok.

– Dobrze ci idzie, prawda?

– Zrobię z nich biżuterię – tłumaczy kobieta. – Zawsze lubiłam to zajęcie, a jako żona dziedzica rodziny jubilerów wiele się nauczyłam. Nikt nie kupi samego szafiru, ale broszka z szafirem na pewno znajdzie nabywcę.

– Tylko gdzie ją sprzedasz?

– Cały czas o tym myślę – przyznaje Isabella. – Nieustająco. – Urywa i mruczy coś pod nosem.

Matthew przygląda się z bliska jej twarzy.

– Dobrze się czujesz?

Isabella kręci głową.

– Niezbyt dobrze. Jestem zmęczona i nie mogę uwierzyć, że to wszystko mnie spotyka. Ale wiem już, co muszę zrobić, i to dodaje mi otuchy.

Mężczyzna dotyka jej dłoni, ponownie rozpalając płomień pożądania. Isabella patrzy mu w oczy. Jego źrenice się rozszerzają, a już po chwili usta znów przywierają do jej ust. Isabella z zachwytem poddaje się instynktownemu pragnieniu przyjemności. Jest znużona myśleniem. Myślenie napawa ją trwogą.

Matthew idzie drogą od strony miasteczka. W ręce niesie siatkę wyładowaną ziemniakami i fasolą. To dziwne, że powrót do domu stał się dla niego taki ważny, przepełnia go nadzieją i niepokojem. Kiedyś szedł tędy machinalnie, zatopiony w myślach, nie zauważając otoczenia. Teraz jednak wie, że czeka na niego Isabella. Ścieżka przestała być zwyczajna – to miejsce szczęśliwe, gdzie słycać śpiew ptaków i szum dzikiego oceanu.

Matthew czuje radość w sercu. Ogromną radość.

Owszem, jest i cień wątpliwości, ale dopiero na dalszym planie. Isabella zamierza sprzedać jak najwięcej klejnotów, przerobionych uprzednio na biżuterię. To trochę potrwa. A zatem Isabella nie wyjedzie jutro ani pojutrze. Matthew wie, że nie może jej tu zatrzymać – wiedział to od pierwszej chwili – ale przynajmniej jeszcze przez jakiś czas jego życie będzie pobłogosławione jej obecnością. Nawet się nie spodziewał takiego szczęścia.

Isabella pracuje od tygodnia. Robi próby i popełnia błędy. Czasami wpada w taką frustrację, że ciska drogim kamieniem, który głośno odbija się od podłogi. Potem wstaje, podnosi kamień i spokojnie wraca do pracy.

Matthew otwiera drzwi. Nie wita go samotna pustka, jak przez tyle lat; w środku jest czyjeś ciepłe ciało. Na myśl o kobiecej miękkości mężczyzna się rumieni i tężeje.

– Isabello?

– Chodź zobaczyć! – woła radośnie kobieta.

Matthew wchodzi po stopniach na górę. Isabella postanowiła pracować na podłodze, koło szafki z narzędziami. Jej rzeczy leżą rozrzucone dokoła. Codziennie rano po śniadaniu wraca tutaj. Jasne włosy opadają jej na twarz, a ona ślęczy nad swoim projektem z tą samą desperacką zawziętością, która niosła ją podczas wędrówki wzdłuż wybrzeża aż do latarni. Teraz Isabella stoi, czekając aż Matthew wynurzy się z włazu. Uśmiecha się do niego szeroko i trzyma coś w dłoni.

To broszka. Matthew jest zachwycony pomysłowością Isabelli. Muszla z plaży, atlasowa wstążka z sukni, cieniutki złoty łańcuszek mocujący dotąd pokrywę kufra. A w samym środku połyskujący ciemnym błękitem szafir. Ładny drobiazg, niezwykle. Zupełnie jak Isabella.

– Świetna robota, Isabello – mówi Matthew.

– Prawda? W dzieciństwie Victoria i ja robiłyśmy razem broszki z muszelek. Tylko że wtedy nie miałyśmy szafirów. – Isabella marszczy czoło. – Przyda mi się więcej materiałów, na przykład srebrny drut na zapięcia i łańcuszki. Chcę sprzedać tę broszkę, a za zarobione pieniądze kupić wszystko, co potrzebne do wykonania kolejnej.

Matthew prawie jej nie słyszy. Policzki Isabelli są zarumienione, a włosy lekko rozwichrzone. Narastające pożądanie rozprasza mężczyznę. Matthew z wysiłkiem przywołuje się do porządku.

– Gdzie kupisz takie rzeczy? Na pewno nie w Lighthouse Bay. Ani w Tewanin. Mają tam drewno i cukier, ale nie srebrny drut...

– Brisbane.

– Wybierasz się do Brisbane?

Parowcem płynie się tam całą noc. Na myśl o tym, że Isabella znajdzie się tak daleko od niego, Matthew czuje bolesny ucisk w żołądku. Lecz ona już kręci przecząco głową.

– Nie, ale znam kogoś, kto często tam jeździ, kto zna bogatych ludzi zainteresowanych kupnem biżuterii.

– Kto to taki?

– Abel Barrett.

– Znasz Abła Barretta? – pyta zaskoczony Matthew.

– Wiem o nim więcej niż większość ludzi – prycha Isabella. – I mam pewien plan.

– Tylko nie narażaj się na żadne niebezpieczeństwo, Isabello. Najlepiej będzie, jeśli nikt w Lighthouse Bay nie dowie się, że wciąż tu jesteś. Pani Fullbright z pewnością popsuka ci już reputację paskudnymi opowieściami i... – Zażenowany Matthew urywa nagle. Fakt, że Isabella sypia z nim w latarni, również musi pozostać tajemnicą. Jest mu wstyd, że postawił Isabellę w takiej sytuacji. Kobieta jednak nie przejmuje się jego obawami.

– Nie martw się. Będę ostrożna.

Matthew się waha. Nie chce, żeby Isabella bodaj zbliżyła się do Abła Barretta. Potem jednak mówi:

– Nie odwiedzaj go w domu. Jego żona jest przyjaciółką pani Fullbright. Codziennie po południu Barrett idzie na drinka do baru Exchange. Zwykle pije tam z Ernestem Fullbrightem, ale Ernesta w tej chwili nie ma w miasteczku. Jeśli chcesz spotkać go samego i na osobności, powinnaś czekać przy Shore Road o zachodzie słońca.

Isabella uśmiecha się promiennie.

– Dobrana z nas para, prawda, Matthew?

Mężczyzna wie, co chciała powiedzieć – że są dobraną parą przestępców – ale przychodzi mu do głowy myśl o małżeństwie. A przecież o tym nie ma mowy. Isabella nie może zostać w Lighthouse Bay, a on... on nie może stąd wyjechać. Jest na to za stary. Smutek przenika go do szpiku kości.

– Owszem, dobrana – przytakuje poważnie. – Dobrana para przestępców.

Isabella zbywa go gestem dłoni.

– Nie widzę w tym żadnego przestępstwa. Jedyne, co zabrałam Winterbourne'om, to złoto i klejnoty. Oni bez wahania odebrali mi wolność i szczęście. Arthur chętnie zgodziłby się na moją śmierć, żeby uratować własne życie. Wtedy, na oceanie, szarpał to wiosło tak mocno... Naprawdę czułam, że chce mnie wciągnąć pod wodę. – Przy tych słowach w głosie Isabelli pojawia się szczególny chłód. Matthew czuje lekki niepokój. – Nie zamęczaj się poczuciem winy – ciągnie Isabella, delikatnie muskając jego ramię miękkimi palcami. – Cel uświęca środki.

Wiatr znad oceanu jest zimny i ciężki od soli. Isabella chowa się przed nim, przyciskając plecy do pnia mangowca, w którego cieniu stoi, obserwując frontowe drzwi hotelu Exchange. Kilka osób weszło do środka, ale nikt jeszcze nie wyszedł. Isabella ma na sobie ciemny płaszcz Matthew, a włosy ukryte pod chustką. Słońce już zaszło, więc łatwo się czaić w ciemnościach. Jej serce dudni głucho i podchodzi do gardła. Chwilami kobiecie wydaje się, że plan nie może się powieść, ale potem powtarza sobie: „Powoli, krok za krokiem”. Wykonała już pierwszą broszkę – pierwszy z klejnotów Winterbourne'ów wkrótce ponownie ujrzy światło dzienne. Tyle na razie wystarczy.

Isabella spogląda na niebo. Gwiazdy mrugają zza mknących szybko chmur. Była tak zajęta wycenianiem kamieni oraz robieniem broszki, że nie miała czasu na rozważania. Teraz jednak myśli powracają. Krążą wokół Daniela, Xaviera, Arthura i Matthew. A także Victorii, którą Matthew próbuje znaleźć w Ameryce. Można by powiedzieć, że Isabella znalazła się daleko od domu; problem w tym, że nie ma już pewności, gdzie właściwie jest jej dom. Stała się statkiem bez kotwicy. Być może jest skazana na los kobiety, która tylko czasem gdzieś się zatrzymuje. Na razie domem nazywa latarnię morską, ale wie, że nie będzie tak wiecznie. Matthew też jest tego świadomy.

A przecież tak bardzo chciałaby być kimś innym: kobietą, która ma rodzinę, korzenie i dach nad głową, aż do śmierci. Zalewa ją fala melancholii, ale tylko na chwilę. Nie czas na melancholię. Trzeba sprzedać klejnoty i zarobić na wygodny, bezpieczny rejs do nowego życia.

Drzwi się otwierają i staje w nich on. Jest jednak w towarzystwie, więc Isabella zaczyna tracić nadzieję. Musi zostać sam na sam z Ablem Barrettem, inaczej jej plan się nie powiedzie. Mężczyzna zapala cygaro i gawędzi ze znajomym. Isabella opiera się ciężko o drzewo.

Potem Abel Barrett żegna się z drugim mężczyzną i idzie w jej stronę. Isabella się prostuje, ciasno owija ciało płaszczem i czeka.

– Panie Barrett! – woła cicho.

Mężczyzna przystaje, odwraca się, draży wzrokiem ciemność.

– Kto tam?

Isabella odsuwa się od drzewa, ale tylko odrobinę.

– Porozmawiajmy – mówi.

– Mary Harrow? Nie mamy o czym rozmawiać. Co ty w ogóle jeszcze robisz w miasteczku?

– Porozmawiajmy – powtarza Isabella. – Ponieważ wiem o panu coś, czego nie wie pańska żona.

Barrett podchodzi szybko. Złość ma wypisaną na twarzy. Isabella przygotowuje się na atak. Ten człowiek jest zdolny do agresji – to arogancki bogacz, przyzwyczajony, że wszystko idzie po jego myśli. Nie uderza jej jednak. Jest też przecież mężczyzną na utrzymaniu własnej żony.

– Słuchaj no! – syczy. – Jesteś nikim! Nikim. Nikt nie uwierzy w ani jedno twoje słowo, więc...

– Wystarczy – przerywa mu Isabella. – Niech pan mnie posłucha.

Mężczyzna wkłada cygaro do ust, zakłada ręce na piersi i rzuca Isabelli wściekłe spojrzenie. Gęsty dym cygara dociera do jej nozdrzy i z jakiegoś powodu przypomina jej czasy dzieciństwa. Może ojciec też palił cygara. Isabella wciąga tę woń głęboko do płuc.

– Śmiało – rzuca Barrett. – Słucham.

– Chciałabym prosić pana o pomoc.

Mężczyzna unosi pytająco brwi.

– Potrzebuję kilku rzeczy z Brisbane. Pan często tam jeździ.

Twarz Barretta wykrzywia szeroki uśmiech.

– Chcesz mnie szantażować? Wiesz chyba, że nie mam własnych pieniędzy. Moja żona liczy każdy grosz wypłacony z naszego konta.

– Nie, nie chcę pańskich pieniędzy. Chcę tylko, żeby wyświadczył mi pan pewną przysługę.

– Isabella sięga do kieszeni i wyjmuję z niej broszkę. – Proszę zobaczyć.

Barrett zerka na jej dłoń, potem wyjmuję z kamizelki zapałkę i ją rozpala. Światelko oblewa wnętrze dłoni bursztynową poświatą i odbija się w lśniącym ciemno szafirze.

– To jeden z niewielu wartościowych przedmiotów w moim posiadaniu – tłumaczy Isabella.

– Chcę, żeby pan sprzedał tę broszkę i przywiózł mi kilka rzeczy, których potrzebuję.

Po tych słowach wie, że Barrett poczuł ulgę, a jednocześnie jest zaskoczony.

– Dziwaczna prośba – burczy mężczyzna.

– Nie proszę o wiele. I odpłacę się dalszą dyskrecją.

– A więc to szantaż?

– Przekupstwo. Brzmi znacznie ładniej.

Barrett zaciąga się cygarem, bacznie obserwując swoją rozmówczynię. Potem bierze broszkę z jej dłoni.

– Wyjeżdżam w piątek. Wrócę w ciągu tygodnia. To jednorazowa przysługa. Nigdy więcej tego nie zrobię. Nigdy. Koniec z „przekupstwem”.

– Zgoda. – Isabella wręcza mu listę niezbędnych zakupów. – Mam nadzieję, że zostanie jeszcze jakaś reszta. Pieniądze proszę mi przynieść w gotówce.

Barrett przegląda listę. Ma taki wyraz twarzy, jakby chciał się dowiedzieć, po co Isabelli srebrny drut i lupa, ale po chwili zmienia zdanie. Woli zakończyć transakcję bez zbędnych komplikacji. Przygląda się chwilę kobiecie i pyta tylko:

– Kim ty właściwie jesteś?

– Jestem Mary Harrow – odpowiada Isabella bez zmużenia oka.

– Nie, na pewno jesteś kimś innym – stwierdza Barrett. – Katarina wyczuwała to od samego początku.

– Jestem po prostu kobietą, którą widzi pan przed sobą.

– Już ciemno. Stoisz w cieniu. Kiepsko cię widzę.

Isabella skłania głowę.

– Kiedy możemy znowu się spotkać?

– W następny piątek. Tutaj, o tej samej porze. Przyniosę twoje rzeczy i nasze drogi się rozejdą.

Isabella podnosi wzrok.

– Jeszcze jedno – mówi. – Poczęstuje mnie pan cygarem?

Mężczyzna klepie się po kieszeni, znajduje cygaro i pochyla się, by je zapalić. Isabella kaszle i krztusi się, a on obserwuje ją z pewną konsternacją.

– Powinnaś o czymś wiedzieć: Katarina rozpuściła plotkę, że ją okradałaś – mówi.

– Naprawdę?

– Tylko w ten sposób mogła wytłumaczyć twoje nagłe zniknięcie. Na twoim miejscu nie zbliżałbym się do miasteczka.

– Będę ostrożna. Dziękuję.

Później Isabella siada na plaży i dopala cygaro. Kaszel ustał, gardło i płuca przyzwyczajają się do dymu. Wypełnia ją przyjemny spokój. Isabella ma nadzieję, że Matthew jest zajęty pracą w latarni i nie ma czasu, żeby się o nią martwić. Ona jest zachwycona, mogąc siedzieć na powietrzu, nie musząc się chować za zamkniętymi drzwiami przed wzrokiem i opiniami innych. Pali cygaro, patrzy na ocean i marzy o tym, co może przynieść przyszłość.

Śpią w jednym łóżku, ale o innych porach. Matthew sypia popołudniami, potem spędzają razem kilka godzin, aż do kolacji, a wieczorem kładzie się Isabella. Ona pracuje wtedy, kiedy Matthew śpi, on zaś wykonuje swoje zadania, kiedy śpi ona. Kochają się rano, po jej przebudzeniu. Matthew po długim dyżurze marzy o jej ciele.

W czasie jego snu Isabella krząta się po latarni, starając się być cicho, by go nie budzić. Dręczy ją nuda. Czuje się samotna i na skraju rozpacz. Teraz może już tylko czekać, aż Abel Barrett wróci z dostawą, więc popołudnia dłużą się nieznośnie. Matthew dał jej książki, ale ona nigdy nie przepadała za czytaniem. Całymi godzinami siedzi w bezruchu i staje się coraz bardziej niecierpliwa. Za dużo myśli. Bez końca snuje nieskrępowane fantazje o życiu za oceanem. Czasem te fantazje są przyjemne, a czasem przerażające. Winterbourne'owie mogą się zjawić i wsadzić ją do więzienia albo zmusić do poślubienia Percy'ego; Xavier może zachorować i umrzeć podczas długiego rejsu.

Jednak tego popołudnia Isabella nie czyta ani nie myśli. Stoi na górnym balkonie, obserwując z wysoka świat: kilometry białego piasku, zieleń przybrzeżnego lasu i połyskujący szmaragdowo ocean. Wieje silny wiatr, który targa jej włosy i wdziera się do gardła, ale Isabella czuje się tu szczęśliwa. Zupełnie jakby stanowiła część dzikiej przyrody, zupełnie jakby była ptakiem. Rozkłada ramiona w ciepłym blasku słońca i pozwala, by wiatr huczał nad jej głową.

W końcu ją to męczy, więc okrąża szczyt latarni w poszukiwaniu schronienia. Patrzy w dół, w stronę plaży, i widzi dwie sylwetki na piasku. Jedna jest duża, druga – mała. Isabella przypomina sobie wycieczki na plażę z Xavierem, jego miłą rączkę we własnej dłoni. Marszczy brwi. Może tam, na dole jest właśnie Xavier? Może przyszedł tu z Katariną? Nie. Ona nigdy w życiu nie zbliżyłaby się nawet do piasku.

A może to nowa niania? Czy Xavier ma już inną opiekunkę?

Serce Isabelli płonie. A jeśli nowa niania jest dobra i miła? Jeśli Xavier pokocha ją równie mocno jak Isabellę? Nie, to niemożliwe. On też na pewno wyczuł, że łączy ich coś wyjątkowego.

Isabella krąży nerwowo po balkonie. Zatrzymuje się i chwyta za drewnianą poręcz, spoglądając w dół, na plażę spowitą lekką mgiełką. Bez wątpienia widzi tam dziecko z kimś dorosłym. Oczywiście w Lighthouse Bay są inne dzieci, to nie musi być Xavier, ale Isabella koniecznie chce to sprawdzić.

W latarni jest cicho i spokojnie. Matthew sypia tylko kilka godzin w ciągu doby, więc ma twarde sen. Isabella po cichutku schodzi na dół i wymyka się na zewnątrz.

W lesie oddzielającym latarnię od plaży rośnie gęszcz splątanych zarośli, a podłoże jest nierówne. Isabella idzie ostrożnie, by w końcu wynurzyć się spomiędzy drzew na szczycie piaszczystej wydmy porośniętej długą, szpiczastą trawą. Tam przystaje i przeszukuje wzrokiem plażę. Widzi obie sylwetki w odległości jakichś czterystu metrów. Z całą pewnością jest tam Xavier. Stoi

z kciukiem w ustach – znajoma poza. Jego towarzyszka jest odwrócona, ale to nie Katarina, tylko jakaś stateczna kobieta, która przykucnęła, żeby zbudować zamek z piasku dla chłopca.

Isabella z całego serca chce go przytulić. Tamta kobieta, nowa niania, nie dotyka dziecka. Nie bierze go na kolana, nie głaszcze po włosach, nie szepcze do ucha. A przecież do szczęścia trzeba mu tego wszystkiego!

I nagle pojawia się lęk: a może Xavier jest szczęśliwy? Może jest szczęśliwy BEZ ISABELLI? Ta nowa niania nie wygląda wprawdzie na wylewną, ale może zapewnia chłopcu spokój i poczucie bezpieczeństwa – wszystko to, czego nie dała mu Isabella. Myśl, że Xavier nie cierpi, przynosi jej ulgę, a jednocześnie wpędza ją w rozpacz. Jeśli nie trzeba go ratować, to po co właściwie żyć? Isabella nie chce wyruszać w długą podróż do Ameryki samotnie, nie chce w pojedynkę pokonywać bezkresnego oceanu.

Teraz skrada się wzdłuż krawędzi lasu w nadziei, że zbliży się wystarczająco, by lepiej wszystko zobaczyć. W pochylonych ramionach kobiety zajmującej się Xavierem jest coś znajomego. Po chwili Isabella uświadamia sobie, że to kucharka. Nic dziwnego. Katarina nie mogła w tak krótkim czasie znaleźć nowej niani. Isabella czuje ulgę, bo wie, że kucharka na pewno dobrze traktuje Xaviera, a jednocześnie zachowuje dystans. Teraz w skupieniu buduje zamek, podczas gdy Xavier wpatruje się w horyzont.

Isabella stoi nieruchomo, błagając chłopca w myślach, by spojrzął w jej stronę. Bezskutecznie.

Potem cofa się między drzewa i szuka zejścia na plażę. Kucharka nie będzie chciała z nią rozmawiać. Jeśli Abel Barrett powiedział prawdę, całe miasteczko uważa Isabellę za złodziejkę, więc lepiej się do nikogo nie odzywać.

Kucharka i Xavier bawią się teraz w chowanego. Bessie stoi na piasku z twarzą zwróconą w kierunku oceanu i zasłania oczy dłońmi, a chłopiec pędzi pod górę, do lasu. Z pewnością nie pobiegnie daleko: boi się węży. Kucharka odwraca się, odgrywa scenę „nie-mogę-cię-znaleźć” i w końcu odkrywa go na skraju lasu. Potem wraca na plażę i zabawa zaczyna się od nowa.

Serce Isabelli wali jak oszalałe. Czy uda jej się dotrzeć do chłopca, zanim zrobi to kucharka?

Przedziera się między drzewami, potyka o korzenie, przeskakuje strumyk. Wiszące nisko gałęzie chłoszczą jej twarz. Kucharka znowu znalazła Xaviera, ale może będzie jeszcze jedna runda. „Błagam, niech będzie jeszcze jedna runda...”.

Tym razem wiatr niesie głos kucharki, która liczy do dwudziestu.

– Jeden... dwa... trzy...

Isabella jest tak blisko, że może już zawołać Xaviera. A jednak go nie woła. Najszybciej, jak może, pokonuje dzielącą ich przestrzeń. Chłopczyk słyszy jej kroki i podnosi wzrok.

Isabella kładzie palec na ustach, żeby nakazać mu milczenie. Chwyta dłoń chłopca, a on z całej siły ściska jej rękę.

– Szybko. Chodź ze mną – szepcze Isabella, wciągając go głębiej między drzewa. Razem podbiegają do strumyka. Tam kobieta bierze Xaviera na kolana. – Przepraszam – szepcze ze łzami w oczach. – Bardzo cię przepraszam. Tylko nie mów nikomu, że mnie widziałeś.

Chłopczyk potrząsa głową, chcąc ją zapewnić, że nic nie powie. Czyżby znowu przestał mówić?

Isabella stawia go przed sobą i uważnie mu się przygląda. Dotyka rączek i nóżek chłopca, jakby nie mogła uwierzyć, że jest prawdziwy.

– Bardzo za tobą tęsknię – wyznaje. – Jesteś szczęśliwy?

Xavier przechyla główkę na bok, jak gdyby nasłuchiwał odpowiedzi. Po chwili kręci przecząco głową.

– Czy kucharka jest dla ciebie dobra?

Tym razem chłopczyk odpowiada skinieniem głowy.

Isabella też kiwa głową.

– Powinieneś już iść. Nie chcę, żebyś miał przeze mnie kłopoty. I nie mów nikomu o naszym spotkaniu. Będę w pobliżu, Xavierce. I wciąż cię kocham.

Chłopiec ponownie kiwa głową. W lesie rozlega się głos kucharki:

– Dziecko, gdzie ty jesteś?!

Xavier dotyka twarzy Isabelli, spogląda na nią ogromnymi, załzawionymi oczyma, a potem ucieka.

Isabella opada na poszycie, dysząc ciężko. Wszystko będzie dobrze. Na pewno. Wystarczy, że wyniesie się z Lighthouse Bay.

W piątek, dzień spotkania z Ablem Barrettem, Isabella od rana ma mdłości. Wyobraźnia, zawsze skora do lęku, podpowiada jej, że mężczyzna zjawi się w asyście policji, zaprzeczy, iż kiedykolwiek przekazała mu szafir, albo w ogóle nie przyjdzie. Gdyby tak się stało, czy starczy jej odwagi, by opowiedzieć żonie Barretta o jego romansie? I czy Edwina jej uwierzy?

Obawy okazują się bezpodstawne. Tuż po zmroku Abel czeka na nią pod mangowcem. Wieczorne powietrze jest przejrzyste i balsamiczne, a cygaro mężczyzny ma mocną woń. Na widok nadchodzącej Isabelli Barrett cofa się głębiej w cień.

– Trzymaj – mówi, niemal rzucając w nią brązową torbą. – W środku jest wszystko. Zakupy, reszta pieniędzy i adres jubilera.

– Adres jubilera?

– Ten człowiek wywnioskował, że sama zrobiłaś broszkę. Chętnie zobaczyłby kolejne. – Barrett podnosi ręce. – Ja nie chcę nic o tym wiedzieć.

Isabella zagląda do torby, ale w ciemnościach nie widzi dobrze jej zawartości.

– Nie proś o kolejne przysługi – ciągnie Abel. – Na tym koniec. Jesteśmy kwita.

– Tak. Jesteśmy kwita.

Na twarzy mężczyzny pojawia się wyraz ulgi.

– Teraz muszę już iść. Nie mogę dopuścić, by widziano mnie z inną kobietą.

– A co u Katariny? I u chłopca? – pyta szybko Isabella. – Jakież zmiany?

– Nie wiem. Oboje wyjechali.

– Dokąd?

– Do Sydney, na dwa, trzy miesiące. Katarina zabrała małego do specjalisty, który ma go skłonić do mówienia. – Barrett gasi cygaro na pniu drzewa.

Sercem Isabelli targają sprzeczne emocje. Minie wiele czasu, zanim uda jej się zrealizować plan. Katarina zabrała Xaviera. Czy to znaczy, że jest kochającą matką, która troszczy się o swoje dziecko? A może po prostu chce „naprawić” synka, żeby już nie musieć się wstydzić jego odmienności? Isabella skłania się ku tej drugiej wersji, ale na jej marzenia padł już cień wątpliwości.

Abel Barrett wpycha ręce w kieszenie.

– Żegnam i od tej chwili się nie znamy.

– Proszę się nie martwić. Nigdy mnie pan nie znał – mówi Isabella.

Patrzy, jak mężczyzna pewnym krokiem zmierza do hotelu, a potem sama kieruje się w stronę latarni z brązową torbą pod pachą. Ma co najmniej dwa miesiące, więc tym razem nie poprzestanie na jednej ozdobie. Zrobi ich z pół tuzina albo więcej. Popłynie do Nowego Jorku w komfortowych warunkach i dotrze na miejsce jako zamożna kobieta.

Isabella od trzech tygodni nie opuszcza latarni. Bo i po co? W miasteczku czekałyby ją tylko kłopoty, Xavier wyjechał, więc z pewnością nie spotka go na plaży, poza tym jest zajęta, całkowicie pochłonięta wykonywaniem broszek i bransoletek ze skarbu swojego nieżyjącego męża. Pracuje, żeby nie myśleć o przyszłości, przeszłości, a nawet teraźniejszości. Dzień wspólnych urodzin Daniela i Xaviera nadchodzi i mija, Isabella zaś czuje, że obaj chłopcy są bardzo daleko. Pracuje tak ciężko, że nawet podczas snu widzi wstążki, muszle i drogie kamienie; ich duchy układają się we wzory po wewnętrznej stronie powiek. Ręce bolą tak bardzo, że codziennie musi je chłodzić w lodzie.

Jednak jej praca przynosi piękne rezultaty. Isabella teraz niemal się wstydzi pierwszej broszki, tej, którą już sprzedała. Nowe wyroby są przyjemne dla oka i w znacznie lepszym guście. Oryginalne, ale nie dziwaczne. Luksusowe, choć nie ostentacyjne. Matthew od kilku tygodni dopytuje się, jak zamierza je sprzedać. W końcu się dowiaduje, że Isabella popłynie do Brisbane parowcem z przystani w dole rzeki Noosa. Matthew blednie.

– Sama?

– Tak.

Matthew się boi, ale nie próbuje jej zatrzymać.

I dlatego właśnie Isabella stoi teraz na przystani w Tewanin, z biletem za jednego funta w dłoni, w sukience uszytej własnoręcznie – i niezbyt dobrze – specjalnie na wyjazd do miasta. Ma przy sobie małą walizkę, a w niej cenną biżuterię i drugą sukienkę. Czeką na wejście na pokład parowca Plover. Wieczór jest wilgotny i chłodny. W powietrzu unosi się woń trocin i zwierzęcych odchodów. Wozy, konie i ludzie dźwigający beczki krążą po przystani. Isabella stara się nie wyróżniać, ale widzi, że jest jedyną kobietą podróżującą w pojedynkę. Słyszy kobiece głosy z mesy, bo część pasażerów już się znalazła na statku, ale towarzyszymi Isabelli są mężczyźni w spłowiałych ubraniach, żegnający się z niespełnionymi marzeniami o kopalniach złota i szukający bezpiecznych posad w mieście.

Wydaje się, że czekają tam przez całe popołudnie, ale w końcu Isabella wchodzi po trapie na pokład. Przykrywa go duży pasiasty dach, lecz boki są odsłonięte, a wieczorne powietrze przejmuje chłodem. Niektórzy pasażerowie rozkładają krzesła i siadają, by przeczytać gazetę, korzystając z ostatnich promieni słońca. Grupa nieokrzesanych mężczyzn zbiera się na rufie i pali papierosy. Isabella nie wie, co robić, gdzie usiąść lub stanąć, więc podchodzi do barierki i patrzy, jak rzeka znika pod wielkim kołem. Czuć woń węgla i słyszeć syk pary. Statek oddala się powoli od przystani. Jest zimno. Wiatr wieje tak mocno, że Isabellę zaczynają boleć uszy.

Plover zawinie do Brisbane dopiero rano. Potem Isabella zatrzyma się w pensjonacie – Matthew telefonicznie zarezerwował jej pokój. Dziś rano, kiedy pomagał jej wsiąść do wynajętej bryczki, był bardzo zdenerwowany – prosił, żeby nasuwała czepek na oczy i rozglądała się, czy nikt jej nie obserwuje, a kiedy się żegnali na przystani, stwierdził, że Isabella z pewnością boi się samotnej podróży. Tymczasem wcale tak nie jest. Owszem, kobieta czuje lekki niepokój, ale głównie podniecenie. Zaczyna realizować swój plan. Napawa ją nawet z lekka dumą to, że tak dobrze jej poszło wykonywanie biżuterii i że teraz ją sprzedaje. Jest w tym dobra. Nigdy wcześniej nie miała okazji się przekonać, że jest w czymś dobra.

Plover porusza się bardzo powoli po spokojnych wodach rzeki, a potem wypływa na morze. Isabella przypomina sobie dzień, kiedy opuściła Anglię – ma wrażenie, że to się zdarzyło milion lat temu. Z całą pewnością była wtedy zupełnie inną osobą. Zapada noc. W ciemnościach nie widać już brzegu, więc Isabella rozkłada krzesło i siada. Steward przynosi jej kolację w brązowej papierowej torbie: pomarszczone jabłko, trochę chleba i ser. Isabella kładzie swój bagaż pod krzesłem i przysuwa do niego nogi.

Pałacy mężczyźni przekazują sobie piersiówkę i robią się hałaśliwi. Na początku Isabella bez problemu ich ignoruje, ale potem zaczynają ochryple wyśpiewywać sprośne piosenki. Kobieta uświadamia sobie, że jest tu sama. Stawia stopy po obu stronach walizki.

Odchyła głowę i zamyka oczy w nadziei, że ukoi ją kołysanie fal, ale głosy mężczyzn są donośne i ostre, więc zdaje sobie sprawę, że czeka ją długa noc.

I nagle wśród męskich śpiewów rozlega się kobiecy głos:

– Chyba już wystarczy?

Isabella otwiera oczy i widzi pięknie odzianą kobietę pod czterdziestkę, stojącą u wylotu schodów prowadzących z mesy na pokład. Kobieta ma przyjemne krągłości, charakterystyczne dla zamożnych, dobrze odżywionych dam, a poza tym ciemnobrązowe włosy i śliczne usta. Jest ubrana w dobrze skrojony żakiet z dużym kołnierzem i długimi rękawami, a w ręce trzyma laskę zakończoną srebrnym okuciem. Jej władczy ton wystarcza, by mężczyźni przestali śpiewać i odwrócili się z rozdziawionymi ustami.

– Słyszę każde plugawe słowo waszych przyśpiewek i jestem zniesmaczona – oświadcza kobieta, kierując koniec laski w stronę mężczyzn. – Bardzo ciekawe, co powiedziałyby wasze matki, gdyby was w tej chwili widziały.

Zawstydzeni mężczyźni mamroczą pod nosem przeprosiny. Kobieta obrzuca wzrokiem pokład. Zauważywszy Isabellę, unosi brew w wyrazie zaskoczenia i pewnym krokiem podchodzi bliżej.

– Halo, panienko – zaczyna. – Dlaczego jesteś tu sama? Nie masz ojca ani męża?

Zdumiona Isabella szuka właściwych słów.

– Nie, nie mam.

– Dlaczego podróżujesz samotnie?

Isabella nie chce tłumaczyć, że ma przy sobie walizkę pełną biżuterii, więc odpowiada tylko:

– Płynę do Brisbane... w interesach.

– W interesach? Jakich interesach?

– To... sprawa osobista – mówi szybko Isabella.

Niezrażona tą odpowiedzią kobieta wyraźnie mięknie.

– A zatem jesteś kobietą interesu? I stać cię tylko na miejsce wśród tych prostaków?

Isabella kiwa potakująco głową.

Kobieta wyciąga do niej miękką dłoń, którą Isabella chwyta z zaciekawieniem. Chwilę później już stoi.

– Chodź – zachęca nieznajoma. – Dołączysz do mnie i mojego towarzystwa w mesie.

– Nie mam odpowiedniego biletu.

– To bez znaczenia. Ja się tym zajmę. Nazywam się Berenice McAuliffe. No, właściwie jestem lady McAuliffe, ale możesz mi mówić Berenice.

– Mary Harrow – przedstawia się Isabella, biorąc walizkę i ruszając za nową znajomą.

– Mary Harrow, mam nadzieję, że czegoś się nauczyłaś. Zawsze, ale to zawsze należy wydać dodatkowe dwadzieścia pięć szylingów na miejsce w mesie.

Isabella schodzi do mesy oświetlonej tuzinami świec. Pod jedną ścianą stoi półokrągła skórzana kanapa, a przy niej duży stół zastawiony jedzeniem. Jest tam pieczony indyk, ziemniaki oraz groszek i sos w porcelanowych salaterkach. Elegancko ubrani ludzie grają w karty przy małych stolikach. Jest cicho i spokojnie.

W momencie gdy Berenice i Isabella stawiają stopy na dywanie, następuje atak stewarda.

– Ona nie ma prawa tu przebywać.

Berenice zbywa go gestem dłoni.

– Nonsens. Wiem, że macie tam wolną koję i panna Harrow się w niej prześpi. Poczęstuje się też jedzeniem, za które zapłaciłam wraz z moimi znajomymi, a ty nie masz tu nic do gadania.

– Ale ona zapłaciła za miejsce na pokładzie.

W tym momencie lekki ton Berenice znika. W jej głosie pobrzmiewa teraz stal.

– Owszem, ale tam siedzi zgraja okropnych, hałaśliwych mężczyzn, których musiałam uciszyć, ponieważ ty nie wypełniasz swoich obowiązków.

Steward wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, więc Berenice mocno przyciska palec do jego ust.

– Ta młoda dama płynie do Brisbane samotnie. Nie zgadzam się, żeby siedziała z tamtymi

prostakami. Nie odzywaj się już albo uznaj, że nie jesteś dżentelmenem.

Steward jest zły, lecz się wycofuje i daje im spokój. Berenice zwraca się do Isabelli z figlarnym uśmiechem:

– Zawsze stawiam na swoim – informuje. – Może coś zjesz?

Isabella nakłada sobie jedzenie na talerzyk, podczas gdy Berenice przedstawia ją swoim znajomym: dwóm kobietom i zażywnemu mężczyźnie z łobuzerskim uśmieszkiem na ustach. Tamci witają się z nią swobodnie, a potem wracają do wesołej rozmowy, zupełnie jakby znali Isabellę od zawsze. Isabella odkrywa, że lady McAuliffe jest bogatą wdową, której mąż, syn londyńskiego parlamentarzysty, był właścicielem złotonośnego pola w Gympie. Obecnie Berenice sama dogląda interesu oraz prowadzi wytworne życie w Brisbane. Jest wyjątkową kobietą, promieniuje energią i blaskiem godnym słońca. Znajomi bardzo sobie cenią jej zdanie, a ona głośno mówi to, co myśli, głosi swoją filozofię życiową i opowiada żarty znacznie bardziej sprośne niż to, co wyśpiewywali mężczyźni na pokładzie. Isabella jest nią zafascynowana.

Z kolei Berenice jest zafascynowana Isabellą, która – wstydząc się kłamstw na temat swojego nazwiska i zamiarów – unika bezpośrednich odpowiedzi na pytania nowej znajomej. Jakoś jednak wymusnęło jej się, że jest wdową, ma w Nowym Jorku siostrę, do której chciałaby wkrótce popłynąć, i posiada tylko dwie suknie, w tym jedną na sobie.

– Jak długo będziesz w Brisbane?

– Mam bilet powrotny na rejs za trzy dni.

– A gdzie się zatrzymasz?

– W pensjonacie w New Farm. Podobno jest tam czysto i przyjmują kobiety oraz dzieci.

Berenice już macha przecząco ręką.

– New Farm jest bardzo daleko od Eagle Street, gdzie cumuje statek. Nie możesz tam zamieszkać.

Musisz się zatrzymać u mnie.

– Naprawdę? To zbyt wspaniałomyślna propozycja.

– Tak, tak, nieodwołalnie. A potem pojedziesz na swoje spotkanie moim powozem. Taka ładna, dobrze urodzona dziewczyna nie powinna się męczyć w fatalnych warunkach.

Isabella uświadamia sobie, że nie może odmówić. Berenice rzadko słyszy od kogoś słowo „nie”.

– Chętnie przyjmę zaproszenie, ale między spotkaniami muszę mieć swobodę i wolną rękę.

Z twarzy Berenice na moment znika promienny uśmiech. Znajomi przyglądają jej się ciekawie, jak poradzi sobie z tym aktem oporu – wyglądają niemal na przerażonych. Jednak po chwili kobieta uśmiecha się znowu i gładzi nadgarstek Isabelli.

– W twoim wieku byłam taka sama – przyznaje. – Wiesz, czego chcesz. Jesteś wolnym duchem.

Steward przynosi pościel i koc dla Isabelli.

– To do spania – wyjaśnia. – Pani prycza znajduje się na samym końcu, od strony dziobu.

– Dziękuję.

Mężczyzna zerka na Berenice, a potem znowu na Isabellę. Żegna się skinieniem głowy i odchodzi. Isabella nagle czuje ogromne zmęczenie.

– Bardzo przepraszam – mówi – ale jestem wyczerpana.

– Oczywiście, bidulko. Zobaczymy się przy śniadaniu. – Berenice całuje ją w policzek.
– Słodkich snów.

Isabella idzie do swojej koi – rozkładanego łóżka ukrytego w płytkiej wnęcie oddzielonej cienką zasłoną. Kładzie się na boku i kuli pod kocem. Słodkich snów. Bardzo chciałaby śnić słodko, ale kiedy tylko zostaje sama, powraca melancholia, a sny wypełnia gmatwanina obrazów: wody, pary, węgla, burzy i małego chłopca, który już na zawsze znika w ciemnym lesie.

W lewej dłoni Isabella trzyma kartkę z adresem jubilera Maximiliana Hardwicka, a w prawej – walizkę. Jest zmęczona, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Przy śniadaniu Berenice nadal zarzucała ją pytaniami. Im bardziej Isabella unikała odpowiedzi, tym bardziej nowa znajoma na nią naciskała. Może trzeba było jednak zatrzymać się w pensjonacie?

Dobrze ubrany mężczyzna na rowerze przemyka obok. Jego ostrzegawczy dzwonek wrywa Isabellę z zadumy. Brisbane tętni życiem, pełno tu gładkich ulic i nowych budynków. Tramwaj konny tłucze się środkiem niebrukowanej drogi. Isabella zauważa, że wszystkie kobiety mają parasolki. Zaczyna rozumieć, dlaczego tak jest, kiedy ostre słońce pali jej skórę, choć to chłodna pora roku. Szuka cienia w drodze na Queen Street, gdzie wypatruje szyldu jubilera. W końcu dostrzega go nad oknem na pierwszym piętrze. Klepie walizkę na szczęście i po kamiennych stopniach wchodzi do środka.

Sklep jest mały, wypełniony wonią wosku i pasty do polerowania. Jedyne światło wpada przez wąskie okno, nad którym widnieje szyld z nazwiskiem jubilera; we wnętrzu zakładu litery wyglądają jak odbite w lustrze. W szklanych witrynach wystawiono biżuterię, zegarki i zegary ozdobne. Starszy mężczyzna z sumiastym wąsem siedzi za ladą przy stoliku, na którym leżą precjoza do czyszczenia. Kiedy Isabella wchodzi, mężczyzna podnosi wzrok, a jego oczy mrużą się w uśmiechu. Wstaje.

– Witam panią – odzywa się głębokim głosem. – Czym mogę służyć?

– Nazywam się Mary Harrow – mówi Isabella, wyciągając do niego dłoń obleczoną w rękawiczkę.

– Max Hardwick. – Mężczyzna lekko ściska jej dłoń. – Poznaję pani nazwisko. Kilka tygodni temu był tu Abel Barrett. Sprzedał mi broszkę, którą, jak sędzę, zrobiła pani sama.

– Ma pan świetną pamięć.

– Nie myślę się, prawda? To nie był klejnot rodzinny. Zdecydowanie zbyt nowoczesny projekt.

– Tak, sama wykonałam broszkę, a dziś przyniosłam kolejne w nadziei, że je również pan kupi.

– Isabella kładzie walizkę na ladzie. – Chciałby je pan zobaczyć?

– Tak – mówi mężczyzna, wycierając ręce w fartuch. – Proszę pokazać.

Isabella otwiera walizkę i wyjmuje z niej trzy broszki oraz trzy bransoletki – gustowne połączenie olśniewających klejnotów i naturalnych materiałów, bardzo kobiece dzięki lakierowanym wstążkom i koronkom. Mężczyzna ogląda je przez lupę.

– Te druciane zapięcia są naprawdę oryginalne.

– Ojciec nauczył mnie tej metody, kiedy byłam mała.

– Skąd wzięła pani rubiny i szafiry?

Isabella nie zdradza, że jej serce bije szybciej.

– Kupiłam je ze spadku po zmarłym mężu – kłamie gładko. – Zawsze chciałam robić biżuterię, a on mnie do tego zachęcał. Podczas pracy myślałam o nim i dzięki temu czułam, że wciąż jest blisko.

Jubiler smutno kiwa głową. Kiedy mężczyzna pochyła się nad biżuterią, Isabella rozgląda się po sklepie. Jest tu cała witryna poświęcona wyrobom Winterbourne'ów.

– Pani dzieła są piękne i chcę je kupić – mówi w końcu złotnik. – Niestety w tej chwili nie mam wystarczająco dużo pieniędzy. Nie sprzedałem nawet jeszcze pierwszej broszki. Jeśli jednak zostawi je pani u mnie, sprzedam je w pani imieniu za niewielką prowizję.

Rozczarowana Isabella czuje się tak, jakby ktoś wypuścił z niej powietrze.

– Nie dostanę pieniędzy?

– Droga pani, w końcu je pani dostanie. Jak mogę się z panią skontaktować, kiedy sprzedam biżuterię?

Nie taki był plan. Jubiler miał kupić wszystkie wyroby po cenach takich samych lub wyższych niż kwota, jaką zaoferował za pierwszą broszkę; Isabella miała stąd wyjść jako bogata kobieta, która musi jeszcze tylko poczekać trochę na swojego młodego podopiecznego, żeby popłynąć razem z nim do Nowego Jorku. Kto wie, ile potrwa sprzedaż całej biżuterii? Czy można ją tu bezpiecznie zostawić? Czy jubiler okaże się uczciwym człowiekiem? A jeśli ktoś rozpozna kamienie?

Czarne myśli wirują w jej głowie. Isabella nie potrafi podjąć decyzji. Wraca rozpacz, do tej pory ukryta za cieniutką zasłoną. Co teraz będzie?

Isabella wyobraża sobie, że jest z nią Matthew. Jakiej rady by jej udzielił? Stopniowo ogarnia ją ciepły spokój.

– Zostawię panu połowę – oświadcza, podsuwając jubilerowi dwie bransoletki i broszkę. – A kiedy będzie pan chciał się ze mną skontaktować, proszę wysłać telegram do Lighthouse Bay.

Mężczyzna się waha. Isabella wie, że nie jest pewien, co klientka zamierza zrobić z resztą biżuterii. Po chwili jednak się odpręża.

– Jak pani sobie życzy. Czy mogę je sprzedać pod pani nazwiskiem? Łatwiej będzie o klientów, jeśli powiem, że to ekskluzywna linia ręcznie wykonanych wyrobów.

– Całkowicie zdaję się na pana – oświadcza Isabella, napawając się myślą, że dzieło jej rąk będzie konkurować z wystawioną w witrynie biżuterią Winterbourne’ów.

Jej dzieło, zrobione z ich klejnotów. Nagle Isabelli robi się gorąco. Przecież wszystkie zostały skradzione. A ona wystawia je na pokaz.

Jest już jednak za późno. Koła zostały wprowadzone w ruch. Isabella żegna się i wraca na zalaną słońcem ulicę, zaintrygowana i podniecona perspektywą spędzenia kolejnych chwil w towarzystwie lady McAuliffe.

– Myślałam, że już nigdy tu nie dotrzesz, moja droga – mówi Berenice, chwytając Isabellę za ramię i wciągając ją do salonu. – Mam dla ciebie niespodziankę. Poznaj Adelaide, moją krawcową.

– Dzień dobry – wita się zaciekawiona Isabella, ściągając rękawiczki. Zgubiła się. Przez dobre pół godziny nie mogła odczytać mapy nagryzmołonej przez Berenice. Teraz widzi, że całą długą, zbyt mocno wypchaną kanapę przykrywają suknie.

– To moje stare suknie, w które już się nie mieszczę. Adelaide cię zmierzy i dokona przeróbek, żeby pasowały na ciebie.

Isabella jeszcze przed końcem tego zdania kręci głową.

– W żadnym razie nie mogę przyjąć takiej...

– Co za nonsens! Oczywiście, że możesz. Ja na pewno nigdy już ich nie włożę, a w tej chwili wiszą tylko w szafie i zbierają kurz.

Isabella otwiera szeroko oczy. Na kanapie leży przynajmniej tuzin sukien.

– Nie mogę. Nie potrafiłabym się zrewanżować.

A przecież tak bardzo ich chce. Marzy o nich. Od miesięcy nosi jedną i tę samą starą suknię, a tą, którą sama sobie uszyła przed podróżą do miasta, już rozłazi się w szwach: Isabella nigdy nie nauczyła się dobrze szyc.

– Będę ogromnie wdzięczna za nową suknię.

– W takim razie wybierz trzy albo cztery – namawia Berenice. – Nie chcę cię wprowadzić w zakłopotanie, ale piękna młoda kobieta nie może mieć tylko dwóch fatalnie uszytych sukni.

Isabella nie potrafi ukryć radości przy oglądaniu. Są tam suknie z falbaniastym trenem, starannie skrojone wizytowe, lekkie białe na lato z delikatnymi rękawami i białym haftem. Już sobie wyobraża, jak płynie w nich wszystkich do Ameryki. Potem Berenice zamyka drzwi do pokoju i każe Isabelli rozebrać się do bielizny, tak by Adelaide mogła wziąć miarę. Podczas przymiarek czterech sukien pani domu mówi przez cały czas. W końcu Isabella może z powrotem włożyć swoje ubranie,

a Adelaide wychodzi z naręczem kosztownych kreacji.

– Mają być gotowe jutro rano – mówi ostrzegawczo Berenice.

– Tak jest, proszę pani – obiecuje Adelaide. – Na pewno pani nie zawiodę.

Berenice odwraca się do Isabelli.

– Jutro mam spotkanie ze znajomymi. Oczywiście ty też jesteś zaproszona. Bardzo bym chciała im cię przedstawić.

– Będę zachwycona.

W głowie Isabelli świta nowy plan. Wszyscy znajomi Berenice są zamożni i zawsze wykonują jej polecenia. Jeśli Isabella włoży bransoletkę i broszkę autorstwa Mary Harrow, to może uda jej się nakłonić kogoś do kupienia któregoś z pozostałych wyrobów.

Berenice przechyla głowę i miło się uśmiecha.

– Masz w sobie coś uroczonego, Mary Harrow. Nie potrafię wyjaśnić, co to takiego.

Isabella w odpowiedzi posyła jej uśmiech.

– Chodź, oprowadzę cię po domu. – Berenice chwyta gościa pod ramię. Razem wychodzą z salonu do wyłożonego parkietem holu. – Mój mąż kolekcjonował obrazy. – Gospodyni wskazuje rząd wykwintnie oprawionych portretów wiszących na ścianach. – Ja nigdy nie podzielałam jego pasji. Namalowani ludzie nie są tak interesujący jak prawdziwi.

– A znasz tych ludzi osobiście? – pyta Isabella.

– To znajomi i krewni mojego męża – odpowiada Berenice. – Nie pamiętam już większości nazwisk. Ale chodź, pokażę ci najlepszy obraz. – Otwiera ciężkie drewniane drzwi i prowadzi Isabellę do biblioteki. Na jednej ze ścian wisi ogromny portret lekko uśmiechniętego, pełnego uroku mężczyzny. – Oto on. Mój drogi zmarły mąż.

– Wygląda na miłego człowieka.

– Ależ skąd, był prawdziwym draniem. Nie miał żadnych miłych cech. Dzieci się go bały, ale ja bardzo go kochałam i wciąż za nim tęsknię. A ty? Też tęsknisz za swoim mężem? – Berenice wbija wzrok w Isabellę. – Nie, nie musisz odpowiadać. Sama widzę.

Twarz Isabelli płonie ze wstydu.

– Każdy na swój sposób przeżywa żalobę.

– To prawda. Ja codziennie tęsknię za mężem, ale jeśli mam być szczerą, lepiej mi bez niego. Kompletnie nie radził sobie z pieniędzmi. – Berenice milknie na moment, wpatrzona w portret. – Chyba już nigdy nie wyjdę za mąż, Mary. Lepiej mi samej.

– Nie jesteś sama. Masz tylu przyjaciół.

– A ty chciałabyś wyjść znowu za mąż?

Myśli Isabelli biegną do Matthew.

Berenice patrzy na nią teraz z błyskiem w oku.

– Jest ktoś w twoim życiu, prawda? – Kobieta się uśmiecha. – Masz to wypisane na twarzy.

– Nie wiem, co przyniesie przyszłość – odpowiada Isabella.

– Kolejna enigmatyczna odpowiedź.

– Wcale nie chcę być enigmatyczna.

– No cóż, kimkolwiek jest ten człowiek, na pewno ma jakieś wady. A ty, jako kobieta, będziesz musiała je ignorować. On okaże się furiatem, będzie próżny albo uzna, że twoje ciało jest jego własnością. Wszyscy mężczyźni są tacy sami, moja droga. Wszyscy.

Isabella analizuje słowa Berenice i dochodzi do wniosku, że jej gospodyni się myli. Matthew jest inny niż wszyscy. Jest dobry. Zbyt dobry. Tak dobry, że pewnego dnia będzie musiała go opuścić, ponieważ on nie może poznać jej planów. Ta myśl ją zasmuca, ale Berenice mówi dalej. Jej paplanina pozwala Isabelli o tym zapomnieć, przynajmniej na chwilę.

Bez Isabelli w latarni jest pusto. Matthew dotąd nie zdawał sobie sprawy z tego, jak puste i samotne wiedzie życie: sen, praca, jedzenie. Owszem, łatwe i wygodne, ale puste. Mężczyzna snuje się po domu, choć nigdy wcześniej tego nie robił. Zapach Isabelli na poduszce każe mu usiąść w bezruchu na dziesięć minut z twarzą przyciśniętą do pościeli i wdychać go głęboko.

Matthew siedzi teraz na balkonie, patrząc na księżyc i paląc fajkę. Jest zakochany. Wie o tym i zdaje sobie sprawę z tego, że jest głupcem. Isabelli nie da się zatrzymać w jednym miejscu. Od samego początku było jasne, że ją straci. A jednak się zakochał. Na myśl o Isabelli, zupełnie samej w Brisbane, boli go serce. To tak daleko, takie wielkie miasto. Na pewno nie jest tam bezpieczna.

Ale przecież ona robi to, czego sama chce. Matthew wie, że nie powinien jej powstrzymywać. Jeśli to uczyni, stanie się coś strasznego. Tak właśnie było z Clarą. Mężczyzna zaciąga się dymem z fajki, wspominając, jak Clara na niego krzyczała, jak od niego uciekała. Nie pamięta nawet, od czego zaczęła się tamta kłótnia. Chyba poprosił, żeby Clara poszła z nim do sąsiadów i nie okazywała im wszystkim niechęci. Przez cztery dni ukrywała się w lesie wokół miasteczka, potem wróciła obszarpana i brudna, rozdzierana kaszlem, który coraz mocniej dławił jej płuca, aż w końcu sześć tygodni później odebrał jej życie. Matthew bardzo długo obwiniał się o śmierć Clary. Pierwszą pracę w latarni morskiej przyjął jako karę: nie zasługiwał na to, by przebywać wśród ludzi. Jednak długotrwała samotność dała mu czas na refleksję i rozprawienie się z poczuciem winy. Sama Clara w chwili śmierci powiedziała mu przecież, żeby się nie smucił, że smutek nie ma sensu, jeśli codziennie rano wstaje jasne słońce.

Matthew wzdycha głośno i opiera głowę o ścianę. Gdzieś tam daleko, za oceanem, Isabellę czeka nowe życie. A kiedy ona już odpłynie, on zostanie tu milczący i twardy niczym posąg, żałując, że pozwolił jej odejść.

Percy stoi na plaży, zastanawiając się, czy jego oczy kiedykolwiek przywykną do światła w tym opustoszałym miejscu. Promienie odbijają się od piasku i palą jego mlecznobiałą skórę. Posterunkowy z szacunkiem stoi w pewnej odległości. Myśli, że Percy znalazł się tu, by oddać hołd zmarłemu bratu. W pewnym sensie ma rację. Jednak po trzech miesiącach ból związany z żałobą zaczął słabnąć. W tej chwili Percy jest bardziej zainteresowany przeszukaniem wraku. Beczki i deski zostały wyrzucone na plażę przez fale. Nie ma tam niczego wartościowego, ale Percy'ego zaintrygowała przewrócona do góry dnem szalupa ratunkowa leżąca nieco dalej na kamieniach.

Wbrew temu, co powiedzieli mu niekompetentni miejscowi policjanci, nie zrobili tego fale, tylko ludzkie ręce. A to oznacza, że policja się myli i nie wszyscy ze statku zginęli.

Percy odwraca szalupę, klęka i na czworakach zaczyna przesiewać piasek przez palce. Za jego plecami miarowo kołysze się ocean. Mężczyzna znajduje strzęp białej koronki i już wie, że w łodzi uratowała się kobieta. Czyli albo Meggy, albo Isabella.

Czuje ucisk w żołądku. Meggy Whiteaway miała za sobą wiele rejsów. Gdyby faktycznie ocalała, wiedziałaby, z kim się skontaktować i co zrobić. A zatem to musiała być Isabella. Percy wie, że to ona, i ta myśl go rozpala. Potrzebuje chwili, by ochłonać.

Czy był z nią również Arthur? Czyżby ocalał? A jeśli tak, to gdzie teraz przebywa?

Percy przyzywa gestem posterunkowego.

– Ta szalupa wskazuje, że ktoś się jednak uratował – mówi. – Dlaczego twierdzicie inaczej?

– Ponieważ nikt się do nas nie zgłosił. Oczywiście w czasie sztormu ktoś mógł się dostać na plażę, ale od cywilizacji dzieliłyby go węże, dzikie psy i wojownicze plemiona tubylców. Nie mówiąc już o słońcu, wyczerpaniu i pragnieniu. – Posterunkowy zwraca spojrzenie w stronę zarośli rosnących wzdłuż plaży. – Ten ktoś równie dobrze mógł wejść prosto w paszczę lwa.

Percy zastanawia się przez moment nad tymi słowami, wciąż przykucnięty, wciąż przeczesując palcami piasek. Ogląda znaleziony kawałek koronki i próbuje sobie wyobrazić, jak Isabella idzie przez las w poszukiwaniu śladów cywilizacji. On sam jechał tu bryczką przez kilka godzin, w palącym słońcu. Czy ona mogłaby przeżyć w takich warunkach?

Niech to wszyscy diabli. Mogłaby. Ma w sobie coś, arogancję i pewność siebie, co niektórzy mylnie biorą za godność. To daje jej siłę. Uważała się za lepszą od nich i przeżyłaby choćby po to, by zrobić im na złość. Percy to wie. O, jakże chciałby wybić jej z głowy tę butę.

– Przeszukaliście las? – pyta posterunkowego.

– Owszem.

– I nic?

– Nic. Bardzo mi przykro, sir.

Kiedy posterunkowy chowa się w cieniu, coś błyska pod cieniutką warstwą piasku. Chwilę później Percy trzyma to już w dłoni. Mosiężny zatrzask z orzechowego kufra wykonanego specjalnie w celu przewiezienia buławy.

Percy czuje, że się czerwieni, i odwraca twarz, żeby posterunkowy tego nie zauważył. W jednej sekundzie umysł podsuwa mu cały obraz. Isabella uciekła z buławą. Być może spowodowała katastrofę statku. Być może wypchnęła jego brata za burtę. To przekonanie coraz bardziej się w nim umacnia, a myśl, że Isabella jakimś cudem uciekła, że jest wolna w tym ogromnym kraju, gdzie z łatwością może się ukryć, wywołuje w nim fizyczny ból.

– Przykro mi – powtarza posterunkowy. – Zostawię pana samego.

Percy odprowadza go wzrokiem. Co teraz? Ma jej szukać w lesie? Wrócić do domu i zaniechać działań? Przecież ona ma buławę, a on chce ją odzyskać.

Mężczyzna wie, że nie przeżyje wędrówki po lesie, ale absolutnie nie może wrócić do domu z pustymi rękoma. Nie, jeśli Isabella przeżyła, to na pewno gdzieś jest, na pewno kogoś spotkała. Wystarczy puścić w świat wiadomość, że zaginęła ukochana synowa i bratowa z zamożnej rodziny. Wtedy bez wątpienia się znajdzie. Może to chwilę potrwać, ale się znajdzie.

Isabella stoi przed dużym lustrem odziana w suknię niebieską jak jej oczy. Dawno już nie była dobrze ubrana. Nie ma gorsetu, ale na szczęście jest naturalnie szczupła w talii. Włosy przewiązała luźno na karku niebieską wstążką, kilka jasnych pasm otacza jej twarz. A do kołnierzyka przypięła własnoręcznie wykonaną broszkę z szafirem.

Rozlega się krótkie pukanie do drzwi i wchodzi Berenice, która obrzuca wzrokiem Isabellę, nareszcie odpowiednio ubraną, i staje jak wryta.

– Wyglądasz cudownie, moja droga – mówi. – Mam spalić twoją starą suknię?

Isabella parska śmiechem.

– Nie żartuję. Ani trochę – zapewnia Berenice bez cienia uśmiechu na twarzy.

Isabella poważnieje.

– Nie – odpowiada. – Najlepiej będzie, jeśli zabiorę ją z sobą do domu.

Berenice zauważa broszkę, podchodzi i delikatnie obraca Isabellę w swoją stronę, po czym lekko stuka palcem w ozdobę.

– Coś pięknego.

– Sama to zrobiłam.

Berenice unosi wysoko brwi.

– Naprawdę? No, no, no, potrafisz człowieka zaskoczyć.

– Za pieniądze ze spadku po mężu kupiłam kilka klejnotów – wyjaśnia Isabella. Skłamała już dwa razy, może za trzecim razem uwierzy we własne słowa. – Zawsze chciałam robić biżuterię.

– To wspaniale, jeśli kobieta znajduje sobie zajęcie, które sprawia jej przyjemność – stwierdza Berenice z promiennym uśmiechem. – A ta broszka jest boska. Czyli użyłaś prawdziwego szafiru?

– Tak, kamień jest prawdziwy.

– Przecież to na pewno ma znaczną wartość. Czemu więc posiadasz raptem dwie suknie?

– Niczego jeszcze nie sprzedałam.

– Ja chętnie coś kupię. Co jeszcze zrobiłaś? Przynieś swoje wyroby na przyjęcie. Moje znajome będą zachwycone. Ręczna robota i materiały znalezione na plaży: fantastyczne! – Na twarzy Berenice widać entuzjazm.

Isabella pokazuje gospodyni pozostałe broszki i bransoletki.

– Zrobię jeszcze tylko dziesięć sztuk – mówi, przeliczając w myślach pozostawione w latarni kamienie.

– Są przepiękne, moja droga. Koniecznie musisz wykonać więcej. Mogłabyś nawet założyć firmę jubilerską, jak rodzina Winterbourne'ów.

Na dźwięk tego nazwiska Isabell przenika dreszcz. Marzenia o założeniu własnej dynastii jubilerów błyskawicznie się rozwiewają, a ona przypomina sobie, że musi szybko sprzedać wszystkie klejnoty i uciec do Ameryki, zanim ją znajdą. Xavier wkrótce wróci do domu.

Berenice zapięła bransoletkę na pulchnym nadgarstku i podziwia ją w świetle wpadającym przez wykuszowe okno.

– Zachwycająca – wzdycha. – Kupuję ją. Ile kosztuje?

Isabella podaje sumę, jaką otrzymała od jubilera za pierwszą broszkę, ale Berenice natychmiast zaczyna kręcić głową.

– Dwa razy więcej, moja droga, dwa razy więcej. Ludzie nie cenią rzeczy, które nie uderzają ich po kieszeni. Pokażę to znajomym. Zdziwiłabym się, gdyby wszystkie nie chciały kupić czegoś podobnego. Wrócisz tu, kiedy zrobisz więcej. Chodź.

Już z holu na piętrze Isabella czuje zapach świeżo zaparzonej herbaty. Tym razem nie musi jej nalewać ani podawać bułeczek z masłem czy kroić keksu na idealnie równe kawałki. Na nowo odzyskała status damy, która może się napić herbaty, nie troszcząc się o jej podanie. W drzwiach salonu uśmiecha się do służącej i kiwa jej głową, bo już wie, jak męczące jest usługiwanie innym.

Berenice zaprosiła pięć znajomych dam, a Isabella nie daje rady spamiętać wszystkich imion. Rozróżnienie Margaret i Margery zajmuje jej tyle czasu, że nie starcza go na wychwycenie imion dwóch kolejnych pań, a potem jest już za późno. Isabella się uśmiecha, przyjmuje filiżankę herbaty

i cicho trwa przy boku Berenice. Z kolei jej towarzyszka, jak zwykle pełna wigoru i entuzjazmu, bierze udział w każdej rozmowie, niespodziewanie wybuchając perlistym śmiechem. W jej obecności inne kobiety wydają się szarymi myszkami. Isabella zakłada, że u boku gospodyni sama robi wrażenie wyjątkowo nudnej.

Przypomina sobie jednak, jak powinna się zachowywać: prowadzić konwersację o niczym i uśmiechać się, kiedy ktoś mówi zbyt długo lub zbyt głośno. Popija herbatę, ostrożnie je bułeczkę i rozmyśla nad tym, jak bardzo ten świat różni się od jej życia w latarni z Matthew. Tam jest ciemno i surowo, czuć woń drewna, oleju i morza. Tu zaś jest pełno światła, wszystko lśni czystością i unosi się zapach wosku, cytryny oraz słodczy.

Po godzinie Berenice odchrząkuje i leciutko uderza łyżeczką w kryształowy kieliszek, tak by wszystkie obecne panie zwróciły na nią uwagę. Potem chwyta Isabellę za rękę i stawia ją przed grupą.

– Moje drogie, poznałyście już uroczą Mary Harrow – mówi. – Nie powiedziałam wam jednak, że Mary robi biżuterię. Na przykład – dodaje, wskazując nadgarstek Isabelli – sama zrobiła tę śliczną bransoletkę oraz piękną broszkę, którą dziś nosi. Wykorzystuje kamienie szlachetne, ale także muszle zebrane na plaży nieopodal jej domu. – Berenice posyła Isabelli krzepiący uśmiech. – A dziś rano powiedziała mi, że wykona jeszcze tylko dziesięć sztuk. Próbowałam ją namówić do zmiany decyzji, ale chyba mi się to nie uda.

Panie mruczą z aprobatą, unoszą brwi. Isabella trzyma głowę dumnie i uśmiecha się najpromienniejszym, jak umie.

– Chodźcie więc i porozmawiajcie z Mary, jeśli chcecie skorzystać z okazji i kupić wyjątkowy okaz biżuterii. Mary na pewno wróci tu przed wiosennym balem we wrześniu. Być może da się przekonać do przyjęcia zamówienia.

Zaproszone panie podchodzą do Isabelli, zachwycają się broszką. Isabella musi przynieść z pokoju ostatnią niesprzedaną broszkę, a Margaret albo Margery – wciąż są nie do odróżnienia – kupuje ją bez wahania, co wzbudza takie poruszenie, że jedna z dam – drobna z rudymi loczkami – pyta, czy mogłaby kupić tę, którą Isabella ma na sobie. Po sprzedaniu trzech sztuk biżuterii Isabella ma ochotę wrócić do sklepu pana Hardwicka i odzyskać resztę wyrobów, bo w tych okolicznościach zapewne sprzedałaby wszystko.

W tym momencie Berenice uspokaja grupkę pań, rozkładając pulchne ramiona niczym posąg świętej, i zapewnia, że Mary Harrow z pewnością przywiezie przed wiosennym balem biżuterię dla wszystkich zainteresowanych zakupem.

– Roześlijcie wieści.

Panie są wyraźnie podniecone. Isabella wie, że jeśli zdąży zrobić kolejne dziesięć sztuk, sprzeda je na pniu i będzie mogła wyruszyć w drogę.

Tymczasem Berenice szepcze do niej:

– No i oczywiście musisz przyjechać ze swoim przyjacielem.

– Nie... ja... on nie... – płacze się Isabella.

Berenice puszcza do niej oko.

– Znajdziesz jakiś sposób. Następnym razem nie powinnaś przyjeżdżać tu samotnie. Jesteś młoda.

Miłość przyjdzie znowu.

Po tych słowach Berenice dołącza do gawędzących i roześmianych znajomych, a Isabella zaczyna się zastanawiać, w jaki sposób ma wykonać dziesięć sztuk biżuterii, która zaspokoi oczekiwania przyjaciółek Berenice i ich przyjaciółek, skoro zostało jej już tylko sześć tygodni.

Matthew czeka na nią na przystani w porannym słońcu. Isabella, ubrana w falbaniastą białą suknię, schodzi po trapie jasna i lekka niczym gołębica, a jemu zamiera serce. Isabella. Jej widok napełnia go szczęściem. Isabella widzi go i uśmiecha się, a potem biegnie w jego stronę z otwartymi ramionami, ale on cofa się w obawie przed spojrzeciami innych ludzi.

Ta niezręczna sytuacja wywołuje w niej irytację. A co w sercu, to i na języku.

– Nikt nas nie widzi – mówi Isabella wściekłym tonem. – Poza tym nikogo to nie obchodzi.

– Isabello, ludzie mnie tu znają – tłumaczy łagodząco Matthew, muskając palcami jej biały nadgarstek.

Kobieta wzdycha.

– Tak bardzo chciałabym się do ciebie przytulić.

– Przytulimy się, gdy tylko wrócimy do domu.

Matthew wynajął bryczkę i konia; wstał przed świtem, żeby zdążyć. Jechał tu dwie godziny. Isabella natychmiast zaczyna mu opowiadać o spotkaniu z zamożną kobietą, która wzięła ją pod swoje skrzydła, o sprzedaży biżuterii, o pieniądzach ukrytych pod podszewką walizki w kwocie przewyższającej jego kwartalne dochody i o planach ponownej wizyty u lady McAuliffe. Podczas gdy ona mówi, z niego uchodzi powietrze. A więc znalazła osoby ze swojej klasy. Ponownie zakosztowała wystawnego życia, które było jej udziałem, zanim zjawiała się w latarni.

– Matthew, skąd ta smutna mina? – pyta Isabella w chwili, gdy bryczka podskakuje na kamieniu.

– Nie jestem smutny.

– Przestałeś kiwać głową i śmiać się z mojej paplaniny dobre pięć minut temu.

– Przepraszam, moja droga. Myślę po prostu o tym, jak proste i surowe wyda ci się życie w latarni po pobycie u lady McAuliffe.

Isabella przez moment zastanawia się nad jego słowami, a potem wsuwa mu miękką dłoń pod łokieć i mocniej przyciska się do niego.

– Proste i surowe niekoniecznie znaczy gorsze, kochanie.

Jego ciało natychmiast reaguje na jej bliskość i zmysłowy ton, a przede wszystkim na jej słowa. „Kochanie”. Do tej pory mówiła do niego „Matthew” lub „mój drogi”, nigdy wcześniej nie powiedziała „kochanie”. Nie używali takich słów. Nie mówili o miłości, nawet jeśli przy każdym bliższym kontakcie wyrażały ją ich wargi i ciała.

A teraz coś między nimi zapłonęło. Isabella zrezygnowała z ostrożności, której Matthew dotąd sobie nie uświadamiał. Droga do latarni dłuży się w nieskończoność. Isabella przywiera do niego, tuląc słodkie piersi do jego ramienia, oddychając ciepło prosto w jego szyję i ucho. Puszczą go dopiero, kiedy docierają do Lighthouse Bay, gdzie osuwa się nisko na siedzeniu, osłaniając twarz czepkiem. Przed latarnią Matthew zostawia konia w uprzęży, ponieważ nie może się już dłużej opierać pożądanemu. Isabella sadza go na brzegu łóżka, odwraca się i klęka przed nim tyłem, żeby mógł rozpiąć długi rząd guzików na jej plecach. Potem wstaje, a kiedy jej suknia osuwa się na podłogę, zdejmuje też halkę i stoi w samych pończochach, odsłaniając szczupłą kibić, zaokrąglone biodra i białe pośladki. Odwraca się i wtula w jego ramiona. Jasne włosy opadają na jej miękkie piersi z bladoróżowymi śladami – pamiątkami po ciąży. Matthew obejmuje ją i słyszy to, co tak bardzo chciał usłyszeć:

– Kocham cię, Matthew.

– Ja też cię kocham, moja śliczna ptaszyno – mówi z ustami pełnymi jej włosów. – Bardziej, niż potrafię to wyrazić.

I po raz pierwszy przychodzi mu do głowy, że może jednak jej nie straci.

Isabella nie może spać. Dopadła ją dziwna, smutna słabość. Przez całą noc się budzi. Matthew nie może teraz leżeć koło niej, a ona potrzebuje otuchy, jaką daje oparcie się na jego silnej męskiej piersi. Czyżby zachorowała na coś podczas rejsu lub pobytu w mieście? Nie, nie ma mdłości, po prostu źle się czuje w swojej skórze. Tęskni za czymś, ale nie wie za czym. Próbuje się pocieszyć dobrze znanymi marzeniami. Bezskutecznie. Noc ciągnie się bez końca. Wreszcie Isabella zasypia, kiedy pokój zaczyna wypełniać światło jutrzeńki.

Kilka godzin później słońce świeci już mocno. Drzwi otwierają się ze skrzypnięciem i do środka zagląda Matthew. Zdezorientowana Isabella otwiera oczy.

– Dobrze się czujesz, Isabello? Bardzo długo spałaś.

– Która godzina?

– Dziesiąta.

I nagle to uczucie powraca, zupełnie jakby całe ciało ugięło się pod ciężarem niewylanych łez. Nie powinna się tak czuć. Jest młoda i wolno jej się zakochać. Powinna się budzić wesoła jak

skowronek. Skąd ten ohydny, zimny strach?

– Źle się czuję – wyznaje Isabella – ale nie wiem... – I nagle sobie przypomina. Już wie. Czuje ból tak ostry i przejmujący, że aż traci dech. Jej palce instynktownie chwytają czarną wstążkę na nadgarstku.

Matthew siada na łóżku i obejmuje ją ramieniem.

– Kochanie...

– Czy dzisiaj jest drugi sierpnia?

– Tak.

– Dokładnie trzy lata temu umarł mój synek. – Wydaje się, że jej głos dobiega z daleka.

Racjonalny ton zamiast szlochów rozpacz.

– Rozumiem – mówi Matthew i przytula ją mocno.

Isabella przywiera do niego z całej siły.

– Moje ciało przypomniało sobie, zanim zrobił to mózg. Czy to nie dziwne?

– Ani trochę.

– Arthur powiedziałby, że opowiadam brednie.

– Arthur był okrutny i już nie żyje. Mnie zawsze możesz powiedzieć, co czujesz.

– W takim razie powiem ci, że jestem zrozpaczona i oderwana od siebie samej. Że równie dobrze mogłam umrzeć tamtego dnia i te trzy lata spędzić szczęśliwie w grobie.

– A ja nigdy bym cię nie spotkał.

– Może tak byłoby dla ciebie lepiej.

Matthew nie oponuje, milczy i mocno przytula Isabellę, która zaciska powieki i pozwala, by łzy płynęły jej po twarzy. Mężczyzna się nie odsuwa, nie okazuje zniecierpliwienia ani znużenia jej płaczem. Dziś jednak Isabella jest nieswoja, więc w końcu odpycha go delikatnie i mówi:

– Nie możesz mnie pocieszyć.

– Masz prawo do żałoby.

– Przejdę się po plaży, żeby oczyścić umysł.

– Chcesz, żebym poszedł z tobą? – W jego głosie brzmi nadzieja. Serce Isabelli ścisną się boleśnie.

– Nie, wolę być sama.

Kobieta się ubiera i bierze z kuchni jabłko, żeby je zjeść podczas przechadzki przez las i po plaży. Owoc jest słodki i chrupiący, zaspokaja głód żołądka, ale nic nie może zaspokoić głodu serca. Minęły trzy lata, a ona wciąż tkwi w tym samym miejscu.

Uświadamia sobie, że liczy na spotkanie z Xavierem, który być może wrócił wcześniej z podróży do Sydney. Może jego ciepłe spojrzenie zdołałoby ukoić smutek przygniatający ją dziś do ziemi. Jednak na opustoszałej plaży nie ma nikogo. Wiatr znad oceanu jest zimny, a fale rozlewają się

płasko niczym srebrzystoszary jedwab. Mewa szybuje nad głową Isabelli – ma rozłożone skrzydła, ale nimi nie porusza. Jest nieprzyjemnie, zupełnie inaczej niż w dniu śmierci Daniela. Wtedy był koniec lata, długi ciepły dzień, bezchmurne błękitne niebo. Pszczoły krążyły w trawie, jakby nie odczuwały utraty Daniela. Oczywiście, że jej nie odczuły. Nikt jej nie odczuł. Z wyjątkiem Isabelli, która stała się przez to najbardziej samotną kobietą na świecie.

Teraz się odwraca i spogląda za siebie, w kierunku lasu. Po drugiej stronie, parę uliczek dalej – na pewno nikt by jej nie zauważył – stoi dom Fullbrightów. Katarina wciąż jest w Sydney. Ernest zapewne znowu pojechał gdzieś w interesach. Kucharka prawdopodobnie krząta się w pralni. Gdyby Isabella zakradła się teraz po tylnych schodach do pokoju dziecięcego, może udałoby jej się zabrać stamtąd jakąś pamiątkę. Zabawkę, którą tuliłaby przez ten jeden dzień, żeby się pocieszyć. Idzie przez las, potyka się na nierównym podłożu i wychodzi na ścieżkę prowadzącą w dół, do miasteczka. Musi być bardzo ostrożna. Niektórzy uważają ją za złodziejkę. Kucharka nie będzie zachwycona na jej widok. Ale przecież, gdyby nawet zobaczyła Isabellę, na pewno uległaby jej prośbie: „Jak możesz odmówić mi małej pamiątki po Danielu?”.

To znaczy po Xavierze. Chodzi o Xaviera, nie o Daniela. Xavier żyje. Daniel to jej syn, który umarł i nie dożył dzisiejszych trzecich urodzin. Isabella staje jak wryta, serce wali jej mocno. Ta pomyłka z imionami zdenerwowała ją, przestraszyła. Zupełnie jakby jej się śniło, że się budzi. Sądziła, że zachowuje się racjonalnie, ale dopiero teraz myśli jasno, być może po raz pierwszy od kilku miesięcy. Xavier to nie Daniel. Przecież o tym wie. Czyżby jednak nie wiedziała?

Rozgląda się wokół, jakby nigdy wcześniej tu nie była. Nie pójdzie do domu Fullbrightów, nie zakradnie się do pokoju dziecięcego. To byłoby czyste szaleństwo. Pytanie: czy jest szalona, marząc o zabraniu chłopca do Ameryki? Zaczęła już realizować swoje fantazje i nie wie, czy potrafi z nich zrezygnować.

Isabella zawraca w kierunku latarni. Ma miesiąc na podjęcie decyzji. Kocha Xaviera, a jej miłość jest prawdziwa, więc musi coś zrobić. Nie może zostawić małego chłopca, którego kocha, w domu pełnym okrucieństwa, gniewu i duszącej obojętności. Dzięki miłości na pewno znajdzie jakiś sposób.

Isabella odkrywa uroki ciężkiej pracy, rozkoszną przyjemność harowania przed świtem, kiedy niebo za oknem wciąż jest granatowe, a światło lampy oblewa jej dłonie i deski, na których rozłożyła materiały i gdzie łączy je zręcznymi palcami. Wciąż przerabia swoje dzieła, podczas gdy Matthew omija ją szerokim łukiem. Uzależniła się od tej pracy. Dzięki niej zapomina o niemądrej obietnicy, jaką sobie złożyła, o koszmarnym lęku, że ktoś ją tu znajdzie, o tym, że kocha Matthew, a za miesiąc będzie musiała się z nim rozstać. Ma przed sobą tylko delikatną i misterną robotę we wczesnoporannej ciszy i w krzepiącym blasku lampy.

Mijają tygodnie. Palce Isabelli coraz szybciej zwijają drucik mocujący klejnoty na miejscu, precyzyjnie formują równe kółka potrzebne do wykonania łańcuszków i zapięć. Mimo to Isabella się śpieszy, żeby zdążyć przed balem. Czasami, kiedy bolą ją palce, a w głowie aż szumi od nadmiaru koncentracji, zastanawia się z przerażeniem, czy lady McAuliffe o niej nie zapomniała. Nie odezwała się dotąd ani słowem. Pewnego ranka, kiedy Isabella siedzi zajęta pracą, Matthew przynosi jej telegram. „Co za ulga – myśli kobieta. – To na pewno od Berenice – wiadomość o terminie i miejscu balu”. Nadawcą telegramu nie jest jednak lady McAuliffe, tylko Max Hardwick, jubiler.

Sprzedam wszystko. Proszę jak najszybciej przyjechać do Brisbane po swoje 120 funtów.

Matthew, który odebrał telegram i widział już kwotę, spogląda poważnie na Isabellę.

– Teraz masz już wystarczająco dużo pieniędzy. A nawet więcej. Czy to znaczy, że niedługo wyjedziesz?

Isabella widzi, że sam nie wie, czy wolałby usłyszeć odpowiedź twierdzącą, czy przeczącą.

– Włożyłam w to już tyle pracy – mówi Isabella, wskazując palcem porzucane wokół kamienie i zwoje srebrnego druciku. – Chcę dokończyć.

– Mogłabyś zabrać biżuterię do Ameryki.

– Berenice na mnie liczy.

Matthew kiwa głową, ukrywa uśmiech i zostawia ją w spokoju. Isabella ponownie czyta telegram i przez chwilę oddaje się marzeniom. Mogłaby wziąć te pieniądze i kupić więcej kamieni. Zebrać więcej muszli. Przerzucić się ze srebra na złoto. Z przyjemnością zrobiłaby naszyjnik. Wykonanie łańcuszka zajęłoby wiele dni, ale efekt byłby piękny. Wyobraża sobie kolejne wyroby i ceny. Jej nazwisko – a raczej nazwisko Mary Harrow – stałoby się słynne na całym świecie. Mogłaby przez całe życie robić biżuterię i zatrudniać do pomocy inne kobiety. Mieć taki dom jak lady McAuliffe,

wydawać przyjęcia, nosić piękne suknie. Isabella przez moment puszcza wodze fantazji. Przyzwyczała się już do życia w swoim wymyślnym świecie, nawet jeśli czasem ją to śmiertelnie przeraża.

A potem do marzeń dodaje nowy element. Jest nim Matthew. Matthew jako jej mąż. Codziennie wieczorem tulą się do siebie w łóżku i przesypiają tak całą noc. On nie musi pracować, kiedy ona śpi. Jego ciało trwa przy jej ciele.

Isabella się uśmiecha, ale zaraz przywołuje się do porządku: takie marzenia pochłaniają zbyt wiele energii. Wraca do pracy.

Matthew spędził cały chłodny dzień na balkonie. Fale waliły wściekle, a on naprawiał okno, które przepuszczało deszcz i przeciągi. O piętnastej nachodzi go ochota na brandy. Wystarczyłaby jedna szklaneczka, ale w latarni nie ma ani kropli alkoholu. Zostawiając Isabellę samą i idąc do miasteczka na drinka, Matthew odczuwa wyrzuty sumienia, ale ona nie ma nic przeciwko temu, żeby spędził trochę czasu poza domem. Jest akurat w kuchni, miesza krupnik na wieprzowinie.

– Będiesz na kolacji? – pyta.

– Oczywiście. Wróć o zmierzchu, żeby włączyć światło.

– To dobrze. Nie chciałabym, żeby moje kulinarne wysiłki poszły na marne.

Matthew się uśmiecha i dotyka jej włosów. Isabella uważa, że gotowanie jest trudne i czasochłonne, za to wiele godzin dziennie spędza na tworzeniu biżuterii.

– Nie pójdą na marne, kochanie. To na pewno będzie najsmaczniejsza zupa, jaką jadłem.

Skłamał. Potrawy Isabelli są pozbawione smaku.

Isabella całuje go w policzek i Matthew schodzi do miasteczka. Wiatr gwiżdże mu w uszach, ale na policzku został ciepły ślad ust. Kominiek w Exchange, zimny i beczynny przez trzysta pięćdziesiąt dni w roku, płonie jasnym ogniem. Matthew podchodzi do baru, a potem siada na swoim miejscu. Przechodzący ludzie pozdrawiają go, pytają o statki i prognozę pogody, choć tak naprawdę chcieliby poznać treść jakichś ciekawych telegramów.

Matthew nigdy nie łamie tajemnicy korespondencji. Owszem, zna sprawy wszystkich mieszkańców, ale z nikim nie dzieli się tą wiedzą. Czasami ma poczucie, że jest urodzonym telegrafistą: cudze sekrety zupełnie go nie ekscytują. Najwyżej ogarnia go lekkie skrępowanie, kiedy jako pierwszy dowiaduje się, że ktoś został babcią, ktoś inny stracił majątek albo spodziewa się wizyty nieproszonych krewnych. Już dawno nauczył się puszczać takie informacje w niepamięć.

Teraz siada wygodnie przy stole pod oknem. Poprzedni klient zostawił tam gazetę. Matthew przegląda machinalnie „Kronikę Nambour”. Dopiero w połowie lektury uświadamia sobie, że to wydanie z zeszłego tygodnia. Coś jednak wpada mu w oko. Wśród reklam, ogłoszeń lokalnych i plotek widzi mały nagłówek: „Rodzina męża szuka zaginionej kobiety”. Dudni mu w uszach, kiedy

czyta:

Pani Georgiana Winterbourne, matka zmarłego jubilera, Arthura Winterbourne'a z Maystowe w Somerset, szuka informacji na temat swojej synowej, Isabelli Winterbourne, prawdopodobnie przebywającej na wybrzeżu pomiędzy Townsville a Brisbane. Poszukiwana ma metr siedemdziesiąt wzrostu, szczupłą budowę ciała, jasne włosy i niebieskie oczy. Ma dwadzieścia trzy lata i może się posługiwać przybranym nazwiskiem. Na osobę, która poda informacje prowadzące do jej odnalezienia, czeka nagroda.

Potem jest podany adres Percy'ego Winterbourne'a w Maryborough, dużym mieście na północ od Brisbane.

Szukają jej. Oczywiście nie dysponują zdjęciem ani nawet nie podali szczegółowego rysopisu – zapewne dlatego, że, jak mówiła Isabella, zupełnie nie zwracali na nią uwagi – ale jej szukają. Matthew zostawia niedopitą brandy, podchodzi do baru i z udawanym spokojem pyta Eunice Hand o aktualny numer „Kroniki”. Barmanka posyła mu słodki uśmiech i odszukuje gazetę.

– Dziękuję – mamrocze Matthew i wraca do stołu. Tam błyskawicznie przerzuca kartki. Odczuwa ulgę, gdy niczego nie znajduje. Jedno ogłoszenie. Tylko jedno. Stare gazety na pewno poszły już na podpałkę.

I nagle dostrzega kolejne. Percy Winterbourne zamieszcza je co tydzień. Od jak dawna? W ilu gazetach? Wszystkich wydawanych między Townsville i Brisbane? Isabella mówiła, że to zamożna rodzina.

Matthew wstaje, jednym haustem opróżnia szklankę i wciska gazetę pod pachę. Macha na pożegnanie Eunice i innym znajomym, a potem biegnie pod górę w stronę latarni.

Isabelli nie ma już w kuchni. Matthew pędzi na piętro i znajduje ją zajętą porządkowaniem materiałów na podłodze. Kobieta podnosi wzrok i mówi:

– Chyba zgubiłam zapięcie, które właśnie zrobiłam.

Matthew wręcza jej gazetę, złożoną na stronie z ogłoszeniem. Tekst zajmuje niewiele miejsca, ma pięć centymetrów wysokości, szerokość jednej wąskiej szpalty. Mimo to oczy kobiety wyławiają go natychmiast, a źrenice zwężają się mocno.

– Za miesiąc już mnie tu nie będzie – zapewnia Isabella.

– Powinnaś wyjechać już teraz. Dzisiaj. – Na samą myśl o tym serce Matthew wyje z bólu.

– Percy mnie nie znajdzie. Jeszcze nie. Ten opis mógłby się odnosić do każdego. Rozumiesz? Do jakiegokolwiek jasnowłosej kobiety, która przenosi się do jednego z wielu miasteczek na wybrzeżu. Percy o tym wie. Jest zdesperowany i boi się, że nigdy mnie nie znajdzie. Na wybrzeżu jest tyle

portów. On dobrze zdaje sobie sprawę, że mogą być w dowolnym miejscu na świecie.

– A jeśli to ogłoszenie wpadnie w ręce Katherine Fullbright? Albo Abla Barretta? On na pewno ma wobec ciebie jakieś podejrzenia.

– Abel Barrett nie piśnie ani słówkiem – stwierdza Isabella z pełnym przekonaniem. – A Katarina słabo czyta i zdecydowanie nie interesuje się ogłoszeniami w gazetach.

– A jeśli następnym razem Percy zamieści też twoje zdjęcie?

– Moje jedyne zdjęcie to ślubna fotografia stojąca na kominku w domu, który dzieliłam z Arthurem w Anglii. Percy raczej po nią nie pošle, skoro wie, że na przesyłkę czeka się wiele miesięcy. – Isabella zaczyna tracić pewność siebie, próbuje więc autoperswazji za pomocą racjonalnych argumentów.

– Mogłabyś wyjechać jeszcze przed końcem tygodnia – nalega Matthew. – Popłynąć do Ameryki, do siostry.

– Dałam słowo, że dostarczę biżuterię znajomym Berenice. Poza tym muszę wrócić do Brisbane po pieniądze. – Isabella unika jego spojrzenia i mężczyzna, nie po raz pierwszy, robi się podejrzliwy. – Matthew, kochanie, nawet jeśli Abel Barrett albo ktoś inny wyśle telegram do Percy'ego, to co mu napisze? Że tu byłam, ale coś ukradłam i musiałam wyjechać. Nikt nie wie o mojej obecności tutaj. Jestem niewidzialna.

Matthew słucha Isabelli i postanawia dać wiarę jej słowom.

– Będziemy ostrożni – oświadcza. – A ty wyjedziesz, gdy tylko dostaniesz pieniądze.

Isabella kręci przecząco głową.

– Wyjadę dopiero po balu. Włożyłam w to już tyle pracy. Wyruszę za miesiąc i parę dni. Nie martw się. Będziemy ostrożni, tak jak powiedziałeś. JA będę ostrożna.

Ponownie czyta ogłoszenie, a w jej oczach pojawia się lęk, który budzi w Matthew silny instynkt opiekuńczy. Tak, nawet gdyby Percy Winterbourne stanął w drzwiach latarni i spytał o Isabellę, on zrobi, co w jego mocy, by ją ukryć: będzie kłamał, walczył, naprowadzi tamtego na fałszywy trop i wyśle na drugi koniec kraju.

W głębi serca Matthew zdaje sobie sprawę, że przystał na odwołanie terminu wyjazdu, ponieważ chce spędzić z Isabellą te ostatnie tygodnie. Zwykle nie odrzuca najrozsądniejszych rozwiązań, ale teraz jest zakochany i trudno go winić. Ma tylko nadzieję, że tego nie pożałuje.

Isabella zastanawia się, kiedy wróci Xavier. Brak jej odwagi, by pójść do miasteczka i zasięgnąć języka albo nawet skryć się w cieniu mangowca przed Exchange i czekać na Abla Barretta. Powiedział jej, że wyjechali na dwa, może trzy miesiące. Było to dwa miesiące temu, więc wkrótce wrócą. Isabella często staje na górnym balkonie latarni i wypatruje Xaviera z kucharką na plaży. „Błagam, tylko żadnej nowej niani” – myśli. Jednak chłopiec się nie zjawia. To i tak bez znaczenia.

Isabella powtarza sobie, że kiedy tylko znajdzie się w Brisbane, sprzeda nową biżuterię, ale prawda jest taka, że nie zamierza wyjeżdżać przed powrotem Xaviera. Dopiero wtedy zadecyduje, co i jak powinna zrobić.

Pewnego słonecznego poranka, gdy siedzi na balkonie z kolanami pod brodą i gołymi stopami, przychodzi do niej Matthew.

– Właśnie dostarczono przesyłkę dla ciebie – mówi, marszcząc czoło.

– To jakiś problem?

– Paczka jest zaadresowana do Mary Harrow w latarni morskiej. Nie powinnaś ujawniać tego adresu, Isabello.

Kobieta bierze paczkę do rąk i odwraca ją.

– Nadawcą jest Berenice McAuliffe. Ona mnie nie wyda – odpowiada nieco niepewnie.

Co takiego mogła jej przysłać Berenice? Sądząc po rozmiarach przesyłki, jest tam coś więcej niż samo zaproszenie, które zresztą można było wysłać po prostu telegramem, a już na pewno bez pakowania w brązowy papier i obwiązywania sznurkiem. Isabella wstaje, mija Matthew i schodzi na niższe piętro. Materiały są pochowane, zajmie się nimi dopiero po południu. Siada na podłodze w ulubionej pozycji i rozsypuje węzły na sznurku. Odwinąwszy papier, znajduje w środku ciemnoróżową suknię. Spomiędzy jej fałdów wypada liścik:

Moja droga Mary, zapraszam Cię na mój doroczny wiosenny bal, który odbędzie się piętnastego września o dziewiętnastej w sali balowej hotelu Bellevue przy George Street. Nalegam, abyś przyjechała ze swoim przyjacielem. Przysyłam Ci suknię (jedną z moich, przerobioną przez Adelaide), którą możesz włożyć, jeśli nie masz innej.

Mary, wynajęłam dla Was dwupokojowy apartament w hotelu Bellevue, najlepszym w całym Brisbane. Jeśli zechcesz skorzystać z mojej gościny, dopilnuję, aby o szesnastej w przededniu balu podano podwieczorek w prywatnym salonie, gdzie ponad tuzin moich znajomych chciałoby obejrzeć Twoją biżuterię.

Pozdrawiam Cię serdecznie

Berenice

– A zatem znowu wyjeżdżasz? – pyta Matthew lekkim tonem, choć Isabella wie, że jego myśli są znacznie mniej bez troskie.

– Wyjeżdżamy oboje – oświadcza, pokazując mu zaproszenie.

Matthew kręci głową.

– Nie, nie. Nie mogę zostawić latarni bez nadzoru.

– Nonsens. Każdemu latarnikowi z pewnością przysługuje jakiś urlop. Czy ktoś inny nie mógłby tu przyjechać i popilnować światła przez kilka nocy?

– Nie. To znaczy tak. Jeśli złożę stosowny wniosek, władze przyślą kogoś na zastępstwo, ale zostały nam raptem dwa tygodnie i... Isabella, to zbyt niebezpieczne. Nie pasuję do eleganckiego towarzystwa. A już na pewno nie pasujemy tam jako para.

– W Brisbane nikt cię nie zna – przekonuje Isabella, starając się zachować spokój.

– Ale nie jesteśmy małżeństwem. Nie powinniśmy podróżować razem, jakbyśmy...

– Berenice zarezerwowała nam dwa pokoje, nie musimy dzielić łóżka. Na parowcu będziemy mieli osobne koje. Zaloty nie są karalne, Matthew. Zakochani ludzie zaręczają się i wolno im spędzać razem czas. Pamiętaj, proszę, że żyjemy w dwudziestym wieku. Kobiety otrzymają wkrótce prawa wyborcze, a wtedy nikt nie odważy się krytykować ich za podróżowanie w czyimkolwiek towarzystwie. Poza tym – Isabella ścisza głos – przecież i tak żyjemy tu bez ślubu jako para. Dobrze o tym wiesz. Dlaczego mielibyśmy się bać, że nas o to oskarżą?

Posunęła się za daleko i Matthew robi się czerwony od cebulek włosów po szyję. Czuje wstyd i gniew. Odwraca się, mamrocząc coś wściekle pod nosem, schodzi na dół i zatrząskuje za sobą drzwi do pokoju z telegrafem. Serce Isabelli wali mocno, więc ona sama bierze głęboki wdech i nakazuje sobie spokój. Nieważne, czy Matthew zgodzi się z nią podróżować, czy nie. Ona i tak zrobi swoje.

Jednak jakaś jej część marzy o jego towarzystwie, chce z nim tańczyć jak para zakochanych, przedstawić go Berenice, która byłaby zachwycona jego spokojnym pragmatyzmem i męskim wdziękiem.

Nie, to tylko głupie marzenie. Matthew z nią nie pojedzie. Isabella wstaje, prostuje suknię, przykłada ją do siebie, podziwia jedwab i drogie koronki. Lecz myśl o włożeniu jej na bal przestaje sprawiać przyjemność. Isabella chce wyglądać pięknie dla Matthew, nie dla obcych ludzi.

Rozpina własną suknię i zrzuca ją, potem wkłada i mocno sznuruje balową kreację. Rozpuszcza włosy luźno na ramiona, odwraca się, by obejrzeć swoje odbicie w szybie kredensu. Widzi tam zarys talii, kontrast między białą skórą a głębokim kolorem tkaniny. W końcu schodzi na dół, by pokazać się Matthew.

Drzwi do biura są otwarte i nikogo tam nie ma. Zaintrygowana Isabella zagląda do sypialni. Mężczyzna stoi tyłem do niej, nad kufrem pełnym starych ubrań stojącym w nogach łóżka.

– Matthew?

Odwraca się i uśmiecha na jej widok.

– Wyglądasz cudownie.

W dłoniach trzyma marynarkę.

– Co to? – pyta Isabella.

– Marynarka, w której brałem ślub.

Kobiecie robi się jednocześnie zimno i gorąco.

– Jesteś żonaty?

– Byłem żonaty. Wiele lat temu. Moja żona zmarła w wieku zaledwie dwudziestu lat. Miała na imię...

Isabella szybko przyciska palce do jego warg.

– Nie mów mi. Nie teraz. Opowiesz mi w swoim czasie, ale jeszcze nie mów mi, jak miała na imię, bo byłoby mi przykro.

Wiedziała oczywiście, że Matthew musiał być już kiedyś zakochany. Mężczyzna w jego wieku ma za sobą takie doświadczenia. A jednak zazdrość kłuje zaskakująco dotkliwie.

Matthew zaciska usta. Nie podoba mu się to, ale spełnia jej prośbę.

Isabella dotyka rękawa jego marynarki.

– Będzie jeszcze na ciebie pasować? – pyta.

– Tak sądzę. Raczej nie jestem żarłoczny, więc nie utylłem zanadto. Jeśli chcesz, mogę ją włożyć na bal.

Isabella się uśmiecha.

– Tak, Matthew. Będę zachwycona.

Mężczyzna posyła marynarce smutne spojrzenie.

– To marnotrawstwo mieć ją na sobie tylko raz. – Potem znowu spogląda na Isabellę.
– Napisałem już do moich przełożonych. Pojedziemy razem do Brisbane na wiosenny bal lady McAuliffe. Nie możesz podróżować bez mojej opieki. Na wypadek gdyby... – Przerywa, a potem odzyskuje panowanie nad sobą. – Isabello, nie wiem, jak długo jeszcze będę cię miał przy sobie, i chcę zachować to wspomnienie na pamiątkę.

Isabella rzuca mu się na szyję, przytula twarz do jego ramienia i wdycha znajomą woń.

– Tak się cieszę, kochanie.

Stoją przytuleni, boleśnie zdając sobie sprawę z upływu czasu.

Isabella i Matthew wysiadają z rozklekotanego tramwaju konnego przed hotelem Bellevue i George Street. Gmach, stojący na skraju rozległych ogrodów, naprzeciwko siedziby parlamentu, jest zbudowany z eleganckiej cegły, ma szerokie werandy i balustrady z kutego żelaza. Isabella mocno trzyma Matthew za rękę. Mężczyzna jest wyraźnie oszołomiony, ale nie chce się do tego przyznać. Isabella ściska jego palce, jednak on nie odwzajemnia gestu; wciąż czuje się skrępowany publicznym okazywaniem uczuć. Poza tym chyba raczej nie cieszy go pobyt w tętniącym życiem mieście, gdzie tyle par oczu może śledzić Isabellę. Wciąż myśli o Percym Winterbournie. Ona oczywiście też, ale nie zamierza się poddać lękowi. Żeby uciec, musi sprzedać klejnoty.

Hotelowy hol jest duży i pełen ludzi, ozdobiony postumentami, na których stoją kamienne urny. Za recepcją widać ocieniony dziedziniec. Ogromne podwójne drzwi po lewej stronie prowadzą do jadalni. Isabella zastanawia się, czy właśnie to miejsce lady McAuliffe wybrała na swój wiosenny bal. Odziany na biało personel nakrywa stoły śnieżnobiałymi obrusami. Isabella i Matthew biorą klucz z recepcji, zostawiają bagaże, które zostaną wwieszone na górę windą, i po szerokich schodach wchodzą do swojego apartamentu.

Matthew wyraźnie się odpręża, kiedy zamknąwszy za sobą drzwi, zostają sami. Zdejmuje kapelusz i przyciska go do piersi skrzyżowanymi ramionami.

– I za to wszystko zapłaciła twoja znajoma, lady McAuliffe? – pyta.

– Jest bardzo hojna. A do tego bardzo bogata – tłumaczy Isabella, ściągając rękawiczki i odkładając je na stół. Większość mebli wykonano z ciemnego cedru. Po obu stronach wyjścia na werandę stoją dwa krzesła z wysokimi oparciami, a pod ścianą pokrytą wzorzystą tapetą – szeszlone. Isabella otwiera drzwi do pierwszego pokoju i widzi łóżko z baldachimem oraz cedrową toaletkę z lustrem. Wchodzi do środka i odsuwa ciężkie zasłony, żeby obejrzeć widok roztaczający się nad wierzchołkami drzew. Dobrze zna ten rodzaj luksusu; jej ciało wciąż go pamięta.

Matthew staje w drzwiach.

– Każde z nas ma swój pokój – informuje ją. – Właśnie znalazłem swój.

Isabella podchodzi i obejmuje go w pasie.

– I tak przez całą noc będę spała z tobą, kochanie – mówi.

Mężczyzna uśmiecha się niepewnie i ścisza głos.

– Nie jestem przyzwyczajony do takich tłumów. Za ścianą mogą mieszkać inni goście.

– Nie znają nas i nie obchodzi ich, kim jesteśmy – zapewnia Isabella uspokajająco. – Chodź ze mną.

Prowadzi Matthew na werandę. Stoją tam dwa trzcinowe fotele bujane, z których można patrzeć na szeroką, toczącą się leniwie rzekę. Matthew przesuwa palcami po kutej żelaznej balustradzie, podczas gdy Isabella siada i zaczyna się kołysać.

– Wspaniałe miejsce, prawda? – mówi.

– Dla mnie chyba zbyt wspaniałe.

Na odgłos pukania do drzwi Matthew aż podskakuje. Isabella śmieje się lekko i dotyka jego ręki.

– Kochanie, nie denerwuj się. To na pewno Berenice.

Przechodzi przez pokój i otwiera ciężkie drewniane drzwi. Za nimi rzeczywiście czeka Berenice, odziana w suknię z czerwonego jedwabiu. Wita Isabellę serdecznym uściskiem, a potem odsuwa się i mierzy wzrokiem Matthew, który stoi nieśmiało pod ścianą. Nie jest przyzwyczajony do bywania w towarzystwie, a już na pewno nie do tak wykwintnego otoczenia. Nie pasuje do tego miejsca. Isabella po raz pierwszy zauważa, że powinien przystrzyc brodę. Nagle robi jej się żal mężczyzny. Ten żal jest tak przejmujący, że zapiera dech w piersiach.

– Berenice, chciałabym ci przedstawić mojego przyjaciela, Matthew Seawarda.

Nawet jeśli Berenice widzi skrępowanie Matthew, to beztrósco je ignoruje. Serdecznie ściska dłoń mężczyzny i mówi:

– Miło mi pana poznać.

– Wzajemnie, lady McAuliffe.

Berenice zbywa ten tytuł lekceważącym machnięciem laski.

– Dajmy sobie spokój. Wystarczy Berenice. Czym się pan zajmuje?

– Jestem latarnikiem i telegrafistą w Lighthouse Bay. Pracuję tam od sześciu lat, a w swoim zawodzie od dwudziestu.

– To prawdziwe oddanie – stwierdza Berenice ze skinieniem głowy. – Bardzo chwalebne. No cóż, jestem pewna, że nie zechce pan siedzieć tutaj i słuchać kobiet paplających przez godzinę o biżuterii. Proponuję, żeby zszedł pan na dół, do czytelni. To miłe pomieszczenie z biurkami do pisania, gdzie można w spokoju poczytać gazety lub czasopisma.

Matthew uśmiecha się nerwowo. Isabella chciałaby wiedzieć, co go rozbawiło. Zapewne nie miał kontaktu z wieloma kobietami, a Berenice jest zdecydowanie specyficzna. Być może przeraża go na swój uroczy sposób.

– Dziękuję, lady McAuliffe – mówi Matthew, konsekwentnie podkreślając świadomość dzielącej ich różnicy klas. – Tak właśnie zrobię.

Po jego wyjściu Berenice żąda, żeby Isabella pokazała jej nową biżuterię. Isabella przez całą podróż trzymała pod ręką niewielką walizeczkę. Teraz kładzie ją na stole i podnosi wieko. Berenice jest zachwycona. W środku znajduje się sześć broszek i trzy bransoletki.

– Są prześliczne, moja droga. Sprzedamy je wszystkie. Powiedziałam już znajomym, żeby wzięły z sobą pieniądze, bo w przeciwnym razie wrócą do domu z pustymi rękami. Będą tu za dwadzieścia minut, więc idź umyć twarz i ogarnąć się nieco, a ja rozłożę te piękne błyskotki tak, żeby podkreślić ich urodę.

Isabella idzie do sypialni z bijącym mocno sercem. Jeszcze przed wieczorem pozbędzie się wszystkich klejnotów Winterbourne'ów. Solidna lina wiążąca ją z nimi strzępi się. Wolność jest tuż-tuż.

Wlewa nieco wody do miednicy na toaletce i ochlapuje twarz. Już dawno nie widziała swojego odbicia w lustrze, więc jest zaskoczona tym, jak dobrze wygląda, jak ładnie zarumienione są jej policzki, jak błyszczą oczy. Nie przypomina sobie, żeby od śmierci Daniela wyglądała równie dobrze w Anglii. Była tam jak cień, ale teraz wraca do trzech wymiarów. Nagły atak paniki: czy to sygnał, że kończy się jej żałoba? „Błagam, tylko nie to”. Isabella nie chce się pozbywać tego bólu z serca, bo to mogłoby oznaczać, że nie kocha już synka.

Pukanie do drzwi przypomina jej o podwieczorku. Isabella szybko przygląda włosy i suknię, a następnie wraca do salonu.

Dwie młode służące nakrywają do stołu. Berenice rozstawiła już stolik karciany i artystycznie ułożyła na nim broszki oraz bransoletki. Teraz uśmiecha się do Isabelli.

– Mary, wyglądasz przepięknie – mówi.

– Dziękuję. Dziękuję za wszystko, co dla mnie robisz. Nie wiem, jak ci się odwdziczę.

Berenice kiwa głową.

– Pewnego dnia okaże się, że możesz pomóc komuś, kto tego potrzebuje. I tak właśnie mi się odwdzięczysz.

Myśli Isabelli biegną do Xaviera i jego pozbawionego miłości domu rodzinnego.

Chwilę później służące zajęły się otwieraniem drzwi i wpuszczaniem kolejnych dam odzianych w falbaniaste suknie, znających i kochających Berenice – lub znających ją i bojących się jej. Wszystkie wylewnie witają się z Isabellą, opowiadają, jak zobaczyły jej wyroby i zrozumiały, że „po prostu muszą” mieć jeden z nich, ale ich słowa niekoniecznie przekładają się na czyny. Damy jedzą, plotkują i popijają herbatkę. Część z nich rozsiadła się na werandzie. Isabella zaczyna się obawiać, że zapomniały już o jej biżuterii.

Wreszcie zauważa dwie kobiety przy stoliku karcianym. Panie sprzecząją się uprzejmie o to, która z nich pierwsza zobaczyła broszkę z rubinem, a co za tym idzie – która ma prawo ją kupić. Ta wymiana zdań przyciąga uwagę innych dam i już po chwili wokół stolika zbiera się cały tłumek, a Berenice popycha Isabellę naprzód, żeby ją skłonić do rozmowy.

– Ile kosztuje ta bransoletka? – pyta jakaś korpulentna pani.

Isabella kalkuluje w myślach cenę, a potem ją podwaja, zgodnie ze wskazówkami Berenice.

– Siedemdziesiąt funtów.

– Kupuję.

Wkrótce cała biżuteria zostaje sprzedana, a Isabella ma wystarczająco dużo pieniędzy na dwie albo trzy podróże z Xavierem do Nowego Jorku i z powrotem. Jej serce trzepocze, ale na twarzy nie widać już niepokoju, tylko podniecenie.

W chwili gdy dwie ostatnie panie opuszczają apartament, a służące zaczynają sprzątać ze stołu, w drzwiach staje Matthew. Wygląda na skrepowanego.

– Mam wrócić później? – pyta.

Berenice chwyta go za rękę i wciąga do środka.

– Ależ skąd! Może ciasta? Dużo nam zostało. Wszystkie panie były bardziej zainteresowane biżuterią Mary. – Berenice szturcha lekko Isabellę. – Naprawdę musisz zrobić tego więcej. Mogłabyś być bogata.

Isabella zdaje sobie sprawę, że Matthew na nią patrzy.

– Nie zależy mi na bogactwie – mówi. – Mam kilka prostych celów. Dziękuję, że pomogłaś mi je osiągnąć.

Berenice mruży oczy, ale nadal się uśmiecha.

– Tajemnicza z ciebie kobieta, Mary Harrow – stwierdza. – Nigdy nie mam pewności, czy powinnam cię traktować poważnie, czy nie. W każdym razie jesteś urocza, a do tego śliczna. Cieszę się, że jutro wieczorem zobaczę cię na balu. O dziewiętnastej usłyszycie gong. – Żegna Matthew skinieniem głowy. – Jeszcze porozmawiamy.

– Tak jest, lady McAuliffe – odpowiada latarnik.

Berenice wywraca komicznie oczyma.

– No dobrze. Skoro upiera się pan, żeby tak mnie tytułować...

Isabella i Matthew siadają na werandzie, czekając, aż służące uprzątną wszystko i będzie można wrócić do środka.

– Podobało ci się w czytelni? – pyta Isabella, gdy razem obserwują ciemniejące niebo nad rzeką.

– Tak, a w drugim holu jest elektryczny telegraf. Hotel ma własny.

– Chyba zatrzymuje się tu wielu posłów.

– Ciekawe, kto jeszcze. Oby nie Percy Winterbourne, w poszukiwaniu ciebie.

– Och, daj spokój Matthew. Widzisz potwory tam, gdzie ich nie ma.

– No cóż. Przyjeżdża tu mnóstwo bogatych ludzi. – Matthew posyła Isabelli uśmiech. – Czy mam rozumieć, że ty też już się do nich zaliczasz?

Isabella kiwa potakująco głową.

– Sprzedałam wszystko. Mam więcej, niż potrzebuję na nowe życie w Ameryce.

– W takim razie powinnaś jechać. Może jutro. Parowce do Sydney odpływają co chwilę, a stamtąd możesz wyruszyć do San Francisco albo Nowego Jorku.

– Jeszcze nie jutro – oponuje ostrożnie Isabella. – Nie chcę opuścić balu Berenice. Jeszcze nie. Równie dobrze mogę popłynąć do Sydney z Mooloolah Heads.

– Ale...

Isabella zrywa się z fotela i przyciska palce – a po chwili wargi – do jego ust.

– Matthew – mruczy – proszę, zapomnij o tym wszystkim na kilka dni.

Matthew spełnia jej prośbę, przynajmniej pozornie, ale poczucie winy już zaczyna usuwać grunt spod stóp Isabelli.

Sztywne spodnie, jedwabna kamizelka, ciężka marynarka, czarny fular... Matthew wyciąga po kolei wszystkie rzeczy, zastanawiając się, co tu właściwie robi. Powinien był zostać w domu. W latarni morskiej wie, kim jest, natomiast tutaj...

Problem stanowi Isabella. W domu nie widać dzielącej ich różnicy. Matthew to zaradny, niezależny mężczyzna, dobrze wychowany i inteligentny. Ona jest serdeczna, nieco dziecinna i pełna wdzięku, również dobrze wychowana i inteligentna. Dopiero tutaj, w otoczeniu innych ludzi, Matthew widzi wreszcie to, czego starał się nie dostrzegać. Jej pochodzenie przebija z intonacji głosu, ze sposobu, w jaki Isabella przyjmuje filiżankę herbaty od służącej, z postawy. Jest w tym wszystkim swoboda, której Matthew nigdy nie nabędzie, choćby żył i sto lat w tym hotelu.

Isabella jest inna. Matthew widzi teraz jasno, że wbrew jego słodkim nadziejom nigdy nie będą mogli być razem. Prędzej czy później stałby się dla niej źródłem rozczarowania. Isabella zdecydowanie powinna wyjechać, on zaś stanowczo musi żyć samotnie, choć czuje, że już nigdy nie będzie mu z tym dobrze.

Ciche pukanie do drzwi wprawia jego serce w nerwowy dygot. Po chwili Matthew się uspokaja: oczywiście to Isabella, a nie policja z nakazem aresztowania, nie Percy Winterbourne z pistoletem. Isabella staje przed nim w ciemnoróżowej sukni balowej z dopasowanym gorsetem i bufiastymi rękawami ozdobionymi pąsową wstążką. Nosi długie rękawiczki, a włosy ma związane luźno na karku. Powinien jej powiedzieć, że wygląda cudownie – prawdziwe ucieleśnienie kobiecości. Tyle że on wcale tak nie uważa. W głowie kołacze mu jedna myśl: „Ona nie wygląda jak Isabella. Wygląda jak ktoś inny”.

Nawet jeśli Isabella odnotowuje brak komplementów, nic sobie z tego nie robi. Prostuje mu tylko kołnierzyk i strzepuje pyłki z ramienia.

– Dobrze się czujesz? – pyta, unikając jego spojrzenia.

– Świetnie – odpowiada Matthew. Wie, że jego głos brzmi ponuro, ale nie potrafi się powstrzymać.

– Matthew, czy ty umiesz tańczyć?

– Nie.

Isabella parska śmiechem i wreszcie zaczyna przypominać kobietę, którą Matthew zna i kocha. Cała sztuczność znika.

– W takim razie co z nas za para?

– Zawsze możemy posiedzieć i posłuchać orkiestry.

Isabella bierze go pod ramię.

– Nieważne, co będziemy robić, bylebyśmy robili to razem.

Razem opuszczają apartament i schodzą na dół. Niewielka orkiestra stroi już instrumenty w jadalni, podczas gdy wyelegantowani goście krążą od stołu do stołu w poszukiwaniu karteczek ze swoimi nazwiskami. Isabella znajduje własną – „Mary Harrow i osoba towarzysząca” – więc Matthew może z ulgą usiąść. Jego garnitur przyciągnął już kilka pełnych dezaprobaty spojrzeń. Jest stary i niemodny; wszyscy inni mężczyźni są w lśniących frakach. Matthew zastanawia się, czy Isabella zauważyła jego niestosowne odzienie i postanowiła milczeć, czy też zupełnie nie zwróciła na nie uwagi.

Salę oświetlają gazowe żyrandole. Ich blask odbija się od kieliszków i talerzy. Orkiestra gra cicho bourrée, a goście zajmują miejsca. Na stołach pojawia się pierwsze danie. Parkiet taneczny świeci na razie pustkami. Bardzo młody mężczyzna siada koło Matthew i wita się z nim ostrożnie. Matthew zastanawia się, czy lady McAuliffe posadziła ich obok siebie, ponieważ sądziła, że towarzysz Isabelli również będzie młody. Isabella ma raptem dwadzieścia trzy lata, on niemal dwa razy tyle.

Matthew jest coraz smutniejszy. Jak mógł być takim głupcem? Starym głupcem. Starym, nieokrzesanym głupcem.

I nagle Isabella odwraca się do niego z uśmiechem na ustach i miłością w oczach, a Matthew zadaje sobie pytanie, co ona w nim właściwie widzi. Najwyraźniej coś jednak widzi. Serce mężczyzny ściska ból. Czy będzie potrafił się z nią rozstać?

Isabella potrzebuje chwili wytchnienia. Mięśnie twarzy bolą ją od ciągłego uśmiechu. Przez cały wieczór podchodziły do niej rozmaite kobiety wraz z mężami, by zapytać o biżuterię i dowiedzieć się, czy Isabella zamierza zrobić jej więcej. Wszyscy kręcili głowami z rozczarowaniem na wieść, że nie ma takich planów. Pewien dżentelmen powiedział jej, że jego kuzyn w Sydney jest jubilerem eksportującym biżuterię na cały świat i że chętnie poznałby go z Isabellą.

Nie, dziękuję. Isabella zna już wystarczająco wielu jubilerów.

Cieszy się, że Matthew nie tańczy. Francuskie pantofelki na obcasie, które kupiła rano, obcierają jej stopy. Zapomniała już, jak męczące jest bywanie w towarzystwie. Zbyt długo ukrywała się w latarni, niczym jakieś morskie stworzenie skulone wewnątrz muszli. Po opuszczeniu kryjówki pierwszym impulsem jest zawsze ucieczka.

Isabella nachyla się do Matthew, żeby powiedzieć mu, jak bardzo jest zmęczona. Kiedy podnosi wzrok, widzi zmierzającą w ich kierunku pięknie ubraną i bardzo szczupłą kobietę.

– Chodź – szepcze do mężczyzny. – Wyjdziemy na dziedziniec. Nie jestem w stanie odbyć kolejnej rozmowy.

Udając, że nie zauważyła chudej kobiety, łapie Matthew za rękę. On wstaje, rzuca na stół sztywną serwetkę i rusza śladem Isabelli. Połowa krzeseł przy stołach jest pusta, ponieważ goście przenieśli się na parkiet. Siedzą głównie popijający mężczyźni oraz starsze panie ze sztywnymi loczkami na głowach i równie sztywnym wyrazem twarzy. Orkiestra gra dziarskiego walca, panie i panowie w wykwintnych strojach wirują w takt muzyki. Isabella i Matthew kierują się w stronę wielkich podwójnych drzwi prowadzących do holu. Dopiero na dziedzińcu pełnym tropikalnych roślin oddychają głęboko z ulgą.

– Dobry Boże – wzdycha Isabella. – Jestem wyczerpana.

Matthew chwyta ją w ramiona, a ona opiera się z wdzięcznością na jego piersi pod szorstką marynarką i wsłuchuje w bicie jego serca. Mężczyzna gładzi łagodnie jej włosy.

W końcu Isabella się odsuwa i spogląda na niego w padającym z holu świetle lamp.

– Ty na pewno jesteś jeszcze bardziej wyczerpany niż ja.

– Nie ma sensu konkurować – mówi Matthew, nadal lekko mrukliwie, tak jak przez cały wieczór.

Isabella przenosi wzrok na nocne niebo. Jest bezchmurne, a gwiazdy wyglądają niczym biały pył rozrzucony niedbale na granatowym tle. Już niedługo będzie oglądać te gwiazdy z innego miejsca na ziemi. Po raz pierwszy zastanawia się, co Matthew zrobi bez niej. Czy będą do siebie pisali. Czy nadal będą się kochać pod tymi samymi gwiazdami, choć rozdzieleni oceanem. Do tej pory postrzegala to uczucie jako chwilowe; krótki wybuch namiętności i barw, które zakwitły nagle i równie szybko znikną. Pytanie jednak, co będzie potem.

Isabella dotyka ręką klapy jego marynarki.

– Opowiedz mi o dniu, kiedy po raz pierwszy miałeś to na sobie – prosi. Nie pytała jeszcze o jego żonę. Powstrzymuje ją mieszanina zazdrości i strachu. Dziś jednak czuje, że chciałaby się dowiedzieć o nim wszystkiego.

Matthew łagodnieje, cała mrukliwość wyparowała.

– Kiedy ożeniłem się z Clarą, miałem dwadzieścia cztery lata, a ona dwadzieścia. Była córką

hurtownika handlującego herbata, ja uczyłem w wiejskiej szkole. Zakochaliśmy się... – Głos więźnie mu w gardle. Isabelli trudno, bardzo trudno jest tego słuchać. Kiedy ona wspomina Arthura, nie mówi o miłości, a głos jej się nie łamie. – Pewnego letniego popołudnia pobraliśmy się w miejscowym kościele – ciągnie Matthew. – Było ciepło, więc wszystkie okna zostały otwarte, wiatr przynosił woń kwitnącego drzewa frangipani. W pewnym momencie powiało mocniej i kilka kwiatków opadło na ławki. Ten zapach już zawsze będzie mi się kojarzył z moim ślubem. Woskowy i słodki. – Mężczyzna przymyka na moment powieki, jakby wciąż czuł tę woń. Potem otwiera oczy. – Clara różniła się od reszty dziewcząt. Miała w sobie jakąś niekontrolowaną dzikość. Była samolubna. Dysponowała ciałem kobiety i inteligencją osoby dorosłej, ale jej wola i temperament należały wciąż do dziecka. Byłem zakochany i zaślepiony, więc szybko pokonała mnie swoimi wymaganiami i ostrym językiem. Jednego dnia traktowała mnie okrutnie, następnego – zmieniała się w osobę słodką, uroczą i skruszoną. Wpadliśmy w zaklęty krąg pogardy i wybaczenia. W końcu dopadło mnie znużenie... – Matthew bierze głęboki wdech, przeciera czoło dłonią. – Kiedyś powiedziałem jej: „Dosyć tego, Claro” i zażądałem, żeby tym razem, tym jednym jedynym razem zrobiła to, czego ja chcę, i mi się nie sprzeciwiała. A ona zniknęła. Na wiele dni. Wróciła dopiero wtedy, kiedy zachorowała. Niedługo potem choroba odebrała jej życie.

– Tak mi przykro – mówi Isabella. Powstrzymuje się od wyrażenia innej myśli: z tej relacji wynika, że Clara była potworem, który w końcu złamałby mu życie. Powodowana niepokojem podsycanym przez zazdrość pyta jednak: – Kochasz ją jeszcze?

Matthew marszczy z namysłem czoło.

– Mam wrażenie, że to wszystko wydarzyło się wieki temu – wyznaje. – Nie mogę powiedzieć, że jej nie kocham, ale miłość to dla mnie coś jasnego, coś, co dzieje się teraz, a mojego uczucia do Clary nie da się tak opisać.

Przez moment oboje milczą. Słyszą cykanie świerszczy i muzykę dobiegającą z sali balowej. Matthew uśmiecha się nagle i chwyta Isabellę za rękę.

– Wiesz co? – zagaduje. – Okłamałem cię dzisiaj.

Ujmuje drugą dłoń kobiety i przybiera postawę tancerza.

– A więc umiesz tańczyć?

– Bardzo kiepsko, ale raczej nie umrę, jeśli zatańczę z tobą walca w blasku księżyca.

Isabella uśmiecha się i zrzuca pantofelki, po czym ruszają do tańca. Na początku nie mogą złapać wspólnego rytmu, ale już po chwili im się to udaje i wirują cicho po dziedzińcu. Serce Isabelli bije mocno z podniecenia i miłości. Matthew patrzy jej w oczy, jeszcze nigdy nie byli tak blisko. W czasie tego walca cały należy do niej. Jej ukochany mężczyzna.

– Ach, tu się ukryliście!

Zatrzymują się i odwracają. W drzwiach stoi Berenice.

– Zastanawiałam się, gdzie się podziałaś, Mary. Żona gubernatora, lady Lamington, chce cię poznać. Chodź.

Isabella niechętnie puszcza dłoń Matthew.

On posyła jej zachęcający uśmiech.

– Chyba zostanę tu jeszcze chwilę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem – mówi. – Obawiam się, że kiepsko radzę sobie w tłoku.

Berenice czeka, aż Isabella włoży buty, a potem prowadzi ją z powrotem do sali balowej.

– Posłuchaj, jeśli poprosi, żebyś zrobiła dla niej broszkę albo coś innego, po prostu nie możesz odmówić – instruuje Isabellę Berenice. – Z pewnością rozumiesz, że to bardzo wpływowa dama, a ja... Och, gdzież ona jest? – Berenice przeszukuje wzrokiem tłum. – Nieważne, wróci. Usiądź tu ze mną na chwilkę, muszę odpocząć.

Siadają na dwóch wolnych krzesłach przy głównym stole. Na prawo od Isabelli siedzi bardzo pijany mężczyzna z cienkimi białymi włosami. Jest wykwintnie odziany, ale ma plamy z sosu na kołnierzyku i kamizelce z trudem dopiętej na brzuchu. Ubranie Matthew może i jest tańsze, lecz on sam sto razy bardziej zasługuje na miano dżentelmena. Isabella odwraca się tyłem do pijanego mężczyzny, by móc bez przeszkód porozmawiać z Berenice.

– Twój przyjaciel nie jest już taki młody – zauważa Berenice, unosząc przy tym brew.

– Nigdy nie twierdziłam, że jest młody. To było twoje założenie – odpowiada Isabella lekkim tonem.

– Jest dla ciebie dobry? Dobrze cię traktuje?

– O, tak! – zapewnia Isabella namiętnie.

Berenice mierzy ją wzrokiem.

– Mary Harrow, obserwowałam cię przez cały wieczór, a także wczoraj podczas podwieczorku. Robię to, odkąd cię zobaczyłam na górnym pokładzie parowca, siedzącą prosto i wytwornie.

Isabella czuje, jak serce podchodzi jej do gardła.

– I wiem już, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz.

Isabella wciąga szybko powietrze.

– Pamiętasz chyba, że nigdy się za nikogo nie podawałam.

Berenice wybucha śmiechem i napięcie opada.

– Otóż to. Tańczysz wokół każdego pytania, jakie ci zadaję, co wzbudza moje podejrzenia. Zastanawiam się, co też masz do ukrycia. Początkowo sądziłam, że jesteś córką jakiegoś bankiera, która znalazła się w tarapatkach. Jednak twoje ruchy, sposób wysławiania się i swoboda towarzyska nasuwają mi przypuszczenie, że nie urodziłaś się i nie wychowałaś w klasie średniej. Należysz raczej do mojej klasy, droga Mary.

– Pochlebiasz mi, Berenice. Zapewniam cię, że nie ma we mnie nic szczególnego ani interesującego.

Berenice chce kontynuować, ale coś odwraca jej uwagę.

– No proszę, jest lady Lamington. Poczekaj tutaj – mówi, po czym wstaje zgrabnie i rusza na drugi koniec sali balowej. Isabella odprowadza ją wzrokiem i nagle kątem oka dostrzega błysk magnezji. Odwraca się. Dwa stoły dalej jakiś fotograf robi zdjęcie grupki kobiet.

Jej serce wali jak oszalałe. Fotograf. A ona prawie na pewno znalazła się w kadrze. Mężczyzna mówi:

– Proszę się nie ruszać. Zrobię jeszcze jedno do rubryki towarzyskiej.

Isabella wie już, że musi uciekać. Teraz, zaraz.

Zrywa się z krzesła i niczym Kopciuszek wybiega z sali balowej. Berenice widzi to i woła ją, ale ona biegnie dalej. Matthew wciąż jest na dziedzińcu. Isabella krzyczy do niego:

– Chodźmy stąd! Natychmiast!

Matthew słyszy panikę w jej głosie i podchodzi bliżej. Chwilę później są już bezpieczni w apartamencie.

– Co się stało? – pyta mężczyzna, podczas gdy ona opada na krzesło i kryje twarz w dłoniach.

– Tam był fotograf z gazety.

Matthew wyraża swoją dezaprobatę jednym mruknięciem, ale ona dobrze zna jego opinię. Wiedział, że tak będzie, wiedział, że nie powinna tak ryzykować i pokazywać się publicznie, zwłaszcza teraz, kiedy szuka jej Percy. Owszem, ona też to wiedziała. Wiedziała, ale podjęła ryzyko, ponieważ chce popłynąć do Sydney i Nowego Jorku pierwszą klasą wraz z Xavierem, a w Ameryce będzie potrzebować pieniędzy na wynajem ładnego domu. Chce za dużo. A ci, którzy za dużo chcą, często popełniają głupstwo i stawiają wszystko na jedną kartę.

Isabella stoi przed drzwiami domu Berenice w jednej z otrzymanych od niej sukien. Matthew czeka z bagażami po drugiej stronie ulicy. Pokojówka poszła po panią domu, a Isabella nie ma pojęcia, czy Berenice gniewa się na nią z powodu tamtej ucieczki. Przyniosła jednak prezent i chce go wręczyć osobiście.

Drzwi otwierają się ponownie. Staje w nich Berenice. Jej ładne usta są zaciśnięte w linijkę.

– Berenice. Lady McAuliffe. Chciałabym przeprosić za...

– Za upokorzenie mnie przed żoną gubernatora? Śmiało. Przepraszaj. Ja jeszcze przez kilka miesięcy będę musiała żyć z tym wstydem, ale to jeszcze nie powód, żebyś nie miała oczyścić sobie sumienia jednym zwykłym „przepraszam”.

Skruszona Isabella przełyka ślinę.

– Musiałam wyjść właśnie w tamtej chwili, a nie choćby o sekundę później. I naprawdę bardzo przepraszam. Nie naraziłabym cię na to, ale... znalazłam się w niebezpieczeństwie.

– Kolejne tajemnice, Mary?

– Obawiam się, że tak. Okazałaś mi tyle dobroci, więcej, niż na to zasługuję. Proszę, czy mogę wejść na moment? Przyniosłam ci prezent.

Berenice się waha, ale ma dobre serce i wrodzoną pogodę ducha, więc w końcu się uśmiecha i wpuszcza Isabellę do środka.

– Chodź do salonu, moja droga. Właśnie skończyłam podwieczorek, ale zostało jeszcze trochę bułeczek, jeśli masz ochotę.

– Nie, dziękuję – mówi Isabella, zdejmując kapelusz. – I tak byłaś już dla mnie zbyt hojna. Teraz ja mam coś dla ciebie.

Berenice zamyka za nimi drzwi salonu i wskazuje gościowi szeszlony. Isabella otwiera jedwabną torebkę i wyciąga z niej wisior. Jedyny, jaki zrobiła. O mało nie połamano na nim palców. Pośrodku wisi pojedynczy brylant – jedyny z buławy. Po jego obu stronach w równej odległości widnieją dwa lśniące czarne kamyki, które znalazła na plaży w Lighthouse Bay: bliźniacze, identycznego rozmiaru i kształtu. Oglądała je przez wiele dni, nie mogąc uwierzyć, że wyglądają tak samo. W końcu postanowiła zrobić z nich wyjątkowy prezent dla Berenice. Każdy kamień otacza wąska wstążka z różowego jedwabiu. Brylant jest subtelnie, ale mocno osadzony w zwojach srebrnego drutu.

Berenice patrzy na wisior jak zaczarowana.

– Zrobiłaś to dla mnie? Przecież to jest warte majątek.

– Mam teraz wszystko, czego mi trzeba – odpowiada Isabella.

– Ja też, moja droga. Jestem bogatą kobietą.

– Nieważne, ile to jest warte. Tym prezentem chciałam wyrazić swoją wdzięczność i miłość.

Wszystko dobre, co mnie ostatnio spotkało, miało związek z tobą i twoimi działaniami.

Berenice odwraca wzrok. Ma łzy w oczach.

– Nie przestajesz mnie fascynować, Mary Harrow. Rozumiem, że to dziesiąty wyrób?

Zastanawiałam się, czemu na podwieczorek przyniosłaś tylko dziewięć.

– Tak, to mój dziesiąty i ostatni wyrób. Przyszłam się z tobą pożegnać, Berenice. Wkrótce wyruszę w długą podróż i nie mogę ci powiedzieć, dokąd się wybieram, więc proszę, nie pytaj.

– Tajemnicza do samego końca, co? No cóż, nie przeczę, że czuję się lekko urażona. Nie zdradziłabym twoich tajemnic nikomu. – Berenice obejmuje Isabellę i ściska ją mocno. – Uważaj na siebie. Powodzenia, moja droga. I proszę, odezwij się kiedyś. Daj znać, że żyjesz i dobrze sobie radzisz.

– Postaram się – obiecuje Isabella. – Ale jednego możesz być pewna: nigdy cię nie zapomnę.

– Ja ciebie też nie – odpowiada Berenice.

Isabella wychodzi z chłodnego wnętrza prosto na parną ulicę. Matthew macha do niej, gdy ona wkłada kapelusz.

– Masz smutną minę – stwierdza mężczyzna.

– Bo jestem smutna. Wkrótce zostawię wszystko za sobą.

Matthew odwraca wzrok i Isabella zdaje sobie sprawę, że on też jest smutny. Gdyby on lub Berenice znali jej plany, wcale by się nie martwili. Cieszyliby się. Byliby wściekli. Krytykowałiby ją. Ta myśl jeszcze bardziej ją przygnębia. Isabella z ciężkim sercem idzie wraz z Matthew do przystani.

Po powrocie Isabelli i Matthew do latarni dni stają się coraz cieplejsze i wilgotniejsze. Matthew tłumaczy, że tak się dzieje co roku, jakby dla przypomnienia tego, co ma nadejść: kilka gorących wiosennych dni, wieczorne burze i ochłodzenie aż do Bożego Narodzenia. Ciepłe i przesiąknięte wilgocią powietrze osłabia Isabellę. Znużenie przenika ją do szpiku kości.

Codziennie po południu, podczas gdy Matthew śpi, ona idzie na plażę i chłodzi się w podmuchach wiatru znad oceanu. Zbiera muszle i kamienie, od niechcienia wyobrażając sobie biżuterię, jaką mogłaby z nich zrobić, ale nie podejmuje pracy. Matthew pyta ją co dzień, kiedy zamierza wyjechać, ona jednak mówi, że chce poczekać jeszcze jakiś tydzień, aż miną upały, ponieważ boi się sztormu na oceanie. Być może Matthew sądzi, że zwleka, bo nie potrafi się z nim rozstać; do pewnego stopnia ma rację. Isabella wie jednak, że powinna go zostawić, jeśli mają się zrealizować jej plany.

Mimo to czuje, że snucie tych planów wywołuje w niej ostatnio mdlące poczucie winy.

Tego popołudnia brnie po porośniętej trawą wydmie w dół, na twardy piasek, wiedząc, że nie zabawi tam długo. Na horyzoncie zbierają się ołowiane chmury. Isabella chce już wracać do latarni, lecz nagle coś wpada jej w oko: ciemnowłosy chłopiec spacerujący w oddali razem z wysoką, szczupłą kobietą.

Serce Isabelli zamiera. Czy to możliwe? Czyżby Xavier już wrócił? A kim jest ta kobieta? To nie kucharka ani Katarina. Może się pomyliła. Może to wcale nie Xavier.

Isabella wspina się z powrotem na wydnię i idzie wzdłuż plaży, trzymając się blisko lasu. Chce się lepiej przyjrzeć. Tak, to Xavier. Isabella czuje, że robi jej się gorąco z podniecenia. Już niedługo, naprawdę niedługo. Jeszcze nie dziś, bo chłopiec nie jest sam, a ona się nie przygotowała, ale niedługo to robi, znajdzie odpowiedni sposób.

Och, jak bardzo chciałyby go teraz przytulić.

Chłopczyk szuka muszli, a niania czujnie obserwuje burzowe chmury. Isabella jest coraz bliżej. Boi się, że zawrócą, zanim do nich podejdzie, ale też boi się zbliżyć, po chwili jednak uświadamia sobie, że nie ma powodu do obaw. Nowa niania jej nie zna. Xavier nie mówi. Isabella może więc się z nimi przywitać, może nawet zapytać nianię, kiedy wrócili i na jak długo tu zostaną. Opuszcza kryjówkę pod drzewami i schodzi na dół, kierując się prosto w ich stronę.

Niania podnosi wzrok. To młoda kobieta o zaciętej twarzy i dużych, kwadratowych dłoniach. Jest zaskoczona, gdy dociera do niej, że nieznajoma zamierza z nią porozmawiać.

Isabella się uśmiecha.

– Dzień dobry! – woła.

Chłopiec spogląda ku niej. Marszczy nerwowo brwi, ale po chwili się uspokaja. Chwyta dłoń niani i kryje się za jej spódnicą.

Krew Isabelli zastyga. Czyżby malec się jej bał? Czyżby Katarina naopowiadała mu jakichś strasznych rzeczy?

– W czym mogę pomóc? – pyta niania.

Isabella staje, wciąż patrząc na Xaviera, który unika jej wzroku.

– Jestem dawną znajomą matki chłopca – tłumaczy. Kuca przed dzieckiem. – Nie boisz się mnie, prawda, maluszk?

Xavier kręci głową i odpowiada wyraźnie:

– Nie znam cię.

– Nie znasz...? – Słychać pierwszy grzmot. Wiatr zmienia nagle kierunek i robi się zimny, ciężki od woni nadciągającego z południa deszczu.

– Proszę mu wybaczyć – mówi niania. – Wróciliśmy dzisiaj z Sydney, gdzie nie brakowało mu towarzystwa. Miał dużo twarzy i imion do zapamiętania.

Isabella nie jest w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Zapomniał o niej? Po zaledwie trzech miesiącach? Ona myślała o nim codziennie, a on o niej zapomniał? Czuje w środku straszny ból. Chciałaby chwycić chłopca w ramiona, przytulić ze wszystkich sił. Tęskni za nocami w domu Fullbrightów, kiedy leżała obok i wdychała jego zapach.

Cisza trwa dłuższą chwilę. Niania robi się niespokojna.

– Proszę pani...?

– Ja... – Isabella otwiera i zamyka usta, niczym ryba wyrzucona na brzeg.

– Jak pani na imię? – pyta niania. – Proszę powiedzieć, może mały sobie przypomni.

Isabella nie może jednak zdradzić swojego imienia, ani prawdziwego, ani przybranego. Nie powinna się w ogóle odzywać do tych dwojga. Jeśli niania wróci do domu i opowie o wszystkim Katarinie, jeśli Katarina się domyśli, że to ona, jeśli widziała ogłoszenie w gazecie... Isabella wstaje.

– Przepraszam, że zawracałam pani głowę. Pomyliłam się. To chyba dziecko kogoś innego.

Dziecko kogoś innego. O, tak. Xavier zawsze był dzieckiem kogoś innego.

– Rozumiem, proszę pani. A teraz muszę go zabrać do domu przed burzą.

Niania ciągnie Xaviera za rękę, on zaś chętnie i z uśmiechem podąża za nią. Isabella odprowadza ich wzrokiem, po czym zawraca. Jej kolana są jak z gumy. Jeden krok. Drugi krok. Dalej nie może już iść i pada na bok, na piasek. Włosy kobiety rozsypują się wokół i zasłaniają jej twarz. Isabella się kuli i szlocha. W ustach ma piach i kosmyki włosów. Na jej dłoń spadają pierwsze zimne, grube

krople deszczu, ale ona ani drgnie. Drzewa w lesie objają się o siebie wściekle. Wiatr wznosi wokół tumany piasku. Deszcz wierci dziury w plaży, przenika ubranie. Isabella nadal się nie rusza. Nie potrafi. Jej marzenie pękło jak bańka mydlana, odsłaniając gorzką prawdę: Daniel umarł, a ona nie znajdzie już pocieszenia. Nigdy. Leży więc w ulewnym deszczu, modląc się, by ocean wezbrał i ją pochłonął, tak jak powinien był to zrobić kilka miesięcy wcześniej.

Matthew się budzi, słysząc odgłosy burzy, przewraca się na bok i unosi kołdrę, żeby wpuścić do łóżka nieco chłodnego powietrza. Potem zamyka oczy i próbuje znowu zasnąć. Deszcz leje jak z cebra. Matthew otwiera jedno oko. Jest bardzo ciemno. Sztorm. Powinien już włączyć światło.

Wstaje z trudem. Może po burzy uda mu się jeszcze zdrzemnąć przez godzinę czy dwie. Wkłada koszulę i buty, wchodzi na górę. Pompuje zbiorniki ciśnieniowe, włącza światło, poprawia ciężarki i wraca na dół. Narzędzia Isabelli i jej biżuteria zostały już schowane. Trzeba przyznać, że brakuje mu widoku ukochanej przy pracy. Wyglądała wtedy na szczęśliwą, była skoncentrowana i miała zajęcie.

Dopiero teraz Matthew uświadamia sobie, że w latarni nie natknął się dotąd na Isabellę. Wraca na dół ze zmarszczonym czołem, spodziewając się spotkać ją w kuchni albo w pokoju z telegrafem. Nigdzie jednak jej nie ma.

Nie ma jej w latarni. Czyli jest na zewnątrz. A tam szaleje burza.

Matthew powtarza sobie, że nie ma powodu do obaw. Isabella chodzi na plażę każdego popołudnia. Może dała się zaskoczyć burzy i musiała szukać schronienia w lesie. Czy wie, że powinna trzymać się z daleka od wysokich drzew?

W tym momencie za oknem się błyska i rozlega się ogłuszający grzmot. Może powinien jej poszukać? Isabella jest silna: przeżyła katastrofę okrętu i przeszła wiele mil, by tu trafić. Pojawiają się jednak czarne myśli. Matthew ciągle się boi, że rodzina męża w końcu ją dopadnie, a on nie będzie mógł jej obronić. Rusza do drzwi, wkłada pelerynę i kalosze. Wychodzi na dwór.

Las tonie w wodzie, podłoże jest błotniste, na ziemię lecą liście i gałęzie. Krople rześkiego deszczu wpadają za kołnierz i do butów. Jeszcze zanim Matthew dociera do plaży, jego broda ocieka wodą. Mężczyzna wpatruje się w szarą dal i początkowo nikogo nie widzi, ale to dlatego, że szuka wzrokiem stojącej sylwetki. Tymczasem Isabella leży na boku w przemokniętej błękitnej sukni, w oddali. Co ona tam robi? Serce Matthew zamiera. Czyżby była martwa? Mężczyzna podbiega, potykając się na piasku w przemoczonych butach.

– Isabetto! – woła, ale ona nie podnosi głowy. Matthew pada na kolana tuż przy niej. Isabella ma zamknięte oczy i nie reaguje. Mężczyzna kładzie dłoń na jej piersi i zastyga w bezruchu.

Oddycha. A więc żyje.

– Isabetto, co się stało? Słyszysz mnie?

Kobieta potrzęsa głową.

– Zostaw mnie! – prosi, przekrzykując wycie wiatru, szum deszczu i ryk oceanu. – Niech mnie zabiorą fale!

Ale on nie ma zamiaru jej zostawiać, bez względu na wszystkie prośby. Bierze ją na ręce, podnosi i rusza w stronę latarni. Isabella jest słaba i wiotka, wciąż jeszcze nie otworzyła oczu. Co jej się stało? Dlaczego chce umrzeć? Ostatnio sprawiała wrażenie szczęśliwej, zainteresowanej światem. Matthew niesie ją do domu, kładzie ostrożnie na łóżku. Ściąga pelerynę i kalosze i wraca do niej. Isabella cała się trzęsie, jej wargi są sine. Nagłe wspomnienie: Clara wracająca z lasu, przemarznięta i przerażona. Matthew rozpina bluzkę Isabelli, zdejmuje spódnicę, rzuca ubranie na mokrą podłogę. Rozbiera kobietę do naga. Ona nadal się nie rusza i nie otwiera oczu. Zupełnie jakby udawała martwą, jakby chciała w ten sposób ściągnąć na siebie śmierć. Matthew wyciera nagie ciało i okrywa je kołdrą, a potem siada obok i czeka. Przecież nie można udawać martwej bez końca.

Isabella trwa w bezruchu bardzo długo. Po pierwszej godzinie, kiedy wciąż nie otwiera oczu i milczy, Matthew postanawia zająć się pracą. Co pewien czas zagląda do niej, lecz ona leży w niezminionej pozycji. Matthew proponuje kolację, ale Isabella nie zwraca na niego uwagi. Prosi ją, by napiła się wody, ale ona udaje, że nie słyszy. Od czasu do czasu mężczyzna się zastanawia, czy usnęła, jednak jej oddech jest płytki, a twarz niespokojna.

Dopiero późnym wieczorem, znów poprawiając ciężarki na najwyższym piętrze, słyszy z dołu trzask otwieranych drzwi. Zbiega tam i widzi Isabellę, która ma na sobie mokre rzeczy i wychodzi.

– Co ty wyprawiasz?

– Wracam na plażę.

– Dlaczego?

To pytanie nie ma sensu. Isabella nie jest w stanie myśleć racjonalnie. Jej źrenice są tak rozszerzone, że prawie nie widać tęczówek. Zamiast zadawać pytania, Matthew zagraża jej drogę i chwyta Isabellę za nadgarstki.

– Nigdzie nie pójdziesz. Nie pójdziesz na plażę, a już na pewno nie rzucisz się do wody.

– Dlaczego nie? – Isabella prychnie wściekle, próbując się wyrwać z jego uścisku. – Na tym świecie czeka mnie tylko wieczny smutek.

Matthew ściska ją jeszcze mocniej. Nie chce zrobić jej krzywdy, ale jeszcze bardziej się boi, że Isabella mu ucieknie i już nigdy nie wróci.

– Przestań, Isabello. Musisz mi powiedzieć, co się stało, dlaczego jesteś w takim stanie.

– Mój synek nie żyje. To mało?

– Twój synek nie żyje od trzech lat. Żyłas aż do dzisiaj. Dlaczego miałabyś umrzeć akurat teraz?

Isabella przestaje się miotać. Ciężko opada w jego ramiona. Matthew każdą komórką ciała

wyczuwa jej delikatność i kruchość.

– Chodź – mówi. – Zdejmij mokre rzeczy i wracaj do łóżka.

Isabella pozwala, by ją zaprowadził do sypialni i znowu rzucił mokre ubranie na podłogę. Matthew zapala lampę i siada na łóżku, a ona obraca się na bok, przykrywając piersi kołdrą. W żółtym świetle jej oczy wydają się ogromne. Burza na zewnątrz dawno już się skończyła, ale wciąż leje. Deszcz dudni w okna i cienki blaszany dach szopy.

Isabella wysuwa dłoń spod kołdry i łapie go za rękę. Matthew przez chwilę gładzi jej dłoń kciukiem, a w końcu pyta:

– Powiesz mi, co się stało?

– Spotkałam na plaży Xaviera – mówi szczerze kobieta. – Nie poznał mnie.

– Długo cię nie widział, a to przecież dziecko – tłumaczy Matthew. – Czemu aż tak cię to poruszyło?

Isabella wyrywa mu dłoń i kładzie ją na czole. Teraz leży na wznak. Matthew obserwuje ją przez jakiś czas.

– Isabello...

– Znienawidzisz mnie.

– To niemożliwe.

– Wydaje ci się.

Kolejna chwila ciszy. Matthew czuje, jak bije mu serce, jak stara krew krąży po starym ciele. Dlaczego Isabelli tak bardzo zależy, żeby Xavier ją pamiętał, skoro najprawdopodobniej nigdy już go nie zobaczy? Nagle olśnienie. Matthew stara się nie myśleć jak latarnik w średnim wieku, tylko wejść w skórę młodej kobiety, która straciła dziecko zbliżone wiekiem do Xaviera.

– Isabello – odzywa się cicho i powoli – chciałaś porwać to dziecko?

– Nie, nie porwać – odpowiada szybko ona. – Chciałam... namówić go, żeby popłynął ze mną.

Matthew gryzie się w język. Nie czas teraz na krytykę.

Isabella szłocha rozpaczliwie.

– Teraz widzę, że to nie miało sensu. Teraz widzę...

– Chciałaś, żeby zastąpił ci Daniela?

Kobieta siada, kręcąc głową.

– Nie wiem! Czy chciałam, żeby zastąpił mi Daniela? Teraz myślę o Xavierze jak o nieznanym dziecku, cudzym synu. Ale Daniela też nie znam. Żył zbyt krótko, bym mogła za nim tęsknić, Matthew.

– Głos jej się łamie. Dopiero po chwili Isabella odzyskuje panowanie nad sobą. – A jednak za nim tęsknię! – Uderza się pięścią w piersi. – Tęsknię.

Matthew bierze ją w ramiona.

– Czuję pustkę! – szłocha Isabella. – Świat jest pusty.

– Cicho... – uspokaja ją mężczyzna. – Cichutko.

Isabella płacze, trzęsąc się w jego objęciach. W końcu jednak płacz cichnie tak jak burza i Matthew widzi, że kobieta zasnęła.

Ostrożnie układa jej głowę na poduszce, okrywa ciało kołdrą. Przez chwilę siedzi obok, głaszcząc jej włosy i plecy. Co ona sobie wyobrażała? Że Xavier to Daniel, bo łączy ich kilka podobieństw?

I nagle wydaje mu się, że światło w pokoju płonie jaśniej, bo i on zaczyna widzieć, co sam sobie wyobrażał tylko dlatego, że Isabellę i Clare również łączy kilka podobieństw. Przygląda się twarzy Isabelli. Jest łagodniejsza niż twarz Clary. Cała Isabella jest od niej łagodniejsza. Niczego od niego nie wymaga. Jest młoda i przerażona, ale nie ma w sobie dzikości ani okrucieństwa, tylko złamane serce. Clara wciąż przeciw czemuś dramatycznie protestowała, ale nigdy nie spotkało jej nic złego. Isabella straciła dziecko i odmówiono jej prawa do żałoby.

Po namyśle Matthew dochodzi do wniosku, że te dwie kobiety wcale nie są podobne. Ani trochę.

Po nocnej warcie Matthew podchodzi do łóżka. Isabella nadal śpi. Kładzie się koło niej i zapada w sen. Godzinę później się budzi: kobieta wymiotuje przez okno. Wstaje, by pogłodzić ją po plecach. Isabella mówi, że źle się czuje, więc każe jej wrócić do łóżka, a sam idzie zaparzyć herbatę. Kiedy wraca, ona dygocze i trzyma się za brzuch. Matthew czuje, że przeszywa go nagły lęk.

– Odpocznij, moja śliczna ptaszyno – mówi. – Potrzebujesz odpoczynku.

– Ty też – oponuje Isabella. – Obudziłam cię.

– Nic mi nie będzie, a ty jesteś chora.

Isabella wypija herbatę i znowu się kładzie.

– Matthew, jestem taka zmęczona.

Mężczyzna obserwuje, jak zasypia, a potem sam się kładzie koło niej. Za oknem robi się coraz jaśniej i cieplej.

Kiedy Matthew budzi się ponownie, Isabella leży obok ze wzrokiem wbitym w sufit. Matthew przewraca się na bok i głaszcze ją po włosach.

– Lepiej się już czujesz?

– Nie. Mam wrażenie, jakby ktoś ścisnął moje ciało w imadle.

Mężczyzna dotyka jej czoła, ale nie jest rozpalone.

– Zostań w łóżku, dopóki nie poczujesz się lepiej.

Mija dzień, potem drugi, lecz ona nie odzyskuje sił. Od czasu do czasu wymiotuje i skarży się na ogromne zmęczenie. W dodatku przez cały czas dręczy ją dojmujący smutek. Matthew stara się jej pomóc w przerwach między swoimi zajęciami, ale też jest zmęczony, ponieważ nie potrafi opanować

lęku i co chwila coś wyrывa go ze snu. Nie chce, żeby Isabella chorowała. Nie chce, żeby umarła. Kiedy pyta, jak się czuje i co ją boli, słyszy w odpowiedzi, że to po prostu chore serce, które nie pozwala jej stanąć na nogi. Matthew nie wywiera żadnej presji, nie przypomina o Nowym Jorku ani o Percym Winterbournie. Czeka, przygotowuje jedzenie i wykonuje swoje obowiązki, cały czas w ogromnym napięciu.

Trzeciego dnia zdobywa się na odwagę i zostawia Isabellę samą, żeby pójść na godzinę do miasteczka. Niepokoi się, że pod jego nieobecność kobieta może skoczyć z górnego balkonu, ale skończyło im się jedzenie, a poza tym trzeba załatwić sprawy na poczcie.

Odbiera listy przewiązane kawałkiem sznurka i dopiero po powrocie do domu znajduje wśród nich przesyłkę adresowaną do Isabelli, nadaną w Nowym Jorku. Jego serce przyśpiesza. Victoria! W końcu udało im się odnaleźć Victorię.

Chce zanieść list Isabelli, ale zaczyna się wahać. A jeśli to złe wieści? Jeśli Victoria napisała: „Nie przyjeżdżaj”? Coś takiego mogłoby dobić Isabellę.

Z duszą na ramieniu i poczuciem winy otwiera kopertę, rozkłada kartki i przebiega list wzrokiem. Czuje jednocześnie strach i nadzieję. Jak Isabella zareaguje na te słowa? Czy on się odważy pokazać jej list?

Nagle słyszy ruch w pokoju obok; Isabella znowu dostaje torsji. Matthew wtyka list pod stos papierów i obiecuje sobie, że przekaże go kiedy indziej. Niech tylko Isabella poczuje się lepiej.

Isabella tonie w szarej chmurze wypełniającej uszy, oczy, płuca i kości. Bezustanne mdłości się nie kończą. Leży w łóżku, płacze, śpi i nie chce myśleć o tym, co przyniesie przyszłość. Matthew się nią opiekuje, a ona mu na to pozwala, choć wie, że stała się dla niego ciężarem. Stała się ciężarem i teraz tonie. Tam, gdzie szukała stałego gruntu pod stopami, są tylko chmury, a ona spada coraz niżej i niżej.

Mniej więcej po tygodniu zaczyna się w końcu czuć na tyle dobrze, że siada, zjada zupę i prosi o odsłonięcie zasłon, żeby wyjrzeć przez okno. Niebo jest bardzo niebieskie, a morskie powietrze nieco łagodzi mdłości. Matthew przysuwa sobie stołek do łóżka i przygląda się Isabelli, bacznie, lecz bez słowa.

W końcu to ona się odzywa.

– O co chodzi, Matthew?

– Lepiej się czujesz?

– Chyba tak. – Nie chce składać żadnych obietnic, których mogłaby nie dotrzymać.

Mężczyzna kiwa głową. Wygląda, jakby próbował podjąć jakąś decyzję.

– Cztery dni temu odebrałem z poczty list od twojej siostry, Victorii.

VICTORIA. Na dźwięk imienia siostry w serce Isabelli wstępuje nadzieja.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– List zawiera złe wieści.

Isabella ponownie zapada się w sobie.

– Victoria nie chce, żebym przyjechała?

– Nie, nie o to chodzi.

– Dlaczego go przeczytałaś?

– Bo przede wszystkim chcę cię chronić, Isabello. – Matthew wręcza jej list. – Przepraszam, że przeczytałem go pierwszy, ale za chwilę sama zrozumiesz, dlaczego wcale tego nie żałuję.

Isabella rozkłada kartki drżącymi dłońmi.

Kochana Isabello!

Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ucieszył mnie list od Ciebie, choć musiał przejść przez wiele rąk, zanim trafił w moje. Przeprowadziliśmy się w marcu, a ja wysłałam Ci zawiadomienie na Twój stary adres w Somerset, Ty jednak byłaś już wtedy na morzu. Kochana siostrzo, sądziłam, że zginęłaś w katastrofie! Znajomy mojego męża przeczytał o wszystkim w gazecie. Winterbourne'owie nie raczyli poinformować mnie o Twoim losie. Jestem zdumiona i zachwycona, że żyjesz, a także bardzo ciekawa, gdzie jesteś i co porabiasz. Zgodnie z Twoją prośbą dochowam tajemnicę, w nadziei, że już wkrótce zjawisz się u mnie i opowiesz mi o wszystkim. Możesz tu przyjechać i zatrzymać się u nas na tak długo, jak zechcesz. Zapiszę Ci mój adres na kopercie, przybывaj o każdej porze dnia czy nocy. Podejrzewam, że jesteś gdzieś daleko, ale będę spokojnie czekać. Na razie wystarczy mi świadomość, że żyjesz.

Niestety, siostrzyczko, muszę się z Tobą podzielić smutną wiadomością. Pamiętasz zapewne, że kiedy ostatni raz pisałyśmy do siebie, spodziewałam się dziecka. Na pewno wiele razy wyobrażałaś mnie sobie z niemowlęciem na rękach, ale tak się nie stało. Moja ciąża nie przebiegała pomyślnie. Po kilku miesiącach ciężko zachorowałam i straciłam dziecko. Co gorsza, wkrótce ponownie zaszłam w ciążę i znów poroniłam w podobnych okolicznościach. Lekarz ostrzegł mnie, żebym nie podejmowała dalszych prób, ponieważ ciąża może mnie zabić, więc pozostanę bezdzietna. Proszę, nie smuć się. Ja już się z tym pogodziłam, a mąż kupił mi dwa szczeniaczki – miniaturowe szpice, którymi zajmę się jak matka. Są rozkoszne i jestem przekonana, że będziesz nimi zachwycona, podobnie jak one Tobą.

Dobry Boże, ja tu rozprawiam o dzieciach, które się nawet nie narodziły, a Ty musiałaś znieść śmierć Daniela i Twojego męża, Arthura. Nie wyobrażam sobie nawet, przez co przechodzisz, kochana Isabello, ale namawiam Cię, żebyś jak najszybciej do mnie przyjechała. Razem będziemy mogły się wypłakać i ukoić nieco nasz ból.

Isabella kończy list, a potem czyta go raz jeszcze. Oczy pieką ją od łez ulgi i żalu. Odkłada na bok złożone kartki. Teraz już wie, co musi zrobić. Jest to dla niej jasne jak słońce. Tylko w ten sposób odzyska wolność.

– Isabello, dobrze się czujesz?

Kobieta przełyka łzy, spogląda w oczy Matthew i pokazuje mu swój nadgarstek.

– Moja siostra i ja zrobiłyśmy to w dzieciństwie – mówi. – Umówiłyśmy się, że bransoletkę dostanie ta z nas, która pierwsza zostanie matką. Dostałam ją ja. Potem chciałam ją zawieźć Victorii i jej pierwszemu dziecku, ale ona nigdy go nie urodzi. Żadne dziecko nie będzie nosić tej bransoletki.

Matthew milczy. Isabella widzi, że próbuje zrozumieć sens jej słów.

– Widzisz, Matthew, ja nigdy nie pochowałam Daniela. Nigdy nie zapłakałam nad jego grobem. Nigdy nie nosiłam czarnej sukni, nigdy nie rzuciłam garści ziemi na maleńką trumnę, podtrzymywana przez kogoś życzliwego. Rodzina mojego męża dopilnowała, żebym nie wzięła udziału w pogrzebie, ponieważ szalałam z rozpacz. Bali się, że ich skompromituję.

Mężczyzna chwyta ją za rękę i gładzi po nadgarstku.

– Tak mi przykro.

– Chcę pochować tę bransoletkę, Matthew. Chcę pochować Daniela. Chcę się z nim pożegnać jak należy. Pomożesz mi?

Matthew obejmuje Isabellę, w której już kiełkują wątpliwości i już się rodzi obawa. Czy zdoła złożyć bransoletkę Daniela w zimnej, nieczułej ziemi? A jeśli to go przerazi? Jeśli będzie za nią tęsknił? Te irracjonalne myśli rozwiewają się jednak równie szybko, jak się pojawiły. Daniel nie żyje. Nie żyje od trzech lat. Niczego nie wie i niczego nie czuje.

– Oczywiście, że ci pomogę, kochanie – obiecuje Matthew. – Jeśli jesteś pewna, że naprawdę tego chcesz.

– Wcale nie jestem pewna – odpowiada Isabella. – Wiem tylko, że jeśli tego nie zrobię, przyszłość nie nadejdzie.

Percy Winterbourne nie jest zachwycony swoją herbatą, ale pokojówka już poszła, więc nie może jej zawołać i zrugać. Odkąd przybył do Maryborough, zmieniał hotel już sześć razy i nigdzie nie podano mu dobrze zaparzonej herbaty. Wypróbował już wszystkie przyzwoite miejsca w mieście, więc teraz musi pić herbatę w hotelu Oxford. Nie chce oddalać się za bardzo od wraku Aurory, ale nie ma też ochoty mieszkać w maleńkiej wiosce, gdzie piasek i wszechobecne muchy doprowadziłyby go

do szau. Na razie jest więc skazany na to gwarne kolonialne miasteczko. Popija gorzki napar i przegląda przywiezioną przed chwilą prasę. Zażądał, żeby redakcja każdej gazety, w której umieścił ogłoszenie, przysyłała mu jeden egzemplarz, tak by mógł sprawdzić, czy go nie oszukują. Teraz zaczyna przeglądać jedną po drugiej.

Dotąd ogłoszenie nie przyniosło żadnego skutku. Dostał listy od kilku wariatów, ale wszystkie tropy okazały się mylne. Czasami zastanawia się, czy nie marnuje tu czasu. Matka przysłała mu już telegram z żądaniem, by wrócił do domu, gdzie jest potrzebny żonie i dzieciom, ale on po śmierci Arthura nie ma ochoty tam przebywać. Nie potrafi i nie chce zająć miejsca brata. Nie tęskni szczególnie za żoną i dziećmi. Nie może się już doczekać, kiedy jego najstarszy syn osiągnie wiek, w którym da się z nim prowadzić rozmowę, ale na razie najlepszym rozwiązaniem jest opieka niani. Percy uśmiecha się krzywo. Z własną żoną też trudno mu rozmawiać. Cała rodzina jest mu kamieniem u szyi, więc czemu nie miałby spędzić trochę czasu w Maryborough, zmieniając hotele, korzystając ze wszystkich dostępnych przyjemności i ciesząc się wolnością zamożnego mężczyzny?

Wszystko się zmienia podczas przeglądania „Wieści z Queensland”. Percy zauważa tandetny nagłówek, który głosi: „Dział dla pań” i jego usta wykrzywia ironiczny uśmiech. Kobiety pchają się teraz wszędzie. Chcą głosować i latać po świecie jak kot z pęcherzem. Po co im cały osobny dział w gazecie? I nagle wzrok Percy’ego pada na fotografię.

Co za zdjęcie!

Jego uwagę przykuwają nie tęgie damy na pierwszym planie, tylko znajomy profil w tle. To ona. To Isabella. Percy czyta podpis.

Goście lady Berenice McAuliffe na jej dorocznym balu wiosennym w hotelu Bellevue.

A więc dopadł ją. Nareszcie ją dopadł.

Jeszcze przed przebudzeniem Libby czuła radość w sercu. Otworzyła oczy. Skąd to uczucie Ach tak... Wczorajszy dzień spędzony z Tristanem. Przetoczyła się po łóżku i sięgnęła ręką na jego pustą połówkę. Mężczyzna wyszedł koło pierwszej w nocy, po całym dniu i wieczorze spędzonym w pościeli. Rozmawiali tam, jedli, wypili butelkę wina. No i oczywiście się kochali. Jego dłonie nieustannie szukały jej krągłości, jej palce wciąż lgnęły do jego nieogolonego podbródka. Tristan odwołał wszystkie spotkania, a potem wyłączył telefon i położył go na szafce nocnej, niczym niemego świadka ich rozkoszy. Libby chciała przespać całą noc, tuląc się do niego, ale mimo jej próśb powiedział, że jest z kimś umówiony rano, a nie chce jej budzić tak wcześnie.

Zerknęła na zegarek. Wpół do dziesiątej. Spotkanie Tristana zapewne już trwa. Ciekawe, czy on ma na twarzy taki sam szeroki uśmiech jak ona...

Ułożyła się na plecach i przysłoniła oczy przedramieniem. Jej serce zaraz eksploduje z radości. Cudownie było znowu pragnąć mężczyzny. Owszem, ma wyrzuty sumienia z powodu Marka, ale przecież tak naprawdę wcale o nim nie zapomniała. Nawet nie przestała go kochać. Może po prostu zaakceptowała w końcu fakt, że już nigdy go nie zobaczy.

Leżała tak przez dłuższy czas, na wpół drzemiąc i odtwarzając z myślach wczorajszą rozkosz. W końcu przypomniała sobie, że czeka ją mnóstwo pracy przy katalogu, więc nie może się już dłużej wylegiwać. W poczcie z pewnością czekają na nią zdjęcia i musi się zabrać do szkicowania ostatecznego układu stron. Wstała, poszła do łazienki i odkręciła wodę, ale nie zdążyła wejść pod prysznic: ktoś pukał.

Tristan. To na pewno on. Skończył spotkanie i wrócił. Libby szybko narzuciła szlafrok i pobiegła do drzwi.

To nie był Tristan, tylko Graeme Beers. Bolesne rozczarowanie. Auto Graeme'a stało na drodze, za kierownicą siedział jego syn.

– Sorki, że wpadam bez uprzedzenia – powiedział mężczyzna. – Nie miałem twojego numeru telefonu, a sprawa jest... ehm... pilna.

– Pilna? – Libby otuliła się mocniej szlafrokiem, nieprzyjemnie świadoma, że pod spodem jest naga.

Mężczyzna podał jej kilka kartek.

– Ano. Wygląda na to, że... no, że zapomniałem poprosić cię o podpisanie tych świstków przed nurkowaniem.

Libby zmarszczyła brwi, wzięła od niego dokumenty i przejrzała je szybko. Trzymała w rękach

coś na kształt umowy zwalniającej Graeme'a i jego firmę z odpowiedzialności za wszelkie wypadki i kontuzje poniesione przez nurkujących. Niewiele brakowało, a parsknęłaby śmiechem. Facet się boi, że ona go pozwie do sądu z powodu tamtego incydentu podczas wyprawy do wraku.

– Wejdz – zaprosiła. – Znajdę długopis.

– Okej. Nie mam pojęcia, dlaczego nie dałem ci tego wcześniej. Po prostu...

– W porządku. Nie pozwę cię. Ani nigdzie tego nie zgłoszę. – Libby znalazła długopis na biurku, zaznaczyła odpowiedź: „Wyrażam zgodę” i podpisała się. – Proszę bardzo.

– Dzięki. Bardzo cię...

Być może chciał powiedzieć „przepraszam”, ale w ten sposób przyznałby się do winy. Libby uciszyła go gestem ręki.

– Wszystko w porządku. Naprawdę.

Graeme skinął głową i wycofał się do wyjścia. Libby zamknęła za nim drzwi, a następnie wróciła do biurka.

I wtedy usłyszała ten dźwięk.

Dźwięk odpalanego silnika. Tego samego, który hałasował przed jej domem po nocach. Popędziła do drzwi i zobaczyła, że Graeme i jego syn odjeżdżają pośpiesznie. Na dodatek, jakby dla rozwiania wszelkich wątpliwości, u stóp wzniesienia strzelił gaźnik.

Teraz była już pewna: to Graeme Beers i jego syn kręcili się nocami wokół jej domu. Na samą myśl o tym dostała gęsiej skórki. Czego mogli od niej chcieć?

Wciąż w samym szlafroku pomaszerowała prosto do latarni morskiej i zabębniła w drzwi. Żadnego odzewu.

– Damien! – zawołała, ale w środku nie było nikogo.

Zeszła z powrotem do domu. Co powinna teraz zrobić? Zadzwoić do Graeme'a i zażądać wyjaśnień? Pojechać na posterunek policji i zgłosić wszystko sierżantowi Laceyowi? Ponownie zerknęła na zegarek. Może Tristan skończył już spotkanie i z nią o tym porozmawia?

Zadzwoiła na komórkę, ale natychmiast włączyła się poczta głosowa. Libby szybko zapisała numery służbowy i domowy podane na końcu nagranej wiadomości. Potem zadzwoniła do biura.

– Niestety, pana Catherwooda nie ma dzisiaj w pracy.

– Nie ma go?

Może miał spotkanie poza biurem.

– Jest na urlopie do końca tygodnia.

Libby odłożyła słuchawkę i przez dłuższy czas przyglądała się numerowi domowemu. Po wczorajszym zbliżeniu z pewnością wypadało jej zadzwonić do domu.

Urlop. Spotkanie wcześniej rano. Libby powtarzała sobie, że nie powinna wyciągać z tego

pochoptych wniosków. Tristan był ambitny; mógł przecież się umówić na spotkanie w czasie urlopu. Bez dalszego namysłu chwyciła telefon i wybrała numer domowy.

Jeden sygnał. Drugi sygnał. Jej puls zwolnił: czuła, że Tristan nie odbierze. Po piątym sygnale ktoś odebrał i w słuchawce rozbrzmiał kobiecy głos.

– Słucham?

Libby znalazła właściwe słowa dopiero po dwóch sekundach.

– Dzień dobry. Czy mogłabym rozmawiać z Tristanem?

Głos w telefonie stał się nieco nieprzyjemny.

– A kto mówi?

– Elizabeth Slater.

– Chwileczkę. – Słuchawka stuknęła o twardą powierzchnię. Po chwili odezwał się Tristan.

– Cześć, Libby – powiedział spokojnie.

– Tristan, potrzebuję twojej pomocy...

– Słuchaj, mogę do ciebie oddzwonić? Daj mi... daj mi pięć minut, dobrze?

– W porządku.

Rozłączył się. Libby cisnęła telefonem przez cały pokój, aż walnął koło nogi kanapy. Nie była głupia. Potrafiła właściwie interpretować fakty i wyciągać wnioski. Tristan był żonaty.

Tak jak Mark.

Weszła pod prysznic i odkręciła gorącą wodę. Zignorowała dzwoniący telefon. Usiadła w brodziku i pozwoliła, by woda spływała jej po włosach na plecy. Oddychała przy tym głęboko. Koszmarny upadek z porannych wyżyn szczęścia i radości był potwornie bolesny.

W końcu jednak zdała sobie sprawę, że wszystko będzie dobrze. Sprzeda ten cholerny dom i wyjedzie na południe Francji. Znikną wszystkie problemy: Tristan, Juliet, Graeme, a ona wprowadzi się do luksusowego apartamentu, zamknie drzwi na klucz i nigdy więcej nie otworzy przed nikim serca.

Po jakimś czasie gorąca woda się skończyła. Libby wyszła spod prysznicza i owinęła się ręcznikiem. Ponownie zadzwonił telefon. Tym razem odebrała.

– Libby, tu Tristan.

– Jesteś żonaty?

Chwila milczenia.

– Nie.

– To kto odebrał twój telefon?

– Posłuchaj, nie moglibyśmy o tym porozmawiać, kiedy się spotkamy? Libby, proszę, nie bądź zazdrosna. Zazdrosne kobiety strasznie utrudniają sobie życie. Nasz związek dopiero się zaczął.

Przygana ją zabolęła. Libby poczuła, że się czerwieni ze wstydu. Jakim prawem go wypytywała?

Wyszła na wariatkę.

– Przepraszam – westchnęła. Wtem ścierpła jej skóra, bo coś sobie przypomniała. – Jak tam twoje spotkanie?

– W porządku. Nie miało związku z pracą. To kwestie prawne. Muszę załatwić pewne sprawy związane z nieruchomościami.

No tak, faktycznie zrobiła z siebie wariatkę. Niepokoiła się jego spotkaniem i w efekcie zaczęła sobie wyobrażać nie wiadomo co, kiedy tylko usłyszała kobiecy głos w słuchawce. Przecież to mogła być siostra, współlokatorka, może nawet sprzątaczką. Ale nie żona. Tristan sam jej to powiedział. Nie jest żonaty. A ona zachowała się tak, jakby wciąż miała kaca po związku z Markiem.

– Pozwól się zaprosić na kolację w piątkowy wieczór. Bardzo chciałbym znowu cię zobaczyć – ciągnął Tristan. – Przez cały tydzień będę miał urwanie głowy z tymi sprawami prawnymi, ale w piątek wieczorem marzy mi się kieliszek shirazu i dobre jedzenie.

– Cudowny pomysł – stwierdziła Libby z pełnym przekonaniem.

Jego głos brzmiał teraz spokojnie, kojąco.

– Powiedziałaś, że potrzebujesz mojej pomocy. Martwiłem się potem, bo nie odbierałaś.

– Ach, tak. Chyba znalazłam już rozwiązanie zagadki. Wiem, kto kręci się nocami wokół mojego domu, ale kiedy się stąd wyprowadzę, problem zniknie.

– Kto to taki? – Tristan spowaźniał.

– Graeme Beers. Facet prowadzi kursy nurkowania w Winterbourne Beach. Rozpoznałam jego samochód po pracy silnika.

– Po co miałyby się kręcić wokół twojego domu?

– Nie mam pojęcia.

Chwila milczenia.

– No, nie wiem, Libby. To trochę... naciągane. Na pewno mnóstwo samochodów wydaje dość podobne odgłosy.

– Jestem całkowicie pewna.

– No dobrze. W takim razie ci wierzę. I nie podoba mi się to, więc zadzwoń na policję, opowiedz im o wszystkim. Sama z tym gościem nie rozmawiaj.

Jego troska była wzruszająca. Libby miała nadzieję, że Tristan spyta, czy powinien przyjechać wieczorem i sprawdzić, co u niej słychać, ale ciąg dalszy nie nastąpił.

– Przepraszam, Libby. Muszę kończyć. Mam dziś jeszcze kilka spotkań i już jestem spóźniony.

– Jasne, rozumiem. Czyli do zobaczenia w piątek?

– Nie mogę się doczekać.

Libby odłożyła telefon, ubrała się i postanowiła zadzwonić do Scotta Lacey'a. Zaburczało jej

w brzuchu. Przypomniała sobie, że nie jadła nic od wczorajszego popołudnia. Włączyła czajnik.

- Sierżant Lacey przy telefonie.
- Cześć, Scott, tu Libby Slater.
- O, dzień dobry. – Jego ton był dość chłodny.

Libby przedstawiła szybko sytuację, ale zanim jeszcze Scott zdążył się odezwać, wyczuła jego powątpiewanie.

- Przykro mi, ale to nie jest wystarczający dowód.
- Zapewniam cię, że doskonale zapamiętałam brzmienie silnika jego samochodu.
- Może marka i model się zgadzają, ale to tylko zbieg okoliczności. Na tej podstawie nie mogę pojechać do gościa i zażądać wyjaśnień.

Libby milczała przez chwilę, a potem zapytała:

- To dlatego, że zdenerwowałam Juliet?
- Co takiego? Nie. Absurdalny pomysł. Potrafię wykonywać swoją pracę niezależnie od moich uczuć względem ciebie.

Libby powstrzymała się od repliki.

- Przepraszam – powiedziała, wiedząc, że nie brzmi to szczerze.
- Nie ma sprawy. Boisz się o swoje bezpieczeństwo. Rozumiem to. Nadal patrolujemy okolice twojego domu. Nie zapomnieliśmy o tobie.

Libby podziękowała i odłożyła telefon. Usłyszała, że woda się zagotowała, więc poszła do kuchni, ale potem przez dłuższą chwilę stała przy oknie, wpatrując się w ocean. Była niespokojna, niezadowolona i nie wiedziała, co dalej robić.

Damien pracował w kuchni codziennie między lunchem a podwieczorkiem, zniknął między piętnastą a szesnastą trzydzieści i wracał, kiedy herbaciarnia pustoszała. Czasami zostawał do dziewiętnastej, nigdy nie zapominając o tym, że Juliet musi prowadzić swój interes. Nie rozbebeszył więc od razu całej kuchni, tylko zajmował się kolejno ściśle wytyczonymi częściami.

Drzwiczki szafek były wykonane z prostych dębowych desek, które Damien zaczął już bejcować na podwórku, koło kompostownika. Wczesnym popołudniem, podczas pieczenia bułeczek, Juliet kręciła się przy kuchennym oknie i co chwilę zerknęła na pracującego w blasku słońca mężczyznę: jego silne ramiona, opaloną skórę, lśniące włosy.

Niepostrzeżenie stanęła koło niej Cheryl.

- Niezłe ciacho, co?

Juliet aż podskoczyła. Była straszliwie zawstydzona.

- Nie, nie... nie o to chodzi... Po prostu przyglądałam się bejcy. Wybrał śliczny odcień, prawda? Cheryl zaczęła się zwijać ze śmiechu, więc policzki Juliet pokryła ognista czerwień.

– W porządku, Juliet. Ja też mu się przyglądam. Jest bardzo apetyczny. Szkoda, że nawet nie spojrzysz na takie stare baby jak my, co?

Juliet posmutniała. Takie stare baby jak my. Była siedem lat młodsza od Cheryl, ale i tak dziesięć lat starsza od Damiena.

Cheryl przyjrzała się jej i zmarszczyła brwi.

– Nie żartuj. Zadurzyłaś się w nim?

– Ależ skąd. Oczywiście, że nie.

Cheryl powątpiewająco uniosła brew.

– No cóż, oby nie. Chcę, żebyś znalazła sobie kogoś cudownego i stałego w uczuciach, kto będzie cię kochał, kiedy się zestarzejesz i będziesz cała pomarszczona. Kogoś, kto ma konto bankowe. To byłby dobry początek.

– Była Damiena odcięła go od pieniędzy.

Cheryl zbyła tę uwagę lekceważącym gestem dłoni.

– Nie bądź taka łatwowierna. I nie oddawaj serca młodemu ogierowi.

Po tych słowach zabrała butelkę płynu dezynfekującego i ściereczkę, żeby posprzątać w jadalni.

Zrezygnowana Juliet oparła się ciężko o zlew, tym razem odwrócona plecami do okna. Czuła się jak kompletna idiotka. Fakt, straciła głowę dla Damiena, ale nie tylko dlatego, że był młody i przystojny. Był też miły. Mówił tak spokojnie. Kierował się niezawodnym kompasem moralnym. Te cechy liczyły się u każdego mężczyzny.

A jednak Cheryl miała rację: Juliet jest dla niego za stara. Opiekowała się nim, kiedy był dzieckiem. Teraz uważał ją pewnie za drugą matkę albo przynajmniej starszą siostrę. Wzdrygnęła się na samą myśl o tym. Pamiętała jeszcze, jak kilka dni temu trzymał ją za ręce. Jego dłonie były młode i opalone, ale jej skóra robiła się już coraz cieńsza, z widoczną siatką żył. Nie mówiąc o kurzych łapkach wokół oczu. Poza tym Juliet nie stroniła od słońca tak jak Libby, więc miała przebarwienia na ramionach i dekolcie. Nagle poczuła się jak starsza pani. Marzenia o miłości młodego mężczyzny, wspólnym życiu i dzieciach były absurdalne. Głupie fantazje. Za późno już na to wszystko.

Wieczorem zalogowała się na portalu randkowym, żeby przejrzeć profile mężczyzn w wieku Damiena. Wszyscy szukali dwudziestoparolatek, a nie pań pod czterdziestkę. Bez przekonania przejrzała też profile swoich rówieśników, ale nikt jej nie zainteresował. Jak zwykle. Przez długi czas sądziła, że dzieje się tak, ponieważ nikt nie może się równać z Andym.

A teraz, po dwudziestu latach, wreszcie chyba znalazła kogoś fajnego. I przygnębiała ją myśl, że Damien nie odwzajemni jej zainteresowania.

Przez kilka następnych dni Libby pracowała od rana do nocy. Przywykła już do regularnych

rozmów z Emily. Odważyła się nawet zapytać, czy kobieta wie coś więcej na temat zatopionej Aurory. Emily była zachwycona wiadomością, że Libby nurkowała przy wraku, i obiecała poszukać interesujących informacji.

Nadesłane z Paryża zdjęcia w większości wyszły fantastycznie. Libby poprosiła o trzy poprawki i teraz czekała na mejla zwrotnego od fotografa, Romana Deleuze'a. Tymczasem nadal robiła szkice makiety, nieustannie zmieniając układ zdjęć i opisów. Chociaż katalogi dla Winterbourne Jewellers projektowała od wielu lat, w tym roku to zadanie szczególnie ją ekscytowało. Emily chciała czegoś zupełnie nowego, mniej nadętego. Libby czerpała z tej pracy prawdziwą przyjemność. Żałowała, że Mark tego nie widzi. Zastanawiała się, co by pomyślał, jak zmieniłaby się jego opinia na temat Emily, gdyby się przekonał, do czego zdolna jest jego żona.

Odgłos motocykla oderwał ją od pracy. To listonosz. Libby odchyliła się na krzesło i przeciągnęła. Przerwa! Czas na filiżankę herbaty. Wyszła z domu, żeby zajrzeć do skrzynki na listy. Po raz pierwszy powiew chłodniejszego powietrza przypomniał jej, że zbliża się jesień. Trudno było w to uwierzyć. Lighthouse Bay wydawało się miejscem wiecznie skąpanym w słońcu i ciepłym powietrzu znad oceanu. Libby wciągnęła w płuca odświeżającą bryzę, otworzyła skrzynkę i wyjęła z niej dużą kopertę nadesłaną z Ashley-Harris Holdings.

W środku znajdowała się zapewne umowa kupna-sprzedaży. Libby rozerwała kopertę i przejrzała niekończące się strony wypełnione prawniczym żargonem. Zapewne dla Ashley-Harris Holdings była to standardowa umowa, ale ona nic z niej nie rozumiała.

Potrzebowała porady prawnej.

Westchnęła. Chciała mieć to jak najszybciej z głowy, jednak w przypadku tak poważnej transakcji warto wydać kilka tysięcy dolarów na prawnika. Wróciła do domu, wyciągnęła lokalną *Panoramę firm*, zadzwoniła do pierwszej kancelarii prawniczej na liście i umówiła się na poniedziałek.

Potem zaparzyła herbatę i wróciła do biurka. Usunąwszy Szefową z krzesła, znalazła w poczcie mejla od Romana. Otworzyła załącznik, obejrzała fotografie i błyskawicznie wysłała odpowiedź z zapewnieniem, że są świetne, oraz z najlepszymi życzeniami.

Chwilę później przyszła kolejna wiadomość.

W Paryżu szkaradna plucha. Zazdroszczę Ci.

Uśmiechnęła się na widok załącznika: zdjęcia zrobione przez okno Romana w godzinach szczytu. Deszcz. Ludzie skuleni pod parasolami, odziani w peleryny, stłoczeni. Wszystko to wyglądało tak żałośnie, że musiała się roześmiać. Pod wpływem impulsu chwyciła telefon, po czym przez tylne drzwi i krzaki za domem wyszła na plażę: bezkresny biały piasek, ciemnoniebieskie

niebo, turkusowa woda. Zrobiła zdjęcie i wróciła do domu, by podłączyć komórkę do komputera i przesłać fotkę Romanowi.

A u mnie jesień wygląda tak.

Pisali do siebie jeszcze przez chwilę. Ona kpiła z życia w mieście i fatalnej pogody, on żartował, że Libby przebywa na permanentnych wakacjach. Pierwszy raz uświadomiła sobie, że mieszka w raju. Dorastała tu, więc traktowała to wszystko jako coś oczywistego. A przecież plaża, niebo i słońce były cudownie piękne. Każdy, kto musiał na co dzień wdychać spaliny i oglądać tłumy ludzi w mokrych płaszczach, w końcu miałby dość i zacząłby marzyć o ciepłym oceanie.

Czy ją też czekał taki los? Czy pewnego dnia luksusowy apartament w Paryżu przestanie jej wystarczać? Czy wektor jej tęsknoty zmieni kierunek, czy wybrzeże Queensland zacznie ją przyzywać? Czy już nigdy nie poczuje się spełniona, niezależnie od tego, gdzie zamieszka?

Roman się rozłączył, żeby zdążyć na spotkanie, a ona zaczęła myśleć o tym, co ma do zrobienia po kolacji. Bardzo chciała już skończyć broszurę, a poza tym praca pozwalała jej zapomnieć o innych sprawach.

Do restauracji Azzurro przyjechała z dziesięciominutowym opóźnieniem i lekko spanikowała, nie widząc nigdzie Tristana. Czyżby się znudził czekaniem i poszedł sobie? A może w ogóle ją wystawił?

Szef sali zauważył jej smutną minę i podszedł, żeby spytać, czy może w czymś pomóc.

– Miałam się tu spotkać z Tristanem Catherwoodem – wyjaśniła Libby. – Przyszedł już?

– Tak, pan Catherwood czeka na górze. Zaprowadzę panią.

Libby przeszła za nim przez całą restaurację, minęła kuchnię i weszła na górę po ukrytych schodach. Prowadziły na ogromny, zaciszny balkon z widokiem na rzekę. Stał tam jeden stolik oświetlony blaskiem świec, a przy nim czekał Tristan.

Libby się roześmiała.

– O rany – powiedziała.

Kelner puścił do niej oko.

– Panu Catherwoodowi zależało na czymś wyjątkowym.

Podeszła do stolika. Tristan wstał, żeby przysunąć jej krzesło, i ucałował ją lekko w policzek.

Libby, siadając, przeprosiła za spóźnienie.

– Nie ma sprawy. Podziwiam widok.

Zwróciła spojrzenie ku rzece i kołyszącym się na niej jachtom.

– Jest naprawdę wyjątkowy.

– Tak jak ty.

Odwróciła się do niego, nie kryjąc uśmiechu.

– No dobrze. Zadałeś sobie wiele trudu i wydałeś sporo grosza. Masz u mnie duży plus.

Mężczyzna sięgnął po jej dłoń i ścisnął ją czule palcami.

– Pięknie wyglądasz, Libby. Tęskniłem za tobą przez cały tydzień.

– Ja też za tobą tęskniłam.

– Dostałaś już dokumenty?

Nagła zmiana tematu zrobiła na niej kiepskie wrażenie.

– Tak. W przyszłym tygodniu mam je omówić z prawnikiem.

– Mądra dziewczynka. – Tristan nalał jej kieliszek wina i wrócili do rozmowy prowadzonej podczas spędzonej wspólnie nocy. Libby szybko sobie przypomniała, czemu on jej się tak bardzo podoba. Był interesujący, doświadczony, ale nie miał w sobie arogancji ani egoizmu, tylko świeżość, która ją upajała. Śmiali się razem i gawędzili nad przystawką, ale kiedy Tristan podniósł butelkę wina, żeby ponownie napełnić jej kieliszek, Libby przykryła go dłonią.

– Przyjechałam samochodem – wyjaśniła w nadziei, że mężczyzna zaprosi ją na noc do siebie.

– No tak. – Tristan zerknął na zegarek. – To może chociaż pół kieliszka? Jeśli chcesz, możemy się potem przejść po plaży.

– Jasne – odparła i nagle zdobyła się na odwagę: – Albo możemy pojechać do ciebie.

Uśmiechnął się i spojrzał jej prosto w oczy, ale powiedział:

– Nie, nie dzisiaj.

– W porządku – rzuciła, starając się ukryć rozczarowanie. Dotarło do niej, że rozmawiają już od pół godziny, ale wciąż nie poruszyli tematu kobiety, która odebrała telefon w jego mieszkaniu. Gdy Libby otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, powstrzymał ją gestem lekko uniesionej dłoni.

– To moja współlokatorka. Durzy się we mnie. Skomplikowana sprawa. Najlepiej by było, gdybyś do mnie nie dzwoniła ani nie przychodziła, dopóki się z tym nie uporam.

– W porządku – powtórzyła Libby i skinęła głową, wpatrzona w blask świecy. Wiedziała jednak – ze stuprocentową pewnością – że to kłamstwo. Albo przynajmniej półprawda. Zamożni czterdziestolatkowie nie miewają takich współlokatorek.

– Dobrze się czujesz?

Posłała mu promienny uśmiech.

– Oczywiście. Czemu pytasz? Nie miałeś przypadkiem dolać mi wina?

Tristan roześmiał się i napełnił jej kieliszek. Libby zachowała pozory beztroski, ale jej myśli krążyły wokół jednego tematu. Tristan był związany z inną kobietą. Czuła się rozczarowana, lecz

szybko przypomniała sobie, że ludzie żyjący w szczęśliwym związku nie rozglądają się za innymi. Tak zawsze mówił Mark.

Na myśl o Marku zdała sobie sprawę, że kiedyś już znalazła się w podobnej sytuacji. I też szukała wymówek. Przerabiała identyczny scenariusz. I właśnie dlatego nie miała prawa oceniać Tristana.

Libby od ponad tygodnia nie widziała żadnych oznak życia w latarni, więc zdziwiła się, kiedy w sobotnie popołudnie do drzwi jej domu zapukał Damien.

– Cześć – przywitała się, wpuszczając go do środka. – Chciałabym móc powiedzieć, że Szeftowa tęskniła za tobą, ale wątpię, czy w ogóle zauważyła twoją nieobecność.

Damien znalazł kotkę na kanapie i kucnął, żeby ją połaskotać pod brodą. Szeftowa przeciągnęła się i zasnęła.

– Koty zawsze się cieszą na widok właściciela – zazartował Damien.

– Gdzieś ty się podziewał?

– Mieszkam teraz w pensjonacie. Przyszedłem ci podziękować za wysłanie mnie do Juliet. Remontuję jej kuchnię i codziennie śpiam w wygodnym łóżku. – Wstał i posłał jej kpiarski uśmiech.

– Chociaż nie uprzedziłaś jej, że wpadnę.

– No tak, faktycznie. Juliet i ja...

– Tak, wiem.

– Opowiedziała ci o wszystkim?

– O tym i owym. Resztę usłyszałem od Cheryl. Spotykasz się z Tristanem Catherwoodem, wrogiem publicznym numer jeden. No, no, no, odważna z ciebie kobieta – zakpił.

– Przestań. – Libby wymierzyła mu żartobliwego kuksańca. – Nie gardzisz mną?

– No skąd.

– Nie jesteś po jej stronie?

– Jestem po obu stronach. Moim zdaniem powinnyście spróbować się dogadać. Jesteście rodziną. Co mogę powiedzieć? Z rodziny się nie rezygnuje.

Libby zawstydzila się nagle, więc poszła do kuchni, żeby włączyć czajnik i jakoś ukryć twarz.

– Napijesz się herbaty? A może zostaniesz na kolacji?

– Herbaty napiję się chętnie, ale nie musisz mnie karmić. Juliet ciągle daje mi niesprzedane tarty i kanapki z pieczeniową wołową.

Libby przyjrzała mu się uważnie.

– Rzeczywiście, wyglądasz dużo zdrowiej.

– Wystarczył tydzień pod opieką Juliet.

Libby odniosła wrażenie, że w jego głosie pobrzmiewa czułość. Zajęła się parzeniem herbaty, a potem wygoniła Szeftową z kanapy, żeby mogli usiąść tam razem.

– Czy to znaczy, że porzuciłeś już wyjaśnianie tajemnicy latarni morskiej?

– Wręcz przeciwnie. Spakowałem papiery do pudeł i zabrałem do pokoju u Juliet. Tam je rozłożyłem i uporządkowałem według chronologii. Niestety, wielu wpisów brakuje. Wpisów, które bardzo chętnie bym przeczytał.

Libby nalała herbaty i usiadła wygodnie z filiżanką w dłoni.

– Mów dalej.

– Przeczytałem ponownie dziennik, który ci pożyczyłem. Ten, w którym Matthew Seaward coraz częściej pisze o tajemniczej „I.”. Nigdy nie rozpisuje się na jej temat ani nie zdradza własnych uczuć, ale... sam nie wiem, Libby, mam wrażenie, że był w niej zakochany.

– Serio?

– Może zrobiłem się ckliwy.

– Ckliwy. Świetne słowo.

– Wiesz, o co mi chodzi. Może wyobrażam sobie rzeczy, których wcale tam nie ma. Od czasu do czasu pisze o swojej „ślicznej ptaszynie” i zastanawiam się, czy chodzi mu o tę kobietę, czy naprawdę hodował jakiegoś ptaszka. Gdzie indziej wspomina, że „I.” popłynęła parowcem do Brisbane i dodaje bardzo wymowne zdanie: „W latarni jest bardziej pusto niż zwykle”. Zupełnie jakby był zakochany. – Damien napił się herbaty. – Ciekawe, czy ona wiedziała, że on coś do niej czuje.

Libby przyglądała mu się przez chwilę z uśmiechem.

– Wiesz co? Mam wrażenie, że ty sam jesteś zakochany.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Twoja siostra jest naprawdę wyjątkowa.

Jego odpowiedź była tak niespodziewana, że Libby z wrażenia otworzyła usta.

– Juliet? Przecież ona jest dziesięć lat starsza od ciebie. Opiekowała się tobą, kiedy byłeś dzieckiem.

– Wiem i dlatego pewnie nigdy nie spojrzysz na mnie inaczej niż na dzieciaka, prawda? A przecież oboje jesteśmy już dorośli. Myślisz, że miałbym u niej jakieś szanse?

Libby chciała go pocieszyć, dodać mu odwagi, ale nie mogła.

– Naprawdę nie wiem – odparła. – To żałosne, nie sądzisz? Za słabo znam własną siostrę, żeby ci odpowiedzieć. Wydaje mi się, że jest tradycjonalistką, więc... – Nagle, by się z nim podrażnić, spytała z domyślnym uśmiechem: – To dlatego chcesz, żebyśmy się dogadały?

Damien zaśmiał się lekko.

– Zapomnij, że pytałem.

– Nie zdradzę twojego sekretu. Zresztą mogę nie mieć okazji, bo nie wiem, czy Juliet kiedykolwiek zechce jeszcze ze mną porozmawiać.

Przez chwilę siedzieli bez słowa. Szefowa położyła się Damienowi na kolanach, a Libby, kołysana przez szum morza i miarowy stukot wentylatora, popadła w zadumę. Milczenie przerwał Damien:

– Juliet powiedziała mi, co się stało tej nocy, kiedy utonął Andy.

Poczucie winy i upokorzenie przygniotły Libby niczym potworny ciężar. Zdołała wykrztusić:

– Aha.

Damien nie ciągnął tematu, zajął się drapaniem kotki między uszami.

W końcu Libby się odezwała.

– Rozumiem, co zrobiłam, ale mam wrażenie, że to wszystko przydarzyło się komuś innemu.

Minęło dwadzieścia lat. Połowa mojego życia. Wtedy czułam się dorosła, teraz jednak wiem, że ciągle byłam dzieckiem.

– Kiedy Juliet opowiedziała mi tę historię, zrobiło mi się jej strasznie żal. I ciebie też.

Libby spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Naprawdę?

– W młodości wszyscy popełniamy błędy. Większość z nich nie ma tragicznych konsekwencji. Ty miałaś potwornego pecha. I to właśnie powiedziałem Juliet.

Libby utkwiała wzrok w filiżance i zauważyła drżenie swoich dłoni. Wracały do niej wspomnienia tamtej nocy. Słona woda w gardle, zimny wiatr, wycie syren, narastający strach. I to najgorsze: krzyki Juliet. Nie brzmiały jak płacz człowieka, tylko wycie rannego zwierzęcia.

– Byłam idiotką – wyznała Libby. – Gdybym nie weszła do wody, Andy nadal by żył. Ożeniłby się z Juliet, mieliby dzieci, moja siostra byłaby szczęśliwa. – W oczach Libby wezbrały łzy. Przełknęła je.

– Tego nie wiesz. Byli jeszcze dziećmi, kiedy zaczęli się spotykać. Potem wszystko mogło się popsuć. W życiu nie ma żadnych gwarancji.

– Pewnie. Ale ja odebrałam im szansę na próbę spełnienia marzeń. Zrujnowałam życie Juliet.

– Jej życie nie jest zrujnowane.

Libby podniosła wzrok.

– To samo mi powiedziała. Dokładnie to samo.

– A więc to musi być prawda. – Damien uśmiechnął się ciepło i łagodnie. – Czy to z powodu wypadku uciekaś do Paryża?

– Tak. To znaczy zawsze chciałam się stąd wyrwać, ale po wypadku zależało mi, żeby znaleźć się jak najdalej od Juliet. Miałam potworne wyrzuty sumienia. Do tego ona oświadczyła, że nie chce mnie nigdy więcej widzieć. – Libby urwała na moment. Słowa siostry wciąż dźwięczały jej w uszach, na nowo budząc poczucie winy. Chciała zamknąć oczy, paść na podłogę i nigdy więcej już

o tym nie myśleć, ale Damien czekał na ciąg dalszy. – Nieźle znałam francuski, więc kupiłam bilet w jedną stronę. Uciekłam. Dosłownie. Z roku zrobiły się nagle dwa lata, potem cztery, potem dziesięć, potem... Wszystko przegapiłam. Każde urodziny, każde święta, pogrzeb taty. Nie mam pojęcia, co robiła Juliet, bo nigdy jej o to nie spytałam. Zakładałam, że się odezwie, gdy wyjdzie za mąż albo urodzi dziecko. Czasami się zastanawiałam, co u niej słyhać, ale budziło to we mnie takie wyrzuty sumienia, że... – Głos jej drżał i musiała wziąć głęboki wdech, żeby się nie rozplakać. – Zmusiłam się do tego, żeby o niej zapomnieć – dokończyła szeptem.

Damien przemieścił Szefową na swoich kolanach, po czym sięgnął ręką i dotknął współczująco ramienia Libby.

– Już dobrze.

I coś w jego dotyku, coś w jego głosie rozpałiło jej gniew. Kim właściwie był ten smarkacz, żeby okazywać współczucie? Żeby ją pocieszać? Libby wzdrygnęła się i odsunęła od niego.

– Przecież wiem! – warknęła i natychmiast się zawstydyła. Wstała, żeby wyjrzeć przez okno. Czowała za plecami obecność mężczyzny, jego cierpliwe wyczekiwanie. Wyglądało na to, że nie uraziła Damiena swoimi gniewnymi słowami. – Możemy o tym nie rozmawiać?

– Jasne – odparł. – Przepraszam, że poruszyłem ten temat.

– Mówiliśmy o naszym zakochanym latarniku...

– Tak jest. Brakuje mi dokumentów z 1901 roku. Dziennik Matthew Seawarda kończy się akurat w chwili, kiedy zaczyna robić się ciekawie i... hmm... Zakochany latarnik. Nie ma już więcej jego wpisów. Kolejny dziennik, jaki mam, prowadził jego następcę.

Libby odwróciła się w jego stronę, oparta o zlew. Damien nadal siedział na kanapie razem z Szefową.

– Gdzie mogą być te dokumenty?

– Chyba wiem gdzie. Tam, gdzie nie mam wstępu.

Zdziwiona Libby przechyliła głowę na bok.

– U mnie w domu. Razem z resztą rzeczy. A do domu nie mam w tej chwili wstępu. Kiedy dziadek zmarł, zostały po nim całe pudła pełne książek i papierów. Mama przechowywała część z nich u mnie. Chciała kiedyś przejrzeć zawartość, ale chyba zapomniała. Mam przeczucie, że są tam stare dokumenty z latarni morskiej, w tym dziennik Matthew Seawarda.

– To czemu nie możesz tam pojechać i sam przeszukać pudeł? Przecież są w twoim domu.

Damien się skrzywił.

– Bo mieszka tam moja była. A ona jest na mnie wściekła.

Libby powoli zaczynała pojmować jego problemy.

– Coś ty jej zrobił?

Teraz to Damien był zażenowany i zły.

- Nic jej nie zrobiłem.
- Powiedziałaś, że jest wściekła.
- Ponieważ przestałem ją kochać! – wypalił. – Jest wściekła, ponieważ przestałem ją kochać.

Libby wróciła na kanapę, usiadła obok niego i głaskała kotkę po uszach.

- I dlatego wyrzuciła cię z domu?

– Tak, a oprócz tego zmieniła wszystkie hasła dostępu do naszego wspólnego konta. No ale wiesz, kiedyś w końcu ochłonie.

Libby przez chwilę przyglądała się twarzy Damiena.

- Boisz się jej, prawda?

– Ma wybuchowy temperament. To lekko onieśmielające.

– Nie możesz jej na to pozwolić. Potrzebujesz swoich rzeczy. Musisz dalej żyć.

– Wiem.

– A ja – Libby się uśmiechnęła – koniecznie chcę przeczytać ostatnią część dziennika Seawarda.

Odprężony nieco Damien odpowiedział jej uśmiechem.

– Może znowu zadzwonię do Rachel. Może tym razem mnie wysłucha i nie ograniczy się do steku wyzwisk oraz ciśnięcia telefonem.

Libby nie wyobrażała sobie, że ktoś może traktować w ten sposób łagodnego, miłego Damiena, który nagle wzbudził w niej instynkt opiekuńczy.

– Czy nie byłoby lepiej, gdybym to ja do niej zadzwoniła? Albo gdybym pojechała tam z tobą?

Jednak Damien już kręcił przecząco głową.

– Nie, nie, nie. Muszę to zrobić sam. – Wziął głęboki wdech. – Dzięki za herbatę. Gdybyś mnie potrzebowała, będę w pensjonacie.

– Trudno mi się tam pokazywać, więc odwiedzaj mnie, kiedy tylko zechcesz.

Dopiero kiedy się żegnali przy drzwiach, Libby przypomniała sobie o swoich podejrzeniach wobec Graeme'a Beersa. Damien, w przeciwieństwie do Tristana i Scotta, natychmiast jej uwierzył, gdy mu o tym powiedziała.

– Jak myślisz, czego on tu szuka? – zapytał.

– Nie mam pojęcia.

– Nie próbował włamać się do domu?

– Nigdy. Chwała Bogu.

– Więc chodzi mu o działkę. Może mu się wydaje, że ma do niej prawo? Czy jego rodzina mieszka gdzieś w pobliżu? Może on sprawdza, gdzie przebiega granica działki?

– Albo coś tu zgubił... A jeśli tak, to co? – Libby oparła się o futrynę. – Powinnam go o to zapytać?

Damien potrząsnął głową.

– Nie. Ten gość może być niebezpieczny. Nigdy nic nie wiadomo.

Ciało Libby przeszył zimny dreszcz.

– Sierżant Lacey mi nie wierzy.

– Pamiętaj, żeby zawsze zamykać drzwi, i trzymaj telefon pod ręką, na wypadek gdyby znowu się pojawili. Szkoda, że nie możesz do mnie zadzwonić, bo mój telefon został w domu wraz z innymi rzeczami.

Z jakiegoś powodu Libby uznała, że to zabawne. Stłumiła śmiech, ale Damien zauważył figlarny błysk w jej oku i też się roześmiał. Dobrze było się pośmiać ze swoich problemów.

– Mogę ci coś poradzić? – zapytała Libby.

– Jasne, słucham.

– Jeśli chcesz poderwać moją siostrę, to najpierw uwolnij się na dobre od wszystkich zobowiązań. Nie mam pojęcia, czy różnica wieku stanowi dla Juliet jakiś problem, ale wiem, że moja siostra nie będzie się palić do związku z kimś, kto wciąż ma poważne kłopoty ze swoją byłą. Zrób coś z tym już teraz, nie odkładaj na później.

Damien skinął głową.

– Dobra rada. Pomyślę o tym. I też mam dla ciebie radę.

Libby się zjeżyła, a on posłał jej uśmiech.

– Daj spokój – powiedział. – Musisz ją przyjąć.

– No to słucham. – Postarała się, żeby to zabrzmiało spokojnie.

– Zapomnij o tym, co zrobiłaś kiedyś, i zastanów się, co możesz zrobić teraz.

Libby skinęła lekko głową.

– Dzięki. Pomyślę o tym.

W poniedziałek rano Juliet zeszła na dół i zastała Melody z Damienem przy śniadaniu, roześmianych i flirtujących. Poczwała ucisk w żołądku. Melody dopiero co skończyła dwadzieścia lat, więc była bardziej zbliżona wiekiem do Damiena niż Juliet. Poza tym miała jędrną skórę i żrebięce kończyny. Juliet w pierwszym odruchu chciała ją odesłać do kuchni, żeby czekała tam na dostawę z piekarni – w końcu należało to do jej obowiązków – ale zmieniła zdanie. Cheryl ją przecież ostrzegała, a portal randkowy potwierdził jej obawy. Nie mogła powstrzymać Damiena od szukania szczęścia z kimś innym.

– Dzień dobry – rzuciła cicho w ich stronę i poszła do kuchni.

Furgonetka z piekarni przyjechała chwilę później, więc Juliet miała pełne ręce roboty: musiała przeliczyć pieczywo i sprawdzić fakturę. Drugi gość pensjonatu nie zszedł na śniadanie, a rano ruch

był niewielki. Juliet zrobiła ciasto na bułeczki i właśnie formowała je na obsypanej mąką stolnicy, kiedy stanął za nią Damien.

– Juliet...

Podskoczyła, przyciskając dłoń do piersi.

– Przepraszam.

– Myślami byłam daleko stąd – wyjaśniła Juliet. – Jak tam śniadanie?

– Pyszne jak zawsze.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę.

– Melody robi świetne śniadania w weekendy. Bez niej bym sobie nie poradziła. – Uśmiechnęła się zachęcająco. – To urocza dziewczyna.

– Hmm... no tak.

– Dobrze się dogadujecie. Powinniście spędzić trochę czasu razem. Ona na pewno zna wszystkie fajne kluby nocne... – Nagle urwała. KLUBY NOCNE? SERIO? Czy ona w ogóle miała pojęcie, jakiej rozrywki szukają obecnie młodzi ludzie?

Zapadła pełna skrępowania cisza. W końcu Damien się odezwał:

– Muszę wyjechać. Nie będzie mnie góra tydzień. Pewnie krócej. Muszę... muszę załatwić sprawy z Rachel. Dłużej tak być nie może.

Juliet skinęła ostrożnie głową.

– Jak wrócę, skończę remont kuchni.

– Nie martw się. I tak dużo już zrobiłeś.

– Nie, nie. Na pewno wrócę. Obiecuję.

Ona jednak już to wyczuła. Damien się odsuwał, znikał z jej życia. Tak pewnie będzie najlepiej. Zadurzyła się kompletnie bez sensu. Czyste szaleństwo. Teraz było jej okropnie głupio.

– Powodzenia – powiedziała.

Wtedy Damien przysunął się bliżej i rozłożył ramiona, żeby ją uciskać. To tak ją zaskoczyło, że nie zdążyła się nawet nacieszyć tą bliskością. Przez chwilę poczuła ciepło mężczyzny, dotyk jego skóry, bicie serca, ale nade wszystko zapach: ciepłą, świeżą woń oceanu. Damien się odsunął, mrużąc coś pod nosem.

– Słucham? – zapytała Juliet.

– Nieważne. Do zobaczenia po powrocie.

– Zatrzymam dla ciebie pokój.

Uśmiechnął się, a potem wyszedł.

Wszyscy znali Juliet. Był to jeden z plusów mieszkania od dziecka w małym miasteczku. Wszyscy ją znali, a większość znajomych dobrze jej życzyła. Niektórzy lubili z nią plotkować, chociaż ona nie

przepadała za plotkami. Największą miłośniczką plotek była Shelley Faber, sekretarka z kancelarii prawniczej Anderson i Wright przy Puffin Street.

Juliet szła właśnie do banku, wykorzystując półgodzinną przerwę między sprząaniem po śniadaniu a przygotowaniami do lunchu. Liczyła, że szybko załatwi swoje sprawy, ale Shelley, koleżanka ze szkolnej ławy, paliła akurat papierosa przed biurem i ją zauważyła.

– Juliet! Właśnie ciebie chciałam dziś spotkać.

– Mnie? Dlaczego?

Shelley wypuściła z ust ciekłą smugę dymu i zgasła papierosa na ścieżce.

– Co właściwie sprzedaje twoja siostra?

Juliet stłumiła jęk. Dlaczego wszyscy zakładają, że ona wie, co robi Libby?

– Nie rozumiem.

– Bronwyn z kancelarii Pariota powiedziała mi, że Elizabeth Slater umówiła się w tym tygodniu na konsultację ze specjalistą od handlu nieruchomościami. Rozumiesz? Chce sprzedać jakąś nieruchomość.

Juliet poczuła pieczenie w żołądku.

– Nic nie wiem na ten temat. Nie zwieramy się sobie.

– Myślisz, że...?

– Powiedziałam ci już, że nie wiem – warknęła Juliet. – Przepraszam, muszę lecieć.

Zapomniawszy o banku, poszła na plażę, zsunęła buty i zaczęła brodzić w wodzie. WDECH. WYDECH.

Libby. Tristan Catherwood. Nieruchomości. To wszystko mogło się łączyć tylko w jeden sposób. Miejscowa społeczność od lat miała na pieńku z Ashley-Harris Holdings. Juliet walczyła najbardziej zaciekle, nie tylko o przetrwanie swojego pensjonatu, lecz także dla dobra całego miasteczka, jego mieszkańców, nawet środowiska. Co Libby i Tristan Catherwood mogli wiedzieć o Lighthouse Bay? Co było stawką w tej walce? Wszystko.

Juliet dawno nie czuła się tak przygnębiona. Długie lata zmagania kompletnie ją wyczerpały. Robiła, co mogła, żeby zapewnić sobie spokojną przyszłość, i nagle się okazało, że ma marne perspektywy: czeka ją jałowe życie bez miłości, bez rodziny, z podupadającym biznesem w nieodwracalnie zmieniającym się miasteczku. Na dodatek nie była już młoda; ostatnie kontakty z Damienem boleśnie jej to uświadomiły. W jednej chwili odczuła całą krótkość i ulotność życia. Wbiła palce stóp w piasek, ale cofające się fale wymyły go spod jej stóp. Zamknęła oczy. Na moment zakreśliło jej się w głowie.

Minęło już jednak wpół do dwunastej. Nie mogła stać tu bez końca i uzalać się nad sobą. Melody i Cheryl czekały na swoją nadmiernie poważną, umęczoną szefową. Dziś jeszcze można było liczyć

na klientów. Co przyniosą kolejne dni, tygodnie i lata? Tego nie wiedział nikt. A już na pewno nie ona.

Libby obudziła się w środku nocy. Wcześniej skopała z siebie koc, ale teraz zmarzła. Wciąż lekko nieprzytomna sięgnęła po okrycie.

I wtedy usłyszała znajomy odgłos. Ten sam samochód. Silnik zgasł.

Usiadła, uniosła leciutko zasłonę i wyjrzała przez okno. Reflektory wciąż były włączone, ale nie mogła odczytać tablicy rejestracyjnej.

Zgodnie z radą Damiana trzymała telefon przy łóżku. Błyskawicznie wybrała numer na policję. Odebrał młody funkcjonariusz. Libby powiedziała mu, co się dzieje, a potem się rozłączyła.

Policja dotrze tu dopiero za kilka minut. Libby wyjrzała przez okno. Jakaś ciemna sylwetka – z łatwością dało się w niej rozpoznać syna Graeme’a Beersa. Wsiadł z auta i skierował się w stronę północnej ściany domu.

Libby zamarła. Nie wiedziała, co robić. Mogła zażądać wyjaśnień. Mogła zapytać, co do cholery jest tu grane.

„Gość może być niebezpieczny. Nigdy nic nie wiadomo” – przemknęło jej przez głowę. Nie, lepiej się do niego nie zbliżać. Mogła jednak się zakraść od południa i spróbować podejrzeć tylną tablicę rejestracyjną. Gdy zdobędzie numer, nawet Scott Lacey będzie musiał jej uwierzyć.

Wstała i wciąż odziana w kusą piżamę poszła do pracowni po latarkę. Nie mogła opuścić domu frontowymi drzwiami: jeśli Graeme siedział w samochodzie, na pewno by ją zauważył. Dlatego po cichu zdjęła siatkę na owady z okna pracowni. Przysunęła sobie krzesło i ostrożnie wyszła na zewnątrz, miękko lądując na zarośniętej grządce. Tam przystanęła, by złapać oddech. Serce waliło jej tak mocno, że prawie nie słyszała szumu oceanu i cykania świerszczy. Zaczęła nasłuchiwać odgłosu kroków. Cisza. Zakradła się od południowej ściany domu i odczekała kilka chwil.

Widziała auto zaparkowane przy drodze. Gdyby się do niego zbliżyła, zostałaby zauważona, więc przeszła przez stare ogrodzenie, zdrapując z niego łuszczącą się farbę i obcierając przy tym kolano. Potem, mocno pochylona, dotarła do drogi. Włączyła latarkę, zza ogrodzenia skierowała snop światła na tablicę rejestracyjną i zapamiętała numery.

Po chwili usłyszała, że ktoś biegnie: syn Graeme’a ją zobaczył. Zgasła latarkę i kuląc się z mocno bijącym sercem, potknęła się o kamień. Upadła ciężko na plecy. Silnik ryknął i samochód ze zgrzytem ruszył po żwirze.

Intruzi odjechali.

Tym razem jednak ich dorwała.

Wróciła do domu. Dopiero kiedy szarpnęła za klamkę, przypomniała sobie, że drzwi są zamknięte od środka. Obeszła dom, chcąc wejść z powrotem przez okno pracowni, ale nagle poczuła

ciekawość. Czegóż oni szukali?

Ponownie włączyła latarkę. W błocie koło ciekącego węża ogrodowego widać było ślady stóp. Libby ostrożnie szła przez wysoką trawę, oświetlając sobie drogę i szukając jakichś wskazówek. Widziała jednak tylko kamienie, rośliny i pajęczyny. Zauważyła, że trawa koło domu jest w jednym miejscu mocno wygnieciona, więc skierowała tam światło latarki. Domek stał na półmetrowych podporach. Wyglądało na to, że syn Graeme'a położył się na brzuchu i przygniótł trawę. Libby kucnęła i oświetliła przestrzeń pod domem, wciągając w płuca woń zimnej ziemi. Ślady wskazywały, że intruz wsunął się nieco pod dom i... ona też musiała teraz zajrzeć pod spód... Zobaczyła tam płytką dziurę wykopaną szpadlem.

Na dźwięk nadjeżdżającego auta wstała nieco zbyt gwałtownie, uderzyła się w głowę, zobaczyła wszystkie gwiazdy, upuściła latarkę i musiała przytrzymać się desek, żeby nie upaść.

Tym razem nie był to samochód Graeme'a, tylko radiowóz ze Scottem Laceyem w środku. Libby czekała na niego przed domem.

– Znowu tu byli – powiedziała, pocierając guz na głowie. – Zapamiętałam ich numery.

– Nic ci nie jest?

– Uderzyłam się w głowę.

– I w kolano.

Spojrzała w dół, na upapraną krwią i błotem nogę, po czym westchnęła.

– Wejźmy do środka – zaproponował Scott.

– Drzwi są zamknięte. Musimy wejść przez okno od tyłu.

Mężczyzna dotknął lekko jej ramienia.

– Może tu poczekaś, a ja wejdę i ci otworzę?

Libby z wdzięcznością skinęła głową. Chwilę później zapaliła światło w salonie, a Scott usiadł i wyjął notatnik.

– Herbaty? – zaoferowała.

– Nie, dzięki. Lepiej spiszmy twoje zeznanie.

Odkręciła kran i niezbyt elegancko podniosła nogę, żeby obmyć sobie kolano. Podała Scottowi numer rejestracyjny oraz markę, model i kolor samochodu.

W pewnym momencie się odwróciła i spostrzegła, że Scott ukradkiem podziwia jej nogi w krótkich spodniach od pizamy. Zawstydziała się i zarumieniła. Mężczyzna szybko spojrzał w inną stronę.

– Scott, oni czegoś szukali – stwierdziła Libby. – Zaglądali pod dom. Nic nie przychodzi ci do głowy? Może znasz jakieś miejscowe legendy? Czego mogli szukać?

– Pojęcia nie mam – powiedział Scott, stukając długopisem w notatnik. – Ale jutro z samego

rana, kiedy tylko ich zidentyfikujemy, pojedę do Beersa i go wymaguję. – Podniósł wzrok i się uśmiechnął. – A zaraz potem skontaktuję się z tobą.

Libby przyglądała mu się przez chwilę. W końcu zapytała:

– Nadal jesteś na mnie zły w imieniu Juliet?

– Nigdy nie byłem na ciebie zły. – Wyraźnie unikał jej spojrzenia.

– Nie przejmuj się. Niedługo wyjadę.

– Tak?

– Zresztą nigdy nie byłam tu mile widziana, prawda?

– Niespecjalnie się o to starałaś – odparł Scott, wstając z kanapy.

Libby odprowadziła go wzrokiem, a potem zamknęła drzwi na klucz. Była zbyt pobudzona, by zasnąć, więc włączyła komputer i zabrała się do pracy nad broszurą. Za oknem ryczał ocean, lśniły gwiazdy, a wiatr szumiał w gałęziach drzew oddzielających plażę od miasteczka. Zupełnie tak samo jak dwadzieścia lat temu, kiedy tu mieszkała. Wiedziała, że po jej wyjeździe nadal nic się nie zmieni.

Następnego dnia po południu odwiedził ją inny policjant z informacją, że owszem, samochód faktycznie zarejestrowano na Graeme'a Beersa, ale policji nie udało się porozmawiać z właścicielem. Jego dom jest zamknięty, łódź zniknęła, a auto i przyczepa stoją w pobliżu przystani. Policjanci zostawili Beersowi informację, że ma się zgłosić na posterunek, ale na razie nic więcej nie wskórają. Libby poczuła się, jakby uszło z niej powietrze. Wciąż była zdenerwowana i już nie mogła się doczekać wyjazdu.

W dniu, który Isabella wybrała na pochowanie bransoletki Daniela, świeci słońce, błękitne niebo jest bezchmurne. Ona ma na sobie czarną suknię. Spędziła na jej szyciu całe dwa dni. Matthew kupił materiał w wiosce. Teraz Isabella siedzi na brzegu łóżka i ostrożnie usuwa ścięgi, które tak długo zamykały bransoletkę w osłonie z czarnej wstążki. Nitki wiążące ją dotąd z synkiem pękają jedna po drugiej. W końcu koralowa bransoletka wypada na łóżko. Isabella ponownie obwiązuje nadgarstek czarną wstążką, pomagając sobie wolną ręką i zębami. Potem podnosi bransoletkę, by przyrzeć się jej w porannym świetle wpadającym przez okno.

Każdy koralowy paciorek jest gładki. Każde srebrne ogniwo lśni. To taka maleńka rzecz, pasująca tylko na rączkę niemowlęcia. Isabella z namaszczeniem całuje każdy koralik. Łzy spływają jej po policzkach i ściekają z brody, ale ten płacz jest inny, dobry, oczyszczający.

Matthew wchodzi do pokoju odziany w ślubny garnitur. Trzyma w dłoniach orzechowy kufer zawierający niegdyś buławę.

– Tak – mówi Isabella. – Pasuje idealnie. Przecież nie mogłabym wrzucić tego tak po prostu do ziemi. A kufer jest prawie jak mała trumna, prawda?

Mężczyzna kładzie kufer na łóżku i gładzi ją po włosach. Isabella po raz ostatni ściska w dłoni lekką jak piórko bransoletkę. Potem układa ją na aksamicie i powoli opuszcza wieko.

Matthew podnosi kufer, a Isabella podąża za nim. Czuje na twarzy ciepłe promienie słońca. Powietrze jest lekkie i słone. To miejsce, które kiedyś wydawało jej się takie brzydkie i obce, wspaniale się nadaje na grób jej synka. Daniel będzie tu co noc słyszał w snach szum oceanu.

Isabella chwyta się za palce i ciągnie je mocno. Nie wolno tak myśleć. Dusza Daniela nie kryje się w bransoletce ani na terenie posiadłości Winterbourne'ów w Somerset. Dusza Daniela już dawno temu została uwolniona od doczesnych trosk. Isabella nie jest pewna, czy wierzy w niebo. Być może tak. Być może potrafi sobie wyobrazić, że Daniel ją stamtąd obserwuje i zastanawia się, czemu w tak ciepłym dniu jego mama ma na sobie ciężką czarną suknię. Isabella się uśmiecha, rozluźnia palce i idzie w las śladem Matthew.

Mężczyzna przygotował ten sam dół, w którym wcześniej zakopał buławę. Tym razem w ziemi spocznie nieporównywalnie cenniejszy skarb. Matthew przyniósł Biblię, a teraz staje przy małym grobie koło Isabelli i czyta psalm dwudziesty trzeci: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach...”. Serce Isabelli bije boleśnie mocno, a ona sama płacze, wypłakuje swój smutek. Matthew nie patrzy na nią krytycznie ani nie mówi, żeby się uspokoiła. Isabella pada na kolana przy grobie, podczas gdy mężczyzna składa w nim kufer. Potem

kobieta bierze do ręki garść ziemi, całuje ją i rzuca na wieko skrzyni. Matthew zaczyna zasypywać dół, a ona chowa twarz w brudnych od ziemi dłoniach i szlocha. Na koniec mężczyzna przykrywa grób dużym kamieniem.

Kiedy Isabella podnosi wzrok, słońce wciąż świeci, a Matthew cały czas stoi przy niej.

– Już po wszystkim – mówi kobieta.

– Teraz musisz wyjechać.

– Wiem.

Późną nocą, podczas gdy Isabella śpi, Matthew ciężko pracuje. Musi się pozbyć ostatniej rzeczy łączącej Isabellę i jego z rodziną Winterbourne'ów: buławy. Można by ją z łatwością zakopać albo wrzucić do oceanu, ale w obu przypadkach ktoś mógłby odnaleźć wyrzucony przedmiot. Poza tym złoto ma dużą wartość.

Matthew kupuje więc w warsztacie na obrzeżach wioski stare kamienne kowadło, bierze obcęgi oraz kamienny tłuczek i układa na boku zapasowy zbiornik z acetylenem, po czym przystępuje do pracy na brzegu za latarnią. Wie, że nie będzie w stanie przerobić złota na równe sztabki, ale metal jest miękki; topi się, więc można go kształtować tłuczkiem i ciąć za pomocą palnika acetylenowego. Matthew pracuje co noc, kiedy powinien wykonywać inne zadania. Pracuje ciężko, żeby nie myśleć o zbliżającym się wyjeździe Isabelli, a jednocześnie stara się zabezpieczyć jej przyszłość w Ameryce. Chowa kolejne, nierówne kawałki złota na dnie nieużywanej od lat walizki. Wręczy ją Isabelli w dniu wyjazdu.

Po czterech nocach po buławie nie ma śladu. Winterbourne'owie nie mogą się już o nią upomnieć.

Isabella postanawia zabrać z sobą materiały i narzędzia potrzebne do wykonywania biżuterii. Będzie podróżować samotnie, a tworzenie bransoletek i broszek dla siostry zapewni jej jakieś zajęcie i uchroni przed stoczeniem się w otchłań rozpacz i żalu. Podczas gdy Matthew idzie na pocztę, żeby odebrać jej bilet do Sydney, Isabella po raz ostatni zbiera na plaży kamienie i muszle. Potem pakuje je do skrzyni wraz ze złożonymi ubraniami, gotowymi do zabrania w dniu wyjazdu.

Czeka. Niemal nie zauważa upływu czasu; ma nieprzyjemne wrażenie, że każda chwila ciągnie się w nieskończoność. Jej smutek nie jest już cierpieniem kobiety, której nie pozwolono na żalobę, ale i tak trzeba go poczuć i przeżyć.

Isabella rozgląda się po pokoju w poszukiwaniu jakiejś pamiątki po Matthew, którą mogłaby zabrać z sobą. Nie znajduje jednak niczego. Nie ma tu żadnego portretu, zdjęcia, spinki do mankietu czy zegarka. Jest fajka, ale Matthew będzie jej potrzebował. Isabella siada ciężko na łóżku. Przecież

żadna pamiątka nie zastąpi jego obecności, zapachu, dotyku, ciepła. Na myśl o rozstaniu z Matthew Isabella zaczyna rozpaczliwie łkać. Ma już dosyć płaczu. Kiedy wreszcie skończy się ten ból? Czy w Ameryce będzie inaczej? Perspektywa długiego rejsu ją przeraża. Znów płynąć przez ocean, sam na sam ze swoimi myślami.

Drzwi otwierają się szeroko, a ona się cieszy, że coś oderwało ją od tych rozważań. Wyciera dłońmi mokre od łez policzki i z uśmiechem wita Matthew w kuchni.

Mężczyzna pokazuje jej kopertę.

– Piątego października. Za dwa dni. Parowiec odpływa z przystani w Mooloolah o dwudziestej pierwszej. Wynająłem powóz i zawiozę cię tam.

Oboje zastygają na chwilę w bezruchu, porażeni bolesną myślą o pożegnaniu w porcie. Potem wrywają się z zadumy. Isabella bierze bilet do ręki i ogląda go. Matthew tłumaczy, że w Sydney będzie musiała kupić bilet na rejs do Nowego Jorku.

– Wystarczy ci pieniędzy na jeden czy dwa noclegi – mówi. – Nie byłem w stanie zdobyć tutaj zbyt wiele informacji. Musisz obejrzeć statek i upewnić się, że ci odpowiada.

Isabella zagryza wargi i patrzy na bilet.

– Przedemną długą drogą.

Ciepłe, szorstkie palce mężczyzny unoszą jej podbródek.

– Za tobą jeszcze dłuższa.

Isabella zagląda mu w oczy.

– Nowy Jork jest daleko od ciebie. Nie popłyniesz ze mną?

– Ja? Wśród nowojorskiej elity? – Matthew kręci głową. – Twoja siostra nie byłaby zachwycona moją obecnością. Nie, Isabello, oboje wiedzieliśmy od początku, że nasza miłość nie opuści tej latarni. Poza jej murami świat stanąłby nam na drodze. Ludzie by się krzywili, wywierali presję, której byśmy nie wytrzymali. Od początku wiedziałem, że w końcu wyfruniesz, moja śliczna ptaszyno.

– I od początku wiedziałeś, że tu zostaniesz – dodaje Isabella. Czy to w porządku? Czy naprawdę nie mogą być razem? Ameryka to kraj nieograniczonych możliwości. Na pewno nikogo by nie obchodziło, kim oni są i co robią.

Wiadomo jednak, że Matthew nie zmieni zdania. Zawsze był zbyt wyczulony na opinię innych ludzi. A ona nie może tu zostać. Gdyby została, prędzej czy później znaleźliby ją Winterbourne'owie.

Isabella pragnie paść w ramiona Matthew i mocno się do niego przytulić, ale wie, że namiętne uściski niczego nie zmienią. Nie, przez te dwa dni musi się od niego powoli oddalać. Odsuwa więc dłoń mężczyzny ze swojego podbródka i cofa się o krok. W oczach Matthew pojawia się ból. Isabella już chce zmienić zdanie, ale wtedy on też się odwraca.

Początek pożegnania.

W Brisbane jest gorąco. Potwornie gorąco. Percy poci się pod kamizelką. Tęskni za orzeźwiający angielskim wietrzykiem. Tutaj nie ma wiatru, jedynie ciężki, nieruchomy upał, wywołujący pot w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Można tylko mieć nadzieję, że w domu lady Berenice McAuliffe będzie nieco chłodniej niż wśród kolumn portyku.

W końcu drzwi otwiera podstarzały służący.

– Czym mogę panu służyć, sir? – pyta powoli, przeciągając samogłoski.

– Muszę się zobaczyć z lady McAuliffe. Sprawa jest pilna. Nazywam się Percy Winterbourne.

Służący mierzy go podejrzliwym spojrzeniem.

– Pani nie spodziewa się dziś gości.

– Szybciej, człowieku – warczy Percy. – Zaraz się tu roztopię.

Służący wpuszcza go do środka i zostawia przy drzwiach. Percy ocenia wnętrze. Ta cała lady McAuliffe musi mieć spory majątek. Ciekawe, jak go zdobyła. Percy podnosi róg brokatowej zasłony i uważnie mu się przygląda. Matka nie ma w domu aż tak wykwintnych tkanin. Australijczycy to szczęściarze. Domy kosztują grosze, bo nikt nie chce tu mieszkać, a resztę można wydać, na co się chce.

– Witam pana.

Percy podnosi wzrok. W drzwiach stoi atrakcyjna kobieta, znacznie młodsza, niż się spodziewał. Wypuszcza z dłoni zasłonę i wyciąga dłoń do pani domu.

– Lady McAuliffe, dziękuję, że zechciała pani się ze mną spotkać. Niestety przychodzę w wyjątkowo pilnej i nieprzyjemnej sprawie.

Uścisk jej dłoni jest mocny.

– Nieprzyjemnej? No cóż, w takim razie zapewne powinnam usiąść, żeby pana wysłuchać.

Zapraszam do środka.

Prowadzi Percy'ego do salonu i wskazuje wygodny fotel. Sama siada naprzeciwko, na wyściełanym aksamitem szeslongu, i dzwoni po herbatę.

– Powiedział pan, że nazywa się Winterbourne, tak?

– Owszem, Percy Winterbourne. Należę do rodziny jubilerów. Mój drogi brat zginął ostatnio w katastrofie statku u północno-wschodniego wybrzeża.

Przejęta lady McAuliffe otwiera szeroko oczy.

– Jakież to straszne! Bardzo panu współczuję. Wyobrażam sobie, przez co pan przechodzi. Co mogę dla pana zrobić?

Percy sięga do kieszeni i wyjmuje z niej artykuł wycięty z gazety.

– To zdjęcie zostało zrobione podczas wydawanego przez panią balu.

Lady McAuliffe przygląda się fotografii z wypisaną na twarzy rezerwą.

– Widzi pani tę kobietę? – Percy wskazuje palcem Isabellę.

– Tak, to Mary Harrow.

– Nie, to Isabella Winterbourne. Żona mojego zmarłego brata.

Krótką chwilą ciszy. Służąca wnosi tacę z herbatą, a oni przyglądają się sobie.

Kiedy znów zostają sami, lady McAuliffe mówi:

– Co to ma znaczyć? O co panu chodzi?

– Przedstawiła się jako Mary Harrow, ponieważ chciała ukryć prawdę. Jest złodziejką. Ukradła mojej rodzinie przedmiot ogromnej wartości, a potem uciekła. Proszę mi powiedzieć, czy to możliwe, by taka młoda kobieta jako JEDYNA uratowała się z tonącego statku? Wiem, że jest złodziejką, ale podejrzewam też, że dopuściła się morderstwa.

Lady McAuliffe nalewa herbatę, siada wygodnie i wypija kilka łyków.

– Jestem wstrząśnięta – mówi.

– Muszę ją znaleźć.

– Wezwie pan policję?

– Nie, sam chcę ją znaleźć. – Percy słyszy, że jego słowa brzmią nieco zbyt szorstko, więc dodaje: – Ona wciąż należy do rodziny. Mamy nadzieję, że... zawróci ze złej drogi. Nasza reputacja bardzo by ucierpiała, gdyby Isabella trafiła do więzienia. – Zależy mu, by te ostatnie słowa wypadły przekonująco. Prawda jest taka, że nie powiadomił jeszcze matki o odnalezieniu tropu Isabelli. Najpierw chce ją znaleźć, a potem wybierze rodzaj kary. Czuje krople potu na górnej wardze.

Jednak lady McAuliffe potrząsa już głową.

– Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc. Nie mam pojęcia, gdzie ona przebywa. Znałam ją przelotnie i niezbyt dobrze. To znajoma jednej z moich przyjaciółek, na bal przyszła w ostatniej chwili. Proszę zostawić mi swoją wizytówkę, a ja popytam trochę wśród znajomych, dobrze?

Ciśnienie Percy'ego rośnie. Przebył taki szmat drogi, a tu się okazuje, że ta kobieta ledwo zna Isabellę? Z najwyższym trudem odpowiada spokojnie:

– Będę ogromnie wdzięczny za każdą pomoc.

– Może się pan napije?

Percy kręci przecząco głową.

– Dziękuję, nie mam ochoty na herbatę.

To prawda, ma ochotę na coś innego. Na zemstę. I nie zazna spokoju, dopóki jej nie dokona.

Tylko przez przypadek zagląda do sklepu Maxa Hardwicka. Widział jego reklamę w ostatnim numerze „Gońca Brisbane” i zauważył, że jubiler szczyci się sporą kolekcją biżuterii marki

Winterbourne. Przechodząc koło witryny sklepu, Percy uznaje, że to dobry pomysł.

Od tego momentu wszystko zaczyna się układać po jego myśli. Kiedy zachwycony Max Hardwick otwiera księgi, żeby pokazać swojemu gościowi, jaki procent dochodu przynoszą mu wyroby Winterbourne'ów, Percy dostrzega nazwisko Mary Harrow.

Natychmiast dźga palcem kartkę.

– Mary Harrow – odczytuje. – Kto to?

– Pewna młoda kobieta, która sama wykonuje biżuterię. Bardzo ładną. Mieliśmy tu trzy, może cztery sztuki. Bardzo szybko się sprzedały, ale ona nie przyniosła już nic więcej.

Percy jest tak wzburzony, że niemal nic nie słyszy.

– Rozumiem. A jak mógłbym się z nią skontaktować?

I znajduje odpowiedź. Lighthouse Bay. Urząd telegraficzny, który zdaniem Maxa Hardwicka mieści się w latarni morskiej.

Percy pewnym krokiem wychodzi ze sklepu.

Wieczorem w przeddzień odjazdu Isabella bierze gorącą kąpiel. Pozwala, by woda ukoїła ból w kościach i plecach, zamyka oczy i na chwilę pogrąża się w zadumie. Ona i Matthew od dwóch dni zachowują dystans, nie śpią razem, nie kochają się, unikają nawet przelotnych zbliżeń. Za każdym razem, gdy Isabella czuje bolesne pragnienie, by znaleźć się w jego objęciach, zagłusza je głosem rozsądku. Nie mogą być razem, więc nie ma sensu, by podsycali swój smutek, tuląc się do siebie. Jutro o tej porze będzie już czekała na parowiec do Sydney, a on pojedzie do taniego pokoju nad barem w miejscowym hotelu, gdzie zanojuje przed powrotem do latarni.

I koniec.

Isabella otwiera oczy. Ręcznik wisi niedaleko, więc wstaje, by sięgnąć po niego, znów czując ciężar swojego ciała.

I nagle w świetle lampy dostrzega coś nowego: bladoniebieskie linie na piersiach. Robi jej się gorąco. Zamiast ręcznika bierze do ręki lampę i przysuwa ją tak blisko, jak to możliwe, do nagiej skóry.

Błękitne linie na piersiach; piersiach, które od dwóch dni są nieco obolałe.

Widziała już takie linie. Czowała podobną tkliwość piersi. Teraz z głośnym brzękiem odwiesza lampę, chwyta ręcznik, owija się nim i biegnie na górę. Otwiera drzwi prowadzące na balkon, skąd Matthew obserwuje akurat ocean.

Mężczyzna odwraca się w jej stronę ze zdziwieniem, nie rozumiejąc, dlaczego Isabella ma na sobie tylko ręcznik.

– Co się stało?

Isabella czuje nagły przypływ nadziei. Ma wrażenie, że gwiazdy są na wyciągnięcie ręki.

Pozwala, by ręcznik opadł na podłogę, odsłaniając piersi w wieczornym powietrzu, i mówi:

– Matthew, jestem w ciąży.

Po niespokojnej nocy Isabella budzi się w skłębionej pościeli. A więc to dzisiaj. Jeszcze przed końcem roku ona – i jej dziecko – znajdą się w Nowym Jorku. Wszystko inne zostawi za sobą. Jednak na horyzoncie gromadzą się czarne chmury.

Matthew krząta się w pokoju obok. Na myśl o rozstaniu Isabella czuje gorzki smak w ustach; nawet perspektywa rychłego ojcostwa nie skłoniła mężczyzny do wyjazdu. Kiedy Isabella go o to poprosiła i zaskoczenie już minęło, wyglądał, jakby na myśl o nowych obowiązkach zrobiło mu się słabo.

– Jedź i żyj tam beze mnie – powiedział. Wydaje się, że rezerwa, z jaką się ostatnio do siebie odnosili, owładnęła ich dusze.

Isabella siada i spogląda na swoje nagie piersi. Wciąż są ciężkie i obolałe, a ich brodawki pociemniały. Minionego wieczoru zaczęła żałować, że pochowała bransoletkę Daniela; teraz ta świadomość stała się nie do zniesienia. Isabella próbuje zachować zdrowy rozsądek, ale nie potrafi skupić myśli i czuje presję czasu związaną z wyjazdem. Być może, jeśli pójdzie do lasu i stanie w miejscu pochówku, uzyska jasną odpowiedź. Wstaje więc, wkłada pończochy i halkę. Nie ma tu szafy, więc suknie leżą na fotelu. Isabella wyciąga ze stosu podróżną, a resztę składa przed spakowaniem do skrzyni. Podnosi wieko i zamiera.

Dno pokrywają kawałki złota.

– Matthew?! – woła Isabella.

Mężczyzna staje w drzwiach z telegramem w dłoni i ponurym wyrazem twarzy.

– Skąd to się tu wzięło? – pyta Isabella.

– To złoto z buławy – odpowiada Matthew tonem człowieka, który mówi coś oczywistego.

Isabella nie ma czasu na reakcję, bo Matthew podaje jej telegram. – To do ciebie.

Ona marszczy czoło, bierze wiadomość i odczytuje jej treść.

*Mary, szuka Cię Percy Winterbourne. Niczego mu nie powiedziałam, ale miej się na baczności.
Berenice.*

Isabelli krew uderza do głowy. W sercu czuje chłód.

– Kiedy to wysłała?

– Wczoraj rano. Czy ktoś jeszcze wie, że tu jesteś?

– Nie – odpowiada, choć ma świadomość, że nie jest to prawda. Jubiler też zna ten adres,

podobnie jak jedna czy dwie znajome Berenice. – O której odbierasz powóz?

– Mniej więcej za godzinę. Nie zwlekaj. Spakuj bagaże i przygotuj się do wyjazdu. Kiedy znajdziesz się na przystani, będziesz bezpieczna.

Matthew wygląda, jakby chciał ją objąć z całych sił i uchronić przed złem, ale zgodnie z ich milczącym porozumieniem zachowuje dystans.

– Już jestem gotowa – mówi Isabella z drżącym sercem. – Chcę jeszcze iść do lasu i pożegnać się z Danielem.

Matthew marszczy brwi.

– Nie, nie wychodź z latarni.

Isabella spuszcza głowę.

– Dobrze – odpowiada, choć wcale się z nim nie zgadza.

I wtedy rozlega się pukanie. Isabella i Matthew aż podskakują. Ludzie często przychodzą tu, żeby nadać telegram, mimo to mężczyzna kładzie palce na ustach i pokazuje Isabelli, żeby nie wychodziła z sypialni. Po cichu zamyka za sobą drzwi i idzie do wejścia.

Isabella przytyka ucho do szpary. Serce wali jej tak mocno, że trudno cokolwiek usłyszeć. Męskie głosy.

– Nie, nie wiem, o kim pan mówi. – Ten głos należy do Matthew. Isabella czuje narastającą panikę.

Znów słyhać czyjś stłumiony głos. Nie mogąc już tego znieść, kobieta uchyla drzwi sypialni i wytycza słuch.

– Dlaczego więc pewien nobliwy dżentelmen powiedział mi, że ją tu znajdę?

– Nigdy w życiu nie słyszałem o Isabelli Winterbourne.

– Posługuje się też nazwiskiem Mary Harrow.

– Niestety nie potrafię panu pomóc.

Percy. We własnej potwornej osobie. Koszmar się ziścił. Isabella zamyka drzwi i przyciska dłonie do ust, żeby stłumić okrzyk przerażenia. Nerwowo rozgląda się wokół. Okno. Chwyta swój podróżny neseser i wypycha go na zewnątrz, a potem najszybciej jak może podwija spódnicę i wychodzi przez okno. Miętko ląduje na ziemi i pędzi do lasu.

Matthew stara się mówić spokojnie i pewnie, nawet kiedy Percy Winterbourne – puciołowaty mężczyzna z wydętymi kapryśnie ustami – traci panowanie nad sobą.

– Przeszedłem szmat drogi w tym przeklętym słońcu, ponieważ powiedziano mi, że z Mary Harrow, a to nie jest nawet jej prawdziwe imię, można się skontaktować za pośrednictwem tutejszego urzędu telegraficznego. Powinien pan znać jej adres.

– Błędnie pana poinformowano. Być może miałem do czynienia z Mary Harrow, być może nawet

odbierałem przysyłane do niej telegramy, ale świadczę takie usługi wielu osobom, sir. Nie sposób, żebym zapamiętał wszystkie nazwiska i z całą pewnością nie znam adresu tej pani. – Matthew czuje ucisk w sercu. Chce chronić Isabellę, a ten człowiek jest agresywnie nieustępliwy. Latarnik podejrzewa, że pokonałby go w walce, ale nadal wierzy, że uda mu się nakłonić Percy’ego do odwrotu. – Może popyta pan ludzi w wiosce? – sugeruje, próbując zapewnić sobie czas na wywiezienie Isabelli. – Jeśli mieszkała tam, w Lighthouse Bay, to ktoś na pewno ją zna.

Percy się waha.

– Mam mnóstwo pracy, sir. Nie chciałbym być niegrzeczny, ale naprawdę nie potrafię panu pomóc.

Percy mruży oczy i wydyma wargi. W końcu cedzi przez zęby:

– Jestem zamożnym i wpływowym człowiekiem. Oby się nie okazało, że mnie pan okłamał.

Matthew rozkłada ręce.

– Po co miałbym to robić?

Percy mierzy go wzrokiem od stóp do głów, a potem z rezygnacją mruczy coś pod nosem.

– Miłego dnia, sir – mówi Matthew, zamykając za nim drzwi.

Czeka chwilę, aż ucichną kroki intruza. W głowie mu się kręci, wszystkie plany legły w gruzach.

Pędzi do sypialni.

Ani śladu Isabelli.

Nie ma odwagi jej wołać. Zagląda do pokoju z telegrafem, potem wbiega na górę po schodach, ale już wie, dokąd uciekła Isabella, i ta pewność mrozi mu krew w żyłach – Percy w drodze do wioski będzie musiał minąć las.

Matthew zbiega na dół, wyskakuje przez okno na zewnątrz, żeby nie spotkać się z Percym na ścieżce, i wchodzi do lasu od północnej strony. W zaroślach miga niebieska suknia. Pochylona Isabella z kuferkiem u boku rozkopuje ziemię dłońmi. Matthew pędzi w jej stronę, chwytając ją – wierzgającą i protestującą – a potem zasłania ręką usta.

– Nie, Isabello – syczy. – Nie ma na to czasu.

Isabella odpycha jego rękę i odpowiada schrypniętym szeptem:

– Została nam godzina.

– Nie możesz tu być.

Ona jednak znowu wbija wzrok w ziemię i kamień przypominający kształtem ptaka, który Matthew zostawił w miejscu pochówku, żeby łatwiej było je odnaleźć. Mężczyzna wie, że ze wszystkich sił chciałaby znowu się schylić i wykopać bransoletkę spod ziemi.

Słysząc kroki. Matthew wpada w popłoch. Isabella się kuli. W oddali, za drzewami, Percy Winterbourne stąpa po szeleszczącej ścieżce.

Matthew jeszcze mocniej chwyta Isabellę, obraca ją i po cichu prowadzi w przeciwnym kierunku, ale Percy już ich zauważył.

– Isabello! Ty ladacznico! Ty zbrodniarko! – wrzeszczy Winterbourne, rzucając się w pogoń.

Matthew łapie niewielki neseser Isabelli i popycha ją przed sobą. Gałęzie chłoszczą ich po twarzy. Uciekinierzy wybiegają z lasu w stronę latarni. Teraz muszą wybrać drogę: albo po skałach na plażę, albo w głąb lądu przez gęsty las. Plaża jest zbyt odsłonięta, więc Matthew kieruje Isabellę koło latarni, a potem prosto w las, na południe. Nocny deszcz zmienił ziemię w błoto, które chlupocze przy każdym ich kroku. Isabella się potyka, ale Matthew ją podtrzymuje. Podążają coraz głębiej między drzewa. Nie mają pojęcia, czy Percy nadal ich ściga ani w jakiej się znajduje odległości. Matthew żałuje, że nie mogą się poruszać bezgłośnie. Ma wrażenie, że Percy słyszy jego dudniący puls: ten odgłos jest niemal ogłuszający, podobnie jak trzask łamanych gałęzi, zziębnięte oddechy i tupot nóg. Pędzą dalej. Okrążają wioskę, by ją następnie zostawić za plecami. Isabella sapie z wysiłku, więc mężczyzna zwalnia nieco, żeby mogła zaczerpnąć tchu.

– Już nie dam rady biec – dyszy kobieta.

Przed nimi widać strumyk płynący w wąwozie. Matthew chwyta dłoń Isabelli i ciągnie ją szybko w tym kierunku. Razem zsuwają się w dół. Potem przywierają płasko do ziemi, kryjąc się w splątanej, bujnej trawie porastającej brzegi strumienia. Teraz ich nie widać. Matthew z całych sił wytęża słuch.

Lekki szelest w oddali wprawia jego serce w nerwowy dygot. Mężczyzna wciąż nasłuchuje. Nie, to nie kroki, to tylko głosy ptaków i tętent przemykających zwierząt, wietrzyk poruszający koronami drzew i zrzucający suche liście, które opadają z cichym szelestem na ziemię.

Szum morza.

Jej oddech.

– Zgubiliśmy go? – pyta szeptem Isabella.

– Chyba tak. Przynajmniej na razie.

Percy goni ich przez chwilę, lecz potyka się o korzeń i upada ciężko na ziemię. Gdy podpira się dłońmi, jego nadgarstek przeszywa ostry ból. Teraz ogarnia go wściekłość. Ten las jak z upiornego snu jest pełen dziwnych, archaicznych roślin i robactwa pełzającego w poszyciu. Percy przypomina sobie słowa posterunkowego wypowiedziane przy wraku: węże, dzikie psy, wojownicze plemiona tubylców. Wchodzi prosto w paszczę lwa.

Przysiada na chwilę na gołej ziemi. Jest straszliwie zmęczony po całonocnej podróży wynajętym powozem z Brisbane. Nie chciał czekać dwa dni na parowiec, ale nieustanne podskoki na wybojach i częste postoje na zmianę koni sprawiły, że się nie wyspał. Powóz wciąż czeka na niego przed

hotelem. Percy liczył, że szybko wpakuje do niego Isabelle, zawiezie do Brisbane i odda w ręce policji. Bardzo chciałby zobaczyć tę wiedźmę za kratkami, w śmierdzącym, dusznym więzieniu, z dala od domu. Chciałby mieć ją tylko dla siebie przez całą długą drogę, chciałby się zemścić, bezpośrednio, osobiście.

Na myśl o tym, że może nie mieć takiej okazji, piecze go w gardle, więc splota na ziemię.

Jest jednak sprytniejszy niż ta kobieta i jej latarnik. Oni na pewno gdzieś się pojawią. A wtedy on ich znajdzie.

Percy wstaje i otrzepuje ziemię z marynarki, nie dopuszczając do głosu nieprzyjemnego uczucia zażenowania. Nikt nie musi wiedzieć, że upadł. Z wysoko podniesioną głową zawraca do wioski. Pierwszy przystanek – sklep. Kobieta za ladą, szczupła i rudowłosa, posyła mu ciepły uśmiech.

Percy go nie odwzajemnia.

– Co pani wie o Mary Harrow i Matthew Seawardzie?

Onieśmielona jego sposobem bycia kobieta się jąka:

– Mary Harrow? Przez jakiś czas była nianią u Fullbrightów, ale już dawno temu wyjechała.

– Niemożliwe, widziałem ją dziś rano. Czy wszyscy tu kłamią?

Dobrze ubrany mężczyzna, palący cygaro przy stojaku z pocztówkami, zabiera głos:

– Znam Mary Harrow – mówi. – Ta pani nie kłamie. Mary Harrow pracowała u Fullbrightów, ale wyjechała kilka miesięcy temu. Widziałem ją jednak w zimie.

– Jak się pan nazywa?

– Abel Barrett.

Percy mierzy nieznanego wzrokiem. Mężczyzna wygląda na dżentelmena i aż się pali, żeby powiedzieć wszystko, co wie na temat Mary Harrow.

– Wystrychnęła was wszystkich na dudka – oświadcza Winterbourne. – Nie nazywa się Mary Harrow, tylko Isabella Winterbourne. Jest złodziejką. Być może również morderczynią.

Kobieta zza lady wtrąca:

– Okradła Katherine Fullbright.

Barrett ucisza ją gestem ręki.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Percy Winterbourne, pochodzę z rodziny jubilerów.

Barrett marszczy czoło.

– Ona też miała biżuterię. Sprzedała ją w Brisbane.

Percy wzdryga się na myśl, ile swojej biżuterii – opłaconej przez jego rodzinę – mogła sprzedać Isabella. A przecież ma jeszcze buławę. Na pewno dlatego uciekała wraz z latarnikiem.

– Wszystko to ukradła – obwieszcza Percy posępnie. – Ukradła mojej rodzinie. Mojemu zmarłemu bratu. Własnemu zmarłemu mężowi.

Kobieta za ladą sapie z przejęcia. Abel Barrett żuje z namysłem końcówkę cygara, a potem pyta:

– Jaki to wszystko ma związek z Matthew Seawardem?

– Ta dwójka jest w zмовie. Seaward ukrywał Isabellę w latarni.

Barett potrząsa głową.

– Nie, to niemożliwe. Matthew Seaward jest cichy jak myszka. Nigdy w życiu nie zrobił nic złego.

– Mój mąż wynajmuje powozy na tyłach sklepu – wtrąca dramatycznym tonem sklepikarka.

– Seaward zamówił powóz na całą dobę. Powiedział, że jedzie do przystani w Mooloolah i z powrotem. Miał się tu zgłosić o dziesiątej, może chce pan na niego poczekać?

Percy zamiera.

– Do przystani w Mooloolah?

– Stamtąd odpływają statki do Sydney – tłumaczy kobieta, najwyraźniej zachwycona swoim udziałem w rozgrywającym się tu dramacie.

– A z Sydney można popłynąć... w dowolne miejsce na świecie. Tak, poczekam – stwierdza Percy.

Oni tu wrócą. Muszą stąd uciec, więc wrócą po powóz. A wtedy on ich dorwie.

Tymczasem w wąwozie Isabella kładzie się na plecach, odchyła głowę i zamyka oczy. Jej twarz jest blada i zmęczona. Matthew czuje bolesne ukłucie w sercu. Zupełnie zapomniał, przynajmniej na czas biegu, że ona nosi pod sercem dziecko. Jego dziecko. Jej ręce i nogi leżą bezwładnie. Matthew nie może już dłużej utrzymywać dystansu. Nieważne, jak trudne będzie pożegnanie. Chwyta ją w ramiona i całuje jej twarz, uszy, włosy.

– Kocham cię. Kocham cię. Jesteś bezpieczna – powtarza w kółko.

Zapłakana Isabella przywiera do niego mocno.

– Nie płacz – uspokaja ją Matthew. – Wszystko będzie dobrze.

– Ale jak? Nie możemy teraz wrócić do wioski, on pewnie nadal tam jest. Nie damy rady odebrać powozu, a piechotą nie dotrzemy do Mooloolah – to sześćdziesiąt kilometrów.

– Możemy iść do Tewanin. Parowiec Plover odpływa dziś wieczorem do Brisbane. Z Brisbane można się dostać do Sydney albo Melbourne, a stamtąd – do Nowego Jorku, gdzie czeka na ciebie Victoria. Wiem, że jesteś przerażona, ale kiedy tylko się wydostaniesz z Queensland, będziesz bezpieczna. A pewnego dnia, w niedalekiej przyszłości, znajdziesz szczęście. Obiecuję.

Isabella patrzy na niego wielkimi, nieruchomymi oczyma. Całe ciało mężczyzny tężeje w odruchu, by ją chronić.

– Popłynź ze mną! – szlocha Isabella. – Musisz popłynąć ze mną do Nowego Jorku. Teraz jesteśmy

rodziną. Nie każ mi płynąć tam samej.

TERAZ JESTEŚMY RODZINĄ. Ta myśl spada na niego jak grom z jasnego nieba. Dlaczego wcześniej tego nie pojmował? Rodzina. Na dźwięk tego słowa dzwoni mu lekko w uszach. Gdyby pozwolił Isabelli i dziecku na samotny rejs przez ocean, byłby zaiste okrutnym człowiekiem. Musi z nimi popłynąć. Musi ich chronić. Jego odpowiedzialność za latarnię i telegraf, odpowiedzialność wobec władz, które płacą mu od dwudziestu lat, jest niczym w porównaniu z odpowiedzialnością wobec Isabelli i jej dziecka. JEGO dziecka. Matthew czuje, że budzi się w nim jakieś uczucie. Lęk pomieszany z podziwem. Zachwyt. Wszystkie obawy związane z błahymi kwestiami towarzyskiej poprawności rozplývają się w wielkiej rzece odpowiedzialności moralnej, którą bierze na siebie każdy przyszły ojciec.

– Dobrze, moja śliczna ptaszyno – mówi Matthew, głaszcząc włosy Isabelli. – Popłynę.

Isabella brnie przez zarośla śladami Matthew. Powracają koszmarne wspomnienia z ostatniej wędrowni przez surowy australijski krajobraz. Od tego czasu wiele się zmieniło, ale ona wciąż czuje lęk. Ocean mają wciąż po lewej stronie; jego szum prowadzi ich na południe. Za kilka godzin dotrą do rzeki i pójdą jej brzegiem w głąb lądu, aż do przystani. Kiedy tylko zobaczą najbliższy strumień, Isabella zażąda, żeby się zatrzymali i napili wody. Lepki upał ją wykańcza. Skrzypiący harmider cykad przyprawia o ból głowy. Pot ścieka z czoła i spod piersi.

– Dobrze się czujesz?! – woła Matthew przez ramię. Wciąż idzie naprzód, usuwając jej z drogi gałęzie i patyki.

– Jestem zmęczona.

– Jeszcze tylko kilka godzin.

– Strasznie gorąco.

– Zbliżmy się trochę do oceanu. – Mężczyzna zmienia kierunek, a ona rusza jego śladem. Nie wychodzą z lasu, ale szum morza staje się głośniejszy, a lekki wietrzyk osusza skórę z potu.

– Przed nami strumyk! – woła Matthew. – Zrobimy sobie postój.

Isabella z wdzięcznością siada na brzegu i nabiera dłonią chłodnej wody. Woda ma smak ziemi i trawy, ale Isabella pije ją chciwie.

Matthew siada obok i też zaspokaja pragnienie. Potem spogląda na kobietę.

– Możesz już iść dalej?

– Jeszcze nie.

– Lepiej się pocuję, kiedy dotrzemy do Tewanin. Parowiec może już stać w porcie. Wsiądziemy i od razu się ukryjemy w naszych kojach. Tam odpoczniemy.

– Pozwól mi odpocząć teraz – prosi Isabella. – Jeszcze chwilę. Przez dziecko jestem bardzo zmęczona.

Matthew się zgadza, więc Isabella siada na trawie i bierze kilka głębokich wdechów. On krąży nerwowo wokół niej. Chce już ruszać w dalszą drogę. Kobieta zamyka oczy, próbując nie zwracać na niego uwagi.

– Będzie ci brakowało oceanu? – pyta.

Matthew milczy przez moment.

– Chyba tak. Nie zastanawiałem się nad tym. – Jego kroki cichną; wreszcie się zatrzymał. – Przez dwadzieścia lat zasypiałem, słysząc ten szum. Podczas pobytu w Brisbane miałem wrażenie, że otacza mnie dziwna cisza. Pewnie będę się musiał do niej przyzwyczaić.

Isabella otwiera oczy i widzi sylwetkę Matthew na tle słońca. Mężczyzna odwrócił się w drugą stronę. Spogląda w kierunku miejsca, gdzie strumyk uchodzi do oceanu.

– Przepraszam, że cię stąd zabieram – mówi kobieta.

Matthew uśmiecha się do niej.

– Zabierasz mnie w miejsce, o którym nigdy nawet nie marzyłem. Bezpieczne miejsce, gdzie będę miał kochającą żonę i dzieci. Nowe miasto. Nowy świat... – Głos łamie mu się ze wzruszenia.

Isabella wstaje, podchodzi bliżej i obejmuje go w pasie.

– Wiesz co? Sprawileś, że znowu mam ochotę iść. Żeby dotrzeć do tego szczęśliwego nowego świata.

Matthew chwyta neseser Isabelli i razem pokonują strumień. I tak mają już przemoczone buty, więc nie przeszkadza im, że znowu wchodzą do wody. Potem idą dalej.

Zbliża się południe, słońce grzeje coraz mocniej. Isabella szuka cienia, ale czuje, że piecze ją skóra. Ma kapelusz, który osłania jej twarz, rękawy jednak podwinęła, żeby ochłodzić ręce. Teraz skóra na nich robi się różowa. Kobieta czuje burczenie w brzuchu, więc zbiera jagody. Razem z Matthew jedzą owoce, nie przerywając przy tym marszu, tylko nieco zwalniając. Isabella opowiada o wędrówce przez plażę po katastrofie statku. Wydaje jej się, że to zamierzchła przeszłość, coś, co się przydarzyło komuś innemu. A przecież właśnie ona to przeżyła. Skoro przetrwała tamtą wyprawę, dzisiejszy krótki marsz nad rzekę Noosa będzie dla niej łatwy. Z tej myśli czerpie siłę i przyspiesza kroku. Utrzymują teraz dobre tempo.

O kolejny postój prosi Matthew. Tym razem to on potrzebuje chwili odpoczynku. Do buta wpadł mu kamyk. Mężczyzna siada na ziemi, zdejmuje buty, żeby porządnie je wytrzeć, a potem łapie oddech. Isabella stoi, wachlując się niepotrzebnym już biletem na rejs z Mooloolah Heads do Sydney. Do celu mają już blisko. Godzinę wcześniej skręcili w głąb lądu. Roślinność jest tu inna: gęsta i zielona. Wielkie paprocie, eukaliptusy o ostrej woni. Przeciwległy brzeg, wykarczowany pod uprawę, praży się w gorącym słońcu. Wkrótce zobaczą przystań. Isabella czuje się lekko i radośnie. Resztę drogi mogłaby przebiec.

Matthew wstaje, przeciąga się i już ma ją objąć, kiedy nagle podskakuje, krzyząc przy tym z bólu.

– Co się stało? – pyta przerażona Isabella.

Matthew pada na ziemię i chwyta się za nogę.

– Wąż – udaje mu się wykrztusić.

Isabella klęka koło niego. Kątem oka dostrzega ciemny, pełzający kształt, który znika w trawie.

– Co zrobimy? Czy to jadowity wąż?

– Nie wiem. Ja... – Jego twarz blednie z bólu.

– Pokaż.

Matthew przesuwa dłonie i Isabella widzi dwa wyraźne ślady tuż nad kostką.

– O Boże, Matthew! Co my zrobimy? Co my zrobimy?

– Znajdź jakieś pnącza albo długie trawy. Musimy obwiązać nogę.

Isabella zrywa się z ziemi. Nogi się pod nią trzęsą, kiedy przeszukuje brzeg rzeki. Zrywa z drzewa dwa zielone pędy pnącza i wraca do Matthew. Mężczyzna wygrzebał z kieszeni scyzoryk, a teraz robi dwa nacięcia nad śladami ukąszenia. Wypływa z nich krew. Postępując zgodnie z jego instrukcjami, Isabella wiąże jedno pnącze pod kolanem, a drugie tuż nad nim.

– Mocniej – syczy Matthew przez zaciśnięte zęby.

Kobieta zaciska węzły. Kolano mężczyzny przybiera ciemnoczerwoną barwę.

– Isabella – mówi Matthew, łagodnym, lecz stanowczym gestem kładąc dłoń na jej potylicy.

– Musisz wyssać truciznę.

– Wyssać truciznę? Ale jak?

– Ustami. Ja tam nie sięgnę, więc musisz to zrobić sama. Jak najszybciej.

Serce Isabelli wali mocno. Kobieta jest pewna, że popełni jakiś błąd, że nie zdoła ocalić ukochanego. Kuca obok Matthew i przykłada wargi do rany. Skóra mężczyzny ma smak soli i błota, ale dominuje metaliczny posmak krwi. Isabella ssie ze wszystkich sił. Jej usta wypełniają się krwią; żołądek podchodzi do gardła.

– Wypluj to! – przypomina Matthew. – Nie połykaj.

Isabella wypluwa krew, po czym znów przytyka usta do rany, znowu ssie i znowu pluje. Nie wie, co się teraz stanie, więc nie przerywa. W końcu Matthew klepie ją lekko po głowie i mówi:

– Wystarczy.

– Możesz iść?

– To już niedaleko. Niech to wszyscy diabli. W latarni mam zestaw leków na wypadek ukąszenia węża. Czemu go z sobą nie wziąłem?

– Ponieważ nie wiedziałeś, że będziemy pędzić przez las. – Isabella zwiesza głowę i oblewa się rumieńcem. – To wszystko moja wina.

Matthew chwyta ją zimnymi palcami za przegub dłoni.

– Niczemu nie jesteś winna.

W jej oczach wzbierają łzy.

– Czy ty umrzesz?

Matthew kręci przecząco głową.

– Nie ma mowy. – Mężczyzna uśmiecha się z wysiłkiem. – Ale pewnie będę chory.

– Możesz iść?

Matthew odwraca wzrok.

– Nie. Nie zauważyłem, jaki to był wąż. W tych okolicach żyje sporo różnych odmian, niektóre są bardziej jadowite od innych, ale nie mogę się stąd ruszać. Musisz pójść do Tewanin sama i poszukać pomocy. Potrzebuję karbolu do przemycia rany.

Na myśl, że ranny Matthew zostanie tu sam, Isabelli robi się słabo. Jeszcze gorszy jest strach, że nie zdążą na parowiec albo że będzie musiała popłynąć sama.

– Idę – mówi. – Kupię karbol.

– Zapytaj o niego w hotelu Royal Mail. Zresztą zapytaj kogokolwiek. Nie trzeba lekarza. W tych okolicach środki przeciw jadowi węża można kupić niemal wszędzie.

Isabella wstaje.

– Niedługo wrócę, kochanie – obiecuje i biegnie do miasteczka.

Nad rzeką przynajmniej jest cień. Isabella na zmianę biegnie i maszeruje. Sercem jest w wąwozie razem z Matthew, ale jej umysł pozostaje jasny i skupiony. Za zakrętem rozlegają się głosy. To dwaj lekko odziani mężczyźni w płytkiej łodzi rybackiej.

– Hej tam! Hej tam! – woła Isabella, wymachując rękami. Potem resztką sił zbiega na brzeg rzeki.

– Halo! Hej tam! – powtarza, tym razem zwracając na siebie ich uwagę. – Potrzebuję pomocy! Mojego towarzysza ukąsił wąż!

Mężczyzna przy wiosłach niezwłocznie obraca łódź i kieruje ją do brzegu.

– Dziękuję – mówi Isabella, kiedy łódź jest już blisko. Teraz widzi, że obaj nieznajomi są Chińczykami. To pewnie poszukiwacze złota. – Czy mogą panowie zabrać mnie do miasteczka? Muszę kupić lekarstwa. Proszę!

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiada jeden z mężczyzn, szamoczący się z wędką. – Sami pomożemy. Proszę nas zaprowadzić do swojego towarzysza. – Wyciąga rękę do Isabelli, a ta chwytając ją mocno i wsiada do łodzi.

– Tędy. – Kobieta wskazuje w dół rzeki. – Niedaleko.

Mężczyźni wymieniają kilka zdań w obcym, melodyjnym języku, a Isabella wypatruje drzewa, z którego zerwała pnącza. Po chwili je dostrzega.

– To tutaj! – woła. Mężczyźni przybijają do brzegu.

Podczas gdy oni wyciągają łódź z wody, ona biegnie do Matthew. Ten ma zamknięte oczy, ale otwiera je na dźwięk jej kroków.

– To ty, Isabello? Tak szybko?

– Przeprowadziłam pomoc – tłumaczy zdyszana i w tej samej chwili zjawiają się Chińczycy.

Jeden z nich niesie małe zawiniątko, a drugi – kociołek.

– Macie karbol? – pyta Matthew z błagalnym wyrazem twarzy.

Wyższy mężczyzna potrząsa głową, klepie zawiniątko i mówi coś po chińsku.

Matthew próbuje usiąść.

– Nie, nie. Potrzebuję karbolu. Muszę...

Drugi mężczyzna kładzie mu dłoń na ramieniu.

– To stare chińskie antidotum. Przywieźliśmy je do Australii. Zaufaj nam.

Isabella spogląda na mężczyzn i ogarnia ją zwątpienie. Czyżby popełniła błąd? Teraz jest już za późno na zmianę decyzji. Chińczycy tu przyszli, są. Rozpalają ogień, wieszają nad rannym kociołek, gotują wodę i wrzucają do niej suszone zioła. Tymczasem Matthew leży z głową na kolanach Isabelli z zamkniętymi oczami.

– Dokąd idziecie? – pyta wyższy mężczyzna, wskazując palcem kufer.

– Dziś wieczorem musimy wsiąść na parowiec. Czy on będzie mógł podróżować?

– Nie.

– Ale my musimy podróżować. Musimy odpłynąć jeszcze dziś.

– W takim razie płyncie, ale niech on dużo odpoczywa. Musi mieć spokój. Przez kilka dni będzie chory.

Drugi mężczyzna, mieszający dotąd w kociołku, dodaje:

– Zabierzemy was do Tewanin. Nie możecie iść. Potrzebny odpoczynek i spokój.

Isabella kiwa głową. ODPOCZYNEK I SPOKÓJ. Woń gotowanych ziół jest ostra, piżmowa. Matthew bardzo pobladł. Isabella gładzi go po włosach.

W końcu mężczyźni przelewają lekarstwo do kubka, chłodzą je przez chwilę i podają go rannemu. Matthew siada i powoli sący napar.

– Wypij wszystko – instruuje niższy mężczyzna. – Potem zabierzemy was do przystani.

Matthew podejrzliwie przygląda się obu Chińczykom, po czym wypija lek. Mężczyźni ponownie napełniają kubek. Matthew łyka drugą porcję. Smak napoju wywołuje grymas na jego twarzy.

– No, a teraz w drogę – mówi wyższy mężczyzna, podnosząc z ziemi neseser Isabelli.

Kobieta pomaga Matthew wstać. Czuje przy tym, jaki jest wysoki i ciężki. Potem Matthew chwiejnym krokiem rusza do łodzi w ślad za Chińczykami.

Łódź sunie szybko po spokojnej, gładkiej rzece. „Co dalej, co z nami będzie? – zastanawia się Isabella. – Co nas teraz spotka?”

Percy czeka. Nie ma przy sobie kieszonkowego zegarka, ale dziesiąta na pewno już minęła.

Mężczyzna siedzi na stołku wyciosanym z kłody drewna, narzeka na upał i czeka.

Właściciel przygotowanego do drogi powozu rozgląda się wokół z irytacją.

– Seaward nigdy się nie spóźnia.

Do Percy'ego dociera, że uciekinierzy się nie zjawią. Podejrzewają pewnie, że się tu na nich zasadził, i wciąż kryją się w tym upiornym lesie. Niech ich diabli wezmą.

Percy się odwraca i pyta:

– Jak daleko jest do Mooloolah?

– Jakies sześćdziesiąt kilometrów.

– Można tam dotrzeć w inny sposób?

– Nie. Tylko na piechotę.

Czy mogliby pokonać pieszo sześćdziesiąt kilometrów, żeby złapać statek do Sydney? Percy sądzi, że tak. Obliczył, że Isabella musiała przejść ponad siedemdziesiąt pięć kilometrów, żeby tu dotrzeć po zatonięciu statku.

– Seaward na pewno wkrótce się zjawi, sir.

Im dłużej Percy na nich czeka, tym dalej mu uciekną. Ale jeśli wyruszy już teraz, dotrze do celu przed nimi. Zdąży rozpuścić wici.

Wstaje i robi kilka nerwowych kroków. Oczy go pieką ze zmęczenia. W końcu zwraca się do właściciela wypożyczalni:

– Pojadę własnym powozem. Poczekam tam na nich. Nie mówcie nic Seawardowi. Nikomu ani słowa.

– Dobrze, sir.

Percy grozi im ostrzegawczo palcem, a potem się odwraca i biegnie do czekającego powozu.

Kawałek dalej na południe woźnica zatrzymuje powóz, żeby napić konie. Percy wysiada, by rozprostować nogi, wpatrując się w pełną drogę i płaski zielono-żółty pejzaż. Jest głodny, ale nie chce się zatrzymywać w hotelu, żeby nie stracić przewagi nad Sewardem i Isabellą, którzy mogli wrócić po powóz.

– Masz pan coś do jedzenia? – pyta woźnicę.

Ten potrząsa przecząco głową.

– Mniejsza z tym – mruczy pod nosem Percy. – Zjem, kiedy dojedziemy na miejsce.

– Żegna pan kogoś na przystani? – pyta woźnica. Wiezie Percy'ego aż od Brisbane i dręczy go ciekawość, ponieważ ciągle jeżdżą z miejsca w miejsce.

– Liczę, że kogoś tam spotkam. Kogoś, kto podróżuje pieszo.

Woźnica parska śmiechem.

– Pieszo z Lighthouse Bay? To mało prawdopodobne, sir.

– Ci ludzie są zdesperowani – tłumaczy Percy. – Uciekają przede mną. A to się zdziwią na mój widok – dodaje z uśmiechem, który woźnica odwzajemnia niemal niepostrzeżenie, po czym mówi:

– Z Lighthouse Bay najbliższej jest do portu w Tewanin, sir. Nikt przy zdrowych zmysłach nie szedłby do Mooloolah. Parowiec do Brisbane odpływa z Tewanin dziś po południu.

Percy’ego przeszywa dreszcz. Jakim idiotą był do tej pory! Przecież ten kraj składa się z wielkiej pustyni otoczonej mnóstwem parnych przybrzeżnych miasteczek. W niemal każdym z nich jest port i telegraf. To jasne jak słońce, że tamci dwoje idą do najbliższego portu. Szkoda, że wcześniej nie zapytał nikogo, który to port.

– A ile jest do Tewanin? Jesteśmy już blisko?

– Godzinę temu minęliśmy skręt.

Percy kopie koło powozu, krzycząc z frustracji i bólu przeszywającego jego stopę.

– No dobrze. Nie ma czasu do stracenia. Zawracamy. Zawieź mnie pan do Tewanin. Do portu. Jak najszybciej.

– Jak pan sobie życzy, sir – odpowiada woźnica.

Percy wsiada z powrotem do powozu. Jest bardzo zdenerwowany. Po raz pierwszy czuje lęk, że nie zdoła złapać Isabelli.

Plover nie czeka jeszcze w porcie, więc Isabella i Matthew siadają na rzeźbionej drewnianej ławce w cieniu starego tartaku o pobielonych ścianach. Neseser stawiają przy stopach. Matthew czuje się kiepsko, ale jego stan się nie pogarsza, więc Isabella zaczyna nieśmiało wierzyć, że wyzdrowieje. Niech tylko zjawi się już statek. Wykupiła dwa ostatnie miejsca w pierwszej klasie. Teraz obraca bilety w dłoniach, raz za razem, dla zabicia czasu. Zaczyna grę z sobą: jeśli odwróci wzrok na dwie minuty, a potem znów spojrzy w stronę przystani, zobaczy w oddali parowiec płynący w górę rzeki. Niestety ciągle przegrywa, ponieważ nie potrafi zaniechać wypatrywania statku.

Potem wstaje i zaczyna krążyć nerwowo po szorstkich deskach między ławką i nabrzeżem. Dotyka ściany tartaku. Zawraca w stronę wody. Liczy kroki. Co sto zatrzymuje się na moment, żeby spojrzeć w dół rzeki. Potem znowu krąży. Zrywa się silny wiatr, szamoczący koronami wysokich figowców za przystanią. Przestraszone wrony i mewy odlatują w dal.

Matthew – przygarbiony i blady – obserwuje chodzącą Isabellę z lekkim uśmiechem na ustach.

– Nie martw się. Jeśli nie zatrzymał nas wąż, to już nic i nikt nas nie zatrzyma.

– Po prostu lepiej się poczuję, kiedy wyruszymy w drogę.

– Wiem. – Mężczyzna próbuje wstać, ale Isabella podbiega i go powstrzymuje. – Masz odpoczywać – przypomina.

Potem wraca na środek przystani. Dołączają do nich trzy kolejne osoby, sami mężczyźni

z biletami na górny pokład. W towarzystwie innych Isabelli robi się różniej. Odwraca się w stronę drogi prowadzącej do przystani.

I zamiera.

Sekundę później chwytając neseser, łapie Matthew za rękę i ciągnie go w przeciwnym kierunku.

– Co się stało? – pyta zdyszany mężczyzna.

– Percy! – odpowiada Isabella. Wchodzą między dwa drewniane budynki. Jeden z nich to opuszczony tartak z drzwiami opadającymi z zawiasów. Isabella otwiera drzwi i wpuszcza Matthew do środka. Jest tam chłodno i ciemno, czuć woń trocin oraz oleju. W górze, na belkach stropowych, koło wysokich, brudnych okien siedzą gołębie.

– Jesteś pewna? – pyta Matthew.

– Widziałam, jak wysiadał z powozu przy drodze. Nie zauważył mnie. O Boże, jak nas tutaj znalazł? – Serce Isabelli podchodzi do gardła.

Matthew potrząsa głową i staje na straży przy oknie.

– Pewnie wydedukował. To najbliższy port. Najbardziej prawdopodobny cel wędrowni.

– To dlaczego tu przyszliśmy? – Isabella pada na kolana, łapiąc się za głowę. – Teraz będzie na nas czekał. I na pewno nas zobaczy, gdy będziemy wsiadali na statek.

Matthew natychmiast do niej podchodzi i pomaga jej wstać z podłogi. Myśl o jego chorobie powstrzymuje Isabellę od uzalania się nad sobą.

– Poczekajmy i zobaczymy – mówi Matthew. – Parowiec odpływa dopiero za dwie godziny.

Isabella rozgląda się po wnętrzu. Widzi zakurzone i znieruchomiałe na zawsze maszyny. Koła oplecione pasami, pompy, liny i łańcuchy. Jej wzrok przykuwa duża platforma. Kobieta bierze Matthew pod ramię, prowadzi go do podwyższenia i sadza na dolnym stopniu, po czym wspina się na górę, skąd widać promień słońca wpadający przez szparę między deskami.

Tam klęka, by przycisnąć lewe oko do dziury. Teraz ma widok na przystań. Wstrzymuje oddech. Koło tartaku przechodzi Percy. Po chwili zawraca. On też krąży tam i z powrotem.

Isabella siada koło Matthew.

– Z całą pewnością czeka na nas.

– Daj mi pomyśleć.

Isabella wraca na swój posterunek przy szczelinie między deskami. Percy co chwilę mija powoli tartak w swojej żółtej kamizelce. Na przystani robi się tłoczno. Isabella wie, że Percy przygląda się każdemu przybyszowi, wypatrując jej twarzy. A gdy ją zobaczy...

– Co by ci zrobił? – Matthew chyba czyta w jej myślach. Pochyliła się, jakby chciał ją przed czymś chronić.

Isabella wstaje, schodzi na dół i znów siada koło niego.

– Oddałby mnie w ręce policji.

Matthew kiwa głową.

– W takim razie dlaczego jej jeszcze nie wezwał? Czemu nie ma z nim policjantów?

– Ponieważ najpierw chce mnie mieć dla siebie.

Na twarzy Matthew pojawia się wyraz bezsilnej desperacji. Isabella opuszcza głowę. Policzki ją palą na wspomnienie natarczywości Percy'ego, której ofiarą padła we własnym domu.

– Czy mogą mnie powiesić za kradzież buławy? – pyta. Po raz pierwszy przyznaje się do kradzieży. Do tej pory uważała, że po prostu zatrzymuje dla siebie przedmiot, który wszyscy spisali już na straty, którego nikt nie spodziewa się odnaleźć.

Matthew nie odpowiada, więc Isabella się zastanawia, czy on nie zna odpowiedzi, czy też nie chce jej udzielić.

Nagle w oddali rozlega się syrena parowca.

– Nasz statek – szepcze Isabella.

Matthew opiera łokcie na kolanach i kryje twarz w dłoniach. Czekają wspólnie w opuszczonym tartaku, a statek jest coraz bliżej. Isabella znów staje w punkcie obserwacyjnym. Przygląda się cumującemu parowcowi, wysiadającym pasażerom, rozładunkowi i załadunkowi. Tłum na przystani nieco się rozprasza: wiele osób czekało na bliskich. Załadunek ciągnie się bez końca, a Percy chodzi tam i z powrotem, ze wzrokiem wbitym w drogę. Czeka na nich.

Robi się coraz później, cienie się wydłużają. Percy zaczyna mieć wątpliwości. Czeka tu od wielu godzin. Od bardzo wielu. W tym czasie mógł już dotrzeć do Mooloolah. Czy tam właśnie są teraz Seaward i Isabella? A może nadal kryją się w buszu? Może zginęli z rąk tubylców albo rozszarpały ich dzikie psy? Ta myśl nie sprawia mu przyjemności. Chciałby rozerwać Isabellę na strzępy własnymi rękami. Szybka śmierć w dziczy to nie zemsta. Poza tym pragnie odzyskać buławę. Jeśli zaginęła gdzieś w lesie, może się już nie odnaleźć.

Głowa pęka mu z bólu. Nigdy wcześniej nie był równie niepewny i to doprowadza go do furii. Czemu Arthur musiał umrzeć? Percy nadal chodzi nerwowo tam i z powrotem, co chwilę zaciskając pięści i wypatrując jasnych włosów, które mogłyby należeć do Isabelli.

O zmierzchu pasażerowie zaczynają wchodzić na statek. Najpierw podróżni z biletami pierwszej klasy: głównie dżentelmeni w dobrze skrojonych garniturach oraz kilka żon i córek w kapeluszach z szerokim rondem i dopasowanych płaszczach. Isabella krąży w kółko po tartaku, podczas gdy Matthew – spokojny, milczący i bardzo blady – siedzi na swoim stopniu.

– Mamy coraz mniej czasu – zauważa.

– Kiedy odpływa następny parowiec do Brisbane?

– Za tydzień.

Matthew wstaje.

– Co robisz? – pyta kobieta.

– Zamierzam położyć temu kres.

Isabelli robi się słabo.

– Matthew, co masz na myśli?

Słychać gwizd. Bosman przechodzi po przystani, uderzając w gong.

– Wszyscy pasażerowie na pokład!

– To już koniec – mówi przerażona Isabella. – Ostatnie wezwanie.

Matthew podchodzi do nesesera i podnosi go. Kobieta zbiega po schodach.

– Co ty wyprawiasz? Nie możesz tam iść.

Matthew podaje jej neseser.

– Ja nie. To ty idziesz.

– Co takiego?

– Wsiądziesz na parowiec. Spróbuję do ciebie dołączyć, ale nie czekaj na mnie. Wejdz do środka, znajdź swoją koję, zadbaj o bezpieczeństwo swoje i dziecka. – Mężczyzna z wysiłkiem przełyka ślinę. – Odwróć uwagę Percy’ego.

Isabella czuje, że jej serce za chwilę wyskoczy z piersi.

– Matthew, proszę, nie rób tego. Nie narażaj się na niebezpieczeństwo.

– Nadal wierzę, że uda mi się odpłynąć razem z tobą.

– Ale jak tego dokonasz?

Matthew chwyta ją delikatnie za podbródek. Jego palce są silne i ciepłe.

– Nieważne, co usłyszysz, po prostu wsiadaj na statek. Rozumiesz? Nieważne, co usłyszysz.

Isabella patrzy mu prosto w oczy. Jej wargi drżą, z piersi wrywa się szloch.

– Rozumiesz? – pyta ponownie Matthew.

– Tak. Tak, rozumiem.

Mężczyzna całuje ją czule, a potem wskazuje palcem drzwi i kiwa głową. Następnie odwraca się na pięcie i podchodzi do tylnego wyjścia. Drzwi są zamknięte na klucz, więc podnosi z ziemi kawałek metalu i manipuluje nim przy zamku. Zamek ustępuje.

Matthew się odwraca i ponownie pokazuje Isabelli główne wejście. Ona patrzy przez chwilę, żeby utrwalić w pamięci jego twarz. Potem rusza we wskazanym kierunku.

Zatrzymuje się za rogiem budynku, w ciemnym zaułku między tartakiem a sąsiednim magazynem. Latarnie gazowe oświetlają już przystań. Na trap biegnie jeszcze dwoje ludzi. Percy, w swojej żółtej kamizelce, stoi tuż przed trapem i wpatruje się w drogę.

I nagle Isabella słyszy swoje imię.

– Isabello! Isabello, chodź! Parowiec zaraz odpłynie!

Początkowo jest zaskoczona, bo rozpoznaje głos Matthew. Jednak mężczyzna woła ją z drogi, odwrócony tyłem, jakby szła jeszcze za nim. Czyżby jad węża uszkodził mu mózg? Po chwili Isabella widzi, jak Percy spina się cały i rusza pędem w stronę drogi. Teraz już wiadomo, co trzeba robić.

Isabella dotyka brzucha.

– Chodźmy, skarbie.

Po tych słowach wbiega na trap, wymachując biletem.

– Mesa znajduje się na dole, proszę pani – informuje ją bosman.

– Przyjdzie jeszcze mój towarzysz. Wysoki mężczyzna z brodą. Mam tu jego bilet. Przyjdzie na pewno. Wiem... – Isabella urywa bezradnie.

– Będę się rozglądał, proszę pani. Proszę się rozgościć.

Isabella nie może zostać na pokładzie i czekać na Matthew, bo Percy mógłby ją zobaczyć. Podnosi neseser i schodzi na dół. Znajduje swoją koję, ustawia przy niej bagaż, siada i czeka z otwartymi oczami. Wciąż ma nadzieję, ale boi się najgorszego.

Czas płynie powoli, jak smoła. Isabella słyszy bicie swojego serca, czuje jego drżenie. W koi jest bardzo cicho. Pościel i zasłony tłumią odgłosy parowca oraz gwar dochodzący z mesy.

Serce bije coraz szybciej.

Czy Matthew zrealizował swój plan? Gdyby mu się to udało, na pewno już by przy niej był.

Serce drży coraz mocniej.

A gdzieś głęboko w środku bije jeszcze jedno serce. Serduszko dziecka Matthew. Isabella opowie dziecku o ojcu. Przekaze mu wszystkie wartości wyznawane przez Matthew: stałość, cierpliwość, mądrość. W jej oczach wzbierają łzy, ale ona się opanowuje. Przecież od początku wiedziała, że go straci.

Parowiec rusza z ciężkim łoskotem. Isabella wstrzymuje oddech i zamyka oczy. Jest już w drodze. Z Brisbane popłynie do Sydney, a stamtąd do Nowego Jorku. Przed nią długa podróż. Samotna podróż.

Nagle słyszy czyjeś kroki. Każdy mięsień w jej ciele się napina. To Matthew? A może Percy? Isabella się kuli w rogu koi.

I wtedy słyszy cichy głos.

– Jesteś tu, Isabello?

Wstaje, uderzając głową o deski.

– To ty, Matthew?

Odsuwa zasłony i widzi ukochanego. Matthew kuleje, ale jest z nią, naprawdę z nią jest.

Isabella wyciąga ramiona i ściska go mocno.

– Muszę się położyć – sapie mężczyzna.

– Oczywiście, oczywiście. Tu jest twoje łóżko.

Matthew kładzie się na koi, podczas gdy ona się krząta, nagle osłabiona przez falę ulgi.

Mężczyzna zamyka oczy.

– Co się stało? – pyta Isabella.

– Udało mi się go zatrzymać. Rzuciłem mu pod nogi kłody drewna, których cały stos leżał za tartakiem. Kiedy pędziłem w stronę statku, Percy leżał twarzą w dół koło magazynu. – Matthew jęczy cicho. – Muszę odpocząć. Boli mnie rana.

– Pójdę po lekarza okrętowego – zapowiada Isabella, odsuwając się od koi.

Jednak Matthew łapie ją delikatnie za rękę i przyciąga do siebie.

– Jeszcze nie teraz. Za chwilę. Teraz mnie obejmij.

Isabella się pochyla, przytula do ukochanego, przywiera twarzą do jego szyi. Słyszy teraz bicie jego serca.

Bicie jego serca. Bicie jej serca. I niedosłyszalne bicie małego serduszka, które połączyło ich na całe życie.

Parowiec sunie po rzece, wioząc ich w stronę przyszłości.

Kiedy Percy'emu udaje się w końcu wstać, ból rozsadza mu głowę. Mężczyzna czuje straszny ucisk, ma wrażenie, że jego rozgrzany mózg napiera na ściany kurczącej się czaszki. Czy tamci dwoje są na statku? A może uciekli do miasteczka? Percy wypatruje parowca, ale wszystko widzi zamazane, podwójne. Nie jest w stanie zebrać myśli. Każdą komórką czuje przeszywający ból. Musi się położyć i zastanowić, co dalej. Utykając i trzymając się za głowę, opuszcza przystań przygnieciony bólem. To był sądny dzień.

Libby nie podpisała jeszcze umowy. Radca prawny zapewnił ją, że wszystko jest w porządku, ale coś ją powstrzymuje. Sama nie wie co. W swoich marzeniach wydała już pieniądze. Nie może się doczekać chwili, kiedy opuści Lighthouse Bay i zacznie nowe życie. A jednak nie podpisała.

– Podobno umowę wysłano tydzień temu – powiedział Tristan, kiedy usiedli na małym patio za jej domem. Wokół łagodnie zapadał błękitny zmierzch. Libby wdychała apetyczną woń piekącej się jagnięciny, a na języku czuła palącą słodycz brandy.

– Myślałam, że nie chcesz mieć nic wspólnego ze sprawą sprzedaży – zareplikowała z uśmiechem.

– Bo nie chcę. Po prostu usłyszałem, jak Yann komuś o tym opowiadał. Wszystko w porządku?

– Tak, w jak najlepszym. Czekam, aż odezwie się mój prawnik. Ma dużo pracy.

– Prowincjonalny amator. Mogę ci dać numer do świetnej kancelarii w Brisbane.

– Nie trzeba. Nie martw się. Ja się nie martwię. – Libby posłała mężczyźnie przelotny, chłodny uśmiech. – Możemy zmienić temat?

Tristan odchylił się na krześle i rozprostował nogi.

– Postanowiłaś już, co zrobisz po wyprowadzce stąd?

– Rozważam powrót do Paryża. – Libby zerknęła na niego, żeby sprawdzić, jak zareaguje.

– Na stałe?

– Nie wiem. To zależy.

– Od czego?

– Od wielu rzeczy. – Tym razem spojrzała mu prosto w oczy, unosząc jedną brew.

W odpowiedzi Tristan uśmiechnął się powoli.

– No cóż, jeśli zostaniesz, bardzo chciałbym nadal się z tobą spotykać. – Sięgnął po jej dłoń i pogładził palce. – Jesteś piękna, wiesz?

Siedzieli tak przez chwilę. Libby popijała drinka, próbując się odprężyć. Wysłała już gotowy projekt katalogu. Nie miała nic więcej do zrobienia. Znalazła się w zawieszeniu pomiędzy tym, co już było, a tym, co dopiero miało się zdarzyć. Próbowwała czerpać z tego przyjemność, ale wciąż czuła dyskomfort. Teraz za bardzo szumiało jej w głowie, by mogła się zdobyć na jakąś odpowiedź. Tristan spędził z nią cały dzień, a wcześniej całą noc i ani razu nie poruszyli tematu jego „współlokatorki”. W końcu Libby zapytała z udawaną nonszalancją:

– Co słyhać u twojej współlokatorki?

Spojrzeni sobie w oczy. Tristan przyglądał jej się przez dłuższy czas. Libby wiedziała, że próbuje odczytać coś z wyrazu jej twarzy, domyślić się, czy ona coś podejrzewa, przewidzieć, jak zareaguje.

– Nie ma sprawy – zapewniła go. – Wiem, że to wcale nie współlokatorka. Nigdy wcześniej nie opowiadałam ci o Marku, prawda? Byliśmy razem dwanaście lat. Przez cały ten czas miał żonę.

Tristan skinął głową.

– Nie skłamałem, kiedy mówiłem, że nie jestem żonaty. Nie jestem, ale mieszkam z nią od czterech lat. Nie układa się nam. Sypiamy osobno. Ona nie potrafi zrozumieć, że to już koniec. Ja naprawdę traktuję ją jak współlokatorkę. Chcę pomóc jej zrozumieć, że musi szukać szczęścia gdzie indziej.

SYPIAMY OSOBNO. Stały tekst Marka. Może każdy niewierny partner tak właśnie mówi.

– To gdzie teraz jesteś jej zdaniem? Gdzie byłeś zeszłej nocy?

– W Perth – przyznał mężczyzna.

Libby przypomniała sobie, jak kiedyś powiedział, że jest w Perth, choć wcale tam nie był. Czyżby Perth oznaczało po prostu inną kobietę?

– Nienawidzisz mnie? – zapytał Tristan naiwnym tonem małego chłopca.

– Nie – odparła Libby. – Nie mogę cię potępiać, nie potępiając jednocześnie siebie samej. Skoro twierdzisz, że to już skończone...

– Zdecydowanie tak. Myślę, że ona się wyprowadzi jeszcze przed końcem przyszłego miesiąca.

Libby zaczęła się zastanawiać. Nie miała ochoty odgrywać roli kochanki przez kolejne dwanaście lat, ale mogła dać Tristanowi czas do końca następnego miesiąca. Jeśli potem nadal będzie szukał wymówek, ona kupi bilet do Paryża. Już jako zamożna kobieta. Ta myśl wywołała uśmiech na jej twarzy.

– Rozsądna z ciebie dziewczyna, Libby – powiedział Tristan, sącząc drinka. – Niektóre kobiety... są idealistkami, a to bardzo przeszkadza w życiu. Związki są niesamowicie skomplikowane, trudne i na pewno nie idealne. Ale z tobą jest mi dobrze.

– Mnie też jest z tobą dobrze. – Libby zerwała się z krzesła. – Lepiej zajrzę do pieczeni.

Po tych słowach poszła do kuchni. Przez okno widziała jego splecione na karku dłonie, szerokie ramiona. Tristan podobał jej się z wielu powodów: był inteligentny, zrównoważony, skuteczny, przystojny. Problem w tym, że ją oszukał. Najpierw zataił prawdę, mówiąc, że nie jest żonaty, i nie dodając żadnego wyjaśnienia. A potem skłamał wprost, kiedy nazwał swoją dziewczynę współlokatorką. Zrobił to w odruchu samoobrony. Libby potrafiła go zrozumieć. Każdy człowiek ma taki instykt, każdy próbuje się przedstawić w jak najlepszym świetle, zadbać o swoje sprawy.

Jednak Tristan skłamał. Gładko. Bez zmrużenia oka.

Libby przypomniała sobie ich pierwszą rozmowę. Jego plany zbudowania ekologicznego spa,

zapewnienia, że Lighthouse Bay pozostanie nietknięte. I zaczęła wątpić w szczerść jego intencji. Bo jeśli skłamał w sprawie własnego związku, to dlaczego nie miałby kłamać w innych kwestiach?

O czwartej nad ranem zadzwonił telefon. Libby ocknęła się dopiero po chwili. Tristan spał spokojnie obok. Leżał na brzuchu, odsłaniając gładkie, muskularne plecy.

Teraz podniósł głowę i wymamrotał:

– Czy to telefon?

– Aha – potwierdziła cicho Libby. – Śpij dalej.

Odrzuciła kołdrę i poszła do salonu. Tam odebrała.

– Halo? – odezwała się ochryple.

– Ojej – zabrzmiał w słuchawce dźwięczny kobiecy głos. – Zapomniałam o różnicy czasu, prawda?

– Emily?

– Tak. Przepraszam, obudziłam cię.

Libby usiadła na fotelu obrotowym i włączyła lampę.

– Nie ma sprawy – zapewniła ciepło. – I tak wstałabym już niedługo. – To nie była prawda. Ona i Tristan zasnęli po pierwszej. Odchrząknęła, by przybrać profesjonalny ton. – Rozumiem, że zdążyłaś już rzucić okiem na katalog?

– Libby, jestem zachwycona. Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo. Miałam pewne obawy. Bałam się, że nie zaakceptujesz zmian; od tak dawna projektowałaś katalog w tradycyjnym stylu. Teraz jednak widzę, że nie tylko się ze mną zgodziłaś, ale też naprawdę rozumiałaś, o co mi chodzi. Wyczułaś moje intencje.

Libby się uśmiechnęła.

– To prawda.

– Wiesz, że Mark byłby oburzony?

– Wiem.

Emily przemówiła niskim głosem, świetnie naśladowując intonację Marka:

– Firma Winterbourne Jewellers opiera się na tradycji. Nasi klienci chcą tradycji i spodziewają się tradycyjnych wyrobów. – Potem parsknęła śmiechem i dodała zwykłym głosem: – Boże, czasami zachowywał się jak swój własny dziadek.

Libby też się roześmiała.

– Wiem, co masz na myśli – stwierdziła i natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy nie poszła o krok za daleko, czy Emily wyczuje ciepło w jej głosie, czy zwróci uwagę na poufały ton.

– Aha, zrobiłam mały wywiad – dodała Emily. – Na temat Aurory.

– Naprawdę?

– Tak. Wygląda na to, że Arthur Winterbourne sam wiózł buławę, ponieważ paranoicznie bał się kradzieży. Chciał mieć klejnoty na oku. Nie wiadomo do końca, kiedy firma miała otrzymać zapłatę. Gdy buława zaginęła, nikt nie był pewny, czy należała do Winterbourne’ów, do królowej czy do australijskiego parlamentu. Gdyby się kiedyś znalazła, nadal byłoby to niejasne.

– Rozumiem.

– Poza tym dowiedziałam się, że w podróży towarzyszyła Arthurowi jego żona, Isabella.

– Isabella? – Czyli tajemnicza „I.”.

– Tak, biedactwo. Była od niego o połowę młodsza. Mieli dziecko, które zmarło w niemowlęctwie. W rodzinnych dokumentach jest niewiele informacji na jej temat. Znalazłam tylko tyle. Uznano, że utonęła wraz z mężem.

Serce Libby zatrzepotało. Nie, Isabella wcale nie utonęła wraz z mężem. Już miała się podzielić z Emily tą informacją, lecz zmieniła zdanie. Na razie przecież były to czyste spekulacje.

– Dziękuję – powiedziała tylko. – Rzuca to nowe światło na starą miejscową legendę.

– Ciekawe, czy Mark wybrał się tam kiedyś, żeby obejrzeć wrak.

– Powiedział mi, że tak.

– Naprawdę? A mnie nic nie powiedział. No ale nie mówił mi chyba o wielu rzeczach. Na przykład o delegacjach.

– Mnie powiedział pewnie tylko dlatego, że wychowałam się w tych stronach.

– Możliwe. Miło tak porozmawiać z tobą o Marku. Mam wrażenie, że dobrze go znałaś.

Libby wiedziała, że musi zachować ostrożność.

– Lubiłam z nim pracować.

– Często się zastanawiałam... – Emily urwała. Cisza w słuchawce trwała dłuższą chwilę. Libby słyszała własny puls. – Libby, nie zrozum mnie źle, ale Mark zawsze tak ciepło wyrażał się na twój temat. Miękkł mu głos, kiedy wymawiał twoje imię. Często się zastanawiałam, czy wy... czy się spotykaliście?

Libby stanęła przed swoją szansą. Miała wreszcie okazję powiedzieć prawdę, wyznać absolutnie wszystko. Minionego wieczoru była wściekła z powodu kłamstw Tristana. Czemu nie miałyby wypalić prosto z mostu: „Tak. Kochaliśmy się. Kochałam Marka. Kochałam twojego męża”. Jej serce waliło jak młot. Głos Marka miękkł, kiedy wymawiał jej imię. Libby przeżywała prawdziwą burzę uczuć. Wciąż za nim tęskniła. Być może już zawsze będzie za nim tęsknić. A jednak to nie ona była wdową.

Przypomniała sobie radę Damiena: „Zapomnij o tym, co zrobiłaś kiedyś, i zastanów się, co możesz zrobić teraz”. Tristan skłamał, żeby się chronić. Libby nie musiała już chronić siebie. Musiała chronić Emily.

– Obraziłam cię, prawda? – zapytała Emily po długiej chwili milczenia.

– Nie obraziłaś mnie – odparła Libby. – Po prostu zastanawiałam się, jak ci odpowiedzieć.

Byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Mark często odwiedzał mnie w Paryżu. Jednak jego serce należało do ciebie, Emily. – W tym momencie Libby zrozumiała, że mówi prawdę. Przecież Mark został z Emily. Chronił ją. – On bardzo cię kochał. Nie dręcz się obawami, że kochał kogoś innego. Nigdy w życiu by cię nie zostawił. Nigdy.

Emily rozplakała się cicho. Potem uspokoiła się i wytarła nos.

– Kochana jesteś. Bardzo się cieszę, że mogłam z tobą pracować. Na pewno znajdę dla ciebie kolejne zlecenia. Dziękuję, Libby. Bardzo ci dziękuję.

– Naprawdę nie ma za co.

Libby wróciła do sypialni. Tristan zasnął. Położyła się koło niego i delikatnie przesunęła palcami po jego plecach. Mężczyzna drgnął, ale się nie poruszył. Powie mu po wschodzie słońca.

Zmieniła zdanie. Całkowicie.

Kiedy tylko Juliet wyszła spod prysznic, usłyszała dzwonek do drzwi.

– Moment! – zawołała, wycierając się szybko i wkładając sukienkę z czerwonej bawełny. Późnopołudniowe słońce wpadało przez okna od zachodniej strony. Czy to Damien? Od jego wyjazdu minął tydzień, a ona codziennie czekała na jakąś wiadomość. Przydałoby jej się coś na pocieszenie po tak paskudnym dniu. Najpierw dostała wezwanie do zapłacenia zaległego podatku, a zaraz potem Cheryl złożyła wypowiedzenie: zakochała się i zamierzała wyjechać do Nowej Zelandii.

Kiedy jednak Juliet otworzyła drzwi, nie zobaczyła wyczekiwanego Damiena, tylko najbardziej nieproszonego gościa – swoją siostrę.

– Mogę wejść?

Juliet bez słowa wypuściła Libby do środka, a potem zamknęła za nią drzwi.

Libby trzymała pod pachą dużą kopertę. Położyła ją ostrożnie na ławie i usiadła.

– Musimy porozmawiać – stwierdziła.

– Musimy?

Libby, niech ją diabli, uśmiechnęła się. To był szeroki, piękny, szczerzy uśmiech. Juliet przeniosła się w czasie i przypomniała sobie, że siostra uśmiechała się tak do niej w dzieciństwie, kiedy bawiły się w pensjonacie, zbierały muszle na plaży albo po prostu leżały w łózkach i do późnej nocy rozmawiały o chłopakach. Na to wspomnienie serce Juliet nieco zmiękło.

Usiadła.

– O co chodzi? – zapytała już trochę łagodniej.

Libby stuknęła palcem w kopertę.

– Zobacz.

Juliet wyjęła z koperty dokumenty. Zobaczyła słowa: „Umowa kupna-sprzedaży między Ashley-Harris Holdings i Elizabeth Leigh Slater” i natychmiast wepchnęła papiery z powrotem do środka.

– Nie chcę wiedzieć.

Libby wzięła od niej kopertę, wytrząsnęła papiery na stół i znalazła odpowiednią stronę.

– Nie martw się, Juliet. Ta historia ma szczęśliwe zakończenie. Postarałam się o to, zobacz.

Rozłożyła umowę przed siostrą i postukała pomalowanym na jaskrawą czerwień paznokciem w liczbę z dużą ilością zer.

Juliet poczuła mdłości.

– Odrzuciłam tę ofertę – oświadczyła Libby.

– Odrzuciłaś...? – powtórzyła osłupiała Juliet.

– Ano. Odrzuciłam dwa i pół miliona dolarów. Powiedzieli, że chcą tam zbudować ekologiczne centrum odnowy biologicznej, ale... sama nie wiem. Jakoś podejrzenie to brzmiało. Tristan Catherwood potrafi kłamać jak z nut. Dlatego nie przyjąłem oferty. Nie sprzedam im domu.

W świecie Juliet na nowo pojawiły się światło i powietrze.

– Byłabyś bogata.

– Już jestem bogata. Ten dom należy do mnie. Jest położony przy plaży, w jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie. Fakt, nie mam jeszcze stałej pracy, ale jakoś daję sobie radę.

– Libby się pochyliła i położyła dłoń na dłoni siostry. – Przepraszam. Przepraszam za wszystko. Kocham cię, Juliet. Wiem, że mi nie uwierzysz, ale tak właśnie jest.

Ulga sprawiła, że Juliet poczuła się bezbronna. Szczerze słowa siostry doprowadziły ją do łez, które najpierw spłynęły cicho po policzkach. Ale już po chwili Juliet się rozszlochała, a Libby uklękła i objęła siostrę. Juliet wtuliła twarz w jej ramię i płakała bez końca. Wreszcie wyprostowała się, by wytrzeć łzy brzegiem sukienki.

– Przepraszam – powiedziała. – Mam dziś dzień pełen emocji. Ja też cię kocham, Libby. Jestem pewna, że jakoś się dogadamy.

– Na dobry początek dokonajmy rytualnego spalenia umowy.

Wyszły z pensjonatu i piaszczystą ścieżką podążyły na plażę. Juliet zrzuciła buty. Piasek był chłodny i miękki. Minęły razem porośniętą trawą wydmy, szukając patyczków na rozpałkę. Potem zaniósły wszystko w miejsce osłonięte od wiatru. Ułożyły stosik i rozпалиły go, kucając tuż obok i śmiejąc się, a wiatr porywał ich głosy.

– Jeśli zobaczy nas Scott Lacey, to wlepi nam grzywnę – stwierdziła Juliet. Wiatr wciskał jej włosy do ust, więc wyjęła z nich niesforne pasemka.

- To JA zapłacę grzywnę. On mnie nie trawi.
- No coś ty. Moim zdaniem wpadłaś mu w oko.

Libby zbyła tę uwagę śmiechem.

- Cóż, mam nadzieję, że za jakiś czas mnie tu zaakceptują. Scott Lacey i inni. A szczególnie ty.
- Oczywiście. Oczywiście.
- Tak mi... tak mi przykro z powodu Andy'ego, Juliet. To była moja wina.

Juliet zaniemówiła na moment. Nie wiedziała, jak odpowiedzieć. Owszem, to była wina Libby, ale przede wszystkim nieszczęśliwy wypadek. Teraz, po dwudziestu latach, Juliet chciała już zrzucić z ramion brzemię żalu.

– Wybaczam ci, Libby – odezwała się i wzruszyła ramionami. – Andy zrobiliby to już dawno temu.

Libby uśmiechnęła się i podała siostrze kopertę.

- Zechcesz być mistrzem ceremonii?
- Myślę, że ty powinnaś to zrobić.

Libby przytaknęła. Ogień rzucał ciepły blask na jej skórę. Przez chwilę trzymała umowę nad ogniskiem, aż jeden róg zajął się płomieniem. Dokument zapłonął błyskawicznie, więc pisnęła i wypuściła kopertę z dłoni. Obie siostry chichotały, patrząc, jak papier czernieje, kurczy się i zamienia w popiół. Gdy umowa się spaliła, usiadły, zakopując bose stopy w piasku, i przez dłuższą chwilę milczały zgodnie.

Potem Libby powiedziała:

– Muszę być z tobą szczerą. Na początku się zgodziłam. Dlatego w ogóle miałyśmy umowę do spalenia.

Juliet poczuła ucisk w żołądku, ale przypomniała sobie, że dokumenty zostały spopielone.

- Dlaczego zmieniłaś zdanie?
- Wszystko przez Damiana Allbrighta. Całkiem mądry z niego dzieciak.

DZIECIAK. Juliet zacisnęła usta. Czuła się stara, nieatrakcyjna.

- Damien jest fantastyczny – wyznała.

Libby parsknęła śmiechem.

- Ty też? Dobry Boże!

– O co ci chodzi? – Juliet przyjrzała się siostrze w słabym świetle dogasającego dnia. Wieczorny wietrzyk rozwiewał popiół z ogniska.

- Damien miał ten sam wyraz twarzy, kiedy mówił o tobie.

Juliet, z nową nadzieją w sercu, czekała na dalsze wyjaśnienia.

- Posłuchaj, prosił mnie, żebym nikomu o tym nie mówiła, ale mam czterdzieści lat, nie

piętnaście. Tajemnice są dobre dla nastolatków. Jules, on się w tobie zadurzył.

– Serio?!

– Oczywiście.

– Nie uważasz, że to dziwne? Chodzi mi o różnicę wieku.

– Mój ostatni partner był osiemnaście lat starszy ode mnie, a nasz związek trwał dwanaście lat.

Zdarzały się problemy, ale nie z powodu różnicy wieku.

Libby nigdy wcześniej nie mówiła o swoim związku. W jej głosie pobrzmiwała melancholia.

– I co się z wami stało? – zapytała Juliet.

– On zmarł. Zostawił mi ten domek.

– Ach, tak. Mark Winterbourne.

– Był żonaty. Przez cały ten czas. – Libby uśmiechnęła się gorzko. – Naprawdę muszę ci opowiedzieć o mojej mrocznej przeszłości, Jules. Myślisz, że mimo wszystko będziesz mnie kochać?

Juliet mocno chwyciła dłoń siostry.

– No pewnie, że tak.

W weekend zrobiło się nagle bardzo ciepło. Wszyscy mówili, że to ostatnie ładne chwile przed zimą, więc Libby wybrała się nad ocean, żeby jeszcze raz w nim popływać. Woda była już chłodnawa, ale Libby szybko przywykła do temperatury, pokonała kilka fal, odpłynęła nieco dalej od brzegu i przez chwilę leżała na wodzie, patrząc na błękitne niebo. Piękne. Poczuła, że jest w domu.

Wróciła na plażę, wytarła się ręcznikiem, a koło domku otrzepała stopy z piasku. Rzuciła okiem w stronę latarni i zobaczyła, że wychodzi z niej Damien.

– Hej! – zawołała go, wymachując rękami.

Zobaczył ją i podszedł bliżej.

– Pukałem, ale nie było cię w domu.

– Poszłam pływać. Hej, wiesz co? Postanowiłam jednak zostać w Lighthouse Bay.

Zaskoczyła ją przyjemność, jaką jej sprawiły te słowa.

– Nie wiedziałem, że myślałaś o wyjeździe.

– Owszem, myślałam. Ale zmieniłam zdanie.

– To świetna wiadomość. A ja też mam coś dla ciebie. – Damien pokazał jej teczkę wypchaną papierami. – Fotokopię dziennika Matthew Seawarda. Wszystko leżało w pudłach w domu.

– Są tam brakujące wpisy?

Damien skinął głową.

– Libby, będziesz zachwycona.

– A ty będziesz zachwycony, kiedy ci powiem, że chyba już wiem, kim była I. To żona Arthura Winterbourne’a, Isabella. Znajdowała się na pokładzie, kiedy Aurora zatonęła.

Damien wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No proszę, tajemnice z przeszłości się wyjaśniają. Wejdźmy do środka.

Libby wpuściła go do domu i kazała poczekać w salonie, a sama poszła się przebrać. Kiedy wyszła z sypialni, Damien zdążył już rozłożyć na stoliku skserowane kartki.

– Rozumiem, że zdołałeś przekonać Rachel, żeby wpuściła cię do mieszkania?

– Tak. Odzyskałem też dostęp do konta bankowego. Powoli jej przechodzi. Łatwo nie będzie, ale przynajmniej rozstaniemy się w miarę pokojowo. – Damien postukał palcem w dokumenty.

– W pudłach miałem kserokopie wszystkich dzienników. Dziadek zrobił przed śmiercią dodatkowy komplet. Libby, tutaj gdzieś jest zakopany skarb.

– Co takiego?

Damien znalazł stosowną stronę i przeczytał:

Dziś rano zakopaliśmy skarb. Znajduje się sto kroków od drzwi latarni, a ja będę go pilnował nawet po wyjeździe I.

– Sto kroków od... czyli dokładnie na terenie mojej działki.

– Wiem.

– Graeme Beers...

– ...na pewno ma oryginał dziennika. Dlatego te papiery były tak porzucane, kiedy przyjechałem do latarni. To on je przeszukiwał.

W głowie Libby zapaliło się światełko.

– Oczywiście. Na pewno znalazł w papierach Percy'ego Winterbourne'a jakąś wzmiankę na temat buławy ukrytej w latarni. Przyjechał tu, znalazł część dziennika z wpisem na temat zakopanego skarbu...

– ...i ciągle tu wraca, żeby go odnaleźć.

– Zakopany skarb – mruknęła Libby z namysłem. – Tuż pod moimi stopami. Jak myślisz, co to jest?

Damien z uśmiechem pochylił głowę.

– Myślę, że to buława.

Libby gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Kiedy zaczynamy kopać?

Damien podniósł rękę.

– Wolnego, wolnego. Sto kroków, ale w którą stronę? Właśnie dlatego Graeme Beers nie mógł niczego znaleźć. Wciąż szukał właściwego miejsca. Być może znajduje się ono pod domem.

– Ale wyjdziemy i sprawdzimy, prawda?

– Jasne.

Już po chwili byli na zewnątrz, odmierzając po sto kroków od latarni w różnych kierunkach. Idąc prosto przed siebie, wylądowali w miejscu, w którym szukali Graeme i jego syn.

– I co teraz? – spytała Libby.

– Graeme Beers pewnie postawił sobie to samo pytanie.

– Krzaki, kamienie. Żadnych znaków.

Damien przyglądał się ziemi z wyrazem najwyższego skupienia na twarzy.

– A może jednak.

Libby spojrzała w tym samym kierunku.

– To tylko kamień. Tu jest pełno kamieni.

– Stań tu, gdzie ja.

Libby spełniła jego prośbę.

– Byłaś dobra w opisywaniu kształtów chmur? – zapytał Damien.

– Nie. Juliet radziła sobie dużo lepiej.

– Ja byłem w tym mistrzem. Co ci przypomina ten kamień?

Libby zmrużyła oczy, a potem się uśmiechnęła.

– Ptaka.

– „Moja śliczna ptaszyna”. Graeme na to nie wpadł, bo miał tylko kilka ostatnich stron dziennika.

Nie znał całej historii miłosnej, tak jak my.

– Uważasz, że Matthew Seaward zaznaczył miejsce zakopania skarbu tym kamieniem?

– Masz łopatę?

Godzinę później dokopali się do drewnianej skrzyni. Odgarniając ziemię dłońmi, odłonił mosiężny znak na pokrywie: herb rodziny Winterbourne'ów. Libby pomyślała o Marku i z trudem przełknęła ślinę.

– Nie do wiary – powiedziała. – Buława przez cały czas tu była. Do kogo teraz należy? Do Winterbourne'ów? Do australijskiego rządu? – Nagle przyszło jej coś do głowy. – Bo nie do mnie, prawda?

– Pojęcia nie mam – stwierdził Damien. – Potrzebujemy liny, żeby wyciągnąć skrzynię. Matthew zakopał ją naprawdę głęboko.

Libby wróciła do domu i przywiązała kawałek niebieskiego sznurka do wieszaka na ubrania. Razem opuścili wieszak w głąb dołu i zaczepili go o uchwyt. Powoli wyciągnęli skrzynię. Była zbyt lekka, by mogła zawierać skarb.

Damien uśmiechnął się do Libby z drugiej strony dołu.

– Co tam znajdziemy?

– Robaki? Brylanty?

– Zobaczmy.

Uniósł wieko. Skrzynia była pusta.

Damien roześmiał się i przysiadł na piętach.

– Nie ma skarbu. Być może ktoś nas ubiegł. Graeme Beers?

– Ale po co miałyby ponownie zakopywać skrzynię? – Libby sięgnęła do środka i przeszukała dłonią wszystkie zakamarki. Jej palce trafiły na jakiś mały, twardy kształt i po chwili wyciągnęły maleńką bransoletkę. Nie była cennym skarbem: paciorki wykonano z koralowca, a poczerńiałe zapięcie – ze srebra. Libby przyglądała się przedmiotowi w świetle popołudniowego słońca.

– To bransoletka dla niemowlęcia.

– Dlaczego Seaward nazwał ją skarbem?

Libby przypomniała sobie słowa Emily: Isabella Winterbourne straciła dziecko.

– Nie tylko kosztowności mogą mieć wielką wartość – powiedziała, delikatnie gładząc koraliki.

Przeszył ją dreszcz, zupełnie jakby przeszłość spotkała się nagle z terażniejszością. Poczowała ukłucie w sercu, a potem przemożne wzruszenie. Nagle w jej oczach wezbrały łzy. Zawstydzona odwróciła wzrok.

– Wiem – szepnął Damien. – Ja też to czuję.

Chwila minęła, przeszłość wróciła na swoje miejsce, a Libby zawołała:

– Jak my wyglądamy! Cali upaprani ziemią. Chcesz wejść do środka i wziąć prysznic?

Damien pokręcił głową.

– Wrócę już do Juliet. Mam nadzieję, że pozwoli mi zostać jeszcze trochę, jeśli nadal będę remontował jej kuchnię.

– O, na pewno będzie zachwycona – odparła Libby, puszczając do niego oko.

Na twarzy Damiena pojawiło zaskoczenie i nadzieja.

– Rozmawiałaś z nią na mój temat?

– No idź – przynagliła go Libby. – Ona na ciebie czeka.

Odprowadziła go wzrokiem, a potem wróciła do domu. Skserowane dzienniki wciąż leżały na jej biurku. Wzięła kartki do ręki i przez kilka chwil wachlowała się nimi w zadumie. Potem włożyła je ostrożnie do koperty i włączyła komputer. „Droga Emily – zaczęła pisać. – Chyba znalazłam rozwiązanie rodzinnej tajemnicy Winterbourne’ów...”

Juliet ścierała właśnie stoliki na werandzie, kiedy nagle poczuła, że ktoś się jej przygląda.

„Błagam, tylko nie kolejny klient” – pomyślała. Od wyjazdu Cheryl miała mnóstwo pracy, bo nie znalazła jeszcze nikogo na zastępstwo. Melody bardzo się starała, ale to na barkach Juliet spoczywała odpowiedzialność i to ona musiała ciężiej pracować. Zaczęła się zastanawiać, czy nie poprosić o pomoc Libby, ale nie była pewna, czy jej siostra potrafi robić śniadania i uśmiechać się do klientów.

Odwróciła się i zobaczyła Damiena. Jej serce zatrzepotało.

– Aleś ty brudny – zauważyła.

– Szukałem zakopanego skarbu. – Roześmiał się.

Juliet odpowiedziała mu niepewnym uśmiechem.

– I co, znalazłeś?

– Nie taki, jakiego się spodziewałem. Słuchaj, Juliet, pewnie jesteś zajęta, ale...

Juliet rzuciła ścierkę na podłogę, zrobiła dwa kroki w stronę Damiena i objęła go. Wstrzymał na moment oddech, a potem mocno ją przytulił. Juliet czuła, jak wali mu serce. Delikatnie ujął palcami jej podbródek, uniósł go lekko i przycisnął usta do jej warg. Dwadzieścia lat. Minęło dwadzieścia lat, odkąd po raz ostatni się całowała. Początkowo bała się, że nie pamięta już, jak to robić, ale jego usta były ciepłe i miękkie, a kiedy dotknęły jej warg, przeszył ją rozkoszny dreszcz.

– Nie jestem zajęta – wymruczała, odsuwając się lekko. – Dziś po południu wezmę sobie wolne.

Libby się cieszyła, że Juliet wróciła do mieszkania z widokiem na morze. Jej siostra zasługiwała na ten widok.

Otworzyła sobie drzwi zapasowym kluczem. Posprzątane zazwyczaj mieszkanie Juliet wypełniały stosy niezłożonego prania i opróżnione filiżanki. Panowała tu cisza, której Libby nie chciała zakłócać, ale nagle usłyszała głos siostry:

– To ty, Damien?

– Nie, to ja. Wpadłam z zakupami. – Położyła siatki na kuchennym stole.

Juliet wyszła z sypialni. Była już jedenasta, ale ona wciąż miała na sobie piżamę, włosy w nieładzie i promienny uśmiech na twarzy.

– Jesteś kochana. Mała śpi.

– Mogę na nią popatrzeć? Zrobię to po cichu.

Juliet skinęła głową. Libby weszła do sypialni i zajrzała do kołyski z zachwytem dumnej cioci.

– Jest prześliczna. Urosła, odkąd wróciłyście ze szpitala.

– Wiem. A minęły raptem dwa dni.

– Trzy.

– Straciłam rachubę.

Libby sięgnęła do torebki.

– Mam coś dla ciebie.

– Czy to całodobowa niania? Jeśli nie, to nie jestem zainteresowana.

Libby parsknęła śmiechem.

– Sama zobacz.

Podążyła siostrze puzderko na biżuterię. Zaciekawiona Juliet zajrzała do środka.

– Ojej! – wykrzyknęła z zachwytem.

– Oddałam ją do czyszczenia i naprawy. Wygląda pięknie, prawda?

W oczach Juliet zalśniły łzy, ale nie było w tym nic zaskakującego. Od chwili narodzin córki albo uśmiechała się szeroko całym godzinami, albo płakała ze szczęścia. Teraz pochyliła się nad kołyską i założyła bransoletkę na maleńką, leciutką rączkę. Jej córeczka drgnęła, ale się nie obudziła.

– Jest trochę za duża – oceniła Libby.

– Nie szkodzi, przecież mała urośnie – odparła Juliet. – Bardzo ci dziękuję. Jesteś pewna, że nie chcesz jej zatrzymać?

– Jestem pewna. Zresztą to Damien ją znalazł – powiedziała Libby, dotykając ramienia siostry.

- Będzie zachwycony.
- Muszę już lecieć. Czeka mnie sporo pracy, zanim zjawią się pierwsi klienci.
- Ciekawe, czy Scott Lacey wpadnie na swój ulubiony lunch – rzuciła nieco zaczepnie Juliet.
- Może sobie wpadać choćby codziennie. Nie umówię się z nim na randkę.
- Jeszcze zmienisz zdanie. Widziałam, jak na siebie patzycie.

Libby uściskała siostrę.

- Kocham cię.
- Ja ciebie też.

Isabella i Matthew stoją na zalanej słońcem przystani, a Isabella wypatruje w tłumie siostry. Miasto wita ich zgiełkiem i obietnicą nowych perspektyw.

– Gdzie ona jest? – mówi Isabella.

– Nie denerwuj się, moja śliczna ptaszyno. Jeśli nie dostała telegramu, to sami do niej pojedziemy.

Isabella odwraca się w jego stronę z uśmiechem. Ma zaokrąglony brzuch i rumiane policzki. Matthew uśmiecha się do żony. Kapitan udzielił im ślubu u wybrzeża Hawajów. Isabella z zachwytem przyjęła nowe nazwisko i zamaszyście podpisała się na liście wysiadających pasażerów: ISABELLA SEAWARD.

– Umiesz podnieść mnie na duchu, kochanie.

– Nie mamy już żadnych powodów do obaw, ptaszyno. Żadnych.

Nagle Isabella dostrzega siostrę, przedzierającą się przez tłum w zakiecie z szerokimi ramionami i niebieskiej spódnicy.

– Isabello! – woła Victoria, a jej brązowe włosy lśnią w zimowym słońcu. – Isabello!

Isabella rzuca się naprzód, między ludzi. Serce wali jej mocno. Jest chłodno, ale jej twarz i ciało rozgrzewa ogromna radość.

– Victorio! – woła, a tłum się rozstępuje, żeby uszczęśliwione siostry mogły paść sobie w ramiona.

Chwilę później Isabella tuli się już do Victorii i płacze ze szczęścia.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Mary-Rose MacColl za niewiarygodne poczucie humoru, ciepło i hojność.

Selwie Anthony, autorce najlepszych pomysłów zawartych w tej książce.

Moim „siostrami”: Bek, Char, Fi, Meg, Nic i Sal, które odbyły ze mną całą podróż, czy tego chciały, czy nie.

Ollie, Mish i Chadowi za inspirację Słonecznym Wybrzeżem i gościnne serca.

Angeli Hannan, która fantastycznie zajmuje się moją stroną internetową i kontaktami w sieci.

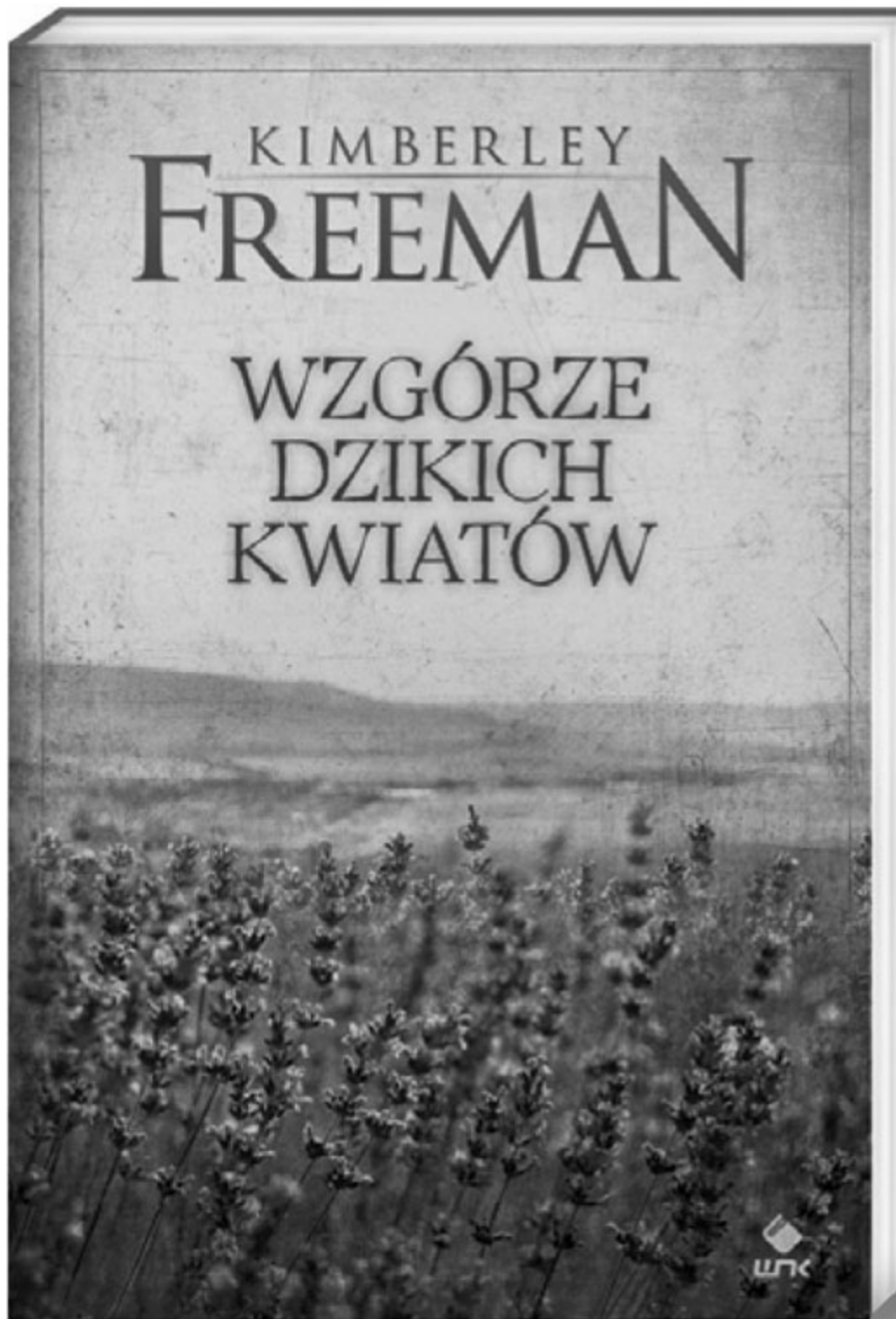
Nadene Holm, która pilnowała, żebym nie wstawała od biurka... dosłownie, oraz Shar Edmunds, która dbała, żebym nie straciła głowy.

Szczególne podziękowania należą się personelowi Biblioteki Johna Oxleya za wiedzę i wsparcie oraz Katie Roberts, Laurie Johnson, Ianowi Wilkinsowi, Michaelowi Berganinowi, Brianowi Kennedy'emu i Susan Bush za pomoc w zbieraniu materiałów.

Dziękuję Vanessie i Robercie za entuzjazm i fachowe wskazówki edytorskie.

Mamie, Luce i Astrid za miłość. A Mirko i Nikki niech pamiętają, że dzięki nim było mi dużo łatwiej.

Na koniec dziękuję fanom z Facebooka: wiecie, ile dla mnie znaczą.



Tajemnice rodzinne, zakazana miłość i dwie kobiety pośród zielonych łąk Tasmanii.

1929

Beattie to dziewczyna z charakterem. Gdy przed dziewiętnastymi urodzinami zachodzi w ciążę z żonatym mężczyzną, a potem zostaje samotną matką, nie porzuca swoich marzeń. Aby odbić się od

dna, jest gotowa na wiele. Nawet na partię pokera z cynicznym arystokratą. Jeśli Beattie przegra, spędzi noc z dziedzicem. Jeśli wygra, dostanie jego posiadłość – Wzgórze Dzikich Kwiatów.

2009

Emma jest primabaleriną w londyńskim Balecie Królewskim. Gdy nagle zdarza się wypadek, młoda tancerka traci wszystko, co kochała. Zdruzgotana Emma sądzi, że życie nie ma już dla niej niespodzianek, lecz nieoczekiwanie otrzymuje spadek po babce – majątek ziemski na drugim końcu świata. Czy tam odkryje, czego naprawdę pragnie?

Tytuł oryginału angielskiego *Lighthouse Bay*

Copyright © Kimberley Freeman 2012

Lighthouse Bay was first published in Australia in 2012 by Hachette Australia Pty Ltd and this Polish language edition is published by arrangement with Hachette Australia Pty Ltd through Graal Ltd.

© Copyright for the Polish translation by Anna Nowak, 2015

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015

Projekt okładki *Krzysztof Kibart*

Cover image © Depositphotos/wpd911/Cheryl Valle

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*

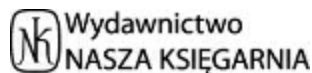
Redakcja *Katarzyna Szroeder-Dowjat*

Korekta *Ewa Mościcka, Przemysław Komendula, Małgorzata Ruszkowska*

Korekta pliku po konwersji *Irmina Garlej*

ISBN 978-83-10-12877-5

Plik wyprodukowany na podstawie *Zatoka Latarni*, Warszawa 2015



www.naszaksiegarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Konwersję wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

